

JEFFREY
ARCHER

SYNOWIE
FORTUNY



RECIS

Jeffrey Archer

SYNOWIE FORTUNY

Księga Pierwsza

Genesis

Susan cisnęła lody Michaelowi Cartwrightowi na głowę. To było ich pierwsze spotkanie, w każdym razie tak twierdził drużba Michaela, kiedy dwadzieścia jeden lat później tych dwoje brało ślub.

W tamtym czasie oboje byli trzyletnimi brzdącami i kiedy Michael uderzył w płacz, matka Susan wybiegła z domu, żeby zobaczyć, co się stało. Susan tylko jedno powtarzała w kółko:

- On pierwszy zaczął, i już.

Skończyło się na tym, że dostała klapsa.

Marny początek romansu.

Po raz drugi spotkali się, zdaniem drużby, w szkole podstawowej. Susan z pewną siebie miną oświadczyła całej klasie, że Michael to beksa i, co gorsza, skarżypa. Michael oznajmił kolegom, że podzieli się krakersami Grahama z każdym, kto pociągnie Susan Illingworth za kucyki. Niewielu chłopców odważyło się to zrobić drugi raz.

Pod koniec pierwszej klasy Susan i Michael otrzymali wspólną nagrodę dla najlepszych uczniów. Nauczycielka uznała, że tylko tak może zapobiec kolejnej historii z lodami.

Susan powiedziała kolegom, że matka Michaela odrabia za niego lekcje, na co on się odciął, że jego wypracowania są przynajmniej pisane jego charakterem pisma.

Rywalizacja trwała przez cały okres nauki w podstawówce, a potem w szkole średniej, do chwili, gdy ich drogi się rozeszły. Wtedy wstąpili na różne uczelnie: Michael na Uniwersytet Stanu Connecticut, a Susan na Uniwersytet Georgetown w Waszyngtonie. Przez następne cztery lata oboje starannie się unikali. Ich drogi zeszły się znów, jak na ironię, w domu, Susan, kiedy rodzice sprawili córce niespodziankę i urządzili jej przyjęcie z okazji ukończenia studiów. Najbardziej zaskakujące było nie to, że Michael przyjął zaproszenie, ale że w ogóle zjawił się na przyjęciu.

Susan w pierwszej chwili nie poznała dawnego rywala, może, dlatego, że sporo urósł i po raz pierwszy był od niej wyższy. Dopiero wtedy dotarło do niej, kim jest ten wysoki, przystojny mężczyzna, gdy podając mu kieliszek wina, usłyszała:

- Tym razem przynajmniej mnie nie oblałaś.

- O Boże, okropnie się wtedy zachowałam, prawda? - Powiedziała z nadzieją, że on zaprzeczy.

- Prawda. Ale chyba sobie zasłużyłam.

- Pewnie, że tak - rzuciła i ugryzła się w język.

Gawędzili jak para starych przyjaciół i Susan z zaskoczeniem stwierdziła, jak bardzo było jej nie w smak, kiedy się do nich przyłączyła koleżanka z Georgetown i zaczęła flirtować z Michaeliem. Tego wieczoru więcej z sobą nie rozmawiali.

Michael zadzwonił następnego dnia i zaprosił ją do kina na „Żebro Adama” ze Spencerem Tracy i Katharine Hepburn. Susan widziała już ten film, ale ku swemu zdziwieniu przyjęła zaproszenie, a potem bez końca przymierzała sukienki, aż przyszedł Michael i zabrał ją na pierwszą randkę.

Film podobał się Susan, choć oglądała go drugi raz. Ciekawa była, czy Michael ją obejmie, gdy Spencer Tracy będzie całował Katharine Hepburn. Nie zrobił tego. Ale kiedy wyszli z kina i przecinali jezdnię, chwycił jej dłoń i wypuścił dopiero, gdy znaleźli się przed kafejką. To wtedy doszło do pierwszej kłótni, no, może różnicy zdań. Michael przyznał,

że będzie głosował na Thomasa Deweya, natomiast Susan oświadczyła, że chce, aby Harry Truman został w Białym Domu na drugą kadencję. Kelner postawił lody przed Susan. Spojrzała na nie.

- Ani się waż! - ostrzegł ją Michael.

Susan się nie zdziwiła, gdy zadzwonił nazajutrz, choć już ponad godzinę tkwiła koło telefonu, udając, że czyta.

Tego dnia rano przy śniadaniu Michael zwierzył się matce, że zakochał się od pierwszego wejrzenia.

- Ale przecież znasz Susan od lat - zauważyła.

- Nie, mam - odparł. - Pierwszy raz spotkałem ją wczoraj.

Rodzice obojga byli zadowoleni i nie dziwili się, kiedy rok później Susan i Michael się zaręczyli; bądź co bądź od tamtego przyjęcia widywali się prawie codziennie. Już kilka dni po ukończeniu uczelni oboje mieli pracę. Michael jako stażysta w towarzystwie ubezpieczeniowym Hartford Life, a Susan jako nauczycielka historii w szkole średniej imienia Jeffersona. Postanowili się pobrać podczas letnich wakacji.

Nie zaplanowali tylko, że Susan zajdzie w ciążę w miesiącu miodowym. Michael był bardzo szczęśliwy, że zostanie ojcem, a kiedy doktor Greenwood powiedział, że urodzą się im bliźnięta, poczuł się szczęśliwy podwójnie.

- To nam rozwiąże przynajmniej jeden problem - oświadczył natychmiast.

- Mianowicie? - spytała Susan.

- Jeden może być republikaninem, a drugi demokratą.

- Nie, dopóki ja mam coś do powiedzenia - oznajmiła Susan, gładząc się po brzuchu.

Susan uczyła w szkole do ósmego miesiąca ciąży, który szczęśliwym trafem zbiegł się z feriami wielkanocnymi. Zjawiła się w szpitalu z małą walizką w dwudziestym ósmym dniu dziewiątego miesiąca. Michael wyszedł wcześniej z pracy i dołączył do niej parę minut później; oznajmił żonie, że właśnie dostał awans na „kierownika obsługi klienta”.

- Co to znaczy? - spytała Susan.

- To takie wymyślne określenie na akwizytora ubezpieczeń - odpowiedział Michael. - Ale wiąże się z tym drobna podwyżka, która bardzo się przyda, skoro trzeba będzie wykarmić jeszcze dwa pyszczki.

Gdy tylko Susan zainstalowała się w swoim pokoju, doktor Greenwood zalecił, żeby w czasie porodu Michael czekał na zewnątrz, gdyż przy bliźniętach mogą wystąpić komplikacje.

Michael przemierzał długi korytarz tam i z powrotem. Ilekroć znalazł się przy wiszącym na ścianie portrecie Josiaha Prestona, zawracał. Na początku nie zatrzymywał się, by przeczytać umieszczony pod portretem życiorys fundatora szpitala, gdy jednak doktor wreszcie się wyłonił zza dwuskrzydłowych drzwi, Michael znał historię życia dobroczyńcy na pamięć.

Postać w zielonym kitlu zbliżała się ku niemu powoli, zdejmując maskę. Michael starał się poznać z wyrazu twarzy lekarza, co usłyszy. W jego zawodzie umiejętność czytania z ludzkich twarzy bardzo się przydawała, gdyż jeśli chciało się sprzedać komuś polisę ubezpieczeniową, należało odgadnąć wszelkie obawy i wątpliwości potencjalnego klienta. Ale w wypadku tej polisy na życie, twarz lekarz nie zdradzała niczego. Kiedy stanęli przed sobą, Greenwood się uśmiechnął i powiedział:

- Moje gratulacje. Ma pan dwóch zdrowych synów.

Susan urodziła dwóch chłopaków. Nathaniel przyszedł na świat za dwadzieścia trzy piąta, a Peter za siedemnaście piąta. Przez następną godzinę rodzice na zmianę ich przytulali, aż w końcu doktor Greenwood powiedział, że noworodki i matka powinni teraz odpocząć.

- Karmienie dwójki dzieci będzie dość wyczerpujące. Na noc umieszczę je na oddziale specjalnej opieki - dodał. - Nie ma powodu do niepokoju, zawsze tak postępujemy z bliźniętami.

Michael towarzyszył synkom do oddziału dla noworodków, gdzie raz jeszcze kazano mu czekać na korytarzu. Dumny ojciec przyciskał nos do szyby oddzielającej korytarz od rzędu łóżeczek, wpatrując się w śpiących chłopców. Każdemu, kto przechodził, miał ochotę mówić „obaj są moi”. Uśmiechał się do stojącej przy nich pielęgniarki, która czuwała nad nowymi przybyszami na ten świat, przymocowując do ich maleńkich nadgarstków kartoniki z nazwiskami.

Michael stał tam bardzo długo, ale w końcu zaszedł do żony. Otworzył drzwi i przekonał się z zadowoleniem, że Susan mocno śpi.

Pocałował ją delikatnie w czoło.

- Odwiedzę cię rano przed pójściem do pracy - obiecał, nie myśląc o tym, że ona go nie słyszy. Wyszedł z pokoju i skierował się ku windzie, gdzie zobaczył doktora Greenwooda, który zamienił już swój zielony kitel na sportową marynarkę i spodnie z szarej flaneli.

- Szkoda, że nie ze wszystkimi bliźniakami bywa tak łatwo - powiedział doktor do dumnego ojca, kiedy winda zatrzymała się na parterze. - Jednak zajrzę do pańskiej żony wieczorem, aby sprawdzić, jak się mają chłopcy. Nie żebym spodziewał się jakichś problemów.

Dziękuję, panie doktorze - rzekł Michael. - Bardzo dziękuję.

Doktor Greenwood uśmiechnął się i opuściłby już szpital i pojechał do domu, gdyby nie spostrzegł eleganckiej damy, która wyłoniła się z drzwi. Przemierzył szybko hol i podszedł do Ruth Davenport.

Kiedy Michael się obejrzał, zobaczył, jak doktor przytrzymuje drzwi windy dwóm kobietom, z których jedna była w zaawansowanej ciąży. Na uśmiechniętej przed chwilą twarzy lekarza odmalowała się teraz troska. Michael mógł tylko życzyć nowej pacjentce równie łatwego porodu, jak miała Susan. Skierował się do samochodu, myśląc o tym, co teraz powinien zrobić. Szeroki uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Przede wszystkim musi zadzwonić do swoich rodziców... teraz już dziadków.

Ruth Davenport już się pogodziła z myślą, że to ostatnia szansa. Doktor Greenwood, z powodów zawodowych, nie wyraziłby tego tak kategorycznie, choć po dwóch poronieniach, rok po roku, nie doradzał pacjentce ponownego zajścia w ciążę.

Natomiast Roberta Davenporta nie obowiązywała zawodowa etykieta i kiedy się dowiedział, że żona jest pó raz trzeci w ciąży, zachował się w charakterystyczny dla siebie obcesowy sposób. Postawił jej po prostu ultimatum:

- Tym razem będziesz się oszczędzać - co było eufemistycznym odpowiednikiem nakazu: Nie wolno ci zrobić nic, co mogłoby zagrozić narodzinom naszego syna.

Robert Davenport założył, że jego pierworodny będzie chłopcem. Wiedział też, że będzie trudne - jeśli nie niemożliwe - nakłonienie żony, żeby się oszczędzała. W końcu jest córką Josiaha Prestona i często się mówiło, że gdyby Ruth była chłopcem, to ona, a nie jej mąż, zajmowałaby

dziś stanowisko prezesa Preston Pharmaceuticals. Ale Ruth musiała się zadowolić nagrodą pocieszenia, obejmując po swoim ojcu stanowisko szefowej funduszu powierniczego szpitala św. Patryka, którym rodzina Prestonów opiekowała się od czterech pokoleń.

Chociaż niektórych starszych członków bractwa św. Patryka trzeba było przekonywać, że Ruth Davenport ulepiona jest z tej samej gliny co ojciec, to już po kilku tygodniach musieli przyznać, że nie tylko odziedziczyła energię i impet starszego pana, ale że przekazał on córce tę rozległą wiedzę i mądrość, którą tak często rodzice przelewają na swoje jedyne dziecko.

Ruth wyszła za mąż dopiero w trzydziestym trzecim roku życia. Na pewno nie z powodu braku kandydatów, których wielu robiło wszystko, aby udowodnić swoje oddanie dziedzicze milionów rodziny Prestonów. Josiah Preston nie musiał tłumaczyć córce, kim są łowcy posagów, choćby dlatego, że żaden z nich nie przypadł jej do serca Ruth zaczęła już nawet wątpić, czy kiedyś się zakocha. Aż poznała Roberta.

Robert Davenport trafił do Preston Pharmaceuticals z firmy Roche, po drodze zaliczając Uniwersytet Johnsa Hopkinsa i Harvardzką Szkołę Biznesu, podążając, jak to określił ojciec Ruth, „szybką ścieżką” awansu. Ruth nie pamiętała, żeby starszy pan użył kiedyś tak nowoczesnego określenia. Robert objął wiceprezesurę w dwudziestym siódmym roku życia, a mając trzydzieści trzy lata, został mianowany najmłodszym w historii spółki wiceprzewodniczącym rady nadzorczej, pobijając w ten sposób rekord ustanowiony przez samego Josiaha. Tym razem Ruth rzeczywiście się zakochała. W mężczyźnie, na którym nie robiło wrażenia ani nazwisko, ani miliony Prestonów. W rzeczy samej, kiedy Ruth napomknęła, że może powinna się nazywać Preston-Davenport, Robert ją zapytał:

- To kiedy będę miał przyjemność poznać tego mojego rywala o podwójnym nazwisku. Już kilka tygodni po ślubie Ruth obwieściła, że jest w ciąży, a poronienie, które nastąpiło, było niemalże jedyną skazą na ich skądinąd szczęśliwym związku, jakby przelotną chmurką na błękitnym niebie. Jedenaście miesięcy później Ruth znowu zaszła w ciążę.

Ruth przewodniczyła akurat obradom zarządu powierniczego szpitala św. Patryka, kiedy poczuła pierwsze skurcze, tak więc wystarczyło, że wjechała windą dwa piętra wyżej, żeby doktor Greenwood mógł się nią zająć. Ale ani jego fachowa wiedza i oddanie personelu, ani najnowocześniejszy sprzęt medyczny nie zdołały uratować wcześniaka. Kenneth Greenwood przypomniał sobie, jak przed laty, jako młody lekarz, przyjął na świat Ruth i przez cały tydzień personel szpitala nie wierzył, że niemowlę przeżyje. A teraz, trzydzieści pięć lat później, ta sama rodzina przeżywa równie bolesne doświadczenie.

Doktor Greenwood postanowił porozmawiać w cztery oczy z panem Davenportem i podsunąć myśl, że należy pomyśleć o adopcji.

Robert, choć niechętnie, zgodził się i obiecał, że poruszy temat z żoną, gdy uzna, że odzyskała siły.

Upłynął jeszcze cały rok, zanim Ruth zgodziła się odwiedzić instytucję pośredniczącą w adopcji dzieci. Dziwnym zbiegiem okoliczności, jakim tak często szafuje los, a jakiego powieściopisarz musi unikać jak ognia, w dniu, kiedy miała odwiedzić miejscowy dom dziecka, dowiedziała się, że ponownie jest w ciąży. Teraz Robert postanowił dopilnować, żeby żaden ludzki błąd nie przeszkodził narodzinom potomka.

Ruth posłuchała męża i zrezygnowała z funkcji szefowej funduszu

powierniczego szpitala. Zgodziła się nawet na zatrudnienie pielęgniarki, która - jak się wyraził Robert - będzie mieć na nią oko. Pan Davenport przeprowadził rozmowy z kilkoma kandydatkami i wybrał kilka spośród tych o odpowiednich kwalifikacjach. Ale ostateczny wybór uzależnił od tego, czy kandydatka będzie na tyle zdeterminowana, by dopilnować, żeby Ruth istotnie się oszczędzała i nie wróciła do dawnego nawyku organizowania wszystkiego wokół.

Po trzeciej rundzie rozmów kwalifikacyjnych Robert zdecydował się na panią Heather Nichol, starszą pielęgniarkę na oddziale położniczym szpitala św. Patryka. Podobało mu się trzeźwe, rzeczowe usposobienie kobiety, a także fakt, że nie była zameżna ani też nie grzeszyła urodą, która by wróżyła, że jej stan cywilny wkrótce ulegnie zmianie. Szalę na jej korzyść ostatecznie jednak przechyliło to, że pani Nichol przyjęła na świat ponad tysiąc dzieci.

Robert cieszył się, że pani Nichol szybko się aklimatyzuje w ich domu, a z upływem kolejnych miesięcy nawet on nabierał pewności, że nie spotka ich po raz trzeci ten sam los. Kiedy bez kłopotów minął piąty, szósty, a potem siódmy miesiąc, Robert poruszył nawet temat wyboru imion dla dziecka: Fletcher Andrew, jeśli będzie chłopiec, Victoria Grace, jeśli dziewczynka. Ruth miała jedno życzenie: jeśli to będzie chłopiec, wołałaby, aby miał na imię Andrew, ale najważniejsze, żeby urodzić zdrowe dziecko.

Robert brał udział w konferencji medycznej w Nowym Jorku, kiedy pani Nichol poprosiła, żeby wywołano go z seminarium, i oznajmiła mu, że zaczęły się skurcze. Zapewnił ją, że natychmiast wsiada w pociąg, a z dworca pojedzie taksówką prosto do szpitala św. Patryka.

Doktor Greenwood opuszczał budynek po przyjęciu bliźniaków państwa Cartwrightów, kiedy ujrzał Ruth Davenport wchodzącą przez drzwi wahadłowe w towarzystwie pani Nichol. Zawrócił i zdążył wejść z nimi do windy zanim drzwi się zamknęły.

Po umieszczeniu pacjentki w separacie doktor Greenwood prędko zwołał najlepszy zespół położników, jaki można było skompletować w szpitalu. Gdyby pani Davenport była zwyczajną pacjentką, mógłby razem z panią Nichol przyjąć poród bez niczyjej pomocy.

Kiedy jednak zbadał pacjentkę, zdał sobie sprawę, że jeśli dziecko Ruth ma bezpiecznie przyjść na świat, nie obejdzie się bez cesarskiego cięcia. W niemej modlitwie wniósł oczy ku sufitowi, w pełni świadom, że to będzie jej ostatnia szansa.

Poród trwał tylko nieco ponad czterdzieści minut. Kiedy ukazała się główka dziecka, pani Nichol wydała westchnienie ulgi, ale dopiero kiedy doktor odciął pępowinę, dodała:

- Bogu niech będą dzięki.

Ruth, wciąż pod działaniem znieczulenia ogólnego, nie mogła widzieć uśmiechu ulgi na twarzy doktora Greenwooda. Szybko wyszedł z sali operacyjnej, aby oznajmić ojcu, że urodził się chłopiec.

Podczas gdy Ruth spała spokojnie, pani Nichol otrzymała polecenie przeniesienia niemowlaka o imionach Fletcher Andrew na oddział specjalnej opieki, gdzie miał spędzić pierwsze godziny życia w towarzystwie kilku innych noworodków. Umieściwszy niemowlę w małym łóżeczku, wróciła do Ruth, pozostawiając dziecko pod opieką pielęgniarki, po czym usadowiła się w wygodnym fotelu w rogu pokoju i starała się nie zasnąć.

Noc ustępowała już powoli przed dniem, kiedy pani Nichol nagle się ocknęła. Usłyszała głos:

- Czy mogę zobaczyć mojego synka- Oczywiście, proszę pani - odpowiedziała, szybko wstając z fotela. - Zaraz przyniosę małego. - Zamykając drzwi, dodała: - Za chwilę wrócę.

Ruth podciągnęła się na łóżku, poprawiła poduszkę, zapaliła lampkę nocną i czekała w miłym podnieceniu.

Na korytarzu pani Nichol spojrzała na zegarek. Było wpół do piątej rano. Zeszła schodami na piąte piętro i skierowała się ku sali noworodków. Otworzyła drzwi po cichu, aby nie obudzić żadnego z niemowlaków. Kiedy weszła do salki oświetlonej małą lampką jarzeniową pod sufitem, spojrzała na pełniącą nocny dyżur pielęgniarkę, która drzemała w kącie pokoju. Nie chciała zakłócać snu młodej kobiecie, gdyż prawdopodobnie był to jeden z tych rzadkich momentów, kiedy udało się jej zdrzemnąć podczas całej ośmiogodzinnej zmiany.

Pani Nichol przeszła na palcach pomiędzy dwoma rzędami łóżeczek, zatrzymując się tylko na moment, aby rzucić okiem na bliźnięta w podwójnym łóżeczku ustawionym obok Fletchera Andrew Davenporta.

Spojrzała na dziecko, któremu przez resztę życia nie będzie niczego brakowało. Kiedy pochyliła się, aby wyjąć chłopczyka z łóżeczka, zastygła. Po odebraniu tysiąca porodów położna ma dość doświadczenia, aby od razu rozpoznać śmierć. Bładość skóry i nieruchomy wzrok sprawiły, że nie musiała nawet sprawdzać tętna.

Często decyzje podjęte pod wpływem chwili, niekiedy przez innych, mogą zmienić całe nasze życie.

Kiedy doktora Greenwooda obudzono w środku nocy i powiadomiono go, że jeden z jego nowych podopiecznych zmarł, dobrze wiedział, które to dziecko. Wiedział też, że musi natychmiast pojechać do szpitala. Kenneth Greenwood zawsze chciał być lekarzem.

Już po kilku tygodniach studiów medycznych wiedział, jaką obierze specjalizację. Co dzień dziękował Bogu, że pozwolił mu pójść za powołaniem. Ale od czasu do czasu, jak gdyby Wszechmogący chciał wyrównać szale, doktor musiał oznajmić matce, że straciła dziecko. Nigdy to nie było łatwe, ale powiedzieć to Ruth Davenport po raz trzeci...

O piątej rano na ulicach panował tak niewielki ruch, że doktor Greenwood już dwadzieścia minut później zaparkował swój samochód na zarezerwowanym dla niego miejscu pod szpitalem. Pchnął drzwi wahadłowe, minął recepcję i wszedł do windy, zanim ktokolwiek z personelu zdążył się do niego odezwać.

- Kto jej to powie? - zapytała pielęgniarka, która czekała już na niego przy windzie na piątym piętrze.

- Ja - odparł doktor Greenwood. - Przyjaźnię się z tą rodziną od lat.

Pielęgniarka wyglądała na zdziwioną.

- Chyba powinniśmy być wdzięczni losowi, że drugie dziecko żyje - rzekła, wrywając go z zamyślenia. Doktor Greenwood stanął jak wryty.

- Drugie dziecko? - zapytał

- Tak. Nathaniel ma się doskonale. To Peter zmarł.

Doktor przez chwilę nic nie mówił, usiłując się oswoić z informacją.

- A mały Davenport? - spytał niepewnym głosem.

- O ile wiem, ma się dobrze. Dlaczego pan pyta - Przyjąłem ten poród tuż przed pójściem do domu - powiedział, mając nadzieję, że pielęgniarka nie zauważyła wahania w jego głosie.

Doktor Greenwood przeszedł wolno pomiędzy rzędami łóżeczek, mijając noworodki śpiące zdrowym mocnym snem i inne, które

wrzeszczały, jakby chciały udowodnić siłę swoich płuc. Zatrzymał się, kiedy doszedł do podwójnego łóżeczka, gdzie zaledwie parę godzin wcześniej zostawił bliźniaków. Nathaniel spokojnie spał, podczas gdy jego brat leżał bez ruchu. Doktor spojrzał ku sąsiedniemu łóżeczku, na umieszczoną u wezglowia tabliczkę z napisem: Davenport, Fletcher Andrew. Ten chłopczyk też spał mocno, miał regularny oddech.

- Ja oczywiście nie mogłam go ruszać, dopóki lekarz, który przyjął poród...

- Nie musi mi pani przypominać, jaka jest procedura postępowania w takim wypadku - przerwał jej w nietypowy dla siebie sposób.

- O której przyszła pani na dyżur? - zapytał.

- Tuż po północy.

- I od tej pory była pani cały czas przy noworodkach?

- Tak, panie doktorze.

- Czy w tym czasie ktokolwiek wchodził do tej sali?

- Nie, panie doktorze - odparła pielęgniarka. Postanowiła nie wspominać o tym, że mniej więcej godzinę temu wydało się jej, że słyszy, jak ktoś zamyka za sobą drzwi. W każdym razie nie powie mu o tym teraz, kiedy jest w złym nastroju. Doktor Greenwood spoglądał na podwójne łóżeczko oznakowane tabliczką: Cartwright, Nathaniel i Peter. Wiedział, jaka jest jego powinność.

- Proszę zabrać dziecko do kostnicy - powiedział cicho. - Zaraz, napiszę raport, ale matkę zawiadomię dopiero rano. Nie ma sensu budzić jej o tak wczesnej porze.

- Tak, panie doktorze - przytaknęła potulnie pielęgniarka.

Lekarz opuścił salę noworodków, poszedł wolno korytarzem i zatrzymał się przed drzwiami pokoju pani Cartwright, Otworzył je bezszelestnie i ulżyło mu, gdy zobaczył, że pacjentka mocno śpi. Udał się schodami na szóste piętro i uczynił to samo, kiedy dotarł do pokoju pani Davenport. Ruth także spała. Spojrzał w przeciwległy róg pokoju, gdzie na fotelu siedziała w niewygodnej pozycji pani Nichol. Przysięgłby, że otworzyła na sekundę oczy, ale postanowił, że nie będzie jej niepokoić: Zamknął drzwi, skierował się na drugi koniec korytarza i wszedł na klatkę ze schodami pożarowymi, które prowadziły na parking. Nie chciał, aby widziały go osoby dyżurujące w recepcji. Potrzebował trochę czasu, aby pomyśleć.

Dwadzieścia minut później doktor Greenwood znalazł się z powrotem w swoim łóżku, ale nie zamierzał spać.

Oczy wciąż miał otwarte, kiedy o siódmej zadzwonił budzik. Wiedział dokładnie, co powinien zrobić w pierwszej kolejności, choć obawiał się, że następstwa jego poczynań mogą być odczuwane przez wiele lat.

Druga tego ranka podróż do szpitala zabrała doktorowi Greenwoodowi znacznie więcej czasu niż pierwsza, ale wcale nie z powodu nasilenia ruchu na drogach. Wzdrygał się na myśl, że będzie musiał powiedzieć Ruth Davenport o śmierci jej dziecka, miał tylko nadzieję; że uda mu się to zrobić bez wywołania skandalu. Wiedział, że musi pójść natychmiast do: pokoju Ruth i wyjaśnić, co się stało, bo inaczej nigdy się na to nie zdobędzie.

- Dzień dobry, panie doktorze - przywitała go pielęgniarka w recepcji, ale jej nie odpowiedział.

Kiedy wysiadł z windy na szóstym piętrze i zaczął iść korytarzem w

kierunku pokoju pani Davenport, uświadomił sobie, że coraz bardziej zwalnia kroku. Zatrzymał się przed jej drzwiami, mając nadzieję, że jeszcze śpi. Kiedy je uchylił, zobaczy! Roberta Davenporta siedzącego na przeciwnym skraju łóżka żony. Ruth trzymała w ramionach dziecko. Pani Nichol z nimi nie było. Robert się poderwał.

- Mój drogi - powiedział, ściskając dłoń doktora - zawsze pozostaniemy twoimi dłużnikami.

- Nie ma powodu - zaprotestował cicho doktor Greenwood.

- Ależ jest, Kenneth - odparł Robert, odwracając się ku żonie. - Ruth, czy powiemy mu, co postanowiliśmy- Oczywiście. Wtedy oboje będziemy mieli co świętować. - Pocałowała czoło dziecka.

- Ale najpierw muszę wam powiedzieć... - zaczął doktor.

- Nie ma żadnych „ale” - przerwał mu Robert - ponieważ chcę, byś się pierwszy dowiedział, że postanowiliśmy zwrócić się do rady nadzorczej Preston o sfinansowanie budowy nowego skrzydła dla działu położniczego. Zawsze miałeś nadzieję, że powstanie ono, zanim pójdziesz na emeryturę.

- Ale... - powtórzył doktor Greenwood.

- Umówiliśmy się już, że nie będzie żadnych „ale”. Zresztą plany są gotowe od lat - rzekł Robert, patrząc na syna - moglibyśmy więc zacząć budowę natychmiast. - Zwrócił twarz ku głównemu położnikowi szpitala. - Ale oczywiście jeśli...

Doktor Greenwood pominął milczeniem jego słowa.

Kiedy pani Nichol zobaczyła doktora Greenwooda wychodzącego z separatki pani Davenport, serce jej zamarło. Lekarz niósł dziecko w ramionach, kierując się ku windzie, która miała go zawieźć na oddział specjalnej opieki dla noworodków. Spojrzeli na siebie, mijając się na korytarzu, i chociaż doktor nie odezwał się słowem, pani Nichol nie wątpiła, że on wie o jej czynie.

Pani Nichol zdawała sobie sprawę, że jeśli ma ratować skórę, to musi to zrobić teraz. Zaniósłszy dziecko z powrotem do sali noworodków, resztę nocy spędziła na fotelu w rogu pokoju pani Davenport, myśląc o tym, czy jej postępek zostanie wykryty. Kiedy doktor Greenwood tam zajrzał, starała się nie poruszyć. Nie miała pojęcia która jest godzina, bała się spojrzeć na zegarek. Myślała, że doktor wywoła ją z pokoju, aby powiedzieć, że wszystko wie. Ale on wyszedł równie cicho, jak wszedł, toteż nie wiedziała, co się święci.

Heather Nichol szła w kierunku separatki ze wzrokiem utkwionym w drzwiach na końcu korytarza, które prowadziły na schody pożarowe. Minąwszy pokój pani Davenport, starała się nie przyśpieszać kroku. Miała jeszcze do przejścia metr albo dwa, gdy usłyszała za sobą głos, który od razu rozpoznała:

- Pani Nichol? - Stała jak wryta, z oczyma wciąż utkwionymi w wyjściu awaryjnym, zastanawiając się, co robić. Odwróciła się na pięcie i stanęła twarzą w twarz z panem Davenportem. - Powinniśmy chyba porozmawiać na osobności - powiedział.

Robert Davenport wszedł do niszy po drugiej stronie korytarza, zakładając, że ona podąży za nim. Pani Nichol bała się, że nogi się pod nią ugną, nim zdąży opaść na fotel naprzeciwko Davenporta. Nie potrafiła wywnioskować z wyrazu jego twarzy, czy wie, czego się dopuściła. Ale z nim zawsze tak było. Nie miał zwyczaju zdradzać swoich myśli i nie umiał tego zmienić, nawet w życiu prywatnym. Pani Nichol nie potrafiła spojrzeć mu w twarz, patrzyła więc ponad jego ramieniem, obserwując z daleka

doktora Greenwooda, który akurat wysiadł z windy.

- Przypuszczam, że pani wie, o co chcę zapytać?

- Tak, proszę pana - przyznała pani Nichol, myśląc o tym, czy ktokolwiek jeszcze zechce ją zatrudnić, a nawet czy nie wyląduje w więzieniu.

Kiedy dziesięć minut później doktor Greenwood znów się pojawił na horyzoncie, pani Nichol dokładnie wiedziała, co z nią będzie i gdzie wyląduje.

- Kiedy pani to sobie przemyśli, proszę zadzwonić do mnie do biura, i jeśli odpowiedź będzie „tak”, zasięgnę opinii swoich prawników.

- Już przemyślałam - powiedziała pani Nichol. Tym razem spojrzała panu Davenport prosto w oczy. - Odpowiedź brzmi „tak”.

Będę szczęśliwa, mogąc pracować dla pańskiej rodziny jako niania.

Susan tuliła Nata, nie kryjąc rozpacz. Nużyły ją pocieszenia krewnych i przyjaciół, że powinna, dziękować Bogu, iż jedno z bliźniąt przeżyło. Czy oni nie rozumieją, że Peter nie żyje, że straciła syna- Michael miał nadzieję, że żona pogodzi się ze stratą, jak wyjdzie ze szpitala i wróci do domu. Ale tak się nie stało. Susan nieustannie mówiła o drugim synu i trzymała na nocnym stoliku koło łóżka fotografię obu chłopców.

Pani Nichol uważnie przyglądała się fotografii, która ukazała się w „Hartford Courant”. Z ulgą zauważyła, że chociaż obaj chłopcy odziedziczyli po ojcu kwadratową szczękę; Andrew miał jasne kręcone włosy, podczas gdy włosy Nata były proste i już zaczynały ciemnieć. Ale tak naprawdę sytuację uratował dopiero Josiah Preston, który często powtarzał, że wnuczek ma po nim nos i wysokie czoło, charakterystyczne dla rodziny Prestonów. Pani Nichol nieustannie przytaczała spostrzeżenia dziadka w obecności rozczulonych członków rodziny - i przymilających się pracowników firmy, poprzedzając je słowami:

- Pan Preston często mówi, że...

Już po dwóch tygodniach od powrotu do domu ponownie powołano Ruth na stanowisko szefowej zarządu powierniczego szpitala św. Patryka i natychmiast przystąpiła do realizacji obietnicy męża o budowie nowego skrzydła dla oddziału położniczego.

Pani Nichol brała na siebie wszelkie obowiązki, nawet te najbardziej niewdzięczne, aby tylko umożliwić Ruth powrót do pozadomowych zajęć, podczas gdy sama opiekowała się Andrew. Była mu nianią, nauczycielką, stróżem i guwernantką. Jednak cały czas drżała, że w końcu prawda wyjdzie na jaw.

Pierwszy raz naprawdę się zaniepokoiła, kiedy zadzwoniła pani Cartwright z wiadomością, że wydaje przyjęcie z okazji urodzin syna, a ponieważ Andrew przyszedł na świat tego samego dnia, chciałyby, aby też był obecny.

- To bardzo miło z pani strony - odparła pani Nichol, nie tracąc zimnej krwi - ale Andrew ma własne przyjęcie urodzinowe i wielka szkoda, że Nat nie będzie mógł wziąć w nim udziału.

- No cóż, wobec tego proszę przekazać pani Davenport moje najlepsze życzenia i powiedzieć, że bardzo się cieszymy z zaproszenia na otwarcie nowego oddziału położniczego w przyszłym miesiącu. - Odwołanie tego zaproszenia nie było w mocy pani Nichol. Odłożywszy słuchawkę, Susan zadała sobie pytanie, skąd niania zna imię jej syna.

Tego wieczoru, jak tylko pani Davenport wróciła do domu, pani Nichol podsunęła jej myśl, że należy wydać przyjęcie z okazji pierwszych

urodzin Andrew. Ruth uznała to za świetny pomysł i cieszyła się, że wszystkie związane z tym czynności, łącznie ze sporządzeniem listy gości, może zostawić niani. Zorganizować przyjęcie urodzinowe, kiedy można zdecydować, kto powinien zostać zaproszony, a kto nie, to jedno, ale spowodować, aby pani Cartwright nie zjawiała się na otwarciu oddziału położniczego, to zupełnie inna sprawa.

Faktem jest, że to Greenwood przedstawił sobie obie panie w trakcie oprowadzania gości po nowym obiekcie. Nie mógł uwierzyć, że nikt nie zauważył ogromnego podobieństwa pomiędzy dwoma chłopcami. Pani Nichol odwracała głowę, kiedy spoglądał w jej kierunku. Szybko nasunęła na główkę Andrew czepeczek, co go upodobniło do dziewczynki.

- Robi się zimno i nie chciałabym, żeby się zaziębił - powiedziała, zanim Ruth zdążyła się odezwać.

- Panie doktorze, czy po przejściu na emeryturę zostanie pan w Hartford? - spytała pani Cartwright.

- Nie. Chcemy z żoną przenieść się do rodzinnego domu w Ohio - odparł doktor - ale z pewnością nieraz odwiedzimy Hartford.

Heather Nichol westchnęła z ulgą, gdyby nie to, że doktor utkwiał w niej wzrok. Ale po wiadomości, że Greenwood wyjedzie z miasta, nabrała przekonania, że tajemnica nie zostanie wykryta.

Zawsze kiedy zapraszano Andrew do udziału w imprezach, zajęciach sportowych czy paradach, pani Nichol pilnowała przede wszystkim, żeby się nie zetknął z kimś z rodziny Cartwrightów. Udawało się jej to całkiem nieźle przez wszystkie lata, kiedy się kształtuje, osobowość dziecka, przy czym nie wzbudziła podejrzeń ani pani Davenport, ani jej męża.

Poranna poczta przyniosła dwa listy i wreszcie pani Nichol mogła odetchnąć z ulgą. Pierwszy, zaadresowany do ojca Andrew, informował, że chłopiec został przyjęty do Hotchkissa, najstarszej szkoły prywatnej w Connecticut. Drugi list, nadany w Ohio, otworzyła Ruth.

- Smutna wiadomość - powiedziała, czytając zapisaną ręcznie kartkę. - To był naprawdę wspaniały człowiek.

- Kto? - spytał Robert, spoglądając na nią znad „New England Journal of Medicine”.

- Doktor Greenwood. Jego żona pisze, że zmarł w ubiegły piątek w wieku siedemdziesięciu czterech lat.

- Tak. Był wspaniałym człowiekiem - powtórzył Robert. - Może powinnaś pojechać na pogrzeb?

- Oczywiście - zgodziła się z nim Ruth. - I być może Heather zechce mi towarzyszyć - dodała. - W końcu kiedyś razem pracowali.

- Ależ tak - powiedziała pani Nichol, mając nadzieję, że wygląda na stosownie przygnębioną.

Susan, zmartwiona, przeczytała list jeszcze raz. Nigdy nie zapomni, jak bardzo osobiście doktor Greenwood przyjął śmierć Petera, prawie jakby czuł się za nią odpowiedzialny. Może powinna pojechać na pogrzeb- Miała się właśnie podzielić wiadomością o śmierci doktora z Michaëlem, kiedy ten nagle podskoczył z okrzykiem.

- Brawo, Nat!

- O co chodzi? - spytała Susan, zaskoczona niezwykłym u męża wybuchem radości.

- Nat dostał stypendium u Tafta - odpowiedział, wymachując listem.

Susan nie podzielała entuzjazmu męża. Nie cieszyło jej, że w tak młodym wieku Nat opuści dom i zamieszka w internacie z dziećmi, których

rodzice należą do innego świata. Jak czternastoletni chłopiec może zrozumieć, że rodziców nie stać na wiele rzeczy, które jego koledzy szkolni uważają za oczywiste. Zawsze uważała, że Nat powinien pójść wzorem ojca do szkoły średniej imienia Jeffersona. Jeśli ona mogła w niej uczyć, to dlaczego jej syn nie mógłby być tam uczniem. Nat siedział na łóżku i któryś raz czytał ulubioną książkę, kiedy usłyszał okrzyk ojca. Doszedł akurat do rozdziału, w którym wieloryb miał znów się wymknąć prześladowcom. Niechętnie zeskoczył z łóżka i wychylił głowę za drzwi, żeby się przekonać, co jest powodem poruszenia. Rodzice ostro się spierali - nigdy się nie kłócili, mimo słynnego incydentu z lodami - na temat tego, do jakiej powinien pójść szkoły. Nat uchwycił sens słów w połowie zdania:

- ...życiowa szansa - mówił ojciec. - Nat zaprzyjaźni się tam z dziećmi, które kiedyś zostaną przywódcami w wielu dziedzinach i wywrą wpływ na całe jego życie.

- A może byłoby lepiej, gdyby poszedł do Jeffersona i kolegował się z dziećmi, którym to on będzie przewodził i na których życie wywrze wpływ- Ale Nat dostał stypendium, więc nie musimy płacić ani centa.

- Nie zapłacilibyśmy też, gdyby poszedł do Jeffersona.

- Ale musimy myśleć o jego przyszłości. Jeśli pójdzie do Tafta, ma szansę dostać się do Harvardu albo Yale...

- Przecież z Jeffersona wyszło kilku uczniów, którzy ukończyli obie te uczelnie.

- Gdybym miał się ubezpieczyć na ewentualność, że któraś z tych dwóch szkół nie zapewni mu...

- Gotowa jestem zaryzykować.

- Ale ja nie - powiedział Michael - i codziennie staram się takiego ryzyka unikać. - Nat przysłuchiwał się z uwagą dyskusji rodziców, którzy ani razu nie podnieśli głosu ani nie stracili panowania nad sobą.

- Wolabym, żeby mój syn ukończył studia jako egalitarystą, nie patrycjusz - odparowała matka z pasją.

- A dlaczego nie mógłby być jednym i drugim? - spytał Michael.

Nat dał nura do swojego pokoju, nie czekając, co odpowie matka.

Nauczyła go sprawdzania w słowniku każdego słowa, którego wcześniej nie słyszał; w końcu człowiek, który stworzył największe dzieło leksykograficzne na świecie, pochodził z Connecticut. Po sprawdzeniu obydwu wyrazów w słowniku Webstera Nat doszedł do wniosku, że matka jest większą egalitarystką niż ojciec, ale też, że żadne z nich nie jest patrycjuszem. Sam nie był pewien, czy chciałby nim być.

Kiedy doczytał do końca rozdziału, ponownie wynurzył się ze swojego pokoju. Atmosfera wydawała się spokojniejsza, postanowił więc zejść do rodziców.

- Może powinniśmy pozwolić Natowi zdecydować - powiedziała matka.

- Ja już zdecydowałem - oświadczył chłopiec, siadając między rodzicami. - W końcu uczyliście mnie, że zanim podejmie się decyzję, należy wysłuchać obu stron.

Oboje oniemieli, widząc, jak Nat beztrudno zabiera się do czytania wieczornej gazety. Zdali sobie sprawę, że musiał słyszeć ich rozmowę.

- Więc jaka jest twoja decyzja? - zagadnęła cicho matka.

- Wolę iść do Tafta niż do Jeffersona? - rzekł Nat bez wahania.

- A czy moglibyśmy wiedzieć, co cię skłoniło do tego wyboru? - zapytał ojciec.

Nat, świadom tego, że ma władzę nad widownią, nie śpieszył się z odpowiedzią.

- Moby Dick - oznajmił w końcu, zabierając się do lektury strony sportowej.

Czekał, które z rodziców pierwsze powtórzy jego słowa.

- Moby Dick? - zdziwili się jednocześnie.

- Tak. W końcu wszyscy dobrzy ludzie w Connecticut mieli tego potężnego wieloryba za patrycjusza morza.

- Chłopak z Hotchkissa w każdym calu - powiedziała Heather Nichol, sprawdzając wygląd Andrew w lustrze wiszącym w holu.

Biała koszula, niebieski blezer i jasnobrązowe sztruksowe spodnie. Pani Nichol poprawiła chłopcu krawat w niebiesko-białe paski, strzepnęła pyłek z jego koszuli. - W każdym calu - powtórzyła. Ale ja mam tylko pięć stóp i trzy cale, chciał powiedzieć, kiedy ojciec dołączył do nich w holu. Andrew spojrzał na zegarek, prezent od dziadka ze strony matki - człowieka, który nadal wyrzucał ludzi z pracy za spóźnienie.

- Włożyłem walizki do auta - powiedział ojciec, dotykając ramienia syna. Andrew wzdrygnął się na te słowa. Ta obojętnie rzucona informacja przypomniła mu, że oto naprawdę opuszcza dom rodzinny. - Do Święta Dziękczynienia tylko trzy miesiące - dodał ojciec.

Ale trzy miesiące to czwarta część roku, spory procent życia człowieka, który ma tylko czternaście lat, miał ochotę zwrócić mu uwagę syn.

Andrew wyszedł frontowymi drzwiami na wysypany żwirem dziedziniec z postanowieniem, że się nie odwróci, aby spojrzeć na dom, który tak kochał i który ujrzy nie wcześniej niż za kilka miesięcy. Potem, jak ze starym przyjacielem, wymienił uścisk dłoni z panią Nichol i powiedział, że chętnie znów ją zobaczy w Święto Dziękczynienia. Nie był pewien, ale odniósł wrażenie, że płakała.

Odwrócił wzrok i zanim wskoczył do samochodu, pomachał jeszcze gospodyni i kucharce.

Kiedy jechali ulicami Farmington, patrzył na dobrze mu znane budynki, które do tej chwili uważał za centrum świata.

- Pamiętaj, pisz do domu co tydzień - powiedziała matka.

Zignorował tę zbyt dużą uwagę, zwłaszcza że przez cały miniony miesiąc pani Nichol nakazywała mu to przynajmniej dwa razy dziennie.

- A gdyby ci zabrakło pieniędzy, po prostu zadzwoń - dodał ojciec.

Jeszcze jedna osoba, która nie czytała regulaminu szkoły. Andrew darował sobie wyjaśnienie, że pierwszoroczni w Hotchkiss mogą dostawać tylko dziesięć dolarów na cały okres szkolny. Wyraźnie było to napisane na stronie siódmej i podkreślone na czerwono ręką pani Nichol.

W czasie krótkiej jazdy na stację kolejową nikt się już nie odezwał, każde z nich było przejęte. Ojciec zatrzymał samochód przed dworcem i wysiadł. Andrew siedział dalej, nie mając ochoty opuszczać bezpiecznego schronienia. Dopiero kiedy matka otworzyła drzwi po jego stronie, wysiadł szybko, postanawiając, że nie da po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowany. Matka chciała go wziąć za rękę, ale szybko pobiegł do tyłu samochodu, aby pomóc ojcu przy walizkach.

Zjawił się bagażowy, popychając przed sobą wózek. Kiedy już walizki zostały załadowane, poprowadził ich na peron i zatrzymał się przed wagonem z numerem ósmym. Podczas gdy wnoszono rzeczy do wagonu, Andrew podszedł do ojca, żeby się z nim pożegnać. Wymógł wcześniej na

rodzicach, że tylko jedno z nich pojedzie z nim koleją do Lakeville, a ponieważ ojciec był absolwentem Tafta, oczywistym wyborem wydała się matka. Andrew już żałował tej decyzji.

- Szczęśliwej podróży - rzekł ojciec, ściskając rękę syna. Jakie głupie rzeczy mówią rodzice na stacjach, pomyślał Andrew; czyż nie jest ważniejsze, aby pilnie się uczył, kiedy już tam dojedzie? - I nie zapomnij pisać...

Andrew wsiadł z matką do wagonu, a kiedy pociąg ruszył ze stacji, nie spojrzał nawet na ojca, bo miał nadzieję, że dzięki temu wyda się bardziej dorosły.

- Masz ochotę na śniadanie? - spytała matka, kiedy bagażowy układał jego walizki na półce.

- Tak - odparł chłopiec i po raz pierwszy tego ranka poweselał.

Kelner w liberii wskazał im stół w wagonie restauracyjnym.

Andrew studiował kartę ciekaw, czy matka pozwoli mu zamówić pełne śniadanie.

- Wybierz, co chcesz - powiedziała, jakby czytała w jego myślach.

Kiedy wrócił do nich kelner, Andrew się uśmiechnął.

- Podwójne smażone ziemniaki z cebulą, dwa jajka sadzone na bekonie i grzanki. - Pominął tylko pieczarki, gdyż nie chciał, aby kelner pomyślał, że matka w domu go głodzi.

- A dla pani? - kelner zwrócił się do pani Davenport.

- Proszę kawę i tosty, to wszystko.

- Pierwszy dzień szkoły? - spytał kelner.

Pani Davenport uśmiechnęła się i skinęła głową.

Skąd on wie? - zastanawiał się Andrew.

Nerwowo pałaszował śniadanie, niepewny, czy tego dnia dostanie jeszcze coś do jedzenia. W informatorze nie było nic na temat posiłków, a dziadek mówił, że kiedy on był w Hotchkissie, dostawali jeść tylko raz dziennie. Matka przypominała mu, że kiedy je, powinien trzymać nóż i widelec nisko.

- Widelce i noże to nie samoloty i nie powinny pozostawać w powietrzu dłużej niż trzeba - przypominała. Nie mógł wiedzieć, że matka jest równie podenerwowana jak on.

Kiedy tylko jakiś inny chłopiec ubrany w taki sam elegancki mundurek przechodził koło ich stolika, Andrew odwracał głowę do okna, mając nadzieję, że nie zostanie zauważony, bo mundur żadnego z nich nie wyglądał na równie nowy jak jego. Matka kończyła trzecią filiżankę kawy, kiedy pociąg wtoczył się na stację.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmiła zupełnie niepotrzebnie. Andrew siedział, wpatrując się w tablicę z nazwą Lakeville, a tymczasem kilku chłopców już wyskoczyło z pociągu.

- Cześć! Jak było na wakacjach? - rozlegało się wokół. - Fajnie, że się znowu widzimy. - Wszyscy wymieniali uściski ręki. Andrew spojrzał na matkę siedzącą naprzeciwko i pomyślał, że byłoby najlepiej, gdyby nagle zniknęła w obłokach dymu. Jej obecność potwierdzała tylko, że to jego pierwszy dzień w szkole.

Dwóch wysokich chłopców w dwurzędowych niebieskich blezerach i szarych spodniach kierowało pierwszorocznych do czekającego autobusu. Andrew modlił się, aby rodziców tam nie wpuszczano, bo inaczej wszyscy się dowiedzą, że jest nowym uczniem.

- Nazwisko? - zapytał jeden z młodych ludzi w błękitnym blezerze,

gdy Andrew wysiadł z wagonu.

- Davenport, proszę pana - powiedział Andrew, spoglądając w górę. Czy on też będzie kiedyś taki wysoki? - Młody człowiek uśmiechnął się trochę kpiąco.

- Nie mów do mnie „proszę pana”. Nie jestem nauczycielem, tylko porządkowym. - Andrew opuścił głowę. Ledwie się odezwał, a już zrobił z siebie głupka. - Czy twój bagaż jest już w autobusie, Fletcher?

Fletcher- Andrew się zdziwił. Ależ oczywiście, Fletcher Andrew Davenport. Nie poprawił wysokiego, młodego człowieka w obawie, że znów się zblądni.

- Tak - odparł.

Młody bóg zwrócił się teraz ku jego matce.

- Dziękuję pani - powiedział, sprawdzając listę. - Mam nadzieję, że podróż powrotna do Farmington upłynie pani miło. Proszę się nie martwić o Fletchera - dodał uprzejmie.

Andrew wyciągnął przed siebie rękę obronnym gestem, gdyż nie chciał, żeby matka go przytuliła. Szkoda, że matki nie umieją czytać w myślach dzieci. Wzdrygnął się, kiedy go objęła. Ale czy mógł wiedzieć, co ona sama w tej chwili przeżywa- Kiedy w końcu go puściła, włączył się w strumień uczniów, którzy wskakiwali do czekającego autobusu. Zauważył chłopca, jeszcze niższego niż on, siedzącego samotnie i wyglądającego przez okno. Szybko zajął miejsce koło niego.

- Mam na imię Fletcher - powiedział, powracając do imienia które nadał mu młody bóg. - A ty?

- James - odrzekł chłopiec. - Ale koledzy mówią na mnie Jimmy.

- Jesteś nowy? - spytał Fletcher.

- Tak - przyznał Jimmy cicho, wciąż patrząc w okno.

- Ja też - powiedział Fletcher.

Jimmy wyjął z kieszeni chusteczkę i udał, że wyciera nos, dopiero wtedy odwrócił się ku swojemu nowemu towarzyszowi.

- Skąd jesteś - spytał.

- Z Farmington.

- Gdzie to jest- Niedaleko West Hartford.

- Mój tata pracuje w Hartford - oznajmił Jimmy. - W administracji państwowej. A co robi twój- Sprzedaje lekarstwa - powiedział Fletcher.

- Lubisz futbol? - spytał Jimmy...

- Tak - odparł Fletcher, ale tylko dlatego, że wiedział, iż drużyna Hotchkissa od czterech lat nie przegrała żadnego meczu. Również ten fakt pani Nichol podkreśliła w szkolnym informatorze.

Dalsza rozmowa składała się z niezwiązanych ze sobą pytań, na które druga strona rzadko знаła odpowiedź. Był to dziwny początek znajomości, która miała się przerodzić w przyjaźń na całe życie.

- Leży idealnie - powiedział ojciec, sprawdzając mundurek chłopca w lustrze zawieszonym w holu. Michael Cartwright poprawił błękitny krawat syna i zdjął włos z jego marynarki. - Idealnie.

Aż pięć dolarów za parę sztruksowych spodni, nie mógł się nadziwić Nathaniel, mimo że ojciec orzekł, iż są warte każdego wydanego centa.

- Pośpiesz się, Susan, bo się spóźnimy - zawołał Michael, spoglądając w górę schodów. Ale zdążył umieścić walizkę w bagażniku, nim Susan wreszcie się pojawiła, aby życzyć synowi powodzenia w pierwszym dniu w szkole. Uścisnęła mocno Nathaniela, który się cieszył, że nie widzi tego jakiś inny uczeń z Tafta. Liczył, że matka się pogodziła, że

nie wybrał szkoły Jeffersona, bo sam zaczął się zastanawiać, czy słusznie postąpił. W końcu, gdyby poszedł do Jeffersona, mógłby co wieczór wracać do domu.

Nathaniel zajął miejsce obok ojca na przednim siedzeniu samochodu i spojrzął na zegar na desce rozdzielczej. Była prawie siódma.

- Jedźmy już, tato - powiedział. Okropnie się bał, że się spóźni pierwszego dnia do szkoły i zwróci na siebie nieprzychylną uwagę.

Kiedy znaleźli się na autostradzie, ojciec zjechał na lewy pas i przyśpieszył do sześćdziesięciu pięciu mil na godzinę, pięć mil ponad dopuszczalną szybkość, gdyż sądził, że jest mało prawdopodobne, by policja go zatrzymała o tak wczesnej porze. Chociaż Nathaniel był już w szkole na rozmowie kwalifikacyjnej, to jednak poczuł ukłucie lęku, kiedy ich stary studebaker wjechał w ogromną żelazną bramę i potoczył się dalej długą na milę drogą dojazdową prowadzącą do zabudowań szkoły. Nat z ulgą zauważył, że jadą za nimi dwa albo trzy inne auta, choć wątpił, czy wiozły nowicjuszy. Podążając w ślad za strumieniem cadillaców i buicków, ojciec wjechał na parking, nie bardzo wiedząc, gdzie zatrzymać samochód; on też był tu nowy. Nathaniel wyskoczył z samochodu, zanim ojciec zaciągnął hamulec ręczny. Ale zaraz się zawahał. Czy ma pójść za chmarą chłopców zmierzających w kierunku auli, czy też nowicjusze powinni udać się gdzieś indziej. Michael bez wahania przyłączył się do tłumu i zatrzymał się dopiero wtedy, gdy wysoki, pewny siebie młody człowiek, który trzymał kartkę papieru na sztywnej podkładce, spojrzął z góry na Nathaniela i zapytał:

- Czy jesteś pierwszoklasistą?

Nathaniel się nie odezwał, toteż wyręczył go ojciec. - Tak - odparł.

- Nazwisko? - spytał młodzieniec, nie podnosząc wzroku.

- Cartwright, proszę pana - powiedział Nathaniel.

- A taak, grupa niższa średnia; zostałeś przydzielony do pana Haskinsa, więc musisz być zdolny. Wszyscy bystrzy chłopcy zawsze zaczynają od pana Haskinsa. - Nathaniel spuścił głowę, a ojciec się uśmiechnął. - Jak wejdiesz do auli - rzekł młody człowiek - usiądź, gdzie chcesz w jednym z trzech pierwszych rzędów po lewej stronie. Kiedy zegar wybije dziewiątą, zamknij buzię i nie odzywaj się, aż dyrektor i nauczyciele opuszczą aulę.

- A co mam robić potem? - spytał Nathaniel, starając się ukryć, że cały drży z przejęcia.

- Poinformuje cię o tym wychowawca klasy - powiedział młodzieniec, który zwrócił się następnie ku ojcu nowego ucznia: - Nat doskonale sobie poradzi, proszę pana. Życzę panu przyjemnej drogi powrotnej.

W tym momencie Nathaniel postanowił, że odtąd każe mówić do siebie Nat, choć zdawał sobie sprawę, że matka nie będzie z tego zadowolona.

Znalazłszy się w auli, Nat spuścił głowę i ruszył szybko długim przejściem, pragnąc, żeby nikt go nie widział. Dostrzegł wolne miejsce na końcu drugiego rzędu i wśliznął się tam. Spojrzął na chłopca siedzącego z lewej strony, z głową ukrytą w dłoniach. Modli się, a może jest jeszcze bardziej przerażony niż on sam.

- Jestem Nat - zaryzykował.

- A ja Tom - powiedział chłopiec, nie podnosząc głowy.

- Co będzie dalej?

- Sam chciałbym wiedzieć - odrzekł Tom, kiedy zegar wybił

dziewięć uderzeń i wszyscy umilkli.

Łańcuch nauczycieli posuwał się przejściem - ani jednej kobiety, zauważył Nat. Mamie by się to nie spodobało. Weszli na podium i usiedli na swoich miejscach, pozostawiając dwa wolne. Zaczęli cicho rozmawiać między sobą, podczas gdy reszta zgromadzonych w auli milczała.

- Na co czekamy? - szepnął Nat. Wkrótce otrzymał odpowiedź, gdy wszyscy powstali, łącznie z osobami na podium. Nat nie śmiał się obejrzeć, gdy usłyszał kroki dwóch mężczyzn. Chwilę później kapelan szkoły i podążający za nim dyrektor przeszli obok niego, zmierzając ku dwóm wolnym miejscom na podium. Wszyscy nadal stali, podczas gdy kapelan wystąpił nieco do przodu, aby odprawić modły, w tym Ojcze Nasz, i zaintonować Bojowy Hymn Republiki.

Kapelan wrócił na swoje miejsce, ustępując pola dyrektorowi szkoły. Alexander Inglefield przez chwilę milczał, po czym spojrzał na zgromadzonych uczniów. Następnie podniósł ręce, z dłońmi skierowanym w dół, potem opuścił je i wszyscy z powrotem usiedli.

Oczy trzystu osiemdziesięciu uczniów wpatrywały się w wysokiego mężczyznę o grubych, krzaczastych brwiach i kwadratowej szczęce, budzącego tak wielki lęk, że Nat prosił Boga, żeby nigdy się z nim nie zetknąć.

Dyrektor ujął w dłonie połę czarnej togi i wygłosił piętnastominutową mowę. Najpierw zapoznał podopiecznych z długą historią szkoły, wychwalając jej minione osiągnięcia na polu edukacyjnym i sportowym. Spojrzał w dół na pierwszorocznych i przypomniał im dewizę szkoły: Non ut sibi ministretur sed ut ministret.

- Co to znaczy? - zapytał szeptem Tom.

- Nie sobie służyć, lecz innym.

Dyrektor na zakończenie przemowy oświadczył, że są dwa wydarzenia, jakich uczeń Tafta nigdy nie może opuścić - egzamin i mecz przeciwko drużynie Hotchkissa - i aby nie było wątpliwości, co uważa za ważniejsze, obiecał pół dnia wolnego, jeśli drużyna Tafta pokona Hotchkissa w dorocznym meczu futbolowym. Te jego słowa zebrani przyjęli gorącym aplauzem, choć każdy chłopiec poza siedzącymi w trzech pierwszych rzędach dobrze wiedział, że nie udało się to od czterech lat...

Kiedy okrzyki entuzjazmu ucichły, dyrektor, a za nim kapelan i reszta nauczycieli opuścili podium. Po ich wyjściu zapanował gwar; uczniowie starszych klas zaczęli opuszczać aulę i tylko chłopcy w pierwszych trzech rzędach pozostali na miejscach, ponieważ nie wiedzieli, dokąd mają iść.

Dziewięćdziesięciu pięciu uczniów czekało, co nastąpi. Nie upłynęło dużo czasu, gdy jakiś starszawy nauczyciel - miał dopiero pięćdziesiąt jeden lat, ale zdaniem Nata wyglądał na o wiele starszego niż jego ojciec - stanął przed nimi. Był niewysoki, krępy, z wianuszkami siwych włosów na tyłku czaszki. Gdy mówił, trzymał się za kłapy tweedowej marynarki, naśladując postawę dyrektora szkoły.

- Nazywam się Haskins - przedstawił się. - Jestem wychowawcą oddziału niższego średniego - dodał z ciepłym uśmiechem. Zaczniemy od wprowadzenia dla nowych uczniów, co potrwa do pierwszej przerwy o dziesiątej trzydzięci. O jedenastej udacie się na zajęcia do klas, do których zostaliście przydzieleni. Pierwsza lekcja to historia Stanów Zjednoczonych, - Nathaniel się skrzywił, gdyż historia nie należała do jego ulubionych przedmiotów. - Następnie lunch. Nie liczcie na frykasy - powiedział pan

Haskins z tym samym uśmiechem. Kilku chłopców się roześmiało. - Ale w końcu to także należy do tradycji Tafta - zapewnił ich pan Haskins - o czym ci z was, którzy poszli w ślady swoich ojców, z pewnością zostali uprzedzeni. - Na twarzach paru chłopców, w tym Toma, pojawił się uśmiech.

Kiedy rozpoczęli obchód szkoły, który pan Haskins nazwał wycieczką za dwa centy, Nat trzymał się cały czas Toma, który zdawał się zawsze wiedzieć, co za chwilę powie nauczyciel. Okazało się, że nie tylko ojciec, ale i dziadek Toma był wychowankiem Tafta.

Nim obchód szkoły dobiegł końca i zobaczyli już wszystko - od jeziora po szkolny szpitalik Nathaniel i Tom byli już dobrymi przyjaciółmi. Kiedy dwadzieścia minut później weszli do klasy, machinalnie usiedli obok siebie.

Z wybiciem godziny jedenastej pan Haskins wkroczył do klasy. Tuż za nim wszedł chłopiec. Wyglądał na pewnego siebie, nawet hardego, co sprawiło, że wszyscy na niego patrzyli. Wzrok nauczyciela również podążył za nowym uczniem, który wśliznął się na ostatnie wolne miejsce.

- Jak się nazywasz?

- Ralph Elliot.

- Jest to twoje ostatnie spóźnienie na moją lekcję, dopóki będziesz w tej szkole - powiedział Haskins. Zamilkł na chwilę. - Czy wyraziłem się dość jasno?

- Bez wątpienia... - Elliot zawahał się, nim dodał - ...proszę pana.

Pan Haskins skierował teraz wzrok na resztę klasy.

- Nasza pierwsza lekcja, jak was uprzedziłem, poświęcona będzie historii Ameryki, co wydaje się słuszne, ponieważ szkołę tę założył brat jednego z naszych byłych prezydentów. - Zważywszy na fakt, że portret Williama H. Tafta wisiał w głównym holu, a na dziedzińcu stał posąg jego brata, nawet najmniej bystry uczeń musiał już na to wpaść.

- Kto był pierwszym prezydentem Stanów Zjednoczonych? - zapytał pan Haskins. Podniosły się wszystkie ręce. Nauczyciel skinął głową w kierunku chłopca w pierwszym rzędzie.

- Jerzy Waszyngton.

- A drugim? - spytał Haskins. Uniosło się mniej rąk i tym razem do odpowiedzi wybrany został Tom.

- John Adams.

- Zgadza się. A trzecim?

Tylko dwie ręce, Nata i chłopca, który się spóźnił pozostały w górze. Haskins wskazał na Nata.

- Thomas Jefferson, rok tysiąc osiemsetny do tysiąc osiemset ósmego.

Pan Haskins potaknął, przyznając, że również daty podane przez chłopca były poprawne.

- A czwartym?

- James Madison, tysiąc osiemset dziewięty do tysiąc osiemset siedemnastego - powiedział Elliot.

- A piątym, Cartwright?

- James Monroe, tysiąc osiemset siedemnasty do dwudziestego piątego.

- Szóstym, Elliot?

- John Quincy Adams, tysiąc osiemset dwudziesty piąty do dwudziestego dziewiątego.

- Siódmym, Cartwright?

Nat wyteżał pamięć.

- Nie mogę sobie przypomnieć, panie profesorze.

- Nie pamiętasz czy po prostu nie wiesz? - Haskins zrobił pauzę. - To istotna różnica - dodał. Zwrócił się do Elliota.

- Chyba William Henry Harrison, panie profesorze.

- Nie. On był dziewiątym prezydentem, wybranym w tysiąc osiemset czterdziestym roku, ale ponieważ zmarł na zapalenie płuc już miesiąc po inauguracji, nie poświęcimy mu dużo czasu - rzekł Haskins. - Jutro każdy z was ma wiedzieć, kto był siódmym prezydentem. A teraz przejdziemy do tematu: twórcy amerykańskiej konstytucji. Wolno robić notatki, ponieważ na następną lekcję napiszecie trzystronicowe wypracowanie na ten temat.

Nim lekcja dobiegła końca, Nat zapisał całe trzy kartki, podczas gdy Tom zaledwie jedną. Kiedy wychodzili z klasy, Elliot precyzyjnie się koło nich bezceremonialnie.

- Zapowiada się na groźnego rywala - zauważył Tom.

Nat się nie odezwał.

- Skąd mógł wiedzieć, że on i Ralph Elliot zostaną przeciwnikami na całe życie?

Rozgrywany każdego roku mecz pomiędzy szkołami Hotchkissa i Tafta był gwoździem sezonu sportowego pierwszego półrocza.

Ponieważ żadna z drużyn nie przegrała w tym sezonie ani jednego meczu, jak tylko skończyły się egzaminy na koniec okresu szkolnego, a wśród zapalonych sportowców na długo przedtem, nim się zaczęły, nie mówiło się o niczym innym.

Fletcherowi udzieliło się powszechne podniecenie i w swoim cotygodniowym liście do matki wymienił z nazwiska wszystkich zawodników, choć zdawał sobie sprawę, że nic jej one nie powiedzą.

Mecz miał być rozegrany w ostatnią sobotę października, a po końcowym gwizdku wszystkim uczniom internatu obiecano zwolnienie z zajęć na resztę weekendu i dodatkowy wolny dzień w razie wygranej.

W poniedziałek przed meczem klasa Fletchera zdawała pierwszy z egzaminów okresowych, lecz wcześniej dyrektor ogłosił na porannym apelu, że „życie to ciąg prób i egzaminów, toteż zdajemy je u Hotchkissa co kilka miesięcy”.

We wtorek wieczorem Fletcher zadzwonił do matki i powiedział jej, że uważa, iż poszło mu dobrze.

W środę zwierzył się Jimmy'emu, że nie jest tego pewien.

W czwartek sprawdził to, co pominął, i zastanawiał się, czy zdał chociaż na dostateczny.

W piątek rano wyniki egzaminów zostały wywieszane na szkolnej tablicy informacyjnej, a na pierwszym miejscu listy widniało nazwisko Davenport. Chłopiec pobiegł natychmiast do najbliższego telefonu i zadzwonił do matki. Ruth nie kryła radości, słysząc tę nowinę, ale nie zdradziła synowi, że wcale nie jest zaskoczona.

- Powinieneś to jakoś uczcić - powiedziała. Fletcher chętnie by to zrobił, ale gdy zobaczył, kto jest ostatni w klasie, uznał, że mu nie wypada.

Na ogólnym apelu w sobotni rano kapelan odprawił modły w intencji „naszej niezwykłej drużyny futbolowej, która gra wyłącznie dla chwały Bożej”. Powierzono więc Bogu wszystkich graczy, prosząc, aby Duch Święty każdego z nich obdarzył łaską. Dyrektor szkoły nie miał wątpliwości, któremu zespołowi Bóg będzie kibicować w sobotnie

popołudnie.

U Hotchkissa o wszystkim decydowało starszeństwo, nawet o miejscu ucznia na odkrytej trybunie. W pierwszym okresie szkolnym pierwszoklasistom przydzielono miejsca na drugim końcu boiska, tak więc obaj przyjaciele siedzieli w każdą sobotę w prawym rogu trybuny i patrzyli, jak ich bohaterowie kontynuują serię nieprzerwanych zwycięstw, pamiętali jednak cały czas, że podobny rekord mieli na koncie zawodnicy Tafta.

Wobec tego, że mecz z drużyną Tafta wypadł w weekend, kiedy, uczniowie rozjeżdżają się do domów, rodzice Jimmy'ego zaprosili Fletchera na piknik przed rozpoczęciem meczu, z bufetem na pokrywie bagażnika. Fletcher nie pochwalił się zaproszeniem żadnemu z kolegów, bo nie chciał wzbudzić ich zazdrości. Nie dość, że jest prymusem, to jeszcze dawny wychowanek szkoły zaproponował mu najlepsze miejsca na wprost linii środkowej.

- Jaki jest twój tato? - spytał Jimmy, kiedy w noc poprzedzającą mecz zgaszono światło w sypialni chłopców.

- Wspaniały - powiedział Fletcher - ale wiesz, że jest wychowankiem Tafta i republikaninem. A twój? Nigdy jeszcze nie spotkałem senatora.

- Jest politykiem z krwi i kości, a w każdym razie tak piszą o nim gazety - odparł Jimmy. - Choć nie bardzo wiem, co to znaczy.

Rankiem w dniu meczu żaden uczeń nie mógł się skupić na lekcji chemii, mimo zapachu pana Baileya, żeby zademonstrować oddziaływanie kwasu na cynk, zwłaszcza że Jimmy zakręcił główny zawór gazu i nauczycielowi nie udało się nawet zapalić palników Bunsena.

O dwunastej, na dźwięk dzwonka, na dziedziniec szkoły wybiegło trzystu osiemdziesięciu wrzeszczących chłopców. Przypominali gotujące się do wojny dzikie plemię, wykrzykujące: Hotchkiss, Hotchkiss, Hotchkiss zwycięży, śmierć Tafciazom!

Fletcher popędził na miejsce zbiórki, żeby się tam spotkać z rodzicami. Samochody prywatne i taksówki napływały strumieniem, okalając jezioro. Fletcher wypatrywał auta rodziców.

- Jak się masz, Andrew, dziecinko? - zapytała matka, gdy tylko wysiadła z samochodu.

- Fletcher, mam, tutaj jestem Fletcher - wyszeptał, mając nadzieję, że żaden z kolegów nie słyszał „dziecinki”. Wymienił uścisk dłoni z ojcem i powiedział: - Musimy zaraz iść na stadion, zostaliśmy zaproszeni przez senatora Gatesa i jego żonę na „lunch z bagażnika”.

Ojciec Fletchera zmarszczył brwi.

- Jeśli dobrze pamiętam, senator Gates jest demokratą - rzekł z udawaną pogardą.

- I byłem kapitanem drużyny futbolowej Hotchkissa - dodał Fletcher. - Jego syn chodzi do tej samej klasy co ja i jest moim najlepszym przyjacielem, dlatego dobrze by było, gdyby mama usiadła koło senatora, a ty tato, jeśli chcesz, to możesz usiąść po przeciwnej stronie boiska z kibicami Tafta.

- Nie. Myślę, że jakoś ścierpię obecność senatora. Miło będzie siedzieć koło niego, kiedy Taft zdobędzie zwycięskie przyłożenie.

Był pogodny jesienny dzień i cała trójka skierowała się ku boisku, stąpając po kobiercu ze złotych liści. Ruth próbowała wziąć syna za rękę, ale Fletcher trzymał się od niej daleko. Zanim jeszcze dotarli do boiska, usłyszeli z daleka okrzyki tłumu, podnieconego zbliżającym się meczem.

Fletcher dostrzegł Jimmy'ego, który stał koło oldsmobile'a kombi. Otwarty bagażnik zastawiony był tak wykwintnym jedzeniem, jakiego jego oczy nie oglądały w ostatnich dwóch miesiącach. Wysoki, elegancko ubrany mężczyzna wyszedł im naprzeciw.

- Witam państwa, nazywam się Harry Gates. - Wytrawnym ruchem polityka senator wyciągnął rękę, aby przywitać się z rodzicami Fletchera.

Ojciec Fletchera uściśnął podaną dłoń.

- Dzień dobry, panie senatorze. Robert Davenport. A to moja żona Ruth.

- Proszę mi mówić Harry. A to Martha, moja pierwsza żona. - Pani Gates podeszła bliżej, aby przywitać się z obojgiem. - Nazywam ją pierwszą żoną, bo dzięki temu bardziej się stara.

- Mogę zrobić państwu drinka? - spytała Martha, nie śmiejąc się z żartu, który słyszała wiele razy.

- Ale pośpieszmy się - powiedział senator, spoglądając na zegarek - jeśli chcemy zdążyć coś zjeść przed meczem. Pozwól się obsłużyć, Ruth, a twój mąż niech sam się zatroszczy o siebie. Potrafię rozpoznać republikanina na sto kroków.

- Obawiam się, że to nie wszystko - odezwała się Ruth.

- Tylko mi nie mów że na dodatek jest wychowankiem Tafta, bo sprawię, że zostanie to uznane w tym stanie za przestępstwo zagrożone karą śmierci. - Ruth potaknęła głową. - W takim razie, Fletcher, chodź do mnie, pogadamy sobie, bo będę udawał, że nie widzę twojego ojca.

Fletcher poczuł się mile polectany zaproszeniem i zaraz zarzucił senatora pytaniami na temat funkcjonowania zgromadzenia ustawodawczego stanu Connecticut.

- Andrew - upomniała syna Ruth.

- Fletcher, mamó.

- Czy nie uważasz, Fletcher, że senator wolałby porozmawiać o czymś innym niż o polityce?

- Nie szkodzi, Ruth - zapewnił ją Harry. - Wyborcy rzadko zadają równie wnikliwe pytania, cieszyłbym się, gdyby Jimmy brał z niego przykład.

Po lunchu całe towarzystwo przeszło szybko w kierunku odkrytej trybuny i zajęło miejsca na chwilę przed rozpoczęciem meczu. O takich miejscach uczniowie mogą tylko marzyć, ale przecież senator Gates od ukończenia szkoły nie opuścił ani jednego meczu przeciwko drużynie Tafta. Fletcher z trudem panował nad emocjami, widząc, jak wskazówki zegara na tablicy nad boiskiem zbliżają się do godziny drugiej. Spojrzał na trybunę po drugiej stronie, skąd dobiegały okrzyki z obozu przeciwnika: - Podajcie mi T, podajcie mi A. - i zakochał się.

Nat nie odrywał oczu od twarzy nad literą A.

- Nat to najzdolniejszy chłopiec w klasie - poinformował Tom jego ojca. Michael się uśmiechnął.

- Nie przesadzaj - powiedział Nat, lekko zawstydzony - pamiętaj, że pokonałem Ralpa Elliota tylko jednym punktem.

- Czy on nie jest przypadkiem synem Maksa Elliota? - zapytał Michael jakby sam siebie.

- A kto to jest Maks Elliot?

- W mojej branży uważany jest za kogoś, z kim lepiej się nie wdawać w interesy.

- Dlaczego? - zapytał Nat, ale ojciec nie rozwinął tej krótkiej uwagi i

był rad, że wzrok syna przyciągnęły cheerleaderki, które - z niebieskimi pomponami przymocowanymi do nadgarstków - wykonywały rytualny taniec wojenny. Nat wciąż patrzył na drugą dziewczynę od lewej, która chyba się do niego uśmiechała, choć zdawał sobie sprawę, że jest dla niej jedynie małą plamką w głębi trybuny.

- Chyba urosłeś - powiedział Michael, zauważywszy, że spodnie syna kończą się o cal nad butami. Myślał o tym, jak często będzie musiał kupować mu nową odzież.

- Na pewno nie za sprawą szkolnej kuchni - zauważył Tom, który ciągle był najniższym chłopcem w klasie. Nat nie zareagował.

Wciąż wpatrywał się w grupę cheerleaderek.

- Która ci wpadła w oko? - zagadnął go Tom, szturchnąwszy przyjaciela w ramię.

- Co?

- Nie udawaj, że nie słyszysz.

Nat odwrócił się, żeby ojciec nie usłyszał jego odpowiedzi.

- Druga z lewej, ma na swetrze literę A.

- Diana Coulter. - Tom był zadowolony, że wiedział coś, o czym nie ma pojęcia przyjaciel.

- Skąd znasz jej nazwisko?

- Bo jest siostrą Dana Coultera.

- Ale on jest najbrzydszym graczem w drużynie - powiedział Nat. - Ma uszy jak kalafiory i złamany nos.

- Diana też by tak wyglądała, gdyby przez pięć lat grała co tydzień w meczu. - Tom się roześmiał.

- Co jeszcze o niej wiesz? - spytał Nat przyjaciela konspiracyjnym szeptem.

- O! Aż tak poważnie? - zdziwił się Tom.

Teraz Nat dał kuksańca przyjacielowi.

- A więc uciekamy się do użycia siły, tak- To chyba niezgodne z kodeksem ucznia Tafta - dodał Tom. - Pokonaj adwersarza siłą argumentów, a nie siłą mięśni. Oliver Wendell Holmes, jeśli się nie mylę.

- Och, przestań głądzić - rzekł Nat - tylko odpowiadaj na pytanie.

- Szczerze mówiąc, niewiele więcej o niej wiem. Tylko to, że chodzi do Westover i gra na prawym skrzydle w szkolnej drużynie hokeja.

- O czym tak szepczecie? - zapytał ojciec Nata.

- O Danie Coulterze - odparł Tom, niezbity z tropu - jednym z naszych obrońców, powiedziałem właśnie Natowi, że Dan zjada co rano na śniadanie osiem jajek.

- Skąd wiesz? - spytała matka Nata.

- Bo jedno jest moje - wyznał Tom z żalem.

Rodzice Nata wybuchnęli śmiechem, natomiast Nat wciąż wpatrywał się w literę A w wyrazie TAFT. Po raz pierwszy w życiu naprawdę zainteresował się jakąś dziewczyną. Wyrwał go z zamyślenia nagły wrzask, kiedy wszyscy po jego stronie stadionu powstali, aby przywitać wbiegającą na boisko drużynę Tafta. Chwilę potem po drugiej stronie boiska pojawili się zawodnicy Hotchkissa; ich kibice równie entuzjastycznie zerwali się z miejsc.

Fletcher też wstał, ale wzrok jego nadal utkwiony był w cheerleaderce z literą A na sweterku. Miał poczucie winy, że pierwsza dziewczyna, w jakiej się zakochał, kibicuje drużynie Tafta.

- Wydaje mi się, że to nie nasz zespół przykuwa twoją uwagę -

szeptał senator, pochylając się ku niemu.

- Ale skąd, panie senatorze - wyparł się Fletcher, natychmiast kierując wzrok na zawodników Hotchkissa, którzy przystąpili do rozgrzewki.

Kapitanowie obu zespołów pobiegli truchtem w kierunku sędziego, który czekał na nich na linii pięćdziesięciu jardów. Arbiter podrzucił srebrną monetę, która błysnęła w popołudniowym słońcu i wylądowała w błocie.

„Siłacze” z Tafta pokleпали się po plecach, ujrawszy profil Waszyngtona.

- Trzeba było powiedzieć odwrotnie - rzekł Fletcher.

Nat wciąż się wpatrywał w Dianę, która wróciła na odkrytą trybunę. Zastanawiał się, jak mógłby ją poznać. To nie będzie łatwe.

Dan Coulter był bogiem: Jak uczeń pierwszej klasy zdoła wdrzeć się na Olimp?

- Ale zagranie! - wrzasnął Tom.

- Kto to był? - spytał Nat.

- Oczywiście Coulter. Właśnie udało mu się zdobyć pierwsze przyłożenie.

- Coulter?

- Wciąż się gapiłeś na jego siostrę, kiedy Hotchkissi stracili piłkę?

- Skądże.

- No to powiedz mi, ile jardów zyskaliśmy? - spytał Tom, patrząc na przyjaciela. - Tak myślałem, wcale nie patrzyłeś. - Przesadnie głęboko westchnął. - Widzę, że pora ulżyć ci w niedoli.

- O co ci chodzi?

- Będę musiał wam zorganizować randkę.

- Możesz to zrobić?.

- Jasne. Jej ojciec jest sprzedawcą samochodów w naszej okolicy i zawsze kupujemy od niego auta, musisz więc przyjechać do mnie na parę dni w czasie wakacji.

Tom nie słyszał, czy przyjaciel przyjął zaproszenie, gdyż jego odpowiedź zagłuszył wrzask kibiców Tafta, kiedy „Siłacze” przechwycili piłkę.

Gdy sędzia odgwizdał koniec pierwszej części meczu, Nat wydał głośny okrzyk radości, zapominając, że jego zespół przegrywa.

Wciąż stał, licząc, że zauważy go dziewczyna o jasnych, kręconych włosach i zniewalającym uśmiechu. Ale jak mogła, skoro całą energię wkładała w radosne podskoki, zachęcając kibiców Tafta do jeszcze głośniejszych wiwatów.

Gwizdek - rozpoczynający drugą część meczu rozległ się zdecydowanie za wcześnie, a kiedy litera A zniknęła na trybunie i miejsce dziewcząt zajęło trzydziestu muskularnych osiłków, Nat z ociąganiem usiadł z powrotem na swoim miejscu i udawał, że koncentruje się na grze.

- Czy mogę pożyczyć pana lornetkę? - zapytał Fletcher ojca Jimmy'ego w przerwie po pierwszej połowie.

- Oczywiście, drogi chłopcze - powiedział senator i podał mu ją. - Oddaj mi, jak gra zostanie wznowiona. - Fletcher nie zrozumiał aluzji, skupiając uwagę na dziewczynie z literą A na swetrze i gorąco pragnąc, aby częściej odwracała się twarzą w stronę kibiców przeciwnika.

- Która cię tak interesuje? - szeptał senator.

- Chciałem się tylko przyjrzeć Tafciarzom, proszę pana.

- Chyba jeszcze nie wrócili na boisko - zauważył senator. Fletcher się zaczerwienił. - Interesuje cię T, A, F czy T? - chciał wiedzieć ojciec

Jimmy'ego.

- A, proszę pana - przyznał Fletcher.

Senator wziął lornetkę z jego rąk, skierował ją na drugą dziewczynę od lewej i poczekał, aż się odwróci.

- Pochwalam twój wybór, chłopcze, ale co zamierzasz zrobić w tej sprawie?

- Nie wiem - odparł Fletcher bezradnie. - Mówiąc szczerze, nie mam nawet pojęcia, jak się nazywa.

- Diana Coulter - rzekł senator.

- Skąd pan wie? - zapytał Fletcher, ciekaw, czy senatorowie wiedzą wszystko.

- Z analizy dostępnych informacji, chłopcze. Jeszcze was tego nie uczyli w Hotchkissie? - Fletcher wyglądał na zaskoczonego. - Wszystko, co chciałbyś wiedzieć, znajdziesz na stronie jedenastej programu - dodał senator, podając mu otwartą książeczkę. Strona jedenasta poświęcona była cheerleaderkom wspierającym każdą ze szkół. - Diana Coulter - powtórzył Fletcher, wpatrując się - w fotografię. Była o rok młodsza od niego - kobiety przyznają się do swojego wieku, gdy mają trzynaście lat. Poza tym grała w szkolnej orkiestrze na skrzypcach. Żałował teraz, że nie posłuchał rady matki i nie uczył się grać na fortepianie.

Zdobywając z mozołem jard po jardzie, zespół Tafta w końcu przekroczył linię i objął prowadzenie. Zgodnie ze swoim zadaniem Diana pojawiła się na linii przyłożenia, aby wykonać przewidziane na tę okazję podskoki.

- Ciężka sprawa - powiedział Tom. - Chyba będę musiał was sobie przedstawić.

- Naprawdę ją znasz? - spytał Nat niedowierzająco.

- Oczywiście. Od drugiego roku życia chodzimy na te same imprezy.

- Ciekaw jestem, czy ma chłopaka.

- Skąd mam wiedzieć? Może byś przyjechał do nas na tydzień w wakacje, ja zajmę się resztą.

- Naprawdę zrobiłbyś to?

- Będzie cię to kosztować.

- Co masz na myśli?

- Zanim się u mnie zjawisz, postaraj się odrobić wypracowania, jakie nam zadali na wakacje, to nie będę musiał sprawdzać, czy mam wszystko dobrze.

- Umowa stoi! - powiedział Nat.

Gwizdek oznajmił rozpoczęcie trzeciej części meczu i po serii błyskotliwych podań tym razem drużyna Hotchkissa przebiła się do strefy końcowej, odzyskując prowadzenie, którego nie oddała do końca tej ćwiartki.

- Taft padł, Taft padł, dobrze mu tak - zanucił wesoło senator, fałszując, kiedy drużyny zażądały przerwy.

- Do końca pozostała jeszcze ostatnia część - przypomniał Fletcher senatorowi, kiedy ten podawał mu lornetkę.

- Czy zdecydowałeś się już, po której jesteś stronie, chłopcze? A może usidliła cię Mata Hari Tafciarzy? - Fletcher miał niepewną minę. Jak tylko wróci do swojego pokoju, musi sprawdzić, kto to taki Mata Hari. - Przypuszczalnie mieszka gdzieś tu w okolicy - ciągnął dalej senator - a w takim wypadku ktoś z mojego personelu w kilka minut znajdzie wszystkie interesujące cię informacje.

- Nawet jej adres i numer telefonu? - spytał Fletcher.
- Nawet to, czy ma chłopca - odpowiedział senator.
- Czy nie przekroczy pan w ten sposób swoich uprawnień? - spytał Fletcher.

- Niewątpliwie przekroczę - odparł senator Gates - ale w końcu zrobiłby to każdy polityk, gdyby miało mu to zapewnić dodatkowe dwa głosy w przyszłych wyborach.

- Ale jak poznam dziewczynę, skoro będę tkwił, w Farmington?

- To dałoby się załatwić, gdybyś przyjechał do nas na parę dni po świętach Bożego Narodzenia, a potem mógłbym dopilnować, żeby dziewczyna razem z rodzicami została zaproszona z jakiejś okazji na Kapitol.

- Zrobi pan to dla mnie?

- Oczywiście, ale kiedyś będziesz się musiał nauczyć, że w stosunkach z politykiem istnieje coś takiego jak wymiana przysług.

- Co to takiego? - spytał Fletcher. - Zrobię wszystko.

- Nigdy się do tego nie przyznawaj, bo osłabisz od razu swoją pozycję przetargową. W zamian chciałbym tylko, żebyś zadbał, by Jimmy nie był wciąż na ostatnim miejscu w klasie. O taką prośbę przysługę.

- Zgoda, panie senatorze - powiedział Fletcher, ściskając dłoń polityka.

- Cieszę się - rzekł senator - bo myślę, że dla Jimmy'ego jesteś wzorem do naśladowania.

Pierwszy raz ktoś napomknął, że Fletcher mógłby przewodzić. Do tej pory nie przyszło mu to do głowy. Rozmyślał nad słowami senatora i dlatego zwycięskie przyłożenie w wykonaniu zespołu Tafta dotarło do jego świadomości dopiero wtedy, gdy Diana - wybiegła na boisko i zaczęła wykonywać rytualne podskoki, co niestety wyglądało na świętowanie zwycięstwa. W tym roku nie będzie dodatkowego dnia wolnego.

Po drugiej stronie stadionu Nat i Tom stali przed szatniami w tłumie kibiców Tafta, którzy, z jednym wyjątkiem, czekali na swoich bohaterów. Nat szturchnął przyjaciela w zebro, kiedy ona wyszła z budynku. Tom podszedł do dziewczyny.

- Cześć, Diana - rzucił i nie czekając na reakcję, dodał: - Chciałbym ci przedstawić mojego przyjaciela, Nata. Strasznie mu zależało, żeby cię poznać. - Nat się zaczerwienił, i to nie dlatego, że Diana była jeszcze ładniejsza niż na zdjęciu. - On mieszka w Cromwell - dodał Tom, śpiesząc przyjacielowi z pomocą - ale przyjedzie do nas na parę dni po świętach, wtedy będziesz mogła go lepiej poznać.

Nat wiedział jedno: Tom z pewnością nie nadaje się na dyplomatę.

Nat siedział przy biurku i usiłował się skoncentrować na Wielkim Kryzysie. Przebrnął przez pół strony, ale myślami był gdzie indziej. W kółko wspominał krótkie spotkanie z Dianą. Nie było tego wiele, gdyż ledwo Diana zdążyła się odezwać, podszedł jego ojciec i powiedział, że powinni już wracać.

Nat wyciął zdjęcie dziewczyny, z programu meczu i zawsze nosił je przy sobie. Żałował, że nie zabrał co najmniej trzech programów, ponieważ małe zdjęcie szybko się pogniotło. Następnego ranka po meczu zadzwonił do Toma do domu, niby to w celu wymiany opinii o krachu na Wall Street, a potem rzucił od niechcenia:

- Czy kiedy odszedłem, Diana coś o mnie powiedziała?

- Wspomniała, że jesteś bardzo miły.

- Nic więcej?
- Co więcej mogła powiedzieć? Widzieliście się ledwie dwie minuty, kiedy ojciec cię zgarnął do domu.
- Podobałem się jej?
- Uznała, że jesteś bardzo miły, i jeśli dobrze pamiętam, wspomniała coś o Jamesie Deanie.
- Tak powiedziała? Żartujesz.
- Masz rację - nie powiedziała.
- Jesteś drań.
- Tak, ale drań, który ma pewien numeru telefonu.
- Masz numer jej telefonu? - spytał Nat z niedowierzaniem.
- Szybko kojarzysz.
- Daj mi go.
- Napisałeś już to wypracowanie o Wielkim Kryzysie?
- Niezupełnie, ale skończę do soboty. Poczekaj, wezmę coś do pisania. - Nat zanotował numer na odwrocie fotografii Diany. - Myślisz, że się zdziwi, kiedy do niej zadzwonię?
- Myślę, że się zdziwi, kiedy nie zadzwonisz.
- Cześć, tu Nat Cartwright. Chyba mnie nie pamiętasz.
- Nie, nie pamiętam. Z kim mówię?
- Poznałaś mnie po meczu z Hotchkissami. Uznałaś, że jestem podobny do Jamesa Deana.

Nat spojrział w lustro, nigdy przedtem nie zastanawiał się nad swoim wyglądem. Czy naprawdę jest podobny do Jamesa Deana?

Musiało minąć parę dni i potrzebował jeszcze kilku prób, zanim odważył się naprawdę wykręcić jej numer telefonu. Kiedy skończył pisać o Wielkim Kryzysie, przygotował listę pytań, które zada w zależności od tego, kto podniesie słuchawkę. Jeśli ojciec Diany, to powie: „Dzień dobry panu. Nazywam się Nat Cartwright. Czy mógłbym prosić pańską córkę?”. Jeśli matka: „Dzień dobry pani.

Nazywam się Nat Cartwright. Czy mógłbym rozmawiać z Dianą?”. Na wypadek gdyby odebrała Diana, przygotował sobie dziesięć pytań ułożonych w logicznym porządku. Rozłożył przed sobą na stole trzy kartki papieru, wziął głęboki oddech i starannie wybrał numer. Linia była zajęta. Może rozmawia z innym chłopakiem. Czy tamten trzymał ją już za rękę? Albo może nawet całował? Czy z nim chodzi? Po piętnastu minutach zatelefonował jeszcze raz. Wciąż zajęte. Jakiś inny konkurent do niej dzwoni- Tym razem odczekał tylko dziesięć minut. No wreszcie. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe i chciał rzucić słuchawkę. Spojrzął na listę pytań. Ktoś podniósł słuchawkę.

- Słucham - odezwał się niski głos. Nat nie miał wątpliwości, że to Dan Coulter.

Słuchawka wypadła mu z rąk na podłogę. Z bogami nie rozmawia się przez telefon, a zresztą nie miał przygotowanych pytań do brata Diany. Szybko podniósł słuchawkę z podłogi i odłożył na widelki.

Jeszcze raz przejrzał swoje wypracowanie, zanim czwarty raz wykręcił numer. Nareszcie usłyszał w słuchawce głos dziewczęcy.

- Diana?

- Nie, Tricia, jej siostra - odezwał się głos, który brzmiał jak głos osoby nieco starszej. - Diany nie ma w domu, ale powinna wrócić za jakąś godzinę. Mam jej powiedzieć, że kto dzwonił?

- Nat - odparł. - Proszę jej przekazać, że zadzwonię jeszcze raz za

godzinę.

- Proszę bardzo.

- Dziękuję - rzekł Nat i odłożył słuchawkę. Nie miał przygotowanych pytań dla starszej siostry.

W ciągu następnej godziny Nat spoglądał na zegarek chyba sześćdziesiąt razy, ale odczekał jeszcze kwadrans, zanim ponownie wykręcił numer. Przeczytał w magazynie dla nastolatków, że jeśli chłopcu spodoba się dziewczyna, nie powinien okazywać, że mu na niej bardzo zależy. To ją może zniechęcić. W końcu ktoś podniósł słuchawkę.

- Słucham - odezwał się młodszy głos.

- Cześć, czy mogę rozmawiać z Dianą? - rzekł Nat, spojrzawszy na scenariusz.

- Cześć, Nat. Tricia mówiła mi, że dzwoniłeś. Jak się masz?

„Jak się masz” nie było w scenariuszu, ale w końcu wydusił z siebie:

- W porządku. A ty?

- Ja też - powiedziała, po czym znowu nastąpiła cisza, a Nat szukał na swojej liście odpowiedniego zdania.

- W przyszłym tygodniu jadę do Simsbury, aby spędzić kilka dni z Tomem - odczytał drętym głosem.

- To świetnie - odparła Diana. - Jest szansa, że się gdzieś zderzymy. - W scenariuszu nie było nic o zderzeniu się. Próbował przebiec wzrokiem naraz wszystkie dziesięć pytań. - Jesteś tam jeszcze? - spytała Diana.

- Tak. Czy moglibyśmy się spotkać, kiedy będę w Simsbury? -

Pytanie numer dziewięć.

- Pewnie, bardzo chętnie.

- No to cześć - powiedział Nat, patrząc na odpowiedź numer dziesięć. Przez cały wieczór usiłował sobie przypomnieć szczegółowo całą rozmowę i nawet ją zapisał, kwestia po kwestii. Podkreślił trzykrotnie w słowa Diany - pewnie, bardzo chętnie. Ponieważ do odwiedzin u Toma dzieliły go jeszcze cztery dni, zastanawiał się, czy powinien jeszcze raz zadzwonić do Diany - na wszelki wypadek.

Zajrzał znów do magazynu „Teen”, bo tam znalazł rozwiązanie wszystkich wcześniejszych problemów. Nie wypatrzył tam jednak rady, jak przeprowadzić drugą rozmowę, natomiast dowiedział się, podczas pierwszej randki powinien być ubrany na sportowo, zachowywać się swobodnie i ciągle wspominać o swych poprzednich sympatiach. Nigdy nie chodził z żadną dziewczyną, a ze sportowej odzieży miał tylko koszulę flanelową, którą schował na dnie szuflady, gdy tylko ją kupił. Sprawdził, ile mu zostało pieniędzy z roznoszenia gazet - siedem dolarówi dwadzieścia centów - i zastanawiał się, czy starczy na nową koszulę i parę sportowych spodni.

Szkoda, że nie ma starszego brata.

Ostatecznie skończył swoje wypracowanie tuż przed wyruszeniem z ojcem do Simsbury.

Kiedy jechali samochodem na północ, Nat zadał sobie pytanie, dlaczego nie zadzwonił jeszcze raz do Diany i nie ustalił miejsca i czasu spotkania. Mogła gdzieś pojechać - zatrzymać się u koleżanki albo u kolegi. Czy rodzice Toma pozwolą mu zatelefonować, jak tylko do nich przyjedzie?

- O, Boże! - wyrwało się Natowi, kiedy samochód skręcił w długą alejkę przy padoku pełnym koni. Kiedy indziej ojciec by go skarcił za wzywanie imienia Pana Boga nadaremno, ale sam był pod wrażeniem. Przejechali co najmniej milę, zanim skręcili na wyspany żwirem dziedziniec, gdzie ich oczom ukazał się okazały dom z białymi kolumnami

w stylu kolonialnym, otoczony wiecznie zielonymi drzewami.

- O, Boże! - rzekł Nat drugi raz. Tym razem ojciec go zganił.

- Przepraszam, tato, ale Tom nigdy mi nie mówił, że mieszka w pałacu.

- Dlaczego miałby ci mówić? Dla niego to coś naturalnego. Zresztą on nie jest twoim najlepszym przyjacielem dlatego, że ma duży dom, a gdyby chciał ci nim zaimponować, dawno by o tym wspomniał. Czy wiesz, czym się zajmuje jego ojciec? Bo na pewno nie jest agentem ubezpieczeniowym.

- Chyba jest bankierem.

- Tom Russell. No tak, oczywiście. Bank Russella - skwitował ojciec, zatrzymując samochód przed domem.

Tom czekał na najwyższym stopniu. Zszedł, aby ich przywitać.

- Dzień dobry panu. Jak minęła podróż? - spytał, otwierając drzwi samochodu od strony kierowcy.

- Dziękuję, dobrze - odpowiedział Michael Cartwright, podczas gdy jego syn wysiadał z samochodu, ściskając małą, podniszczoną walizkę z monogramem M. C. obok zamka.

- Czy miałby pan ochotę wstąpić na chwilę?

- Bardzo dziękuję - odparł ojciec Nata - ale żona czeka na mnie z kolacją, więc muszę zaraz wracać.

Nat pomachał ojcu, który okrążył dziedziniec i wyruszył w drogę powrotną do Cromwell.

Nat podniósł wzrok i na najwyższym stopniu schodów ujrzał kamerdynera, który chciał wziąć jego walizkę, ale Nat trzymał ją kurczowo, gdy wspinałymi, szerokimi, kolistymi schodami prowadzono go na drugie piętro do pokoju gościnnego. W domu Nata był tylko jeden wolny pokój, który tutaj mógłby ujść jedynie za schowek na miotły. Gdy kamerdyner odszedł, Tom powiedział:

- Jak się rozpakujesz, zejdz na dół, to poznasz moją mamę.

Będziemy w kuchni.

Nat usiadł na brzegu jednego z dwóch pojedynczych łóżek, ze smutkiem uświadamiając sobie, że nigdy nie będzie mógł zaprosić Tornado siebie.

Rozpakowanie walizki zajęło mu trzy minuty, gdyż miał w niej tylko dwie koszule, jedną parę zapasowych spodni i krawat. Dość długo oglądał łazienkę. Następnie wypróbował łóżko; było takie sprężyste. Odczekał jeszcze kilka minut, a potem opuścił pokój i zastanawiając się, czy trafi do kuchni, zszedł szerokimi schodami na dół. Tam czekał na niego kamerdyner, który poprowadził go korytarzem. Nat zerkał ukradkiem w głąb mijanych pokoi.

- Cześć! - powiedział Tom. - Pasuje ci pokój?

- Tak, fajny - odrzekł Nat, wiedząc, że Tom pyta bez ironii.

- Mamo, to jest Nat. Najzdolniejszy chłopak w klasie, niech go lichy porwie.

- Tom, nie klnij - rzekła pani Russell. - Witaj, Nat, miło cię poznać.

- Dzień dobry pani, mnie też miło panią poznać. Ma pani piękny dom.

- Dziękuję, Nat. Bardzo się cieszymy, że mogłeś do nas przyjechać na parę dni. Masz ochotę na colę?

- Poproszę.

Służąca w fartuszkach podeszła do lodówki, wyjęła colę i podała mu,

wrzuciwszy przedtem do szklanki parę kostek lodu.

- Dziękuję - powiedział, patrząc na służącą, która wróciła do krojenia ziemniaków przy zlewie Pomyślał o swojej matce w Cromwell. Ona też kroila ziemniaki, tyle tylko że robiła to po całym dniu lekcji w szkole.

- Chcesz zobaczyć dom? - spytał Tom.

- Jasne - ucieszył się Nat - ale czy mógłbym przedtem zadzwonić?

- Nie musisz, Diana już dzwoniła.

- Naprawdę?

- Tak, dziś rano. Pytała, o której przyjedziesz. Błagała, abym ci nie mówił, możemy więc założyć, że jej zależy.

- Lepiej od razu oddzwonię.

- Nie, właśnie tego nie powinieneś robić - odparł Tom.

- Ale obiecałem jej, że zadzwonię.

- Wiem, ale najpierw pokażę ci posiadłość.

Kiedy Fletcher wysiadł z samochodu matki przed domem państwa Gatesów w East Hartford, Jimmy zszedł otworzyć drzwi.

- Tylko pamiętaj, żeby tytułować pana Gatesa senatorem.

- Tak, mam.

- I nie zamęczaj go pytaniami.

- Dobrze, mam.

- Nie zapominaj, że rozmowa z drugą osobą polega nie tylko na mówieniu, ale i na słuchaniu.

- Tak, mam.

- Dzień dobry pani. Jak się pani miewa? - zapytał Jimmy, stając w otwartych drzwiach.

- Dziękuję, dobrze. A ty?

- Dziękuję, doskonale. Niestety, rodzice wyszli na jakieś przyjęcie, ale może napiłaby się pani herbaty?

- Dziękuję, Jimmy, ale śpieszę się na posiedzenie do szpitala. Proszę, pozdrów ode mnie rodziców.

Jimmy zaniósł jedną z walizek Fletchera do wolnego pokoju.

- Ulokowałem cię obok siebie - oznajmił. - Co oznacza, że musimy korzystać z tej samej łazienki.

Fletcher położył swoją drugą walizkę na łóżku i zaczął oglądać wiszące na ścianach obrazki - były to reprodukcje przedstawiające wojnę secesyjną, na wypadek gdyby trafił tu ktoś z południa i nie pamiętał, kto zwyciężył. Ich widok przypomniał Jimmy'emu, żeby spytać Fletchera, czy skończył wypracowanie o Lincolnie.

- Tak, a czy ty zdobyłeś numer telefonu Diany?

- Nie tylko. Wyniuchałem, do której kawiarni często chodzi po południu. Moglibyśmy tam wpaść niby przypadkiem koło piątej, a jakby to nie wyszło, to mój tata zaprosił jej rodziców na przyjęcie do Kapitolu, które ma się odbyć jutro wieczorem.

- Ale mogą nie przyjść.

- Sprawdziłem na liście gości. Przyjęli zaproszenie.

Fletcher nagle sobie przypomniał o układzie, jaki zawarł z senatorem.

- Odrobiłeś zadania domowe? - zapytał.

- Jeszcze nawet nie zacząłem - przyznał Jimmy.

- Jimmy, jeśli nie zaliczysz następnego okresu, pan Haskins zawiesi cię w prawach ucznia, a wtedy nie będę ci mógł pomóc.

- Wiem. Ale wiadomo mi również o układzie, jaki zawarłeś z moim

ojcem.

- Właśnie. Jeśli mam go dotrzymać, musimy od jutra rana zabrać się do nauki. Zaczniemy od dwóch godzin, co dzień.

- Tak jest, wodzu. - Jimmy wyprężył się w pozycji na baczność. - Ale zanim zaczniemy martwić się o jutro, może byś się przebrał.

Fletcher zabrał z sobą sporo koszul i kilka par spodni, nie miał jednak pojęcia, jak się ubrać na pierwszą randkę. Chciał się poradzić przyjaciela, ale Jimmy powiedział:

- Jak się rozpakujesz, zejdź do nas do salonu, dobrze? Łazienka jest na końcu korytarza. - Fletcher przebrał się szybko w koszulę i spodnie które kupił poprzedniego dnia w miejscowym sklepie z odzieżą, poleconym przez ojca. Przejrzał się w lustrze. Nie wiedział, czy odpowiednio się prezentuje, gdyż nigdy przedtem nie zwracał uwagi na ubiór. Zachowuj się swobodnie, ubieraj się stylowo - przypomniały mu się słowa didżeja, pouczającego radiowych słuchaczy, ale co konkretnie miało to znaczyć- Pomyśli o tym później.

Kiedy schodził na dół, słyszał dobiegające z frontowego pokoju głosy, w tym jeden, którego nie znał.

- Mamo, pamiętasz Fletchera? - powiedział Jimmy, kiedy przyjaciel wszedł do pokoju.

- Oczywiście. Mój mąż wciąż wszystkim opowiada o waszej intrygującej rozmowie w czasie meczu futbolowego.

- Miło mi, że pamięta - rzekł Fletcher, nie patrząc na panią Gates.

- I wiem, że ucieszy się na twój widok.

- Miło mi - powtórzył Fletcher.

- A to Annie, moja siostrzyczka - powiedział Jimmy.

Annie zaczerwieniła się, i to nie tylko dlatego, że nie cierpiała, kiedy Jimmy nazywał ją zdrobniale siostrzyczką; jego przyjaciel, odkąd wszedł do pokoju, nie odrywał od niej wzroku.

- Witam. Miło mi państwa poznać, a to z pewnością państwa córka, Diana - powiedział senator. Coulterowie byli mile połączani, gdyż nigdy przedtem nie spotkali senatora, a nie dość, że ich syn wykonał zwycięskie przyłożenie w meczu przeciw Hotchkissowi, to jeszcze w dodatku należeli do Partii Republikańskiej. - Otóż Diana, mam tu kogoś, kto chciałby cię poznać. - Harry Gates rozejrzał się, szukając Fletchera, który jeszcze przed chwilą stał obok niego. - Zdziwi cię to, co powiem, ale nie możesz stąd wyjść, dopóki ci go nie przedstawię - oznajmił senator. - Bo inaczej nie dotrzymałbym umowy - dodał, nie wdając się w wyjaśnienia.

- Gdzie się ulotnił Fletcher? - zapytał syna Harry Gates, gdy państwo Coulterowie odeszli do innych gości.

- Jeśli zobaczysz gdzieś Annie, to on przy niej będzie; nie odstępuję jej na krok, odkąd przyjechał do Hartford. Chyba kupię mu smycz i zacznę na niego wołać Fletch.

- Naprawdę? - spytał senator. - Mam nadzieję, że nie myśli, że to zwalnia go z naszej umowy.

- Nie - powiedział Jimmy. - Dziś rano przerabialiśmy przez dwie godziny „Romea i Julię”. I zgadnij, tato, z kim on się utożsamia.

Senator się uśmiechnął.

- A która postać pasuje do ciebie?

- Chyba Merkucjo.

- Nie - sprostował Harry Gates - możesz być Merkucjem tylko wtedy, gdy Fletcher zacznie się uganiać za Dianą.

- Nie rozumiem.
- Spytaj Fletchera. On ci wytłumaczy.

Drzwi otworzyła Tricia. Miała na sobie strój do tenisa. - Czy zastałem Dianę? - zapytał Nat.

- Nie, poszła z rodzicami na przyjęcie na Kapitolu. Powinna wrócić za godzinę. A ja jestem Tricia, rozmawiałam z tobą przez telefon. Właśnie chciałam napić się coli. Masz ochotę?

- Czy twój brat jest w domu?
- Nie, poszedł na trening.
- Chętnie się napiję.

Tricia zaprowadziła Nata do kuchni i wskazała mu taboret po drugiej stronie stołu. Nat usiadł i nic nie mówił. Tricia otworzyła lodówkę, żeby wyjąć dwie cole. Kiedy się schyliła, zadarła się jej krótka spódniczka. Nat nie mógł oderwać oczu od jej białych tenisowych majteczek.

- Jak myślisz, o której wrócą? - spytał, kiedy wrzucała do jego napoju kostki lodu.

- Nie mam pojęcia, dlatego na razie jesteś skazany na mnie.

Nat powoli sączył napój, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, gdyż przypomniał sobie, że umówił się z Dianą na film „Zabić drozda”.

- Nie rozumiem, co ty w niej widzisz - dziwił się Jimmy.

- Ma wszystko to, czego brakuje tobie - wyjaśnił Fletcher z uśmiechem. - Jest inteligentna, śliczna, miło jest z nią przebywać i...

- Czy my mówimy o mojej siostrze?

- Tak i dlatego właśnie ty powinieneś nosić okulary.

- A propos, Diana Coulter zjawiała się właśnie z rodzicami. Tata chce wiedzieć, czy nadal chciałbyś ją poznać.

- Nie bardzo, spadła w mojej klasyfikacji z A do Z, więc nadaje się akurat dla ciebie.

- Bardzo dziękuję - powiedział Jimmy - nie interesują mnie okruchy z pańskiego stołu. Aha, wspomniałem tacie o „Romeo i Julii”, i powiedziałem mu, że widzę siebie w roli Merkucja

- Pod warunkiem że zacznę kręcić z siostrą Dana Coultera, ale mnie już nie interesuje córa tego rodu.

- Wciąż nie kapuję.

- Wyjaśnię ci to jutro rano - oznajmił Fletcher, kiedy ponownie zjawiała się siostra Jimmy’ego, niosąc dwie puszkę napoju doktora Peppera. Annie rzuciła Jimmy’emu kosę spojrzenia, toteż szybko się ulotnił.

Przez dłuższą chwilę milczeli, w końcu Annie zagadnęła:

- Czy chcesz, żebym ci pokazała Izbę Senacką?

- Tak, fajnie - odpowiedział Fletcher. Annie skierowała się ku drzwiom, a Fletcher poszedł za nią.

- Czy zauważyłaś to, co ja? - Harry Gates spytał żonę, kiedy Fletcher i Annie wyszli z sali.

- Oczywiście - odparta Martha Gates - ale nie przejmowałabym się tym specjalnie, bo nie sądzę, aby potrafili się wzajemnie uwieść.

- Jednak ja w tym wieku próbowałem, o czym na pewno dobrze pamiętasz.

- Zachowujesz się jak typowy polityk. Jeszcze jedną historię, którą sobie upiększyłeś, bo jeśli dobrze pamiętam, to ja ciebie uwiodłam.

Nat sączył colę, kiedy poczuł rękę na udzie. Zaczerwienił się, ale nie zrobił ruchu, aby ją zrzucić. Tricia posłała mu uśmiech ponad stołem.

- Jak chcesz, możesz dotknąć mojej nogi. - Nat pomyślał, że uzna go

za źle wychowanego, jeśli tego nie zrobi, wyciągnął więc rękę pod stołem i położył ją Tricii na udzie. - W porządku - rzuciła, pociągnawszy łyk coli - to już miłsze zachowanie. - Nat nie protestował, kiedy jej ręka powędrowała w górę jego świeżo wyprasowanych spodni. - Po prostu idź za moim przykładem, - Przesunął dłoń w górę jej uda, ale zatrzymał się, gdy wyczuł rąbek spódniczki. Ręka Tricii znieruchomiała dopiero wtedy, gdy dotarła do jego pachwiny.

- Nie nadążasz za mną. - Tricia zaczęła odpinać górny guzik jego spodni. - Pod spódnicą, nie po wierzchu - dodała głosem, w którym nie było cienia kpiny. Wsunął rękę pod jej spódniczkę, tymczasem Tricia rozpiniała kolejne guziki. Zawahał się znowu, kiedy jego palce dotknęły majtek. Nie przypominał sobie, aby magazyn dla nastolatków podawał jakies wskazówki, co należy robić dalej.

- To jest Izba Senacka - powiedziała Annie, kiedy z galerii spoglądali w dół na stojące w półkolu fotele obite niebieską skórą.

- Robi wrażenie.

- Tata mówi, że kiedyś tu trafisz, a może jeszcze wyżej. - Fletcher nie zareagował na te słowa, gdyż nie miał pojęcia, jakie egzaminy trzeba zdać, żeby zostać politykiem. - Słyszałam, jak mówił do mamy, że nie spotkał jeszcze nigdy tak bystrego chłopca - ciągnęła Annie.

- Ale słyszałaś, co się mówi o politykach - zauważył Fletcher.

- Tak, ale ja zawsze wiem, kiedy tata nie mówi tego, co myśli, bo się wtedy uśmiecha, a tym razem się nie uśmiechał.

- Gdzie siedzi twój ojciec? - zapytał, aby zmienić temat.

- Jako przywódca większości zajmuje trzecie miejsce po lewej stronie w pierwszym rzędzie - wyjaśniła, wskazując ręką w dół. - Ale chyba nie powinnam więcej ci o tym opowiadać, bo wiem, że sam z przyjemnością oprowadzi cię po Kapitolu. - Fletcher poczuł na ręce dotyk jej dłoni.

- Przepraszam - powiedział i szybko odsunął rękę myśląc, że to był przypadek.

- Głuptas. - Ujęła znów jego rękę i tym razem nie zamierzała jej wypuścić.

- Nie uważasz, że powinniśmy wrócić do reszty towarzystwa? - spytał Fletcher. - Inaczej zaczną się zastanawiać, gdzie się podziewamy.

- Na pewno - przytaknęła Annie, ale nie ruszyła się z miejsca. -

Słuchaj, czy całowałeś się kiedyś z dziewczyną? - spytała cicho.

- Nie, nigdy - przyznał, czerwieniąc się po uszy.

- A chciałbyś?...

- Tak - odpowiedział.

- Pocałowałbyś się ze mną?

Skinął głową, odwrócił się ku Annie i zobaczył, że przymknęła oczy i zacisnęła wargi. Rozejrzał się, by sprawdzić, czy wszystkie drzwi są zamknięte, po czym pochylił się ku niej i pocałował ją lekko w usta. Otworzyła oczy.

- Wiesz, co to jest pocałunek z języczkiem? - spytała.

- Nie - odparł Fletcher.

- Ja też nie wiem - przyznała Annie. - Powiesz mi, jak się dowiesz?

- Tak - zapewnił ją.

Księga Druga

Exodus

- Będziesz kandydował na przewodniczącego samorządu szkolnego?

- zapytał Jimmy.

- Jeszcze się nie zdecydowałem - odpowiedział Fletcher.

- Wszyscy myślą, że tak.

- Niestety.

- Mój ojciec chciałby, żebyś startował.

- A moja mama nie - odparł Fletcher.

- Dlaczego?

- Uważa, że w ostatnim roku nauki powinienem skoncentrować się na tym, żeby się dostać do Yale.

- Ale jeśli zostaniesz przewodniczącym samorządu, to zwiększy twoje szansę. Za to ja będę się musiał porządnie przyłożyć.

- Jestem pewien, że twój ojciec może liczyć na przychylność paru egzaminatorów - powiedział Fletcher i uśmiechnął się.

- Co Annie o tym myśli? - spytał Jimmy, ignorując tę uwagę.

- Uzna za słuszne wszystko, co postanowię.

- Może więc ja powinienem odegrać rolę decydującego czynnika?

- Co chcesz przez to powiedzieć- Jeśli chcesz zwyciężyć, musisz mianować mnie szefem swojej kampanii wyborczej.

- To z pewnością zmniejszy moje szansę - odrzekł Fletcher. Jimmy porwał poduszkę leżącą na sofie i rzucił nią w przyjaciela. - Jeśli chcesz mi zapewnić zwycięstwo - dodał Fletcher, łapiąc poduszkę - to powinienś zaoferować swoje usługi mojemu najgroźniejszemu rywalowi.

Walkę przerwano, kiedy do pokoju wszedł ojciec Jimmy'ego.

- Fletcher, mógłbyś mi poświęcić chwilę?

- Oczywiście, panie senatorze.

- Może porozmawiamy w moim gabinecie. - Chłopiec szybko się podniósł i wyszedł z pokoju za senatorem. Obejrzał się na Jimmy'ego, ale przyjaciel wzruszył tylko ramionami. Zastanawiał się, czy przypadkiem nie zrobił czegoś niestosownego.

- Usiądź, proszę - powiedział Harry Gates, zajmując miejsce za biurkiem. Po czym dodał: - Chciałbym cię o coś poprosić.

- Czego tylko pan sobie życzy. Nigdy nie zdołam się panu odplacić za wszystko, co pan dla mnie zrobił.

- Naszą umowę wypełniłeś z naddatkiem - oznajmił senator. - Przez ostatnie trzy lata Jimmy zdołał jakoś się utrzymać w czołówce klasy, ale gdybyś go stale nie pilnował, nie miałby cienia szansy.

- Miło mi to słyszeć, ale...

- To tylko prawda, teraz jednak najbardziej zależy mi na tym, aby Jimmy zapewnił sobie wstęp do Yale.

- Ale jak ja mogę pomóc, skoro sam nie jestem pewny, czy się tam dostanę?

Senator pomiął milczeniem tę uwagę.

- Trzeba będzie zastosować fortel z dziedziny polityki, drogi chłopcze.

- Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, panie senatorze.

- Jeśli zostaniesz przewodniczącym samorządu szkolnego, a jestem tego pewien, to w pierwszej kolejności będziesz musiał mianować swojego zastępcę. - Fletcher potaknął. - A to mogłoby przechylić szalę na stronę Jimmy'ego, kiedy komisja kwalifikacyjna w Yale będzie się zastanawiać, komu przyznać kilka ostatnich miejsc.

- Jeśli chodzi o moją decyzję, to już ją przechyliło, panie senatorze.

- Dziękuję, Fletcher, będę ci wdzięczny, ale proszę, nie wspominaj Jimmy'emu, o czym rozmawialiśmy.

Kiedy Fletcher obudził się następnego dnia rano, poszedł do sąsiedniego pokoju i usiadł na brzegu łóżka Jimmy'ego.

- Interesuje mnie tylko dobra wiadomość - zastrzegł Jimmy - bo właśnie śniła mi się Daisy Hollingsworth.

- Możesz sobie dalej śnić - powiedział Fletcher. - W niej się kocha pół drużyny futbolowej.

- To po co mnie obudziłeś?

- Postanowiłem kandydować na przewodniczącego i co mi po takim szefie kampanii wyborczej, który się wyleguje do południa.

- Czy mój ojciec to powiedział?

- Pośrednio - przyznał Fletcher, po czym zapytał: - Kto według ciebie będzie moim głównym rywalem?

- Steve Rodgers - odparł Jimmy bez wahania.

- Dlaczego on?

- Bo to typ rozrabiaki, więc wystawią go jako popularnego sportowca przeciwko ascetycznemu naukowcowi. Rozumiesz, Kennedy przeciwko Stevensonowi.

- Nie miałem pojęcia, że wiesz, co znaczy „ascetyczny”.

- Dość żartów, Fletcher - rzekł Jimmy, wstając z łóżka. - Jeśli chcesz pokonać Rodgersa, musisz być przygotowany na ich wszelkie zagrywki. Myślę, że powinniśmy zacząć od spotkania przy śniadaniu z moim tatą. On zawsze odbywa takie spotkania, zanim rozpocznie kampanię.

- Czy ktoś zechce stanąć z tobą do walki? - spytała Diana Coulter.

- Nikt, kogo nie mógłbym pokonać.

- A Nat Cartwright?

- Nie ma szans, dopóki powszechnie wiadomo, że jest faworytem dyrektora i jeśli zostanie wybrany, to będzie spełniał jego życzenia; tak w każdym razie opowiadają na lewo i prawo moi zwolennicy.

- I nie zapominajmy, jak potraktował moją siostrę.

- Myślałem, że to ty go puściłaś kantem. Nawet nie wiedziałem, że on zna Tricię.

- Nie znał jej, ale to mu nie przeszkodziło się do niej dobierać, kiedy przyszedł do nas, żeby się ze mną zobaczyć.

- Czy jeszcze ktoś o tym wie?

- Tak, mój brat Dan. Nakrył go w kuchni z łapą pod jej spódnicą.

Tricia potem się żaliła, że nie mogła się od niego opędzić.

- Naprawdę? - Chwilę milczał, po czym zapytał: - Czy myślisz, że twój brat zgodziłby się poprzeć moją kandydaturę?

- Tak, ale niewiele może dla ciebie zrobić, skoro jest w Princeton.

- Może, pewnie, że tak - powiedział Elliot. - Na początek...

- Kto jest moim głównym rywalem? - spytał Nat.

- Ralph Elliot, któż by inny - odparł Tom. - Przygotowuje swoją kampanię od początku tamtego okresu.

- Ale to jest niezgodne z regulaminem.

- Ralph nigdy się nie przejmował regulaminem, poza tym wie, że jesteś o wiele bardziej popularny niż on, możemy się więc spodziewać nieuczciwej kampanii.

- Ja tą drogą nie pójdę...

- No to będziemy musieli zastosować metodę Kennedy'ego.

- Co masz na myśli?

- Powinieneś rozpocząć kampanię od zaproszenia Elliota do publicznej debaty.

- Nigdy się na to nie zgodzi.

- Wtedy wygrasz tak czy owak. Jeśli przyjmie wyzwanie, roznieś go. Jeśli odmówi, wszyscy zobaczą, że stchórzył.

- Jak byś to rozegrał?

- Wyślij mu list, a ja powieszę kopię na tablicy ogłoszeń.

- Nie wolno tego robić bez zgody dyrektora.

- Zanim to zdejną, większość ludzi zdąży przeczytać list, a ci, którzy nie zdążą, będą chcieli wiedzieć, co tam było.

- A nim to nastąpi, ja zostanę zdyskwalifikowany.

- Nie, jeśli dyrektor uzna, że Elliot mógłby wygrać.

- Pierwszą swoją kampanię przegrałem - powiedział senator Gates, kiedy Fletcher poinformował go o swoim zamiarze. - Uważajmy więc, żebyś nie popełnił tych samych błędów co ja. Przede wszystkim, kto jest szefem twojej kampanii?

- Oczywiście, Jimmy.

- Żadne „oczywiście”, wybierz tylko kogoś, kto twoim zdaniem potrafi to robić, wcale nie musi to być najbliższy przyjaciel.

- Jestem przekonany, że Jimmy się nadaje - powiedział Fletcher.

- No dobrze. A ty, Jimmy, nie na wiele się przydasz kandydatowi - Fletcher po raz pierwszy pomyślał o sobie jako o kandydacie - jeśli nie będziesz mu zawsze mówił szczerze i otwarcie całą prawdę, chociażby nie milej. - Jimmy skinął głową. - Kto jest twoim głównym rywalem? - zapytał senator.

- Steve Rodgers.

- Co o nim wiemy?

- Dostępnym chłopak, choć niezbyt bystry - powiedział Jimmy.

- Za to przystojny - wtrącił Fletcher.

- I ma na koncie kilka zwycięskich przyłożeń w ubiegłym sezonie, jeśli dobrze pamiętam - dodał senator. - Teraz, gdy wiemy, kto jest przeciwnikiem, zajmijmy się zwolennikami. Przede wszystkim musicie stworzyć zespół najbliższych współpracowników - sześć, najwyżej osiem osób. Muszą się odznaczać tylko dwoma cechami: energią i lojalnością, a jak będą też mieli trochę oleju w głowie, tym lepiej. Jak długo ma trwać kampania?

- Trochę ponad tydzień. Szkoła zaczyna się w poniedziałek o dziewiątej rano, a głosowanie odbędzie się we wtorek rano następnego tygodnia.

- Nie myślcie w kategoriach tygodni, lecz godzin, bo liczyć się będzie każda - pouczył ich senator. - Będziecie ich mieć sto dziewięćdziesiąt dwie.

Jimmy zaczął notować.

- Kto jest uprawniony do głosowania? - zadał następne pytanie senator.

- Wszyscy uczniowie.

- Pamiętajcie więc, aby chłopcom z niższych klas poświęcić nie mniej czasu niż rówieśnikom. Pochlebi im, że zwróciliście na nich uwagę. A ty, Jimmy, postaraj się o aktualną listę wszystkich głosujących, tak żebyś do dnia wyborów z każdym nawiązał kontakt. I pamiętaj, że chłopcy z pierwszych klas będą zawsze głosować na tego, kto z nimi rozmawiał ostatni.

- W szkole jest trzystu osiemdziesięciu uczniów - powiedział Jimmy, rozkładając na podłodze duży arkusz papieru. - Tych, których znamy,

oznaczyłem czerwonym kolorem, tych, którzy na pewno zagłosują na Fletchera - niebieskim, pierwszoklasistów - żółtym, a resztę pozostawiłem bez oznaczenia.

- Jeśli masz jakiegokolwiek wątpliwości - powiedział senator - zostaw bez oznaczenia, no i pamiętaj o młodszych braciach.

- Młodszych braciach? - zdziwił się Fletcher.

- Oznaczyłem ich kolorem zielonym - wyjaśniał Jimmy. - Każdy młodszy brat naszego zwolennika, który jest w niższej klasie, otrzyma funkcję przedstawiciela. Będzie zdobywał dla nas poparcie w swojej klasie i przekazywał informacje braciom.

Fletcher spoglądał z podziwem na arkusz papieru.

- Nie jestem pewny - rzekł - czy to nie ty powinienesz kandydować. Jesteś do tego stworzony.

- Nie, ja jestem urodzonym szefem kampanii - odparł Jimmy. - To ty powinienesz zostać przewodniczącym.

Chociaż senator zgadzał się z oceną syna, nie wyraził żadnej opinii.

Pierwszego dnia nowego okresu szkolnego o wpół do siódmej rano Nat i Tom stali na parkingu. Najpierw wjechał przez bramę samochód dyrektora szkoły.

- Dzień dobry, Cartwright - mruknął dyrektor, wysiadając z samochodu. - Sądząc po twojej niezwykłej energii o tej wczesnej porze, wnoszę, że startujesz w wyborach.

- Tak, panie dyrektorze.

- Świetnie. A kto jest twoim głównym rywalem?

- Ralph Elliot.

Dyrektor spochmurniał.

- Zatem to będzie ostra walka, bo Elliot łatwo się nie podda.

- To prawda, panie dyrektorze - przyznał Tom. Dyrektor podążył w stronę swojego gabinetu, a oni musieli witać kolejnych przybyszów.

Pasażerem następnego samochodu okazał się wystraszony uczeń pierwszej klasy, który uciekł, kiedy tylko Nat próbował do niego podejść. Co gorsza, w trzecim samochodzie siedziała grupa zwolenników Elliota, którzy szybko rozpierzchli się po parkingu, najwyraźniej już przeszkoleni.

- Cholera - powiedział Tom - pierwsze zebranie naszego zespołu zaplanowane jest dopiero w przerwie o dziesiątej. Najwyraźniej Elliot przekazał instrukcje swoim ludziom w czasie wakacji.

- Nie martw się - pocieszał go Nat - po prostu łap naszych, jak tylko wysiądą z samochodu, i każ im natychmiast brać się do roboty.

Zanim ostatni pasażerowie wysiedli z ostatniego samochodu, Nat zdążył odpowiedzieć na prawie sto pytań i uściśnąć ręce ponad trzystu chłopców, ale jedno było już dla niego jasne. W zamian za głos Elliot obiecywał spełnić każde życzenie.

- Czy nie powinniśmy ludziom uświadomić, jaka z niego kanalia?

- Co masz na myśli? - spytał Nat.

- Wyłudza od pierwszorocznych ich kieszonkowe.

- Nie było na to nigdy dowodów.

- Tylko nieustanne skargi.

- Jeśli jest ich tak dużo, to głosujący będą wiedzieć, gdzie postawić krzyżyk, prawda? - powiedział Nat - Zresztą ja nie chcę prowadzić tego rodzaju kampanii - dodał. - Wolę wierzyć, że ludzie potrafią sami zdecydować, któremu z nas można zaufać.

- Bardzo oryginalna myśl - zauważył Tom.

- W każdym razie dyrektor nie kryje się z tym, że nie chciałby, żeby Elliot został przewodniczącym - rzekł Nat.

- Uważam, że nie powinniśmy nikomu o tym wspominać - zauważył Tom. - Mogłoby to przysporzyć Elliotowi trochę głosów.

- Jak według ciebie idą sprawy? - spytał Fletcher, kiedy przechadzali się wokół stawu.

- Nie jestem pewien - odparł Jimmy. - Wielu z wyższych klas mówi obu stronom, że oddadzą głos na ich kandydata, bo po prostu chcą, aby wyszło, że poparli zwycięzcę. Ciesz się, że głosowanie nie odbywa się w sobotni wieczór - dodał.

- Dlaczego?

- Bo w sobotnie popołudnie gramy przeciw Kent i jeśli Steve Rodgers zaliczy zwycięskie przyłożenie, będziemy mogli pożegnać się z nadzieją na wygraną. Wielka szkoda, że to mecz na własnym boisku. Gdybyś urodził się rok wcześniej lub później, byłby to mecz na wyjeździe i jego wynik nie miałby znaczenia. Ale skoro jest tak, a nie inaczej, wszyscy głosujący będą oglądać spotkanie.

Módlmy się więc o przegraną albo żeby Rodgers kiepsko wypadł.

O drugiej w sobotę Fletcher siedział na trybunie przygotowany na cztery kwadransy, które złożą się na najdłuższą godzinę w jego życiu. Ale nawet on nie mógł przewidzieć, jak to się skończy.

- A niech go, jak mu się to udało - jęknął Nat.

- Moim zdaniem nie obeszło się bez łapówki - powiedział Tom. - Musiał kogoś przekupić. Elliot gra nieźle, ale nie tak dobrze, żeby wejść do reprezentacji szkoły.

- Myślisz, że zaryzykują i wypuszczą go na boisko?

- Dlaczego nie? St. George często wystawia słabą drużynę, dlatego mogą go wypuścić na boisko na kilka minut, jeśli będą pewni, że nie wpłynie to na wynik. A wtedy Elliot przez resztę meczu będzie biegał tam i z powrotem wzdłuż linii bocznej, machając do wyborców, a my będziemy mogli tylko się temu przyglądać z trybuny.

- Musimy wobec tego dopilnować, żeby wszyscy nasi ludzie zajęli stanowiska na zewnątrz stadionu na parę minut przed końcem meczu i nie wolno dopuścić, żeby ktokolwiek zobaczył nasze obnośne plakaty przed niedzielnym popołudniem. Wtedy Elliot nie będzie miał dość czasu, aby przygotować własne.

- Szybko się uczysz - pochwalił Tom.

- Z takim przeciwnikiem jak Elliot człowiek nie ma wyboru.

- Nie wiem, jak to wpłynie na głosowanie - powiedział Jimmy, kiedy biegli we dwóch do wyjścia, żeby się przyłączyć do zespołu. - Przynajmniej Steve Rodgers nie będzie mógł uściskać ręki wszystkim opuszczającym stadion.

- Ciekawe, ile czasu spędzi w szpitalu - rzekł Fletcher.

- Wystarczą nam trzy dni - zapewnił Jimmy. Fletcher się roześmiał i z zadowoleniem stwierdził, że jego zespół zdążył już zająć pozycje. Kilku chłopców podeszło, by mu oznajmić, że będą na niego głosować. Ale wciąż czuł, że nie ma zwycięstwa w kieszeni. Nie ruszył się ani na chwilę z miejsca tuż przy głównym wyjściu i cały czas ścisnął ręce chłopcom powyżej czternastu i poniżej dziesiętnastu lat, w tym, jak podejrzewał, kilku kibicom z drużyny gości. Obaj przyjaciele trwali na stanowiskach do momentu, gdy na stadionie zostali już tylko ludzie z obsługi.

Kiedy wracali do swoich pokoi, Jimmy przyznał, że nikt nie mógł

przewidzieć, iż mecz zakończy się remisem, ani tego, że Rodgers znajdzie się w drodze do szpitala jeszcze przed końcem pierwszej części.

- Gdyby głosowanie odbyło się dzisiaj, wygrałby na fali współczucia. Jeśli się nie pokaże do dziewiątej rano we wtorek, ty zostaniesz przewodniczącym.

- Czy nie liczą się kwalifikacje konieczne do sprawowania funkcji?

- Oczywiście, że nie, głupku - powiedział Jimmy. - To jest polityka.

Kiedy Nat przyszedł na mecz, jego plakaty widoczne były wszędzie, a zwolennicy Elliota mogli tylko krzyczeć, że to nieczyste zagranie. Nat i Tom z trudem powstrzymywali uśmiechy, zajmując miejsca na otwartej trybunie. Uśmiechali się jeszcze szerzej, kiedy drużyna szkoły St. George zdobyła punkty już na samym początku pierwszej ćwiartki. Nat nie chciał, żeby drużyna Tafta przegrała, ale żaden trener nie zaryzykowałby wysłania Elliota na boisko w sytuacji, kiedy zespół St. George objął prowadzenie. A sytuacja ta nie uległa zmianie aż do końcówki ostatniej ćwiartki.

Nat wymieniał uściski rąk ze wszystkimi opuszczającymi stadion, ale wiedział, że odniesione w ostatniej minucie zwycięstwo Tafta nad St. George nie przysłużyło się jego sprawie, nawet jeśli Elliot nie miał okazji się wykazać, tylko biegał tam i z powrotem wzdłuż linii bocznej do chwili, gdy ostatnia osoba opuściła trybunę.

- Ciesz się, że nie pozwolili mu zagrać - powiedział Tom.

Fletcherowi powierzono odczytanie lekcji na nabożeństwie w kaplicy w niedzielę rano, dając w ten sposób wszystkim do zrozumienia, na kogo oddałby głos dyrektor. Podczas lunchu kandydat odwiedził razem z Jimmym wszystkie dormitoria, żeby spytać chłopców, co myślą o szkolnym wyżywieniu.

- To pytanie niewątpliwie pomaga zdobywać głosy - zapewnił ich senator - nawet jeśli nic w tej sprawie nie możecie zrobić. - Wieczorem poszli spać wykończeni. Jimmy nastawił budzik na wpół do szóstej. Fletcher tylko jęknął.

- Mistrzowskie zagranie - powiedział Jimmy, gdy następnego dnia rano stali przed aulą, czekając, aż chłopcy się rozejdą do swoich klas.

- Kapitalne - przyznał Fletcher.

- Niestety, tak - przytaknął Jimmy. - Ale zapewniam cię, że w podobnej sytuacji doradziłbym ci dokładnie to samo.

Patrzyli na Steve'a Rodgersa, który wspierając się na kulach, stał przy wejściu do auli, pozwalając, aby chłopcy składali podpisy na gipsie, w którym tkwiła jego noga.

- Mistrzowskie zagranie - powtórzył Jimmy. - Nadaje nowy sens idei zjednywania wyborców na fali współczucia. Może powinniśmy zapytać ludzi: czy chcecie mieć kalekę za prezydenta?

- Jeden z największych prezydentów w historii tego kraju był kaleką - przypomniał Fletcher swojemu szefowi kampanii wyborczej.

- Wobec tego możesz zrobić tylko jedno - powiedział Jimmy. - Spędzić następną dobę na wózku inwalidzkim.

W ostatnim tygodniu przed wyborami ludzie Nata starali się rozsiewać wokół siebie aurę pewności zwycięstwa, choć dobrze wiedzieli, że na to za wcześnie. Do momentu kiedy w poniedziałkowy wieczór zegar szkolny wybił godzinę szóstą, uśmiech nie schodził z twarzy żadnego z kandydatów.

- Chodźmy do mojego pokoju - zaproponował Tom - i pogadajmy o tym, jak tracili głowy królowie.

- Niewesołe to będą historie - przyznał Nat.

W oczekiwaniu na wynik wyborów cały zespół prowadzący kampanię stłoczył się w pokoju Toma, wymieniając się anegdotami na temat ról, jakie poszczególni członkowie odegrali w kampanii, i śmiejąc się z dowcipów, które wcale nie były śmieszne.

Żywiłowy nastrój przerwało głośne pukanie do drzwi.

- Proszę! - zawołał Tom...

Wszyscy zerwali się, kiedy zobaczyli, kto stanął w drzwiach.

- Dobry wieczór panu - powiedział Nat.

- Dobry wieczór, chłopcy - odpowiedział urzędowym tonem pan Anderson, odpowiedzialny w szkole za sprawy dyscypliny. - Jako przewodniczący komisji wyborczej muszę was poinformować, że z powodu minimalnej różnicy w wynikach uzyskanych przez kandydatów wystąpiłem o ponowne przeliczenie głosów. Zgromadzenie zostaje w związku z tym przesunięte na godzinę ósmą.

- Dziękuję panu - wybąkał Nat.

Z wybiciem godziny ósmej wszyscy chłopcy siedzieli już na swoich miejscach. Kiedy pan Anderson wszedł do auli, uczniowie przepisowo powstali. Nat próbował odczytać wynik wyborów z jego twarzy, ale nawet Japończycy doceniliby umiejętność pana Andersona zachowania kamiennego oblicza.

Przewodniczący komisji wyborczej skierował się ku środkowi sceny i poprosił zebranych, aby usiedli. Zapadła cisza, rzecz rzadko spotykana na normalnych zgromadzeniach.

- Muszę was poinformować - zaczął pan Anderson - że jeszcze nigdy w siedemdziesięcioletniej historii szkoły różnica w wynikach głosowania nie była tak nikła. - Nat starał się zachować spokój, ale czuł, jak pocą mir się dłonie. - W głosowaniu na przewodniczącego samorządu szkolnego Nat Cartwright uzyskał sto siedemdziesiąt osiem głosów, Ralph Elliot sto osiemdziesiąt jeden.

Połowa sali podskoczyła radośnie, podczas gdy druga połowa pozostała na miejscach, w milczeniu. Nat wstał, podszedł do Elliota i wyciągnął do niego rękę.

Nowy przewodniczący samorządu szkolnego zignorował ten gest.

Choć wszyscy wiedzieli, że wynik zostanie ogłoszony dopiero o dziewiątej, aula była wypełniona po brzegi na długo, zanim wkroczył dyrektor szkoły.

Fletcher siedział w ostatnim rzędzie, ze spuszczoną głową, a Jimmy patrzył prosto przed siebie.

- Trzeba było wstawać wcześniej - powiedział Fletcher.

- A ja powinienem ci złamać nogę - rzekł Jimmy.

Dyrektor, w towarzystwie kapelana, przemaszerował uroczystym krokiem przejściem między rzędami, jakby chciał pokazać, że sam Pan Bóg był zaangażowany w wybór przewodniczącego samorządu szkolnego u Hotchkissa. Dyrektor stanął na środku podium i odchrząknął.

- Wynik wyborów na przewodniczącego samorządu szkolnego przedstawia się następująco - oznajmił pan Fleming. - Fletcher Davenport - dwieście siedem głosów, Steve Rodgers - sto siedemdziesiąt trzy głosy. Przewodniczącym zostaje Fletcher Davenport.

Fletcher natychmiast podszedł do swojego rywala i podał mu rękę. Steve uśmiechnął się przyjaźnie z taką miną, jakby wręcz odczuł ulgę. Fletcher się odwrócił i zobaczył Harry'ego Gatesa, który stał przy drzwiach.

Senator skinął z uznaniem głową nowo wybranemu przewodniczącemu.

- Pierwsze zwycięstwo w wyborach pamięta się do końca życia - powiedział tylko.

Żaden z nich nie zwracał uwagi na Jimmy'ego, który wciąż podskakiwał, nie mogąc opanować radości.

- Sądzę, że zna pan mojego zastępcę, panie senatorze - rzekł Fletcher.

Matka Nata była jedną z niewielu osób, które nie okazywały rozczarowania jego przegraną w wyborach. Uważała, że będzie miał więcej czasu na naukę. Ale gdyby Susan Cartwright wiedziała, ile godzin dziennie Nathaniel pracuje, przestałaby się tym martwić.

Nawet Tomowi z trudem udawało się oderwać go od książek na dłużej niż kilka minut, jeśli nie chodziło akurat o codzienny pięciomilowy bieg. Nawet kiedy Nat pobił rekord szkoły w biegu przełajowym, dał sobie zaledwie parę godzin na uczczenie tego wydarzenia.

Czy w święta Bożego Narodzenia, czy w Nowy Rok, Nat tkwił w swoim pokoju z głową w książkach. Matką miała nadzieję, że kiedy syn pojedzie na długi weekend do domu Toma w Simsbury, naprawdę odpocznie od nauki. Tak się właśnie stało. Nat zmniejszył dzienną normę do dwóch godzin rano i dwóch po południu. Tom był wdzięczny przyjacielowi, że narzucił mu ten sam tryb, choć nie chciał mu towarzyszyć w codziennym biegu. Nata bawiło, że mógł przebiec pięć mil i nie opuścić posiadłości Toma.

- Od jednej z licznych wielbicielek? - spytał Nat rano przy śniadaniu, kiedy przyjaciel otworzył list.

- Niestety, nie - odpowiedział Tom. - Od pana Thompsona, który pyta, czy chciałbym zagrać w „Wieczorne Trzech Króli”.

- A chciałbyś?

- Nie. To bardziej twoja dziedzina niż moja. Jestem z natury raczej producentem niż wykonawcą.

- Zgłosiłbym się do jakiejś roli, gdybym miał pewność, że zostanę przyjęty do Yale, ale jeszcze nawet nie skończyłem pisać samodzielnej pracy kwalifikacyjnej.

- A ja swojej nawet nie zacząłem - przyznał Tom.

- Który z pięciu tematów wybrałeś? - spytał Nat.

- Panowanie nad rejonem dolnego biegu Missisipi w czasie wojny secesyjnej - odpowiedział Tom. - A ty?

- Clarence Darrow i jego wpływ na ruch związkowy.

- Też brałem pod uwagę Darrowa, ale bałem się, że nie wyduszę z siebie pięciu tysięcy słów na ten temat. Ty z pewnością napisałeś już z dziesięć tysięcy.

- Nie, ale prawie skończyłem pierwszą wersję i przed powrotem do szkoły w styczniu powinienem mieć gotową wersję ostateczną.

- Termin pracy przypada dopiero na luty. Powinieneś się jednak zastanowić nad udziałem w szkolnym przedstawieniu. Albo co najmniej w przesłuchaniu. Przecież to nie musi być główna rola.

Nat myślał o radzie przyjaciela, smarując masłem grzanekę. Tom miał oczywiście rację, ale Nat czuł, że odciągnęłoby go to tylko od nauki, a przecież chciałby zdobyć stypendium w Yale. Spoglądał przez okno na olbrzymią posiadłość i zastanawiał się, jak to jest, kiedy ma się rodziców, którzy nie muszą się martwić o czesne, kieszonkowe dla syna i o to, czy dostanie pracę podczas letnich wakacji.

- Czy interesuje cię jakaś konkretna rola? - spytał pan Thompson, patrząc na wysokiego chłopaka z burzą czarnych włosów, którego spodnie zawsze wydawały się o parę cali za krótkie.

- Antonio, ewentualnie Orsino - odpowiedział Nat.

- Byłbyś idealnym Orsinem - powiedział pan Thompson - ale tę rolę chciałbym dać twojemu przyjacielowi, Tomowi Russellowi.

- Na pewno nie jestem w typie Malwolia. - Nat się zaśmiał.

- Nie, w roli Malwolia obsadziłbym najchętniej Elliota - powiedział z kwaśnym uśmiechem pan Thompson, który jak wiele innych osób u Tafta wolałby, aby to Nat został przewodniczącym samorządu.

- Niestety, on nie bierze udziału w przedstawieniu, ty natomiast, prawdę mówiąc, najlepiej nadawałbyś się do roli Sebastiana.

Nat chciał zaprotestować, choć kiedy po raz pierwszy przeczytał sztukę, musiał przyznać, że ta rola byłaby dla niego wyzwaniem.

Tylko że trzeba by poświęcić wiele godzin na nauczanie się tak obszernego tekstu, nie wspominając o próbach. Pan Thompson wyczuł obawy Nata.

- Myślę, że czas pomyśleć o drobnej łapówce, Nat.

- Łapówce?

- Tak, drogi chłopcze. Otóż dyrektor do spraw przyjęć w Yale jest jednym z moich najstarszych przyjaciół. Razem studiowaliśmy klasyków w Princeton i co roku spędzamy jeden weekend. Myślę, że mógłbym załatwić, żeby tym razem był to weekend naszego szkolnego przedstawienia - zawiesił na chwilę głos - gdybyś uznał, że zagrasz Sebastiana. - Nat milczał.

- No tak, widzę, że łapówka to za mało, aby skusić kogoś o tak surowych zasadach moralnych jak twoje, więc będę się musiał uciec do poważniejszego przekupstwa.

- Słucham?

- Z pewnością zauważyłeś, że w sztuce są trzy role kobiece - piękna Oliwia, twoja bliźniacza siostra Viola i zadziorna Maria, nie mówiąc o dublerkach i pokojówkach, i nie zapominajmy, że wszystkie one tracą głowę dla Sebastiana. - Nat wciąż milczał. - A moja odpowiedniczka w szkole panny Porter - ciągnął dalej pan Thompson, wykładając na stół swoją kartę atutową - zaproponowała, żebym w sobotę przywiózł do nich chłopca, który będzie próbnie czytać role męskie, żebyśmy mogli postanowić, które z dziewcząt powinny wystąpić w rolach kobiecych. - Tu znowu przerwał. - No, widzę, że udało mi się w końcu wzbudzić twoje zainteresowanie.

- Czy uważasz, że można przeżyć całe życie, kochając tylko jedną osobę? - spytała Annie.

- Jeśli ma się to szczęście, że się spotkało właściwą osobę, to czemu nie? - odparł Fletcher.

- Podejrzewam, że kiedy jesienią pójdziesz do Yale, spotkasz tam tyle inteligentnych i pięknych kobiet, że ja przy nich słabo wypadnę.

- To niemożliwe - rzekł Fletcher. Usiadł na sofie koło Annie i objął ją. - Zresztą szybko odkryją, że kocham kogoś innego, a gdy znajdziesz się w Vassar, przekonają się dlaczego.

- Ale to nastąpi dopiero za rok - powiedziała Annie - a do tego czasu...

- Ciii... Czy nie zauważyłaś, że każdy chłopiec, który cię poznał, natychmiast zaczyna mi zazdrościć?

- Nie, nie zauważyłam - odrzekła szczerze.

Fletcher spojrzał na dziewczynę, w której się zakochał, kiedy miała

jeszcze płaski biust, a na zębach aparat korekcyjny. Ale już wtedy nie mógł się oprzeć temu uśmiechowi, urodzie czarnych włosów odziedziczonych po irlandzkiej babce i stalowobłękitnym oczom - spadku po szwedzkich przodkach. A teraz, cztery lata później, czas dodał do tego jeszcze wdzięczną, zgrabną figurę i nogi, dzięki którym Fletcher polubił nową modę na minispódniczki.

Annie położyła rękę na udzie Fletchera.

- Czy wiesz, że połowa dziewcząt w mojej klasie nie jest już dziewicami? - zapytała.

- Tak twierdzi Jimmy - potwierdził Fletcher.

- A on chyba wie najlepiej. - Annie zamilkła na chwilę. - W przyszłym miesiącu kończę siedemnaście lat, a ty nigdy nawet nie...

- Myślałem o tym wiele razy, oczywiście, że myślałem - powiedział Fletcher, kiedy przysunęła się do niego tak, że dotknął ręką jej piersi - ale chcę, aby to był ten właściwy moment dla nas obojga i by żadne z nas nigdy potem tego nie żałowało.

Annie oparła głowę na jego ramieniu.

- Ja bym nigdy nie żałowała - wyznała, musnąwszy ręką jego udo.

Wziął ją w ramiona.

- Kiedy wrócą rodzice?

- Około północy. Są na jednym z tych nieustannych oficjalnych przyjęć, bez których politycy nie mogą żyć.

Fletcher siedział bez ruchu, kiedy Annie zaczęła rozpinąć bluzkę. Gdy doszła do ostatniego guzika, zsunęła ją z siebie i upuściła na podłogę.

- Teraz chyba twoja kolej - powiedziała. Fletcher szybko rozpiął koszulę, zdjął ją i odrzucił na bok. Annie podniosła się i stanęła przed nim, rozbawiona, że nagle uzyskała nad nim władzę. Powoli rozsuwała zamek błyskawiczny swojej spódniczki, podpatrzyła to u Julie Christie w filmie „Darling”. Podobnie jak tamta pozostała w halce. - Teraz chyba twoja kolej - powtórzyła.

O Boże, pomyślał Fletcher, nie odważę się ściągnąć spodni. Zrzucił tylko buty i skarpetki.

- Oszukujesz - zwróciła mu uwagę Annie, która zdjęła pantofle, zanim Fletcher pojął jej zamiary. Z ociąganiem opuścił spodnie i Annie wybuchnęła śmiechem. Fletcher zaczerwienił się, kiedy spojrzał w dół na swoje spodenki.

- Dobrze wiedzieć, że tak na ciebie działałam - powiedziała Annie.

- Nat, czy nie mógłbyś skoncentrować się na kwestii? - zapytał pan Thompson, nie kryjąc sarkazmu. - Zaczynaj od „Ale oto zbliża się dama” Rebeka nawet w szkolnym mundurku wyróżniała się między dziewczętami przesłuchiwanymi przez pana Thompsona. Wysoka, szczupła, o jasnych spływających na ramiona włosach, zdradzała pewność siebie, którą ujęła Nata, podobnie jak uśmiech, na który natychmiast zareagował. Kiedy go odwzajemniła, odwrócił się zmieszany, że wprowadził ją w zakłopotanie. Znał tylko jej imię.

- Czymże jest nazwa? - powiedział.

- Nie ta sztuka, Nat. Spróbuj jeszcze raz.

Rebeka Armitage czekała, aż Nat upora się ze swoją kwestią.

- Lecz oto nadchodzi...

Rebeka była zaskoczona, ponieważ kiedy wcześniej go słuchała, gdy stała z tyłu auli, recytował pewnym głosem. Spojrzała w swój tekst i zaczęła czytać:

- Nie gań za pośpiech! Jeśli masz wolę, Chodź ze mną zaraz i z tym świętym mężem Tu, do kaplicy; w jego przytomności I pod osłoną najświętszego dachu Wierną i stałą miłość mi przyrzekniesz, Żeby się serce, pełne wątpliwości, Uspokoilo. Kapłan to zatai, Aż sam zapragniesz, by nasz ślub ogłosić. Wesele wówczas wyprawimy godne Mojego stanu. Więc czy chcesz, powiedz!

Nat milczał jak zakłęty.

- Nat, czy byłbyś łaskaw się włączyć? - zasugerował pan Thompson.
- Tak aby Rebeka mogła wypowiedzieć przynajmniej jeszcze parę kwestii- Rozumiem, że pełne admiracji spojrzenie bywa bardzo skutecznym środkiem wyrazu, a w oczach niektórych mogłoby nawet uchodzić za grę aktorską, ale nie wystawiamy tu pantomimy. Poza tym część widowni przyszła tutaj, aby usłyszeć dobrze jej znane wersy Szekspira.

- Tak, proszę pana. Przepraszam - powiedział Nat, wracając do tekstu...

- Idę wraz z tobą za tym zacnym mężem
Dochować wiernie tego, co przysiężem.

- Więc prowadź, ojcze. A niebo łaskawie
Niech blaskiem swoim przyświeca tej sprawie.

- Dziękuję, panno Armitage, myślę, że to mi wystarczy.

- Ale ona była świetna - pochwalił Nat.

- Aaa, widzę, że potrafisz powiedzieć całą kwestię bez zajknięcia - zdziwił się pan Thompson. - Zauważam to z ulgą nawet na tak późnym etapie, ale nie wiedziałem, że oprócz zagrania głównej roli chciałbyś również być reżyserem. Ale ja już zdecydowałem, kto zagra piękną Oliwię.

Nat patrzył na Rebece, która pośpiesznie schodziła ze sceny.

- A może zagrałaby Violę? - nie ustępował.

- Nie, Nat, jeśli dobrze rozumiem intrygę tej sztuki. Viola jest twoją siostrą-bliźniaczką, a niestety lub na szczęście dla Rebeki, ona jest zupełnie do ciebie niepodobna

- Wobec tego Marię, byłaby świetną Marią.

- Nie wątpię, ale Rebeka jest o wiele za wysoka, aby zagrać rolę Marii.

- A czy rozważał pan możliwość, aby rola błazna Feste była rolą kobiecą? - spytał Nat.

- Szczerze mówiąc, nie. Między innymi dlatego, że nie mam czasu na przepisanie całego scenariusza.

Nat nie zauważył, że Rebeka schowała się za kolumnę, usiłując ukryć zakłopotanie z powodu jego nietaktownego zachowania.

- A co by pan powiedział na pokojówkę w domu Oliwii?

- A co miałbym powiedzieć?

- Rebeka byłaby wspaniałą pokojówką.

- Jestem tego pewny, ale nie może grać Oliwii i równocześnie być jej pokojówką. Ktoś na widowni mógłby się zorientować. - Nat otworzył usta, ale nic nie powiedział. - Aaa, nareszcie zamilkłeś, ale coś mi się wydaje, że noc spędzisz na przerabianiu sztuki, tak aby Oliwią miała kilka dodatkowych scen z Sebastianem, o których pan Szekspir nigdy nawet nie pomyślał. - Nat usłyszał za swoimi plecami chichot. - Czy chciałbyś jeszcze zaproponować kogoś do roli pokojówki, Nat, bo jeśli nie, to zajmę się obsadą.

- Bardzo pana przepraszam - wybąkał Nat. - Przepraszam.

Pan Thompson wskoczył na scenę, podszedł do Nata i szepnął mu do

ucha:

- Jeśli zamierzałeś coś w ten sposób osiągnąć, przedobrzyłeś. Można cię mieć łatwiej niż dziwkę w Las Vegas. I z pewnością zainteresuje cię informacja, że w przyszłym roku gramy „Poskromienie złościcy”, która to sztuka byłaby tu bardziej na czasie. Jakże inaczej potoczyłoby się twoje życie, gdybyś urodził się rok później. Niemniej życzę ci szczęścia z panną Armitage.

- Ten chłopiec musi zostać relegowany - powiedział pan Fleming. - Żadna inna kara nie będzie odpowiednia.

- Ależ panie dyrektorze - zaproponował Fletcher. - Pearson ma dopiero piętnaście lat i natychmiast przeprosił panią Appleyard.

- No, to chyba było oczywiste - wtrącił się kapelan, który dotąd nie zabierał głosu.

- A zresztą - podsumował dyrektor, wstając zza biurka - czy wyobrażasz sobie, jaki fatalny wpływ miałyby to na szkolną dyscyplinę, gdyby się rozniosło, że można bezkarnie robić obraźliwe uwagi na temat żony nauczyciela?

- I z powodu słów „ta cholerna kobieta” przekreślona ma zostać cała przyszłość tego ucznia?

- To konsekwencja jego niewłaściwego zachowania - powiedział dyrektor - a w każdym razie w ten sposób dostanie nauczkę.

- Ale czego się w ten sposób nauczy? - spytał Fletcher. - Że nigdy w życiu nie wolno popełnić błędu, czy że nie wolno przeklinać?

- Dlaczego tak zawzięcie bronisz tego chłopca?

- W pierwszym wykładzie, jaki pan dyrektor nam wygłosił, powiedział pan, że niereagowanie na niesprawiedliwość jest zachowaniem godnym tchórza.

Pan Fleming spojrzał na kapelana, który nie zareagował na słowa Fletchera. Dobrze pamiętał ten wykład. W końcu wygłaszał tę mowę do każdego nowego rocznika.

- Czy wolno mi zadać pytanie natury osobistej? - spytał Fletcher, zwracając się do kapelana.

- Proszę - zgodził się doktor Wade z pewnym wahaniem.

- Czy nie miał pan nigdy ochoty zakląć z powodu pani Appleyard? Bo ja tak, kilkakrotnie.

- I o to właśnie chodzi, Fletcher. Okazałeś powściągliwość. A Pearson nie, i dlatego musi ponieść karę.

- Jeśli karą ma być usunięcie ze szkoły panie dyrektorze, to muszę zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego samorządu szkolnego, ponieważ Biblia mówi, że myśl jest równie zła jak czyn. Obaj mężczyźni spojrzeli na niego z niedowierzaniem.

- Ale dlaczego, Fletcher? Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że zmniejszyłoby to twoje szanse przyjęcia do Yale.

- Człowiek, który by się tym kierował, nie jest wart miejsca w Yale.

Spostrzeżenie to tak zdumiało obu panów, że na chwilę zaniemówili.

- Fletcher, czy nie jest to pogląd nazbyt skrajny? - zdołał w końcu wydusić kapelan.

- Nie, proszę pana, nie w przypadku tego chłopca, i nie zamierzam przyglądać się spokojnie, jak poświęca się tego ucznia z powodu kobiety, którą bawi prowokowanie dorastających chłopców.

- I żeby postawić na swoim, gotów byłbyś zrzec się funkcji przewodniczącego samorządu szkolnego? - spytał dyrektor.

- Nieuczynienie tego, panie dyrektorze, równałoby się niemalże temu, na co pańskie pokolenie przyzwalało w czasach McCarthy'ego.

Wszyscy znowu zamilkli, po czym kapelan zapytał cicho:

- Czy ten chłopiec przeprosił osobiście panią Appleyard?

- Tak, proszę księdza - odparł Fletcher. - A potem jeszcze uczynił to listownie.

- Wobec tego warunkowe zawieszenie do końca okresu byłoby właściwsze - zasugerował dyrektor, spoglądając na kapelana.

- Łącznie z pozbawieniem wszelkich przywilejów, w tym zwolnień na weekendy, aż do odwołania - dodał doktor Wade.

- Fletcher, czy byłbyś gotów uznać to za sprawiedliwy kompromis? - spytał dyrektor, unosząc brwi. Teraz Fletcher milczał.

- Kompromis - wtrącił się kapelan - to coś, czego będziesz musiał się w życiu nauczyć, jeśli chcesz kiedyś odnosić sukcesy jako polityk.

Fletcher nie odpowiedział od razu.

- Przyjmuję pański wyrok, doktorze Wade - rzekł w końcu, a zwracając się do dyrektora, dodał: - A panu, panie dyrektorze, dziękuję za wyrozumiałość.

- Dziękuję, Fletcher - powiedział pan Fleming.

Przewodniczący samorządu szkolnego wstał i wyszedł z gabinetu dyrektora.

- Mądrość, odwaga i zaangażowanie to cechy rzadko spotykane u dorosłego człowieka - zauważył dyrektor, kiedy drzwi się zamknęły za uczniem - ale u dziecka.

- Więc jak to pan wytłumaczy? - spytał Nata Cartwrighta przewodniczący komisji egzaminacyjnej Uniwersytetu Yale'a.

- Nie potrafię tego wytłumaczyć - przyznał Nat. - To musiał być zbieg okoliczności.

- I to nie byle jaki - powiedział dziekan do spraw studenckich - skoro spore fragmenty pańskiego wypracowania na temat Clarence'a Darrowa są słowo w słowo takie same jak w pracy pańskiego kolegi z klasy.

- A jak on to tłumaczy?

- Wobec tego, że złożył swoje samodzielne wypracowanie na tydzień przed pańskim i że zostało ono napisane odręcznie, a pańskie na maszynie, uznaliśmy, że nie musimy prosić go o wyjaśnienie.

- Czy przypadkiem nie chodzi o Ralpa Elliota? - spytał Nat. Członkowie komisji pominęli to pytanie milczeniem.

- Jak on to zrobił? - spytał Tom, kiedy Nat wrócił tego wieczoru do Tafta.

- Musiał przepisać słowo w słowo, kiedy byłem u panny Porter na próbie „Wieczoru Trzech Króli”.

- Ale jakoś musiał wykraść pracę z twojego pokoju.

- To nie było trudne - powiedział Nat. - Jeśli nie leżała na moim biurku, to znajdowała się w teczce z napisem „Yale”.

- Jednak cholernie ryzykował, wchodząc do pokoju podczas twojej nieobecności.

- Jeśli jest się przewodniczącym samorządu szkolnego, niczym to nie grozi. Pamiętaj, że on tu rządzi - może wchodzić, gdzie mu się podoba. Miał dość czasu, żeby przepisać tekst i przez nikogo niezauważony odniósł oryginał do mojego pokoju wieczorem.

- Jaka więc była decyzja komisji Yale?

- Dzięki wstawiennictwu dyrektora zgodzili się, żebym mógł

spróbować jeszcze raz za rok.

- W ten sposób Elliotowi znowu się upiekło.

- Nic podobnego - powiedział dobitnie Nat. - Dyrektor widocznie się domyślił, bo Yale nie przyznało miejsca także Elliotowi.

- Ale to tylko odsuwa problem na rok - rzekł Tom.

- Na szczęście nie. - Nat nareszcie się uśmiechnął. - Pan Thompson również postanowił się włączyć i zadzwonił do kierownika biura rekrutacji, dzięki czemu komisja postanowiła odmówić Elliotowi szansy ponownego ubiegania się o przyjęcie.

- Dobry stary Thomo - powiedział Tom. - Co masz zamiar robić przez ten wolny rok? Wstąpisz do Korpusu Pokoju?

- Nie, spędzę ten rok na Uniwersytecie Connecticut.

- Dlaczego tam? - zapytał Tom. - Przecież mógłbyś...

- Bo Rebeka stawia go na pierwszym miejscu.

Rektor Uniwersytetu Yale'a spoglądał na tysiąc pierwszorocznych studentów oczekujących na jego słowa. Po roku część z nich uzna, że zadanie przerasta ich siły, i przeniesie się na inne uczelnie, a jeszcze inni w ogóle zrezygnują ze studiów. Fletcher Davenport i Jimmy Gates siedzieli wśród zgromadzonych i łowili każde słowo rektora Watermana.

- Postarajcie się nie stracić jednej chwili spędzonej w Yale, byście potem do końca życia nie żalowali, że nie wykorzystaliście szansy, jaką dał wam ten uniwersytet. Głupiec opuszcza Yale jedynie z dyplomem, natomiast mądry - z bagażem wiedzy wystarczającym, aby sprostać każdej sytuacji, przed jaką postawi go życie. Nie zmarnujcie żadnej okazji, jaka zostanie wam dana. Nie lękajcie się nowych wyzwań, a w razie niepowodzenia nie czujcie wstydu. Porażki nauczą was więcej niż sukcesy. Nie bójcie się przeznaczenia. Nie lękajcie się niczego. Podejmujcie każde wyzwanie i nie pozwólcie, aby o was powiedziano: pokonał drogę, ale nie odcisnął na niej swojego śladu.

Po wygłoszeniu prawie godzinnej mowy rektor usiadł na powrót na swoim miejscu i otrzymał długą owację na stojąco. Trent Waterman nie pochwałiał takich demonstracji, wstał więc i zszedł z podium.

- Nie sądziłem, że przyłączysz się do tej owacji - powiedział Fletcher do przyjaciela, kiedy wychodzili z auli. - Nie muszę uczestniczyć w tym rytuale tylko dlatego, że wszyscy inni robią to od dziesięciu lat - czy dobrze zapamiętałem twoje słowa- Przyznaję, że się myliłem. Jego przemówienie było nawet bardziej imponujące, niż obiecywał to mój ojciec.

- Myślę, że pan Waterman odetchnął, widząc, że go popierasz - powiedział Fletcher i w tym momencie Jimmy dostrzegł jakąś młodą kobietę obładowaną książkami, która szła parę kroków przed nimi.

- Nie zmarnuj żadnej okazji, jaka jest ci dana - szepnęła przyjacielowi do ucha. Ten zastanawiał się, czy powstrzymać Jimmy'ego, zanim zrobi z siebie kompletnego idiotę, czy też pozwolić mu uczyć się na własnych błędach.

- Cześć! Nazywam się Jimmy Gates. Czy mógłbym pani pomóc z tymi książkami?

- Co konkretnie ma pan na myśli? Chce pan mi je ponieść czy może mi przeczytać? - spytała, nie zwalniając kroku.

- Pomyślałem sobie, że na początek mógłbym je pani ponieść, a potem zobaczylibyśmy, co dalej.

- Mam dwie zasady, których nigdy nie łamię: jedna dotyczy umawiania się z żółtodziobami, a druga - z rudzielcami.

- Nie uważa pani, że czas wreszcie naruszyć obie za jednym zamachem? - zagadnął Jimmy. W końcu rektor właśnie nam powiedział, żebyśmy się nie bali nowych wyzwań.

- Jimmy... - wtrącił się Fletcher - myślę, że...

- Przepraszam, to mój przyjaciel, Fletcher Davenport, jest bardzo zdolny, mógłby pani pomóc z tym czytaniem.

- Nie sądzę, Jimmy.

- Poza tym jest bardzo skromny, jak pani widzi.

- Czego nie można powiedzieć o panu.

- Zgadza się - powiedział Jimmy. - A jak się pani nazywa?

- Joanna Palmer.

- To pani nie jest studentką pierwszego roku?

- Zgadza się.

- Jest więc pani idealną osobą, która mogłaby mnie poratować.

- W jaki sposób? - spytała Joanna Palmer, kiedy wchodzili po schodach wiodących do Suddler Hali.

- Mogłaby mnie pani zaprosić wieczorem na kolację i powiedzieć wszystko, co powinienem wiedzieć o Yale - zaryzykował Jimmy, kiedy zatrzymali się przed salą wykładową. - Słuchaj - rzucił do Fletchera - czy to nie tu mieliśmy się stawić?

- Oczywiście, i cały czas próbowałem cię uprzedzić.

- Uprzedzić? O czym? - spytał Jimmy, otwierając drzwi Joannie i wchodząc za nią do sali w nadziei, że uda mu się koło niej usiąść.

Wszyscy studenci natychmiast umilkli, co go zaskoczyło.

- Przepraszam za mojego przyjaciela - szepnął Fletcher - ale zapewniam panią, że to chłopiec o złotym sercu.

- I chyba nie małym tupeciem - zauważyła Joanna. - Przy okazji, proszę mu tego nie powtarzać, ale ogromnie mi pochwaliło, że wziął mnie za studentkę pierwszego roku.

Joanna Palmer położyła swoje książki na stole i stanęła twarzą do wypełnionej po brzegi sali.

- Rewolucja Francuska to punkt zwrotny w historii Europy - zaczęła wykład, zwracając się do skupionego audytorium. - Chociaż Ameryka obaliła już jednego monarchę - tu zrobiła pauzę - nie pozbawiając go przy tym głowy... - Na sali rozległ się śmiech. Jej wzrok przesunął się wzdłuż rzędów ław i zatrzymał na Jimmym Gatesie. Chłopiec zamrugał.

Idąc przez kampus na pierwszy wykład, trzymali się za ręce. Zaprzyjaźnili się podczas prób szkolnego teatru. Kiedy występowali w przedstawieniu, prawie się nie rozstawali, a kochali się w czasie ferii wiosennych - każde pierwszy raz. Kiedy Nat jej powiedział, że nie idzie do Yale, ale będzie studiować razem z nią na Uniwersytecie Connecticut, Rebeka miała wyrzuty sumienia, że tak ją to ucieszyło.

Susan i Michael Cartwright polubili Rebekę od pierwszej chwili, a ich rozczarowanie, że Uniwersytet Yale'a nie przyjął Nata w tym roku, zmalało, kiedy zobaczyli, że syn po raz pierwszy w życiu jest naprawdę odprężony.

Inauguracyjny wykład w Buckley Hali poświęcony był literaturze amerykańskiej, a wygłosił go profesor Hayman. W czasie letnich wakacji Nat i Rebeka przeczytali wszystkich autorów z zadanej im listy - Jamesa, Faulknera, Hemingwaya, Fitzgeralda i Bellowa - a potem szczegółowo omówili razem „Plac Waszyngtona”, „Grona gniewu”, „Komu bije dzwon”, „Wielkiego Gatsby'ego” i „Herzoga”. Kiedy więc w ów wtorkowy poranek

zajęli miejsca w sali wykładowej, oboje byli przekonani, że są dobrze przygotowani.

Już parę chwil po rozpoczęciu przez profesora Haymana jego olśniewającego wywodu oboje zdali sobie sprawę, że zaledwie przeczytali te książki. Nie zastanowili się nad wpływem, jaki na utwory tych autorów miało ich urodzenie, wychowanie, wykształcenie, religia i czysty przypadek, nie zwrócili też uwagi na fakt, że darem opowiadania nie są wyłącznie obdarzeni ludzie należący do jakiejś określonej klasy, rasy czy wyznania.

- Weźmy na przykład Scotta Fitzgeralda - ciągnął profesor. - W swojej noweli „Berenika obcina włosy”...

Nat podniósł wzrok znad notatek i zobaczył przed sobą znajomy kształt głowy. Zrobiło mu się niedobrze. Przestał słuchać opinii profesora Haymana o twórczości Fitzgeralda i wpatrywał się przez jakiś czas w kark siedzącego przed nim studenta, który odwrócił głowę w bok i mówił coś do sąsiada. Potwierdziły się najgorsze przeczucia Nata. Ralph Elliot nie tylko znalazł się na tym samym uniwersytecie co on, ale obrał ten sam kierunek studiów. Jak gdyby poczuł, że ktoś mu się przypatruje, Elliot nagle odwrócił głowę. Nie zauważył Nata, gdyż jego uwagę przyciągnęła Rebeka. Nat zerknął na nią z ukosa, ale dziewczyna była zbyt zajęta robieniem notatek na temat problemów alkoholowych Fitzgeralda w okresie hollywoodzkim, aby zauważyć mało subtelne zainteresowanie Elliota.

Nat zaczął czekać aż Elliot wyjdzie z sali, po czym zebrał swoje książki i podniósł się z miejsca.

- Kto to był ten facet, który się bez przerwy odwracał i gapił na ciebie? - spytała Rebeka, kiedy szli do stołówki.

- To Ralph Elliot - powiedział Nat. - Obaj chodziliśmy do Tafta, a myślę, że gapił się na ciebie, nie na mnie.

- Bardzo przystojny - rzekła Rebeka z uśmiechem. - Przypomina mi trochę Jaya Gatsby'ego. Czy to o nim pan Thompson powiedział, że byłby dobry w roli Malwolia?

- Urodzony Malwolio, tak się chyba Thomo wyraził.

W czasie lunchu Rebeka nalegała, aby powiedział jej coś więcej o Elliocie, ale Nat twierdził, że nie bardzo jest o czym mówić, i wciąż próbował zmienić temat. Musi pogodzić się z myślą, że ceną za przyjemność wspólnego studiowania z Rebeką będzie znoszenie towarzystwa Ralpha Elliota.

Elliot nie pojawił się na popołudniowym wykładzie o hiszpańskich wpływach w koloniach i kiedy tego wieczoru Nat odprowadzał Rebeke do jej pokoju, prawie nie pamiętał już o niemiłej obecności dawnego rywala.

Akademik żeński znajdował się w południowej części kampusu i opiekun studentów pierwszego roku ostrzegł Nata, że mężczyzna przebywający tam po zmroku narusza regulamin uczelni.

- Ten, kto układał regulamin - skonstatował Nat, leżąc obok Rebeki na jej wąskim łóżku - chyba myślał, że studenci potrafią się kochać tylko po ciemku. - Rebeka się roześmiała, wkładając z powrotem sweter...

- Co oznacza, że w semestrze wiosennym będziesz mógł wracać do siebie dopiero po dziewiątej - zauważyła.

- Może później przepisy pozwolą mi zamieszkać z tobą - powiedział Nat, nie wyjaśniając, co ma na myśli.

W pierwszym semestrze Nat z ulgą zauważył, że rzadko styka się z Ralphem Elliotem. Jego rywal nie interesował się biegami przełajowymi, teatrem ani muzyką, dlatego Nat był zaskoczony, kiedy w ostatnią niedzielę

semestru zobaczył go gawędzącego z Rebeką przed kaplicą. Elliot szybko się oddalił, kiedy dojrzał zbliżającego się Nata.

- Czego chciał? - spytał Nat niepewnym głosem.

- Rozmawialiśmy o jego pomysłach na udoskonalenie pracy rady uczelnianej. Będzie się ubiegać o funkcję przedstawiciela studentów pierwszego roku i chciał wiedzieć, czy też masz zamiar startować.

- Nie - oświadczył Nat zdecydowanym tonem. - Mam dość wyborów.

- Szkoda - Rebeka ścisnęła dłoń Nata - bo wiem, że dużo studentów z naszego roku chciałoby, żebyś kandydował.

- Nigdy, dopóki on bierze udział w grze - powiedział Nat.

- Dlaczego tak go nienawidzisz? - zapytała Rebeka. - Tylko dlatego, że cię pokonał w tych głupich szkolnych wyborach? - Nat patrzył na Elliota, który rozmawiał nieopodal z grupką studentów. Ten sam nieszczerzy uśmiezek i niewątpliwie te same gładkie obietnice. - Czy nie uważasz, że mógł się zmienić?

Nat się nie odezwał.

- Słusznie - powiedział Jimmy - pierwsze wybory, w jakich możesz wystartować, to wybory na przedstawiciela studentów pierwszego roku w radzie uczelnianej Yale.

- Miałem zamiar dać sobie spokój z wyborami na pierwszym roku - powiedział Fletcher - i skoncentrować się na nauce.

- Nie możesz ryzykować - oświadczył Jimmy.

- A to dlaczego? - spytał Fletcher.

- Bo statystyki dowodzą, że ten, kto został wybrany do rady na pierwszym roku, prawie na pewno trzy lata później zostaje jej przewodniczącym.

- A może ja nie chcę zostać przewodniczącym rady? - zagadnął Fletcher z przekornym uśmiechem.

- Może Marilyn Monroe też nie chciała zdobyć Oscara - odparł Jimmy, wyjmując z teczki małą broszurkę.

- Co to?

- Prezentacja studenta pierwszego roku - wydrukowana w tysiąc dwudziestu jeden egzemplarzach.

- Widzę, że znowu rozpocząłeś kampanię, nie pytając kandydata o zdanie.

- Musiałem, bo nie mogłem czekać w nieskończoność na twoją decyzję. Przeprowadziłem badania i stwierdziłem, że nie masz szans, aby w ogóle brano pod uwagę twoją kandydaturę do rady, jeśli w szóstym tygodniu semestru nie weźmiesz udziału w debacie pierwszoroczników.

- Dlaczego? - spytał Fletcher.

- Ponieważ jest to jedyna okazja, kiedy wszyscy studenci pierwszego roku gromadzą się w jednej sali i mają szansę wysłuchać potencjalnego kandydata.

- A jak trafić na listę mówców?

- Zależy, czy chcesz opowiedzieć się za wnioskiem, czy przeciwko.

- A co to za wniosek - Cieszę się, że wreszcie wykazujesz jakieś zainteresowanie, bo to nasz następny problem. - Jimmy wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki ulotkę. „Uchwalono: Ameryka powinna się wycofać z Wietnamu”.

- Nie widzę tu żadnego problemu - powiedział Fletcher. - Z chęcią wypowiem się przeciwko takiemu wnioskowi.

- W tym właśnie problem - rzekł Jimmy - ponieważ każdy, kto jest przeciw, przepada, nawet jeśli wygląda jak Kennedy i mówi jak Churchill.

- Ale jeśli przedstawię mocne argumenty, może ludzie uznają, że jestem właściwą osobą, aby ich reprezentować w radzie.

- Fletcher, choćbyś był nie wiem jak elokwentny, równałoby się to samobójstwu, bo wszyscy na tym uniwersytecie są przeciwko wojnie. Może lepiej zostawić to jakiemuś szaleńcowi, któremu wcale nie zależy, aby go wybrano.

- Ja mógłbym nim być - powiedział Fletcher - a zresztą, ja wierzę...

- Nie interesuje mnie, w co wierzysz - przerwał mu Jimmy. - Obchodzi mnie jedynie, jak doprowadzić do tego, żeby cię wybrano.

- Jimmy, czy ty masz w ogóle jakieś zasady moralne?

- Jakżebym mógł - odparł Jimmy - mając ojca polityka i matkę, która zajmuje się handlem nieruchomościami.

- Cenię twój pragmatyzm, ale jednak nie potrafiłbym się zmusić, żeby głosować za takim wnioskiem.

- Wobec tego pisane jest ci życie zatopionego w książkach naukowca, trzymającego się za rączkę z moją siostrą.

- Taka ewentualność całkiem mi odpowiada - przyznał Fletcher - zważywszy na to, że, ty nie jesteś zdolny do poważniejszego związku z kobietą, który trwałby dłużej niż dwadzieścia cztery godziny.

- Joanna Palmer wcale tak nie uważa - powiedział Jimmy. Fletcher się roześmiał.

- A co z inną twoją przyjaciółką, Audrey Hepburn? Nie widuję jej ostatnio na kampusie.

- Ani ja - rzekł Jimmy - ale zdobycie serca Joanny Palmer to dla mnie tylko kwestia czasu.

- W sennych marzeniach, Jimmy.

- Jeszcze będziecie mnie przepraszać, o wy, ludzie małej wiary, i przewiduję, że to nastąpi, zanim skompromitujesz się w debacie pierwszoroczniaków.

- Jimmy, nie przekabacisz mnie, bo jeśli nawet wezmę udział w debacie, to wystąpię przeciw wnioskowi.

- Fletcher, lubisz utrudniać mi życie. No cóż, jedno jest pewne, organizatorzy chętnie widzieliby twój udział.

- A to dlaczego? - zapytał Fletcher.

- Bo nie udało im się znaleźć kandydata z poważnymi szansami, który gotów byłby argumentować przeciwko wycofaniu się Stanów z Wietnamu.

- Jesteś pewna? - zapytał cichym głosem Nat.

- Tak - odpowiedziała Rebeka.

- Musimy więc jak najszybciej wziąć ślub.

- Dlaczego? Żyjemy w latach sześćdziesiątych, epoce Beatlesów, marihuany i wolnej miłości, czemu więc nie miałabym usunąć ciąży?

- Czy naprawdę tego chcesz? - zapytał Nat z niedowierzaniem.

- Sama nie wiem, czego chcę - odparła Rebeka. - Dowiedziałam się dopiero dziś rano. Potrzebuję czasu, aby to przemyśleć.

Nat ujął jej dłoń.

- Ożeniłbym, się z tobą jeszcze dziś, gdybyś tylko mnie chciała.

- Wiem - powiedziała Rebeka, ściskając jego rękę - ale musimy pamiętać, że ta decyzja zaważy na całym naszym życiu. Nie powinniśmy podejmować jej pochopnie.

- Ale mam teraz moralny obowiązek wobec ciebie i naszego dziecka.
- A ja muszę pomyśleć o swojej przyszłości - argumentowała
Rebeka.
- Może powinniśmy powiedzieć o tym rodzicom i zobaczyć, jak zareagują?
- Wykluczone - odparła Rebeka. - Twoja matka będzie chciała, abyśmy pobrali się dziś po południu, a mój ojciec zjawi się na kampusie ze strzelbą pod pachą. Nie, musisz mi przyrzec, że nikomu nie wspomnisz, że jestem w ciąży, zwłaszcza naszym rodzicom.
- Ale dlaczego? - Nat nie ustępował.
- Bo jest jeszcze inny problem...
- Jak ci idzie przemówienie?
- Właśnie skończyłem pisać trzecią wersję - oświadczył Fletcher z zadowoleniem - i ucieszysz się, kiedy ci powiem, że przez to przemówienie będę najbardziej nielubianym studentem w całym kampusie.
- Nie ułatwiasz mi zadania...
- Moim najwyższym celem jest osiągnąć nieosiągalne - przyznał Fletcher. - Przy okazji, kto jest naszym przeciwnikiem- Jakiś Tom Russell.
- Co o nim wiesz- Chodził do Tafta.
- Co oznacza, że mamy przewagę - skomentował Fletcher, szeroko się uśmiechając.
- Obawiam się, że nie - odparł Jimmy. - Poznałem go wczoraj wieczorem u Mory'ego i muszę ci powiedzieć, że jest bystry i popularny. Nie znam nikogo, kto by go nie lubił.
- Czy jest coś, co by nam sprzyjało- Tak. Przyznał, że nie pali się do udziału w debacie. Wolałby poprzeć jakiegoś innego kandydata, gdyby pojawił się ktoś odpowiedni. Widzi siebie raczej jako organizatora kampanii niż przywódcę.
- Może wobec tego powinniśmy poprosić Toma, aby przyłączył się do nas - powiedział Fletcher. - Wciąż szukam organizatora kampanii.
- To śmieszne, ale on mnie zaproponował wystąpienie w takiej roli. Fletcher spojrzał na przyjaciela.
- Naprawdę- Tak - odrzekł Jimmy.
- Chyba więc trzeba traktować go poważnie. - Fletcher zamilkł na chwilę. - Może powinniśmy zacząć od przejrzenia wieczorem mojej przemowy, powiedziałabyś mi, czy...
- Nie dziś - przerwał mu Jimmy. - Joanna zaprosiła mnie do siebie na kolację.
- A! To mi przypomina, że ja też dziś nie mogę. Jackie Kennedy chce, abym poszedł z nią do Metropolitan Opera.
- Przy okazji, Joanna chciałaby wiedzieć, czy ty i Annie nie wpadlibyście do nas na drinka w przyszły czwartek. Powiedziałem jej, że moja siostra przyjeżdża do New Haven na debatę.
- Mówisz poważnie? - spytał Fletcher.
- Ale jeśli się zdecydujecie, to powiedz Annie, aby nie zabawiła zbyt długo, bo my z Joanną już o dziesiątej lubimy być w łóżku.
Kiedy Nat znalazł pod drzwiami karteczkę od Rebeki, biegł całą drogę przez kampus, zastanawiając się, co to może być za pilna sprawa.
Gdy wszedł do jej pokoju i chciał ją pocałować, dziewczyna odwróciła się i bez wyjaśnienia przekreśliła zamek w drzwiach. Nat usiadł przy oknie, a Rebeka na brzegu łóżka.
- Nat, muszę ci powiedzieć coś, z czym zwlekałam od paru dni. - Nat

skinął głową, widząc, że Rebeka z trudem dobiera słowa. Zapadło milczenie, które wydawało się nie mieć końca. - Nat, wiem, że mnie za to nienawidzisz...

- Nie potrafiłbym cię nienawidzić - odparł Nat, patrząc jej prosto w oczy.

Wytrzymała jego wzrok przez chwilę, po czym spuściła głowę.

- Nie jestem pewna, czy to ty jesteś ojcem - wybąkała.

Nat zacisnął dłonie na oparciach fotela.

- Jak to możliwe? - wydusił w końcu.

- W tamten weekend, kiedy pojechałeś do Pensylwanii na zawody w biegach przełajowych, byłam na prywatce i chyba trochę za dużo wypłam. - Znowu zamilkła na chwilę. - Ralph Elliot przyłączył się do nas, a z późniejszych wydarzeń niewiele pamiętam, poza tym, że kiedy się rano obudziłam, on spał obok mnie.

Teraz to Nat milczał chwilę.

- Powiedziałaś mu, że jesteś w ciąży?

- Nie - odpowiedziała. - Po co? Od tamtej pory prawie się do mnie nie odzywa.

- Zabiję drania - oznajmił Nat, podnosząc się z fotela.

- Niewiele by to chyba dało - wyszeptala Rebeka.

- To niczego nie zmienia - zapewnił Nat, podchodząc do Rebeki, aby ją objąć - bo ja nadal chcę się z tobą ożenić. Zresztą jest bardziej prawdopodobne, że to moje dziecko.

- Ale nigdy nie byłbyś tego pewien.

- To nie jest dla mnie żaden problem.

- Ale dla mnie tak - odparła Rebeka - ponieważ jest jeszcze coś, o czym nie wiesz...

Kiedy Fletcher wszedł do zapchanej po brzegi Auli Woolseya, od razu pożałował, że nie posłuchał rady Jimmy'ego. Usiadł naprzeciw Toma Russella, który powitał go przyjaznym uśmiechem, podczas gdy tysiąc studentów skandowało:

- Lyndonie, prezydencie tego kraju, ile dzieci wysłałeś dziś do rajów?

Fletcher podniósł wzrok na swojego rywala, kiedy ten wstał z miejsca, żeby zapoczątkować debatę. Zanim Tom zdążył otworzyć usta, tłum powitał go gromkimi okrzykami. Ku zaskoczeniu Fletchera, Tom był równie zdenerwowany jak on sam; na czole perlily mu się kropelki potu.

Kiedy Tom zaczął mówić, sala zamilkła, ale wypowiedział zaledwie dwa słowa - Lyndon Johnson - a już rozległy się gwizdy. Odczekał chwilę i ciągnął dalej:

- Lyndon Johnson mówi nam, że naszym obowiązkiem jest pokonać Wietnam Północny i uratować świat przed szerzącym się komunizmem. A ja mówię, że prezydent nie powinien poświęcać życia Amerykanów na ołtarzu doktryny, która - czas to pokaże - sama się skompromituje.

Tłum znowu wybuchnął, ale tym razem były to okrzyki aprobaty, i upłynęła prawie minuta, zanim Tom mógł mówić dalej. W istocie przerywano mu tak często, że do końca przyznanego mu czasu zdążył wygłosić zaledwie połowę przygotowanego tekstu.

Gdy tylko Fletcher podniósł się ze swego miejsca, aplauz przerodził się w głośne okrzyki niezadowolenia. Postanowił już, że będzie to jego ostatnie w życiu publiczne wystąpienie. Czekał, aż sala się uciszy, ale na próżno, i kiedy ktoś krzyknął: - No, dalej, gadaj! - Fletcher zaczął niepewnym głosem.

- Grecy, Rzymianie i Brytyjczycy, wszyscy w swoim czasie, przyjmowali na siebie rolę światowego przywódcy - zaczął.

- Co nie znaczy, że my też musimy! - wrzasnął ktoś z tyłu sali.

- A po rozpadzie Imperium Brytyjskiego po drugiej wojnie światowej - ciągnął Fletcher - obowiązek ten przeszedł na Stany Zjednoczone. Najwspanialszy naród na świecie. - Lekki aplauz na sali. - Możemy oczywiście siedzieć z założonymi rękoma i przyznać, że jesteśmy niegodni tego obowiązku, albo możemy zaoferować swoje przywództwo milionom ludzi na całym świecie, którzy żywią podziw dla naszej koncepcji wolności i pragną naśladować nasz styl życia. Moglibyśmy również dać sobie z tym spokój i pozwolić, aby te same miliony ludzi cierpiały pod jarzmem komunizmu, przyglądać się, jak pochłania on wolny świat, albo też moglibyśmy wspierać te narody w ich staraniach o ustanowienie demokratycznych rządów także u siebie. Historia odnotuje, jaką podejmiemy decyzję, ale historia nie powinna uznać nas za głupców.

Jimmy dziwił się, że tłum słucha Fletchera, z rzadka tylko mu przerywając, i był wręcz zdumiony pełnym uznania aplauzem, jakim nagrodzono go dwadzieścia minut później, gdy usiadł. Kiedy debata dobiegła końca, słuchacze uznali, że zwyciężył w niej Fletcher, mimo że w głosowaniu nad wnioskiem Tom pokonał go różnicą ponad dwustu głosów.

Jimmy wyglądał na całkiem zadowolonego, kiedy wiwatującemu zgromadzeniu odczytano wyniki.

- To prawdziwy cud - podsumował.

- Ładny mi cud - skomentował Fletcher. - Nie zauważyłeś, że przegraliśmy różnicą dwustu dwudziestu ośmiu głosów?

- Ale ja się spodziewałem, że zostaniemy rozgromieni, uważam więc, że dwieście dwadzieścia osiem głosów mniej to istny cud.

Mamy pięć dni na to, aby wpłynąć na zmianę zdania stu czterestu uprawnionych do głosowania, bo większość pierwszorocznych uważa cię za oczywistego kandydata na swojego przedstawiciela w radzie uczelnianej - powiedział Jimmy, gdy wychodzili z Auli Woolseya.

- Dobra robota - albo: - Powodzenia! - szeptali ludzie do Fletchera.

- Wydaje mi się, że Tom Russell dobrze mówił - ocenił Fletcher - a co ważniejsze, on wyraża ich poglądy.

- On co najwyżej utoruje ci drogę.

- Nie byłbym tego taki pewien - powiedział Fletcher. -

Niewykluczone, że Tom chętnie zostałby przewodniczącym.

- Po tym, co obmyśliłem, nie ma najmniejszej szansy.

- Co takiego, jeśli wolno spytać?

- Poleciałem jednemu z naszych ludzi, żeby był obecny podczas każdego wystąpienia Toma. W trakcie kampanii złożył czterdzieści trzy różne obietnice i większości nie zdoła dotrzymać. Jeśli będziemy mu przypominać o tym dwadzieścia razy na dzień, to nie sądzę, aby jego nazwisko pojawiło się na karcie wyborczej.

- Czytałeś może „Księcia” Machiavellego? - zapytał Fletcher.

- Nie. A powinienem?

- Nie ma potrzeby. Nie nauczyłby cię niczego nowego. Jakie masz plany na dziś wieczór? - dodał, kiedy podeszła do nich Annie i gorąco uścisnęła Fletchera.

- Brawo - pochwaliła - wygłosiłeś wspaniałą mowę.

- Szkoda, że dwie setki osób nie podzieliło twojego zdania - powiedział Fletcher.

- Podzieliło, ale większość postanowiła, jak będzie głosować, zanim jeszcze weszła do auli.

- To właśnie próbuję mu uświadomić. - Jimmy odwrócił się do Fletctiera. - Moja siostrzyczka ma rację, a poza tym...

- Jimmy, za kilka tygodni kończę osiemnaście lat - oświadczyła Annie, krzywiąc się na brata - na wypadek gdybyś nie zauważył.

- Zauważyłem, a niektórzy moi koledzy nawet mówią, że jesteś całkiem ładna, choć ja tego nie dostrzegam.

Fletcher się roześmiał.

- Dobra, Jimmy. Idziesz z nami na kolację do Dina?

- Nie. Widzę, że zapomniałeś już, że ja i Joanna zaprosiliśmy was oboje do niej na kolację.

- Ja nie zapomniałam - zaprotestowała Annie. - I nie mogę się doczekać, kiedy poznam kobietę, której udało się zatrzymać przy sobie mojego brata na dłużej niż tydzień.

- Odkąd ją poznałem, nie spojrzałem na inną kobietę - wyznał Jimmy cicho.

- Ale ja nadal chcę się z tobą ożenić - powiedział Nat, nie wypuszczając jej z objęć.

- Mimo że nie możesz być pewny, kto jest ojcem?

- To jeszcze jeden powód dla którego powinniśmy się pobrać, nie będziesz wtedy wątpić w prawdziwość moich uczuć.

- Nigdy nawet przez moment nie wątpiłam, że jesteś dobrym, porządnym facetem, ale czy nigdy nie pomyślałeś, że może nie kocham cię wystarczająco, żeby chcieć z tobą spędzić całe życie? - Nat wypuścił Rebekę z ramion i spojrzał jej w oczy. - Spytałam Ralpha, co by powiedział, gdyby się okazało, że to jego dziecko, i zgodził się ze mną, że powinnam usunąć ciążę. - Rebeka dotknęła dłonią policzka Nata. - Niewielu z nas jest godnych żyć obok kogoś takiego jak Sebastian, a ja na pewno nie jestem Oliwią. - Odsunęła rękę i bez słowa szybko wyszła z pokoju.

Nat leżał na jej łóżku, nie zauważając zapadającego zmroku. Wciąż myślał o tym, jak bardzo kocha Rebekę i jak pogardza Elliotem.

W końcu zasnął i obudził go dopiero dzwonek telefonu.

Odezwał się dobrze znany mu głos i Nat pogratulował przyjacielowi, kiedy usłyszał dobrą wiadomość.

Kiedy Nat poszedł do biura związku studentów odebrać pocztę, ucieszył się, że są dla niego trzy listy: prawdziwy rekord. Jeden był zaadresowany ręką jego matki. Drugi nadano w New Haven, uznał więc, że to musi być list od Toma. Trzecim była szara koperta z comiesięcznym czekiem z tytułu stypendium, który musiał jak najszybciej zanieść do banku, bo jego konto było prawie puste.

Poszedł do McConaughy'ego i wziął miskę płatków kukurydzianych i parę grzanek, rezygnując z jajecznicy z jajek w proszku. Zajął wolne miejsce w rogu sali i otworzył list od matki. Miał wyrzuty sumienia, że nie pisał do niej co najmniej od dwóch tygodni. Do ferii świątecznych zostało już tylko parę dni, miał więc nadzieję, że matka zrozumie, dlaczego natychmiast nie odpowiada na listy.

Odbył z nią długą rozmowę przez telefon w dniu, kiedy zerwał z Rebeką. Nie wspominał, że Rebeka jest w ciąży ani nie podał konkretnej przyczyny zerwania.

Kochany Nathanielu - nigdy nie zwracała się do niego per Nat. Gdyby ktoś przeczytał list od jego matki, to - wydawało mu się - od razu

dowiedziałby się o niej dosłownie wszystkiego. Staranna, dokładna, zawsze skłonna do udzielenia informacji, troskliwa, ale wciąż sprawiająca wrażenie, jakby się wiecznie gdzieś spieszyła. Za każdym razem kończyła słowami: Muszę pędzić, całuję, Mama.

Jedyna ważna wiadomość, jaką miała mu do przekazania, dotyczyła awansu taty na stanowisko kierownika regionalnego, co oznaczało, że ojciec przestanie spędzać wiele godzin w samochodzie, a w przyszłości podejmie pracę na miejscu, w Hartford.

Tatusz bardzo się cieszy z awansu i podwyżki, która oznacza, że z trudem, ale będziemy mogli sobie pozwolić na drugi samochód.

Jednak już zaczyna żałować, że straci bezpośredni kontakt z klientami.

Nat przełknął jeszcze jedną łyżkę płatków, a następnie otworzył list z New Haven. Wiadomość od Toma była napisana na maszynie i zawierała jak zwykle kilka błędów ortograficznych, być może spowodowanych podnieceniem, jakie odczuwał, pisząc o swoim zwycięstwie w wyborach. W typowy dla siebie rozbrajający sposób Tom donosił, że wygrał tylko dlatego, iż jego przeciwnik wygłosił żarliwą obronę zaangażowania się Stanów Zjednoczonych w wojnę w Wietnamie, co mu nie przysporzyło zwolenników: Natowi podobała się postawa Fletchera Davenporta i zdał sobie sprawę, że gdyby poszedł do Yale, to pewno sam stanąłby z nim do rywalizacji.

Chrupiąc grzanekę, czytał dalej list od Toma: Szkoda, że zerwałeś z Rebeką. Czy to ostateczne? Nat oderwał wzrok od listu, niepewny swojej odpowiedzi na to pytanie, choć wiedział, że przyjaciel wcale by się nie dziwił, gdyby usłyszał, że to Ralph Elliot wszedł mu w paradę.

Posmarował masłem drugą grzanekę i przez chwilę się zastanawiał, czy mogliby się jeszcze zejść z Rebeką, ale szybko wrócił do świata realnego. Bo przecież, jak tylko skończy pierwszy rok, zamierza się przenieść do Yale.

Na końcu Nat zajął się szarą kopertą i postanowił, że zanieśie do banku swój comiesięczny czek przed pierwszym wykładem - inaczej niż niektórzy koledzy nie mógł sobie pozwolić na zwlekanie do ostatniej chwili z deponowaniem skromnych środków. Rozciął kopertę i był zaskoczony, że zamiast czeku znalazł w niej list. Rozłożył pojedynczą kartkę papieru i przez chwilę wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

ZASADNICZA SŁUŻBA WOJSKOWA

**POLECENIE STAWIENIA SIĘ PRZED KOMISJĄ LEKARSKĄ
SIŁ ZBROJNYCH**

Adresat: Nathaniel Cartwright Miejskowa Komisja Poborowa

Uniwersytet Stanu nr 21

Connecticut Zasadnicza Służba Wojskowa

North Eagleville Road 205 Walter Street

Storrs, Connecticut Rockville, CT

14 grudnia 1966

Nr ewidencyjny Zasadniczej

Służby Wojskowej:

6 21 48 270

Niniejszym wzywa się Pana do zgłoszenia się do ww.

Miejskowej Komisji Poborowej w celu zbadania przez

Komisję Lekarską Sił Zbrojnych

Route 195 & 44 (Mansfield Corners) Storrs, Connecticut

(miejsce stawiennictwa)

7.58 5 stycznia 1967 roku

(godzina) (dzień) (miesiąc) (rok)

(Członek lub funkcjonariusz Miejscowej Komisji Poborowej)

Nat położył list przed sobą na stole i zastanawiał się nad jego konsekwencjami. Uznał, że pobór to loteria i akurat padło na niego.

Czy z moralnego punktu widzenia ma prawo wystąpić o zwolnienie z tej racji, że studiuje, czy też, tak jak zrobił to jego ojciec w 1942 roku, powinien zgłosić się i służyć krajowi- Ojciec spędził dwa lata w Europie, służąc w Osiemdziesiątej Dywizji, po czym wrócił do kraju z Purpurowym Sercem. Teraz, dwadzieścia pięć lat później, z takim samym przekonaniem wypowiada się za zaangażowaniem Ameryki w Wietnamie. Czy tak czują tylko niewykształceni Amerykanie, którym nie dano większego wyboru?

Nat natychmiast zadzwonił do rodziców i nie zdziwił się, kiedy ta sprawa doprowadziła do jednego z nieczęstych sporów. Matka uważała, że najpierw powinien skończyć studia i dopiero wtedy raz jeszcze rozważyć tę kwestię; może do tego czasu wojna się skończy. Czy prezydent Johnson nie obiecał tego w czasie kampanii przedwyborczej? Natomiast ojciec był zdania, że choć może taka przerwa w studiach jest niefortunna, to jednak obowiązkiem Nata jest zgłosić się do wojska. Gdyby wszyscy palili swoje karty powołania, zapanowałaby anarchia - zakończył swój wywód.

Następnie Nat zadzwonił do Toma w Yale, żeby się dowiedzieć, czy przyjaciel dostał wezwanie do wojska.

- Tak, dostałem - rzekł Tom.

- I co- Spaliłeś je? - zapytał Nat.

- Nie. Tak daleko się nie posunąłem, choć znam paru studentów, którzy tak zrobili.

- Czy to oznacza, że zamierzasz iść do wojska?

- Nie, nie mam tak silnego moralnego kośćca jak ty, Nat. Skorzystam z legalnej drogi. Ojciec znalazł w Waszyngtonie adwokata, który specjalizuje się w zwolnieniach z wojska, i jest prawie pewien, że uda mu się uzyskać dla mnie odroczenie, choćby do ukończenia studiów.

- A co z tym facetem, który był twoim rywalem w wyborach na przedstawiciela studentów pierwszego roku i tak podkreślał odpowiedzialność Ameryki wobec tych, co „pragną mieć swój udział w demokracji” - jaką on podjął decyzję?

- Nie mam pojęcia - powiedział Tom - ale jeśli dostanie kartę powołania, to przypuszczalnie spotkasz go na froncie.

W miarę jak mijały kolejne miesiące i w jego przegródce na korespondencję wciąż się nie pojawiała żadna szara koperta, Fletcher zaczął wierzyć, że znalazł się wśród tych szczęśliwców, którzy nie zostali powołani. Postanowił już, jaka będzie jego odpowiedź, gdyby taka koperta do niego dotarła.

Kiedy Jimmy dostał kartę powołania, natychmiast porozumiał się z ojcem, który poradził mu, żeby złożył podanie o odroczenie na czas studiów z równoczesnym zaznaczeniem, że po upływie trzech lat rozważy swoje stanowisko w tej kwestii. Zwrócił też uwagę Jimmy'emu, że może za trzy lata będzie nowy prezydent, nowa ustawa i że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż Amerykanie wycofają się już z Wietnamu. Jimmy posłuchał rady ojca i z przekonaniem bronił swojego stanowiska, kiedy dyskutował z Fletcherem nad moralnym aspektem tej sprawy.

- Nie mam zamiaru ryzykować życia w potyczce z jakimiś facetami z

Wietkongu, którzy w końcu i tak ulegną potędze kapitalizmu, nawet jeśli chwilowo nie chcą uznać naszej przewagi militarnej.

Annie podzielała poglądy brata i cieszyła się, że Fletcher nie dostał karty powołania. Dobrze wiedziała, jak by się zachował.

Piątego stycznia 1967 roku Nat zgłosił się do odpowiedniej komisji poborowej.

Po dokładnym badaniu lekarskim stanął przed obliczem niejakiego majora Willisa. Major był pełen uznania. Cały ranek upłynął mu wśród młodych mężczyzn, którzy wynajdywali sto różnych przyczyn, aby tylko wymigać się od służby. Cartwright natomiast uzyskał 92 punkty, a po południu w ogólnym teście kwalifikacyjnym osiągnął 97 punktów.

Wieczorem, wraz z pięćdziesięcioma innymi poborowymi, Nat wsiadł do autobusu odjeżdżającego do New Jersey. Podczas niemiłosiernie dłużącej się podróży przez kilka stanów Nat pojadał podany na małych plastikowych tackach suchy prowiant, a potem zapadł w niespokojny, sen.

W końcu o świcie autobus się zatrzymał w Fort Dix. Przyszli i niedoszli żołnierze wysiadali z autobusu, witani wrzaskami dyżurnych odpowiedzialnych za przyjęcie poborowych. Prędko ich rozlokowano w domkach z prefabrykatów i pozwolono im się przespać parę godzin.

Nazajutrz Nat wstał - nie miał wyboru - o piątej rano, a następnie, po przepisowych postrzyżynach, odebrał przydziałowy mundur polowy. Potem wszystkim pięćdziesięciu nowym rekrutom polecono napisać listy do rodziców i odesłać na adres domowy cały cywilny dobytek.

Tego samego dnia Nat odbył rozmowę ze specjalistą technicznym 4, grupy Jacksonem, który po przejrzeniu jego papierów miał tylko jedno pytanie:

- Cartwright, oczywiście zdajesz sobie sprawę, że mogłeś wystąpić o odroczenie służby?

- Tak jest. - Jackson uniósł brwi.

- I po zasięgnięciu rady postanowiłeś tego nie robić? - Nie musiałem się nikogo radzić, proszę pana.

- W porządku. Z pewnością, gdy tylko skończysz szkolenie podstawowe, będziesz chciał wstąpić do szkoły oficerskiej. - Przerwał na chwilę. - Udaje się to mniej więcej dwóm na pięćdziesięciu szeregowców, nie miej więc złudzeń. Przy okazji, nie mów do mnie „proszę pana”, lepiej „specjalisto techniczny czwartej grupy”.

Po wielu latach uprawiania biegu przełajowego Nat uważał, że jest w dobrej kondycji, ale szybko się przekonał, że wojsko zupełnie inaczej rozumie określenie „szkolenie”, nie do końca objaśnione w słowniku Webstera. A co do drugiego słowa, „podstawowe” - wszystko tu było „podstawowe”: jedzenie, odzież, ogrzewanie, a w szczególności łóżko, na którym miał spać. Nat był przekonany, że armia amerykańska importuje te materace prosto z Wietnamu Północnego, żeby żołnierze doświadczali tych samych niewygód co wróg.

Przez następne osiem tygodni wstawał co rano o piątej, brał zimny prysznic - określenie „ciepła woda” po prostu nie istniało w języku tej armii - i zanim o szóstej przeżył się na baczność na placu apelowym wraz z innymi żołnierzami drugiego plutonu kompanii Alfa, był już ubrany, po śniadaniu, a jego starannie złożona odzież leżała na skraju łóżka.

Pierwszą osobą, która się do niego zwracała każdego ranka, był sierżant od musztry, Al Quamo; zawsze tak wymuskany, że Nat podejrzewał, iż musiał chyba wstawać o czwartej, aby odprasować mundur.

A jeśli w ciągu następných czternastu godzin Nat chciał rozmawiać z kimś innym, Quamo interesował się z kim i po co. Byli tego samego wzrostu - i na tym podobieństwo między nimi się kończyło. Nat nigdy nie stał przed sierżantem tak długo, aby zdążyć policzyć jego medale.

- Jestem wam matką, ojcem i najbliższym przyjacielem! - darł się sierżant na cały głos. - Słyszycie mnie?

- Tak jest! - odkrzykiwało mu trzydziestu sześciu nieopierzonych rekrutów z drugiego plutonu. Wielu z nich uważało, że Nat zwariował, zgłaszając się na ochotnika, i musiało minąć kilka tygodni, zanim zmienili zdanie o chłopaku z Cromwell. Na długo przed końcem szkolenia Nat został opiekunem, pisarzem listów, doradcą i powiernikiem plutonu. Uczył nawet kilku rekrutów czytać. Wolał nie mówić matce, czego nauczyli go w zamian. W połowie kursu Quamo awansował go na dowódcę drużyny.

Kiedy kończył się dwumiesięczny kurs, Nat był najlepszy wszędzie tam, gdzie w grę wchodziła znajomość ortografii. Zaskoczył także innych kolegów, wygrywając z nimi zawsze w biegu przełajowym, i choć nigdy przedtem, zanim przeszedł „szkolenie podstawowe”, nie strzelał z broni palnej, okazał się lepszy od facetów z Queens, kiedy trzeba było opanować umiejętność obsługi karabinu maszynowego M60 i granatnika M70. Oni mieli więcej praktyki w obchodzeniu się z bronią mniejszego kalibru.

Quamo nie potrzebował ośmiu tygodni, aby zmienić zdanie co do szans Nata na dostanie się do szkoły oficerskiej. Uważał, że w odróżnieniu od większości oferm, którym pisany był Wietnam, Nat jest urodzonym dowódcą.

- Pamiętaj - ostrzegał Nata - nieopierzony podporucznik ma takie same szansę, że mu odstrzelą tyłek, jak szeregowiec, bo jedno jest pewne - żołtki z Wietkongu wcale ich nie odróżniają.

Sierżant Quamo nie pomylił się, gdyż tylko dwóch żołnierzy zostało wybranych i skierowanych do Fort Benning. Tym drugim był chłopak z trzeciego plutonu, student college’u, Dick Tyler.

Przez pierwsze trzy tygodnie w Fort Benning główne zajęcia na świeżym powietrzu odbywały się wspólnie z czarnymi beretami.

Instruktorzy od skoków spadochronowych przećwiczyli z nowymi rekrutami umiejętność padania przy lądowaniu. Najpierw trenowano skoki z muru wysokości trzydziestu pięciu stóp, a potem z budzącej grozę trzystustopowej wieży. Z dwustu żołnierzy, którzy zaczęli kurs, mniej niż stu przeszło do następnego etapu. Nat znalazł się wśród wyselekcjonowanej ostatecznie dziesiątki, która otrzymała przywilej noszenia białego hełmu w czasie tygodnia skoków. Po wykonaniu piętnastu skoków Nat mógł sobie przypiąć do piersi srebrne skrzydła spadochroniarza.

Kiedy wrócił do domu na tygodniową przepustkę, matka z trudem rozpoznała dziecko, które pożegnała trzy miesiące wcześniej.

Stał przed nią mężczyzna, o jeden cal wyższy i lżejszy o kilka funtów, ostrzyżony na jeża, co przypomniało ojcu czasy, gdy walczył we Włoszech.

Po krótkim urlopie Nat wrócił do Fort Benning, włożył z powrotem swoje buty do skoków, błyszczące „corcorany”, zarzucił na ramię żołnierski worek i odbył krótki marsz na drugą stronę: drogi, opuszczając strefę „powietrzną”.

Tutaj zaczął przechodzić szkolenie jako oficer piechoty. Choć wstawał każdego ranka równie wcześnie jak dotąd, o wiele więcej czasu spędzał teraz w sali wykładowej, ucząc się historii wojskowości, czytania

map, taktyki i strategii dowodzenia wraz z siedemdziesięcioma innymi przyszłymi oficerami, którzy także przygotowywali się do wyjazdu do Wietnamu. Z jedynych danych statystycznych, o jakich się nie mówiło, wynikało, że ponad pięćdziesiąt procent z nich mogło się spodziewać, że wróca do kraju w czarnej plastikowej torbie.

- Joanna będzie musiała stanąć przed komisją dyscyplinarną - powiedział Jimmy, przysiadając na łóżku Fletchera. - Choć to na mnie powinien spaść cały gniew komisji etyki - dodał.

Fletcher starał się uspokoić przyjaciela, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby był tak wzburzony.

- Czy oni nie rozumieją, że to nie zbrodnia, jak się człowiek zakocha?

- Myślę, że bardziej obawiają się sytuacji, kiedy dzieje się odwrotnie - odparł Fletcher.

- Co przez to rozumiesz? - zapytał Jimmy, spoglądając na niego.

- Administracja tak naprawdę boi się wówczas, kiedy mężczyźni-wykładowcy wykorzystują młode, łatwowierne studentki.

- Ale czy oni nie potrafią odróżnić prawdziwego zaangażowania? - spytał Jimmy. - Wszyscy widzą, że uwielbiam Joannę, a ona odwzajemnia moje uczucia.

- Może nawet przymknęliby oko, gdybyście się z tym tak nie afiszowali...

- Myślałem, że kto jak kto, ale przynajmniej ty docenisz brak zakłamania Joanny - powiedział Jimmy.

- Ależ doceniam. Tylko że przez tę swoją otwartość nie pozostawiła władzom uczelni wyboru, musiały zareagować choćby ze względu na regulamin.

- Wobec tego trzeba zmienić regulamin - doszedł do wniosku Jimmy. - Joanna jako pedagog uważa, że nie powinno się ukrywać prawdziwych uczuć. Chciałaby doprowadzić do tego, żeby przyszłe pokolenia nie musiały stawać wobec podobnych dylematów.

- Jimmy, ja się z tobą zgadzam, a znając Joannę, wiem, że dobrze pamiętała regulamin i że ma wyrobiony pogląd na temat punktu siedemnaście b...

- Oczywiście, że ma. Ale Joanna nie zamierza się ze mną zaręczyć tylko po to, aby wybawić z kłopotu władze uczelni.

- To jest dopiero kobieta. I pomyśleć, że chciałeś jej tylko ponieść książki.

- Nie musisz mi przypominać - odparł Jimmy. - Wiesz, że teraz studenci urządzą jej owację na początku i na końcu każdego wykładu?

- To kiedy zbiera się komisja etyki?

- W przyszłą środę o dziesiątej. Media będą miały o czym trąbić. Szkoda, że mój ojciec nie ubiega się o ponowny wybór tej jesieni.

- Nie martwiłbym się o twojego ojca - powiedział Fletcher. - Założę się, że już znalazł sposób, jak obrócić tę historię na swoją korzyść.

Nat się nie spodziewał, że zetknie się kiedyś osobiście ze swoim dowódcą, i nie doszłoby do tego, gdyby jego matka nie zaparkowała samochodu na miejscu zarezerwowanym dla pułkownika. Kiedy, ojciec Nata zauważył napis „Dowódca”, poradził, żeby szybko cofnęła samochód. Susan cofnęła, ale zbyt gwałtownie, i zderzyła się z dziuplą pułkownika Tremletta, który akurat nadjechał.

- O Boże! - jęknął Nat, wyskakując z samochodu.

- To trochę za wysoko - powiedział Tremlett. - Wystarczy „pułkowniku”.

Nat stanął na baczność i zaszalutował, podczas gdy ojciec ukradkiem zlustrował medale dowódcy.

- Chyba razem służyliśmy - zauważył, patrząc na czerwono-zieloną baretkę między innymi odznaczeniami na piersi pułkownika, który schylił się badał wgniecenie w błotniku. Pułkownik, podniósł na niego wzrok. - Byłem w Osiemdziesiątej Dywizji we Włoszech - wyjaśnił ojciec Nata.

- Mam nadzieję, że manewrował pan Shermanami trochę lepiej niż swoim samochodem - rzekł pułkownik, kiedy obaj wymieniali uścisk dłoni. Michael nie sprostował, że to żona siedziała za kierownicą. Pułkownik spojrzał na Nata.

- Cartwright, jeśli się nie mylę?

- Tak jest, panie pułkowniku. - Nat był zdziwiony, że dowódca zna jego nazwisko.

- Wygląda na to, że pański syn zakończy szkolenie w przyszłym tygodniu z pierwszą lokatą - powiedział Tremlett do ojca Nata. Po chwili milczenia dodał: - Myślę o pewnym zadaniu dla niego - ale nie wyjaśnił, o co mu chodzi. - Cartwright, zameldujcie się jutro o ósmej u mnie w biurze. - Pułkownik uśmiechnął się do matki Nata, raz jeszcze wymienił uścisk dłoni z jego ojcem, po czym zwrócił się do Nata: - Jeśli wieczorem zauważę w błotniku jakieś wgniecenie, to możecie się pożegnać z następną przepustką. - Mrugnął do matki Nata, podczas gdy chłopiec stanął na baczność i raz jeszcze zaszalutował.

Nat spędził całe popołudnie na kolanach, z młotkiem i puszką lakieru w kolorze khaki.

Następnego dnia rano stawił się w biurze pułkownika za kwadrans ósma i był zaskoczony, kiedy natychmiast wprowadzono go do dowódcy. Tremlett wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka.

- Widzę, Nat, że odważnie głosisz swoje przekonania - powiedział na powitanie pułkownik, patrząc w akta leżące na stole. - Co chcesz dalej robić?

Chłopiec spojrzał na pułkownika Tremletta, którego pierś zdobiło pięć rzędów baretek. Brał udział w działaniach we Włoszech i Korei, a niedawno zakończył służbę w Wietnamie. Nazywano go terierem, ponieważ lubił podejść do wroga tak blisko, że mógłby ugryźć go w kostkę. Nat odpowiedział na jego pytanie bez wahania:

- Chciałbym znaleźć się wśród żołnierzy, którzy zostaną wysłani do Wietnamu, panie pułkowniku...

- Niekoniecznie musisz odbyć służbę w sektorze azjatyckim - odparł dowódca, - Dowiodłeś swoich racji, a jest jeszcze kilka innych miejsc, które mógłbym ci polecić, od Berlina po Waszyngton, tak że jak odsłużysz dwa lata, będziesz mógł wrócić na uniwersytet.

- To by się mijало z celem, panie pułkowniku.

- Ale prawie się nie zdarza, żeby do Wietnamu wysłano oficera z własnego zaciągu - powiedział dowódca - szczególnie kogoś twojego kalibru.

- Może więc pora, aby ktoś przełamał ten zwyczaj. W końcu na tym polega cecha przywódcy, jak nam tutaj wciąż przypominacie.

- A co byś powiedział na propozycję, abyś dokończył służbę jako mój oficer sztabowy, a potem mógłbyś pomagać mi w szkoleniu kolejnej partii poborowych?

- Aby później mogli zostać wysłani do Wietnamu i dali się tam zabić? - Nat wpatrywał się w swojego dowódcę siedzącego po drugiej stronie biurka. Już żałował, że pozwolił sobie na zbyt wiele.

- Wiesz, kto tu ostatni siedział i powiedział mi, że postanowił jechać do Wietnamu i że żadna siła go od tego nie odwiedzie?

- Nie, panie pułkowniku.

- Mój syn, Daniel - odpowiedział Tremlett - i nie miałem wyboru, musiałem zaakceptować jego decyzję. - Pułkownik milczał przez chwilę, patrząc na stojącą na biurku fotografię, której Nat nie mógł widzieć. - Po jedenastu dniach już nie żył.

„Kobieta-wykładowca uwiodła syna senatora” - krzyczał nagłówek biegnący przez całą stronę „New Haven Register”.

- To cholerna obelga - powiedział Jimmy.

- O co ci chodzi? - zapytał Fletcher.

- To ja ją uwiodłem.

Kiedy Fletcher przestał się śmiać, wrócił do artykułu i czytał dalej: „Komisja etyki Uniwersytetu Yale’a wypowiedziała umowę o pracę Joannie Palmer, wykładowcy historii Europy, kiedy ta przyznała, że ma romans ze studentem pierwszego roku, Jamesem Gatesem, który od sześciu miesięcy i był słuchaczem jej wykładów. James Gates jest synem senatora Harry’ego Gatesa. Wczoraj wieczorem, w domu państwa Gatesów w Hartford...” Fletcher spojrzał na przyjaciela.

- Jak twój ojciec to przyjął?

- Powiedział mi, że odniesie przygniatające zwycięstwo - odparł Jimmy. - Wszystkie organizacje walczące o prawa kobiet są za Joanną, a wszyscy faceci uważają mnie za najbardziej przebojowego gościa od czasu Dustina Hoffmana w „Absolwencie”. Tato jest zdania, że komisja nie będzie miała innego wyjścia, jak uchylić swoją decyzję na długo przed końcem semestru.

- A jeśli tego nie zrobi? - zapytał Fletcher. - Jakie Joanna ma szansę znalezienia innej pracy?

- To najmniejszy problem - odparł Jimmy - ponieważ od momentu ogłoszenia decyzji komisji telefony się urywają. Pracę zaproponował jej Uniwersytet Radcliffe, gdzie ukończyła studia licencjackie, i Columbia, gdzie zrobiła doktorat, a to wszystko, zanim jeszcze sondaż przeprowadzony w programie „Dzisiejszy Show” pokazał, że osiemdziesiąt dwa procent widzów uważa, że powinna zostać przywrócona do pracy.

- Co ona zamierza robić?

- Odwołać się, i jestem pewien, że komisja nie odważy się zignorować opinii publicznej.

- A ty? Co zrobisz w tej sytuacji?

- Wciąż pragnę się ożenić z Joanną, ale ona nie chce o tym słyszeć, dopóki nie pozna wyniku odwołania. Nie zgadza się na zaręczyny, żeby nie nastawiać przychylnie komisji. Uparła się, żeby wygrać sprawę ze względu na jej wagę, nie kierując się opinią publiczną.

- Związałeś się z naprawdę nadzwyczajną kobietą - powiedział Fletcher.

- Zgadza się z tobą - odparł Jimmy. - A przecież znasz sprawę tylko od jednej strony.

Napis „Porucznik Nat Cartwright” został wykaligrafowany na drzwiach jego małego biura w głównej kwaterze Dowództwa Wsparcia Wojskowego w Wietnamie, zanim jeszcze Nat przyleciał do Sajgonu.

Bardzo szybko zrozumiał, że oto został przykuty do swojego biurka na cały okres służby i nie będzie miał nawet okazji zobaczyć, gdzie przebiega linia frontu. Po przyjeździe nie dołączył do swojego pułku w terenie, lecz został przydzielony do Zabezpieczenia Bojowego Służb. Depesze pułkownika Tremletta najwidoczniej przyfrunęły do Sajgonu na długo przed nim.

W wykazie oficerów funkcyjnych Nat został wymieniony jako kwatermistrz, co sprawiało, że wszyscy zwierzchnicy zwalali na niego papierkową robotę, a podwładni ociągali się z wykonywaniem jego poleceń. Wyglądało to tak, jakby wszyscy brali udział w spisku; w jego wyniku Nat ślęczał w godzinach służby nad regulaminowymi formularzami, dotyczącymi tak różnych pozycji, jak gotowana fasola i śmigłowce Chinook. Co tydzień samoloty dostarczały do stolicy siedemset dwadzieścia dwie tony zaopatrzenia i Nat miał za zadanie dopilnować, żeby te dostawy trafiły na linię frontu. Każdego miesiąca przez jego ręce przechodziło ponad dziewięć tysięcy pozycji. Wszystko tam docierało - oprócz niego. Posunął się nawet do tego, że sypiał z Molliej sekretarką dowódcy, ale szybko pojął, że dziewczyna nie ma żadnego wpływu na swojego szefa, choć nieźle opanowała tajniki sztuki niewojennej.

Co wieczór Nat wychodził z biura coraz później i nawet zaczynał się zastanawiać, czy jest w ogóle w jakimś obcym kraju. Jeśli na lunch je się big maca i popiją coca-colą, na obiad zjada się pieczonego kurczaka z Kentucky Fried Chicken i wypija puszkę budweisera, a następnie wraca co wieczór do kwater oficerskich, aby oglądać w telewizji wiadomości stacji ABC i powtórki „Sunset Strip 77”, to jak można sądzić, że człowiek wyjechał z kraju?

Nat wykonał kilka ukradkowych prób dołączenia do swojego pułku na linii frontu, ale zrozumiał, że wpływ pułkownika Tremletta sięga daleko; podania o przeniesienie wracały na jego biurko miesiąc później z adnotacją: Odmowa; ponowny wniosek można złożyć po upływie miesiąca.

Kiedy Nat zwracał się z prośbą o rozmowę w celu przedyskutowania sprawy z oficerem polowym, nigdy nie udało mu się dotrzeć do nikogo powyżej majora. Za każdym razem inny oficer poświęcał pół godziny na przekonanie Nata, że w zaopatrzeniu wykonuje cenną i potrzebną robotę. Teczka z zapisem jego bojowych dokonań była najcieńsza w całym Sajgonie.

Nat zaczynał zdawać sobie sprawę, że jego ideowa postawa niczemu nie służy. Za miesiąc Tom rozpocznie drugi rok studiów w Yale, a on może się tylko pochwalić fryzurą na jeża i tajną wiedzą na temat tego, ile spinaczy zużywa co miesiąc armia amerykańska w Wietnamie.

Siedział w biurze, przygotowując się do przyjęcia nowej partii poborowych, którzy mieli się zameldować w Sajgonie w najbliższy poniedziałek, kiedy nagle wszystko się odmieniło.

Dokumenty dotyczące zakwaterowania, umundurowania i przewozów zajęły mu cały dzień, do samego wieczora. Na kilku widniała pieczętka Pilne, gdyż dowódca zawsze chciał mieć pełne informacje na temat każdej nowej partii żołnierzy, zanim jeszcze wylądowali w Sajgonie. Nat nie zdawał sobie sprawy, ile czasu zajęło mu to zadanie i kiedy w końcu wypełnił ostatni z formularzy, postanowił podrzucić je w biurze adiutanta, a potem coś zjeść w kantynie oficerskiej.

Kiedy przechodził obok centrum dowodzenia, poczuł gniew. Całe szkolenie, jakie przeszedł w Fort Dix i Fort Benning, było zwykłą stratą czasu. Choć dochodziła ósma, w centrum siedziało kilkunastu dyżurnych,

których paru znał osobiście, obsługujących telefony i aktualizujących na bieżąco mapę operacyjną Wietnamu Północnego.

Wracając z biura adiutanta, Nat zajął do nich, aby zapytać, czy ktoś jest wolny i wybierze się z nim na kolację. Usłyszał, że mowa jest o ruchach oddziałów drugiego batalionu 503. pułku spadochronowego. Wymknąłby się stamtąd i poszedł na kolację sam, gdyby nie to, że był to jego pułk. Drugi batalion znalazł się pod ogniem zaporowym moździerzy Wietkongu i przed kolejnym atakiem musiał się okopać po przeciwnej stronie rzeki Dyng. Nagle rozdzwonił się czerwony telefon stojący na biurku przed Natem, ale on nawet nie drgnął.

- Nie stójcie tak, poruczniku, odbierzcie i dowiedzcie się, czego chcą - polecił mu oficer sztabowy. Nat szybko wykonał rozkaz.

- Wzywamy pomocy, wzywamy pomocy. Tu kapitan Tyler, czy mnie słyszycie?

- Słyszę, kapitanie, tu porucznik Cartwright. Jak mogę pomóc?

- Mój pluton wpadł w zasadzkę Wietkongu tuż powyżej rzeki Dyng, współrzędne SE42 NNE71. Potrzebuję wsparcia eskadry śmigłowców, łącznie z pełnym zapleczem medycznym. Mam pięćdziesięciu sześciu ludzi, jedenastu już wyłączonych z walki: trzech zabitych, ośmiu rannych.

Sierżant sztabowy skończył właśnie rozmawiać przez inny telefon.

- Jak się połączyć z oddziałami ratunkowymi? - spytał Nat.

- Skontaktuj się z bazą Kosów na lotnisku Eisenhowera. Podnieś słuchawkę białego telefonu i podaj dowódcy wachty ich współrzędne.

Nat złapał za biały telefon i usłyszał w słuchawce zaspany głos.

- Tu porucznik Cartwright - powiedział. - Odebraliśmy wezwanie o pomoc. Dwa plutony w zasadzce po północnej stronie rzeki Dyng, współrzędne SE42NNE71; zostali oskrzydleni i potrzebują natychmiastowej pomocy.

- Powiedz im, że za pięć minut będziemy w powietrzu i lecimy do nich - teraz głos w słuchawce był już w pełni rozbudzony.

- Czy mogę do was dołączyć? - spytał Nat, przykrywając dłonią mikrofon telefonu, pewien, że spotka się z odmową.

- Czy masz uprawnienia do latania śmigłowcami UH-1?

- Tak - skłamał Nat.

- Doświadczenie w skokach?

- Przeszedłem szkolenie w Fort Benning - powiedział Nat. -

Szesnaście skoków z sześciuset stóp z - S-123, a poza tym ci ludzie są z mojego pułku.

- Wobec tego, poruczniku, jeśli dotrzecie tu na czas, to zapraszam.

Nat odłożył słuchawkę białego telefonu i wrócił do czerwonego.

- Zaraz startują, kapitanie - rzucił krótko.

Wypadł z centrum dowodzenia i pobiegł na parking. Za kierownicą działo drzemał dyżurny kapral. Nat wskoczył na siedzenie obok niego, uderzył dłonią w przycisk sygnału i rzucił:

- Baza Kosów, w pięć minut.

- Ale to prawie cztery mile, poruczniku - powiedział kierowca.

- Wobec tego lepiej się pośpieszyć, prawda, kapralu? - wrzasnął Nat.

Kapral włączył silnik, wrzucił bieg i z piskiem opon wyjechał z parkingu, z włączonymi wszystkimi światłami, jedną rękę trzymał cały czas na przycisku sygnału, a drugą na kierownicy.

- Szybciej, szybciej - powtarzał Nat, patrząc, jak przechodnie, którzy mimo godziny policyjnej wciąż jeszcze chodzili po ulicach Sajgonu,

uskakują przed dżipem na boki, a wraz z nimi kilka wystraszonych kurczaków. Trzy minuty później Nat zobaczył dwanaście śmigłowców Huey przycupniętych na płycie lotniska, które właśnie ukazało się ich oczom. Łopaty wirnika jednego już się obracały.

- Gaz do dechy! - polecił Nat.

- Dalej jest już tylko podłoga, panie poruczniku - odpowiedział kapral, kiedy w światłach dżipa ukazała się brama wjazdowa na lotnisko.

Nat policzył znowu: teraz obracały się już łopaty siedmiu maszyn.

- Cholera! - zaklął, kiedy od ziemi oderwał się pierwszy śmigłowiec.

Dżip zatrzymał się z piskiem opon przy bramce, gdzie żandarm zażądał okazania dokumentów.

- Muszę być w jednej z tych maszyn najpóźniej za minutę - krzyczał Nat, podając papiery. - Czy możecie się pośpieszyć?

- Robię tylko to, co do mnie należy, poruczniku - powiedział żandarm, sprawdzając dokumenty.

Gdy tylko im je oddano, Nat wskazał jedyny z helikopterów, którego łopaty się nie kręciły. Kapral ruszył ostro w tym kierunku, zatrzymując się z poślizgiem tuż przy otwartych drzwiach maszyny, w momencie gdy śmigła zaczęły się obracać.

Pilot spojrzał w dół i szeroko się uśmiechnął.

- Ledwoście zdążyli, poruczniku - powiedział. - Wchodźcie na pokład. - Śmigłowiec uniósł się, nim Nat zdążył zapiąć pasy. - Chcecie usłyszeć najpierw dobrą czy złą wiadomość? - zapytał pilot.

- Wal! - rzucił Nat.

- Zasada w każdej akcji ratunkowej jest taka sama. Ten, kto wystartował ostatni, pierwszy ląduje na terenie wroga.

- A jaka jest ta zła-

- Wyjdiesz za mnie? - zapytał Jimmy.

Joanna się odwróciła i spojrzała na mężczyznę, który w ciągu ostatniego roku uczynił ją kobietą naprawdę szczęśliwą.

- Żółtodziobie, jeżeli zechcesz zadać mi to pytanie w dniu, kiedy skończysz studia, to odpowiem „tak”, ale dzisiaj mówię „nie”.

- Ale dlaczego? Co mogłoby się zmienić za rok czy dwa?

- Będiesz trochę starszy i być może trochę mądrzejszy - odparła Joanna z uśmiechem. - Ja mam dwadzieścia pięć lat, a ty nie skończyłeś jeszcze dwudziestu.

- Jakie to ma znaczenie, skoro chcemy być razem przez całe życie?

- Takie, że może poczujesz inaczej, kiedy ja będę mieć pięćdziesiąt lat, a ty czterdzieści pięć.

- Mylisz się - rzekł Jimmy. - Mając pięćdziesiątkę, będziesz w kwiecie wieku, a ja stanę się wypalonym wrakiem, więc łap mnie teraz, kiedy jeszcze tli się we mnie trochę energii.

Joanna się roześmiała.

- Nie zapominaj, żółtodziobie, że nasze przejścia w ostatnich tygodniach mogły wpłynąć na twój osąd.

- Nie zgadzam się z tobą. Uważam, że one mogły tylko wzmocnić nasz związek.

- Niewykluczone - powiedziała Joanna - ale nie powinno się nigdy podejmować nieodwołalnej decyzji, kierując się dobrą czy złą wiadomością, bo może się zdarzyć, że jedno z nas zmieni zdanie, kiedy cała wrzawa ucichnie.

- Ty zmieniłaś? - zapytał Jimmy cichym głosem.

- Nie - odparła Joanna zdecydowanym tonem, musnąwszy policzek Jimmy'ego. - Ale moi rodzice są małżeństwem prawie od trzydziestu lat, a dziadkowie dożyli złotych godów i kiedy ja wyjdę za mąż, to chcę, żeby to było na całe życie.

- To jeszcze jeden powód, żeby się pospieszyć oświadczył Jimmy - bo jeśli mamy obchodzić złote gody, muszę dożyć siedemdziesiątki.

- Założę się, że twój przyjaciel Fletcher by się ze mną zgodził.

- Możliwe, ale nie wyjdiesz za Fletchera. W każdym razie mogę się założyć, że on przeżyje razem z moją siostrą co najmniej pięćdziesiąt lat.

- Posłuchaj, Jimmy, kocham cię z całego serca, ale pamiętaj, że przyszłej jesieni ja będę na Columbii, a ty wciąż w Yale;

- Może jeszcze rozmyślisz się i nie weźmiesz tej posady w Columbii.

- Nie. Komisja zmieniła decyzję wyłącznie pod wpływem opinii publicznej. Gdybyś widział ich twarze w chwili ogłaszania werdyktu, zrozumiałbyś, że nie mogą się doczekać mojego odejścia. Postawiliśmy na swoim, żółtodziobie, a teraz myślę, że dla wszystkich będzie lepiej, jak odejdę.

- Nie dla wszystkich - zaprotestował cicho Jimmy.

- Bo jak nie będę ich drażnić swoją obecnością, o wiele łatwiej przyjdzie im zmienić regulamin - powiedziała Joanna, pomijając milczeniem jego uwagę. - Za dwadzieścia lat studenci nie będą chcieli uwierzyć, że taki idiotyczny przepis w ogóle istniał.

- Wobec tego będę musiał sobie wyrobić bilet okresowy i dojeżdżać do Nowego Jorku, bo nie chcę cię stracić z oczu.

- Obiecuję wychodzić po ciebie na stację, ale mam nadzieję, że będziesz uwodził inne kobiety, jak stąd wyjadę. Jednak jeśli tego dnia, kiedy odbierzesz dyplom, nadal zechcesz mnie poślubić, z radością się zgodzę - dodała. W tej chwili zadzwonił budzik.

- Cholera - zaklął Jimmy, wyskakując z łóżka. - Czy mogę pierwszy skorzystać z łazienki, bo o dziewiątej mam wykład, a nie znam nawet jego tematu?

- Napoleon i jego wpływ na rozwój prawa amerykańskiego - przypomniała Joanna.

- O ile pamiętam, kiedyś powiedziałeś, że żadne inne narody nie miały takiego wpływu na nasze prawo jak Rzymianie i Anglicy.

- Masz za to plus, ale mimo to musisz przyjść na mój wykład o dziewiątej, jeśli się chcesz dowiedzieć dlaczego. Przy okazji, czy mogłabym cię prosić o dwie rzeczy?

- Tylko dwie? - zapytał, odkręcając kurek prysznicza.

- Czy mógłbyś przestać wpatrywać się we mnie na każdym moim wykładzie jak zagubione szczenię?

Jimmy wychylił głowę zza drzwi.

- Nie, nie mógłbym - odparł, patrząc, jak Joanna zrzuca z siebie nocną koszulkę. - A druga?

- A czy mógłbyś przynajmniej udawać, że interesuje cię to, co mówię, i nawet czasem coś zanotować?

- Po co miałbym się trudzić, skoro to ty oceniasz moje prace?

- Bo może cię nie zadowolić stopień, jaki otrzymałeś za ostatnie wypracowanie. - Joanna dołączyła do niego pod prysznicem.

- O! A ja miałem nadzieję, że akurat za to arcydzieło postawisz mi piątkę - powiedział Jimmy, namydlając jej piersi.

- A może pamiętasz, kogo wymieniłeś jako osobę, która twoim

zdaniem miała największy wpływ na Napoleona?

- Józefinę - odparł Jimmy bez wahania.

- Może nawet jest to poprawna odpowiedź, ale nie taką podałeś w swojej pracy.

Jimmy wyszedł spod prysznic i złapał ręcznik.

- Co napisałem? - zapytał, odwracając ku niej głowę.

- Że największy wpływ na Napoleona miała Joanna.

Parę minut później dwanaście śmigłowców leciało w formacji tworzącej literę „V”. Nat spojrzął do tyłu na dwóch strzelców, którzy z napięciem wpatrywali się w czerń bezchmurnej nocy. Nałożył słuchawki i wsłuchiwał się w słowa porucznika.

- Kos Jeden do grupy, za cztery minuty znajdziemy się poza przestrzenią powietrzną sił sprzymierzonych, spodziewam się, że na miejscu będziemy o dwudziestej pierwszej.

Nat siedział wyprostowany, słuchając słów młodego pilota. Spojrzął przez boczne okno na gwiazdy, nigdy niewidoczne nad amerykańskim kontynentem. Czuł ogarniające go podniecenie, kiedy zbliżali się do linii wroga. Nareszcie wiedział, że uczestniczy w tej przekłętej wojnie. Dziwiło go jedynie, że nie odczuwa strachu. Może to przyjdzie później.

- Wchodzimy w obszar nieprzyjaciela - oznajmił porucznik takim tonem, jakby mówił o przejściu na drugą stronę ruchliwej ulicy. - Czy mnie słyszycie tam na dole?

Na linii rozległy się trzaski, a potem odezwał się głos.

- Słyszę was, Kos Jeden, jaką macie pozycję? - Nat rozpoznał południowy akcent kapitana Dicka Tylera.

- Znajdujemy się około pięćdziesięciu mil na południe od was.

- Zrozumiałem, spodziewam się was za piętnaście minut.

- Przyjąłem. Zobaczycie nas w ostatniej chwili, bo wyłączyliśmy wszystkie światła zewnętrzne.

- Zrozumiałem - odpowiedział ten sam głos. - Czy wyznaczyliście jakieś miejsce do lądowania?

- Kawałek osłoniętego terenu na występie skalnym tuż poniżej miejsca, gdzie jesteśmy - odpowiedział Tyler - ale może tam lądować naraz tylko jedna maszyna, a przy tym deszczu, nie mówiąc o błocie, to będzie cholernie trudne.

- Jaka jest wasza aktualna pozycja?

- Współrzędne się nie zmieniły, jesteśmy tuż na północ od rzeki Dyng. - Tyler zamilkł na moment. - I wydaje mi się, że oddziały Wietkongu już się zaczęły przeprawiać przez rzekę.

- Ilu masz ludzi?

- Siedemdziesięciu ośmiu. - Nat wiedział, że pełny stan dwóch plutonów to dziewięćdziesięciu sześciu ludzi.

- A ile ciał? - spytał porucznik lotnictwa, jak gdyby się dowiadywał, ile kapitan piechoty chce jajek na śniadanie.

- Osiemnaście.

- W porządku, przygotuj się do załadowania sześciu ludzi i dwóch ciał do każdego śmigłowca i uwijajcie się.

- Będziemy gotowi - powiedział Tyler. - Która u ciebie godzina?

- Dwudziesta trzydzieści trzy - odparł porucznik.

- Wobec tego o dwudziestej czterdzieści osiem wystrzelę czerwoną flarę.

- Dwudziesta czterdzieści osiem, czerwona flara - powtórzył

porucznik. - Zrozumiałem, bez odbioru!

Nat podziwiał jego spokój w sytuacji, kiedy za dwadzieścia minut on sam, drugi pilot i obaj tylni strzelcy mogą już nie żyć. Ale jak często przypominał mu pułkownik Tremlett, więcej ludzkich istnień uratowali ludzie umiejący zachować zimną krew niż ci odważni.

Przez następne piętnaście minut nikt się nie odzywał. Nat miał czas, by rozmyślać o podjętej decyzji; czy on też za dwadzieścia minut będzie martwy?

Podczas tej ciszy radiowej Nat patrzył w dół na przesuającą się tuż pod nim gęstą dżunglę, oświetloną jedynie przez pół księżyca, i przeżył najdłuższe piętnaście minut w życiu. Obejrzał się do tyłu na strzelców. Ściskali już karabiny, palce trzymali na spustach, przygotowani na ewentualne kłopoty. Spoglądał przez boczne okno, kiedy nagle wystrzeliła w niebo czerwona flara. Nie mógł oprzeć się myśli, że mniej więcej o tej porze piły w kantine wieczorną kawę.

- Tu Kos Jeden do eskadry - powiedział pilot, przerywając ciszę radiową. - Włączycie światła pozycyjne dopiero na trzydzieści sekund przed miejscem lądowania i pamiętajcie, ja siadam pierwszy.

Przed kabiną śmigłowca przeleciała seria zielonych punkcików pocisków smugowych i tylni strzelcy natychmiast otworzyli ogień.

- Nieprzyjaciel nas namierzył - powiedział sucho pilot. Przechylił mocno maszynę na prawą stronę i Nat zobaczył po raz pierwszy nieprzyjaciela. Żołnierze Wietkongu wspinali się zboczem wzgórza, zaledwie o kilkaset jardów od miejsca, gdzie miał wylądować helikopter.

Fletcher przeczytał artykuł w „Washington Post”. Opisywał bohaterski epizod, pobudzający wyobraźnię amerykańskiego społeczeństwa, które najchętniej by o tej wojnie zapomniało. Grupa siedemdziesięciu ośmiu żołnierzy piechoty, osaczonych w północnowietnamskiej dżungli przez przeważające siły Wietkongu, została uratowana przez eskadrę śmigłowców, które przeleciały nad niebezpiecznym terenem, ale nie mogły wylądować pod ogniem nieprzyjaciela. Fletcher studiował szczegółową mapkę na sąsiedniej stronie. Porucznik lotnictwa Chuck Philips pierwszy zanurkował i wyciągnął z pułapki sześciu żołnierzy. W czasie akcji ratunkowej musiał utrzymywać się kilka stóp nad ziemią. Nie zauważył, że na sekundę, zanim poderwał śmigłowiec, aby zrobić miejsce następnemu, inny oficer, porucznik Cartwright, wyskoczył z maszyny na ziemię.

Wśród ciał zabranych na pokład trzeciego helikoptera były zwłoki dowódcy, kapitana Dicka Tylera. Porucznik Cartwright przejął natychmiast dowodzenie kontratakami, równocześnie koordynując akcję ratowania pozostałych żołnierzy. Pole walki opuścił na końcu, w ostatnim śmigłowcu. Wszystkie dwanaście maszyn odleciało w stronę Sajgonu, ale tylko jedenaście wylądowało na lotnisku Eisenhowera.

Brygadier Hayward natychmiast zarządził wysłanie ekipy ratunkowej i tych samych jedenastu pilotów, wraz z załogami, zgłosiło się na ochotnika do akcji poszukiwania zaginionego Hueya, ale mimo wielokrotnych wypadów na teren wroga nie natrafili na ślad Kosa Dwanaście. Hayward podawał potem Nata Cartwrighta - żołnierza z poboru, który przerwał studia na Uniwersytecie Connecticut na pierwszym roku, aby wstąpić do wojska - jako godny do naśladowania przez wszystkich Amerykanów wzór człowieka, który, jak to ujął Lincoln, „dał dowód najwyższego poświęcenia”.

- Znajdziemy go, żywego czy martwego - ślubował Hayward.

Kiedy Fletcher przeczytał życiorys Nata Cartwrighta i dowiedział się, że obaj urodzili się tego samego dnia, w tym samym mieście i szpitalu, zaczął przeglądać wszystkie gazety w poszukiwaniu artykułów, w których o nim wspomiano.

Nat wyskoczył z pierwszego śmigłowca, kiedy ten zawisł kilka stóp nad ziemią. Pomagał kapitanowi Tylerowi, który polecił pierwszej grupie żołnierzy ładować się na pokład pośród kul i odłamków rozpryskujących się pocisków moździerzowych.

- Przejmij dowodzenie - powiedział Tyler - ja wracam, żeby zorganizować ewakuację. Będę ci podsyłał po sześciu ludzi.

- Dobra! - krzyknął Nat. Pierwszy śmigłowiec pochylił się na lewą stronę, po czym wzniósł się ku niebu. Kiedy mimo nieustającego ostrzału nadleciał drugi, Nat spokojnie załadował do niego kolejną grupę sześciu żołnierzy. Spojrzał w dół zbocza i zobaczył, jak Dick Tyler, zapewniając im osłonę, równocześnie wydaje rozkazy następnej grupie i odsyła ją do niego. Kiedy Nat się odwrócił, zaczął się opuszczać trzeci helikopter, aby zawisnąć tuż nad błotnistym skrawkiem gruntu. Starszy sierżant i pięciu żołnierzy podbiegli do boku maszyny i zaczęli się wdrapywać na pokład.

- Cholera! - zaklął sierżant, obejrzawszy się za siebie. - Kapitan oberwał.

Nat się odwrócił i zobaczył Tylera leżącego twarzą w błocie. Dwóch żołnierzy natychmiast podniosło go z ziemi. Szybko ponieśli ciało w kierunku czekającego śmigłowca.

- Zastąpcie mnie, sierżancie - rozkazał Nat i pobiegł w dół ku skalnemu występowi. Złapał M 60 poległego kapitana, zajął dogodną pozycję i zaczął strzelać w kierunku nacierającego wroga. Zdołał przy tym wyznaczyć sześciu kolejnych ludzi, którzy mieli biec w górę do czwartego śmigłowca. Tkwił na skalnym występie około dwudziestu minut, odpierając ataki nacierającego nieprzyjaciela, a tymczasem jego grupa wsparcia cały czas topniała, bo wciąż posyłał ludzi w górę zbocza do helikopterów.

Sześciu ostatnich żołnierzy wycofało się z występu dopiero wtedy, gdy zobaczyli, że Kos Dwanaście zniża pułap. Kiedy Nat w końcu się odwrócił i zaczął biec w górę zbocza, kula przeszła mu nogę. Wiedział, że powinien poczuć ból, ale dalej biegł tak szybko jak nigdy w życiu. Strzelając w biegu, dotarł do otwartych drzwi maszyny i usłyszał, jak starszy sierżant woła:

- Kurwa mać, ładuj się pan w końcu, poruczniku!

Wciągnął Nata do środka, a śmigłowiec przechylił się najpierw do przodu, po czym odbił ostro w prawo, rzucając go na podłogę; maszyna, kołyszając się na boki, szybko odleciała.

- Wszystko wporządku? - spytał lotnik.

- Chyba tak - wydyszał Nat, który spostrzegł, że leży na ciele zabitego szeregowca.

- Typowe dla piechoty, nie potrafią nawet powiedzieć, czy jeszcze żyją. Przy odrobinie szczęścia i wiatrze z tyłu - dodał - powinniśmy zdążyć na śniadanie.

Nat patrzył na ciało martwego żołnierza, który jeszcze parę chwil temu walczył u jego boku. Przynajmniej rodzina będzie mogła wziąć udział w jego pogrzebie; często przychodziła tylko wiadomość, że syn poległ w akcji.

- Chryste! - usłyszał Nat jęk porucznika.

- Jakiś problem? - zapytał.

- Na to wygląda. Szybko tracimy paliwo; te dranie musiały trafić w zbiornik.

- Myślałem, że te maszyny mają dwa zbiorniki.

- A jak myślisz, na czym lecieliśmy w tę stronę, piechurze? - Pilot stuknął palcem we wskaźnik zbiornika paliwa, a potem spojrzął na licznik, żeby się zorientować, ile mil może jeszcze przelecieć. Migające czerwone światełko informowało, że jeszcze najwyżej trzydzieści, a potem będzie musiał siadać. Odwrócił się i zobaczył, że Nat wciąż leży na martwym żołnierzu.

- Muszę się rozejrzeć za jakimś miejscem do lądowania.

Nat patrzył przed otwarte drzwi, ale widział tylko bezmiar gęstego lasu.

Pilot włączył wszystkie światła, szukając prześwitu między koronami drzew, a zaraz potem Nat poczuł, że śmigłowiec wpadł w wibrację.

- Schodzę - zakomunikował pilot tak spokojnym głosem, jak przez cały czas operacji. - Chyba będziemy musieli odłożyć śniadanie.

- W prawo! - krzyknął Nat, dostrzegłszy przesiekę.

- Widzę - powiedział pilot, usiłując skierować helikopter ku otwartej przestrzeni, ale trzytonowy kolos nie chciał go słuchać. - Lądujemy, czy nam się to podoba czy nie.

Łopatki wirnika obracały się coraz wolniej, aż w pewnym momencie Nat odniósł wrażenie, że maszyna ześlizguje się w dół. Pomyślał o matce i miał wyrzuty sumienia, że nie odpowiedział na jej ostatni Ust, a potem o ojcu, który na pewno będzie z niego dumny. O Tomie i jego zwycięstwie w wyborach do rady uczelnianej Yale - czy kiedyś zostanie jej przewodniczącym? I o Rebecce, którą wciąż kochał i której pewnie nigdy kochać nie przestanie. Kiedy tak leżał, przywierając do podłogi, poczuł nagle, jak bardzo jest młody; miał w końcu tylko dziewiętnaście lat. Dowiedział się potem, że pilot, znany jako Kos Dwanaście, był tylko o rok starszy.

Gdy łopaty śmigłowca przestały się kręcić i maszyna cicho spływała ku drzewom, sierżant powiedział:

- Na wypadek gdybyśmy się mieli więcej nie spotkać, nazywam się Speck Foreman. Było zaszczytem poznać pana, poruczniku.

Uścisnęli sobie ręce, jak czynią ludzie po zakończeniu zawodów.

Fletcher wpatrywał się w zdjęcie Nata na pierwszej stronie „New York Timesa”. Nagłówek umieszczony powyżej oznajmiał:

„Amerykański bohater”. Facet, który zgłosił się do wojska natychmiast po otrzymaniu karty powołania, choć miał co najmniej trzy powody uprawniające do uzyskania zwolnienia. Został awansowany do stopnia porucznika, a później, będąc kwatermistrzem, przejął dowodzenie akcją ratowania z opresji zabłąkanego plutonu, który utknął po nieprzyjacielskiej stronie rzeki Dyng. Nikt nie potrafił wyjaśnić, w jaki sposób kwatermistrz znalazł się na pokładzie śmigłowca uczestniczącego w akcji na linii frontu.

Fletcher wiedział, że do końca życia będzie się zastanawiał, jak by postąpił, gdyby w jego skrzynce pocztowej znalazła się taka szara koperta. Ale na to pytanie mogą udzielić prawdziwej odpowiedzi tylko ci, którzy zostali poddani podobnej próbie. Nawet Jimmy przyznał, że porucznik Cartwright z pewnością był niezwykłym człowiekiem.

- Gdyby się to stało na tydzień przed głosowaniem - powiedział do

Fletchera - być może pokonałbyś Toma Russella. - Najważniejsze to wybrać odpowiedni moment.

- Nie, nie wygrałbym z nim - zaprzeczył Fletcher.

- Dlaczego? - zapytał Jimmy.

- To niesamowita historia - odpowiedział Fletcher. - Okazuje się, że Nat Cartwright to najbliższy przyjaciel Toma.

Eskadra jedenastu śmigłowców wróciła, aby odszukać zaginionych żołnierzy, ale efektem ich tygodniowych poszukiwań były tylko szczątki maszyny, która najprawdopodobniej eksplodowała w momencie uderzenia o drzewa. Zidentyfikowano trzy ciała, w tym porucznika lotnictwa Carla Moulda, ale mimo intensywnego przeczesywania terenu nie znaleziono nawet śladu po poruczniku Cartwrightcie i sierżancie Specku Foremanie. - Henry Kissinger, doradca do spraw bezpieczeństwa narodowego, zwrócił się do Amerykanów, żeby opłakiwali i czcili tych, którzy uosabiali męstwo wszystkich walczących na froncie żołnierzy.

- Nie powinien mówić o opłakiwaniu - zauważył Fletcher.

- Dlaczego? - spytał Jimmy.

- Bo Cartwright żyje.

- Skąd masz tę pewność?

- Nie wiem skąd odparł Fletcher - ale mówię ci: on żyje.

Nat nie pamiętał momentu, gdy uderzyli w drzewa ani kiedy został wyrzucony ze śmigłowca. Kiedy się w końcu ocknął, słońce paliło mu twarz. Leżał i zastanawiał się, gdzie jest, ale po chwili pamięć zaczęła przywoływać wydarzenia tamtej dramatycznej godziny.

Przez chwilę modlił się, choć wcale nie był pewny, czy jest Bóg. Potem uniósł prawą rękę. Funkcjonowała jak powinna, poruszył więc palcami, wszystkimi pięcioma. Opuścił rękę i podniósł lewą. Ona także posłuchała polecenia wysłanego z mózgu, znowu poruszył palcami i wszystkie zareagowały. Opuścił rękę i odczekał chwilę. Powoli uniósł prawą nogę i wykonał podobne ćwiczenie z palcami. Opuścił nogę, aby unieść drugą, i wtedy poczuł ból.

Przekreślił głowę w jedną stronę, w drugą, a potem oparł dłonie na ziemi. Znowu się pomodlił i wyęzając siły, uniósł się na rękach.

Zakreśliło mu się w głowie. Poczekał chwilę w nadziei, że drzewa przestaną wirować, a następnie spróbował wstać. Kiedy mu się to udało, usiłował wysunąć jedną nogę przed drugą, jak dziecko uczące się chodzić, a ponieważ nie upadł, postarał się wykonać taki sam ruch drugą nogą. Tak, tak, dzięki, tak, i wtedy znowu poczuł ból, zupełnie jak gdyby dotąd był pod wpływem środka znieczulającego.

Opadł na kolana i zbadał łydkę lewej nogi, przez którą kula przeszła na wylot. Mrówki wędrowały swobodnie po ranie, nie przejmując się tym, że ta istota wciąż żyła. Trochę czasu zajęło mu usunięcie ich, zdejmował jedną po drugiej, po czym obwiązał nogę oddartym od koszuli rękawem. Spojrzał w górę ku słońcu, które zachodziło za wzgórze. Miał niewiele czasu, żeby sprawdzić, czy któryś z jego kolegów przeżył.

Stojąc, wykonał pełny obrót, i zatrzymał się dopiero wówczas, kiedy zauważył dym wydobywający się z lasu. Kuśtykając, ruszył w tym kierunku. Kiedy natknął się na zwęglone zwłoki młodego pilota, którego nazwiska nawet nie znał, zwymiotował. Kurtka porucznika zwiślała z gałęzi. Tylko po naszywkach można się było zorientować, do kogo należała. Nat postanowił, że pochowa go później, teraz musi ścigać się ze słońcem. I w tym momencie usłyszał jęk.

- Gdzie jesteś? - krzyknął. Jęk zabrzmiał trochę głośniejsz. Nat odwrócił się i zobaczył masywną sylwetkę sierżanta Foremana uwięzioną w gałęziach drzewa, tuż nad wrakiem śmigłowca. Kiedy dotarł do niego, jęk stał się jeszcze głośniejszy. - Czy mnie słyszysz? - zapytał Nat. Kiedy ściągał go na ziemię, mężczyzna otworzył na moment oczy. Nat wyszeptał: - Nie martw się, dostarczę cię do domu - zupełnie jak jakiś bohater z komiksu. Odpiął kompas od paska sierżanta i spojrzął ku słońcu. I wtedy dostrzegł wśród gałęzi nosze. Krzyknąłby z radości, gdyby tylko wiedział, jak je stamtąd ściągnąć. Powłókł się pod drzewo. Podskakując na jednej nodze, zdołał, chwycić gałąź i potrząsnął nią w nadziei, że uda mu się je strącić. Już miał się poddać, kiedy przesunęły się o parę cali. Szarpał gałęzią coraz energiczniej. Nosze znowu się przesunęły i nagle, bez ostrzeżenia, runęły z trzaskiem na ziemię. Wylądowałyby mu na głowie, gdyby nie usunął się prędko na bok. Nie mógł uskoczyć.

Chwilę odpoczął, po czym powoli uniósł starszego sierżanta i ostrożnie ułożył go na noszach. Następnie usiadł na ziemi i patrzył, jak słońce znika za najwyższym drzewem, skończywszy swój dzienny dyżur na tym terenie.

Czytał kiedyś o pewnej matce, która po wypadku samochodowym utrzymywała swoje dziecko przy życiu, mówiąc do niego całą noc. On też przemawiał do sierżanta do świtu.

Fletcher czytał z niedowierzaniem, jak przy pomocy miejscowych wieśniaków porucznik Nat Cartwright włókł nosze od wioski do wioski, przez dwieście jedenaste mil i siedemnaście razy oglądał wschód i zachód słońca, zanim dotarł na przedmieścia Sajgonu, skąd obu żołnierzy odwieziono do najbliższego szpitala polowego.

Starszy sierżant Speck Foreman zmarł trzy dni później, a ten, który go ratował, sam teraz walczył o życie.

Fletcher łowił najdrobniejsze nawet informacje, jakie tylko udało mu się znaleźć o Cartwrightcie, i ani przez chwilę nie wątpił, że porucznik przeżyje.

Tydzień później przetransportowano Nata samolotem do bazy Camp Nama w Japonii, gdzie go operowano, żeby uratować mu nogę. W następnym miesiącu mógł już wrócić na rekonwalescencję do kraju, do szpitala wojskowego imienia Waltera Reeda w Waszyngtonie.

Eletcher zobaczył potem Nata Cartwrighta na pierwszej stronie „New York Timesa”, jak wymieniał uścisk dłoni z prezydentem Johnsonem w Ogrodzie Różanym Białego Domu.

Odnaczono go Medal of Honour.

Michael i Susan Cartwrightowie byli „zauroczeni” wizytą w Białym Domu z okazji odnaczenia jedyne go syna Medal of Honour.

Po uroczystości, która odbyła się w Ogrodzie Różanym, prezydent Johnson wysłuchał z uwagą perory ojca Nata o tym, co by się działo, gdyby wszyscy Amerykanie dożyli dziewięćdziesiątki i nie byli odpowiednio ubezpieczeni na życie.

- W przyszłym stuleciu Amerykanie spędzą tyle samo lat na emeryturze co w pracy - LBJ powtórzył członkom gabinetu rządowego następnego ranka.

W drodze powrotnej do Cromwell matka spytała Nata, jakie ma plany na przyszłość.

- Nie jestem pewien, bo to nie ode mnie zależy - odparł. - Dostałem rozkaz, żeby się zgłosić do Fort Benning w poniedziałek i wtedy się

dowiem, co mi szykuje pułkownik Tremlett.

- Jeszcze jeden zmarnowany rok - skwitowała matka.

- Szkoła charakteru - rzekł ojciec, wciąż rozpromieniony po długiej pogawędce z prezydentem.

- Uważam, że Nat miał jej aż nadto - odpowiedziała matka.

Nat się uśmiechnął, wyglądając przez okno i napawając się widokiem krajobrazu Connecticut. Kiedy włókł nosze przez siedemnaście dni i nocy, prawie bez snu i jedzenia, zadawał sobie pytanie, czy zobaczy jeszcze kiedyś rodzinne strony. Musiał się zgodzić z tym, co powiedziała matka. Gniewała go myśl o całym roku zmarnowanym na papierkową robotę, prężenie się przed zwierzchnikami i odpowiadanie na salutowanie podwładnym, a potem szkolenie kogoś innego, żeby zajął jego miejsce. Zwierzchnicy wyraźnie dali mu do zrozumienia, że nie pozwolą, żeby jeden z nielicznych uznanych amerykańskich bohaterów narażał życie, powracając do Wietnamu.

Wieczorem przy kolacji ojciec, powtórzywszy kilkakrotnie swoją rozmowę z prezydentem, w końcu poprosił Nata, żeby opowiedział więcej o Wietnamie.

Ponad godzinę Nat opisywał Sajgon, wietnamską wieś i ludzi, z rzadka tylko wspominając o swojej pracy kwatermistrza.

- Wietnamczycy są pracowici i przyjaźni - mówił rodzicom - i wydają się szczerze zadowoleni z naszej obecności, ale nikt po obu stronach nie wierzy, że zostaniemy tam na zawsze. Boję się, że historia oceni cały ten epizod jako niepotrzebny i szybko zostanie on wymazany ze świadomości narodu. - Zwrócił się do ojca. - Twoja wojna miała przynajmniej jakiś cel, - Matka skinęła potakująco głową i Nat się zdziwił, że ojciec od razu nie zaprzeczył.

- Czy utkwilo ci w pamięci coś szczególnego? - zagadnęła matka z nadzieją, że syn coś powie o swoich przeżyciach na froncie.

- Owszem. Brak równości wśród ludzi.

- Ale przecież robimy co w naszej mocy, żeby pomóc ludności Wietnamu Południowego - odezwał się ojciec.

- Tato, ja nie mówię o Wietnamczykach - odparł Nat. - Mówię o tych, do których Kennedy się zwracał „moi współrodacy Amerykanie”...

- Amerykanie? - powtórzyła matka.

- Tak, bo najbardziej utkwilo mi w pamięci, jak traktujemy nieszczęsne mniejszości, a szczególnie czarnych. Tak wielu trafiło na pole bitwy tylko dlatego, że nie było ich stać na sprytnych adwokatów, którzy by im poradzili, jak uniknąć powołania do wojska.

- Ale twój najbliższy przyjaciel.

- Wiem - rzekł Nat. - I cieszę się, że Tom się nie zaciągnął, bo mógł go spotkać taki los jak Dicka Tylera.

- Więc żałujesz swojej decyzji? - spytała cicho matka.

Nat nie odpowiedział od razu.

- Nie - rzekł w końcu - ale często przychodzi mi na myśl Speck Foreman, jego żona i trójka dzieci w Alabamie, i zastanawiam się, jaki sens miała jego śmierć.

Następnego ranka Nat wstał wcześniej, żeby złapać pierwszy pociąg do Fort Benning. Kiedy pociąg zajechał na stację w Cohimbus, spojrzął na zegarek. Do spotkania z pułkownikiem miał jeszcze godzinę, postanowił więc przejść na piechotę dwie mile do akademii.

Po drodze ciągle mu przypominano, że jest w mieście

garnizonowym, gdyż co chwila musiał przykładać rękę do czapki w odpowiedzi wszystkim poniżej rangi kapitana. Niektórzy się uśmiechali, spostrzegłszy na jego piersi Medal of Honour, niczym na widok gwiazdy futbolu w college.

Stał przed biurkiem pułkownika Tremletta całe piętnaście minut przed wyznaczonym spotkaniem.

- Dzień dobry, kapitanie Cartwright. Pułkownik polecił mi zaprowadzić pana do swego gabinetu, jak tylko się pan pokaże - rzekł młodzieńcy adiutant.

Nat wmaszerował do biura pułkownika, stanął na baczność i zaszalutował. Tremlett wstał, okrążył biurko i objął Nata. Adiutant nie mógł ukryć zdziwienia, bo myślał, że tylko Francuzi w ten sposób witają swoich kolegów oficerów. Pułkownik wskazał Natowi miejsce po drugiej stronie biurka, po czym wrócił na swoje krzesło, otworzył pękatą tekturową teczkę i zaczął ją przeglądać.

- Nat, czy wiesz, co chciałbyś robić przez następny rok? - spytał.

- Nie wiem, panie pułkowniku, ale skoro nie mogę wrócić do Wietnamu, chętnie przyjmę pańską wcześniejszą propozycję i zostanę w akademii, żeby pomagać w naborze kandydatów.

- To stanowisko jest już zajęte - rzekł Tremlett. - Zresztą nie jestem pewien, czy to byłoby dla ciebie najlepsze na dłuższą metę.

- Czy ma pan coś innego na myśli? - spytał Nat.

- Skoro o tym wspomniałeś, to przyznaję, że tak - powiedział pułkownik. - Jak się dowiedziałem, że wracasz, zwróciłem się do najlepszych prawników w akademii po radę. Zwykle mam ich w pogardzie to ludek, który rozgrywa swoje walki tylko w salach sądowych - ale muszę przyznać, że tym razem jeden z nich wykazał się dużą pomysłowością. - Nat nie zareagował, bo bardzo chciał się dowiedzieć, co pułkownik trzyma w zanadrzu. - Przepisy można interpretować na wiele sposobów. Inaczej co by prawnicy mieli do roboty - Rok temu powołano cię do wojska i po przeszkoleniu oficerskim wysłano do Wietnamu, gdzie, Bogu dzięki, dowiodłeś, że nie miałem racji.

Nat miał ochotę powiedzieć: pułkowniku, mówże pan, ale się pohamował.

- Aha, Nat, zapomniałem zapytać, czy napiłbyś się kawy.

- Nie, dziękuję, panie pułkowniku - odparł Nat, starając się nie okazać zniecierpliwienia.

Pułkownik się uśmiechnął.

- A ja się napiję. - Podniósł słuchawkę telefonu. - Dan, przynieś mi kawę, dobrze? - powiedział. - I może jeszcze kilka pączków. - Spojrzał na Nata. - Na pewno się nie skusisz?

- Pan się dobrze bawi, panie pułkowniku, prawda? - zagadnął Nat z uśmiechem.

- Szczerze mówiąc, tak - odparł pułkownik. - Widzisz, nakłonienie Waszyngtonu, żeby zaaprobował moją propozycję, zajęło mi kilka tygodni, więc chyba mi wybaczysz, jeżeli będę sobie dogadzał jeszcze przez parę minut.

Nat uśmiechnął się kwaśno i rozsiadł się wygodniej.

- Jak się wydaje, masz kilka możliwości, ale moim zdaniem prawie wszystkie oznaczają kompletną stratę czasu. Na przykład, mógłbyś się starać o zwolnienie na tej podstawie, że zostałeś ranny w akcji. Gdybyśmy poszli tą drogą, dostałbyś niewielką rentę i byłbyś wolny za jakieś pół roku -

służyłeś jako oficer zaopatrzeniowy, to wiesz, ile trwa papierkowa robota. Oczywiście mógłbyś, jak to sugerowałeś, odbyć do końca służbę tu w akademii, ale czy ja potrzebuję w personelu kaleki? - zapytał pułkownik z szerokim uśmiechem, akurat kiedy do pokoju wkroczył adiutant z tacą parującej kawy i dwiema filiżankami. - Mógłbyś też zostać odkomenderowany do innej, przyjemniejszej placówki jak Honolulu, ale chyba nie musisz jechać tak daleko, żeby sobie znaleźć jakąś roztańczoną dziewczynę. Ale cokolwiek bym ci zaoferował - pułkownik znów zajrzał do teczki Nata - to musiałbyś jeszcze przez rok stawać na baczność i stukać obcasami. Dlatego teraz cię zapytam: Co zamierzasz robić, jak odsłużysz swoje dwa lata?

- Wrócić na uniwersytet i kontynuować studia, panie pułkowniku.

- Właśnie tak myślałem - rzekł pułkownik. - Więc to będziesz robił.

- Ale nowy semestr zaczyna się w przyszłym tygodniu - powiedział Nat - a jak pan powiedział, sama robota papierkowa...

- Chyba że zaciągniesz się na następnych sześć lat, wtedy robota papierkowa potoczy zaskakująco się prędko.

- Zaciągnąć się na sześć lat? - Nat nie wierzył własnym uszom. - Ja bym chciał z wojska odejść, a nie w nim zostać.

- Odejdiesz, ale tylko wtedy, gdy się zaciągniesz na sześć lat.

Widzisz, Nat, z twoimi kwalifikacjami - dodał pułkownik, wstając i spacerując po pokoju - możesz natychmiast poprosić, żeby cię skierowano na dowolne wyższe studia i co więcej, wojsko je opłaci.

- Ale ja już mam stypendium - przypomniał Nat przełożonemu.

- Dobrze o tym wiem, tu jest wszystko - rzekł pułkownik, spoglądając w otwartą teczkę przed sobą. - Ale uniwersytet nie proponuje ci uposażenia kapitana.

- Dostawałbym pieniądze za studia? - zdziwił się Nat.

- Tak, pełne uposażenie kapitana plus dodatek za służbę za granicą.

- Co takiego? Przecież nie zamierzam studiować w Wietnamie - chcę wrócić na Uniwersytet Connecticut, a potem wybieram się do Yale.

- I wrócisz, ponieważ przepisy stanowią, że jeżeli, i tylko jeżeli, służyłeś w wojsku za granicą, to, cytuję - tu pułkownik przewrócił kartkę - wniosek o wyższe wykształcenie uzyska status odpowiadający ostatniemu zaszeregowaniu aplikanta. Pokochałem prawników - rzekł pułkownik, podnosząc wzrok - bo, choć trudno w to uwierzyć, wykombinowali jeszcze coś lepszego. - Trimlett pociągnął łyk kawy. Nat milczał. - Nie dość, że otrzymasz uposażenie kapitana i dodatek za służbę za granicą - ciągnął pułkownik - to jeszcze, ponieważ byłeś ranny, po upływie sześciu lat zostaniesz automatycznie zwolniony i będziesz uprawniony do emerytury przysługującej kapitanowi.

- Jak oni to przeprowadzili przez Kongres? - zapytał Nat.

- Nie przypuszczam, żeby wpadli na to, że ktoś się zakwalifikuje jednocześnie do wszystkich czterech kategorii - odparł pułkownik.

- Musi w tym być jakiś haczyk - zauważył Nat.

- Jest - rzekł poważnie pułkownik - bo nawet kongresmani muszą dbać o własne tyłki. - I tym razem Nat nie wrywał się z komentarzem.

- Po pierwsze, co roku będziesz musiał przyjeżdżać do Fort Benning na dwa tygodnie na intensywne ćwiczenia, żeby utrzymać się w formie.

- Ale to mi tylko sprawi przyjemność - rzekł Nat.

- A po upływie sześciu lat - powiedział pułkownik, nie zważając na słowa Nata - pozostaniesz w rezerwie do czterdziestego piątego roku życia,

tak że w razie wybuchu wojny zostaniesz powołany.

- To wszystko? - spytał Nat z niedowierzaniem.

- To wszystko - powtórzył pułkownik.

- Więc co teraz powinienem zrobić- Podpisz sześć dokumentów, jakie przygotowali prawnicy, i za tydzień o tej porze będziesz znów studentem Uniwersytetu Connecticut. Rozmawiałem już z dyrektorem administracyjnym. Powiedział, że oczekują cię od poniedziałku. Prosił, żebym cię poinformował, że pierwszy wykład zaczyna się o dziewiątej rano. Dla mnie to trochę późno.

- Pan dobrze wiedział, jak zareaguję, no nie? - skwitował Nat.

- Owszem - rzekł Tremlett - nie ukrywam, że sądziłem, iż uznasz to za bardziej atrakcyjne niż parzenie mi kawy przez następny rok. Czy na pewno się nie skusisz? - zagadnął pułkownik, nalewając sobie drugą filiżankę.

- Czy chcesz poślubić tę oto kobietę? - spytał biskup.

- Tak - rzekł Jimmy.

- Czy chcesz poślubić tego oto mężczyznę?

- Tak - powiedziała Joanna.

- Czy chcesz poślubić tę oto kobietę? - powtórzył biskup.

- Tak - odparł Fletcher.

- Czy chcesz poślubić tego mężczyznę?

- Tak - powiedziała Annie.

Podwójne śluby były w Hartford rzadkością i biskup Connecticut przyznał, że nigdy jeszcze takiego nie udzielał.

Senator Gates stał pierwszy w szeregu osób witających gości i uśmiechał się do każdego kto do niego podchodził. Prawie wszystkich znał. W końcu dwoje jego dzieci wstąpiło w związek małżeński jednego dnia.

- Kto by pomyślał, że Jimmy poślubi najbystrzejszą dziewczynę w klasie? - powiedział Harry z dumą.

- A dlaczego by nie? - rzekła Martha. - Ty też to zrobiłeś. I nie zapominaj, że on dzięki Joannie ukończył uniwersytet z wyróżnieniem.

- Napoczniemy tort, jak wszyscy usiądą na swoich miejscach - ogłosił maitre d'hotel - i proszę młodych, żeby do fotografii ustawili się przed tortem, a rodzice z tyłu.

- Mojego męża nie trzeba będzie szukać - zauważyła Martha Gates. - Kiedy zapali się lampa błyskowa, on natychmiast stanie przed kamerę - to odruch zawodowy.

- Święta prawda - przyświadczył senator. Zwrócił się ku Ruth Davenport, która melancholijnie spoglądała na swoją synową.

- Czasem się zastanawiam, czy oni oboje nie są za młodzi.

- Ona ma dwadzieścia lat - rzekł senator. - Martha miała tyle samo, kiedyśmy się pobierali.

- Ale Annie jeszcze nie skończyła studiów.

- Czy to ma jakieś znaczenie? Chodzą ze sobą od sześciu lat. -

Senator odwrócił się, żeby przywitać następnego gościa.

- Czasem żałuję... - zaczęła Ruth.

- Czego żałujesz? - zagadnął Robert, który stał z drugiej strony.

Ruth odwróciła się, żeby senator nie mógł jej usłyszeć.

- Nikt tak nie kocha Annie jak ja, ale czasami wolałabym - zawahała się - żeby więcej spotykali się z innymi...

- Fletcher poznał mnóstwo innych dziewcząt, ale nie chciał się z nimi umawiać na randki - rzekł Robert, podsuwając kieliszek, aby

napełniono go szampanem. - Poza tym, ile razy wybierałem się z tobą na zakupy, decydowałaś się na sukienkę, która pierwsza wpadła ci w oko.

- Ale brałam pod uwagę kilku innych mężczyzn, zanim, ostatecznie zdecydowałam się na ciebie - powiedziała Ruth:

- Tak, ale to było co innego, bo nikt inny cię nie chciał.

- Robercie Davenport, coś ci powiem...

- Ruth, czy zapomniałaś, ile razy musiałem cię prosić, żebyś została moją żoną, zanim się w końcu zgodziłaś? Nawet próbowałem ci zrobić dziecko.

- Nigdy mi tego nie mówiłeś - odparła Ruth, spoglądając w twarz mężowi.

- Widać zapomniałaś, jak długo trwało, nim Fletcher przyszedł na świat.

Ruth spojrzała na synową.

- Miejmy nadzieję, że ona nie będzie miała takich kłopotów.

- Nie widzę powodów - rzekł Robert. - To nie Fletcher będzie rodził. I założę się - ciągnął - że Fletcher, tak jak ja, nigdy nie spojrzy na inną kobietę.

- A ty nigdy nie spojrzałeś na żadną kobietę, odkąd się pobraliśmy? - spytała Ruth, uściskawszy ręce dwojgu następnym gościom.

- Nie - odparł Robert i pociągnął łyk szampana. - Spałem z kilkoma, ale nigdy na nie nie patrzyłem.

- Robercie, ile ty wypijeś kieliszków?

- Nie liczyłem - przyznał Robert.

- Z czego się tak państwo śmieją? - zapytał Jimmy, podchodząc do nich.

- Opowiadałem Ruth o moich licznych podbojach, ale ona mi nie wierzy. Jimmy, powiedz, co zamierzasz robić po otrzymaniu dyplomu?

- Razem z Fletcherem będę studiował prawo. To będzie trudny orzech do zgryzienia, ale dzięki pomocy Fletchera w dzień i Joanny w nocy może dam sobie radę. Chyba jesteście państwo z niego dumni.

- Pewno, że tak. Ukończył studia z wyróżnieniem i został wybrany na przewodniczącego rady uczelnianej - rzekł Robert i podsunął pusty kieliszek przechodzącemu kelnerowi.

- Jesteś pijany - zauważyła Ruth, powściągając uśmiech.

- Kochanie, jak zwykle masz rację, ale to mi nie przeszkodzi głosić wszem wobec, jak bardzo jestem dumny z mojego jedynaka.

- On nigdy by nie został przewodniczącym rady bez pomocy Jimmy'ego - powiedziała zdecydowanie Ruth.

- Jest pani bardzo uprzejma, ale Fletcher wygrał przytłaczającą większość głosów.

- Ale dopiero wtedy, kiedy przekonałeś Toma... nie pamiętam jego nazwiska, żeby zrezygnował i poparł Fletchera.

- Tak, to mogło pomóc, lecz to Fletcher zainicjował zmiany, jakie odczuje całe pokolenie studentów Yale - rzekł Jimmy. - Cześć, dzieciaku - powiedział, zwracając się do Annie, która do nich podeszła.

- Czy też tak się będziesz do mnie zwracał, kiedy zostanę prezeską General Motors?

- No pewnie - odparł Jimmy. - I co więcej, przestanę jeździć cadillacami.

Annie zamierzyła się na niego, ale w tym momencie maitre d'hôtel obwieścił, że czas przystąpić do krojenia tortu.

- Nie przejmuj się swoim bratem - rzekła Ruth, objawszy synową - bo jak zdobędziesz dyplom, on nie będzie miał nic do gadania.

- Mojemu bratu nic nie muszę udowadniać - odparła Annie. - To Fletcher zawsze dyktuje tempo.

- Więc jego też powinnaś przegonić - rzuciła Ruth.

- Nie wiem, czy tego chcę - rzekła Annie. - Mówi, że zajmie się polityką, jak skończy prawo.

- A ty możesz się zająć swoją karierą - zauważyła Ruth.

- Dlaczego? - spytała Annie; Bo nastąpiła taka moda? Chyba jestem inna niż Joanna. - Spojrzała na bratową. - Ruth, ja wiem, czego chcę, i zrobię, co trzeba, żeby osiągnąć swój cel.

- A jaki on jest? - zapytała cicho Ruth.

- Do końca życia być podporą mężczyzny, którego kocham, wychowywać jego dzieci i cieszyć się jego sukcesami w trudnych latach siedemdziesiątych, co się może okazać o wiele bardziej skomplikowane niż ukończenie Vassar z wyróżnieniem - powiedziała Annie, ujmując srebrny nóż z rączką z kości słoniowej. - Wiesz, podejrzewam, że w dwudziestym pierwszym wieku będzie się obchodziło o wiele mniej złotych godów niż w dwudziestym.

- Fletcher, z ciebie prawdziwy szczęściarz - rzekła mu matka, kiedy Annie przyłożyła nóż do dolnej warstwy tortu.

- Wiedziałem o tym, odkąd zdjęto jej z zębów klamerki - powiedział Fletcher.

Annie podała nóż Joannie.

- Pomyśl sobie jakieś życzenie - szepnął Jimmy.

- Już sobie pomyślałam, żółtodziobie - odparła - i co więcej, zostało spełnione.

- A, masz na myśli zaszczyt poślubienia mnie?

- O nie. To o wiele ważniejsze.

- Czy może być coś ważniejszego?

- Tak, to, że będziemy mieć dziecko.

Jimmy chwycił żonę w objęcia.

- Kiedy to się stało?

- Nie wiem dokładnie, ale przestałam brać pigułki, kiedy zyskałam pewność, że skończysz studia.

- Cudownie. Chodź, podzielmy się nowiną z naszymi gośćmi.

- Tylko powiedz słowo, a wbiję ten nóż w ciebie, a nie w tort.

Zawsze wiedziałam, że poślubienie rudowłosego smarkacza jest błędem.

- Założę się, że dziecko będzie miało rude włosy.

- Nie bądź taki zadufek, bo jeżeli komuś o tym wspomnisz, ogłoszę, że nie jestem pewna, kto jest ojcem.

- Panie i panowie - rzekł Jimmy, kiedy jego żona uniosła nóż - chcę coś ogłosić. - Sala ucichła. - Joanna i ja będziemy mieć dziecko. - Jeszcze przez chwilę panowała cisza, po czym sala rozbrzmiała spontanicznymi oklaskami.

- Zginiesz, żółtodziobie - oznajmiła Joanna, wbijając nóż w tort.

- Wiedziałem o tym, od kiedy cię spotkałem, pani Gates, ale myślę, że powinno się nam urodzić co najmniej troje dzieci, zanim wyprawisz mnie na tamten świat.

- No, cóż, senatorze, zostanie pan dziadkiem - powiedziała Ruth.

- Moje gratulacje. Ja nie mogę się doczekać, kiedy będę babką, chociaż przypuszczam, że upłynie sporo czasu, zanim Annie urodzi

pierwsze dziecko.

- Uważam, że nawet o tym nie pomyśli, póki nie skończy studiów - zapewnił ją Harry Gates - zwłaszcza gdy oboje się dowiedzą, jakie mam plany wobec Fletchera.

- Czy możliwe, że Fletcher ich nie zaakceptuje? - podsunęła Ruth.

- Nie, jeśli razem z Jimmym będziemy nadal utrzymywać go w przekonaniu, że to przede wszystkim jego pomysł.

- Czy nie sądzi pan, że mógł już wpaść na to, jakie ma pan wobec niego zamiary?

- Miał na to dość czasu od dnia, kiedy go poznałem podczas meczu szkolnego prawie dziesięć lat temu. Już wtedy wiedziałem, że może zająć o wiele wyżej niż ja. - Jednakże - senator objął Ruth ramieniem - jest jedna rzecz, w której potrzebna mi będzie pani pomoc.

- A mianowicie? - spytała Ruth.

- Nie sądzę, żeby Fletcher już się zdecydował, czy zostanie republikaninem czy demokratą, a wiem, jak bardzo pani mąż...

- Czy to nie wspaniała nowina, że Joanna spodziewa się dziecka? - zagadnął Fletcher teściową.

- Oczywiście - przytaknęła Martha. - Harry już oblicza dodatkowe głosy, jakie padną na niego, kiedy zostanie dziadkiem.

- Skąd ma taką pewność? - spytał Fletcher.

- Starsi obywatele to najszybciej rosnąca część elektoratu, toteż widok Harry'ego z wózkim dziecinny przysporzy mu przynajmniej jeden procent głosów.

- A gdybyśmy my z Annie mieli dziecko, czy to też mogłoby dać mu tyle głosów?

- Nie - odparła Martha. - Trzeba utrafić w odpowiedni moment.

Pamiętaj, że Harry'ego czekają ponowne wybory za dwa lata.

- Czy pani myśli, że powinniśmy zaplanować urodziny naszego pierwszego dziecka tak, żeby zbiegły się z wyborami Harry'ego?

- Byłbyś zdziwiony, gdybyś wiedział, ilu polityków tak postępuje - odpowiedziała Martha.

- Gratuluję, Joanno - rzekł senator, ściskając synową.

- Czy pański syn potrafi czasem dochować sekretu? - syknęła Joanna, wydobywszy nóż z tortu.

- Nie, jeżeli to może sprawić radość jego przyjacielom - przyznał senator. - Ale gdyby sądził, że to może dotknąć kogoś, kogo kocha, zabrałby tajemnicę ze sobą do grobu.

Profesor Karl Abrahams wkroczył do sali wykładowej równo z uderzeniem dziewiątej. Wygłaszał osiem wykładów w semestrze i mówiono, że nigdy nie opuścił ani jednego podczas trzydziestu siedmiu lat. Wielu opowieści krążących o profesorze Abrahamsie nie można było potwierdzić, więc on sam zbyłby je jako dowody ze słyszenia, a zatem niedopuszczalne. Plotki jednak krążyły bez przerwy i weszły na stałe do uniwersyteckiej tradycji. Nie można było wątpić w sardoniczny dowcip profesora, a kiedy jakiś niemądry student rzucił mu wyzwanie, szybko się o tym przekonywał. Czy rzeczywiście trzech prezydentów proponowało Abrahamsowi stanowisko sędziego Sądu Najwyższego, tylko oni wiedzieli. Ale było rzeczą udokumentowaną, że gdy profesora o to spytano, odparł, że w jego przekonaniu lepiej służy krajowi, kiedy uczy przyszłe pokolenie prawników i przysparza mu jak najwięcej przyzwoitych, uczciwych adwokatów, niż gdyby porządkował bałagan, jakiego narobiły zastępy złych.

„Washington Post” w nieautoryzowanym życiorysie profesora podał, że uczył on dwóch członków obecnego składu Sądu Najwyższego, dwudziestu dwóch sędziów federalnych i kilku dziekanów najlepszych wydziałów prawa.

Kiedy Fletcher i Jimmy wysłuchali pierwszego z ośmiu wykładów Abrahamsa, zrozumieli, jaki ogrom pracy ich czeka. Wprawdzie Fletcher się ludził, że w ostatnim roku przed dyplomem dostatecznie długo ślęczał nad książkami, często kładąc się spać dopiero po północy, jednak profesorowi wystarczył tydzień, żeby wyprowadzić go z błędu.

Profesor wciąż przypominał swoim pierwszorocznym studentom, że nie wszyscy wysłuchają jego mowy końcowej do absolwentów prawa na zakończenie studiów. Jimmy skłonił głowę. Fletcher zaczął tyle godzin spędzać nad książkami, że Annie widywała go tylko wtedy, gdy drzwi biblioteki były zamknięte na głucho. Jimmy czasem wychodził stamtąd wcześniej, żeby być z Joanną, ale prawie się nie zdarzało, żeby nie niósł kilku książek pod pachą. Fletcher powiedział Annie, że nigdy nie widział, by Jimmy tak zawzięcie się uczył.

- Wcale nie będzie mu łatwiej, jak dziecko przyjdzie na świat - powiedziała Annie mężowi któregoś wieczoru, kiedy przyszła po niego do biblioteki.

- Joanna zapewne zaplanowała, że urodzi dziecko podczas wakacji, tak żeby się mogła stawić do pracy na rozpoczęcie roku akademickiego.

- Nie chcę, żeby nasze dziecko tak się chowało - rzekła Annie. - Zamierzam być pełnoetatową matką i dopilnować, żeby ojciec przychodził tak wcześnie wieczorem do domu, by im poczytać.

- To mi odpowiada - odparł Fletcher. - Ale gdybyś zmieniła zdanie i została prezeską General Motors, chętnie zajmę się pieluszkami.

Kiedy Nat wrócił na uniwersytet, zaskoczył go brak dojrzałości jego dawnych kolegów. Miał wystarczająco zaliczeń, żeby przejść na drugi rok, ale studenci, z którymi się przyjaźnił przed zaciągnięciem się do wojska, wciąż jeszcze rozprawiali o najnowszych zespołach rockowych albo o gwiazdach filmowych, a on nigdy nawet nie słyszał o grupie The Doors. Dopóki nie poszedł na pierwszy wykład, nie uświadamiał sobie, jak dalece doświadczenia z Wietnamu zmieniły jego życie.

Zdawał też sobie sprawę, że studenci z roku nie traktują go, jakby był jednym z nich, choćby ze względu na postawę kilku profesorów, którzy odnosili się do niego z pewnym respektem. Natowi ów szacunek sprawiał przyjemność, lecz prędko się przekonał, że ta moneta ma też drugą stronę. Podczas Ferii Bożego Narodzenia rozmawiał na ten temat z Tomem, który powiedział, że rozumie, dlaczego niektórzy koledzy są wobec niego trochę nieufni; w końcu myślą, że zabił co najmniej stu partyzantów Wietkongu.

- Co najmniej stu? - powtórzył Nat.

- A znowu inni czytali, co nasi żołnierze wyprawiali z Wietnamkami - dodał Tom.

- Miałem szczęście. Gdyby nie Mollie, trwałbym w czystości.

- Hm, radziłbym ci, żebyś ich nie wyprowadzał z błędu - rzekł Tom - bo jestem pewien, że mężczyźni ci zazdroszczą, a kobiety są zaintrygowane. Ostatnie, czego pragną, to dowiedzieć się, że jesteś zwykłym, przestrzegającym prawa obywatelem.

- Czasami bym chciał, żeby pamiętali, że mam tylko dziewiętnaście lat.

- Czy ktoś taki jak kapitan Cartwright, odznaczony Medal of Honour

- zauważył Tom - może mieć tylko dziewiętnaście lat- I boję się, że twoje utykanie tylko przypomina im twoją wojaczkę.

Nat wziął sobie do serca słowa przyjaciela i postanowił wyładowywać swoją energię w nauce, na sali gimnastycznej i w biegach przełajowych. Lekarze go przestrzegali, że być może wcale nie będzie mógł biegać, a jeżeli nawet, to nie wcześniej niż za rok. W następstwie tych pesymistycznych przepowiedni Nat spędzał co najmniej godzinę dziennie w sali gimnastycznej, wspinając się po linach, podnosząc ciężary, a nawet od czasu do czasu rozgrywając mecz tenisa stołowego. Pod koniec pierwszego semestru mógł już biec wolno trasą przełajową - nawet jeżeli pokonanie sześciu mil zabierało mu godzinę i dwadzieścia minut. Zajrzał do swoich dawnych planów treningowych i stwierdził, że jego rekord, gdy był studentem pierwszego roku, wynosił trzydzieści cztery minuty, osiemnaście sekund. Obiecał sobie, że pobije go pod koniec drugiego roku studiów.

Następnym problemem Nata była reakcja kobiet, z którymi umawiał się na randkę. Albo od razu chciały iść z nim do łóżka, albo z miejsca go spławiły. Tom go przestrzegł, że niektóre studentki chcą się nim pochwalić jako zdobyczą, a Nat wkrótce się przekonał, że są i takie, których na oczy nie widział, a które opowiadają o bliskich z nim stosunkach.

- Rozgłoś ma swoje złe strony - poskarżył się Tomowi.

- Jak chcesz, to się z tobą zamienię - odparł przyjaciel.

Jedynym wyjątkiem okazała się Rebeka, która od pierwszego dnia powrotu Nata na kampus dawała mu do zrozumienia, że chciałaby, żeby spróbowali jeszcze raz. Nat nie palił się do ożywienia starego związku i uznał, że jeśli mają go wskrzesić, należy to czynić powoli. Ale Rebeka miała inne zamiary.

Po drugim spotkaniu zaprosiła Nata do swojego pokoju na kawę i ledwo zamknęła drzwi, zaczęła go rozbierać. Nat się odsunął i zaczął się niezręcznie tłumaczyć, że nazajutrz ma sprawdzian szybkościowy. Ale Rebeka nie należała do tych, którzy dają się łatwo zbyć, i kiedy kilka minut później pojawiła się z dwiema filiżankami kawy, miała na sobie tylko jedwabną narzutkę. Nat nagle sobie uświadomił, że nic do niej nie czuje, toteż prędko wypił kawę i oznajmił, że musi iść wcześniej spać.

- Dawniej nigdy się nie przejmowałeś żadnymi sprawdzianami - zakpiła Rebeka.

- Wtedy miałem sprawne obydwie nogi - odrzekł Nat.

- Może teraz, kiedy wszyscy uważają cię za bohatera - powiedziała Rebeka - nie jestem dla ciebie dość dobra.

- To nie ma z tym nic wspólnego. Po prostu...

- Po prostu Ralph miał rację.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał ostro Nat.

- Że nie dorastasz mu do pięt. - Odczekała chwilę. - Ani w łóżku, ani poza nim.

Nat chciał zareagować, ale uznał, że nie warto. Wyszedł bez słowa. Kiedy tej nocy leżał, nie śpiąc, uświadomił sobie, że związek z Rebeką, jak tyle innych spraw w jego życiu, należy do przeszłości.

Dla Nata było niespodzianką, że tak wielu studentów zachęca go, żeby się ubiegał jako rywal Elliota o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej. Nat jednak tłumaczył, że nie interesuje go walka wyborcza, ponieważ musi nadrobić stracony czas.

Kiedy po zakończeniu drugiego roku studiów wrócił do domu, oznajmił ojcu, że tak samo cieszy go wynik poniżej godziny w biegu

przełajowym, jak to, że znalazł się w szóstce najlepszych studentów w grupie.

Latem Nat i Tom wybrali się do Europy. Nat odkrył, że pensja kapitana, oprócz wielu innych korzyści, ma i tę dobrą stronę, że pozwala mu towarzyszyć najbliższemu przyjacielowi bez obawy, że nie zdoła za siebie płacić.

Najpierw odwiedzili Londyn, gdzie zobaczyli gwardzistów maszerujących Whitehallem. Nat nie wątpił, że stanowiliby groźną formację w Wietnamie. W Paryżu przyjaciele spacerowali po Polach Elizejskich i żalowali, że ilekroć widzą piękną kobietę, muszą zaglądać do rozmówek angielsko-francuskich. Potem pojechali do Rzymu, gdzie w restauracjach przycupniętych w zaułkach po raz pierwszy poznali prawdziwy smak makaronu i przysięgli, że nigdy więcej nie będą jedli w McDonalдах.

Ale dopiero w Wenecji dopadło Nata miłosne zauroczenie; podobały mu się zarówno dziewice, jak i nagie damy. Zaczęło się od przygody na jedną noc - z piękną autorstwa da Vinci, potem kolejno Belliniego i Luiniego. Taka była potęga tych romansów, że Tom zgodził się, aby spędzili kilka dni więcej we Włoszech i dołożyli do programu jeszcze Florencję. Nat spotykał obiekty swych uniesień na rogu każdej ulicy - dzieła takich artystów, jak Michelangelo, Caravaggio, Canaletto, Tintoretto, Prace niemal każdego twórcy z nazwiskiem zakończonym na literę „o” Nat chętnie włączyłby do swego haremu.

Profesor Karl Abrahams wstał, żeby wygłosić piąty wykład w tym semestrze, i obrzucił spojrzeniem półkole wznoszących się ponad nim amfiteatralnych ław.

Rozpoczął wykład - na biurku przed nim nie było ani książki, ani teczki, ani nawet notatek - prezentując audytorium stanowiącą ważny precedens sprawę Carter kontra Amalgamated Steel.

- Carter - zaczął profesor - stracił rękę podczas wypadku w pracy i został zwolniony bez jednego centa odszkodowania. Nie mógł znaleźć gdzie indziej zatrudnienia, ponieważ żadna stalownia nie przyjąłaby jednorękiego mężczyzny, a kiedy odmówiono mu posady portiera w miejscowym hotelu, zrozumiał, że już nigdy nie będzie pracował. Aż do tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego roku nie było ustawy o odszkodowaniu za wypadki przy pracy, dlatego Carter zdecydował się na wyjątkowy, niemal niespotykany w owym czasie krok i zaskarżył swoich pracodawców. Nie było go stać na adwokata - to się nie zmieniło w ciągu lat - jednakże pewien młody student prawa, który uważał, że Carter nie otrzymał uczciwej rekompensaty, zaofiarował się, że będzie go reprezentował w sądzie. Wygrał proces i Carterowi przyznano sto dolarów odszkodowania - z pewnością uznacie, że to niewielka kwota jak za taką krzywdę. Jednakże ci dwaj mężczyźni doprowadzili do zmiany prawa. Miejmy nadzieję, że jeśli ktoś z was w przyszłości zetknie się z taką niesprawiedliwością, sprawi, że zmieni się prawo. Nawiasem mówiąc, nazwisko młodego prawnika brzmiało Theo Rampleiri. O mały włos, a zostałby wyrzucony z wydziału prawa, bo za dużo czasu poświęcił sprawie Cartera. Później, o wiele później, otrzymał nominację na sędziego Sądu Najwyższego. Profesor zmarszczył brwi.

- W ubiegłym roku firma General Motors wypłaciła niejakiemu Cameronowi pięć milionów dolarów za utratę nogi. Stało się tak, mimo że GM zdołała udowodnić, że powodem wypadku było niedbalstwo Camerona. - Abrahams niespiesznie opisał przebieg sprawy, po czym dodał: - Prawo często jest głupie, jak przekonywał nas Karol Dickens, ale - co chyba

ważniejsze - niedoskonałe i działające na oślep. Nie pochwalam adwokata, który tylko szuka sposobów obejścia prawa, zwłaszcza kiedy dobrze wie, jakie były intencje Senatu i Kongresu. Znajdą się wśród was tacy, co zapomną o tych słowach kilka dni po zatrudnieniu przez jakąś znamienitą firmę, której jedyną ambicją jest wygrana za wszelką cenę. Ale będą też inni, może niezbyt liczni, którzy zapamiętają słowa Lincolna:

„Niech staje się sprawiedliwość”.

Fletcher podniósł głowę znad notatek i spojrzał na profesora.

- Oczekuję, że do naszego następnego spotkania opracujecie pięć spraw, które nastąpiły po procesie Cartera przeciwko Amalgamated Steel, ze sprawą Demetri kontra Demetri włącznie, a które spowodowały zmiany w prawie. Możecie pracować dwójkami, ale nie powinniście konsultować się z innymi dwójkami. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno. - Zegar wybił jedenastą, - Do widzenia, panie i panowie.

Fletcher i Jimmy podzielili się pracą, badając kolejne sprawy, i do końca tygodnia znaleźli trzy, o jakie chodziło. Joanna przypomniała sobie jeszcze jedną, o jakiej się mówiło w Ohio, kiedy była dzieckiem. Nie chciała podać więcej wskazówek.

- Więc co znaczą miłość, szacunek i posłuszeństwo? - zapytał

Jimmy.

- Nigdy nie obiecywałam ci posłuszeństwa, żółtodziobie - odparła. - Przy okazji, jak Elizabeth obudzi się w nocy, to pamiętaj, że ty zmieniasz pieluszki.

- Sumner kontra Sumner - oznajmił triumfalnie Jimmy, kładąc się do łóżka tuż po północy.

- Nieźle, żółtodziobie, ale do dziesiątej rano w poniedziałek musisz jeszcze znaleźć piątą sprawę, jeżeli chcesz pobudzić profesora Abrahamsa do uśmiechu.

- Myślę, że musielibyśmy zrobić o wiele więcej, żeby wykrzesać uśmiech z tej bryły granitu - rzekł Jimmy.

Wbiegając na wzgórze, Nat ujrzał przed sobą dziewczynę. Uznał, że ją wyprzedzi, zbiegając w dół. Osiągnąwszy półmetek, spojrzał na zegarek. Siedemnaście minut, dziewięć sekund. Nat był pewien, że pobije rekord życiowy i znajdzie się z powrotem w drużynie podczas pierwszego mityngu sezonu.

Rozpierała go energia, gdy przyspieszył na grzbiecie wzgórza, lecz nagle zaklął w głos. Głupia dziewczyna zboczyła ze szlaku.

Pewno jest studentką pierwszego roku. Zawołał, ale nie zareagowała. Znowu zaklął, zmienił kierunek i pobiegł za nią. Kiedy zbiegał susami po stoku, nagle się odwróciła, zaskoczona.

- Zboczyłaś z trasy - krzyknął Nat, gotów się odwrócić i szybko pobiec z powrotem, ale nawet z odległości dwudziestu jardów uznał, że warto przyjrzeć się dziewczynie z bliska. Podbiegł do niej i truchtał w miejscu.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Jestem dopiero drugi raz na trasie i nie pamiętałam, którą ścieżkę na szczycie wzgórza mam wybrać.

Nat się uśmiechnął.

- Trzeba pobiec tą węższą, szersza prowadzi do lasu.

- Dziękuję - powtórzyła i pobiegła pod górę.

Popędził za nią i towarzyszył jej na szczyt. Pomachał na pożegnanie, kiedy był pewien, że wróciła na właściwą trasę.

- Do zobaczenia - rzucił, ale nie usłyszał odpowiedzi.

Przekroczywszy linię mety, Nat spojrzął na zegarek. Czterdzieści trzy minuty, pięćdziesiąt jeden sekund. Zaklął znów i zastanowił się, ile czasu stracił na skierowanie zabląkanej dziewczyny na właściwą drogę. Mniejsza z tym. Zaczął się rozluźniać i dłużej niż zwykle wykonywał ćwiczenia rozciągające, czekając, aż dziewczyna wróci.

Nagle zjawiała się na szczycie wzgórza i zaczęła wolno zbiegać stokiem do mety.

- Ukończyłaś bieg - powiedział Nat z uśmiechem, podbiegając pod górę. Nie odwzajemniła uśmiechu. - Nat Cartwright - przedstawił się.

- Wiem, kim jesteś - powiedziała cierpko.

- Spotkaliśmy się już?

- Nie - rzekła. - Znam cię ze słyszenia.

Pobiegła w - stronę szatni dla kobiet bez słowa wyjaśnienia.

- Niech wstaną ci, którym się udało znaleźć wszystkie pięć spraw.

Fletcher i Jimmy poderwali się z uczuciem triumfu, które stopniało, gdy ujrzeli, że podniosło się co najmniej siedemdziesiąt procent grupy.

- Cztery? - powiedział profesor, Usiłując stłumić lekceważenie.

Większość siedzących wstała, tylko około dziesięciu procent nie podniosło się z miejsc. Ciekawe, pomyślał Fletcher, ilu z nich skończy studia.

- Siadajcie - polecił profesor. - Zacznijmy od sprawy Maxwell River Gas kontra Pennstone; jaką zmianę w prawie spowodowała? - Wskazał studenta z trzeciego rzędu.

- W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku nałożono na przedsiębiorstwa obowiązek dopilnowania, żeby wszystkie urządzenia odpowiadały wymogom bezpieczeństwa, a wszyscy pracownicy znali zasady postępowania w razie zagrożenia.

Profesor poruszył palcem.

- Instrukcje na piśmie musiały zostać umieszczone w miejscach, gdzie każdy pracownik mógł je przeczytać.

- Kiedy to się stało nieaktualne?

Profesor wycelował palec w kogoś innego, kto odpowiedział:

- Po sprawie Reynolds kontra McDermond Timber.

- Zgadza się. - Profesor wskazał palcem kolejnego studenta. - Dlaczego? - zapytał.

- Reynolds stracił trzy palce przy cięciu beli drewna, ale jego adwokat wykazał, że jego klient nie umie czytać i nie udzielono mu żadnych ustnych instrukcji, jak posługiwać się maszyną.

- Jaka była podstawa nowego przepisu? - Palec znowu wskazał kogoś innego.

- Ustawa o bezpieczeństwie pracy z tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego roku, która nakładała na pracodawcę obowiązek poinstruowania Wszystkich pracowników, zarówno ustnie, jak i na piśmie, o użytkowaniu urządzeń.

- Kiedy trzeba było ustawę znowelizować? - Profesor wycelował palec w kolejną osobę.

- Po sprawie Rush przeciwko państwu.

- Tak jest, ale dlaczego państwo wygrało proces, mimo że nie miało racji?

- Nie wiem, panie profesorze.

Palec profesora pogardliwie szukał kogoś, kto wie.

- Państwo obroniło swoje stanowisko, kiedy dowiedziono, że Rush

podpisał umowę, w której... - Palec znowu się poruszył.

- ...że został wystarczająco poinstruowany, zgodnie z prawem. -

Palec wskazał kogo innego.

- ...że był zatrudniony dłużej, niż wynosi przewidziany ustawą trzyletni okres. - Palec ciągle był w ruchu.

- ...ale państwo udowodniło, że nie jest przedsiębiorstwem w ścisłym znaczeniu tego słowa, jako że projekt ustawy został nieprawidłowo sformułowany przez polityków.

- Nie należy winić polityków - powiedział Abrahams. - To prawnicy opracowują projekty ustaw, dlatego muszą ponosić odpowiedzialność.

Politycy nie byli winni w tym wypadku; kiedy więc sąd uznał, że państwo nie musi się stosować do własnego ustawodawstwa, co było powodem, że prawo jeszcze raz uległo zmianie?

Profesor wskazał palcem na następną przerażoną twarz.

- Sprawa Demetri kontra Demetri - padła odpowiedź.

- Czym różniła się od poprzednich? - Palec profesora zatrzymał się na Fletcherze.

- Po raz pierwszy członek rodziny oskarżył drugiego o zaniedbanie, mimo że byli małżonkami i współdziałowcami jednego przedsiębiorstwa.

- Dlaczego to powództwo upadło? - Profesor dalej patrzył na Fletchera.

- Ponieważ pani Demetri odmówiła zeznawania przeciwko swojemu mężowi.

Profesor wskazał Jimmy'ego.

- Dlaczego odmówiła? - spytał Abrahams.

- Bo była głupia.

- Dlaczego? - znowu spytał profesor.

- Gdyż prawdopodobnie mąż spał z nią poprzedniej nocy albo ją uderzył, albo jedno i drugie, więc się złamała.

Tu i ówdzie na sali rozległy się chichoty.

- Panie Gates, czy był pan przy tym, jak państwo Demetri się kochali, albo czy pan widział, jak pani Demetri została zaatakowana?

- spytał Abrahams, wzbudzając jeszcze głośniejszy śmiech.

- Nie, panie profesorze - rzekł James - ale mógłbym się założyć, że tak się stało.

- Może ma pan rację, ale nie umiałby pan udowodnić, co się wydarzyło w sypialni tamtej nocy, jeśli nie przedstawiłby pan wiarygodnego świadka. Gdyby pan złożył takie pochopne oświadczenie w sądzie, adwokat strony przeciwnej zgłosiłby sprzeciw, sędzia sprzeciw by podtrzymał, a sędziowie przysięgli uznaliby pana za głupca, panie Gates. I co ważniejsze, zawiódłby pan swego klienta.

Niech pan nigdy nie polega na tym co mogło się zdarzyć, choćby to się wydawało wielce prawdopodobne, jeżeli nie może pan tego dowieść. W takiej sytuacji niech pan milczy.

- Ale... - zaczął Fletcher. Kilkoro studentów opuściło prędko głowy, inni wstrzymali oddech, a pozostali spojrzeli na Fletchera z niedowierzaniem.

- Nazwisko?

- Davenport, panie profesorze.

- Panie Davenport, bez wątpienia potrafi pan wyjaśnić, co pan chciał powiedzieć przez słowo „ale”? - Adwokat pani Demetri poinformował ją, że jeśli wygra proces, to - ponieważ ani ona, ani mąż nie mieli udziałów

większościowych - firma będzie musiała zawiesić działalność. Ustawa Kendalla z tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku. Pani Demetri rzuciła akcje na wolny rynek i zostały one wykupione przez największego rywala jej męża, niejakiego Canellego, za sto tysięcy dolarów. Nie mogę dowieść, czy Canelli sypiał bądź nie z panią Demetri, ale wiem, że firmę postawiono w stan likwidacji rok później, kiedy pani Demetri odkupiła swoje akcje po dziesięć centów za kwotę siedmiu tysięcy trzystu dolarów, a następnie natychmiast zawarła nową umowę spółki ze swoim mężem.

- Czy Canelli mógł udowodnić, że państwo Demetri byli w zмовie?

- Fletcher się zastanowił. Czy Abrahams zastawia na niego pułapkę? -

Dlaczego pan się waha? - spytał Abrahams.

- To nie byłby przekonujący dowód, panie profesorze.

- Ale co takiego chciałby pan nam powiedzieć?

- Pani Demetri urodziła drugie dziecko rok później i w akcie urodzenia pan Demetri figurował jako ojciec.

- Ma pan rację, to nie jest dowód, więc o co ją oskarżono?

- O nic; w gruncie rzeczy okazało się, że nowa firma rozwija się bardzo pomyślnie.

- Zatem w jaki sposób ta sprawa wpłynęła na zmianę prawa?

- Sędzia przedstawił ten casus prokuratorowi generalnemu tego stanu.

- Co to był za stan?

- Ohio. W konsekwencji została uchwalona ustawa o spółkach zawieranych między małżonkami...

- Rok?

- Tysiąc dziewięćset czterdziesty dziewiąty.

- Istotne zmiany?

- Mężowie i żony nie mogą dłużej odkupywać sprzedanych udziałów dawnej firmy, której byli współnikami, jeżeli na tym bezpośrednio korzystają.

- Dziękuję panu - rzekł profesor. W tym momencie zegar wybił jedenastą. - Pańskie „ale” było uprawnione. - Słowa profesora zostały przyjęte oklaskami. - Ale nie do końca - dodał Abrahams, opuszczając salę wykładową.

Nat siedział na murku naprzeciwko stołówki i cierpliwie czekał. Przyjrawszy się blisko pięciu setkom młodych kobiet, które wychodziły z budynku, doszedł do wniosku, że ona jest taka szczupła, bo po prostu nic nie je. Nagle się pojawiła w drzwiach wahadłowych. Nat miał mnóstwo czasu, żeby dobrze przećwiczyć, co jej powie, ale mimo to był zdenerwowany, gdy ją dogonił.

- Cześć, to ja, Nat - powiedział.

Podniosła głowę, ale się nie uśmiechnęła.

- Spotkaliśmy się niedawno.

Brak reakcji.

- Na szczycie wzgórza.

- Tak, przypominam sobie - rzekła.

- Ale mi nie powiedziałaś, jak masz na imię.

- Nie...

- Czy ci jakoś dokuczyłem?

- Nie...

- Więc czy mogę zapytać, co miałaś na myśli, mówiąc, że znasz mnie „ze słyszenia”?

- Panie Cartwright, może to pana zdziwi, ale są w tym kampusie kobiety, które nie sądzą, że ma pan automatyczne prawo do ich dziewictwa, ponieważ zdobył pan Medal of Honor.

- Nigdy tak nie uważałem.

- Ale musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że połowa kobiet w kampusie twierdzi, że spała z panem.

- Mogą tak mówić - rzekł Nat. - Ale tylko dwie mogą tego dowieść.

- Ale wszyscy wiedzą, ile dziewczyn goni za panem...

- I przeważnie nie mogą za mną nadażyć, jak pewno pamiętasz. - Roześmiał się, ale nie odpowiedziała tym samym. - Więc czemu nie mógłbym się w kimś zakochać, tak jak każdy?

- Ale pan nie jest taki jak każdy - odparła cicho. - Jest pan bohaterem wojennym, który ma pensję kapitana, i spodziewa się pan, że wszyscy się mu podporządkują.

- Kto ci to powiedział?

- Ktoś, kto zna pana z czasów szkolnych.

- Niewątpliwie Ralph Elliot?

- Tak, człowiek, którego podstępem próbował pan pozbawić stanowiska przewodniczącego samorządu szkolnego...

- Co takiego? - zdziwił się Nat.

- ...a potem przedstawił jego pracę pisemną jako swoją, kiedy się pan starał o przyjęcie do Yale.

- On tak powiedział?

- Tak - rzekła chłodno dziewczyna.

- To może należałoby go spytać, dlaczego on nie studiuje w Yale?

- Wytłumaczył, że zrzucił pan winę na niego - i on też stracił miejsce. - Nat był bliski wybuchu, kiedy dodała: - A teraz chce pan zostać przewodniczącym rady uczelnianej i próbuje pan dopiąć swego przez łóżko.

Nat stłumił gniew.

- Po pierwsze - powiedział - nie zamierzam kandydować na przewodniczącego rady uczelnianej, po drugie, spałem w życiu z trzema kobietami: studentką, z którą jeszcze chodziłem do szkoły, pewną sekretarką w Wietnamie i jeszcze taką, z którą spędziłem tylko noc, czego żałuję. Jeżeli znajdziesz jeszcze choćby jedną, to proszę, przedstaw mi, chętnie ją poznam. - Dziewczyna przystała i pierwszy raz spojrzała na Nata. - Choćby jedną - powtórzył. - A teraz, czy mógłbym się dowiedzieć, jak masz na imię?

- Su Ling - odparła cicho.

- Su Ling, jeżeli obiecuję, że nie będę próbował cię uwieść, dopóki nie poproszę cię o rękę, nie poproszę twego ojca o zgodę, nie ofiaruję ci pierścionka zaręczynowego, nie uzgodnię terminu ślubu w kościele i nie dam na zapowiedzi, to czy przynajmniej pozwolisz się zaprosić na obiad?

Su Ling wybuchnęła śmiechem.

- Pomyślę o tym - odparła. - Przepraszam, ale muszę pędzić, bo już jestem spóźniona na popołudniowy wykład.

- Ale jak cię znajdę? - spytał Nat z rozpaczą.

- Kapitanie Cartwright, potrafił pan znaleźć partyzantów Wietkongu, to chyba mnie też pan znajdzie...

- Proszę wstać. Stan Connecticut przeciwko Anicie Kirsten.

Przewodniczy sędzia Abernathy. - Sędzia zasiadł na swoim miejscu i spojrzął na obrońcę.

- Pani Kirsten, czy przyznaje się pani do winy?

Fletcher podniósł się zza stołu obrony.

- Wysoki Sądzie, moja klientka nie przyznaje się do winy.

Sędzia utkwiał w nim wzrok.

- Czy pan reprezentuje oskarżoną?

- Tak, Wysoki Sądzie.

- Chyba nie mieliśmy okazji się spotkać? - spytał sędzia Abernathy, spojrzawszy na listę zarzutów:

- Nie, Wysoki Sądzie. To jest moje pierwsze wystąpienie na tej sali.

- Czy zechciałby się pan zbliżyć do stołu sędziowskiego, panie Davenport?

- Tak, Wysoki Sądzie.

Fletcher podszedł do sędziego. Dołączył do nich oskarżyciel.

- Dzień dobry panom - rzekł sędzia Abernathy. - Panie Davenport, czy mogę zapytać, czy pańskie kwalifikacje upoważniają pana do wystąpienia w moim sądzie?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Rozumiem. Czy pańska klientka jest tego świadoma?

- Tak.

- Mimo to nadal chce, żeby pan ją reprezentował, chociaż jest oskarżona o przestępstwo zagrożone karą śmierci?

- Tak jest.

Sędzia zwrócił się do prokuratora generalnego stanu Connecticut.

- Czy ma pan jakieś zastrzeżenia, żeby pan Davenport reprezentował panią Kirsten?

- Nie, Wysoki Sądzie. W gruncie rzeczy jest mile widziany.

- Zapewne - rzekł sędzia. - Ale muszę pana zapytać, panie Davenport, czy w ogóle ma pan jakieś prawnicze doświadczenie.

- Niewielkie, Wysoki Sądzie - przyznał Fletcher - Jestem studentem drugiego roku prawa w Yale i to będzie moja pierwsza sprawa.

Sędzia i prokurator generalny zareagowali uśmiechem.

- Wolno spytać, pod czym kierunkiem pan studiuje?

- Profesora Karla Abrahamsa.

- Wobec tego jestem dumny, że będę przewodniczył w pańskiej pierwszej sprawie, ponieważ łączy nas postać profesora. A pan, panie Stamp, też jest pan uczniem profesora?

- Nie, Wysoki Sądzie. Ja studiowałem w Karolinie Południowej.

- Choć to nadzwyczaj nietypowe, ale ostatecznie decyduje oskarżona, zatem przystąpmy do sprawy.

Oskarżyciel i Fletcher powrócili na miejsca. Sędzia spojrzął na Fletchera.

- Czy wystąpi pan o zwolnienie za kaucją?

- Tak, Wysoki Sądzie - rzekł Fletcher, wstając.

- Na jakiej podstawie?

- Pani Kirsten nie była notowana i nie stanowi zagrożenia dla społeczeństwa. Jest matką dwojga dzieci, siedmioletniego Alana i pięcioletniej Delii, które obecnie przebywają u babki w Hartford.

Sędzia zwrócił się do prokuratora generalnego.

- Panie Stamp, czy oskarżenie ma jakieś zastrzeżenia wobec zwolnienia oskarżonej za kaucją?

- Oczywiście, Wysoki Sądzie. Oskarżenie sprzeciwia się zwolnieniu za kaucją nie tylko na tej podstawie, iż jest to przestępstwo zagrożone karą śmierci, ale też ze względu na to, że morderstwo zostało dokonane z

premedytacją. Dlatego oskarżenie twierdzi, że pani Kirsten jest zagrożeniem dla społeczeństwa, a ponadto może usiłować opuścić stan podlegający jurysdykcji sądu.

Fletcher się poderwał.

- Wnoszę sprzeciw, Wysoki Sądzie.

- Na jakiej podstawie?

- Wysoki Sądzie, to jest istotnie przestępstwo zagrożone karą śmierci, zatem opuszczenie stanu nie ma znaczenia, zresztą pani Kirsten mieszka w Hartford, gdzie zarabia na życie jako salowa w szpitalu St. Mary's, a jej dzieci uczęszczają tam do szkoły.

- Jeszcze jakieś argumenty, proszę pana?

- Nie, Wysoki Sądzie.

- Nie wyrażam zgody na zwolnienie za kaucją - orzekł sędzia i opuścił młotek. - Rozprawa zostaje odroczone do poniedziałku siedemnastego...

- Proszę wstać.

Opuszczając salę sądową, sędzia Abernathy mrugnął do Fletchera.

Trzydzieści cztery minuty i dziesięć sekund. Nat cieszył się, że nie tylko pobił swój rekord życiowy, ale w dodatku zdobył szóste miejsce w uniwersyteckich zawodach kwalifikacyjnych, toteż był pewien, że zostanie wystawiony w reprezentacji uniwersyteckiej w otwierających sezon zawodach przeciwko Uniwersytetowi Bostońskiemu.

Kiedy Nat wykonywał ćwiczenia rozciągające, podszedł do niego Tom.

- Gratuluję - powiedział. - Założyłbym się, że pod koniec sezonu poprawisz wynik o minutę.

Wkładając spodnie, Nat spojrzął na ogniszcze czerwona bliznę z tyłu nogi.

- Może byśmy dziś wieczorem zjedli razem kolację - ciągnął Tom - bo chciałbym z tobą coś przedyskutować przed powrotem do Yale.

- Nie mogę dziś wieczorem - odrzekł Nat, kiedy skierowali się ku szatniom. - Mam randkę.

- Znam dziewczynę?

- Nie - odparł Nat. - Ale to moja pierwsza randka od wielu miesięcy i muszę przyznać, że się denerwuję.

- Kapitan Cartwright się denerwuje? I co jeszcze? - zakpił Tom.

- No właśnie - powiedział Nat. - Ona myśli, że jestem połączeniem Don Juana i Ala Capone'a.

- Widać zna się na charakterach - orzekł Tom. - Opowiedz mi o niej wszystko.

- Nie mam dużo do powiedzenia. Wpadliśmy na siebie na wierzchołku wzgórza. Dziewczyna jest bystra, ostra, piękna i myśli, że ze mnie jakiś drań. - Nat powtórzył ich rozmowę przed jadalnią.

- Najwyraźniej Ralph Elliot ci się przysłużył - skwitował Tom.

- Do diabła z Elliotem. Czy myślisz, że powinienem włożyć marynarkę i krawat?

- Nie proszę mnie o taką radę od szkolnych czasów.

- Wtedy musiałem od ciebie pożyczać jedno i drugie. No więc, co myślisz?

- Idź w mundurze z medalami.

- Bądź poważny.

- Cóż, to by potwierdziło opinię, jaką ona ma o tobie.

- Ale mnie zależy, żeby ją zmieniła.
- Dobrze, spójrzmy na to jej oczyma.
- Zamieniam się w słuch.
- Jak ona będzie ubrana twoim zdaniem?
- Nie mam pojęcia, widziałem ją tylko dwa razy w życiu i za pierwszym razem miała na sobie zabłocone szorty.
- No, to musiało być podniecające, ale nie sądzę, żeby na kolacji zjawiała się w dresie. A jak była ubrana za drugim razem?
- Z subtelną elegancją.
- Więc naśladowaj ją, co nie będzie łatwe, bo elegant to, z ciebie nie jest, a z tego, co mówisz, wnioskuję, że ona uważa, iż nie grzeszysz subtelnością.
- Odpowiedz mi na pytanie - rzekł Nat.
- Wybrałbym styl sportowy - powiedział Tom. - Koszula, ale nie podkoszulek, spodnie i sweter. Mógłbym, jako twój doradca w sprawach dobrego smaku, towarzyszyć wam podczas kolacji.
- Lepiej trzymaj się jak najdalej, bo jeszcze się w niej zakochasz.
- Tobie zależy na tej dziewczynie, prawda? - spytał Tom cicho.
- Myślę, że jest boska, ale traktuje mnie nieufnie.
- Mimo to zgodziła się pójść z tobą na kolację, chyba więc nie uważa, że jesteś taki zły.
- Tak, ale warunki, na jakich się zgodziła, były dość niezwykle - rzekł Nat i zrelacjonował Tomowi, co zaproponował dziewczynie.
- Źle pograłeś, ale to nie zmienia faktu, że chcę z tobą pogadać. Może zjemy razem śniadanie? Czy też będziesz jadł bekon i jajka razem z tą tajemniczą orientálną damą?
- Bardzo bym się zdziwił, gdyby się na to zgodziła - powiedział Nat z zadumą. - I rozczarował.
- Jak sądzisz, jak długo potrwa proces? - zagadnęła Annie.
- Gdybyśmy zdecydowali, że nie należy przyznawać się do morderstwa, tylko do nieumyślnego spowodowania śmierci, mogłoby się skończyć na jednym dniu oraz być może na dodatkowym stawieniu się w sądzie w celu wysłuchania wyroku.
- Czy to możliwe? - spytał Jimmy.
- Owszem, stan proponuje mi ugodę.
- Jakiego rodzaju? - zainteresowała się Annie.
- Jeżeli się zgodzę na oskarżenie o nieumyślne spowodowanie śmierci, Stamp zażąda tylko trzech lat, nie więcej co oznacza, że przy dobrym zachowaniu Anita Kirsten może po półtora roku zostać zwolniona warunkowo. W przeciwnym razie będzie nalegał na orzeczenie zabójstwa pierwszego stopnia i żądał kary śmierci.
- W tym stanie kobieta nigdy nie zostanie wysłana na krzesło elektryczne za zabicie męża.
- Zgadzam się - rzekł Fletcher - ale jeżeli przysięgli zajmą twarde stanowisko, może się skończyć na dziewięćdziesięciu dziewięciu latach, a ponieważ oskarżona ma tylko dwadzieścia pięć lat, muszę wziąć pod uwagę fakt, że byłoby dla niej lepiej pójść na ugodę i opuścić więzienie po osiemnastu miesiącach; wtedy przynajmniej mogłaby resztę życia spędzić z rodziną.
- To prawda - powiedział Jimmy. - Ale zadaję sobie pytanie, dlaczego oskarżyciel chce się zgodzić na trzy lata, skoro uważa, że ma takie mocne argumenty. Nie zapomnij, że to jest czarna kobieta oskarżona o

morderstwo białego mężczyzny, a przynajmniej dwoje członków ławy przysięgłych będzie czarnych. Jeżeli właściwie rozegrasz sprawę, może ich być troje, a wtedy niemal na pewno ława przysięgłych nie zdoła osiągnąć jednomyślności.

- Ponadto moja klientka ma dobrą opinię, odpowiedzialną pracę i nigdy dotychczas nie była skazana. To na pewno wpłynie na opinię każdej ławy przysięgłych, niezależnie od koloru skóry.

- Nie byłabym tego taka pewna - zauważyła Annie. - Twoja klientka podała swojemu mężowi silnie działającą truciznę, a potem siedziała na schodach i czekała, aż umrze.

- Ale on ją bił całymi latami i maltretował ich dzieci - powiedział Fletcher.

- Czy masz na to jakieś dowody? - spytał Jimmy.

- Nie za wiele, ale tego dnia, w którym pani Kirsten zgodziła się, żebym ją reprezentował, sfotografowałem ślady obrażeń na jej ciele, a ślad oparzenia na dłoni zostanie jej do końca życia.

- Jak to się stało?

- Ten łajdak przycisnął jej rękę do rozpalonej do czerwoności płytki kuchennej i puścił ją dopiero, kiedy zemdląca.

- Co za przyjemniaczek - rzekła Annie. - Czy zatem nie lepiej, żeby pani Kirsten przyznała się do nieumyślnego spowodowania śmierci, a wtedy mógłbyś wnioskować o wzięcie pod uwagę okoliczności łagodzących?

- Powstrzymuje mnie lęk przed przegraną i obawa, że pani Kirsten będzie musiała do końca życia tkwić w więzieniu.

- Przede wszystkim dlaczego poprosiła ciebie, żebyś został jej obrońcą? - zapytał Jimmy...

- Nikt inny się nie zaoferował - odparł Fletcher. - Poza tym zachęciło ją honorarium.

- Ale masz przeciwko sobie prokuratora stanowego.

- Co jest dość tajemnicze, bo nie mogę pojąć, dlaczego podjął się reprezentować stan w takiej sprawie.

- Odpowiedź jest prosta - rzekł Jimmy. - Czarna kobieta zabija białego mężczyznę w stanie, gdzie jest tylko dwadzieścia procent czarnej ludności i więcej niż połowa nie kwapi się głosować a tu proszę - w maju mamy wybory.

- Ile Stamp dał ci czasu na podjęcie decyzji? - zainteresowała się Annie.

- Spotykamy się w sądzie w najbliższy poniedziałek.

- Czy możesz sobie pozwolić na długi proces?

- Nie, ale to nie może stanowić wymówki, żeby pójść na kompromis.

- Czyli czekają nas wakacje w sali sądowej numer trzy, czy tak? - spytała Annie z uśmiechem...

- Może nawet w sali numer cztery - rzekł Fletcher, obejmując żonę.

- Czy pomyślałeś o tym, żeby zwrócić się do profesora Abrahamsa o radę, jaką przyjąć linię obrony?

Jimmy i Fletcher spojrzeli na Annie z osłupieniem.

- On doradza prezydentom i głowom państw - rzekł Fletcher.

- i może czasem jakiemuś gubernatorowi - wtrącił Jimmy.

- To może czas, żeby udzielił rady studentowi drugiego roku prawa.

W końcu za to mu płacą.

- Nie wiedziałbym nawet od czego zacząć - mruknął Fletcher.

- Zatelefonuj i spytaj, czy się z tobą spotka - zaproponowała Annie. -

Jestem pewna, że mu tym pochlebisz.

Nat przybył do restauracji u Maria piętnaście minut wcześniej. Wybrał ją, ponieważ nie była pretensjonalna - stoliki okryte obrusami w czerwono-białą kratkę, skromne kwiaty, czarno-białe fotografie Florencji na ścianach. Tom mu powiedział, że makaron jest tu domowej roboty, przygotowywany przez żonę właściciela co przywołało wspomnienia wspólnej wycieczki do Rzymu. Nat posłuchał rady Toma i wystąpił w sportowej niebieskiej koszuli, szarych spodniach i granatowym swetrze, bez krawata i marynarki, co przyjaciel zaaprobował.

Nat przywitał się z Mariem, który polecił zaciszny stolik w rogu sali. Następnie kilka razy przeczytał listę potraw, coraz bardziej nerwowo spoglądając na zegarek. Wielokrotnie sprawdził, czy ma przy sobie wystarczającą ilość gotówki, na wypadek gdyby nie przyjmowano tutaj zapłaty kartą kredytową. Może byłoby rozsądniej, gdyby przespacerował się ulicami.

W chwili gdy ją zobaczył, pojął, że się wygłupił. Su Ling miała na sobie szykowny, dobrze skrojony niebieski kostiumik, kremową bluzkę i granatowe pantofle. Nat się podniósł i pomachał do dziewczyny. Uśmiechnęła się - pierwszy raz, odkąd ją ujrzał - w urzekający sposób i podeszła do stolika.

- Przepraszam - powiedział, wstając i czekając, aż ona usiądzie.

- Za co? - spytała ze zdziwioną miną.

- Że tak się ubrałem. Długo się zastanawiałem i jednak nie trafiłem.

- Ja też - rzekła Su Ling. - Spodziewałam się, że się zjawisz w mundurze obwieszonym medalami - dodała, zdejmując żakiet i wieszając go na oparciu krzesła.

Nat wybuchnął śmiechem i przez następne dwie godziny śmiali się prawie bez przerwy. Wreszcie Nat ją spytał, czy ma ochotę na kawę.

- Tak, czarną proszę - odparła Su Ling.

- Opowiedziałem ci o mojej rodzinie, teraz ty mi opowiedz o swojej - poprosił Nat. - Czy tak jak ja jesteś jedynym dzieckiem?

- Tak, mój ojciec był starszym sierżantem w Korei, kiedy poznał moją matkę. Zaledwie kilka miesięcy po ślubie zginął w bitwie pod Judamni.

Nat miał ochotę pochylić się nad stołem i wziąć ją za rękę.

- Przykro mi - powiedział tylko.

- Dziękuję ci - odparła po prostu. - Mama postanowiła wyjechać do Ameryki, żebyśmy mogły poznać moich dziadków. Ale nie udało się nam ich odnaleźć. - Teraz Nat ujął jej rękę. - Byłam za mała, żeby wiedzieć, co się dzieje, ale moja matka nie poddaje się łatwo. Podjęła pracę w pralni w Storrs, w pobliżu księgarni i właściciel pozwolił nam zamieszkać na górze.

- Znam tę pralnię - rzekł Nat. - Mój ojciec oddaje tam swoje koszule - jest bardzo sprawna i...

- ...nadal doskonale funkcjonuje w rękach mojej mamy. Ale mama musiała wszystko poświęcić, żeby mi zapewnić dobre wykształcenie.

- Twoja matka jest chyba podobna do mojej - doszedł do wniosku Nat. W tym momencie przy stoliku zjawił się Mario.

- Czy jest pan zadowolony? - spytał.

- Dziękuję, potrawy były znakomite - rzekł Nat. - Proszę o rachunek.

- Za moment, proszę pana, i czy wolno mi powiedzieć, że jestem zaszczycony pańską obecnością w mojej restauracji.

- Dziękuję - mruknął Nat, usiłując ukryć zakłopotanie.

- Jaki mu dałeś napiwek, żeby to powiedział? - spytała Su Ling, kiedy Mario się oddalił.

- Dziesięć dolarów. I za każdym razem recytuje to bezbłędnie.

- Ale czy to się zawsze opłaca?

- O tak, większość dziewcząt zaczyna się rozbierać, zanim jeszcze wsiądziemy do samochodu.

- Więc zawsze je tu przyprawiasz?

- Nie. Jeżeli uważam, że to będzie przygoda na jedną noc, zabieram je do McDonalda, a potem jedziemy do motelu. A jeżeli to poważniejsza sprawa - do tak eleganckiego miejsca jak Altnaveigh Inn.

- A które przyprawiasz do Maria? - spytała Su Ling.

- Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie - rzekł Nat - bo nigdy tu z nikim nie byłem.

- To mi pochwala - oznajmiła Su Ling, kiedy Nat podawał jej żakiet. Gdy wyszli z restauracji, Su Ling wzięła go za rękę. - W gruncie rzeczy jesteś nieśmiały, prawda?

- Tak, chyba tak - przyznał Nat, gdy zmierzali na kampus.

- W przeciwieństwie do swojego arcyrywala, Ralpa Elliota. - Nat nie zareagował. - On mi zaproponował randkę, gdy tylko mnie spotkał.

- Jeżeli mam być szczery - rzekł Nat - też bym to zrobił, ale ty odeszłaś.

- Zdaje się, że wtedy biegłam - sprostowała. Nat obrócił się do niej i uśmiechnął. - Ciekawe - dodała - jak długo byłeś w akcji w Wietnamie, żeby zostać aż takim bohaterem. - Nat chciał zaprotestować, kiedy rzekła: - Około pół godziny.

- Skąd wiesz? - zapytał Nat.

- Bo poszukałam informacji na twój temat, kapitanie Cartwright, i, żeby zacytować Steinbecka, pływasz pod fałszywą banderą. Zapoznałam się z tym cytatem dzisiaj, na wypadek gdybyś myślał, że jestem czytana. Kiedy wskoczyłeś do śmigłowca, nie miałeś nawet karabinu. Byłeś oficerem zaopatrzeniowym, który w ogóle nie powinien się tam znaleźć. Nie dość, że wskoczyłeś do helikoptera bez pozwolenia, to jeszcze bez zezwolenia z niego wyskoczyłeś. Ale gdybyś tego nie zrobił, mógłbyś stanąć przed sądem wojskowym.

- To prawda - rzekł Nat - ale nie mów o tym nikomu, bo nie będę więcej miał trzech dziewczyn na noc.

Su Ling zasłoniła usta ręką i roześmiała się.

- Czytałam dalej i dowiedziałam się, że po tym, jak śmigłowiec rozbił się w dżungli, wykazałeś się nadzwyczajną odwagą. Trzeba niesamowitego hartu, żeby z postrzeloną nogą ciągnąć tego biednego żołnierza na noszach, a potem usłyszeć, że umarł - to musiało zostawić trwałe ślady. - Nat milczał. - Przepraszam - powiedziała, kiedy dotarli na południowy kampus - nie byłam zbyt delikatna.

- To miło, że chciałaś się dowiedzieć prawdy - odrzekł, spoglądając w jej ciemnobrązowe oczy. - Niewielu zadało sobie taki trud.

- Sędziowie przysięgli, w większości spraw o morderstwo jest powinnością stanu, i słusznie, dowieść winy oskarżonego. W tym wypadku okazało się to niekonieczne. Dlaczego? Ponieważ pani Kirsten przyznała się do popełnienia tego brutalnego przestępstwa w niecałą godzinę po uśmierceniu męża. Nawet teraz, osiem miesięcy później, obrońca ani razu podczas tego procesu nie sugerował, że jego klientka nie popełniła zbrodni, ani nawet nie zakwestionował sposobu, w jaki jej dokonano.

- Rozważmy zatem fakty, gdyż nie była to zbrodnia w afekcie, kiedy kobieta się broni, chwytając, co ma pod ręką. Nie. Pani Kirsten poświęciła kilka tygodni na zaplanowanie morderstwa z zimną krwią; w pełni świadoma, że jej ofiara nie będzie miała szans obrony.

- Jak pani Kirsten przystąpiła do dzieła? W ciągu prawie trzech miesięcy zgromadziła kilka fiolek z botuliną, wykradła je na oddziale szpitala, w którym pracuje. Obrona próbowała sugerować, że zeznania pielęgniarek nie są wiarygodne, co by mogło wpłynąć na wasze opinie, gdyby nie to, że pani Kirsten sama potwierdziła z miejsca dla świadków, że mówiły prawdę.

- Co robi pani Kirsten, kiedy już ma truciznę? Czeka do sobotniego wieczoru, kiedy - jak wie - mąż wychodzi napić się z kolegami, i ukradkiem dodaje trucizny do sześciu butelek z piwem, po czym zakłada z powrotem kapsle. Potem stawia te butelki na kuchennym stole, zostawia zapalone światło i kładzie się do łóżka. Nawet umieszcza obok butelek otwieracz i szklankę. Robi wszystko z wyjątkiem jednego: sama nie wypija tej mikstury.

- Panie i panowie, sędziowie przysięgli. To było starannie zaplanowane i sprytnie wykonane morderstwo. Jednakże, jeśli uznać to za możliwe, gorsze dopiero miało nastąpić.

- Kiedy mąż wraca wieczorem do domu, od razu wpada w zastawioną pułapkę. Alex Kirsten idzie najpierw do kuchni, prawdopodobnie po to, żeby zgasić światło, i dostrzegłszy butelki na stole, nie może się oprzeć pokusie napicia się piwa przed snem. Ledwo przytknął drugą butelkę do ust, specyfik zaczyna działać. Kiedy woła pomocy, żona opuszcza sypialnię i powoli schodzi do holu, skąd słyszy, jak mąż jęczy z bólu. Czy telefonuje po karetkę- Nie, nie robi tego. Czy spieszy mu na pomoc? Nic podobnego. Siada na schodach i cierpliwie czeka, aż rozdzierające krzyki ustaną i zdobędzie pewność, że mąż nie żyje. I wtedy, ale dopiero wtedy, wszczyna alarm.

- Skąd możemy wiedzieć, że tak to się odbyło? Nie tylko sądy, że sąsiadów zbudziły uporczywe wołania męża kobiety, ale i dlatego, że kiedy jeden z sąsiadów przyszedł pod drzwi, żeby zaoferować pomoc, okazało się, że pani Kirsten w panice zapomniała opróżnić pozostałe cztery butelki.

Oskarżyciel milczał przez kilka sekund.

- Kiedy ich zawartość poddano analizie - mówił dalej - okazało się, że znajdująca się tam dawka trucizny mogłaby uśmiercić drużynę futbolową.

- Sędziowie przysięgli. Jedynym argumentem pana Davenporta na usprawiedliwienie tej zbrodni jest fakt, że mąż pani Kirsten regularnie ją bił. Jeżeli to prawda, to dlaczego nie powiadomiła o tym policji? Jeżeli tak się działo, dlaczego nie wprowadziła się do matki, która mieszka po drugiej stronie miasta? Jeżeli mamy wierzyć jej słowom, to dlaczego nie odeszła od męża? Powiem wam dlaczego.

Bo kiedy się go pozbyła, została właścicielką domu, gdzie mieszkali, i mogła pobierać emeryturę męża z przedsiębiorstwa, w którym pracował, co zapewniłoby jej względny dobrobyt do końca życia.

- W normalnych okolicznościach oskarżenie bez wahania domagałoby się kary śmierci za tak potworne przestępstwo, ale nie uważamy tego za właściwe w tym wypadku. Niemniej, sędziowie przysięgli, jest waszym obowiązkiem wyraźnie przestrzec każdego, kto uważa, że może

bezkarnie popełnić morderstwo. Takie przestępstwo może być traktowane lekko w innych stanach, ale nie chcemy, żeby Connecticut był jednym z nich. Czy chcemy mieć opinię stanu, który pobłaża morderstwu?...

Oskarżyciel ściszył głos prawie do szeptu i utkwiał wzrok w przysięgłych.

- Kiedy pozwolicie sobie na chwilę współczucia dla pani Kirsten, a powinniście, skoro jesteście istotami ludzkimi o czułych sercach, umieście owo współczucie na jednej szali wagi, zwanej sprawiedliwością. Na drugiej zaś szali umieście fakty - zamordowanie z zimną krwią czterdziestodwuletniego mężczyzny, który żyłby dziś, gdyby nie zbrodnia z premedytacją, dokonana przebiegle przez tę nikczemną kobietę. - Odwrócił się i wskazał na oskarżoną. - Nie waham się w imieniu stanu prosić was, żebyście uznali panią Kirsten za winną i osądzili ją zgodnie z prawem.

Oskarżyciel wrócił na swoje miejsce; na twarzy miał cień uśmiechu.

- Panie Davenport - rzekł sędzia - teraz ogłoszę przerwę na lunch.

Kiedy wrócimy, będzie pan mógł przedstawić w odpowiedzi argumentację.

- Wyglądasz na bardzo zadowolonego z siebie - zauważył Tom, zasiadając w kuchni z Natem do śniadania.

- Spędziłem niezapomniany wieczór.

- Czyżby nastąpiło skonsumowanie związku?

- Nie, nic podobnego - odparł Nat. - Ale mogę ci powiedzieć, że trzymałem ją za rękę.

- Co robiłeś?

- Trzymałem ją za rękę - powtórzył Nat.

- To nie wyjdzie na dobre twojej reputacji.

- Mam nadzieję, że ją zrujnuje - rzekł Nat, wlewając mleko do pszennych płatków śniadaniowych. - A co u ciebie? - zagadnął.

- Jeżeli pytasz o moje życie erotyczne, to obecnie ono nie istnieje, choć nie z powodu braku propozycji. Jednej nawet nachalnej. Ale nie jestem zainteresowany. - Nat spojrział na przyjaciela i uniósł brwi. - Rebeka wyraźnie daje do zrozumienia, że jest do wzięcia.

- Ale ja myślałem...

- Że jest znowu z Elliotem?

- Tak.

- Możliwe, ale ile razy ją widzę, ona woli mówić o tobie - bardzo pochlebnie, mógłbym dodać, chociaż podobno kiedy jest z Elliotem, mówi całkiem inaczej.

- Jeżeli tak - rzekł Nat - to dlaczego leci na ciebie?

Tom odsunął pustą miskę i zajął się dwoma ugotowanymi jajkami, które leżały przed nim. Stłukł skorupkę i obejrzał żółtko.

- Jeżeli wiadomo - powiedział - że jesteś jedynakiem i twój ojciec ma miliony, większość kobiet patrzy na ciebie całkiem inaczej.

Dlatego nigdy nie mogę być pewien, czy to ja, czy moje pieniądze wzbudzają ich zainteresowanie. Ciesz się, że nie masz takich problemów.

- Będziesz wiedział, kiedy trafisz na właściwą osobę - zawyrokował Nat.

- Czyżby? Wątpię. Ty jesteś jednym z nielicznych, którzy nigdy nie okazali najmniejszego zainteresowania moim bogactwem, i chyba jedynym, który zawsze nalega, że zapłaci za siebie. Byłbyś zdziwiony, jak wiele osób zakłada, że zapłacę rachunek, bo mnie na to stać. Gardzę takimi ludźmi i dlatego krąg moich przyjaciół jest bardzo mały.

- Moja nowa przyjaciółka też jest malutka - oznajmił Nat, próbując

wprowadzić Toma w lepszy nastrój. - Wiem, że ci się spodoba.

- Ta dziewczyna, którą trzymałeś za rękę?
- Tak, Su Ling - jest mała i szczupła, a teraz, kiedy chudość jest w modzie, będzie się cieszyła dużym wzięciem wśród studentów.
- Su Ling?
- Znasz ją? - spytał Nat.
- Nie, ale ojciec mi mówił, że kieruje nową pracownią komputerową którą ufundowała jego spółka, i że wykładowcy nawet nie zadają sobie trudu i nie próbują jej uczyć.
- Ani razu nie wspomniała o komputerach wczoraj wieczór.
- Ty się lepiej pospiesz, bo ojciec mi powiedział, że Instytut Technologiczny Massachusetts i Uniwersytet Harvarda próbują ją ściągnąć do siebie, więc uważaj, bo w tej małej głowie mieści się wielki rozum.
- No to znowu zrobiłem z siebie głupka - rzekł Nat bo podśmiewałem się z jej angielszczyzny, a tymczasem ona opanowała nowy język, który każdy chciałby poznać. Powiedz, czy to dlatego chciałeś się ze mną zobaczyć?
- Nie. Nie miałem pojęcia, że chodzisz na randki z geniuszem.
- Daj spokój - rzekł Nat. - Ona jest subtelną, miłą, piękną kobietą, która uważa, że trzymanie się za ręce to prawie rozpusta. - Zamilkł na chwilę. - Więc jaki jest cel tego naszego spotkania przy wysokoenergetycznym śniadaniu, jeżeli nie chodziło ci o dyskusję o tajnikach mojego życia seksualnego?

Tom zrezygnował z jajek i odsunął je na bok....

- Zanim wrócę do Yale, chcę wiedzieć, czy zamierzasz starać się o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej...

Spodziewał się zwyczajnego w takich sytuacjach potoku słów w rodzaju: na mnie nie licz, nie jestem zainteresowany, zwracasz się do niewłaściwej osoby. Tymczasem Nat przez jakiś czas nie odpowiadał.

- Rozmawiałem wczoraj na ten temat z Su Ling - przyznał wreszcie - i ona w swój rozbrajający sposób powiedziała mi, że studenci nie tyle chcą mnie, ile nie chcą Elliota. Woleliby mniejsze zło, tak się wyraziła, jeśli pamiętam.
- Jestem pewien, że ma rację - orzekł Tom - ale to by się zmieniło, gdybyś pozwolił im się poznać. Stałeś się odludkiem, odkąd wróciłeś na uczelnię.
- Mam dużo do nadrobienia - powiedział Nat usprawiedliwiającym tonem.
- Już nie, sądząc po twojej średniej - zauważył Tom. - A teraz, kiedy wybrano cię do reprezentacji uniwersyteckiej...
- Tom, gdybyś ty był tutaj, nie wahałbym się i stanąłbym do wyborów, ale skoro jesteś w Yale...

Fletcher wstał i obrócił się ku ławie przysięgłych - na wszystkich twarzach widział wypisane dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Gdyby mógł cofnąć czas i zaakceptować propozycję trzech lat, zgodziłby się bez wahania. Teraz pozostał mu tylko jeden rzut kostką, który miał przywrócić pani Kirsten resztę życia. Dotknął ramienia swojej klientki i obrócił się ku Annie, pragnąc, by dodał mu otuchy uśmiech żony, tak głęboko przekonanej, że powinien bronić tej kobiety. Zamarł, gdy zobaczył, kto siedzi dwa rzędy za nią. Profesor Karl Abrahams zaszczylił go skinieniem głowy. Przynajmniej Jimmy się dowie, jak można skłonić Homera, by poruszył głową.

- Sędziowie przysięgli - zaczął Fletcher lekko drżącym głosem. - Wysłuchaliście przekonującej mowy prokuratora generalnego, trzeba przyznać pełnej jadu, może więc czas ukazać, gdzie należało atak ten skierować. Ale najpierw chciałbym przez chwilę mówić o was. Prasa narobiła wiele hałasu o to, że nie sprzeciwiałem się wyborowi każdego białego sędziego przysięgłego, którego wytypowano; istotnie, jest was dziesięcioro w tym, składzie. Dziennikarze posunęli się jeszcze dalej, sugerując, że gdybym uzyskał pełny czarny skład ławy przysięgłych z przewagą kobiet, wtedy pani Kirsten na pewno byłaby wolna. Ale ja tego nie chciałem. Wybrałem każdego z was z innego powodu.

Na twarzach sędziów przysięgłych odmalowało się zdziwienie.

- Nawet prokurator generalny nie rozumiał, dlaczego nie miałem zastrzeżeń wobec niektórych z was - dodał Fletcher, zwracając się do Stampa. - Również nikt z jego licznego zespołu nie domyślił się, dlaczego mój wybór padł na was. Co zatem macie wspólnego?

Teraz prokurator generalny był tak samo zaintrygowany jak sędziowie przysięgli. Fletcher obrócił się w drugą stronę i wskazał na panią Kirsten..

- Tak jak oskarżona - powiedział - każdy z was ma za sobą więcej niż dziewięć lat małżeństwa. - Zwrócił się znowu ku ławie przysięgłych. - Nie ma wśród was kawalerów ani panien, osób, które nigdy nie doświadczyły małżeństwa, które nie wiedzą, co się dzieje między dwojgiem ludzi za zamkniętymi drzwiami.

Fletcher zauważył, że kobieta w drugim rzędzie się wzdrygnęła. Przypomnił sobie słowa Abrahamsa, że wśród dwunastu sędziów przysięgłych zawsze może się trafić jedna osoba, która miała podobne przeżycia jak oskarżony. Fletcher właśnie rozpoznał taką osobę.

- Kto z was drży na myśl, że małżonek wróci do domu po północy, pijany, żądny bijatyki? Bo pani Kirsten spodziewała się tego sześć wieczorów w tygodniu przez ostatnie dziewięć lat. Spójrzcie na tę drobną, kruchą kobietę i pomyślcie, jakie mogła mieć szansę wobec rosłego mężczyzny o posturze boksera wagi ciężkiej.

Fletcher skupił uwagę na kobiecie, która się wzdrygnęła.

- Kto z was wraca wieczorem do domu i spodziewa się, że mąż schwyci deskę do krojenia chleba, tarkę do sera albo nawet nóż do mięsa nie po to, żeby przygotować w kuchni posiłek, ale żeby zaatakować tym narzędziem żonę? I czego krucha, drobna pani Kirsten miała użyć w swojej obronie? Poduszki? Ręcznika? Może packi na muchy? - Fletcher zamilkł na chwilę. - Sędziowie przysięgli, czy nigdy o tym nie pomyśleliście? - dodał, patrząc na pozostałych. - Dlaczego? Bo wasi mężowie i wasze żony nie są łotrami. Panie i panowie, jakim sposobem możecie sobie wyobrazić, na co narażona była ta kobieta dzień po dniu?

- Jakby mało było poniżania i upokorzeń, jednego wieczoru ten zbir wraca do domu pijany, idzie na górę, wywleka żonę za włosy z łóżka, ciągnie ją po schodach do kuchni; już mu nie wystarczy zbić ją na kwaśne jabłko. - Fletcher ruszył w stronę swojej klientki. - Potrzebuje nowej podniety. Cóż widzi Anita Kirsten, gdy zostaje zawleczona do kuchni- Płytką na piecu kuchennym jest już rozgrzana do czerwoności i czeka na ofiarę. - Odwrócił się ku przysięgłym. Czy możecie sobie wyobrazić, jak się poczuła, kiedy ujrzała czerwoną płytkę? Ten drab schwycił jej dłoń niby surowy befszytk i rzucił na piec, przytrzymując przez piętnaście sekund.

Fletcher ujął pokrytą bliznami dłoń Anity Kirsten i trzymał ją w

górze, tak żeby była widoczna dla sędziów przysięgłych, spojrzął na zegarek i policzył do piętnastu. - A potem straciła przytomność - dodał.

- Kto z was - ciągnął - w ogóle może sobie wyobrazić taki koszmar, a co dopiero znieść coś podobnego? Więc czemu prokurator generalny zażądał kary dziewięćdziesięciu dziewięciu lat więzienia? Ponieważ, powiedział nam, zbrodnia została dokonana z premedytacją. Nie była to, zapewnił nas, zbrodnia w afekcie, dokonana przez kogoś w obronie swojego życia, w chwili szału. - Fletcher obrócił się twarzą do prokuratora generalnego i rzekł: - Oczywiście, że zbrodnię popełniono z premedytacją, oczywiście, że Anita Kirsten dobrze wiedziała, co robi. Gdyby ktoś był tak jak ona drobną, kruchą kobietą, której zagraża rosły osiłek, czy sięgnąłby po nóż, pistolet albo jakieś tępe narzędzie, którego ten zbir łatwo by użył przeciwko swojej ofierze?

Fletcher znów się odwrócił i powoli skierował ku ławie przysięgłych.

- Kto z was byłby taki głupi? Kto z was, przeszedłszy przez to, co Anita Kirsten, nie działałby według planu? Pomyślcie o tej nieszczęsnej kobiecie, kiedy będziecie mieć następną sprzeczkę ze swoją małżonką. Czy po wymianie kilku gniewnych zdań podgrzejecie piec kuchenny do temperatury dwustu dwudziestu stopni, żeby pokazać, że jesteście górą? - Popatrzył po kolei na każdego z siedmiu mężczyzn na ławie przysięgłych. - Czy taki mężczyzna zasługuje na wasze współczucie?

- Jeżeli ta kobieta jest winna morderstwa, która z was - teraz zwracał się do pięciu kobiet wśród przysięgłych - nie zrobiłaby tego samego, gdyby miała pecha i poślubiła Aleksa Kirstena? Słyszę wasz krzyk: „Ale mnie to nie spotkało! Ja poślubiłam dobrego i przyzwoitego człowieka!”. Zatem teraz możemy się wszyscy zgodzić co do jednego: Anita Kirsten poślubiła łotra.

Fletcher przechylił się przez poręcz ławy przysięgłych.

- Sędziowie przysięgli. Proszę, wybaczcze mi moją młodzieńczą pasję. Nie wypieram się jej. Postanowiłem podjąć się jej sprawy, gdyż bałem się, że pani Kirsten nie będzie wymierzona sprawiedliwość i moja młodość natchnęła mnie nadzieją, że dwanaścioro przyzwoitych obywateli i obywateli dojrzy to co ja i nie wyda wyroku skazującego tę kobietę na spędzenie reszty życia w więzieniu.

- Zakończę tę moją argumentację, przytaczając słowa wypowiedziane przez panią Kirsten dziś rano, kiedy byliśmy sami w jej celi:

„Panie Davenport, chociaż mam dopiero dwadzieścia pięć lat, wolałabym tkwić do końca życia w więzieniu, niż spędzić jeszcze jedną noc pod tym samym dachem z tym draniem”.

- Dzięki Bogu, nie musi wrócić do niego do domu dzisiejszej nocy. Jest w waszej mocy, sędziowie przysięgli, wysłać tę kobietę dziś wieczór do jej kochających dzieci, ponieważ dwunastu przyzwoitych ludzi rozumie różnicę pomiędzy dobrem i złem. - Fletcher ściszył głos prawie do szeptu. - Kiedy wieczorem wrócicie do domu do swoich mężów i żon, powiedzcie im, co czyniliście dzisiaj w imię sprawiedliwości, jestem bowiem przekonany, że jeżeli wydacie werdykt „niewinna”, wasi małżonkowie nie rozpalą pieca w kuchni do temperatury dwustu dwudziestu stopni, bo się z wami nie zgodzą. Pani Kirsten już odcierpiała dziewięćletni wyrok. Czy naprawdę myślicie, że zasłużyła na następnych dziewięćdziesiąt lat?

Fletcher wrócił na swoje miejsce, ale nie obejrzał się, żeby popatrzeć na Annie, gdyż bał się, że Karl Abrahams zauważy, że z trudem

powstrzymuje łyzy.

- Cześć, jestem Nat Cartwright.

- Nie kapitan Cartwright- Tak, bohater, który pozabijał tych wszystkich partyzantów Wietkongu gołymi rękoma, bo zapomniał wziąć spinaczy.

- Nie - rzekła Su Ling z udawanym podziwem - Nie ten, który leciał śmigłowcem bez licencji pilota nad dżunglą pełną nieprzyjaciół?

- A potem zabił tylu wrogów, że nie można ich było policzyć, i uratował cały pluton, który się zagubił.

- A rodacy w ojczyźnie w to uwierzyli, więc ofiarowali mu medale, mnóstwo pieniędzy i sto dziewiczych westalek.

- Dostaję tylko czterysta dolarów miesięcznie i na oczy nie widziałem żadnej westalki.

- Teraz zobaczyłeś - zauważyła Su Ling z uśmiechem.

- Czy wobec tego możesz jej powiedzieć, że zostałem wystawiony do zawodów przeciw Uniwersytetowi Bostońskiemu?

- Niewątpliwie oczekujesz, że będzie stała w deszczu jak wszystkie twoje wielbicielki i czekała, aż się przywleciesz na samym końcu.

- Nie, prawdę mówiąc, muszę oddać do pralni dres, a słyszałem, że jej matka przyjmuje pranie. - Su Ling wybuchnęła śmiechem. - Oczywiście chciałbym, żebyś była w Bostonie - rzekł Nat, biorąc ją w ramiona.

- Zarezerwowałam już miejsce w autobusie, którym pojedą kibice.

- Przecież jedziemy z Tomem poprzedniego dnia wieczorem, więc może byś się zabrała z nami?

- Ale gdzie bym przenocowała?

- Jedna z licznych ciotek Toma ma dom w Bostonie i zaofiarowała nam wszystkim nocleg. - Su Ling się zawahała. - Podobno jest tam dziewięć sypialni, a nawet oddzielne skrzydło, ale jeżeli to nie wystarczy, zawsze mogę spędzić noc na tylnym siedzeniu samochodu. - Su Ling nie odpowiedziała, gdyż pojawił się Mario z dwiema filiżankami cappuccino.

- To mój przyjaciel Mario - oznajmiła Su Ling. - To bardzo miło, że trzyma pan dla mnie mój stół - dodała.

- Czy przyprowadzasz tutaj wszystkich swoich mężczyzn?

- Nie, za każdym razem wybieram inną restaurację, żeby nikt się nie dowiedział o mojej dziewiczej reputacji.

- Tak jak o twojej reputacji jako eksperta komputerowego?

Su Ling oblała się rumieńcem.

- Kto ci powiedział? - spytała.

- Jak to, kto mi powiedział? Wszyscy w kampusie o tym wiedzą, tylko nie ja. Prawdę mówiąc, dowiedziałem się o tym od mojego najbliższego przyjaciela, który studiuje w Yale.

- Chciałam ci powiedzieć, ale nigdy nie zadałeś właściwego pytania.

- Su Ling, przecież możesz mi mówić o różnych sprawach bez moich pytań.

- Muszę cię więc spytać, czy słyszałeś również, że Harvard i MIT proponują mi miejsce na wydziale informatyki.

- Tak, ale nie wiem, co im odpowiedziałas.

- Panie kapitanie, czy mogę pana najpierw o coś zapytać?

- Su Ling, znowu próbujesz zmienić temat.

- Tak, Nat, ponieważ muszę znać odpowiedź na moje pytanie, zanim odpowiem na twoje.

- No dobrze. W takim razie słucham?

Su Ling lekko pochyliła głowę, jak zawsze kiedy była trochę zakłopotana.

- Jak to możliwe, żeby dwoje tak różnych ludzi - zawahała się - aż tak się polubiło.

- Aż tak się pokochało - chyba to chciałaś powiedzieć. Gdybym znał odpowiedź na to pytanie, kwiatuszku, byłbym profesorem filozofii i nie musiałbym się martwić o stopnie na koniec semestru.

- W moim kraju - rzekła Su Ling - ludzie nie mówią o miłości, jeśli się nie znają od wielu lat.

- Wobec tego obiecuję nie poruszać tego tematu przez wiele lat - pod jednym warunkiem.

- Mianowicie- Że zgodzisz się pojechać z nami w piątek do Bostonu.

- Tak, gdybym mogła dostać telefon ciotki Toma.

- Oczywiście, ale po co?

- Moja matka będzie się chciała z nią porozumieć. - Su Ling wsunęła prawą stopę pod stół i postawiła ją na lewej stopie Nata.

- Jestem pewien, że to znaczy coś ważnego w twoim kraju.

- Tak. To znaczy, że chcę razem z tobą spacerować, ale nie w tłumie.

Nat postawił prawe stopę na jej lewej.

- A to co znaczy?

- Że zgadzasz się z moim życzeniem. - Zawahała się. - Ale nie powinnam zrobić tego pierwsza, bo ludzie mogliby mnie uznać za kobietę rozwiązłą. - Nat od razu zdjął stopę i postawił ją na miejscu. - Cześć uratowana - powiedziała Su Ling.

- Kiedy już odbyliśmy ten nasz spacer, to co dalej?

- Musisz czekać na zaproszenie na podwieczorek do mojej rodziny.

- Jak długo?

- Zwykle wypada czekać rok.

- Nie moglibyśmy trochę tego przyspieszyć? - zasugerował Nat. - Co byś powiedziała o przyszłym tygodniu?

- Dobrze, zostaniesz zaproszony na podwieczorek w niedzielę po południu, ponieważ według tradycji niedziela jest dniem, kiedy mężczyzna spożywa pierwszy posiłek z kobietą pod czujnym okiem rodziny...

- Ale przecież jedliśmy już razem posiłki kilka razy.

- Wiem, dlatego musisz przyjść na podwieczorek, zanim moja matka to odkryje, w przeciwnym razie zostanę wydziedziczona i wyrzucona.

- Zatem nie przyjmę twojego zaproszenia na podwieczorek - oznajmił Nat...

- Czemu?

- Po prostu stanę przed twoim domem i jak matka cię wyrzuci, schwytam cię i nie będę musiał czekać jeszcze dwóch lat. - Nat postawił obie stopy na stopach Su Ling, ale ona natychmiast cofnęła swoje. - Czy zrobiłem coś źle?

- Dwie stopy to całkiem co innego.

- Co, kwiatuszku? - spytał Nat.

- Nie mogę ci powiedzieć, ale skoro zdołałeś ustalić, co znaczy Su Ling, to jestem pewna, że tego też się dowiesz i nigdy więcej tego nie zrobisz, chyba że...

W piątek po południu Tom przywiózł Nata i Su Ling do domu swojej ciotki na zielonym przedmieściu Bostonu. Pani Russel widocznie rozmawiała z matką Su Ling, gdyż umieściła dziewczynę w sypialni obok swojej, w głównej części budynku, a Nat i Tom zostali odesłani do

wschodniego skrzydła.

Następnego ranka: po śniadaniu Su Ling wyszła na spotkanie z profesorem statystyki z Uniwersytetu Harvarda, natomiast Nat i Tom spędzili trochę czasu, zapoznając się z trasą zawodów, co Nat zawsze robił, kiedy miał biec w nieznanym miejscu. Sprawdzał wszystkie wydeptane ścieżki, a kiedy natknął się na strumień, furtkę albo niespodziewane wzniesienie terenu, kilkakrotnie ćwiczył ich pokonanie.

Kiedy wracali przez łąkę, Tom go spytał, co zrobią jeżeli Su Ling zgodzi się przenieść na Uniwersytet Harvarda.

- Wtedy też się przeniosę i wstąpię do szkoły biznesu.

- Tak ci zależy na tej dziewczynie?

- Tak, i nie mogę ryzykować, że ktoś inny postawi obie stopy na jej stopach.

- O czym ty mówisz?

- Wyjaśnię ci innym razem - rzekł Nat, zatrzymując się przed strumieniem. - Jak myślisz, jak oni go forsują?

- Nie mam pojęcia - odparł Tom. - Ale chyba jest za szeroki, żeby go przeskoczyć.

- No właśnie. Myślę, że najpierw skaczą na te wielkie płaskie kamienie w środku.

- A co robisz, jak czegoś nie jesteś pewien? - spytał Tom.

- Biegnę tuż za jednym z miejscowych zespołów, bo oni pokonują przeszkodę prawidłowo i robią to automatycznie.

- Co byś chciał osiągnąć na samym początku sezonu?

- Byłbym zadowolony, gdybym się znalazł w grupie zawodników, którym zaliczają wyniki.

- Nie rozumiem, czy nie każdemu zaliczają wynik?

- Nie, chociaż jest ośmiu biegaczy w każdym zespole, tylko wyniki sześciu są brane pod uwagę przy obliczaniu wyniku zespołowego. Jak dobiegnę na miejscu dwunastym albo lepszym, mój wynik będzie się liczył.

- W jaki sposób oblicza się wynik zespołu?

- Pierwszy na mecie otrzymuje jeden punkt, drugi dwa i tak dalej. Po skończonym biegu wyniki pierwszej szóstki sumuje się i zwycięża zespół z najniższym czasem. Wynik siódmego albo ósmego zawodnika tylko wtedy się zalicza, gdy wyprzedzą oni pierwszych sześciu biegaczy drużyny przeciwnej. Czy teraz rozumiesz?

- Tak, chyba tak - rzekł Tom, spoglądając na zegarek. - Muszę wracać, bo obiecałem cioci Abigail, że zjem z nią lunch. Idziesz ze mną?.

- Nie, razem z moim zespołem uraczę się bananem, liściem sałaty i szklanką wody. Czy mógłbyś zabrać Su Ling i dopilnować, żeby zdążyła na zawody?

- Nie trzeba jej będzie przypominać - zauważył Tom.

Kiedy Tom wkroczył do domu, zastał ciotkę i Su Ling pogrążone w rozmowie przy zupie z owoców morza. Zorientował się, że ciotka zmieniła temat w chwili, gdy wszedł do pokoju.

- Lepiej coś szybko zjedz - powiedziała - jeżeli chcesz zdążyć na początek zawodów.

Tom zjadł dwie miski zupy, a potem razem z Su Ling wybrali się na trasę biegu. Wy tłumaczył jej, że Nat wybrał im miejsce w połowie trasy, skąd będą mogli zobaczyć wszystkich zawodników na odcinku co najmniej mili, a potem, jeżeli pójdą na skróty, zdążą, żeby ujrzeć jak zwycięzca wpada na metę.

- Czy rozumiesz, których zawodników wyniki zalicza się do wyniku zespołu? - zagadnął Tom.

- Tak, Nat mi wytłumaczył - to pomysłowy system, przy którym liczydło jest szalenie nowoczesne. Czy chcesz, żebym ci wyjaśniła?

- Tak, proszę - rzekł Tom...

Kiedy dotarli do punktu obserwacyjnego, wskazanego przez Nata, nie czekali długo, wkrótce pierwszy biegacz wyłonił się zza grzbietu wzgórza. Przemknął koło nich kapitan zespołu bostońskiego, potem jeszcze dziesięciu zawodników, a następnie pojawił się Nat. Pomachał im, zbiegając ze wzgórza.

- Jest ostatnim zawodnikiem, który zdobywa punkty dla zespołu - powiedziała Su Ling, kiedy wyruszyli na skróty do mety...

- Założę się, że teraz, kiedy wie, że na niego patrzysz, przesunie się o dwa albo trzy miejsca do przodu - zauważył Tom.

- Pochlebiasz mi - rzekła Su Ling.

- Czy przyjmiesz propozycję Uniwersytetu Harvarda? - spytał Tom cicho.

- Czy Nat cię prosił, żebyś mnie spytał?

- Nie. Chociaż o niczym innym nie mówi.

- Zgodziłam się, ale pod jednym warunkiem. - Tom się nie odezwał. Su Ling nie powiedziała, co to za warunek, więc nie pytał.

Ostatnie sto jardów musieli biec, żeby zdążyć na moment, gdy kapitan zespołu bostońskiego triumfalnie wyrzucił w górę ręce, przekraczając metę. Tom dobrze przewidział, gdyż Nat dobiegł na dziewiątym miejscu, jako czwarty punktowany zawodnik swojej drużyny. Obydwoje popędzili, żeby mu pogratulować, jakby był zwycięzcą. Nat leżał wyczerpany na ziemi, rozczarowany, że nie pobiegł lepiej, gdy się dowiedział, że Boston wygrał w stosunku 31 do 24.

Po kolacji z ciotką Abigail wyruszyli w długą podróż powrotną do Storrs. Nat ułożył głowę na kolanach Su Ling i prędko zasnął.

- Nie wyobrażam sobie, co by powiedziała moja matka o naszej pierwszej nocy - szepnęła Su Ling do Toma prowadzącego samochód.

- Czy nie możesz pójść na całego i powiedzieć jej, że to był menage dtroisi.

- Matka jest tobą zachwycona - powiedziała Su Ling, kiedy nazajutrz po południu wracali powoli do kampusu po podwieczorku.

- Co za kobieta! - rzekł Nat. - Gotuje, prowadzi dom i doskonale kieruje firmą.

- I nie zapominaj - wtrąciła Su Ling - że została napiętnowana we własnym kraju za urodzenie dziecka cudzoziemca i wcale nie przyjęto jej mile, kiedy tutaj przybyła, dlatego wychowała mnie tak surowo. Jak wiele dzieci imigrantów nie jestem wcale zdolniejsza od matki, ale ona poświęciła wszystko, żebym otrzymała najlepsze wykształcenie, i stworzyła mi więcej szans, niż sama miała kiedykolwiek. Może teraz zrozumiesz, dlaczego zawsze staram się szanować jej życzenia.

- Tak, rozumiem - odparł Nat. - I teraz, kiedy poznałem twoją matkę, chciałbym, żebyś poznała moją, bo jestem z niej równie dumny.

Su Ling się zaśmiała.

- Czemu się śmiejesz, kwiatuszku? - zdziwił się Nat.

- Jeżeli w moim kraju mężczyzna poznaje matkę kobiety, znaczy to, że przyznaje się do związku. Jak następnie mężczyzna prosi, żeby kobieta poznała jego matkę, oznacza to zaręczyny. Jeżeli nie poślubi potem

dziewczyny, to ona zostanie starą panną. Jednak zaryzykuję, bo wczoraj, kiedy biegałeś, Tom poprosił mnie, żebym za niego wyszła.

Nat się pochylił, pocałował Su Ling w usta, a potem delikatnie postawił obie stopy na jej stopach.

- Ja też cię kocham - powiedziała Su Ling z uśmiechem.

- I co myślisz? - zagadnął Jimmy.

- Nie wiem - odparł Fletcher, rzuciwszy okiem na stanowisko prokuratora generalnego, ale na twarzach ludzi z zespołu reprezentującego stan nie było widać ani niepokoju, ani pewności siebie.

- Zawsze możesz spytać profesora Abrahamsa o opinię - zauważyła Annie.

- Czy on tu jeszcze jest?

- Przed chwilą widziałam, jak spaceruje po korytarzu.

Fletcher wstał od stolika, pchnął drewnianą bramkę oddzielającą miejsce dla palestry od publiczności i prędko wyszedł z sali na wyłożony marmurem, przestronny korytarz. Spojrzał w lewo i w prawo, ale dopiero kiedy rozstąpił się tłum zgromadzony wokół okrągłej klatki schodowej, spostrzegł dystyngowanego pana siedzącego w kącie z opuszczoną głową i coś notującego. Mijali go w pośpiechu urzędnicy sądowi i publiczność, nieświadomi jego obecności. Fletcher z lękiem podszedł do niego i przyglądał się, jak sporządza notatki. Nie miał odwagi przeszkodzić i czekał, aż profesor w końcu podniesie głowę.

- Ach, to ty, Davenport - powiedział i poklepał ławkę koło siebie. - Siadaj. Masz pytający wyraz twarzy, jak więc mógłbym ci pomóc?

- Chciałem tylko zasięgnąć pańskiej opinii - rzekł Fletcher, siadając przy profesorze - dlaczego sędziowie przysięgli tak długo obradują. Czy można to jakoś interpretować?

Profesor spojrział na zegarek.

- Trochę ponad pięć godzin - powiedział. - Nie, to nie jest długo jak na oskarżenie grożące karą śmierci. Sędziowie przysięgli lubią pokazać, że traktują poważnie swoje obowiązki, jeśli rzecz jasna sprawa nie jest prosta i oczywista, a ta z pewnością taka nie jest.

- Czy pan profesor domyśla się, jaki będzie wynik? - spytał Fletcher z niepokojem.

- Nigdy nie można odgadnąć wyniku obrad ławy przysięgłych; to dwanaście osób przypadkowo wybranych, niemających wiele wspólnego, chociaż muszę powiedzieć, że z kilkoma wyjątkami robią wrażenie bezstronnych. Jakie jest zatem pańskie następne pytanie?

- Nie wiem, profesorze, jakie powinno być moje następne pytanie.

- Co powinienem zrobić, gdyby werdykt nie był po mojej myśli? -

Abrahams zawiesił głos. - Zawsze trzeba być przygotowanym na taką ewentualność. - Fletcher skinął głową. - Odpowiedź? Natychmiast prosi pan sędziego o zgodę na wniesienie apelacji. - Profesor wyrwał z notesu jedną kartkę żółtego papieru i wręczył ją swojemu uczniowi. - Mam nadzieję, że nie uzna pan tego za arogancję, ale zanotowałem kilka wersji prostych sformułowań na każdą ewentualność.

- Z werdyktem „winna” włącznie? - spytał Fletcher.

- Nie trzeba być aż takim pesymistą. Najpierw musimy rozważyć możliwość braku jednomyślności wśród ławy przysięgłych. W środku tylnego rzędu zauważyłem mężczyznę, który ani razu nie spojrział na naszą klientkę, kiedy składała zeznania. Ale zauważyłem też, że pan zwrócił uwagę na kobietę na skraju pierwszego rzędu, która opuściła wzrok, gdy pan

uniósł poparzoną dłoń pani Kirsten.

- Co robić w razie braku jednomyślności ławy przysięgłych?

- Nic. Sędzia, aczkolwiek nie jest to najbardziej błyskotliwy umysł prawniczy zasiadający obecnie w sądzie apelacyjnym, jest skrupulatny i sprawiedliwy w interpretacji prawa, zapyta więc sędziów przysięgłych, czy mogą wydać werdykt większościowy.

- W tym stanie wymaga on dziesięciu głosów do dwóch.

- Tak jak i w pozostałych czterdziestu trzech stanach - przypomniał profesor...

- A jeżeli nie zdołają osiągnąć werdyktu większościowego?

- Wtedy sędzia nie będzie miał innego wyjścia, jak zwolnić przysięgłych i zapytać prokuratora generalnego, czy życzy sobie ponownego procesu, i uprzedzając pańskie pytanie, odpowiem, że nie umiem przewidzieć reakcji Stampa.

- Sporządził pan bardzo dużo notatek - powiedział Fletcher, spoglądając na gęsto zapisane kartki.

- Tak, zamierzam nawiązać do tej sprawy w następnym semestrze podczas wykładu na temat różnicy prawnej między nieumyślnym spowodowaniem śmierci a zabójstwem. Wykład wygłoszę dla studentów trzeciego roku, toteż nie powinien pan czuć się zakłopotany.

- Czy powinienem był zaakceptować układ proponowany przez prokuratora generalnego, zgodzić się na orzeczenie nieumyślnego spowodowania śmierci i karę trzech lat więzienia?

- Podejrzewam, że niedługo poznamy odpowiedź na to pytanie.

- Czy popełniłem dużo błędów? - spytał Fletcher.

- Kilka - odparł profesor, przewracając kartki notesu.

- Jaki największy?

- Uważam, że jedynym rażącym błędem było niewezwanie lekarza, który by szczegółowo opisał - doktorzy zawsze się w tym lubują - w jaki sposób zostały zadane obrażenia na rękach i nogach pani Kirsten. Sędziowie przysięgli uwielbiają lekarzy. Zakładają, że są uczciwymi ludźmi i zazwyczaj tacy są. Jednak podobnie jak wszyscy, jeśli zadać im odpowiednio sformułowane pytanie - a przecież to prawnicy dobierają pytania - są skłonni do przesady.

Fletcher ogarnęło poczucie winy, że stracił taki atut, i pomyślał z zalem, że szkoda, iż nie posłuchał Annie i wcześniej nie poradził się profesora.

- Niech się pan nie przejmuj, oskarżenie ma jeszcze kilka przeszkód do pokonania, bo sędzia z pewnością udzieli nam zgody na zawieszenie postępowania wykonawczego.

- Nam? - zdziwił się Fletcher.

- Tak - powiedział cicho profesor. - Wprawdzie nie występowałem w sądzie od wielu lat i może trochę zardzewiałem, ale chciałbym, żebyś pozwolił sobie asystować przy tej okazji.

- Chciałby pan wystąpić jako drugi adwokat? - spytał Fletcher z niedowierzaniem.

- Owszem, Davenport - rzekł profesor - ponieważ przekonałeś mnie co do jednego: twoja klientka nie powinna siedzieć do końca życia w więzieniu.

- Przysięgli wracają! - czyjś - krzyk rozbrzmiał echem w całym korytarzu.

- Powodzenia, Davenport - dodał profesor; - I nim usłyszę werdykt,

pragnę powiedzieć, że jak na studenta drugiego roku pańską obrona była prawdziwym majstersztykiem.

Nat widział, że im bardziej zbliżają się do Cromwell, tym bardziej Su Ling się denerwuje.

- Czy myślisz, że twoja matka zaakceptuje mój ubiór? - zapytała, obciągając spódniczkę.

Nat obrzucił spojrzeniem pełnym podziwu prosty żółty kostium, jaki wybrała Su Ling, dyskretnie podkreślając jej zgrabną figurę.

- Moja matka zaakceptuje twój ubiór - odparł - a ojciec nie będzie mógł oderwać od ciebie oczu.

Su Ling ścisnęła mu nogę.

- A jak on zareaguje, kiedy się dowie, że jestem Koreanką?

- Przypomnę mu o jego irlandzkim ojcu. Zresztą przez całe życie miał do czynienia z liczbami, więc wystarczy mu kilka minut, żeby się zorientować, jaka jesteś inteligentna.

- Jeszcze nie jest za późno, żebyśmy zawrócili - powiedziała Su Ling. - Zawsze możemy odwiedzić ich w przyszłą niedzielę.

- Jest za późno - orzekł Nat. - Zresztą, czy pomyślałaś, jak denerwują się moi rodzice? W końcu już im powiedziałem, jak szalenie jestem w tobie zakochany.

- Tak, ale moja matka jest tobą zachwycona.

- A moja zachwyci się tobą.

Su Ling nie odzywała się do chwili, kiedy zbliżyli się do przedmieść Cromwell.

- Ale ja nie wiem, co mam mówić.

- Su Ling, to nie jest egzamin, który musisz zdać.

- Właśnie że to jest egzamin, nic innego.

- To miasto, w którym się urodziłem - rzekł Nat, próbując na czym innym skupić uwagę Su Ling, kiedy wjechali na główną ulicę. - Kiedy byłem dzieckiem, myślałem, że jest wielką metropolią. Ale prawdę mówiąc, sądziłem też, że Hartford to stolicą świata.

- Kiedy dojedziemy na miejsce? - zapytała Su Ling.

- Za jakieś dziesięć minut - odparł Nat, spoglądając w okno - Ale nie spodziewaj się niczego okazałego, mieszkamy w małym domu.

- Ja i matka mieszkamy nad sklepem - przypomniała mu Su Ling.

- Tak jak Harry Truman. - Nat się zaśmiał.

- I popatrz, dokąd zaszedł - zauważyła.

Nat skierował samochód w Aleję Cedrową.

- Ten trzeci na prawo to nasz dom.

- Czy moglibyśmy kilka razy przejechać się wkoło? - spytała Su Ling. - Muszę pomyśleć, co mam powiedzieć.

- Nie - rzekł stanowczo Nat. - Przypomnij sobie, jak zareagował profesor statystyki na Uniwersytecie Harvarda, gdy pierwszy raz się z tobą zetknął.

- Tak, ale ja nie zamierzałam wyjść za mąż za jego syna.

- Jestem przekonany, że by się zgodził, gdyby uważał, że to cię przekona, abyś dołączyła do jego zespołu.

Su Ling wybuchnęła śmiechem pierwszy raz od godziny, akurat w chwili, gdy Nat zajechał przed dom. Szybko obszedł samochód i otworzył dziewczynie drzwi. Su Ling wysiadła i zaczęła jednym pantoflem o kratkę ścieku.

- Przepraszam, och, przepraszam - powiedziała, wsuwając stopę w

pantofel.

Nat się zaśmiał i objął ją.

- Nie, nie - zaprotestowała Su Ling. - Jeszcze nas twoja matka zobaczy.

- Mam nadzieję - powiedział Nat. Uśmiechnął się, wziął Su Ling za rękę i poprowadził przez podjazd.

Drzwi się otworzyły, nim zdążyli do nich podejść, i na ich powitanie wybiegła Susan. Schwyciła Su Ling w objęcia i powiedziała:

- Nat nic nie przesadził. Jesteś naprawdę śliczną.

Fletcher podążył korytarzem z powrotem na salę sądową, zdziwiony, że profesor go nie odstępował. Gdy znaleźli się przy drzwiach wahadłowych, młody adwokat pomyślał, że nauczyciel wróci na swoje miejsce dwa rzędy dalej za Annie i Jimmym, ale Abrahams poszedł razem z nim i usiadł na wolnym krześle. Annie i Jimmy z trudem hamowali zdumienie.

- Proszę wstać - oznajmił woźny sądowy. - Przewodniczy czcigodny sędzia Abernathy.

Sędzia, zajmując miejsce, spojrzał na prokuratora generalnego i pozdrowił go, po czym skierował wzrok na stanowisko obrony i drugi raz podczas procesu na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

- Widzę, że przybył panu pomocnik, panie Davenport. Czy mam wpisać jego nazwisko formalnie do protokołu, zanim wezwę sędziów przysięgłych?

Fletcher odwrócił się do profesora, który podniósł się ze swojego miejsca i powiedział:

- Takie jest moje życzenie, Wysoki Sądzie.

- Nazwisko? - zapytał sędzia, jakby nigdy przedtem go nie widział.

- Karl Abrahams, Wysoki Sądzie.

- Czy jest pan uprawniony do występowania w moim sądzie? - zapytał sędzią z powagą...

- Sądzę, że tak - odparł Abrahams. - Zostałem członkiem palestry stanu Connecticut w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, chociaż nigdy nie miałem zaszczytu występowania przed Wysokim Sądem.

- Dziękuję panu. Jeżeli prokurator generalny nie ma obiekcji, wciągnę pańskie nazwisko do protokołu jako drugiego pełnomocnika!

Prokurator generalny powstał, uklonił się lekko profesorowi i powiedział:

- To zaszczyt występować w tym samym sądzie co drugi pełnomocnik pani Kirsten.

- Zatem uważam, że nie powinniśmy dłużej zwlekać z wezwaniem sędziów przysięgłych - rzekł sędzia.

Fletcher przyjrzał się twarzom siedmiu mężczyzn i pięciu kobiet powracających na swoje miejsca. Profesor radził, żeby sprawdził, czy ktoś z sędziów przysięgłych spojrzy wprost na panią Kirsten, co mogłoby świadczyć o werdykcie „niewinna”. Wydało mu się, że dwie czy trzy osoby popatrzyły na nią, ale nie był pewien.

Przewodniczący ławy przysięgłych wstał.

- Czy ława przysięgłych uzgodniła werdykt w tej sprawie? - spytał sędzia.

- Nie, Wysoki Sądzie, nie zdołaliśmy - odparł przewodniczący.

Fletcher poczuł, że dłonie pocą mu się jeszcze mocniej niż wtedy, kiedy wstał, żeby pierwszy raz przemówić do przysięgłych.

- Czy ława przysięgłych uzgodniła werdykt większościowy? - spytał

znów sędzia.

- Nie udało się nam, Wysoki Sądzie - odparł przewodniczący ławy przysięgłych...

- Czy gdyby sędziowie przysięgli mieli więcej czasu, uzgodniliby werdykt większościowy?

- Nie przypuszczam, Wysoki Sądzie. Byliśmy równo podzieleni przez ostatnie trzy godziny.

- Zatem nie mam innego wyjścia jak ogłosić, że postępowanie było nieskuteczne, i zwolnić przysięgłych. W imieniu stanu dziękuję wam za spełnienie obywatelskiego obowiązku.

Sędzia odwrócił się do prokuratora generalnego i w tej chwili Abrahams wstał.

- Wysoki Sądzie, chciałbym zasięgnąć rady Wysokiego Sądu w drobnej kwestii protokolarnej.

Na twarzy sędziego odmalowało się zaskoczenie, na twarzy prokuratora generalnego również.

- Wprost nie mogę się doczekać, panie Abrahams, co to za kwestia protokolarna.

- Wysoki Sądzie, wpierw chciałbym zapytać, czy nie myłę się, uważając, że gdyby odbył się ponowny proces, skład obrony powinien zostać zgłoszony w ciągu czternastu dni?

- Taka jest normalna praktyka, proszę pana.

- Czy wobec tego mogę poinformować sąd, że jeżeli nastąpi taka sytuacja, pan Davenport i ja nadal będziemy reprezentować oskarżoną?

- Jestem zobowiązany, że zechciał pan zgłosić tę drobną kwestię protokolarną - rzekł sędzia, który już się nie dziwił.

- Panie Stamp, muszę pana teraz spytać - sędzia zwrócił się do prokuratora generalnego - czy zamierza pan wnosić o ponowny proces.

Teraz uwaga sądu skupiła się na prawnikach reprezentujących stan; cała piątka zbiła się w gromadkę i rozmawiała z ożywieniem.

Sędzia Abernathy ich nie ponaglał i minęło trochę czasu, zanim Stamp podniósł się z miejsca.

- Wysoki Sądzie, nie uważamy, aby wznowienie sprawy było w interesie stanu.

W części sali dla palestry rozległy się wiwaty, a tymczasem profesor wyrwał kartkę z notesu i podsunął ją swojemu uczniowi. Fletcher przebiegł ją wzrokiem, wstał i odczytał słowo w słowo:

- Wysoki Sądzie, zważywszy na okoliczności, proszę o bezzwłoczne zwolnienie mojej klientki.

Spojrzał na następne zdanie, wypisane przez profesora, i czytał dalej:

- Chciałbym też wyrazić wdzięczność za uprzejmy i profesjonalny sposób, w jaki pan Stamp i jego zespół prowadzili oskarżenie.

Sędzia skinął głową, a Stamp ponownie wstał.

- Chciałbym z kolei pogratulować obrońcy i jego pomocnikowi ich pierwszej sprawy przed obliczem Wysokiego Sądu i życzyć panu Davenportowi wielu sukcesów w jego - o czym jestem przekonany - obiecującej karierze...

Fletcher uśmiechnął się promiennie do Annie - tymczasem zaś profesor Abrahams wstał i powiedział:

- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na profesora.

- Nie sądziłbym, że to takie pewne - oznajmił. - Uważam, że będzie

musiał ciężko pracować, jeżeli ta przepowiednia ma się spełnić.

- Podtrzymuję - rzekł sędzia Abernathy.

- Mama uczyła mnie dwóch języków do chwili, gdy skończyłam dziewięć lat i wtedy byłam już prawie gotowa, żeby się włączyć w system szkolny w Storrs.

- Właśnie tam rozpoczęłam moje studia - powiedziała Susan.

- Jednak już jako mała dziewczynka odkryłam, że lepiej sobie radzę z liczbami niż ze słowami. - Michael Cartwright pokiwał głową ze zrozumieniem. - Poszczyło mi się, bo miałam nauczyciela matematyki, którego konikiem była statystyka i którego fascynowała rola, jaką komputery mogą odegrać w przyszłości.

- Coraz więcej z nich korzystamy w ubezpieczeniach - rzekł Michael, nabijając fajkę tytoniem.

- Jak duży jest komputer w pańskiej firmie? - zainteresowała się Su Ling.

- Mniej więcej wielkości tego pokoju.

- Następne pokolenie studentów będzie pracować z komputerami nie większymi od pulpitów ich stolików, a jeszcze następne zmieści je w dłoni.

- Naprawdę myślisz, że to możliwe? - spytała Susan, zasłuchana.

- Rozwój techniki postępuje w takim tempie i zapotrzebowanie będzie tak olbrzymie, że ceny muszą szybko spaść. A kiedy to nastąpi, komputery, coraz mniejsze i tańsze, kupowane przez coraz więcej ludzi, będą jak telefony i telewizory w latach czterdziestych i pięćdziesiątych.

- Ale chyba niektóre komputery będą musiały być duże - powiedział Michael. - W końcu moja firma ma ponad czterdzieści tysięcy klientów.

- Niekoniecznie - rzekła Su Ling. - Komputer, którego użyto, wysyłając pierwszego człowieka na Księżyc, był większy od tego domu, ale dożyjemy chwili, kiedy na Marsie wyląduje kapsuła sterowana przez komputer nie większy od tego stołu kuchennego.

- Nie większy od tego stołu? - powtórzyła Susan, usiłując to sobie wyobrazić.

- Dolina Krzemowa w Kalifornii stała się wylęgarnią nowych technologii. Już IBM i Hewlett Packard twierdzą, że ich najnowsze modele będą przestarzałe po kilku miesiącach, a jak Japończycy włączą się w pełni do wyścigu, to nawet po kilku tygodniach.

- To jak takie firmy jak moja będą mogły nadążyć? - spytał Michael.

- Po prostu firma będzie musiała zmieniać swój komputer tak często, jak teraz pan zmienia samochód, a w niezbyt odległej przyszłości pomieści pan w wewnętrznej kieszeni marynarki szczegółowe informacje o każdym reprezentowanym przez siebie kliencie.

- Ale powtarzam - rzekł Michael - że nasza firma ma obecnie czterdzieści dwa tysiące klientów.

- Może ich mieć czterysta tysięcy, a komputer, mieszczący się w dłoni, równie dobrze wykona zadanie.

- Ale pomyślcie o perspektywach - rzekła Susan.

- Są ekscytujące - zauważyła Su Ling. Zamilkła i oblała się rumieńcem. - Przepraszam, za dużo mówię.

- Nie, nie - zaprzeczyła Susan. - To fascynujący temat, ale ja chciałam spytać o Koreę, kraj, który zawsze chciałam odwiedzić. Jeżeli to nie jest głupie pytanie, proszę powiedzieć, czy jesteście podobniejsi do Chińczyków czy do Japończyków?

- Ani do jednych, ani do drugich - odparła Su Ling - Różnimy się od

nich tak jak Rosjanie od Włochów. Koreańczycy tworzyli pierwotnie organizację plemienną i prawdopodobnie pojawili się już w drugim wieku...

- I pomyśleć, że im powiedziałem, że jesteś bardzo nieśmiała - zauważył Nat, układając się tej nocy obok Su Ling.

- Bardzo mi przykro - rzekła Su Ling. - Złamałam złotą zasadę twojej matki.

- Jaka to? - spytał Nat.

- Że kiedy się spotyka dwoje ludzi, powinni uczestniczyć w rozmowie pół na pół, jeśli troje - każdemu przypada trzydzieści trzy procent, jeśli czworo - dwadzieścia pięć. A ja mówiłam - zawiesiła głos - prawie cały czas. Jest mi wstyd, bo zachowałam się skandalicznie, nie wiem, co mnie napadło. Byłam taka zdenerwowana. Jestem pewna, że twoi rodzice już żalują choćby samej myśli, że mogłabym zostać ich synową.

- Oni są tobą zachwyceni - odparł Nat ze śmiechem. - Ojciec był zauroczony twoją wiedzą o komputerach, matkę zafascynowały obyczaje Korei, chociaż nie wspomniałaś, co musi nastąpić, jeżeli koreańska dziewczyna wypije herbatę z rodzicami zalotnika.

- To się nie odnosi do Amerykanek w pierwszym pokoleniu, takich jak ja.

- Które się malują różową szminką i noszą minispódniczki - rzekł Nat, podnosząc rękę, w której trzymał różową szminkę.

- Nie wiedziałam, Nat, że używasz szminki. Czy to jeszcze jeden zwyczaj, jakiego nabyłeś w Wietnamie?

- Tylko podczas nocnych wypraw. A teraz się obróć.

- Co?

- Obróć się na brzuch. Myślałem, że kobiety w Korei powinny być uległe, dlatego rób, co każę.

Su Ling obróciła się i położyła twarz na poduszce.

- Kapitanie Cartwright, co pan teraz rozkaże? - spytała.

- Zdejmij koszulę nocną, kwiatuszku.

- Czy drugiej nocy Wszystkie amerykańskie dziewczyny przez to przechodzą?

- Zdejmij koszulę.

- Tak jest, kapitanie. - Wolno zdjęła przez głowę białą jedwabną koszulkę i upuściła ją na podłogę. - Co teraz? - spytała. - Czy będziesz mnie bił?

- Nie, z tym trzeba czekać do trzeciej randki, ale teraz zadam ci pytanie. - Nat wypisał różową szminką na jej oliwkowej skórze cztery słowa zakończone pytajnikiem.

- Kapitanie Cartwright, co takiego pan napisał?

- Sama zobacz.

Su Ling wstała z łóżka i spojrzała przez ramię w wielkie lustro. Po dłuższej chwili na jej twarzy zajaśniał uśmiech. Odwróciła się i zobaczyła, że Nat leży na łóżku z rozrzuconymi rękoma i nogami i wysoko w górę dzierży szminkę. Su Ling podeszła do niego powoli, chwilę przypatrywała się jego szerokim ramionom, po czym napisała: TAK, WYJDĘ ZA CIEBIE.

- Annie jest w ciąży.

- To fantastyczna wiadomość! - ucieszył się Jimmy. Przyjaciele właśnie wyszli ze stołówki i przemierzali kampus, spiesząc na pierwszy poranny wykład. - W którym miesiącu?

- Dopiero w drugim. Teraz twoja kolej na udzielanie rad.

- To znaczy?

- Nie zapominaj, że masz doświadczenie. Jesteś ojcem sześciomiesięcznej córeczki. Przede wszystkim powiedz mi, jak mam pomagać Annie w ciągu następnych siedmiu miesięcy?

- Staraj się okazywać jej wiele serca. Pamiętaj, żeby mówić, że pięknie wygląda, nawet jak przypomina wieloryba wyrzuconego na brzeg, a jeśli ma jakieś zwariowane pomysły, to się nie sprzeciwiaj.

- Na przykład jakie? - spytał Fletcher.

- Joanna co noc przed położeniem się do łóżka pochłaniała dużą porcję podwójnych lodów czekoladowych, ja też się nimi raczyłem, a potem się budziła w środku nocy i często prosiła o jeszcze jedną.

- To dopiero było poświęcenie - zauważył Fletcher.

- Żebyś wiedział, bo później za każdym razem trzeba było pić łyżkę tranu.

Fletcher wybuchnął śmiechem.

- Mów dalej - zachęcił Jimmy'ego, kiedy zbliżali się do budynku Andersena.

- Annie zaczniesz wkrótce uczęszczać na zajęcia dla kobiet ciężarnych, a instruktorzy często zalecają, by mężowie też przychodzili, żeby się przekonać, czego doświadczają ich żony.

- To mi się podoba - rzekł Fletcher. - Szczególnie perspektywa zajadania się lodami.

Wbiegli po schodach i przeszli przez drzwi wahadłowe.

- W przypadku Annie to może być cebula albo pikle - rzucił Jimmy.

- Za tym nie przepadam.

- No, a potem trzeba się zająć przygotowaniem do narodzin. Kto pomoże Annie przy dziecku?

- Mama ją pytała, czyby chciała pomocy pani Nichol, mojej dawnej niani, ale Annie nie chce o tym słyszeć. Uparła się, że wychowa dziecko sama, bez pomocy kogoś obcego.

- Joanna przyjęłaby tę panią Nichol bez wahania, bo z tego, co pamiętam, ta kobieta chętnie by pomalowała pokój dziecienny i zmieniała pieluszki.

- My nie mamy pokoju dzieciennego, tylko wolny pokój - rzekł Fletcher...

- Od dziś to jest pokój dziecienny i Annie zażąda, żebyś go odmalował, jak ona pójdzie kupować nową garderobę.

- Ale ona ma już dość strojów - zauważył Fletcher.

- Żadna kobieta nie ma dość strojów - rzekł Jimmy - a za dwa miesiące nie zmieści się w żadnej swojej sukience. Potem zaczniesz myśleć o potrzebach dziecka.

- Chyba powinienem się rozejrzeć za pracą kelnera albo barmana - powiedział Fletcher, gdy przemierzali korytarz.

- Ale przecież twój ojciec na pewno zechce...

- Nie zamierzam przez całe życie naciągać staruszkę na pieniądze.

- Gdyby mój ojciec miał taką forszę - rzekł Jimmy - nie pracowałbym nawet jednego dnia.

- Pracowałbyś - nie zgodził się Fletcher - bo inaczej Joanna nigdy by za ciebie nie wyszła.

- Nie sądzę, Fletcher, żebyś skończył jako barman, bo po twoim triumfie w sprawie Kirsten zrzeszenie studentów prawa zaproponuje ci najlepsze prace wakacyjne. A jak znam moją siostrzyczkę, to ona nie pozwoli, żeby cokolwiek ci przeszkodziło w zdobyciu pierwszej lokaty na

roku. - Jimmy na chwilę zamilkł. - Mogę pomówić z matką. Z pewnością dyskretnie by pomogła Joannie w wielu obowiązkach. - Znowu zamilkł. - Ale spodziewałbym się czegoś w zamian.

- Mianowicie?

- Hm, na początek, jak tam z pieniędzmi twego ojca? - Jimmy pokazał zęby w uśmiechu.

- Żądasz pieniędzy mojego ojca - powiedział, śmiejąc się, Fletcher - za to, że poprosisz matkę, żeby pomogła swojej córce przy narodzinach jej wnuka? Wiesz, Jimmy, wydaje mi się, że byłbyś bardzo dobrym adwokatem od spraw rozwodowych.

- Zdecydowałem, że wezmę udział w wyborach na przewodniczącego - powiedział, nie oznajmiając nawet, kto mówi.

- To dobra wiadomość - rzekł Tom - ale co na to Su Ling- Nie zrobiłbym nawet pierwszego kroku, gdyby nie podsunęła mi tej myśli. I chce też odegrać rolę w kampanii wyborczej. Zajmie się sondażami i wszystkim, co ma związek z liczbami albo ze statystyką.

- Wobec tego jeden problem masz z głowy - zauważył Tom. - Czy mianowałeś już szefa sztabu kampanii wyborczej?

- Tak, zaraz po twoim powrocie do Yale zdecydowałem się na faceta, który się nazywa Joe Stein. Prowadził w przeszłości dwie kampanie wyborcze, a poza tym zapewni mi głosy wyborców żydowskich.

- W Connecticut są jacyś wyborcy żydowscy? - spytał Tom.

- Jak w całej Ameryce. W naszym kampusie jest czterystu osiemnastu Żydów, a mnie się przyda poparcie każdego z nich.

- To powiedz, co myślisz o przyszłości wzgórz Golan? - zagadnął Tom.

- Nawet nie wiem, gdzie są wzgórza Golan - odparł Nat.

- Lepiej się tego dowiedz do jutra.

- Ciekaw jestem opinii Elliota o wzgórzach Golan.

- Ano, że zawsze powinny należeć do Izraela i że ani piędzi ziemi nie wolno oddać Palestyńczykom - rzekł Tom.

- A co on wobec tego powie Palestyńczykom?

- Przypuszczalnie jest ich tak niewiele w kampusie, że nie będzie miał w tej sprawie zdania.

- To mu z pewnością ułatwi decyzję.

- Następnie musisz zastanowić się nad swoim przemówieniem inauguracyjnym kampanię i gdzie je powinieneś wygłosić.

- Myślałem o Russell Hali.

- Ale tam się zmieści tylko czterysta osób. Czy nie ma nic większego?

- Jest - rzekł Nat. - W auli mieści się ponad tysiąc, ale Elliot zrobił ten błąd, gdyż kiedy wygłaszał przemówienie, pomieszczenie - było na wpół puste. Nie, raczej zarezerwuję Russell Hali, nawet jeżeli ludzie mają siedzieć na parapetach, wisieć pod sufitem i tłoczyć się na schodach na zewnątrz, co wywrze o wiele lepsze wrażenie na głosujących.

- To lepiej wyznacz datę i natychmiast zarezerwuj salę i równocześnie kompletuj swój zespół.

- O czym jeszcze powinienem pomyśleć? - spytał Nat.

- O przemówieniu programowym i nie zapomnij odezwać się do każdego studenta, na jakiego się natkniesz. Pamiętaj, co mówić:

„Cześć, nazywam się Nat Cartwright, ubiegam się o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej i mam nadzieję, że mogę liczyć na twoje

poparcie”. Potem wysłuchaj, co mają do powiedzenia, bo jeżeli uznają, że interesują cię ich opinie, to chętniej oddadzą na ciebie głos.

- Jeszcze coś?

- Wykorzystaj bezlitośnie Su Ling, poproś ją, żeby powtarzała tę samą procedurę z każdą studentką, bo zostanie jedną z najbardziej podziwianych kobiet w kampusie ze względu na swoją decyzję pozostania na uniwersytecie. Niewiele jest osób, które by odmówiły Uniwersytetowi Harvarda.

- Nie musisz mi o tym przypominać - rzekł Nat. - Chyba prawie o wszystkim pomyślałeś, prawda?

- Tak. Przyjadę i pomogę ci podczas ostatnich dziesięciu dni semestru, ale formalnie nie będę członkiem twojego zespołu.

- Dlaczego?

- Bo Elliot rozpowiadałby na lewo i na prawo, że twoją kampanią wyborczą kieruje człowiek z zewnątrz, gorzej, syn bankiera i milionera z Yale. Nie zapominaj, że wygrałbyś poprzednie wybory, gdyby nie matactwa Elliota, dlatego przyszykuj się na coś, co cię może przystopować.

- Na przykład?

- Gdybym na to wpadł, byłbym szefem sztabu wyborczego Nixona.

- Jak ja wyglądam? - zapytała Annie, wsparta na przednim fotelu samochodu, kurczowo trzymając się pasa.

- Fantastycznie, kochanie - odparł Fletcher, nawet na nią nie spojrzawszy.

- Nieprawda, wyglądam okropnie, a to będzie ważna uroczystość.

- Prawdopodobnie tylko spotkanie jego kilkunastu studentów.

- Wątpię - rzekła Annie. - Zaproszenie zostało wypisane ręcznie i nawet ja nie mogłam przeoczyć dopisku: „Postaraj się przyjść, chcę cię z kimś poznać”

- Niedługo dowiemy się, kto to taki - zauważył Fletcher, parkując swojego starego forda za limuzyną otoczoną przez grupkę agentów Secret Service.

- Kto to może być? - szepnęła Annie, kiedy pomagał jej wysiąść z samochodu.

- Nie mam pojęcia, ale...

- Fletcher, cieszę się, że cię widzę - rzekł profesor, który stał w drzwiach frontowych. - To miło, że przybyłeś - dodał. Byłbym głupcem, gdybym tego nie zrobił, miał ochotę powiedzieć Fletcher. - Cieszę się też, że panią widzę. Oczywiście doskonale panią pamiętam, gdyż przez dwa tygodnie siedziałem dwa rzędy za panią w sądzie.

- Byłam wtedy trochę szczuplejsza - odparła z uśmiechem Annie.

- Ale równie piękna - rzekł Abrahams. - Czy mogę spytać, kiedy dziecko ma przyjść na świat?

- Za dziesięć tygodni, proszę pana.

- Proszę mówić mi Karl - poprosił profesor. - Czuję się: dużo młodszy, kiedy studentka Vassar College zwraca się do mnie po imieniu. Dodam, że pani mężowi nie zaproponuję tego jeszcze przynajmniej przez rok. - Mrugnął, obejmując Annie ramieniem. - Chodźcie, bo jest tu ktoś, z kim chcę was poznać.

Fletcher i Annie podążyli za profesorem do salonu, gdzie kilkunastu gości toczyło ożywione rozmowy. Najwyraźniej przybyli ostatni.

- Panie wiceprezencie, chciałbym panu przedstawić Annie Davenport.

- Dobry wieczór, panie wiceprezydencie.
- Witaj, Annie - rzekł Spiro Agnew, wyciągając rękę. - Słyszałem, że poślubiłaś bardzo błyskotliwego faceta.
- Annie, nie zapominaj, że politycy mają skłonność do przesady, gdyż zawsze liczą na twój głos - rozległ się sceniczny szept Abrahamsa.
- Wiem, Karl. Mój ojciec jest politykiem.
- Prawicowym?
- Nie, lewicowym, proszę pana - odparła z uśmiechem. - Jest przywódcą większości w Senacie stanu Connecticut.
- Czy nie ma tu dziś między nami żadnego republikanina?
- A to jest, panie wiceprezydencie, mąż Annie, Fletcher Davenport.
- Witaj, Fletcher. Czy twój ojciec też jest demokratą?
- Nie, proszę pana, jest pełnoprawnym republikaninem.
- To świetnie, mamy więc co najmniej dwa pewne głosy w twojej rodzinie.
- Nie, proszę pana, moja matka nie wpuściłaby pana za próg.
Wiceprezydent wybuchnął śmiechem.
- Nie wiem, Karl, czy nie ucierpi na tym twoja reputacja.
- Zachowam neutralność, Spiro. Nie znam się na polityce. Ale, ale, czy mogę zostawić Annie z tobą, bo chciałbym, żeby Fletcher kogoś poznał.
Fletcher się zdumiał, gdyż sądził, że wzmianka w liście profesora dotyczyła wiceprezydenta, ale posłusznie podążył za gospodarzem, który podszedł do grupki mężczyzn stojących przy płonącym kominku w głębi pokoju.
- Bili, to jest Fletcher Davenport, Fletcher, to. Bili Alexander z kancelarii Alexander...
- ...Dupont i Bell - dokończył Fletcher, wymieniając uścisk ręki ze starszym wspólnikiem jednej z najbardziej prestiżowych firm prawniczych w Nowym Jorku...
- Bardzo chciałem pana poznać - rzekł Bili Alexander. - Udało się panu coś, co mnie się nie udawało przez trzydzieści lat.
- Co takiego, proszę pana?
- Nakłonić Karla, żeby wystąpił w jednej z moich spraw jako drugi obrońca - jak pan to zrobił! Obydwaj mężczyźni czekali na odpowiedź Fletchera:
- Nie miałem wyboru, proszę pana. Narzucił mi się, zupełnie jak nieprofesjonalista, ale trzeba zrozumieć, że był w rozpaczliwej sytuacji. Nikt mu nie zaproponował odpowiedniego zajęcia od tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego roku.
Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.
- Jednak chciałbym się dowiedzieć, czy zasłużył na swoje honorarium, które musiało być sowite, skoro uchroniliście panowie tę kobietę przed więzieniem.
- Istotnie honorarium było sowite - rzekł Abrahams, ubiegłszy swojego młodego gościa. Sięgnął na półkę za Billem Alexandrem i zdjął egzemplarz „The Trials of Clarence Darrow” w twardych okładkach...
- Oczywiście, mam egzemplarz - powiedział Alexander, przyjrząwszy się książce.
- Ja też miałem - oznajmił Abrahams. Fletcher zrobił rozczarowaną minę. - Ale nie sygnowane pierwsze wydanie z obwolutą w idealnym stanie. To jest egzemplarz dla kolekcjonera.
Fletcher pomyślał o swojej matce i jej trafnej radzie: „Wybierz coś,

co będzie cenil, nie musi kosztować fortunę”.

Nat obszedł krąg ośmiu mężczyzn i sześciu kobiet tworzących jego zespół, prosząc każdego, żeby powiedział grupie kilka słów o sobie. Potem przydzielił każdemu obowiązki w okresie przedwyborczym. Nat podziwiał zaangażowanie Su Ling, gdyż stosując się do rady Toma, wybrała reprezentatywną grupę studentów, których większość od pewnego czasu wyraźnie wypowiadała się za kandydaturą Nata.

- Dobra, zaczynamy od spraw bieżących - rzekł Nat.

Joe Stein podniósł się z miejsca.

- Ponieważ kandydat wyraźnie powiedział, że pojedynczy datek nie może przekroczyć dolara, powiększyłem ekipę zbierającą fundusze, tak żebyśmy mogli dotrzeć do jak największej liczby studentów. Ta grupa spotyka się obecnie raz w tygodniu, zwykle w poniedziałek. Byłoby dobrze, gdyby kandydat mógł do nich kiedyś przemówić.

- Czy odpowiada ci przyszły poniedziałek? - spytał Nat.

- Oczywiście - odparł Joe. - Do tej pory zebraliśmy trzysta siedem dolarów, większość po twoim przemówieniu w Russell Hali. Ponieważ w sali był taki tłum, wielu myślało, że popierają zwycięzcę.

- Dziękuję, Joe - rzekł Nat. - Następna sprawa: Tim, co szykują nasi rywale?

- Nazywam się Tim Ulrich, mam się zajmować kampanią przeciwników i pilnować, żebyśmy cały czas znali ich zamierzenia.

Mamy co najmniej dwóch ludzi, którzy notują wszystko, co powie Elliot. W ciągu ostatnich dni tyle naobiecował, że gdyby chciał dotrzymać słowa, uniwersytet musiałby zbankrutować w ciągu roku.

- Ray, co powiesz na temat podziału według grup?

- Występuje podział według pochodzenia etnicznego, przynależności religijnej i klubowej, toteż mam trzech zastępców zajmujących się każdą z tych trzech grup. Oczywiście niektóre kategorie się pokrywają, jak na przykład Włosi i katolicy.

- A płęć? - ktoś podsunął.

- Nie - powiedział Ray - kategoria płci jest uniwersalna i nie stanowi grupy, ale opera, potrawy, moda to przykłady, jak u Włochów te kategorie zachodzą na siebie - ale panujemy nad tym. Mario nawet chce stawiać kawę klientom, którzy obiecują, że będą głosować na Cartwrighta.

- Uważajcie. Elliot może nam to wytknąć jako wydatek wyborczy - ostrzegł Joe. - Nie przegapijmy szczegółów.

- Zgadzam się - rzekł Nat. - Teraz sport.

Jack Roberts, kapitan drużyny koszykówki, nie musiał się przedstawiać.

- Lekkoatletykę mamy dobrze rozpracowaną dzięki osobistemu zaangażowaniu Nata, zwłaszcza po jego zwycięstwie w finałowych zawodach w biegu przełajowym przeciw Comell. Ja zajmuję się drużyną baseballu i koszykówki. Elliot przeciągnął na swoją stronę zespół futbolu, ale niespodzianką jest kobieca drużyna lacrosse - ten klub sportowy ma ponad trzysta członków.

- Mam dziewczynę w drugiej reprezentacji - odezwał się Tim.

- Myślałem, że jesteś homoseksualistą - rzucił Chris. Kilka osób się roześmiało.

- Kto zabiega o głosy homoseksualistów? - zapytał Nat.

Nikt się nie odezwał.

- Jeżeli ktoś otwarcie powie, że jest homoseksualistą, włącz go do

zespołu i proszę, bez złośliwych uwag.

Chris skinął głową.

- Przepraszam - powiedział.

- I wreszcie sondaże i dane liczbowe, Su Ling.

- Nazywam się Su Ling. Jest zarejestrowanych dziewięć tysięcy sześćset dwudziestu ośmiu studentów - pięć tysięcy pięciuset siedemnastu mężczyzn i cztery tysiące sto jedenaście kobiet. Bardzo amatorski sondaż przeprowadzony na kampusie w ostatnią sobotę rano wykazał, że Elliota popiera sześćset jedenaście osób, a Nata pięćset czterdzieści jeden ale nie zapominajcie, że Elliot ma nad nami przewagę, ponieważ prowadzi swoją kampanię dłużej niż rok i jego plakaty wiszą już wszędzie. Nasze zostaną rozlepione w piątek.

- I zdarte w sobotę.

- To zaraz rozlepimy nowe - odezwał się Joe - i nie będziemy uciekać się do takiej samej taktyki. Przepraszam, Su Ling.

- Nie szkodzi. Każdy członek zespołu musi rozmawiać przynajmniej z dwudziestoma wyborcami dziennie - powiedziała Su Ling. - Mamy przed sobą jeszcze sześćdziesiąt dni, powinniśmy więc przed wyborami kilkakrotnie agitować każdego studenta. Nie powinno się tego robić ot tak sobie - ciągnęła Su Ling. - Na ścianie za wami wisi tablica z nazwiskami wszystkich studentów według alfabetu.

Na stoliku macie siedemnaście kredek. Dla każdego członka zespołu przeznaczyłam kredkę innego koloru. Co wieczór postawicie znaczek przy wyborcach, z którymi rozmawialiście. W ten sposób można wychwycić, kto mówi, a kto działa.

- Ale powiedziałaś, że na stoliku jest siedemnaście kredek - odezwał się Joe - a nas jest tylko czternaścioro.

- Masz rację, ale jest jeszcze jedna czarna kredka, jedna żółta i jedna czerwona. Jeżeli ktoś powie, że odda głos na Elliota, wykreślicie go czarną kredką, jeżeli nie będziecie pewni, użyjecie żółtej, a jeżeli będziecie pewni, że poprze Nata - czerwonej. Nowe dane wprowadzę do komputera i zaraz rano rozdadam wam wydruki. Są jakieś pytania?

- Czy wyjdiesz za mnie? - spytał Chris.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Tak, wyjdę - odrzekła Su Ling. Chwilę milczała. - Ale nie wierz wszystkimu, co ci się mówi, bo Elliot już mi się oświadczył i jemu też obiecałam.

- A co ze mną? - spytał Nat.

- Nie zapominaj, że tobie odpowiedziałam na piśmie - rzekła Su Ling i uśmiechnęła się.

- Dobranoc panu i dziękujemy za niezapomniany wieczór.

- Dobranoc, Fletcher. Cieszę się, że się dobrze bawiliście.

- O, tak - rzekła Annie. - Spotkanie z wiceprezydentem to niezapomniane przeżycie. Będę mogła przekomarzać się z ojcem przez wiele miesięcy - dodała, gdy Fletcher pomagał jej wsiąść do samochodu.

- Annie, byłaś wspaniała - powiedział Fletcher, nim jeszcze zamknął drzwi ze swojej strony.

- Ja tylko usiłowałam jakoś wybrnąć - rzekła Annie. - Nie przypuszczałam, że Karl posadzi mnie między wiceprezydentem i Alexandrem podczas kolacji. Zastanawiałam się nawet, czy to nie pomyłka.

- Profesorowi nie zdarzają się takie pomyłki - zauważył Fletcher. - Podejrzewam, że zrobił to na prośbę Billa Alexandra.

- Ale dlaczego on miałby o to prosić?
- Ponieważ jest starszym wspólnikiem w staroświeckiej firmie z tradycjami, uznał, że jeżeli pozna lepiej moją żonę, to się dowie dużo o mnie; jak człowiekowi proponują, żeby przystąpił do Alexandra, Duponta i Bella, to prawie jak oświadczyły.

- Miejmy nadzieję, że ich nie zepsułam.

- Nic podobnego. Zapewniłaś, że zaczną się konkury. Nie myśl, że to był przypadek, że pani Alexander usiadła obok ciebie, kiedy podano kawę w salonie.

Annie lekko jęknęła i Fletcher spojrzał na nią z niepokojem.

- Boże! - powiedziała. - Zaczęły się skurcze.

- Przecież to jeszcze dziesięć tygodni - rzekł Fletcher. - Po prostu się odpręż, zaraz będziemy w domu i położę cię do łóżka.

Annie znowu jęknęła, teraz głośniej.

- Nie jedź do domu - poprosiła - tylko zawieź mnie do szpitala.

Pędząc przez Westville, Fletcher wypatrywał nazw ulic i próbował ustalić, jaka będzie najlepsza trasa do szpitala Yale-New Haven, kiedy po drugiej stronie drogi dostrzegł stojącą taksówkę. Zakreślił ostro i zahamował obok taksówki. Opuścił szybę i krzyknął:

- Moja żona rodzi, jak mogę najszybciej dojechać do Yale-New Haven?

- Jedź pan za mną! - polecił taksówkarz i ruszył szybko przodem.

Fletcher trzymał się taksówkarza, a ten jechał, nie bacząc na ruch uliczny, naciskając klakson i migając światłami, trasą, o której istnieniu Fletcher nie miał pojęcia. Annie trzymała się za brzuch i coraz głośniej jęczała.

- Nie martw się, kochanie, jesteśmy prawie na miejscu - powiedział, przeskakując przez kolejne czerwone światło, żeby nie stracić z oczu taksówki.

Kiedy w końcu oba samochody dotarły do szpitala, Fletcher zdumiał się na widok lekarza i pielęgniarki, stojących przy noszach na kółkach obok otwartych drzwi i najwidoczniej na nich czekających. Gdy taksówkarz wyskoczył i dał pielęgniarce znak podniesionym w górę kciukiem, Fletcher domyślił się, że musiał poprosić dyspozytora, żeby ich zapowiedział. Fletcher miał nadzieję, że ma przy sobie dość pieniędzy, żeby zapłacić taksówkarzowi za kurs, nie mówiąc już o sporym napiwku za jego inicjatywę.

Fletcher wyskoczył z samochodu i obiegł go dokoła, żeby pomóc Annie, ale taksówkarz był pierwszy. Wziąwszy ją pod łokcie, wydostali z samochodu, a potem delikatnie umieścili na noszach. Pielęgniarka zaczęła rozpinać Annie sukienkę, zanim jeszcze wjechała na noszach przez otwarte drzwi. Fletcher wyjął portfel, zwrócił się do taksówkarza i rzekł:

- Dziękuję panu, zrobił pan wszystko, co możliwe. Ile jestem winien?

- Ani centa - odparł taksówkarz.

- Ale... - zaczął Fletcher.

- Gdybym powiedział żonie, że wziąłem od pana pieniądze, chyba by mnie zabiła. Powodzenia! - zawołał, odwrócił się i poszedł do taksówki.

- Dziękuję - powtórzył Fletcher i popędził do szpitala. Dogonił żonę i ujął ją za rękę.

- Wszystko będzie dobrze, kochanie - zapewnił ją.

Sanitariusz zadał Annie kilka pytań i na wszystkie otrzymał krótką

odpowiedź twierdzącą. Potem zadzwonił na salę operacyjną, powiadamiając doktora Redpatha i czekający zespół, że za niecałą minutę dotrą z pacjentką na miejsce. Powolna, duża winda stanęła z szarpnięciem na piątym piętrze. Noszę z Annie przetoczono szybko korytarzem; Fletcher biegł koło nich truchtem, nie wypuszczając ręki Annie. Widział w oddali dwie pielęgniarki, które trzymały z obu stron otwarte drzwi, aby nie trzeba było zwalniać.

Annie ścisnęła rękę Fletchera, kiedy przenoszono ją na stół operacyjny. Na salę wpadło jeszcze troje ludzi, twarze mieli osłonięte maskami. Pierwszy sprawdził narzędzia chirurgiczne wyłożone na stoliku, drugi przygotował maskę tlenową, trzeci próbował pytać o coś Annie, która teraz krzyczała z bólu. Fletcher ani na chwilę nie puszczał ręki żony. Na salę wkroczył starszy mężczyzna. Naciągnął na dłonie rękawiczki chirurgiczne i zanim zbadał pacjentkę, spytał, czy wszyscy są gotowi.

- Tak, doktorze Redpath - odparła pielęgniarka.

- Dobrze - powiedział i zwracając się do Fletchera, dodał: - Muszę poprosić, żeby pan nas zostawił. Wezwiemy pana, gdy tylko dziecko przyjdzie na świat.

Fletcher pocałował żonę w czoło.

- Jestem z Ciebie bardzo dumny - wyszeptał.

Nat zbudził się o piątej rano w dniu wyborów i odkrył, że Su Ling bierze już prysznic. Spojrzał na plan dnia na nocnym stoliku.

Spotkanie całego zespołu o siódmej rano, a potem półtorej godziny wystawiania przed stołówką, żeby przywitać wyborców, schodzących się na śniadanie.

- Chodź pod prysznic! - zawołała Su Ling. - Nie mamy ani chwili do stracenia.

Miała rację, gdyż zdążyli na zebranie zespołu tuż przed wybicciem siódmej. Wszyscy już byli obecni i Tom, który przyjechał z Yale, mówił o doświadczeniach ze swoich ostatnich wyborów. Su Ling i Nat zajęli dwa puste miejsca po obu stronach nieformalnego szefa sztabu wyborczego, który kontynuował odprawę, jakby ich tu nie było.

- Nikt nie robi przerw, nawet dla zaczerpnięcia tchu, aż do minuty po szóstej, kiedy zostanie oddany ostatni głos. Sugeruję, żeby kandydat z Su Ling stali przed budynkiem stołówki od wpół do ósmej do wpół do dziewiątej, a reszta zespołu, żeby poszła na śniadanie.

- Mamy jeść te paskudztwa przez całą godzinę? - zdziwił się Joe.

- Nie, Joe. Nie chcę, żebyście coś jedli. Macie chodzić od stolika do stolika, ale broń Boże nie podchodźcie we dwójkę do jednego i pamiętajcie, że prawdopodobnie ludzie Elliota będą robić dokładnie to samo, dlatego nie traćcie czasu na ich wyborców. No dobrze, zaczynajmy.

Czternaście osób wybiegło z pokoju, przecięło trawnik i zniknęło w drzwiach wahadłowych stołówki natomiast Nat i Su Ling zostali przy wejściu.

- Cześć, jestem Nat Cartwright, ubiegam się o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej i mam nadzieję, że poprzecie mnie w dzisiejszych wyborach.

- Pięknie, człowieku, gejów masz za sobą - odpowiedziało mu dwóch zaspanych studentów.

- Cześć, jestem Nat Cartwright, ubiegam się o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej i mam nadzieję, że mnie poprzeczesz...

- Tak, wiem, kim jesteś, ale jak możesz zrozumieć, co to znaczy przeżyć z pożyczki studenckiej, skoro zarabiasz dodatkowo czterysta

dolarów miesięcznie? - padła cierpka odpowiedź.

- Cześć, jestem Nat Cartwright, ubiegam się o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej i...

- Nie będę głosował na żadnego z was - rzucił inny student i pchnął drzwi.

- Cześć, jestem Nat Cartwright, ubiegam się o...

- Przykro mi, ale jestem z innego kampusu, więc nie mam prawa głosu...

- Cześć, jestem Nat Cartwright i...

- Powodzenia, ale ja głosuję na ciebie tylko dla twojej dziewczyny.

Uważam, że jest fantastyczna.

- Cześć, jestem Nat Cartwright...

- A ja jestem członkiem zespołu Ralpa Elliota i tak wam przyłożymy...

- Cześć, jestem Nat...

Dziewięć godzin później Nat mógł się tylko zastanawiać, ile razy wygłosił to zdanie i ile rąk uściśnął. Wiedział tylko, że stracił głos i czuł się tak, jakby palce miały mu odpaść. Minutę po szóstej obrócił się do Tonii i powiedział:

- Cześć, jestem Nat Cartwright i...

- Daj spokój - powiedział ze śmiechem Tom. - Jestem przewodniczącym w Yale i wiem tylko, że gdyby nie Ralph Elliot, ty byłbyś na moim miejscu.

- Co dla mnie teraz zaplanowałaś? - spytał Nat. - Mój plan dnia kończy się o szóstej i nie mam pojęcia co dalej.

- Jak każdy kandydat - rzekł Tom. - Myślę, że możemy we troje zjeść kolację u Maria i odprężyć się.

- A co z resztą zespołu? - spytała Su Ling.

- Joe, Chris, Sue i Tim są obserwatorami przy liczeniu głosów w stołówce, a reszta korzysta z zasłużonego odpoczynku. Ponieważ liczenie głosów zaczyna się o siódmej i zajmie co najmniej dwie godziny, zaproponowałem, żeby wszyscy tam się stawili o wpół do dziewiątej.

- Dobrze pomyślane - zauważył Nat. - Zjadłbym konia z kopytami.

Mario poprowadził trójkę przyjaciół do ich stolika w rogu i nazywał Nata przewodniczącym. Kiedy popijali zamówione napoje, Mario pojawił się z wielką misą spaghetti, polanego sosem bolońskim i posypanego parmezanem. Nat zagłębiał widelec w górę makaronu, która zdawała się nie maleć. Tom zauważył, że przyjaciel coraz bardziej się denerwuje i je coraz mniej.

- Ciekawe, co w tej chwili porabia Elliot? - odezwała się Su Ling.

- Pewnie jest u McDonalda z resztą swojej bandy, zajada się hamburgerami i frytkami i udaje, że mu smakują - powiedział Tom, popijając wino stołowe.

- Cóż, przynajmniej wyczerpał mu się repertuar sztuczek - rzekł Nat.

- Nie byłabym tego taka pewna - powiedziała Su Ling.

W tym momencie w drzwiach ukazał się Joe Stein.

- Czego on może chcieć? - zdziwił się Tom. Wstał i pomachał do niego.

Nat uśmiechnął się do Joego, gdy ten pospiesznie przepychał się do ich stolika, ale on nie odwzajemnił uśmiechu.

- Mamy problem - rzucił Joe. - Lepiej chodźcie prędko do stołówki. Fletcher chodził tam i z powrotem korytarzem, podobnie jak jego

ojciec ponad dwadzieścia lat temu; panna Nichol wielokrotnie opisywała mu tamten wieczór. To tak, jakby powtarzać stary czarno-biały film, zawsze z tym samym happy endem. Fletcher przyłapał się na tym, że nie oddała się od drzwi sali operacyjnej dalej niż na kilka kroków, wyczekując, aż ktoś z nich się wyłoni.

Nareszcie otworzyły się drzwi i wyszła z nich pospiesznie pielęgniarka, ale minęła Fletchera bez słowa. Dopiero kilka minut później pokazał się doktor Redpath. Zdjął maskę chirurgiczną, ale się nie uśmiechał.

- Właśnie umieszczają pańską żonę w jej pokoju. Jest wyczerpana, ale czuje się dobrze. Za kilka minut będzie pan mógł ją zobaczyć.

- A co z dzieckiem?

- Pański syn został przeniesiony na oddział dla wcześniaków. Pokażę go panu - powiedział doktor, biorąc Fletchera za łokieć i prowadząc korytarzem. Zatrzymali się przed wielką szybą. Wewnątrz znajdowały się trzy inkubatory. Dwa były już zajęte. Fletcher patrzył, jak jego syna delikatnie układają w trzecim. Mizerne, bezradne stworzonko, czerwone i pomarszczone. Pielęgniarka włożyła mu do noska rurkę. Następnie umieściła na piersi maleństwa czujnik i podłączyła przewód do monitora. Na koniec na lewy przegub dziecka wsunęła opaskę z nazwiskiem Davenport. Ekran monitora od razu zaczął migotać, ale mimo, że Fletcher słabo znał się na medycynie, od razu dostrzegł, że serce syna bije słabo. Popatrzył z niepokojem na doktora Redpatha.

- Jakie ma szansę?

- Urodził się dziesięć tygodni za wcześnie, ale jeżeli utrzymamy go przy życiu przez noc, może przeżyje.

- Jakie są jego szansę? - naciskał Fletcher.

- Tu nie obowiązują żadne reguły, procenty ani ustalone prawa.

Każde dziecko jest jedyne w swoim rodzaju, pański syn również - dodał lekarz. Dołączyła do nich pielęgniarka.

- Może pan teraz zobaczyć żonę - zwróciła się do Fletchera.

Fletcher podziękował doktorowi razem z pielęgniarką zszedł piętro niżej i udał się do pokoju żony. Annie leżała wsparta na kilku poduszkach.

- Jak wygląda nasz syn? - brzmiały jej pierwsze słowa.

- Wspaniale, proszę pani, i ma szczęście, że rozpoczyna swoje życie u boku tak wyjątkowej matki.

- Nie pozwolili mi go zobaczyć - poskarżyła się cicho Annie - a ja tak bym chciała go przytulić.

- Na razie umieścili go w inkubatorze - powiedział łagodnie Fletcher - ale cały czas jest przy nim siostra.

- Wydaje się, jakby całe lata upłynęły od kolacji u profesora Abrahamsa.

- To był wspaniały wieczór i twój podwójny triumf. Zauroczyłaś starszego wspólnika firmy, w której chcę pracować, a potem wydałaś na świat syna, i to wszystko jednego wieczoru. Co dalej?

- To wszystko wydaje się nieważne teraz, kiedy mamy dziecko i musimy się nim zająć. - Zamilkła na chwilę. - Harry Robert Davenport.

- To ładnie brzmi - zauważył Fletcher - i obaj nasi ojcowie będą zachwyceni.

- Jakie damy mu pierwsze imię? - spytała Annie. - Harry czy Robert-Wiem, jak będę do niego mówił - rzekł Fletcher.

Do pokoju weszła pielęgniarka.

- Powinna pani spróbować zasnąć - powiedziała. - To było dla pani

wyczerpujące przeżycie.

- Też tak uważam - zgodził się Fletcher. Wyjął kilka poduszek spod głowy żony, a ona wolno opuściła się na łóżku. Uśmiechnęła się, układając głowę na ostatniej poduszce, która pozostała. Fletcher pocałował Annie i wyszedł, a pielęgniarka zgasła światło.

Fletcher popędził schodami piętro wyżej, żeby sprawdzić, czy serce syna nie bije mocniej. Patrzył na monitor, modląc się, żeby amplituda sygnałów była trochę większa, i zdołał siebie przekonać, że istotnie tak jest. Przycisnął nos do szyby.

- Walcz, Harry - powiedział, a potem zaczął liczyć uderzenia serca na minutę. Nagle poczuł się wykończony. - Trzymaj się, dasz radę.

Fletcher cofnął się i opadł na krzesło po drugiej stronie korytarza. W ciągu kilku minut zapadł w głęboki sen.

Nagle się obudził, czując, że ktoś delikatnie dotyka jego ramienia. Zamrugał oczyma; nie miał pojęcia, jak długo spał. Zobaczył pielęgniarkę. Miała poważną minę. Za nią stał doktor Redpath. Fletcherowi nie trzeba było mówić, że Harry Robert Davenport nie żyje.

- Co to za problem? - zapytał Nat, biegnąc do stołówki, gdzie liczono głosy.

- Mieliśmy znaczną przewagę jeszcze kilka minut temu - rzekł Joe, zdyszany po gonitwie w obydwie strony, z trudem dotrzymując kroku Natowi, który swój bieg nazwałby pewno truchtem. - Nat trochę zwolnił. - A potem nagle pojawiły się dwie skrzynki wyborcze, pełne głosów - dziewięćdziesiąt procent za Elliotem - dodał, gdy zbliżyli się do schodów.

Nat i Tom, nie czekając na Joego, wbiegli na górę i wpadli do jadalni. Pierwszą osobą, którą ujrzeli, był zadowolony z siebie Ralph Elliot. Nat przeniósł wzrok na Toma, któremu już zdawała sprawozdanie Su Ling oraz Chris. Prędko do nich dołączył.

- Mieliśmy przewagę czterystu głosów - oznajmił Chris - i uznaliśmy, że sprawa jest przesądzona, kiedy ni stąd, ni zowąd zjawiły się dwie urny wyborcze.

- Co to znaczy ni stąd, ni zowąd? - spytał Tom.

- Hm, znalazły się pod stołem, ale nie zarejestrowano ich przy pierwotnym liczeniu.

- Chris sprawdził notatki. - W jednej urnie było trzysta dziewiętnaście głosów oddanych na Elliota i czterdzieści osiem na Nata; w drugiej - trzysta dwadzieścia dwa na Elliota i czterdzieści jeden na Nata, co zmieniło pierwotny wynik i dało Elliotowi przewagę kilkunastu głosów.

- Podaj mi przykładowo kilka liczb z innych urn - poprosiła Su Ling.

- Wszystkie były dość zgodne - rzekł Chris, spoglądając na zapiski. - Największa różnica była w jednej: dwieście dziewięć za Natem i sto siedemdziesiąt sześć za Elliotem. Tylko w jednej urnie Elliot zebrał więcej głosów niż Nat: dwieście jeden do stu dziewięćdziesięciu sześciu.

- Wyniki w dwóch ostatnich urnach - odezwała się Su Ling - wykazują zbyt duże odchylenie w porównaniu z wynikami w pierwszych dziesięciu. Ktoś musiał wpakować do nich dostatecznie dużo kart do głosowania, żeby zmienić pierwotny wynik.

- Ale jak oni to zrobili? - spytał Tom.

- Bez problemu, jeżeli się dysponowało czystymi kartami do głosowania - powiedziała Su Ling.

- A to nie było takie trudne - zauważył Joe.

- Skąd ta pewność? - zainteresował się Nat.

- Bo jak głosowałem w moim akademiku w porze lunchu, obecna była tylko jedna dziewczyna z komisji wyborczej i na dodatek pisała jakąś pracę. Nawet by nie zauważyła, jakbym zasunął cały plik kart do głosowania.

- Ale to nie wyjaśnia nagłego pojawienia się dwóch brakujących urn - rzekł Tom.

- Nie musisz robić doktoratu, żeby na to wpaść - wtrącił się Chris - jak zakończyło się głosowanie, wystarczyło ukryć dwie urny i potem napakować tam kartek.

- Ale nie możemy tego udowodnić - rzekł Nat.

- Dowodzi tego statystyka - powiedziała Su Ling. - Ona nigdy nie kłamie, chociaż przyznaję, że nie mamy żadnego bezpośredniego świadectwa.

- No i co dalej? - spytał Joe, spoglądając na stojącego w oddaleniu Elliota, z którego twarzy nie zniknęła satysfakcja.

- Trudna sprawa, co najwyżej możemy przekazać nasze spostrzeżenia Chesterowi Daviesowi. W końcu on jest szefem komisji wyborczej.

- Dobrze, Joe. Zrób to, a my poczekamy na jego opinię.

Joe odszedł, aby przedstawić sprawę dziekanowi. Obserwowali, jak twarz starego nauczyciela akademickiego coraz bardziej posepnieje. Gdy Joe skończył swój raport, dziekan wezwał szefa sztabu wyborczego Elliota, który wzruszył tylko ramionami i powiedział, że każdy oddany głos jest ważny.

Nat obserwował z niepokojem, jak Davies zadaje pytania obu mężczyznom, i zobaczył, że Joe skinął głową na znak zgody, po czym obaj wrócili do swoich zespołów.

- Dziekan ogłasza natychmiastowe spotkanie komisji wyborczej w swoim gabinecie i jak tylko przedyskutują sprawę, czyli za jakieś pół godziny, powiadomi nas, co ustalono.

- Davies to przyzwoity człowiek - powiedziała Su Ling, ujmując Nata za rękę - i dojdzie do słusznego wniosku.

- Może i tak - rzekł Nat - ale koniec końców, niezależnie od osobistych zastrzeżeń, może się tylko stosować do regulaminu wyborów.

- Zgadza się - zabrzmiał głos z tyłu. Nat się odwrócił i zobaczył szczerzącego zęby Elliota. - Wcale nie będą musieli zaglądać do regulaminu, żeby stwierdzić, że ten jest zwycięzcą, kto dostał najwięcej głosów.

- Chyba że natrafiają na coś o jednej osobie i jednym głosie - rzekł Nat.

- Oskarżasz mnie o szwindel? - warknął Elliot. Grupa jego zwolenników zbliżyła się i stanęła za nim.

- Cóż, nazwijmy to tak. Jeżeli wygrasz te wybory, możesz starać się w Chicago o pracę w komisji skrutacyjnej w okręgu Cook, bo burmistrz Daly niczego nie musi cię uczyć.

Elliot zrobił krok do przodu i podniósł zaciśniętą pięść, ale w tym momencie w sali pojawił się dziekan. W ręku trzymał kartkę papieru. Skierował się na podest.

- Uniknąłeś lania - wyszeptał Elliot.

- A ciebie ono czeka - odparł Nat. Obaj obrócili się ku dziekanowi.

Rozmowy ucichły, gdy Davies ustawił mikrofon i objął wzrokiem zgromadzonych, którzy czekali, żeby usłyszeć, co ustalono. Powoli odczytał

przygotowany tekst.

- Podczas wyborów na przewodniczącego rady uczelnianej zgłoszono mi, że wkrótce po zakończeniu liczenia głosów znaleziono dwie urny wyborcze. Ponieważ wynik w obu tych urnach drastycznie różnił się od reszty, jako wyznaczeni urzędnicy musieliśmy sięgnąć do regulaminu wyborów. Mimo drobiazgowych poszukiwań nie zdołaliśmy znaleźć niczego na temat brakujących urn wyborczych ani tego, jak należy postąpić, jeżeli w jednej z urn wyniki będą się aż tak rażąco różnić od innych.

- Bo do tej pory nigdy nikt nie oszukiwał - krzyknął Joe z tyłu sali.

- I teraz też nikt tego nie robił - padła błyskawiczna riposta. - Po prostu przegraliście...

- Ile jeszcze ukryliście urn wyborczych na wszelki wypadek?

- Nie potrzeba nam więcej...

- Cisza - powiedział dziekan. - Te krzyki nie świadczą dobrze o żadnej ze stron. - Odczekał, aż wszyscy umilkną, po czym czytał dalej: - Jednak świadomi swoich obowiązków informujemy, że wynik wyborów powinien obowiązywać. - Zwolennicy Elliota zaczęli klaskać i podskakiwać.

- Chyba przyznasz, że właśnie dostałeś lanie - powiedział Elliot, odwracając się do Nata.

- On jeszcze nie skończył - rzekł Nat. Wzrok utkwiał w Daviesie.

Minęło trochę czasu, zanim dziekan mógł kontynuować, ponieważ niewielu obecnych zdawało sobie sprawę, że nie dokończył oświadczenia.

- Ponieważ w tych wyborach pojawiło się kilka nieprawidłowości, postanowiłem, że zgodnie z punktem siedem b statutu rady uczelnianej pokonany kandydat powinien mieć sposobność odwołania się. Jeżeli to uczyni, komisja będzie miała trzy możliwości do wyboru. - Otworzył regulamin i odczytał: - a) potwierdzić wynik wyborów, b) ogłosić wynik przeciwny i c) ogłosić nowe wybory, które odbędą się w pierwszym tygodniu następnego semestru. Proponujemy zatem, żeby dać panu Cartwrightowi dwadzieścia cztery godziny na odwołanie.

- Nie trzeba nam dwudziestu czterech godzin! - krzyknął Joe. - Odwołujemy się!

- Kandydat musi mi to przekazać na piśmie - rzekł dziekan.

Tom zerknął na Nata, który patrzył na Su Ling.

- Czy pamiętasz, co uzgodniliśmy, gdybym nie wygrał?

Księga Trzecia

Kroniki

Nat patrzył, jak Su Ling powoli idzie ku niemu, i wspomniał dzień, kiedy pierwszy raz się spotkali. Gonił ją, biegnąc z boczem wzgórza, a gdy się odwróciła, z wrażenia zapało mu dech.

- Czy ty masz pojęcie, jaki z ciebie szczęściarz? - szepnął Tom.

- Skoncentruj się na swoich obowiązkach, dobrze? Gdzie jest obrączka?

- Obrączka, jaka obrączka? - Nat odwrócił się i wlepił wzrok w swojego drużbę. - Cholera, wiedziałem, że coś mam wziąć - wyszeptał gorączkowo Tom. - Czy mógłbyś trochę opóźnić wszystko, a ja wrócę do domu i jej poszukam?

- Mam cię udusić? - spytał Nat, szczerząc zęby.

- Tak, proszę - odparł Nat, wpatrując się w zbliżającą się Su Ling. - Niech ona pozostanie moim ostatnim wspomnieniem z tego świata.

Teraz uwagę Nata przykuła jego narzeczona, która obdarzyła go takim samym uśmiechem jak wtedy, gdy pojawiła się w drzwiach

restauracji, kiedy umówili się na pierwszą randkę. Podeszła, zajęła miejsce koło niego i z lekko pochyloną głową czekała, aż kapłan rozpocznie ceremonię zaślubin. Nat pomyślał o decyzji, którą podjęli następnego dnia po wyborach; wiedział, że nigdy nie będzie jej żałował. Czemu miałby wstrzymywać karierę Su Ling tylko ze względu na niepewną szansę objęcia stanowiska przewodniczącego rady uczelnianej- Nie odpowiadała mu perspektywa ponownych wyborów w pierwszym tygodniu przyszłego semestru i konieczność poproszenia Su Ling, żeby tu tkwiła jeszcze jeden rok, gdyby przegrał. Nie miał wątpliwości, co należy uczynić.

- Umiłowani... - zwrócił się kapłan do zgromadzonych.

Kiedy Su Ling wytłumaczyła profesorowi Muldenowi, że wychodzi za mąż i jej przyszły mąż studiuje na Uniwersytecie Connecticut, z miejsca zaproponowano mu możliwość dokończenia studiów na Uniwersytecie Harvarda. Słyszeli już o przeszłości Nata w Wietnamie i jego sukcesach w biegach przełajowych, ale to stopnie przeważały szalę. Dziwili się, dlaczego nie skorzystał z miejsca w Yale, ponieważ w dziale rekrutacji wszyscy wiedzieli, że mąż Su Ling nie byłby u nich figurantem.

- Czy chcesz poślubić tę oto kobietę i żyć z nią w stanie małżeńskim?

Nat miał ochotę krzyknąć, że tak.

- Tak - cicho powiedział.

- Czy chcesz poślubić tego oto mężczyznę i żyć z nim w stanie małżeńskim?

- Tak - powiedziała Su Ling, nie podnosząc głowy.

- Możesz pocałować pannę młodą - rzekł kapłan.

- Myślę, że to do mnie - odezwał się Tom, postępując o krok. Nat objął Su Ling i ją pocałował. Podniósł przy tym lewą nogę i kopnął Toma w goleń.

- To taka mnie spotyka wdzięczność za te poświęcenia na jakie się zdobyłem przez wszystkie lata? Ale teraz jest moja kolej, i już!

Nat odwrócił się, objął Toma i go wyściskał, co zgromadzeni powitali śmiechem.

Tom ma rację, pomyślał Nat. Nawet nie protestował, kiedy on odmówił odwoływania się do komisji wyborczej, chociaż Nat wiedział, że przyjaciel jest przekonany, iż w ponownych wyborach zostałby zwycięzcą. A następnego dnia rano pan Russell zatelefonował i zaoferował Natowi swój dom na przyjęcie weselne. Jakże im się odwdzięczy?

- Ostrzegam cię - powiedział Tom. - Ojciec spodziewa się, że będziesz pracował w jego banku jako stażysta, jak ukończysz Harvardzką Szkołę Biznesu...

- To może być najlepszą oferta - zauważył Nat.

Państwo młodzi odwrócili się do rodziny i przyjaciół. Susan nie kryła łez, a Michael promieniał dumą. Matka Su Ling postąpiła do przodu i zrobiła zdjęcie nowożeńcom, - Nat nie pamiętał wiele z przyjęcia weselnego, poza tym, że państwo Russell nie mogliby zrobić dla niego więcej, gdyby był ich synem. Krążył od stołu do stołu, dziękując zwłaszcza tym, którzy przyjechali z daleka. Dopiero gdy usłyszał szczególny dźwięk, jaki wydaje kryształ uderzony przedmiotem ze srebra, dotknął wewnętrznej kieszeni marynarki, sprawdzając, czy wciąż jest tam kartka z przemówieniem...

Nat prędko zajął swoje miejsce przy głównym stole, tymczasem Tom wstał i zaczął mówić. Zaczął od wyjaśnienia, dlaczego przyjęcie

weselne odbywa się w jego domu.

- Nie zapominajcie, że oświadczyłem się Su Ling na długo przed panem młodym, chociaż ona z niewiadomych powodów wolała wybrać gorszego.

Nat uśmiechnął się do Abigail, ciotki Toma z Bostonu, a goście nagrodzili Toma oklaskami.

Nat się czasem zastanawiał, czy żarciki Toma o jego miłości do Su Ling nie zawierają ziarnka prawdy. Spojrzał na swego družbę, przypominając sobie, jak pierwszego dnia w Taft usiadł, bo był spóźniony - dzięki ci, mamó - obok zapłakanego chłopczyka na ostatniej ławce. Pomyślał, jakie to szczęście, że ma takiego przyjaciela i że może niedługo też będzie družbą na jego weselu.

Tom otrzymał huczne brawa i usiadł, oddając głos panu młodemu.

Nat zaczął od podziękowania państwu Russell za wspaniałomyślne udostępnienie pięknego domu na przyjęcie weselne. Podziękował matce za mądrość, a ojcu za urodę, co wywołało śmiech i oklaski.

- Ale najbardziej dziękuję Su Ling za to, że pobiła nie tą ścieżką, i moim rodzicom za wychowanie, które mi kazało ją dogonić i powiedzieć jej, że popełniła błąd.

- O wiele większy błąd zrobiła, biegnąc za tobą z powrotem pod górę - rzekł Tom.

Nat odczekał, aż ucichnie śmiech, po czym powiedział:

- Zakochałem się w Su Ling od pierwszego wejrzenia i wprawdzie uczucie to nie było wzajemne, ale jak już mówiłem, odziedziczyłem urodę ojca. Więc pozwólcie, że zakończę, zapraszając was wszystkich na nasze złote wesele jedenastego lipca dwutysięcznego dwudziestego czwartego roku. - Zawiesił głos. - Tylko ofermom i tym, którzy do tej pory pożegnają się z tym światem, zostanie wybaczona nieobecność. - Uniósł kieliszek. - Za moją żonę, Su Ling.

Kiedy Su Ling poszła na górę, żeby się przebrać, Tom wreszcie zapytał Nata, gdzie jadą spędzić miesiąc miodowy.

- Do Korei - szepnął Nat. - Zamierzamy odnaleźć wioskę, gdzie się urodziła Su Ling, i spróbować odszukać innych krewnych. Ale nic nie mów matce Su Ling - chcemy sprawić jej po powrocie niespodziankę.

Trzystu gości ruszyło na podjazd i zęgnęło oklaskami młodą parę odjeżdżającą na lotnisko...

- Ciekawe, gdzie spędzą miesiąc miodowy - odezwała się matka Su Ling.

- Nie mam pojęcia - odparł Tom.

Fletcher tulił Annie w ramionach. Minał miesiąc od pogrzebu Harry'ego Roberta, a ona wciąż się obwinięła.

- Ale to niesprawiedliwe - powiedział Fletcher. - Jeżeli kogoś trzeba winić, to mnie. Joanna tuż przed porodem była w dużym stresie i popatrz, jak sobie poradziła.

Ale Annie była niepokieszona. Lekarz powiedział Fletcherowi, jak najszybciej rozwiązać problem, i ten z chęcią przyjął jego radę.

Z każdym dniem Annie przybywało sił, przede wszystkim jednak pragnęła umocnić męża w jego determinacji, żeby być najlepszym na roku.

- Jesteś to winien Karlowi Abrahamsowi - przypominała. - On w ciebie mnóstwo zainwestował i tylko w jeden sposób możesz mu się odwdziżyć.

Annie zachęcała męża, żeby pracował dniami i nocami podczas

letnich wakacji, przed rozpoczęciem ostatniego roku studiów. Pełniła funkcję jego asystentki, będąc przy tym także kochanką i przyjaciółką. Odrzucała tylko jego rady, kiedy nalegał, aby sama pomyślała o wyższych studiach.

- Nie - odpowiadała. - Chcę być twoją żoną, a z czasem, jak Bóg da...

Powróciwszy na uniwersytet, Fletcher doszedł do wniosku, że wkrótce będzie musiał poważnie rozejrzeć się za pracą. Wprawdzie kilka kancelarii adwokackich zaprosiło go na rozmowy kwalifikacyjne, a nawet dwie zaproponowały mu u siebie miejsce, ale Fletcher nie miał ochoty pracować gdzieś w Dallas czy Denver, Phoenix czy Pittsburghu. Jednak tracił nadzieję, gdyż mijały tygodnie, a firma Alexander, Dupont i Bell nie dawała znaku życia, uznał więc, że jeśli chce się dostać do jednej z wielkich korporacji, będzie musiał odbyć wiele rozmów.

Jimmy już porzysłał ponad pięćdziesiąt listów i jak na razie dostał trzy odpowiedzi; nikt nie zaproponował mu zatrudnienia. Chętnie podjąłby pracę w Dallas albo Denver, w Phoenix lub Pittsburghu, gdyby nie chodziło o Joannę. Annie i Fletcher wytypowali wspólnie miasta, w których z przyjemnością by zamieszkali, a potem Annie zebrała informacje o tamtejszych czołowych firmach prawniczych. Wspólnie ułożyli list, który został powielony w pięćdziesięciu czterech egzemplarzach, wysłanych w pierwszym dniu semestru.

Kiedy Fletcher przyszedł tego dnia przed południem na uczelnię, w swojej skrzynce pocztowej znalazł jakąś kopertę.

- To szybko - rzekła Annie. - Wysłaliśmy oferty dopiero przed godziną.

Fletcher się roześmiał, ale umilkł, kiedy spojrzał na stempel pocztowy. Rozdarł kopertę. Czarny, wytłoczony nagłówek oznajmiał: Alexander, Dupont i Bell. Jasne, szacowna firma nowojorska zawsze rozpoczynała rozmowy z kandydatami w marcu, dlaczego więc miałaby odstąpić od tego zwyczaju dla Fletchera Davenporta?

Fletcher intensywnie pracował podczas długich zimowych miesięcy poprzedzających rozmowę, ale mimo to był pełen obaw, kiedy w końcu wybrał się w podróż do Nowego Jorku. Gdy wysiadł z pociągu na Grand Central Station, oszołomił go gwar stu języków i pośpiech tłumu, poruszającego się szybciej niż w jakimkolwiek znanym mu mieście. W taksówce wiozącej go na 54. Ulicę cały czas wyglądał przez otwarte okno, wdychając jedyny w swoim rodzaju zapach tego miasta.

Taksówka zatrzymała się przed siedemdziesięciodwupiętrowym drapaczem chmur i Fletcher w jednej chwili pojął, że nie chce pracować w żadnym innym miejscu. Pokręcił się kilka minut na parterze, żeby się nie tłoczył w poczekalni z innymi kandydatami. Kiedy w końcu wysiadł z windy na trzydziestym szóstym piętrze, recepcjonistka postawiła znaczek przy jego nazwisku i podała mu kartkę papieru z listą rozmów zaplanowanych na cały dzień...

Pierwsze spotkanie miał ze starszym wspólnikiem firmy, Billem Alexandrem; czuł, że poszło dobrze, chociaż Alexander nie był tak serdeczny jak na przyjęciu u Karla Abrahamsa. Zapytał jednak o Annie i wyraził nadzieję, że przysłała już do siebie po stracie Harry'ego. W trakcie spotkania Fletcher się zorientował, że nie jest jedyną osobą wezwaną na rozmowę kwalifikacyjną - na liście leżącej przed Alexandrem widniało sześć nazwisk.

Fletcher następnie spędził godzinę z trójką innych współników, którzy specjalizowali się w wybranej przez niego dziedzinie, czyli w prawie karnym. Po trzeciej rozmowie zaproszono go na lunch wraz z członkami zarządu. Wtedy pierwszy raz się zetknął z pozostałymi pięcioma kandydatami, a rozmowa podczas lunchu uświadomiła mu, z czym przyjdzie mu się zmierzyć. Zastanawiał się, ile dni firmą zarezerwowała na rozmowy kwalifikacyjne z innymi potencjalnymi kandydatami.

Nie mógł wiedzieć, że firma Alexander, Dupont i Bell drobiazgowo przesiała wszystkich kandydatów wiele miesięcy przedtem, zanim zaprosiła któregoś na rozmowę, i że znalazł się w szóstce finalistów dzięki rekomendacji i dobrej opinii. Nie zdawał też sobie sprawy z tego, że tylko jednemu, co najwyżej dwóm kandydatom firma zaoferuje stanowisko. Jak to bywa z dobrym winem, w pewnych latach nikogo nie wybierano po prostu dlatego, że to nie był dobry rocznik.

Po południu odbyły się kolejne rozmowy i Fletcher nabrał przekonania, że nie zostanie zakwalifikowany i niedługo będzie musiał odbyć długą wędrowkę między tymi firmami, które odpowiedziały na jego list i wezwały go na wstępną rozmowę.

- Pod koniec miesiąca dadzą mi znać, czy przejdę do drugiego etapu - powiedział Annie, która czekała na niego na dworcu. - Ale nie przestawaj wysyłać listów, chociaż przyznaję, że nie chciałbym już pracować nigdzie poza Nowym Jorkiem.

Annie wypytywała Fletchera w drodze do domu, pragnąc poznać wszystkie szczegóły. Ujęło ją, że Bili Alexander ją zapamiętał; a jeszcze bardziej była poruszona, iż zadał sobie trud, aby się dowiedzieć, jak miał na imię ich syn.

- Może powinienes mu powiedzieć - rzekła, zatrzymując samochód przed domem.

- Co takiego? - spytał Fletcher.

- Że znowu jestem w ciąży.

Nata zachwyił pośpiech i krzątania w Seulu, mieście, które postanowiło raz na zawsze zapomnieć o wojnie. Z każdego rogu wystrzeliwały w niebo drapacze chmur, a stare z nowym współżyło w harmonii. Wzbudził jego podziw potencjał doskonale wykształconej, inteligentnej armii pracowników, którzy utrzymywali się z płac wynoszących jedną czwartą tego, co było do przyjęcia w jego kraju. Podrzędna rola kobiet w społeczeństwie koreańskim nie mogła ująć uwagi Su Ling, toteż w duchu dziękowała matce za jej odwagę i zdolność przewidywania, które ją skłoniły do wyjazdu do Ameryki.

Nat wynajął samochód, mogli więc jeździć od wioski do wioski, gdy im tylko przyszła ochota. Gdy oddalili się kilka mil od stolicy, uderzyła ich zmiana w sposobie życia. Kiedy przejechali sto mil, cofnęli się w przeszłość o sto lat. Nowoczesne wieżowce ustąpiły miejsca małym drewnianym chatom, a zgiełk i gwar - powolnemu, nasycenemu powagą rytmowi.

Wprawdzie matka Su Ling rzadko mówiła o swoim dzieciństwie w Korei, Su Ling jednak znała nazwę miasteczka, w którym się urodziła, i jej panięskie nazwisko. Wiedziała też, że jej dwaj wujowie zginęli na wojnie, toteż kiedy przybyli do Kaping, według przewodnika liczącego siedem tysięcy trzysta trójce mieszkańców, wcale nie była pewna, czy znajdzie kogoś, kto będzie pamiętał jej matkę.

Su Ling Cartwright zaczęła poszukiwania od ratusza, gdzie znajdowały się spisy wszystkich mieszkańców. Nie ułatwiał sprawy fakt, że

wśród siedmiu tysięcy obywateli ponad tysiąc nosiło nazwisko matki - Peng. Ale kobieta w recepcji tak się właśnie nazywała, o czym informowała tabliczka na biurku. Powiedziała Su Ling, że jej cioteczną babką, obecnie ponaddziesięćdziesięcioletnią, podobno zna każdą gałąź rodziny i gdyby Su Ling zależało, można zaaranżować spotkanie. Su Ling skinęła głową na zgodę i recepcjonistką poprosiła, żeby odwiedziła ją później.

Su Ling zaszła do recepcji po południu i dowiedziała się, że Ku Sei Peng zaprasza ją nazajutrz na herbatę. Recepcjonistką przeprosiła ją i grzecznie wytłumaczyła, że amerykański mąż Su Ling nie byłby mile widziany.

Następnego dnia wieczorem Su Ling wróciła do ich hoteliku z uśmiechem na twarzy i z kartką papieru w ręku.

- Przejechaliśmy taki kawał drogi, aby się dowiedzieć, że powinniśmy wrócić do Seulu.

- Jak to? - zdziwił się Nat.

- To proste. Ku Sei Peng pamięta, jak moja matka wyjechała za pracą do stolicy, lecz tutaj już nie wróciła. Ale jej młodsza siostra, Kai Pai Peng, wciąż mieszka w Seulu i Ku Sei dała mi jej ostatni adres.

- Wobec tego wracamy do stolicy - rzekł Nat. Zatelefonował do recepcji i uprzedził, że zaraz wyjeżdżają. Do Seulu przyjechali tuż przed północą.

- Chyba będzie rozsądniej, jeżeli pójde do niej sama - doszła do wniosku Su Ling przy śniadaniu następnego ranka - bo może nie zechce mi dużo powiedzieć, jak się dowie, że mam męża Amerykanina.

- To się dobrze składa - rzekł Nat. - Mam ochotę odwiedzić rynek po drugiej stronie miasta, bo szukam czegoś specjalnego.

- Mianowicie? - zainteresowała się Su Ling.

- Poczekaj, to zobaczysz - odparł Nat.

Nat pojechał taksówką do dzielnicy Kiraj i spędził cały dzień, włączając się po jednym z największych targowisk na święcie - nieprzeliczone rzędy straganów pełnych Wszelkich towarów - od roleksów, sztucznych pereł, torebek od Gucciego, perfum Chanel po bransoletki Cartiera i serduszka od Tiffany'ego. Nie reagował na zachęcające okrzyki „Hej, Amerykanin, zapraszam, u mnie za pół darmo”, gdyż nie miał pewności, czy nie ma tu samych podróbek.

Wrócił wieczorem do hotelu zmęczony i obładowany: dźwigał sześć toreb wypełnionych głównie prezentami dla Su Ling. Pojechał windą na trzecie piętro i otworzył drzwi do pokoju, mając nadzieję, że żona już wróciła z wizyty u Kai Pai Peng. Kiedy wszedł do środka, wydało mu się, że słyszy łkanie. Stał bez ruchu i nasłuchiwał. Nie mylił się: łkanie dochodziło z sypialni.

Nat upuścił torby na podłogę, przemierzył pokój i pchnął drzwi do sypialni. Su Ling leżała na łóżku zwinięta w kłębek i szlochała.

Nat zrzucił buty i marynarkę, położył się obok Su Ling i ją objął.

- Co ci jest, kwiatuszku? - spytał, delikatnie głaszcząc żonę.

Nie odpowiedziała. Nat przytulił ją mocno, wiedząc, że mu powie, kiedy nadejdzie właściwy moment.

Gdy zapadła ciemność i zapłonęły uliczne latarnie, Nat zaciągnął zasłony. Potem usiadł koło żony i wziął ją za rękę.

- Zawsze będę cię kochała - powiedziała Su Ling, nie patrząc na niego.

- A ja zawsze będę kochał ciebie - rzekł Nat i wziął ją w ramiona.

- Pamiętaj, że wieczorem w dniu naszego ślubu obiecaliśmy sobie, że nic nie będziemy przed sobą ukrywać? Więc teraz muszę ci powiedzieć, czego się dowiedziałam dzisiaj po południu.

Nat jeszcze nigdy nie widział tak bezmiernego smutku na czyjejs twarzy.

- Cokolwiek to jest, nie umniejszy mojej miłości - próbował dodać jej odwagi.

Su Ling przyciągnęła męża do siebie i położyła mu głowę na piersi, jakby chciała uniknąć jego wzroku.

- Spotkałam się z cioteczną babką dziś rano - zaczęła. - Dobrze pamięta moją matkę i wytłumaczyła mi, dlaczego wyjechała z rodzinnego miasteczka do Seulu. - Su Ling wtulona w męża powtórzyła wszystko, co powiedziała jej Kai Pai. Kiedy zakończyła opowieść, odsunęła się od męża i pierwszy raz popatrzyła mu w oczy.

- Czy teraz, kiedy znasz prawdę, możesz mnie nadal kochać? - spytała.

- Nie wyobrażam sobie, żeby można było bardziej cię kochać, i trudno mi pojąć, jakiej trzeba było odwagi, żeby podzielić się ze mną taką wiadomością. - Zamilkł na chwilę. - To tylko umocni naszą więź, której nikt nie zdoła zerwać.

- To byłoby nierozsądne, gdybym z tobą pojechała - powiedziała Annie.

- Ale ty jesteś moją maskotką i...

- ...i doktor Redpath też uważa, że to byłoby niemądre.

Fletcher niechętnie się pogodził z tym, że do Nowego Jorku pojedzie sam. Annie była w siódmym miesiącu ciąży i choć nie wystąpiły żadne komplikacje, nie chciał się sprzeciwiać lekarzowi.

Fletcher był szczęśliwy, że został wezwany na drugą rozmowę do firmy Alexander, Dupont i Bell, i zastanawiał się, ilu wybrano finalistów. Miał wrażenie, że Karl Abrahams dobrze wie, ale profesor nikomu się nie zwierzał.

Kiedy pociąg zatrzymał się na Penn Station, Fletcher pojechał taksówką na 54. Ulicę i znalazł się przed okazałym holem wejściowym dwadzieścia minut za wcześnie. Powiedziano mu, że kiedyś jakiś kandydat spóźnił się trzy minuty i nie przeprowadzono z nim rozmowy.

Pojechał windą na trzydzieste szóste piętro i został skierowany przez recepcjonistkę do przestronnego pokoju, niemal tak eleganckiego jak gabinet starszego wspólnika. Fletcher siedział tam sam i zastanawiał się, czy to dobry znak, kiedy kilka minut przed dziewiątą dołączył do niego drugi kandydat. Uśmiechnął się do Fletchera.

- Logan Fitzgerald - przedstawił się i wyciągnął rękę na powitanie.

- Słyszałem pana wystąpienie podczas debaty studentów pierwszego roku w Yale. Pańska mowa na temat Wietnamu była błyskotliwa, chociaż nie zgadzałem się z ani jednym wypowiedzianym przez pana słowem.

- Był pan w Yale?

- Nie, odwiedziłem wtedy brata. Ja poszedłem do Princeton. Myślę, że obaj wiemy, dlaczego tutaj jesteś.

- Czy pan się domyśla, ilu jest jeszcze kandydatów? - spytał Fletcher.

- Sądząc po godzinie, przypuszczam, że jesteśmy dwoma ostatnimi. Zatem mogę tylko życzyć panu powodzenia.

- Jestem pewien, że to szczere życzenia - powiedział Fletcher z uśmiechem.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich kobieta, którą Fletcher zapamiętał jako sekretarkę Alexandra.

- Panowie, proszę za mną - zwróciła się do nich.

- Dziękuję, pani Townsend - rzekł Fletcher. Ojciec kiedyś mu powiedział, żeby nigdy nie zapominał nazwisk sekretarek - w końcu spędzały więcej czasu z szefami niż ich żony. Dwaj kandydaci podążyli za kobietą i Fletcher był ciekaw, czy Logan jest tak zdenerwowany jak on. Po każdej stronie długiego, wyłożonego dywanem korytarza, przy dębowych drzwiach, które mijali, widniały wypisane złotymi literami nazwiska wspólników. Ostatnie przed salą konferencyjną opatrzone tabliczką: William Alexander.

Pani Townsend zapukała delikatnie do drzwi, otworzyła je i stanęła z boku, a zebrani - dwudziestu pięciu mężczyzn i trzy kobiety - wstali z miejsc i przywitali przybyszy oklaskami.

- Siadajcie, proszę - powiedział Bili Alexander, gdy oklaski ucichły.

- Pozwolę sobie pierwszy pogratulować panom z okazji dołączenia do naszej firmy, ale uprzedzam, że następnym razem zostaniecie panowie uhonorowani taką owacją ze strony kolegów, kiedy będziecie przyjmowani w poczet wspólników, a to nie nastąpi przed upływem co najmniej siedmiu lat. Przed południem spotkacie się z członkami dyrekcji, którzy odpowiedzą na wszystkie pytania. Fletcher, zgłosi się pan do Matthew Cunliffe'a, który jest dyrektorem naszego działu karnego, natomiast Logan do Grahama Simpsona w dziale fuzji i przejęć. O wpół do pierwszej obaj wróćcie i zjecie lunch w towarzystwie wspólników.

Południowy posiłek okazał się miłym wytchnieniem po wyczerpującej serii rozmów; wspólnicy przestali się zachowywać jak mister Hyde i wrócili do postaci doktora Jekylla. Role te odgrywali dzień w dzień wobec swych klientów i przeciwników.

- Mówią mi, że obaj będziecie prymusami - powiedział Bili Alexander, kiedy podano danie główne - pierwszego dania nie podano, a z napojów tylko butelkowaną wodę. - Mam nadzieję, że te przewidywania się sprawdzą, bo jeszcze nie zdecydowałem, gdzie was przydzielić.

- A gdyby któryś z nas oblał? - zapytał z lękiem Fletcher.

- Wtedy spędziłby pierwszy rok w kancelarii, dostarczając akta innym firmom prawniczym. - Alexander zawiesił głos. - Na piechotę - dodał. - Nikt się nie zaśmiał i Fletcher nie był pewien, czy mówi serio. Starszy wspólnik chciał kontynuować rozmowę, kiedy rozległo się pukanie do drzwi i do środka weszła sekretarka.

- Telefon do pana na trzeciej linii.

- Mówiłem pani, żeby nie przeszkadzać.

- To pilna sprawa, proszę pana.

Bili Alexander podniósł słuchawkę telefonu i po chwili grymas na jego twarzy zamienił się w uśmiech.

- Powiem mu - rzekł i odłożył słuchawkę.

- Pozwól, Fletcher, że pierwszy ci pogratuluję - powiedział starszy wspólnik. Fletcher się zdumiał, gdyż wiedział, że końcowe oceny zostaną podane do wiadomości najwcześniej za tydzień. - Jesteś szczęśliwym ojcem dziewczynki. Matka i córka dobrze się czują.

Kiedy spotkałem twoją żonę, od razu wiedziałem, że należy do kobiet, jakie wysoko cenimy w naszym gronie.

- Lucy.

- A czy nie lepiej Ruth albo Martha?

- Możemy nadać jej wszystkie trzy imiona - rzekł Fletcher - co uszczęśliwi obie nasze matki, ale będziemy ją nazywać Lucy. - Uśmiechnął się i delikatnie położył córkę z powrotem do łóżeczka.

- A pomyślałeś o tym, gdzie będziemy mieszkać? - spytała Annie. - Nie chcę, żeby Lucy spędziła dzieciństwo w Nowym Jorku.

- Też tak uważam - powiedział Fletcher i połaskotał córeczkę pod brodą. - Matt Cunliffe opowiadał, że miał taki sam problem, kiedy zaczynał pracę w firmie...

- i co radzi?

- Proponuje trzy albo cztery miasteczka w New Jersey, z których dojeżdża się pociągiem na Grand Central Station w ciągu niecałej godziny. Moglibyśmy pojechać w tamte okolice w najbliższy piątek i podczas weekendu znaleźć coś, co by nam odpowiadało.

- Chyba będziemy musieli na początek wynajmować - zauważyła Annie - dopóki nie zaoszczędzimy tyle, żeby coś kupić.

- Jednak firma wolałaby, żebyśmy nabyli dom.

- Pięknie, ale co zrobić, skoro nas na to nie stać?

- To chyba nie będzie przeszkodą - rzekł Fletcher - bo Alexander, Dupont i Bell udzielił nam nieoprocentowanej pożyczki.

- To niezwykła hojność - powiedziała Annie - ale jak znam Billa Alexandra, to musi mieć jakiś ukryty motyw.

- Na pewno - zgodził się Fletcher. - W ten sposób wiążą człowieka z firmą, a Alexander, Dupont i Bell chlubią się tym, że mają najmniejszą fluktuację kadr ze wszystkich kancelarii prawniczych w Nowym Jorku. Oczywiście, że skoro zadają sobie tyle trudu, żeby wybrać pracownika i wyszkolić go na swój sposób, to potem starają się zrobić wszystko, aby nie poszedł do konkurencji.

- To mi wygląda na małżeństwo pod przymusem - zauważyła Annie. Milczała chwilę. - Czy mówiłeś kiedy Alexandrowi o swoich ambicjach politycznych?

- Nie, wtedy nawet nie przeszedłbym przez pierwszy etap, a zresztą kto wie, czy za dwa, trzy lata będzie mi zależało na polityce.

- Dobrze wiem - powiedziała Annie - że tak samo będzie ci na niej zależało za dwa lata, za dziesięć czy dwadzieścia. Najszczęśliwszy jesteś, kiedy się o coś ubiegasz, i nigdy nie zapomnę, że kiedy ojca wybrano ponownie do Senatu, ty byłeś bardziej podekscytowany jego zwycięstwem niż on.

- Pamiętaj, żeby nigdy tego nie usłyszał Matt Cunliffe - upomniał ją Fletcher z uśmiechem - bo Alexander dowie się o tym za dziesięć minut, a firma nie chce mieć kogoś, kto nie jest jej do końca oddany. W końcu ich dewiza brzmi: „Zarabiamy przez dwadzieścia pięć godzin na dobę”.

Kiedy Su Ling się obudziła, usłyszała, że Nat rozmawia przez telefon w sąsiednim pokoju. Zdziwiła się, z kim może mówić tak wcześnie rano. Usłyszała stuk odkładanej słuchawki i chwilę później mąż wrócił do sypialni.

- Kwiatuszku, wstawaj i pakuj się, bo musimy stąd wyjść za niecałą godzinę.

- Co...

- Za niecałą godzinę.

Su Ling wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki.

- Kapitanie Cartwright, czy wolno mi zapytać, dokąd mnie zabierasz? - zawołała, przekrzykując szum wody.

- Pani Cartwright, wszystko zostanie wyjaśnione, jak znajdziemy się w samolocie.

- Gdzie będzie leciał? - zapytała, jak tylko zakreśliła krany.

- Powiem ci, gdy znajdziemy się w powietrzu, nie wcześniej.

- Wracamy do kraju?

- Nie - odparł Nat, nie kwapiąc się do wyjaśnień.

Kiedy Su Ling się wytarła, zaczęła się zastanawiać, co ma na sobie włożyć, natomiast Nat znów podniósł słuchawkę.

- Godzina to dla kobiety nie za dużo czasu - mruknęła Su Ling.

- O to chodziło - rzucił Nat, który rozmawiał z recepcją i prosił o zamówienie taksówki.

- Cholera! - zakląła Su Ling, spoglądając na stertę prezentów. -

Gdzie ja to wszystko upchnę?

Nat odłożył słuchawkę, podszedł do szafy i wyjął walizkę, której nigdy dotąd nie widziała.

- Gucci? - spytała, zaskoczona niezwykłą rozrzutnością Nata.

- Wątpię - odparł Nat. - Nie za dziesięć dolarów.

Su Ling wybuchnęła śmiechem, tymczasem Nat znowu podniósł słuchawkę telefonu.

- Proszę przysłać portiera - zażądał - i przygotować rachunek, bo wyjeżdżamy. - Zamilkł, posłuchał chwilę i powiedział: - Za dziesięć minut.

Odwrócił się i zobaczył, że Su Ling zapina bluzkę. Pomyślał o tym, jak w końcu zasnęła wczoraj w nocy i jak podjął decyzję, żeby natychmiast wyjechać z Korei. Każda chwila w tym mieście przypomina jej...

Na lotnisku Nat ustawił się w kolejce po odbiór biletów i podziękował kobiecie za kontuarzem za szybkie załatwienie jego porannej prośby. Su Ling poszła zamówić śniadanie, on zaś oddał bagaże. Potem pojechał windą do restauracji na pierwsze piętro. Jego żona siedziała w rogu i rozmawiała z kelnerką.

- Nie zamawiałam nic dla ciebie - wyjaśniła Natowi - bo powiedziałam kelnerce, że tydzień po ślubie nie jestem pewna, czy się zjawisz.

Nat popatrzył na kelnerkę.

- Tak, proszę pana? - potwierdziła kobieta.

- Proszę dwa jajka sadzone, bekon, smażone ziemniaki z cebulą i czarną kawę.

Kelnerka spojrzała na bloczek.

- Pańska żona już to dla pana zamówiła.

Nat odwrócił się i popatrzył na Su Ling.

- Dokąd lecimy? - spytała.

- Dowiesz się, gdy się znajdziemy przed wyjściem na lotnisko, a jeśli będziesz nudzić, to dopiero po wylądowaniu.

- Ale... - zaczęła.

- Jak będzie trzeba, zasłonę ci oczy - powiedział Nat. W tym momencie kelnerka wróciła z dzbankiem dymiącej kawy. - Teraz chcę ci zadać poważne pytanie - rzekł i zauważył, że Su Ling zeszywniała. Udał, że nie widzi. Musi pamiętać, żeby się z nią zbytnio nie droczyć w następnych dniach, bo ona wciąż myśli tylko o jednym. - Pamiętam, że mówiłaś mojej matce, że jak Japonia włączy się pełną parą w rewolucję komputerową, cały proces technologiczny ulegnie przyspieszeniu.

- Wybieramy się do Japonii?

- Nie - odparł Nat. Kelnerka postawiła przed nim zamówione

śniadanie. - Skup się, proszę, bo chciałbym odwołać się do twojej znajomości przedmiotu.

- Ta dziedzina błyskawicznie się rozwija - odparła Su Ling. - Canon, Sony, Fujitsu już wyprzedziły Amerykanów. Dlaczego pytasz?

Czy chciałbyś się zainteresować nowymi firmami specjalizującymi się w technice informacyjnej? W takim razie powinieneś wziąć pod uwagę...

- Tak i nie - rzekł Nat. Odwrócił głowę i uważnie wysłuchał komunikatu nadawanego przez głośniki. Spojrzał na rachunek, położył na nim kilka ostatnich banknotów koreańskich i wstał...

- Kapitanie Cartwright, czy gdzieś się wybieramy? - spytała Su Ling.

- Ja tak - odparł Nat - bo to było ostatnie wezwanie, a gdybyś ty przypadkiem miała inne plany, to pamiętaj, że ja mam bilety i czeki podróżne.

- Zatem muszę się ciebie trzymać, prawda? - powiedziała Su Ling, szybko dopiła kawę i spojrzała na tablicę odlotów, żeby sprawdzić, gdzie wzywają po raz ostatni. - Honolulu? - spytała, dogoniwszy Nata.

- Po co miałbym cię zabierać do Honolulu?

- Żeby wylegiwać się na plaży i kochać cały dzień.

- Nie, lecimy tam, gdzie za dnia możemy spotkać moje dawne kochanki, a nocami się kochać.

- Sajgon? - rzuciła pytanie Su Ling, kiedy nazwa kolejnego miasta rozbłysła na tablicy odlotów. - Czy odwiedzimy scenę dawnych triumfów kapitana Cartwrighta?

- Nie ten kierunek - rzekł Nat, zмирzając ku strefie międzynarodowych odlotów. Sprawdzone im paszporty i bilety. Nat nie zatrzymał się w strefie wolnocłowej, tylko szedł dalej.

- Bombaj? - próbowała zgadnąć Su Ling, gdy mijali wyjście numer jeden.

- Nie sądzę, żeby moje dawne miłości przebywały w Indiach - poinformował ją Nat, kiedy przechodzili obok wyjścia jedenastego, dwunastego i trzynastego.

Sii Ling nie odzywała się, gdy wędrowali dalej - pomijając Bangkok, Zurych, Paryż, Londyn. Wreszcie zatrzymali się przed wyjściem dwudziestym pierwszym.

- Czy leca państwo z nami do Rzymu i Wenecji? - zapytała kobieta siedząca przy stoliku Pan Am.

- Tak - potwierdził Nat. - Bilety są zarezerwowane na nazwisko Cartwright - dodał, odwracając się i spoglądając na żonę.

- Wie pan co, kapitanie Cartwright - powiedziała Su Ling - jest pan bardzo szczególnym człowiekiem.

Annie nie pamiętała, ile domów obejrzeni podczas kolejnych czterech weekendów. Niektóre były za duże, inne za małe, a jeszcze inne znajdowały się w okolicy, gdzie nie chcieli zamieszkać, kiedy zaś znaleźli miejsce, które im odpowiadało, to po prostu cena przekraczała ich możliwości, nawet biorąc pod uwagę pomoc firmy Alexander, Dupont i Bell. Nagle pewnego niedzielnego popołudnia w Ridgewood znaleźli dokładnie to, czego szukali, i już po dziesięciu minutach oglądania dali sobie znak za plecami agenta. Annie natychmiast zatelefonowała do matki.

- Dom jest idealny - powiedziała z entuzjazmem. - Znajduje się w spokojnej okolicy, gdzie jest więcej kościołów niż barów, więcej szkół niż kin, a w dodatku przez środek miasteczka przepływa rzeka.

- A cena? - spytała Martha.

- Niewiele więcej, niż chcieliśmy zapłacić, ale pośrednik czeka na telefon od mojej agentki Marthy Gates; jak ty, mamó, nie zbijesz ceny, to nikt inny tego nie dokona.

- Czy zastosowałaś się do moich rad?

- Co do litery. Powiedziałam agentowi, że oboje jesteśmy nauczycielami, bo mówiłaś, że oni zawsze śrubują ceny, gdy mają do czynienia z prawnikami, bankierami i lekarzami. Facet miał rozczarowaną minę.

Fletcher i Annie spędzili popołudnie na spacerach po mieście. Modlili się, żeby Martha wytargowała rozsądną cenę, ponieważ okazało się, że nawet dworzec kolejowy jest niedaleko od domu.

Po czterech długich tygodniach, kiedy finalizowano transakcję, Fletcher, Annie i Lucy Davenportowie sprowadzili się w końcu pierwszego października 1974 roku do swojego nowego domu w Ridgewood w stanie New Jersey.

- Czy myślisz - spytał Fletcher, ledwo zamknęli drzwi - że mogłabyś zostawić Lucy u matki na dwa tygodnie?

- Ona mi nie będzie przeszkadzać, jak się tu będziemy urządzać - odparła Annie.

- Nie o to mi chodziło - rzekł Fletcher. - Pomyślałem, że czas na wakacje, taki drugi miesiąc miodowy.

- Ale...

- Żadnych ale... zrobimy to, o czym zawsze mówiłaś - pojedziemy do Szkocji i odszukamy naszych przodków, Davenportów i Gatesów.

- Kiedy chciałbyś wyruszyć? - spytała Annie.

- Nasz samolot odlatuje jutro o jedenastej rano.

- Panie Davenport, lubi pan sprawiać kobiecie niespodzianki, prawda?

- Co ty robisz? - zapytała Su Ling, patrząc, jak mąż sprawdza kolumny liczb na finansowych stronach „Asian Business News”.

- Śledzę wahania kursów walutowych w ostatnim roku - odparł Nat.

- Czy to dlatego interesujesz się Japonią? - zagadnęła Su Ling.

- Owszem - odparł Nat. - Jen to jedyna z głównych walut, której wartość w stosunku do dolara stale rosła w ciągu ostatnich dziesięciu lat i kilku ekonomistów przewiduje, że ta tendencja utrzyma się jeszcze przez dłuższy czas. Twierdzą, że wartość jena jest w znacznym stopniu zaniżona. Jeżeli eksperci się nie mylą, a ty masz rację, gdy chodzi o rosnącą rolę Japonii w nowej technologii, to sądzę, że wpadłem na pomysł dobrej inwestycji w tym niepewnym świecie.

- Czy to będzie tematem twojej pracy dyplomowej na wydziale biznesu?

- Nie, chociaż to niezły pomysł - odparł Nat. - Myślę o skromnej inwestycji walutowej i jeżeli się okaże, że mam rację, to co miesiąc zarobię parę dolarów.

- Trochę ryzykowne, no nie?

- Jak chcesz osiągnąć zysk, musisz brać pod uwagę ryzyko.

Tajemnica tkwi w tym, żeby wyeliminować czynniki, które je powiększają. - Su Ling nie wyglądała na przekonaną. - Powiem ci, co zamierzam - rzekł Nat. - Teraz zarabiam czterysta dolarów jako kapitan. Jeżeli sprzedam te dolary za jeny w transakcji terminowej z rocznym wyprzedzeniem po cenie aktualnej, a potem znowu przejdę na dolary za dwanaście miesięcy i jeżeli kurs dolara do jena będzie się nadal utrzymywał na takim poziomie jak w

ciągu ostatnich siedmiu lat, to powinienem mieć od czterystu do pięciuset dolarów rocznego zysku.

- A jeżeli tendencja się odwróci? - powiedziała Su Ling.

- Ale się nie odwróciła przez ostatnich siedem lat.

- A gdyby?

- Straciłbym czterysta dolarów, czyli miesięczną pensję.

- Ja bym wolała mieć gwarantowaną comiesięczną wypłatę.

- Nigdy nie dorobisz się kapitału z pracy zarobkowej - powiedział

Nat. - Większość ludzi żyje ponad stan i ich jedyną formą oszczędzania jest polisa na życie albo obligacje, a jedno i drugie może zdziesiątkować inflacja. Zapytaj mojego ojca.

- Ale na co nam potrzebne te pieniądze? - spytała Su Ling.

- Na moje kochanki - rzekł Nat.

- A gdzie one są?

- Większość we Włoszech, ale są i inne, rozproszone w głównych stolicach świata.

- To dlatego zmierzamy do Wenecji?

- I do Florencji, Mediolanu i Rzymu. Kiedy się z nimi żegnałem, wiele było nagich i - co bardzo mi się u nich podoba - wcale się nie starzeją, co najwyżej od nadmiaru słońca robią się na nich rysy.

- Szczęśliwe kobiety - zauważyła Su Ling. - A masz jakąś ulubienicę?

- Nie, jestem raczej rozwiązły, chociaż gdybym musiał wybierać, to jest pewna dama we Florencji, mieszkająca w niewielkim pałacu którą wielbię, i marzę, żeby ją spotkać.

- Czy przypadkiem nie jest dziewczyną? - spytała Su Ling.

- Jesteś bystra - przyznał Nat.

- Mówią na nią Maria?

- Przejrzałaś mnie, chociaż jest wiele Marii we Włoszech.

- „Pokłon Trzech Króli” Tintoretta.

- Nie...

- Belhniego „Madonna z dzieciątkiem”.

- Nie, ta znajduje się w Watykanie... - Su Ling zamilkła na chwilę, kiedy stewardesa poprosiła żeby zapięto pasy.

- Caravaggio? - spytała w końcu.

- Bardzo dobrze. Zostawiłem ją w Palazzo Pitti, na ścianie po prawej stronie galerii na trzecim piętrze. Obiecała, że dochowa mi wierności, aż wrócę.

- I tam pozostanie, bo taka kochanka kosztowałaby cię więcej niż czterysta dolarów miesięcznie, a jeżeli nadal zamierzasz zająć się polityką, nie będzie cię stać nawet na ramę.

- Nie zajmę się polityką, póki nie będzie mnie stać na całą galerię - zapewnił Nat żonę.

Do Annie zaczęło docierać, dlaczego Brytyjczycy mają lekceważący stosunek do amerykańskich turystów, skoro jakimś cudem potrafią oni w trzy dni obejrzeć Londyn, Oksford, Blenheim oraz Stratford. Zdumiała się, kiedy zobaczyła, jak turyści wysypują się z autokarów przed Królewskim Teatrem Szekspirowskim w Stratfordzie, siadają na widowni, a potem wychodzą podczas przerwy, a na ich miejsce przychodzą następne gromady ich rodaków. Annie nigdy by w to nie uwierzyła, ale kiedy wróciła po przerwie, dwa rzędy przed nią były pełne ludzi o znajomym akcencie, których przedtem nie widziała na oczy. Zastanowiła się, czy ci, którzy

obejrżeli drugi akt, opowiedzieli widzom pierwszego aktu, co się przydarzyło Rosencrantzowi i Guildensternowi, czy też tamten autokar wracał już do Londynu.

Po tym jak spędzili dziesięć spokojnych dni w Szkocji, Annie przestało gnębić poczucie winy. Cieszyli się, że są w Edynburgu podczas festiwalu i mogą wybierać pomiędzy sztukami Marlowe'a i muzyką Mozarta, dramataми Pintera i farsami Ortona. Jednak dla obojga najważniejszym wydarzeniem tej podróży był długi objazd obu wybrzeży. Widoki były tak fascynujące, że uznali, iż nie ma piękniejszych krajobrazów na świecie.

W Edynburgu próbowali wytropić rodowód Gatesów i Davenportów, ale zdobyli tylko wielką kolorową tablicę obrazującą klany i spódniczkę z jaskrawego tartanu Davenportów; Annie wątpiła, czyją kiedykolwiek włoży po powrocie do Stanów.

Fletcher zasnął, ledwo samolot wystartował z Edynburga do Nowego Jorku. Gdy się obudził, słońce, które zniżało się z jednej strony, jeszcze nie weszło z drugiej. Kiedy podchodzili - do lądowania na lotnisku Kennedy'ego - Annie nie mogła się przyzwyczaić, że nie nazywa się Idlewild - Annie myślała tylko o spotkaniu z córeczką, a Fletcher z niepokojem czekał na swój pierwszy dzień w firmie Alexander, Dupont i Bell.

Nat i Su Ling wrócili z Rzymu przemęczeni, ale zmiana planów wyszła im na dobre. Su Ling z każdym dniem czuła się lepiej; w drugim tygodniu żadne z nich nawet nie wspomniało Korei. W samolocie lecącym do kraju postanowili powiedzieć matce Su Ling, że miesiąc miodowy spędzili we Włoszech. Tylko Tom się zdziwił.

Gdy Su Ling spała, Nat znowu wczytywał się w informacje o rynku walut w „International Herald Tribune” i w londyńskim „Financial Times”. Tendencja była niezmienna: spadek, lekka poprawa, a potem znowu spadek, ale długoterminowa krzywa wskazywała na stały wzrost wartości jena wobec dolara. Tak samo wyglądał stosunek jena do marki, do funta szterlinga oraz do lirów i Nat postanowił zbadać, które kursy cechuje największa rozbieżność. Gdy tylko dotrą do Bostonu, porozmawia z ojcem Toma i skorzysta z usług działu walut Banku Russella, a nie będzie dzielił się swoimi pomysłami z kimś, kogo nie zna.

Nat spojrział na śpiącą żonę; był jej wdzięczny za radę, żeby kursy walutowe uczynić tematem pracy dyplomowej w Harvardzkiej Szkole Biznesu. Ostatni rok studiów przeminie jak z bicia strzelił i nie można dłużej odkładać decyzji, która wpłynie na przyszłość ich obojga. Omawiali już trzy warianty: Nat może szukać pracy w Bostonie, tak żeby Su Ling mogła zostać na Uniwersytecie Harvarda, ale - jak wykazała - zawęzi to jego możliwości. Mógłby przyjąć ofertę pana Russella i razem z Tomem podjąć pracę w dużym banku w małym mieście, ale to by poważnie ograniczyło jego perspektywy w przyszłości. Albo mógłby starać się o pracę na Wall Street i zobaczyć, czy się utrzyma w czołówce.

Su Ling nie miała cienia wątpliwości co do tego, którą z tych trzech dróg powinien wybrać, i choć mieli jeszcze trochę czasu, żeby zastanowić się nad przyszłością, zaczynała już rozmowy na Uniwersytecie Columbia.

Kiedy Nat sięgał pamięcią wstecz do swojego ostatniego roku studiów, niewiele żałował.

Już kilka godzin po wylądowaniu na lotnisku międzynarodowym Logana zadzwonił do ojca Toma i powiedział mu o swoich pomysłach. Pan

Russell uznał, że sumy, jakie Nat chce zaangażować, są zbyt małe, by jakiś dział walutowy chciał się tym zająć. Nat poczuł się rozczarowany, ale Russell podsunął, że bank udzieli mu tysiąca dolarów pożyczki, i spytał, czy on i Tom też mogliby zainwestować po tysiącu dolarów. Tak powstał pierwszy walutowy fundusz Nata.

Kiedy Joe Stein usłyszał o przedsięwzięciu, tego samego dnia wpłynęło następne tysiąc dolarów. W ciągu miesiąca fundusz powiększył się do dziesięciu tysięcy. Nat zwierzył się Su Ling, że bardziej się boi straty pieniędzy inwestorów niż własnych. Pod koniec semestru Fundusz Cartwrighta wzrósł do czternastu tysięcy dolarów, a Nat osiągnął siedemset dwadzieścia sześć dolarów czystego zysku.

- Ale wciąż możesz je stracić - przypomniała mu Su Ling.

- To prawda, jednak teraz kiedy fundusz jest większy, prawdopodobieństwo poważnej straty jest mniejsze. Nawet gdyby tendencja nagle się odwróciła, mogę się zabezpieczyć, sprzedając w transakcji terminowej, żeby straty były minimalne.

- Ale czy to nie zabiera ci za dużo czasu, przecież teraz powinienes pisać pracę dyplomową? - spytała Su Ling.

- To mi zajmuje tylko piętnaście minut dziennie - odparł Nat. - Co rano o szóstej sprawdzam rynek japoński, a o szóstej wieczorem kurs zamknięcia w Nowym Jorku i jeśli tendencja nie załamuje się przez kilka dni z rzędu, nie mam nic do roboty prócz ponownego ulokowania kapitału w następnym miesiącu.

- To nieprzyzwoite - rzekła Su Ling.

- Ale co w tym złego, że wykorzystuję swoje umiejętności i wiedzę i wykazuję trochę inicjatywy? - zapytał Nat.

- Bo zarabiasz więcej, pracując piętnaście minut dziennie, niż ja w ciągu całego roku jako pracownik naukowy Uniwersytetu Columbia - a może nawet więcej od mojego promotora.

- Ale on za rok dalej będzie na swoim stanowisku, niezależnie od tendencji na rynku. A to jest wolna przedsiębiorczość. Zawsze można stracić wszystko.

Nat nie powtórzył żonie zdania, wypowiedzianego kiedyś przez brytyjskiego ekonomistę Maynarda Keynesa: „Bystry człowiek powinien zrobić majątek przed śniadaniem, tak żeby przez resztę dnia zajmować się właściwą pracą”. Nat wiedział, co jego żona myśli o łatwych pieniądzach, jak je nazywała, toteż mówił o swoich inwestycjach tylko wtedy, kiedy ona poruszała ten temat. Oczywiście nie poinformował jej, że zdaniem pana Russella czas włączyć wspomaganie.

Nat nie miał poczucia winy, że poświęca piętnaście minut dziennie na zarządzanie swoim minifunduszem, wątpił bowiem, czy jest jakiś inny student na jego roku, który bardziej niż on przykłada się do nauki. Odrywał się od pracy tylko na godzinę każdego popołudnia, żeby pobiegać, i najważniejszym wydarzeniem roku był moment, kiedy w barwach Harvardu przybiegł pierwszy na metę w zawodach przeciwko Uniwersytetowi Connecticut.

Odbył kilka rozmów kwalifikacyjnych w Nowym Jorku i otrzymał mnóstwo propozycji od instytucji finansowych, ale tylko dwie potraktował poważnie. Obydwie instytucje nie różniły się reputacją ani wielkością, ale kiedy Nat zetknął się z Arniem Freemanem, szefem działu walut w Banku Morgana, był gotów od razu się zaangażować. Arnie umiał przedstawić czternastogodziną pracę na Wall Street jako świetną zabawę.

Nat zastanawiał się, co takiego może jeszcze się zdarzyć w tym roku, kiedy Su Ling spytała go, jakie zyski przyniósł Fundusz Cartwrighta.

- Około czterdziestu tysięcy dolarów.

- A ile wynosi twój udział?

- Dwadzieścia procent. Na co chciałabyś wydać te pieniądze?

- Na nasze pierwsze dziecko - odparła.

Fletcher również nie miał powodów do żalu, kiedy wspominał swój pierwszy rok w kancelarii Alexandra, Duponta i Bella. Nie wiedział, jakie będą jego obowiązki, ale wiadomo było, że nowicjuszy w firmie nie bez powodu nazywa się koźmi roboczymi. Prędko pojął, że jego głównym zadaniem jest dopilnować, żeby Matt Cunliffe - niezależnie od tego, nad jaką sprawą pracuje - zawsze miał pod ręką właściwe dokumenty lub zapis przebiegu wydarzeń. Fletcher już po kilku dniach się połapał, że wszelkie pomysły z występowaniem w efektownych sprawach sądowych w obronie niewinnych kobiet oskarżonych o morderstwo to tematy dramatów telewizyjnych. Na ogół jego praca sprowadzała się do żmudnego, drobiazgowego ślęczenia, którego najczęstszym rezultatem było zawarcie ugody pozaprocessowej jeszcze przed ustaleniem daty procesu.

Fletcher odkrył również, że dopiero kiedy się jest współnikiem firmy, zaczyna się zarabiać grubą forszę i wraca się do domu za dnia.

Mimo to Matt poszedł mu na rękę, nie upierając się przy półgodzinnej przerwie na lunch, dzięki czemu Fletcher mógł dwa razy w tygodniu pograć z Jimmym w squasha.

Chociaż Fletcher zabierał pracę do domu, starał się, jeśli tylko było to możliwe, spędzić wieczorem godzinę z córeczką. Ojciec często mu przypominał, że gdy już przeminą jej wczesne lata, nie sposób będzie odwinąć rolki filmu: „Ważne chwile dzieciństwa Lucy”.

Pierwsze urodziny Lucy były najbardziej hałaśliwym wydarzeniem, w jakim uczestniczył Fletcher, nie licząc meczu futbolowego.

Annie nawiązała tyle przyjaźni w sąsiedztwie, że dom pełen był małych dzieci, które, zdawało się, w tym samym momencie chciały się śmiać i płakać. Fletcher nie mógł się nadziwić, że Annie z takim spokojem, ani na chwilę nie przestając się uśmiechać, reaguje na rozchlapane lody, czekoladowe ciastko wdeptane w dywan, sukienkę oblaną mlekiem. Kiedy w końcu ostatni bachor wyszedł, Fletcher był wykończony, ale Annie powiedziała tylko, że przyjęcie się udało.

Fletcher nadal często widywał Jimmy'ego, który dzięki ojcu - jak to sam podkreślał - dostał pracę w małej, ale cieszącej się dobrą opinią kancelarii prawniczej na Lexington Avenue. Codziennie tkwił tam niemal tyle godzin co Fletcher, ale ojcostwo dodało mu motywacji, która jeszcze wzrosła po urodzeniu przez Joannę drugiego dziecka. Fletchera dziwiło, że małżeństwo Jimmy'ego i Joanny jest tak udane mimo różnicy wieku i dysproporcji w statusie naukowym. Ale widać nie miało to żadnego znaczenia, gdyż oboje przepadali za sobą, a ich związek był przedmiotem zazdrości wielu rówieśników, którzy już zdążyli wystąpić o rozwód. Kiedy Fletcher usłyszał nowinę o drugim dziecku Joanny, pomyślał z nadzieją, że Annie wkrótce pójdzie w jej ślady; bardzo zazdrościł Jimmy'emu syna. Często wspominał Harry'ego Roberta.

Wciąż zapracowany Fletcher nie miał okazji do nawiązywania nowych przyjaźni; zbliżył się tylko z Loganem Fitzgeraldem, który przyszedł do firmy w tym samym dniu co on. Często obaj porównywali notatki podczas lunchu i wpadali na drinka wieczorem, zanim Fletcher

wyruszał do domu. Wkrótce wysokiego, jasnowłosego Irlandczyka zaczęto zapraszać do Ridgewood, z myślą, żeby poznał niezamężne przyjaciółki Annie. Co prawda Fletcher zdawał sobie sprawę, że są rywalami, ale to nie szkodziło ich przyjaźni; a nawet jeszcze bardziej ją umacniało. W pierwszym roku obaj odnosili swoje małe triumfy i porażki i nikt w firmie nie kwapił się z wyrażeniem opinii o tym, który z nich wcześniej zostanie współnikiem.

Pewnego wieczoru przy piwie Fletcher i Logan zgodnie doszli do wniosku, że są teraz pełnoprawnymi członkami firmy. Za kilka tygodni pojawi się nowa partia stażystów, a oni awansują z koni roboczych na rumaki pełnej krwi. Obydwaj z ciekawością przejrzyli życiorysy wszystkich kandydatów-finalistów.

- Co o nich myślisz? - zagadnął Fletcher, uważając, żeby nie mówić tonem wyższości.

- Nie najgorsi - odrzekł Logan, który zamówił Fletcherowi jak zwykle lekkie piwo. - Z jednym wyjątkiem; tego faceta ze Stanfordu.

Nie wiem, jak on w ogóle trafił na listę finalistów.

- Podobno jest siostrzeńcem Billa Alexandra.

- Cóż, to dobry powód, żeby wciągnąć go na listę kandydatów, ale niewystarczający, żeby proponować mu pracę, dlatego nie spodziewam się, abyśmy mieli go kiedyś zobaczyć. Na dobrą sprawę - dodał Logan - nawet nie pamiętam jego nazwiska.

Nat był najmłodszy w trzyosobowym zespole w Banku Morgana. Jego bezpośredni szef nazywał się Steven Ginsberg i miał dwadzieścia osiem lat, a jego zastępca; Adrian Kenwright dopiero co obchodził dwudzieste szóste urodziny. W trójkę zarządzali ponadmilionowym funduszem.

Ponieważ rynki walutowe ruszają w Tokio wtedy, gdy większość Amerykanów kładzie się spać, a kończą operację w Los Angeles, kiedy słońce już nie świeci nad kontynentem amerykańskim, ktoś z zespołu musi być pod telefonem, żeby czuwać o każdej porze dnia i nocy. Steven zwolnił Nata tylko raz po południu na uroczystość nadania tytułu doktora Su Ling na Uniwersytecie Harvarda, lecz nawet wtedy musiał wyjść z przyjęcia, żeby przyjąć pilny telefon i wyjaśnić, dlaczego lir włoski spada.

- Za tydzień mogą tam mieć rząd komunistyczny - rzekł Nat - więc przerzuc się na franki szwajcarskie - dodał. - I pozbądź się wszystkich peset i funtów szterlingów, bo oba kraje mają rządy lewicowe i w następnej kolejności odczują napięcie- A co z marką niemiecką?

- Trzymaj się marki, bo ta waluta będzie niedoszacowana, dopóki stoi mur berliński.

Chociaż dwaj zwierzchnicy Nata mieli od niego o wiele więcej doświadczenia i pracowali równie intensywnie jak on, to jednak przyznawali, że dzięki wyczuciu politycznemu Nat mógł się orientować w zmianach na rynku szybciej niż ktokolwiek, z kim - lub przeciwko komu - dotychczas pracowali.

Tego dnia, kiedy wszyscy sprzedawali dolary i przerzucali się na funty, Nat natychmiast sprzedał funty na rynku transakcji terminowych. Przez osiem dni wyglądało, że naraził bank na wielką stratę, i koledzy mijali go szybko na korytarzu, unikając jego wzroku.

Miesiąc później siedem innych banków proponowało mu posadę i o wiele większą pensję. Pod koniec roku Nat dostał premię w wysokości ośmiu tysięcy dolarów i postanowił, że czas znaleźć kochankę.

Nic nie powiedział Su Ling o premii ani o kochance, gdyż ostatnio podwyższono jej miesięczną pensję o dziewięćdziesiąt dolarów.

Jeżeli zaś chodzi o kochankę, to miał na oku pewną damę, którą idąc do pracy, co rano widywał na rogu ulicy. I która nadal odpoczywała na wystawie, kiedy wieczorem wracał do mieszkania w SoHo. Z każdym dniem z coraz większą uwagą przyglądał się owej damie w kąpielni i w końcu zdecydował się zapytać o cenę.

- Sześć tysięcy pięćset dolarów - poinformował go właściciel galerii. - I, za pozwoleniem, ma pan nosa, bo to jest nie tylko świetny obraz, ale i dobra lokata. - Nat prędko się przekonywał, że handlarze sztuki niewiele się różnią od sprzedawców używanych samochodów, tyle że noszą ubrania od Braci Brooks.

- Bonnard jest zdecydowanie niedoceniany w porównaniu ze współczesnymi mu Renoirem, Monetem i Matisse'em - mówił dalej marszand - i przewiduję, że ceny jego obrazów lada chwila pójną w górę.

Nat nie dbał o ceny, ponieważ był kochankiem, nie alfonsem.

Inna jego kochanka zatelefonowała tego popołudnia, żeby mu powiedzieć, iż jest w drodze do szpitala. Przerwał rozmowę z Hongkongiem.

- Dlaczego? - zapytał z niepokojem.

- Bo noszę twoje dziecko - odparła Su Ling.

- Ale ono ma się urodzić dopiero w przyszłym miesiącu.

- Nikt mu o tym nie powiedział - odrzekła żona.

- Już jadę, kwiatuszk - zapewnił ją, upuszczając drugą słuchawkę.

Kiedy Nat wrócił wieczorem ze szpitala do domu, zadzwonił do matki i powiedział jej, że ma wnuka.

- To wspaniała wiadomość. A jak mu dasz na imię?

- Luke - odparł.

- A co zamierzasz ofiarować Su Ling na pamiątkę z tej okazji?

Zastanawiał się moment, a potem powiedział:

- Damę w kąpielni...

Upłynęły jeszcze dwa dni, nim ostatecznie ugodzili się z właścicielem galerii na pięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt dolarów i niewielkie płótno Bonnarda z galerii w Soho zostało przeniesione na ścianę sypialni w mieszkaniu Nata.

- Czy ona jest w twoim guście? - spytała Su Ling, kiedy wróciła z synkiem ze szpitala.

- Nie, chociaż byłoby się do czego przytulić. Ale ja wolę szczupłe kobiety.

Su Ling przez dłuższy czas stała i przyglądała się prezentowi, zanim w końcu przemówiła.

- Jest wspaniały. Dziękuję ci.

Nat cieszył się, że żonie obraz spodobał się tak jak jemu. Poczul ulgę, że nie spytała o cenę.

To, co się zaczęło od kaprysu podczas podróży z Tomem z Rzymu do Wenecji i Florencji, szybko przeobraziło się w namiętność, która zawładnęła Natem. Ilekroć dostawał premię, wybierał się na poszukiwanie następnego obrazu. Nat mógł lekceważyć właściciela galerii, który mu się kojarzył ze sprzedawcą używanych samochodów, ale jego przepowiednia okazała się trafna; Nat nadal skupował obrazy impresjonistów, które były na jego kieszeni - jak Vuillard, Luce, Pissarro, Camoin i Sisley - żeby wkrótce stwierdzić, iż nabierają wartości tak szybko jak inne inwestycje finansowe,

które wybierał dla swoich klientów na Wall Street.

Su Ling z radością obserwowała, jak rośnie ich kolekcja. Nie interesowała się, ile Nat wydaje na swoje kochanki, a jeszcze mniej obchodziła ją ich wartość jako lokat. Może działa się tak dlatego, iż kiedy została najmłodszym profesorem nadzwyczajnym w historii Uniwersytetu Columbia, zarabiała mniej w ciągu roku niż Nat przez tydzień.

Nie trzeba mu już było przypominać, że to nieprzyzwoite.

Fletcher zapamiętał to zdarzenie.

Matt Cunliffe poprosił go o dostarczenie dokumentu Higgsowi i Dunlopowi do podpisu.

- Zwykle proszę o to aplikanta - wyjaśnił Matt - ale uzgadnianie warunków zajęło panu Alexandrowi kilka tygodni i zależy mu na tym, żeby jakieś drobne problemy w ostatniej chwili nie dostarczyły tamtym pretekstu, żeby nie podpisać.

Fletcher się spodziewał, że będzie z powrotem w biurze za niecałe pół godziny, bo trzeba było tylko dopilnować podpisania czterech umów i być przy tym świadkiem. Ale kiedy Fletcher powrócił dwie godziny później i oznajmił przełożonemu, że dokumenty ani nie zostały podpisane, ani nie poświadczone, Matt odłożył pióro i czekał na wyjaśnienie.

Gdy Fletcher przybył do kancelarii Higgsa i Dunlopa, kazano mu czekać w recepcji i poinformowano, że wspólnik, który miał złożyć podpis, jeszcze nie wrócił z lunchu. Zaskoczyło to Fletchera, bo tym wspólnikiem był pan Higgs, który wyznaczył spotkanie na pierwszą, a Fletcher zrezygnował z lunchu, żeby się nie spóźnić.

Czekając w recepcji, Fletcher przeczytał umowy i zapoznał się z warunkami. Kiedy uzgodniono warunki przejęcia, rekompensata dla wspólnika stała się przedmiotem targów i dopiero po dłuższym czasie obaj wspólnicy zdołali porozumieć się co do ostatecznej kwoty.

Piętnaście po pierwszej Fletcher zerknął na recepcjonistkę, która ze skruszoną miną zaproponowała mu drugą kawę. Fletcher podziękował; w końcu to nie jej wina, że kazano mu czekać. Kiedy jednak przeczytał dokument drugi raz i wypił trzy kawy, doszedł do wniosku, że pan Higgs albo jest zwykłym gburem, albo jakimś niezgułą.

Jeszcze raz spojrzął na zegarek. Było pięć po wpół do drugiej. Westchnął i spytał recepcjonistkę, czy mógłby skorzystać z toalety.

Wahała się chwilę, po czym wyjęła klucz z szuflady biurka.

- Łazienka dyrekcji - powiedziała - jest piętro wyżej. Mogą z niej korzystać tylko wspólnicy i najważniejsi klienci, więc gdyby ktoś pana pytał, proszę powiedzieć, że jest pan klientem.

Toaleta była pusta i Fletcher, żeby nie sprawić kłopotu recepcjonistce, zamknął się w ostatnim boksie. Zapinał spodnie, kiedy do środka wkroczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich mówił tak, jakby wrócił z długiego lunchu zakrapianego nie tylko wodą.

Pierwszy głos: - Cieszę się, że to załatwione. Nic mi nie może sprawić większej przyjemności niż zagranie na nosie tym od Alexandra, Duponta i Bella.

Drugi głos: - Przysłali jakiegoś gońca z umową. Kazałem Millie potrzymać go w recepcji, żeby skruszał...

Fletcher z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął długopis i delikatnie pociągnął rolkę papieru toaletowego...

Pierwszy głos, ze śmiechem: - No i na ile ostatecznie się ugodziliście?

Drugi głos: - Dobra wiadomość - na milion trzysta dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, czyli o wiele więcej, niż się spodziewaliśmy.

Pierwszy głos: - Klient musi być wniebowzięty.

Drugi głos: - Właśnie z nim jadłem lunch. Zamówił butelkę Chateau Lafitte'52 - w końcu mówiliśmy mu, żeby liczył na pół miliona, na co chętnie by przystał - z oczywistych powodów.

Pierwszy głos, ze śmiechem: - Czy jesteśmy płatni od sumy obrotu?

Drugi głos: - No pewno. Zgarniamy pięćdziesiąt procent każdej kwoty powyżej pół miliona.

Pierwszy głos: - Wobec tego firmie wpadnie okrągła sumka czterystu dwunastu tysięcy pięciuset dolarów. Ale co miałeś na myśli, mówiąc o „oczywistych powodach”?

Odkrecono kran.

- Największy problem mieliśmy z bankiem klienta - spółka przekroczyła swój rachunek o siedemset dwadzieścia tysięcy dolarów i jak nie pokryjemy pełnej kwoty przed zamknięciem banku w piątek, grożą wstrzymaniem płatności, co by znaczyło, że nie dostalibyśmy nawet... - zakrecono kran - ...pierwotnej kwoty pięciuset tysięcy dolarów, i to po wielu miesiącach targów.

Drugi głos: - Tylko jednego szkoda.

Pierwszy głos: - Czego?

Drugi głos: - Że nie możesz powiedzieć tym snobom od Alexandra, Duponta i Bella, że nie wiedzą, jak grać w pokera.

Pierwszy głos: - To prawda, ale myślę, że będę miał trochę zabawy... - otwarto drzwi - Z tym ich gościem. - Drzwi zamknięto.

Fletcher zwinął papier toaletowy i wepchnął go do kieszeni. Opuścił kabinę i prędko umył ręce, a potem wysliznął się i schodami pożarowymi zszedł na dół. W recepcji oddał klucz od toalety dyrekcji.

- Dziękuję - powiedziała recepcjonistka. Zadzwoił telefon. - Uśmiechnęła się do Fletchera. - Idealny moment. Proszę pojechać windą na jedenaste piętro. Pan Higgs czeka na pana.

- Dziękuję - odparł Fletcher. Wyszedł z recepcji, wszedł do windy i nacisnął guzik parteru.

Matt-Cunliffe odwijął papier toaletowy, kiedy zadzwonił telefon.

- Pan Higgs jest na pierwszej linii - oznajmiła sekretarka.

- Proszę mu powiedzieć, że mnie nie ma. - Matt rozparł się wygodnie i mrugnął do Fletchera.

- On pyta, kiedy pana zastanie.

- Nie przed godzinami zamknięcia w piątek.

Fletcher nie pamiętał, żeby kiedyś poczuł do kogoś tak silną antypatię przy pierwszym spotkaniu, i to mimo sprzyjających okoliczności. Starszy wspólnik poprosił Fletchera i Logana do swojego gabinetu co już było niezwykłym wydarzeniem. Kiedy tam przyszli, przedstawiono ich nowemu stażyscie.

- Chcę, żebyście poznali Ralpa Elliota - powiedział Bili Alexander.

Od razu przyszło Fletcherowi do głowy pytanie, dlaczego Alexander z dwóch kandydatów wybrał akurat Elliota. Prędko uzyskał odpowiedź.

- Postanowiłem sam przyjąć kandydata w tym roku. Interesuje mnie, co myśli młode pokolenie, a ponieważ Ralph miał wyjątkowe oceny na Uniwersytecie Stanforda, jego wybór wydawał się oczywisty.

Fletcher przypomniał sobie, z jakim niedowierzaniem Logan przyjął wiadomość, że bratanek Alexandra w ogóle przeszedł przez sito wstępnej

selekcji i jak obaj doszli do wniosku, że Alexander musiał przełamać sprzeciw pozostałych wspólników.

- Mam nadzieję, że postaracie się, aby Ralph poczuł się mile widziany.

- Oczywiście - rzekł Logan. - Może byś z nami zjadł lunch?

- Tak, jestem pewien, że znajdę wolną chwilę - odparł Elliot, jakby robił im łaskę.

Podczas lunchu Elliot przy każdej okazji przypominał im, że jest bratankiem starszego wspólnika, dając do zrozumienia, że gdyby mu się narazili, musieliby dłużej czekać, aż zostaną wspólnikami. Ta zawołowana groźba tylko umocniła więź między obu mężczyznami.

- On teraz mówi każdemu, kto chce słuchać, że będzie pierwszą osobą, która zostanie wspólnikiem firmy wcześniej niż za siedem lat - Fletcher powiedział Loganowi przy piwie kilka dni później.

- To taki cwany drań, że wcale bym się nie zdziwił, gdyby mu się to udało...

- Jak on został przewodniczącym rady uczelnianej na Uniwersytecie Connecticut, jeżeli traktował wszystkich tak jak nas?

- Może nikt nie śmiał wystąpić przeciw niemu?

- Czy tak było w twoim przypadku? - spytał Logan.

- Jak się dowiedziałeś? - zapytał Fletcher, gdy barman sprzątnął szklanki.

- Zajrzałem do twojego życiorysu w dniu, kiedy zacząłem pracować w firmie. Nie mów mi, że nie czytałeś mojego.

- Jasne, że czytałem - przyznał Fletcher. - Wiem nawet, że byłeś mistrzem szachowym w Princeton. - Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

- Muszę pędzić, bo się spóźnię na pociąg - rzekł Fletcher - i Annie zacznie się zastanawiać, czy w moim życiu nie ma innej kobiety.

- Zazdroszczę ci - powiedział cicho Logan.

- Czego?

- Siły twojego małżeństwa. Annie nawet nie przyszłoby do głowy, że mógłbyś się obejrzeć za inną kobietą.

- Mam dużo szczęścia - rzekł Fletcher. - Może tobie też się poszczęści pewnego dnia. Ta Meg z recepcji nie może oderwać od ciebie oczu.

- Która to jest Meg? - spytał Logan, kiedy Fletcher odchodził, żeby wziąć płaszcz.

Fletcher przeszedł zaledwie kilka jardów Piątą Aleją, kiedy zauważył nadchodzącego z przeciwka Ralphi Elliota. Ukrył się w bramie i odczekał, aż tamten przejdzie. Wyszedł z powrotem na zimny wiatr, który momentalnie przenika człowieka na wskroś, sięgnął do - kieszeni po szalik, ale go nie znalazł. Zaklął. Pewnie go zostawił w barze. Musi go odebrać jutro. Znowu zaklął, bo sobie przypomniał, że Annie dała mu go na Gwiazdkę. Odwrócił się i powędrował z powrotem.

W barze spytał dziewczynę w szatni, czy widziała czerwony wełniany szalik.

- Tak - odparła. - Musiał wypaść panu z rękawa, kiedy wkładał pan płaszcz. Znalazłam go na podłodze.

- Dziękuję - rzekł Fletcher i odwrócił się, żeby odejść. Nie spodziewał się, że zobaczy Logana nadal stojącego przy barze. Zamarł na widok mężczyzny, z którym rozmawiał.

Nat mocno spał.

La Devaluation Francaise - te trzy słowa wprawiły taśmy dalekopisów, wydające do tej pory cichy poszum, w paniczny trajkot. Telefon przy łóżku Nata zadzwonił trzydzieści sekund później.

- Jak najszybciej pozbądź się franków - wydał natychmiast polecenie Adrianowi. Posłuchał chwilę, po czym odparł: - Oczywiście, dolary.

Nat nie pamiętał, żeby podczas ostatnich dziesięciu lat kiedyś się nie ogolił. Dziś się nie ogolił.

Su Ling się zbudziła, kiedy kilka minut później wyszedł z łazienki. - Jakiś problem? - spytają, przecierając oczy.

- Francuzi zdewaluowali franką o siedem procent.

- To dobrze czy źle? - spytała.

- To zależy od tego, ile mamy franków. Będę mógł ocenić sytuację, gdy tylko siądę przed monitorem.

- Już za parę lat będziesz miał go przy łóżku i nawet nie będziesz musiał iść do biura - rzekła Su Ling. Zobaczyła, że zegarek na nocnym stoliku wskazał 5: 09, i z powrotem położyła głowę na poduszce.

Nat podniósł słuchawkę telefonu; Adrian się nie rozłączył.

- Trudno się pozbyć franków, jest bardzo mało kupujących poza rządem francuskim, a oni nie będą mogli dużo dłużej wzmacniać swojej waluty.

- Sprzedawaj dalej. Kupuj jeny, marki niemieckie albo franki szwajcarskie, ale nic innego. Ja będę za piętnaście minut. Czy jest tam Steven?

- Nie, jest w drodze. Trochę trwało, zanim się połapałem, w czym łóżku go znajdę.

Nat się nie śmiał, odkładając słuchawkę. Pochylił się i pocałował żonę, po czym ruszył pędem do drzwi.

- Nie masz krawata - rzekła Su Ling.

- Do północy mogę zostać bez koszuli - odparł Nat.

Kiedy przeprowadzili się z Bostonu na Manhattan, Su Ling znalazła mieszkanie niedaleko Wall Street. Za kolejne premie odnowiła i umeblowała cztery pokoje, toteż Nat mógł wkrótce zapraszać kolegów, a nawet niektórych klientów na kolację. Siedem obrazów - na niewielu laik mógłby się poznać - ozdabiało ściany.

Su Ling po wyjściu męża zapadła z powrotem w lekki sen. Nat, inaczej niż zwykle, nie czekał na windę, lecz zbiegł na dół, przeskakując po dwa, trzy stopnie naraz. Zazwyczaj wstawał o szóstej rano i telefonował do biura, żeby usłyszeć najświeższe nowiny. Nieczęsto musiał podejmować ważne decyzje przez telefon, gdyż większość pozycji ulokowano na dłużej. Potem brał prysznic, golił się i ubierał do wpół do siódmej. Czytał „Wall Street Journal”, kiedy Su Ling przygotowywała śniadanie, i opuszczał mieszkanie o siódmej, zajrzawszy uprzednio do Luke’a. Czy deszcz, czy pogoda, przemierzał pieszo pięć - przecznic do biura, po drodze biorąc egzemplarz „New York Timesa” ze skrzynki na rogu ulic Williama i Johna. Od razu otwierał gazetę na kolumnach finansowych i jeżeli jakiś tytuł zwrócił jego uwagę, czytał artykuł po drodze, ale mimo to dwadzieścia po siódmej był za swoim biurkiem. „New York Times” poinformuje czytelników o dewaluacji franka dopiero jutro rano, a wtedy dla większości bankowców będzie to już historia.

Znalazłszy się na ulicy, Nat zatrzymał pierwszą nadjeżdżającą taksówkę i wyjmując banknot dziesięciodolarowy jako zapłatę za tę krótką trasę, powiedział, że chciałby dotrzeć na miejsce wczoraj. Taksówka ruszyła

jak torpeda i cztery minuty później zatrzymała się przed jego biurem. Nat wbiegł do budynku i wpadł do pierwszej otwartej windy. Tłoczyli się w niej maklerzy bankowi, wszyscy mówili podniesionymi głosami. Nat nie dowiedział się nic nowego poza tym, że komunikat został ogłoszony przez francuskiego ministra finansów o godzinie dziesiątej czasu środkowoeuropejskiego. Klął, kiedy winda przystawała osiem razy w niespiesznej podróży na jedenaste piętro.

Steven i Adrian siedzieli już przy swych biurkach w sali operacyjnej.

- Podajcie mi ostatnie notowania! - krzyknął, zrzucając płaszcz.

- Wszyscy tracą - rzekł Steven. - Francuzi oficjalnie zdewaluowali franka o siedem procent, ale rynki zdyskontowały to, jakby to było za mało i za późno.

Nat spojrział na monitor.

- A inne waluty? - zapytał.

- Funt, lir i peseta też lecą w dół. Dolar idzie w górę, jen i frank szwajcarski utrzymują się na stałym poziomie a marka niemiecka się waha.

Nat nadal wpatrywał się w ekran, obserwując, jak cyfry co kilka sekund skaczą w górę i w dół.

- Spróbujmy kupić jeny - powiedział, patrząc, jak funt spada o jeden punkt.

Steven podniósł słuchawkę telefonu łączącego go bezpośrednio z biurem zleceń. Nat spojrział w jego kierunku. Tracili cenne sekundy, czekając, aż makler się odezwie.

- Ile za ile? - warknął Steven.

- Dziesięć milionów po dwa tysiące sześćdziesiąt osiem.

Adrian odwrócił wzrok, gdy Steven dawał zlecenie kupna.

- I spuść wszystkie funty i liry, jakie jeszcze mamy, bo zostaną zdewaluowane w następnej kolejności - rzekł Nat.

- Po jakiej cenie?

- Do diabła z ceną, po prostu sprzedawaj - rzekł Nat - i obróć na dolary. Jak zrywa się prawdziwy sztorm, każdy chce się schronić w Nowym Jorku. - Nata aż dziwił własny spokój wśród krzyków i przekleństw rozlegających się wokół.

- Nie mamy lirów - zameldował Adrian. - Oferują nam jeny po dwa tysiące dwadzieścia siedem.

- Bierz! - prawie zapał Nat, nie odrywając wzroku od ekranu.

- Poszły funty - rzekł Steven - po dwa trzydzieści siedem.

- Dobrze, przerzuć połowę naszych dolarów na jeny.

- Nie mam guldenów! - krzyknął Adrian.

- Obróć wszystkie na franki szwajcarskie.

- Czy chcesz pozbyć się naszych lokat w markach niemieckich? - spytał Steven.

- Nie - rzekł Nat.

- A może kupić marki?

- Nie - powtórzył Nat. - One siedzą na równiku, to znaczy nie wahają się ani w jedną, ani w drugą stronę.

Zakończył podejmowanie decyzji w niespełna dwadzieścia minut i później mógł tylko patrzeć na ekrany i czekać, żeby się przekonać, jakie ponieśli straty. Większość walut wykazywała tendencję spadkową i Nat uświadomił sobie, że inni ucierpią znacznie bardziej niż on. Ale to go nie pocieszało.

Gdyby tylko Francuzi poczekali do południa, kiedy zwykle ogłasza

się komunikaty o dewaluacji, wtedy byłby na stanowisku.

- Cholerni Francuzi - powiedział Adrian.

- Sprytni Francuzi - odparł Nat - że ogłosili dewaluację, kiedy spaliśmy.

Francuska dewaluacja, o której przeczytał Fletcher w „New York Timesie” następnego dnia w pociągu, kiedy jechał do pracy, niewiele go obeszła. Kilka banków poniosło poważne straty, a jeden czy dwa musiały nawet zgłosić Komisji Papierów Wartościowych i Giełd problemy z wypłacalnością. Przewrócił stronę i zaczął czytać artykuł na temat człowieka, który z pewnością będzie rywalem Forda do stanowiska prezydenta. Fletcher niewiele wiedział o Jimmym Carterze poza tym, że był gubernatorem Georgii i właścicielem dużej farmy orzeszków ziemnych. Przerwał na chwilę lekturę i pomyślał o swych ambicjach politycznych, z których chwilowo zrezygnował, usiłując wyrobić sobie pozycję w firmie.

Fletcher postanowił, że się zgłosi, by w wolnych chwilach pomóc w Nowym Jorku w kampanii „poprzyj Cartera”. Wolne chwile?

Harry i Martha skarżyli się, że nigdy go nie widują. Annie włączyła się w prace kolejnego, nienastawionego na zyski komitetu, a Lucy miała ospę. Kiedy zatelefonował do matki, żeby spytać, czy chorowała kiedyś na ospę, jej pierwsze słowa brzmiały: „Witaj, nieznajomy”. Jednak te wszystkie sprawy uleciały mu z głowy w chwili, gdy wszedł do biura.

Zapowiedź kłopotów nastąpiła, kiedy pozdrowił Meg w recepcji.

- Jest spotkanie wszystkich adwokatów w sali konferencyjnej o wpół do dziewiątej - powiedziała bezbarwnym głosem.

- Czy wiadomo, w jakiej sprawie? - rzucił Fletcher, od razu uświadamiając sobie, że to głupie pytanie. Dyskrecja była dewizą firmy.

Kilku wspólników siedziało już na swoich miejscach, rozmawiając przyciszonym głosem, kiedy Fletcher wkroczył na salę dwadzieścia po ósmej i prędko zajął miejsce za krzesłem Matta. Czy możliwe, żeby dewaluacja franka francuskiego w Paryżu dotknęła w jakiś sposób firmę prawniczą w Nowym Jorku- Wątpił w to. Czy starszy wspólnik chce poruszyć sprawę umowy z Higgsem i Dunlopem? Nie, to nie w stylu Alexandra. Przyjrzał się ludziom zgromadzonym wokół stołu obrad. Jeżeli ktoś wiedział, jaki będzie temat spotkania, nie zdradzał tego. Ale musiała to być zła wiadomość, bo dobre nowiny zawsze ogłaszano na spotkaniu o szóstej wieczorem.

Dwadzieścia cztery po ósmej do sali wkroczył starszy wspólnik.

- Muszę panów przeprosić za to, że oderwałem was od pracy - zaczął - ale uważam, że tej sprawy nie można było ująć w notatce służbowej czy w moim miesięcznym sprawozdaniu. - Przerwał i odchrząknął. - Siłą tej firmy zawsze było to, że nigdy nie została zamieszana w skandal natury prywatnej czy finansowej, toteż uznałem, że nawet z czymś, co zwiastuje taki problem, trzeba się prędko uporać. - Fletcher był jeszcze bardziej zaintrygowany. - Doszło do moich uszu, że członek naszej firmy był widziany w barze uczęszczanym przez prawników z konkurencyjnych kancelarii. - Ja to robię codziennie, pomyślał Fletcher, ale to nie przestępstwo. - I chociaż samo w sobie nie jest to naganne, mogłoby w przyszłości zaszkodzić interesom firmy. Na szczęście jeden z naszych członków, któremu leży na sercu interes firmy, uznał, iż powinien poinformować mnie o sprawie, która mogłaby mieć dla nas przykre konsekwencje. Pracownika, o którym mówię, widziano w barze rozmawiającego z członkiem konkurencyjnej firmy. Potem wyszedł razem z tym osobnikiem około dziesiątej, pojechał z nim do jego domu na

West Side, który opuścił dopiero o wpół do siódmej następnego dnia rano, po czym wrócił do swojego mieszkania. Natychmiast wezwałem do siebie tego pracownika. Nie wypierał się on znajomości z członkiem konkurencyjnej firmy i, co z przyjemnością oznajmiam, zgodził się, iż najrozsądniej będzie, jeżeli natychmiast złoży rezygnację. - Zrobił przerwę. - Jestem wdzięczny członkowi personelu, który uznał, aczkolwiek niechętnie, że jest jego obowiązkiem poinformowanie mnie o tej sprawie.

Fletcher spojrzął na Ralpha Elliota, który próbował udawać zaskoczonego każdym nowym zdaniem, ale widać nikt mu nigdy nie mówił, co to znaczy przeszarżować. Nagle Fletcher sobie przypomniał, że widział Elliota na Piątej Alei, kiedy wyszedł wieczorem z baru. Poczł mdłości, gdy sobie uświadomił, że starszy wspólnik mówi o Loganie.

- Chciałbym przypomnieć wszystkim - powiedział z naciskiem Bili Alexander - że nie należy dyskutować o tej sprawie ani prywatnie, ani na forum publicznym. - Wstał i wyszedł z pokoju.

Fletcher pomyślał, że najlepiej będzie, jeżeli opuści salę jako jeden z ostatnich i kiedy już nie było nikogo, wstał i niespiesznie skierował się do drzwi. Idąc do swojego biura, usłyszał za sobą kroki, ale nie obejrzał się, póki Elliot go nie dogonił.

- Byłeś w barze z Loganem, prawda? - Zawiesił głos. - Nie powiedziałem o tym wujowi.

Fletcher nie odezwał się kiedy Elliot odchodził, ale gdy znalazł się w swoim pokoju, zapisał słowo w słowo jego groźby.

Jedyny błąd, jaki popełnił, to ten, że natychmiast nie poinformował Billa Alexandra.

Nat podziwiał Su Ling za wiele zalet; również i za to, że nigdy mu nie wypominała: „A nie mówiłam?”, chociaż tylekroć go ostrzegała, że miała do tego święte prawo.

- Więc co teraz zrobisz? - spytała, nie wracając już do tamtego incydentu.

- Muszę zdecydować, czy zrezygnować, czy czekać, aż mnie zwolnią.

- Ale Steven jest szefem twojego wydziału, a nawet Adrian stoi wyżej od ciebie w hierarchii.

- Wiem, ale to wszystko były pozycje, za które ja odpowiadałem i to ja podpisywałem polecenia zakupu i sprzedaży, dlatego nikt nie wierzy, że oni w tym uczestniczyli...

- Jaką bank poniósł stratę?

- Prawie pół miliona dolarów.

- Przecież zarobiłeś dla nich o wiele więcej w ciągu ostatnich dwóch lat.

- To prawda, ale inni szefowie wydziału będą teraz uważali, że nie można na mnie polegać, i zawsze będą się bać, że to się powtórzy. Steven i Adrian już się ode mnie odsunęli; nie chcą stracić pracy.

- Ale ty możesz przysporzyć bankowi dużych zysków, więc dlaczego mieliby ci pozwolić odejść?

- Bo łatwo znajdą kogoś na moje miejsce; szkoły handlowe wypuszczają co roku nowych utalentowanych absolwentów.

- Nie twojego formatu, na pewno nie? - powiedziała Su Ling.

- Ja sądziłem, że ty tego nie pochwalasz.

- Nie twierdzą, że pochwalam - odparła Su Ling - lecz to nie znaczy, że nie uznaję i nie podziwiam twoich umiejętności, - Zawahała się. - Czy

ktoś inny zaproponuje ci pracę?

- Nie przypuszczam, żeby wydzwaniali do mnie tak często jak miesiąc temu, to ja będę musiał zacząć dzwonić.

Su Ling objęła męża i powiedziała:

- Miałeś o wiele gorsze przejścia w Wietnamie, a ja w Korei, i nawet nie mrugnąłeś.

Nat prawie zapomniał, co wydarzyło się w Korei, ale widać wciąż nie dawało to Su Ling spokoju.

- A co się dzieje z Funduszem Cartwrighta? - spytała, kiedy Nat pomagał jej nakryć do stołu.

- Stracił około pięćdziesięciu tysięcy dolarów, ale odnotował niewielki roczny dochód. Co mi przypomina, że powinienem zatelefonować do pana Russella z przeprosinami.

- Ale przecież w przeszłości też przysporzyłeś im sporych zysków.

- Toteż obdarzyli mnie dużym zaufaniem - rzekł Nat i uderzył pięścią w stół. - Cholera, powinienem przewidzieć, co się stanie. - Spojrzał na żonę siedzącą po drugiej stronie stołu. - Jak myślisz, co powinienem robić?

Su Ling przez pewien czas zastanawiała się nad odpowiedzią.

- Zrezygnuj i znajdź sobie odpowiednią pracę - odrzekła.

Fletcher wykręcił numer, pomijając sekretarkę.

- Czy mógłbyś zjeść ze mną lunch? - Zamilkł, - Nie, spotkajmy się gdzieś, gdzie nikt nas nie pozna - słuchał odpowiedzi - czy to ta na 57.Zachodniej? - słuchał - do zobaczenia o wpół do pierwszej.

Fletcher przyszedł do restauracji Zemarkiego kilka minut wcześniej. Jego gość już na niego czekał. Obydwaj zamówili sałatki, a Fletcher poprosił o piwo.

- Myślałem, że nigdy nie pijesz przy lunchu?

- Dzisiaj robię wyjątek - rzekł Fletcher. Pociągnawszy długi łyk, opowiedział przyjacielowi, co się wydarzyło dzisiejszego przedpołudnia.

- To jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty szósty, a nie tysiąc siedemset siedemdziesiąty szósty - skwitował James jego słowa.

- Wiem, ale okazuje się, że wciąż jeszcze są na świecie dinozaury i nie wiadomo, jaki jad Elliot wsączył swojemu wujowi.

- Lepszy numer z tego twojego Elliota. Lepiej na niego uważaj, bo teraz na ciebie zapoluje.

- Ja sobie dam radę - rzekł Fletcher. - Martwię się o Logana.

- Skoro jest tak dobry, jak mówisz, to na pewno szybko go złapią.

- Nie sądzę. Wystarczy telefon do Billa Alexandra z pytaniem, dlaczego tak nagle odszedł.

- Żaden prawnik nie ośmieliłby się sugerować, że homoseksualizm był powodem zwolnienia.

- Alexander wcale nie musi tego robić - rzekł Fletcher. - W tych okolicznościach może tylko powiedzieć: „Wolałbym nie poruszać tego tematu, to delikatna sprawa”, co będzie o wiele gorsze. - Pociągnął jeszcze jeden łyk. - Jimmy, gdyby twoja firma zatrudniła Logana, nigdy byście tego nie pożałowali.

- Porozmawiam ze starszym wspólnikiem dzisiaj po południu i dam ci znać, jak on zareaguje. Ale powiedz, jak tam moja siostrzyczka?

- Powoli stara się zarządzać wszystkim w Ridgewood: klubem książki, miejscową drużyną pływacką, nawet akcją krwiodawstwa.

Będziemy mieć problem, do jakiej szkoły posłać Lucy.

- Hotchkiss przyjmuje teraz dziewczynki - powiedział Jimmy - i zamierzamy...

- Ciekaw jestem, co na to senator - rzekł Fletcher, dopijając piwo. - Przy okazji, jak on się czuje?

- Jest zmęczony. On nigdy nie przestaje przygotowywać się do następnych wyborów.

- Jednak nikt nie może wygrać z Harrym. Nie znam bardziej popularnego polityka w tym stanie.

- Powiedz mu to - rzekł Jimmy. - Kiedy go ostatnio widziałem, mocno przytył i był w kiepskiej formie.

- Przekaż weteranowi pozdrowienia ode mnie i powiedz mu, że Annie i ja postaramy się niedługo wpaść do Hartford na weekend. - Zamilkł.

- To spotkanie - dodał - nigdy się nie odbyło.

- Wpadasz w paranoję - zauważył Jimmy, podnosząc rachunek - i właśnie o to chodzi temu Elliotowi.

Nat złożył rezygnację następnego dnia rano, szczęśliwy, że Su Ling tak spokojnie przyjmuje tę katastrofę. Jednak łatwo jej było mówić, żeby znalazł sobie odpowiednią pracę, kiedy uważał, że jest tylko jedna praca, do której się nadaje.

Gdy wrócił do swojego pokoju, żeby zabrać rzeczy osobiste, miał wrażenie, jakby na jego biurku ustawiono zawiadomienie o kwarantannie. Dawni koledzy spieszyli i koło niego przemykali, a ci, którzy siedzieli przy sąsiednich biurkach, tkwili przy telefonach i odwracali głowy.

Pojechał wyładowaną taksówką do domu i trzy razy nappełniał rzeczami malutką windę, zanim wreszcie przywiózł wszystko do swojego gabinetu.

Usiadł przy biurku. Odkąd znalazł się w mieszkaniu, telefon nie zadzwonił ani razu. Mieszkanie wydawało się dziwnie puste bez Su Ling i Luke'a; przywykł do tego, że kiedy wracał do domu, zawsze był przez nich witany. Dzięki Bogu chłopak jest za mały, żeby pojąć, w jakiej znaleźli się sytuacji.

W południe poszedł do kuchni, otworzył mielonkę wołową, wrzucił na patelnię, dodał trochę masła, wbił dwa jajka i czekał, aż się zetną.

Po lunchu wypisał na maszynie listę instytucji finansowych, które kontaktowały się z nim w ciągu ostatniego roku, po czym usiadł, żeby do nich telefonować. Zaczął od banku, z którego dzwoniło do niego zaledwie kilka dni wcześniej.

- O, jak się masz, Nat. Przykro mi, ale przyjęliśmy już kogoś w ubiegły piątek.

- Dzień dobry, Nat, to interesująca propozycja, daj mi dwa dni do namysłu, to się z tobą skontaktuję.

- Miło, że pan dzwoni, panie Cartwright, ale...

Nat wyczerpał całą listę i odłożył słuchawkę. Stracił wartość i najwyraźniej wydano polecenie, aby się go pozbyć. Sprawdził swój rachunek bieżący. Wykazywał spore saldo, ale na jak długo? Podniósł wzrok na obraz olejny wiszący nad biurkiem: „Półleżąca naga kobieta” Camoina. Pomyślał, jak prędko będzie musiał oddać jedną ze swoich miłości alfonsowi z galerii. - Zadzwonił telefon, Czy ktoś się namyślił i teraz oddzwania? Podniósł słuchawkę i usłyszał znajomy głos.

- Och, to pan Russell - powiedział. - Muszę pana przeprosić, powinienem był wcześniej do pana zadzwonić.

Kiedy Logan odszedł z firmy, Fletcher czuł się osamotniony i prawie

nie było dnia, w którym Elliot nie próbowałby podkopać jego pozycji, więc gdy Bili Alexander powiedział, że chce się z nim zobaczyć w poniedziałek rano, Fletcher czuł, że nie będzie to przyjacielskie spotkanie.

W niedzielę wieczorem przy kolacji opowiedział Annie o wszystkim, co się wydarzyło w ciągu ostatnich dni, pilnując się, żeby nie przesadzać. Annie słuchała w milczeniu.

- Jeżeli nie powiesz panu Alexandrowi prawdy o jego bratanku, obaj tego będziecie żałować.

- To nie takie łatwe - rzekł Fletcher.

- Prawda jest zawsze łatwa - odparła Annie. - Logan został potraktowany haniebnie i gdyby nie ty, mógłby nigdzie nie dostać pracy.

Popełniłeś tylko jeden błąd, kiedy nie powiedziałeś o wszystkim Alexandrowi po zebraniu. W ten sposób ośmieliłeś Elliota, żeby dalej kopał pod tobą dołki.

- A jeżeli on mnie też wyleje?

- To by znaczyło, że w ogóle nie powinieneś być zaczynać z tą firmą i że nie jesteś mężczyzną, którego powinnam poślubić.

Kiedy Fletcher stawiał się przed gabinetem Alexandra kilka minut przed dziewiątą, pani Townsend od razu go tam wprowadziła;

- Siadaj, proszę - rzekł Bili Alexander, wskazując krzesło po drugiej stronie biurka. Nie „miło cię widzieć, Fletcher”, ani nie „jak się czuje Annie i Lucy”, tylko „siadaj, proszę”. Te dwa słowa utwierdziły Fletchera w przekonaniu; że Annie ma rację i że nie może się bać, ale musi stanąć w Obronie tego, w co wierzy.

- Fletcher, kiedy przyszedłeś do nas blisko dwa lata temu, pokładałem w tobie duże nadzieje i rzeczywiście w pierwszym roku spełniłeś z nadstatkiem moje oczekiwania. Wszyscy z przyjemnością Wspominamy incydent z Higgsem i Dunlopem. Jednak ostatnio nie wykazujesz się takimi samymi rezultatami. - Fletcher się zdziwił. Widział najnowszą opinię, jaką wystawił mu Matt Cunliffe, i zapadło mu w pamięć słowo „wzorowy”. - Myślę, że mamy prawo uważać, iż lojalność jest sprawą pierwszorzędną w naszej profesji - ciągnął Alexander. Fletcher milczał, niepewny, o jakie przestępstwo zostanie oskarżony. - Doniesiono mi, że też byłeś z Fitzgeraldem w barze tego wieczoru, kiedy popijał ze swoim przyjacielem.

- To niewątpliwie informacja od pańskiego bratanka - rzekł Fletcher - którego rola w całej tej sprawie jest daleka od bezstronności.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że po prostu pan Elliot przedstawia wersję wydarzeń, kierując się wyłącznie własnym interesem. Jestem pewien, że ktoś tak bystry jak pan już to odkrył.

- Bystry? - powtórzył Alexander. - A czy to, że cię widziano w towarzystwie przyjaciela Fitzgeralda - ponownie zaakcentował słowo „przyjaciel” - świadczy o twojej bystrości?

- Nie spotkałem się z przyjacielem Logana, jak z pewnością powiedział panu pan Elliot, chyba że przedstawił panu tylko połowiczną prawdę. Wyszedłem, żeby pojechać do Ridgewood...

- Ralph mi mówił, że później wróciłeś.

- Tak, wróciłem. I pański bratanek, jak wytrawny szpieg, musiał też donieść, że wróciłem po swój szalik, który wypadł mi z rękawa płaszcza.

- Nie, o tym nie wspomniał - rzekł Alexander.

- To miałem na myśli, mówiąc o połowicznej prawdzie.

- Więc nie rozmawiałeś z Loganem ani z jego przyjacielem?
- Nie - rzekł Fletcher. - Ale tylko dlatego, że się spieszyłem i nie miałem czasu.
- Chciałbyś z nim rozmawiać?
- Tak.
- Nawet gdybyś wiedział, że Logan jest homoseksualistą?
- Nie wiedziałem i nie obchodziło mnie to.
- To cię nie obchodziło?
- Nie. Uważam, że prywatne życie Logana to nie mój interes.
- Ale może to interes firmy, przejdźmy jednak do ważniejszej sprawy. Czy wiesz, że Logan Fitzgerald przyjął pracę w firmie, w której zatrudniony jest twój szwagier?
- Tak, wiem - odparł Fletcher. - Powiedziałem panu Gatesowi, że Logan rozgląda się za pracą i będą mieli szczęście, jeżeli przyjmą człowieka takiego kalibru.
- Nie wiem, czy to było mądre - zauważył Alexander.
- Gdy chodzi o przyjaciela, przedkładam przyzwoitość i uczciwość nad własny interes.
- I nad interes firmy?
- Tak, jeżeli to moralnie słuszne. Tak mnie uczył profesor Abrahams.
- Tylko bez dogadywania, panie Davenport.
- Dlaczego nie? To pan mi dogaduję, panie Alexander.
- Starszy wspólnik spurpurowiał.
- Musisz zdawać sobie sprawę, że mogę cię kazać wyrzucić z tej firmy!
- Dwie osoby odchodzące w ciągu jednego tygodnia? Może to trzeba będzie jakoś wytłumaczyć- Czy mi grozisz?
- Nie, myślę, że to pan mi grozi.
- Może nie będzie tak łatwo się ciebie pozbyć, ale mogę dopilnować, żebyś nie został wspólnikiem, dopóki ja będę w tej firmie. A teraz wynoś się!
- Wstając, Fletcher przypomniał sobie słowa Annie: „To by znaczyło, że w ogóle nie powinieneś być zaczynac z tą firmą”.
- Wrócił do swojego pokoju, gdzie dzwonił telefon. Czy to telefonuje Alexander? Podniósł słuchawkę, gotów złożyć rezygnację. To był Jimmy.
- Wybacz, Fletcher, że ci przeszkadzam w pracy, ale ojciec miał atak serca. Zabrali go do szpitala świętego Patryka. Czy moglibyście przyjechać z Annie jak najszybciej do Hartford?
- Znalazłem sobie odpowiednią pracę - powiedział Nat, kiedy Su Ling weszła do drzwi.
- Zostaniesz nowojorskim taksówkarzem?
- Nie - odparł Nat. - Nie mam kwalifikacji do tej pracy.
- To nigdy nikomu w przeszłości nie przeszkadzało.
- Ale mieszkanie poza Nowym Jorkiem mogłoby.
- Wyjeżdżamy z Nowego Jorku? Powiedz mi, że jedziemy do jakiegoś ludzkiego miejsca, gdzie zamiast drapaczy chmur będą drzewa, a zamiast spalin świeże powietrze.
- Jedziemy w nasze rodzinne strony.
- Hartford? To znaczy, że masz pracę w Banku Russella.
- Trafiłaś. Pan Russell zaproponował mi stanowisko wiceprezesa banku, pracę razem z Tomem.
- Poważna bankowość? A nie spekulacje na rynku walutowym?

- Będę nadzorował wydział walutowy, ale zapewniam cię, że zajmuje się on głównie obrotami dewizowymi, a nie spekulacją. Panu Russellowi najbardziej zależy na tym, żebyśmy z Tomem przeprowadzili całkowitą reorganizację banku. W kilku ostatnich latach Bank Russella zostawał w tyle za swoimi rywalami i... - Su Ling położyła torebkę na stoliku w holu i podeszła do telefonu. - Do kogo dzwonisz? - spytał Nat.

- Do mojej matki, oczywiście. Musimy rozejrzeć się za domem i pomyśleć o szkole dla Luke'a, a kiedy ona tym się zajmie, muszę nawiązać kontakt z dawnymi kolegami w sprawie pracy, a potem...

- Poczekaj, kwiatuszku - rzekł Nat, obejmując żonę. - Czy mam rozumieć, że pochwalasz ten projekt?

- Pochwalam? Nie mogę się doczekać, żeby się wyrwać z Nowego Jorku. Drętwieję na myśl o tym, że Luke miałby zacząć naukę w szkole, gdzie dzieci ostrzą ołówki maczetami. Marzę też o... - Zadzwoił telefon i Su Ling podniosła słuchawkę. Zakryła, dłonią mikrofon. - To jakiś Jason z Banku Chase Manhattan. Czy mam mu powiedzieć, że już nie jesteś wolny?

Nat się uśmiechnął i wziął od niej słuchawkę.

- Cześć, Jason, o co chodzi?

- Nat, zastanawiałem się nad twoim telefonem i chyba coś byśmy mieli dla ciebie w Chase.

- To miło, Jason, ale już przyjąłem inną propozycję.

- Mam nadzieję, że nie od któregoś z naszych rywali?

- Jeszcze nie, ale daj mi trochę czasu - odparł Nat z uśmiechem.

Kiedy Fletcher oznajmił Mattowi Cunliffe'owi, że jego teść znalazł się w szpitalu, ku jego zaskoczeniu zwierzchnik nie okazał współczucia.

- Takie katastrofy często się zdarzają - zauważył cierpko Cunliffe. - Wszyscy mamy rodziny, o które musimy się martwić. Czy na pewno nie możesz poczekać z tym do weekendu?

- Nie, nie mogę - rzekł Fletcher. - Zawdzięczam temu człowiekowi tyle, ile moim rodzicom.

Fletcher dopiero co wyszedł z gabinetu Billa Alexandra, a już nastąpiła wcale nie drobna zmiana atmosfery. Przypuszczał, że kiedy wróci, atmosfera ta udzieli się reszcie personelu niczym zaraźliwa choroba.

Zadzwoił do Annie z Penn Station. Głos miała spokojny, ale z ulgą przyjęła wiadomość, że on jedzie do domu. Gdy Fletcher wszedł do pociągu, nagle sobie uświadomił, że pierwszy raz od podjęcia pracy w firmie nie wziął ze sobą żadnych papierów do przejrzenia. Przez całą drogę rozważał, jaki następny ruch powinien wykonać po rozmowie z Billem Alexandrem, ale do czasu kiedy pociąg zatrzymał się w Ridgewood, nic nie postanowił.

Z dworca pojechał taksówką: Nie zdziwił się, widząc przed domem samochód rodzinny z dwiema walizkami w bagażniku i Annie idącą podjazdem z Lucy na ręku. Jak inna niż jego matka, pomyślał, a jednak jak podobna. Pierwszy raz tego dnia się roześmiał.

W drodze do Hartford Annie przekazała mu wszystkie szczegóły, jakie usłyszała od matki. Harry dostał ataku serca dziś rano, kilka minut po przybyciu na Kapitol i natychmiast został przewieziony do szpitala. Jest przy nim Martha, a Jimmy, Joanna i dzieci są w drodze z Vassar.

- Co mówią lekarze?

- Że jest za wcześnie, by coś wyrokować, ale ojca ostrzeżono, że jeśli nie zwolni tempa, atak może się powtórzyć i tym razem skończyć się tragicznie.

- Zwolnić tempo? Harry nie wie, co znaczą te słowa. On jest zawsze

w biegu.

- Być może - rzekła Annie - ale zamierzamy z mamą powiedzieć mu dziś po południu, że musi wycofać swoją kandydaturę do Senatu w następnych wyborach.

Bili Russell spojrzął zza biurka na Nata i Toma.

- Właśnie tego zawsze pragnąłem - rzekł. - Za dwa lata skończę sześćdziesiąt lat i uważam, że zasłużyłem sobie na to, żeby nie otwierać banku co dzień o dziesiątej rano i nie zamykać drzwi frontowych, kiedy wieczorem idę do domu. Myśl o was obu pracujących razem - jak mówi Pismo Święte - napędza moje serce radością.

- Nie wiem, ojczu, co mówi Pismo Święte - powiedział Tom - ale my też tak czujemy. Od czego mamy zacząć? Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że bank pozostał w tyle za konkurencją w ostatnich latach, może dlatego, że jako firma rodzinna kładziemy większy nacisk na stosunki z klientami niż na wyniki. To pewno się podoba twojemu ojcu, Nat, i może dlatego od trzydziestu lat ma u nas rachunek. - Nat potwierdzająco skinął głową. - Powinniście też wiedzieć, że było kilka prób: przejęcia nas przez inne banki, ale nie chciałem u kresu kariery, żeby mój bank skończył jako anonimowa filia jakiejś wielkiej korporacji. Więc powiem wam, jaki mam plan. Chciałbym, żebyście obaj w ciągu pierwszych sześciu miesięcy prześwietlili bank od góry do dołu. Możecie zadawać pytania, jakie wam się spodoba, otwierać wszystkie drzwi, czytać wszelkie dokumenty, wnikać we wszystkie rachunki. Po pół roku zdacie mi sprawozdanie, co należy robić. I żebyście nie próbowali mnie oszczędzać, bo wiem, że jeśli Bank Russella ma przetrwać do następnego wieku, będzie musiał przejść całkowitą reorganizację. Więc o co teraz chcielibyście zapytać?

- Czy mógłbym dostać klucze do drzwi frontowych? - zapytał Nat.

- Dlaczego? - spytał pan Russell.

- Bo nowoczesny bank powinno się otwierać trochę wcześniej niż o dziesiątej.

W drodze powrotnej samochodem do Nowego Jorku Tom z Natem przystąpili do podziału obowiązków.

- Ojca ujęło, że odrzuciłeś propozycję Chase, żeby przyjść do nas - rzekł Tom.

- Ty też się poświęciłeś, odchodząc z Bank of America.

- Tak, ale staruszek zawsze liczył na to, że jak skończy sześćdziesiąt pięć lat, ja przejmę po nim bank i właśnie chciałem go uprzedzić, że nie mam takiego zamiaru.

- Dlaczego? - zagadnął Nat.

- Nie mam wizji ani pomysłów, jak uratować bank, a ty je masz.

- Uratować?

- Tak. Nie oszukujmy się. Widziałeś zestawienie bilansowe, więc dobrze wiesz, że wystarcza nam akurat na zapewnienie moim rodzicom poziomu życia, do którego przywykli. Dochody nie rosną od kilku lat; prawdą jest, że bankowi bardziej jest potrzebny ktoś z twoimi szczególnymi umiejętnościami niż sprawny koń roboczy jak ja. Dlatego ważne, byśmy ustalili jedną sprawę, zanim się wyłoni - w sprawach banku zamierzam zwracać się do ciebie jako do dyrektora generalnego.

- Jednak będziesz musiał zostać przewodniczącym rady nadzorczej banku, kiedy twój ojciec odejdzie na emeryturę.

- Dlaczego? - zapytał Tom. - Przecież to ty będziesz podejmował wszystkie strategiczne decyzje.

- Bo bank ma twoje nazwisko, a to wciąż się liczy w mieście takim jak Hartford. Jest tak samo ważne, żeby klienci nigdy nie odkryli, co planuje zakulisowy dyrektor generalny.

- Pójdę na to pod jednym warunkiem - rzekł Tom. - Że pensje, premie i wszelkie inne gratyfikacje finansowe będą przyznawane na równych zasadach.

- To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony - zauważył Nat.

- Wcale nie - zaprzeczył Tom. - Może sprytne, ale nie wspaniałomyślne, ponieważ pięćdziesiąt procent twojego zaangażowania przyniesie o wiele większy zysk niż sto procent mojego.

- Nie zapominaj, że właśnie naraziłem Bank Morgana na stratę fortuny - rzekł Nat.

- I niewątpliwie wyciągnąłeś wniosek z tej lekcji.

- Jak wtedy, kiedy walczyliśmy z Ralphem Elliotem.

- To nazwisko z przeszłości. Czy wiesz, co on robi? - zapytał Tom, skręcając na drogę numer 95.

- Słyszałem, że ostatnio odgrywa ważnego prawnika w Nowym Jorku.

- No, przynajmniej to jest coś, czym nie musimy się martwić.

Nat wyjrzał przez zachłapane okno; przejeżdżali przez Queens.

- Nie bądź taki pewien, Tom, bo jeżeli coś pójdzie źle, on zechce reprezentować drugą stronę.

Siedzieli wokół jego łóżka, gawędząc o wszystkim, tylko nie o tym, o czym myśleli. Jedyńm wyjątkiem była Lucy, która uśmieła się na środku łóżka i traktowała dziadziusia, jakby był koniem na biegunach. Dzieci Joanny zachowywały się bardziej powściągliwie.

Fletcher nie mógł uwierzyć, jak szybko rósł Harry junior.

- A teraz, póki nie jestem zbyt zmęczony - rzekł Harry - chciałbym porozmawiać w cztery oczy z Fletcherem.

Martha wyprowadziła rodzinę z pokoju; widać wiedziała, o czym mąż chce podyskutować z zięciem.

- Zobaczymy się później w domu - rzuciła Annie, odciągając Lucy od dziadka.

- A potem ruszamy z powrotem do Ridgewood - Fletcher jej przypomniał. - Nie mogę się jutro spóźnić do pracy. - Annie kiwnęła głową i zamknęła drzwi.

Fletcher przysunął krzesło i usiadł przy senatorze. Nie bawił się we wstępne uprzejmości, gdyż teść wyglądał na zmęczonego.

- Długo się zastanawiałem nad tym, co teraz powiem - rzekł senator.

- Rozmawiałem na ten temat tylko z Marthą i ona się w pełni ze mną zgadza. I tak jak zdarzyło się wiele razy w ciągu trzydziestu razem spędzonych lat, nie jestem pewien czy to nie jej pomysł. - Fletcher się uśmiechnął. Całkiem jak Annie, pomyślał, czekając na dalsze słowa senatora. - Obiecałem jej, że nie będę się ubiegał o ponowny wybór. - Senator zamilkł. - Widzę, że nie protestujesz, zatem przypuszczam, że zgadzasz się z moją żoną i córką w tej sprawie.

- Annie wolałaby, żeby pan dożył późnego wieku, a nie umarł, wygłaszając mowę w Senacie, choćby niezwykle ważną, i ja się z nią zgadzam - rzekł Fletcher.

- Wiem, że one mają rację, ale na Boga - będzie mi tego brakowało.

- I ludziom będzie pana brakowało, jak widać po tych kwiatkach i kartkach, których mnóstwo w tym pokoju. Do jutra wypełnią wszystkie

pokoje na tym piętrze i wysypią się na chodnik. - Senator pominął komplement milczeniem, ponieważ chciał powiedzieć to, co mu leżało na sercu.

- Kiedy urodził się Jimmy, przyszła mi do głowy szalona myśl, że pewnego dnia zajmie moje miejsce, może nawet będzie w Waszyngtonie reprezentował stan. Ale prędko zdałem sobie sprawę, że to niemożliwe. Jestem z niego bardzo dumny, ale on po prostu nie jest stworzony na urząd publiczny.

- Świetnie się spisał, kierując moją kampanią wyborczą, kiedy walczyłem o stanowisko przewodniczącego rady uczelnianej - zauważył Fletcher. - Dwukrotnie.

- Rzeczywiście - przyznał Harry. - Jednak Jimmy zawsze powinien pozostawać w maszynowni, bo nie jest jego przeznaczeniem być kapitanem. - Senator znowu chwilę milczał. - Ale ja przed dwunastu laty podczas meczu futbolowego Hotchkiss kontra Taft poznałem młodego chłopca i od razu wiedziałem, że on nie może się doczekać, żeby zostać kapitanem. Nawiasem mówiąc, tego spotkania nigdy nie zapomnę.

- Ani ja, proszę pana - rzekł Fletcher.

- Mijały lata i patrzyłem, jak chłopiec wyrasta na udanego młodzieńca i jestem dumny, że jest teraz moim zięciem i ojcem mojej wnuczki. Fletcher, zanim całkiem się rozkleję, powinienem przejść do rzeczy, bo jeszcze obydwaj zaśniemy. - Fletcher wybuchnął śmiechem.

- Niedługo ogłoszę, że nie będę się ubiegał o ponowny wybór do Senatu. - Uniósł głowę i spojrzał w oczy Fletcherowi. - Chciałbym móc wtedy z dumą oznajmić, iż mój zięć, Fletcher Davenport, zgodził się wziąć udział w wyborach na moje miejsce.

Nat nie potrzebował sześciu miesięcy, żeby odkryć, dlaczego Bank Russella nie powiększył dochodów od ponad dziesięciu lat.

Ignorowano niemal wszystkie zasady nowoczesnej bankowości. Bank wciąż żył w epoce prowadzonych ręcznie ksiąg głównych, rachunków indywidualnych i w głębokim przekonaniu, że komputery częściej się mylą niż ludzie, w związku z czym nie warto na nie tracić czasu i pieniędzy. Nat wpadał do gabinetu pana Russella kilka razy dziennie i przekonywał się, że to, co zostało uzgodnione rano, po południu było już nieaktualne. Zwykle zdarzało się to wtedy, kiedy godzinę później jakiś długoletni pracownik banku opuszczał tenże gabinet z uśmiechem na ustach. Często Tom musiał ratować sytuację; gdyby nie to, że był na miejscu i tłumaczył ojcu, dlaczego zmiany są konieczne, pewno nigdy by nie powstało półroczne sprawozdanie.

Nat wracał wieczorem do domu wyczerpany i czasami wściekły. Uprzedził Su Ling, że może dojść do ostatecznej rozgrywki, kiedy w końcu przedstawi swoje sprawozdanie. Wcale nie był pewien, czy zostanie nadal wiceprezesem banku, jeżeli przewodniczący rady nadzorczej nie zdoła zaakceptować wszystkich zmian, jakie zalecił. Su Ling nie skarżyła się, chociaż właśnie urządziła całą ich trójkę w nowym domu, sprzedała mieszkanie w Nowym Jorku, znalazła przedszkole dla Luke'a i przygotowywała się do objęcia na jesieni stanowiska profesora statystyki na Uniwersytecie Connecticut. Powrót do Nowego Jorku wcale jej się nie uśmiechał.

W wolnych chwilach doradzała Natowi, jakie komputery będą najbardziej opłacalne dla banku, doglądała ich instalowania, jak również wieczorami udzielała lekcji tym pracownikom banku, którzy rozumieli, że nie wystarczy tylko wcisnąć guzik włączający komputer. Największym

kłopotem Nata był jednak nadmiar personelu banku. Zwrócił już uwagę ojcu Toma, że Bank Russella zatrudnia siedemdziesiąt jeden osób, podczas gdy Bennett, jedyny inny samodzielny bank w mieście, oferował te same usługi, a miał tylko trzydziestu dziewięciu pracowników. Nat napisał odrębne sprawozdanie na temat finansowych następstw nadmiernego zatrudnienia, postulując program wcześniejszych emerytur, który co prawda zmniejszyłby dochody banku w ciągu najbliższych trzech lat, ale byłby bardzo korzystny na dłuższą metę. W tej sprawie Nat nie zamierzał ustąpić. Ponieważ, jak tłumaczył Tomowi przy obiedzie z Su Ling, gdyby czekać jeszcze parę lat, aż pan Russell przejdzie na emeryturę, wszyscy zasililiby szeregi bezrobotnych.

Pan Russell, przeczytawszy sprawozdanie Nata, zarządził na szóstą wieczór w piątek spotkanie, podczas którego miała zapaść ostateczna decyzja. I kiedy Nat i Tom weszli do gabinetu przewodniczącego rady nadzorczej, siedział za biurkiem i pisał list. Podniósł na nich oczy.

- Przykro mi to mówić, ale nie mogę się zgodzić na twoje zalecenia

- oznajmił pan Russell, zanim jeszcze dwaj wiceprezesi usiedli - ponieważ nie chcę zwalniać pracowników, których znam i z którymi pracuję od trzydziestu lat. - Nat usiłował się uśmiechnąć, myśląc o tym, że drugi raz w ciągu pół roku traci pracę, i zastanawiając się, czy Jason w Banku Chase Manhattan zechce go jeszcze przyjąć. - Doszedłem więc do wniosku - ciągnął Russell - że jeżeli to się ma powieść - położył dłonie na sprawozdaniu, jakby je błogosławił - tą osobą, która musi odejść, jestem ja.

Złożył podpis u dołu listu, który pisał, i wręczył rezygnację synowi. Bili Russell opuścił gabinet dwanaście po szóstej tego wieczoru i nigdy więcej jego noga nie powstała w banku.

- Jakie pan ma kwalifikacje, żeby ubiegać się o urząd publiczny?

Fletcher spojrzął ze swojego miejsca na podium na grupkę dziennikarzy, którzy siedzieli przed nim. Harry się uśmiechnął. To było w zestawie siedemnastu pytań i odpowiedzi, jakie przygotowali poprzedniego wieczoru.

- Nie mam dużego doświadczenia - przyznał Fletcher; liczył, że zabrzmiało to rozbrajająco - ale urodziłem się, wychowałem i wykształciłem w Connecticut, zanim wyjechałem do Nowego Jorku, żeby rozpocząć pracę w jednej z najznakomitszych firm prawniczych w kraju. Wróciłem do rodzinnego miasta, żeby obrócić te umiejętności na użytek społeczności Hartford.

- Czy nie uważa pan, że dwadzieścia sześć lat to trochę za mało, żeby mówić nam, jak mamy kierować swoim życiem? - zapytała młoda kobieta z drugiego rzędu.

- Ja byłem w tym samym wieku - wtrącił się Harry - i twój ojciec nigdy się nie uskarżał. - Kilka starych wyg dziennikarskich uśmiechnęło się, ale młoda kobieta nie dała się tak łatwo zbyć.

- Ale pan, senatorze, wrócił wtedy z wojny światowej, jako oficer po trzech latach na froncie. Pytam więc, panie Davenport, czy w szczytowej fazie wojny w Wietnamie spalił pan swoją kartę powołania?

- Nie, nie spaliłem. Nie zostałem powołany, choć nie miałbym nic przeciwko temu.

- Czy może pan tego dowieść? - odbiła piłeczkę dziennikarka.

- Nie - odparł Fletcher. - Ale gdyby pani przeczytała moje przemówienie podczas debaty studentów pierwszego roku w Yale, nie miałaby pani wątpliwości co do moich poglądów na tę sprawę.

- Jeżeli zostanie pan wybrany - spytał inny dziennikarz - czy pański teść będzie pociągał za sznurki?

Harry spojrzał na Fletchera i zauważył, że to pytanie go zirytowało.

- Uspokój się - wyszeptał. - On tylko wykonuje swoją pracę. Trzymaj się tego, co uzgodniliśmy.

- Jeżeli mi się poszczęści i zostanę wybrany - powiedział Fletcher - byłoby głupotą z mojej strony nie korzystać ze skarbcza doświadczeń senatora Gatesa i dopiero wtedy przestanę go słuchać, kiedy uznam, że już niczego nie może mnie nauczyć.

- Co pan myśli o poprawce Kendricka do ustawy finansowej obecnie dyskutowanej w Izbie? - Piłeczka nadleciała z furkotem z lewej strony pola i nie było to jedno z siedemnastu pytań, na jakie się przygotowali.

- To trochę za ostro, nie sądzisz, Robin? - rzekł senator. - W końcu Fletcher jest...

- Tam gdzie ustawa dotyczy starszych obywateli, moim zdaniem dyskryminuje tych, którzy przeszli na emeryturę i otrzymują stałe świadczenia. Większość nas kiedyś zostanie emerytami, a jedyne, co zapamiętałem z Konfucjusza, to jego sentencję, że cywilizowane społeczeństwo to takie, które kształci młodzież i opiekuje się starcami. Kiedy poprawka senatora Kendricka będzie dyskutowana w Senacie, a ja zostanę wybrany, będę głosował przeciw. Bywa, że złe prawa przyjmuje się na sesji ustawodawczej, ale potem trzeba wielu lat, żeby je uchylić, ja natomiast będę głosował tylko za takimi ustawami, które uda się wprowadzić w życie.

Harry rozsiadł się wygodnie.

- Proszę następne pytanie - powiedział.

- Panie Davenport, w pańskim życiorysie, muszę przyznać, że imponującym, pisze pan, że zrezygnował pan z firmy Alexander, Dupont i Bell, żeby ubiegać się o stanowisko senatora.

- Zgadza się - rzekł Fletcher.

- Czy pański kolega, niejaki Logan Fitzgerald, też zrezygnował mniej więcej w tym czasie - Tak.

- Czy jest jakiś związek między jego i pańską rezygnacją?

- Absolutnie nie - odparł Fletcher stanowczo.

- Do czego zmierzasz? - zapytał Harry.

- Po prostu był telefon do naszego nowojorskiego biura, na który polecono mi odpowiedzieć.

- Niewątpliwie anonimowy - rzekł Harry.

- Nie jestem upoważniony do ujawniania źródła informacji - odrzekł dziennikarz, powściągając uśmiezek.

- Na wypadek gdyby nowojorskie biuro nie zdradziło panu, kto jest owym informatorem, mogę panu podać jego nazwisko, kiedy tylko skończy się ta konferencja prasowa.

- No dobrze, myślę, że to wystarczy - rzekł Harry, uprzedzając dalsze pytania. - Dziękuję wszystkim za przybycie. Będziecie mogli regularnie brać na cel kandydata w trakcie cotygodniowych konferencji prasowych - ja się tyle nie udzielałem.

- To było straszne - orzekł Fletcher, kiedy zeszli z podestu. - Muszę się nauczyć panować nad sobą.

- Dobrze sobie radziłeś, chłopcze - powiedział Harry - i skończyłem w takim momencie, że te dranie zapamiętają z dzisiejszej konferencji jedynie twoją wypowiedź na temat poprawki Kendricka do ustawy o

finansach. Szczerze mówiąc, prasa to nasz najmniejszy problem. - Harry umilkł złowieszczo. - Prawdziwa walka się zacznie, kiedy się dowiemy, kto jest kandydatem republikanów.

- Co pan o niej wie? - spytał Fletcher teścia, kiedy szli razem ulicą.

Harry wiedział o Barbarze Hunter prawie wszystko, gdyż była jego rywalką w dwóch ostatnich wyborach i solą w oku przez wiele lat.

- Ma czterdzieści osiem lat, urodziła się w Hartford, jest córką farmera, chodziła do szkół miejscowych, potem kształciła się na Uniwersytecie Connecticut, wyszła za mąż za szefa dobrze prosperującej firmy reklamowej, ma troje dzieci, wszystkie mieszkają w naszym stanie. Jest obecnie członkinią stanowego Kongresu.

- A złe wiadomości?

- Nie pije i jest wegetarianką, co oznacza, że musisz odwiedzić wszystkie bary i każdego rzeźnika w okręgu wyborczym. Jak każdy, kto przez całe życie działał w lokalnej polityce, narobiła sobie po drodze sporo wrogów, a ponieważ tym razem z trudem zdobyła nominację republikańską, na pewno kilku działaczy partyjnych jej nie popiera. Co ważniejsze, ostatnio dwa razy przegrała wybory, więc przedstawiamy ją jako nieudacznika.

Harry z Fletcherem znaleźli się przed siedzibą demokratów przy Park Street. We frontowych oknach budynku widniały plakaty i zdjęcia kandydata, do czego Fletcher wciąż nie mógł przywyknąć. „Prawy mężczyzna na stanowisko senatora”. Nie był przekonany do tego hasła, dopóki eksperci od mediów nie wyjaśnili mu, że dobrze mieć w sloganie wyborczym słowo „prawy” i „mężczyzna”, kiedy rywalką jest republikanka i kobieta. To przekaz podprogowy, tłumaczyli.

Harry skierował się na pierwsze piętro do sali konferencyjnej i usiadł u szczytu stołu. Fletcher ziewnął, siadając, chociaż prowadzili kampanię wyborczą dopiero siedem dni i przed nimi było jeszcze dwadzieścia sześć. Błędy, jakie popełniłeś dziś, jutro rano staną się historią, twoje triumfy zostaną zapomniane jeszcze przed popołudniowymi wiadomościami. Idź własnym tempem - brzmiała jedna z najczęściej powtarzanych maksym Harry'ego.

Fletcher rozejrzał się po zgromadzeniu, stanowiącym połączenie zawodowców i zaprawionych w bojach amatorów; Harry nie był już ich kandydatem, ale nakłoniono go, żeby pokierował kampanią wyborczą. Było to jedyne ustępstwo, na jakie poszła Martha, ale nakazała Fletcherowi odsyłać męża do domu, gdyby zauważył u niego najlżejsze oznaki zmęczenia. W miarę jak mijały dni, coraz trudniej było stosować się do poleceń Marthy, gdyż to Harry był tym, kto zawsze nadawał tempo.

- Coś nowego czy może jakiś strzał zza węgła? - zagadnął Harry, zwracając się do swojej drużyny, w której kilku odegrało rolę we wszystkich jego siedmiu zwycięstwach. W ostatniej potyczce zwyciężył Barbarę Hunter przewagą ponad pięć tysięcy głosów, ale teraz, gdy wyniki badań statystycznych były wyrównane, miało się okazać, ile tych głosów oddano z pobudek osobistych.

- Tak - powiedział ktoś siedzący na drugim końcu stołu. Harry uśmiechnął się do Dana Masona, który uczestniczył w jego sześciu czy siedmiu kampaniach wyborczych. Dan zaczął od obsługi kserokopiarki, a teraz zajmował się prasą i reklamą.

- Dan, masz głos.

- Barbara Hunter właśnie wydała komunikat prasowy, wzywający Fletchera do debaty. Chyba jej powiem, żeby się odczepiła, i dodam, że tak

postępuje ktoś, kto jest zdesperowany i wie, że przegra. Ty tak zawsze robiłeś.

Harry chwilę milczał.

- Owszem, Dan, ja tak robiłem - w końcu powiedział - ale tylko dlatego, że sprawowałem urząd i traktowałem ją jak intruza. W każdym razie nic bym wtedy nie zyskał na debacie, ale teraz, kiedy wystawiamy do gry nieznanego kandydata, sytuacja jest inna i uważam, że powinniśmy przedyskutować dokładnie sprawę, zanim coś postanowimy. Jakie byłyby plusy, a jakie minusy? Proszę o opinie.

Wszyscy zaczęli mówić naraz.

- To wyeksponuje naszego kandydata.

- Postawi ją w centrum uwagi.

- Udowodni, że nasz kandydat jest znakomitym dyskutantem, co przy jego młodości będzie niespodzianką.

- Ona zna lokalne problemy - my wyjdziemy na niedoświadczonych i źle poinformowanych.

- Pokażemy się jako młodzi, dynamiczni i pełni energii.

- Ona wyjdzie na doświadczoną, obrotną i zaprawioną w bojach.

- My reprezentujemy jutrzejszą młodzież.

- Ona reprezentuje dzisiejsze kobiety.

- Fletcher rozniesie ją na strzępy.

- Ona zwycięży w debacie, a my przegramy wybory.

- No dobrze, usłyszeliśmy poglądy komitetu, teraz kolej na

kandydata - rzekł Harry.

- Z chęcią wezmę udział w debacie z panią Hunter - odezwał się Fletcher. - Ludzie będą myśleli, że ona zrobi lepsze wrażenie ze względu na swoje dotychczasowe osiągnięcia i mój brak doświadczenia, zatem muszę spróbować obrócić to na naszą korzyść.

- Ale jeżeli ona cię zaćmi znajomością spraw lokalnych i sprawi, że cię odbiorą jako kogoś, kto nie jest gotowy do sprawowania urzędu - rzekł Dan - wtedy wybory się rozstrzygną w ciągu jednego wieczoru. Nie wyobrażaj sobie, że to tysiąc ludzi zgromadzonych w jednej sali. Pamiętaj, że debatę będzie transmitować lokalne radio i telewizja i że następnego dnia trafi na pierwszą stronę „Hartford Courant”.

- Jednak to może zadziałać też na naszą korzyść - zauważył Harry.

- Zgadza się - odparł Dan. - Ale to cholerne ryzyko.

- Ile mam czasu do namysłu? - spytał Fletcher.

- Pięć minut - powiedział Harry - może dziesięć, bo jeżeli przekazała komunikat prasie, to dziennikarze będą chcieli natychmiast znać odpowiedź.

- Nie możemy powiedzieć, że potrzebujemy trochę czasu na zastanowienie?

- Absolutnie nie - rzekł Harry. - To by wyglądało, jakbyśmy rozprawiali o debacie i w końcu musiałbyś się poddać, tak że ona by odniosła podwójne zwycięstwo. Albo zdecydowanie odmówimy, albo przyjmujemy propozycję z entuzjazmem. Może powinniśmy to przegłosować - dodał, spoglądając na siedzących wokół stołu. - Kto jest za? - Podniosło się jedenaście rąk. - Kto przeciw? - Czternaście osób podniosło ręce. - No, to przesądza sprawę.

- Nie, nie przesądza - rzekł Fletcher. Wszyscy siedzący wokół stołu przestali rozmawiać i spojrzeli na kandydata. - Jestem wdzięczny za wasze opinie, ale moją karierą polityczną nie może kierować komitet, zwłaszcza że różnica w głosach była niewielka. Dan, wydaj oświadczenie, że z radością

przyjmuję wyzwanie pani Hunter i że oczekuję debaty o prawdziwych problemach, a nie politycznego pozerstwa, w czym republikanie zdają się celować od początku tej kampanii.

Zapadło milczenie, a po chwili rozległy się spontaniczne oklaski. Harry się uśmiechnął.

- Kto jest za debatą? - Wszyscy podnieśli ręce. - Kto przeciw? Nikt. Ogłaszam, że wniosek przeszedł jednogłośnie.

- Dlaczego zarządziłeś drugie głosowanie? - zapytał Fletcher Harry'ego, kiedy wyszli z sali.

- Żebyśmy mogli powiedzieć prasie, że decyzja była jednomyślna.

Fletcher się uśmiechnął, kiedy się skierowali na dworzec. To była kolejna lekcja.

Co rano dwunastoosobowa ekipa rozdawała na dworcu ulotki, a kandydat wymieniał uściski rąk z podróżnymi, którzy wcześniej wyjeżdżali z miasta do pracy. Harry mu powiedział, żeby się skoncentrował na tych, którzy przychodzą na dworzec, bo oni na pewno mieszkają w Hartford, podczas gdy ci, którzy wysiadają z pociągów, prawdopodobnie nie głosują w tym okręgu wyborczym...

- Witam, jestem Fletcher Davenport...

O wpół do dziewiątej przeszli na drugą stronę ulicy do baru „U Mamusi” i spałaszowali kanapki z jajkiem i bekonem. Kiedy właścicielka baru wyraziła opinię o przebiegu wyborów skierowali się do dzielnicy towarzystw ubezpieczeniowych, żeby ścisnąć ręce „garniturowcom”, przybywającym do biur. W samochodzie Fletcher założył krawat z barwami Uniwersytetu Yale, z którym, jak wiedział, wielu wyższych urzędników będzie się utożsamiało.

- Witam, jestem Fletcher Davenport...

O wpół do dziesiątej wrócili do kwatery głównej kampanii wyborczej na przedpołudniową konferencję prasową. Barbara Hunter miała już swoją godzinę wcześniej, Fletcher więc wiedział, że dziś dziennikarzy będzie interesować tylko jeden temat. W drodze powrotnej zamienił krawat na inny, bardziej neutralny, jednocześnie wysłuchując streszczenia wiadomości z ostatniej chwili, żeby nie zaskoczyła go jakaś niespodziewana informacja. Na Bliskim Wschodzie wybuchła wojna. Niech się o to martwi prezydent Ford;

„Hartford Courant” z pewnością nie będzie o tym pisał na pierwszej stronie.

- Witam, jestem Fletcher Davenport...

Kiedy Harry rozpoczął konferencję prasową, oznajmił zebranym dziennikarzom, zanim zadali choć jedno pytanie, że decyzja o bezpośredniej konfrontacji z panią Hunter zapadła jednomyślnie. Mówiąc o rywalce, Harry nigdy nie wypowiadał jej imienia. Kiedy zapytano go o debatę - miejsce spotkania, czas, formułę - Harry odparł, że decyzji jeszcze nie podjęto, jako że apel otrzymano dopiero dziś rano, ale dodał, że nie przewiduje żadnych problemów. Harry dobrze wiedział, że debata przysporzy mnóstwa problemów.

Fletcher zaskoczyła odpowiedź Harry'ego na pytanie, co sądzi o szansach kandydata. Spodziewał się, że senator będzie mówił o jego umiejętności dyskusyjnej, doświadczeniu prawniczym i przenikliwości politycznej, tymczasem zaś Harry powiedział:

- No cóż, oczywiście, pani Hunter startuje z korzystnej pozycji.

Wszyscy wiemy, że jest wytrawną dyskusantką o wielkim doświadczeniu w

sprawach lokalnych, ale to, że Fletcher zgodził się stawić jej czoło, świadczy o typowym dla niego uczciwym i otwartym podejściu do tych wyborów.

- Czy to nie jest olbrzymie ryzyko, senatorze? - zapytał jeden z dziennikarzy.

- Jasne, że tak - przyznał Harry - ale, jak zauważył kandydat, gdyby nie był na tyle mężczyzną, żeby stanąć w szranki z panią Hunter, to jak ludzie mogliby się spodziewać, że podoła większemu wyzwaniu, kiedy będzie ich reprezentować? Fletcher nie pamiętał, żeby mówił coś podobnego, ale nie budziło to jego sprzeciwu.

Kiedy skończyła się konferencja prasowa i odszedł ostatni dziennikarz, Fletcher zapytał:

- Czy nie mówiłeś mi, że Barbara Hunter jest kiepską dyskutantką i zwleka w nieskończoność z odpowiedzią?

- Owszem, właśnie tak powiedziałem - przyznał Harry.

- To dlaczego mówiłeś dziennikarzom, że...

- Chodzi o ich nastawienie, chłopcze. Teraz myślą, że sobie nie poradzisz - odparł Harry - i że ona da ci popalić, więc jeżeli tylko osiągniesz remis, uznają cię za zwycięzcę.

Witam, jestem Fletcher Davenport... - kołatało mu w głowie, niczym refren znanej piosenki, od której nie sposób się uwolnić.

Nat się ucieszył, kiedy Tom wetknął głowę w uchylone drzwi i zapytał, czy może wieczorem przyprowadzić gościa na kolację.

- Oczywiście. Interesy czy przyjemność? - spytał Nat, podnosząc wzrok znad papierów.

- Mam nadzieję - powiedział Tom po chwili wahania - że jedno i drugie.

- Kobieta? - spytał Nat z zaciekawieniem.

- Stuprocentowa.

- Jak się nazywa- Julia Kirkbridge.

- I co...

- Dość tego przesłuchania, o wszystko zapytasz dziś wieczorem, doskonale powinna zaspokoić twoją ciekawość.

- Dziękuję, że mnie uprzedziłeś - powiedziała Su Ling, kiedy Nat po przyjściu do domu zaskoczył ją nowiną o dodatkowym gościu.

- Powiniennem zadzwonić, prawda? - zapytał.

- To by mi trochę ułatwiło życie, ale przypuszczam, że byłeś akurat zajęty zarabianiem milionów.

- Coś w tym rodzaju - przyznał Nat.

- Co o niej wiemy? - zagadnęła Su Ling.

- Nic - rzekł Nat. - Znasz Toma; gdy chodzi o życie prywatne, jest bardziej tajemniczy niż szwajcarski bankier, ale skoro chce, żebyśmy ją poznali, nie traćmy nadziei.

- A co się stało z tym ślicznym rudzielcem, Maggie? Myślałam, że...

- Rozpłynęła się we mgle jak wszystkie inne. Czy pamiętasz, żeby kiedyś po raz drugi zaprosił do nas dziewczynę na kolację?

Su Ling zastanowiła się chwilę.

- Teraz, kiedy o tym wspomniłeś, rzeczywiście nie mogę sobie przypomnieć. Może to wina mojej kuchni.

- Nie, nie twojej kuchni, ale obawiam się, że chodzi o ciebie.

- O mnie? - zdziwiła się Su Ling.

- Tak. Biedny chłopak jest zadurzony w tobie od lat i każdą nową

dziewczynę ciągnie do nas na kolację, żeby porównać...

- Och, nie, znowu ten stary dowcip - zachnęła się Su Ling.

- To nie żaden dowcip, kwiatuszku. To problem.

- Ale on co najwyżej pocałował mnie w policzek.

- I nigdy nie posunie się dalej. Ciekaw jestem, ile ludzi jest zakochanych w kimś, kogo nawet nie pocałowali w policzek, Nat znikł na piętrze, żeby poczytać Luke'owi, a Su Ling postawiła czwarty talerz na stole. Czyściła do połysku dodatkowy kieliszek, kiedy rozległ się dzwonek u drzwi.

- Mógłbyś otworzyć? Jestem trochę zajęta. - Nie było odpowiedzi, zdjęła więc fartuch i poszła otworzyć.

- Cześć - rzekł Tom, schylił się i pocałował Su Ling w policzek, co jej przypomniało słowa Nata. - To jest Julia - powiedział. - Su Ling podniosła wzrok na elegancką kobietę, która była prawie tak wysoka jak Tom i prawie tak szczupła jak, ona, choć jej blond włosy i niebieskie oczy wskazywały na skandynawskie, a nie dalekowschodnie pochodzenie.

- Miło panią poznać - powiedziała Julia. - Wiem, że to banał, ale naprawdę bardzo dużo o pani słyszałam.

Su Ling się uśmiechnęła, biorąc futro od Julii.

- Mój mąż - rzekła - jest zajęty...

- Czarnymi kotami - wpadł jej w słowo Nat, który nagle się objawił. - Czytałem Luke'owi „Kota Prota” doktora Seussa. Witaj, jestem Nat, a ty pewno jesteś Julia.

- Tak, zgadza się - odparła, obdarzając Nata uśmiechem, który przypomniał Su Ling, że jej mąż podoba się innym kobietom.

- Przejdźmy do saloniku - zaproponował Nat. - Włożyłem butelkę szampana do lodu.

- Czy mamy jakąś okazję, żeby świętować? - spytał Tom.

- Nic szczególnego poza tym, że znalazłeś kogoś, kto zechciał przyjść z tobą na kolację... - Julia się roześmiała. - Chyba że uczymy wiadomość od moich prawników o sfinalizowaniu przejęcia Bennetta.

- Kiedy się o tym dowiedziałeś? - zapytał Tom.

- Dzisiaj późnym popołudniem. Jimmy zatelefonowali powiedział, że podpisali wszystkie dokumenty. Pozostało nam tylko wręczyć czek.

- Nie wspomniałeś o tym, gdy przyszedłeś - zauważyła Su Ling.

- Wyleciało mi to z głowy, bo myślałem o tym, że Julia przychodzi na kolację - rzekł Nat. - Ale przedyskutowałem sprawę z Lukiem.

- I jaką wyraził opinię? - zainteresował się Tom.

- On uważa, że dolar to o wiele za dużo za bank.

- Dolar? - powtórzyła Julia.

- Tak. Bank Bennetta przez ostatnie pięć lat ponosił straty i jeżeli wykluczyć należącą do nich nieruchomości, ich długoterminowe zadłużenie nie ma już pokrycia w aktywach, zatem Luke może mieć rację, jeżeli nie uda mi się tej sytuacji na czas zmienić.

- Ile lat ma Luke? - spytała Julia.

- Dwa, ale już ma właściwe podejście do problemów finansowych.

- Nat, powiedz mi więcej o banku - powiedziała Julia ze śmiechem.

- To tylko początek - wyjaśnił, nalewając szampana. - Ciągle mam na oku Bank Morgana.

- A ile to cię będzie kosztowało? - zainteresowała się Su Ling.

- Mniej więcej trzysta milionów dolarów po dzisiejszych cenach, ale do tego czasu, kiedy będę gotów do przejęcia, może przekroczyć miliard.

- Nie wyobrażam sobie takich kwot - rzekła Julia. - To nie dla mnie.
- To nieprawda, Julio - zaprzeczył Tom. - Nie zapominaj, że widziałem rachunki twojej firmy i w odróżnieniu od Banku Bennetta odnotowaliście zyski w ostatnich pięciu latach.
- Tak, ale niewiele ponad milion - odparła Julia z uwodzicielskim uśmiechem.
- Przepraszam - powiedziała Su Ling - ale muszę dopilnować kolacji.
Nat uśmiechnął się do żony, a potem spojrział na gościa Toma. Odnosił wrażenie, że Julia dotrwa do drugiej randki.
- Julio, czym się zajmujesz? - spytał.
- A jak myślisz? - odpowiedziała z tym samym zalotnym uśmiechem.
- Powiedziałbym, że jesteś modelką, może aktorką.
- Trafiłeś. Byłam modelką, kiedy byłam młodsza, ale od sześciu lat zajmuję się handlem nieruchomościami.
Do pokoju weszła Su Ling.
- Zapraszam, kolacja gotowa.
- Handel nieruchomościami - powiedział Nat, prowadząc gościa do jadalni. - Nigdy bym na to nie wpadł.
- Ale to prawda - rzekł Tom. - I Julia chce, żebyśmy prowadzili jej rachunek. Interesuje ją parcela w Hartford i zamierza zdeponować pięćset tysięcy w banku na wypadek, gdyby musiała szybko działać.
- Dlaczego nas wybrałaś? - spytał Nat, kiedy żona postawiła przed Julią talerz z zupą z homara.
- Bo mój zmarły mąż załatwił za pośrednictwem pana Russella kupno parceli przy Robinson Mali. Chociaż zaliczyliśmy wtedy za nisko i nie zawarliśmy kontraktu, pan Russell nie zażądał od nas żadnej opłaty - powiedziała Julia.
- To w stylu mojego ojca.
- Więc mój nieżyjący mąż powiedział, że jeżeli będziemy czegoś szukać w tym rejonie, powinniśmy zwrócić się tylko do Banku Russella.
- Od tamtej pory dużo się zmieniło - zauważył Nat. - Pan Russell przeszedł na emeryturę i...
- Ale jego syn rządzi bankiem.
- i pilnuje mnie, żebym od takich jak ty brał zapłatę za profesjonalną obsługę. Z pewnością zainteresuje cię fakt, że centrum handlowe okazało się udanym przedsięwzięciem i przynosi inwestorom wysokie zyski. Co zatem sprowadza cię do Hartford?
- Przeczytałam, że planuje się budowę kolejnego centrum handlowego po drugiej stronie miasta.
- To prawda. Rada miejska wystawia teren na sprzedaż z pozwoleniem na zabudowę.
- Na jaką kwotę liczą? - zapytała Julia, jedząc powoli zupę.
- Mówi się o trzech milionach, ale myślę, że ostateczna cena wyniesie trzy miliony trzysta do trzech milionów pięćset, biorąc pod uwagę powodzenie centrum Robinsona.
- Trzy pięćset to dla nas górna granica - rzekła Julia. - Moja firma jest z zasady ostrożna, a zresztą zawsze jest jakiś interes do ubicia.
- A może byśmy cię zainteresowali innymi nieruchomościami, którymi dysponujemy? - zagadnął Nat.
- Nie, dziękuję - odparła Julia. - Moja firma specjalizuje się w centrach handlowych, a mąż mnie uczył, żeby nigdy nie wykraczać poza

znaną dziedzinę.

- Ten twój mąż to był mądry facet.

- Tak - przyznała Julia. - Ale myślę, że dość rozmowy o interesach jak na jeden wieczór, więc jak zdeponuję pieniądze, czy bank zechciałby reprezentować mnie na aukcji? Zależy mi jednak na pełnej dyskrecji, nie chciałabym, żeby ktoś się dowiedział, w którym imieniu licytuję. Tego też nauczył mnie mąż. - Zwróciła się do gospodyni: - Czy mogę ci pomóc przy następnym daniu?

- Nie, dziękuję - odparła Su Ling. - Nat jest beznadziejny, ale potrafi zanieść cztery talerze do kuchni; jeśli nie zapomni, to nawet doleje wina do kieliszków.

- Jak się poznaliście? - spytał Nat. Ponaglony uwagą Su Ling, zaczął napełniać kieliszki.

- Nie uwierzysz - odparł Tom - ale spotkaliśmy się na terenie podbudowę.

- Jestem pewien, że musi być jakaś bardziej romantyczna okoliczność.

- Kiedy zeszłej niedzieli oglądałem parcelę rady miejskiej, natknąłem się na Julię, która tam biegała.

- Sądziłem, że będziesz się upierał przy dyskrecji - rzekł Nat z uśmiechem. - Mało kto, widząc kobietę uprawiającą w niedzielny ranek jogging na placu pod budowę, pomyślałby, że ona chce go kupić.

- Właściwie - powiedział Tom - dopiero kiedy ją zabrałem na kolację do „Cascade”, dowiedziałem się o jej zamiarach.

- Handel nieruchomościami to musi być trudny świat dla kobiety - rzekł Nat.

- Tak - odparła Julia - ale nie ja go wybrałam, tylko on mnie. Kiedy skończyłam college w Minnesocie, pracowałam przez krótki czas jako modelka, zanim poznałam mojego męża. To był jego pomysł, żeby za każdym razem, kiedy wybierałam się pobiegać, rozglądać się za placami i przekazywać mu o nich informacje. Po roku dobrze się orientowałam, czego szuka, a po dwóch byłam członkiem rady nadzorczej firmy.

- To teraz kierujesz firmą?

- Nie - powiedziała Julia. - Pozostawiam to przewodniczącemu rady nadzorczej i dyrektorowi naczelnemu, ale mam większość udziałów.

- Więc po śmierci męża postanowiłaś zostać w firmie?

- Tak, to był jego pomysł, on wiedział, że zostało mu tylko kilka lat życia, a ponieważ nie mieliśmy dzieci, postanowił nauczyć mnie wszystkiego o biznesie. Myślę, że nawet on był zdziwiony, jak pojętną okazałam się uczennicą.

Nat przystąpił do sprzątnięcia talerzy.

- Czy ktoś ma ochotę na creme brulee? - spytała Su Ling.

- Nie mogłabym przełknąć nawet jednego kęsa - powiedziała Julia. - Ta jagnięcina była tak delikatna. Ale ty sobie nie żałuj - dodała, poklepując Toma po brzuchu.

Nat spojrział na Toma i pomyślał, że nigdy nie widział u niego tak zadowolonej miny. Podejrzewał, że Julia może przyjdzie na kolację nawet ze trzy razy.

- Czy naprawdę jest tak późno? - spytała Julia, spoglądając na zegarek. - Su Ling, to był cudowny wieczór, ale jutro o dziesiątej mam posiedzenie rady, więc powinnam już iść.

- Tak, oczywiście - rzekła Su Ling, wstając z krzesła.

Tom zerwał się z miejsca i poszedł za Julią do holu, po czym podał jej futro. Pocałował Su Ling w policzek i podziękował za wspaniały wieczór.

- Żałuję tylko, że Julia musi wracać do Nowego Jorku. Następnym razem spotkajmy się u mnie.

Nat popatrzył na Su Ling i uśmiechnął się, ale ona nie zareagowała. Zamknął drzwi frontowe, śmiejąc się pod nosem.

- Co za kobieta! - powiedział, wchodząc do kuchni i chwytając ścierkę.

- To szarlatanka - rzekła Su Ling.

- Co masz na myśli? - zdziwił się Nat.

- To co powiedziałam: jest szarlatanką. Poznać to po tym, jak mówi, jak się ubiera, a ta jej zmyślona historyjka jest zbyt prosta i uładzona. Nie wdawaj się z nią w żadne interesy.

- Co złego może się stać, jeżeli ulokuje pięćset tysięcy dolarów w banku?

- Założę się o moją miesięczną pensję, że tych pięciuset tysięcy nigdy nie zobaczysz.

I chociaż Su Ling nie wracała już do tego tematu, Nat następnego dnia w pracy poprosił sekretarkę, żeby znalazła wszelkie dostępne informacje na temat finansów nowojorskiej firmy Kirkbridge i Spółka. Godzinę później sekretarka wróciła z rocznym sprawozdaniem i najnowszym raportem finansowym firmy. Nat dokładnie przestudiował dokumenty i zatrzymał wzrok na końcowym wyniku.

W zeszłym roku firma osiągnęła zysk trochę ponad milion dolarów i wszystkie liczby zgadzały się z tym, co Julia mówiła podczas kolacji. Potem sprawdził skład rady nadzorczej, Julia Kirkbridge wymieniona była jako członek rady nadzorczej, za przewodniczącym i dyrektorem naczelnym. Mając jednak na uwadze niepokój Su Ling, Nat kontynuował swoje śledztwo. Wykręcił numer telefonu biura firmy w Nowym Jorku.

- Kirkbridge i Spółka, czym mogę służyć? - odezwał się głos.

- Dzień dobry, czy mógłbym mówić z panią Kirkbridge- Niestety nie, jest na posiedzeniu rady nadzorczej. - Nat spojrzął na zegarek i uśmiechnął się: było dwadzieścia pięć po dziesiątej. - Ale jeżeli zostawi pan swój numer telefonu, poproszę, żeby do pana zadzwoniła, jak będzie wolna.

- Nie, dziękuję, to nie jest konieczne - rzekł Nat. Odłożył słuchawkę i w tej chwili zadzwonił telefon. - Mówi Jeb z działu nowych rachunków. Chciałem pana zawiadomić, że właśnie otrzymaliśmy przelew telegraficzny z Chase na kwotę pięciuset tysięcy dolarów na rachunek pani Julii Kirkbridge.

Nat nie mógł się powstrzymać i zatelefonował do Su Ling z wiadomością.

- Mów, co chcesz, ale to szarlatanka - powiedziała Su Ling.

- Awers czy rewers? - spytał prowadzący debatę.

- Rewers - wybrała Barbara Hunter.

- Wypadł rewers! - oznajmił prowadzący. Spojrzął na panią Hunter i skinął głową. Fletcher nie mógł się uskarżać, bo on by jak zwykle wybrał awers, był więc tylko ciekaw, co postanowi jego przeciwniczka. Czy zabierze głos pierwsza? To by oznaczało, że Fletcher mówiłby pod koniec wieczoru ostatni. A jeżeli...

- Będę mówiła pierwsza - oświadczyła Barbara Hunter.

Fletcher stłumił uśmiech. Rzut monetą nie miał znaczenia; gdyby

wygrał, zdecydowałby się zabrać głos jako drugi.

Prowadzący zajął miejsce za biurkiem na środku podium. Pani Hunter usiadła po jego prawej stronie, Fletcher po lewej; odzwierciedlało to ideologię obydwu partii. Ale wybór miejsc był najmniejszym problemem. Przez ostatnich dziesięć dni spierano się, gdzie się powinna toczyć debata, kiedy powinna się zacząć, kto będzie prowadzącym, - a nawet jaka ma być wysokość mównic, ponieważ Barbara Hunter miała pięć stóp siedem cali wzrostu, natomiast Fletcher sześć stóp i jeden cal. Ostatecznie uzgodniono, że powinny być dwie mównice różnej wysokości po obu stronach podium.

Prowadzącym, którego zaakceptowały obie strony, był kierownik administracyjny wydziału dziennikarstwa Uniwersytetu Connecticut w kampusie w Hartford. Podniósł się ze swego miejsca.

- Dobry wieczór, panie i panowie. Nazywam się Frank McKenzie i będę prowadził dzisiejszą debatę. Zgodnie z jej formułą na początek pani Hunter wygłosi sześciominutowe oświadczenie, a po niej uczyni to pan Davenport. Pragnę uprzedzić obojga kandydatów, że zadzwonię - ujął mały dzwonek i zdecydowanie nim zadzwonił, co pobudziło część publiczności do śmiechu i rozładowało napięcie - w piątej minucie, żeby zasygnalizować kandydatom, iż zostało im jeszcze sześćdziesiąt sekund. Potem zadzwonię ponownie, gdy minie sześć minut, wtedy powinni wypowiedzieć ostatnie zdanie. Wygłoszący początkowe oświadczenia, kandydaci przez czterdzieści minut będą odpowiadać na pytania dobranej grupy uczestników. Na koniec pani Hunter, a po niej pan Davenport wygłoszą końcowe trzyminutowe oświadczenia. Teraz proszę panią Hunter, aby rozpoczęła debatę.

Barbara Hunter podniosła się i powoli podeszła do swojej mównicy po prawej stronie podium. Wydedukowała, że ponieważ dziewięćdziesiąt procent publiczności obejrzy debatę w telewizji, to jeżeli przemówi pierwsza, usłyszy ją najwięcej potencjalnych wyborców, zwłaszcza że mecz o mistrzostwo świata będzie transmitowany od wpół do dziewiątej, a wtedy większość widzów automatycznie zmienia kanał. Fletcher uważał, że nie jest to takie ważne, ponieważ do tej pory oboje już wygłoszą wstępne oświadczenia. Poza tym wolał mówić drugi, ażeby podchwycić niektóre tematy, jakie poruszy pani Hunter, a jeśli pod koniec wieczoru przemówi ostatni, niewykluczone, że publiczność zapamięta tylko jego słowa.

Fletcher słuchał z uwagą łatwego do przewidzenia, ale dobrze przygotowanego wstępnego oświadczenia pani Hunter. Uchwyciła pewnie pulpity i mówiła:

- Urodziłam się w Hartford, poślubiłam hartfordczyka, moje dzieci przyszły na świat w szpitalu świętego Patryka i wszystkie mieszkają w stolicy stanu, uważam więc, że doskonale się nadają do reprezentowania obywateli tego wspaniałego miasta.

Pierwsza fala oklasków zerwała się na widowni. Fletcher przyjrzał się uważnie tłumnie zgromadzonej publiczności i zauważył, że połowa klaskała, druga zaś połowa pozostawała bezczynna.

Tego wieczoru do obowiązków Jimmy'ego należało podzielenie miejsc. Uzgodniono, że obie strony dostaną po trzysta biletów, a czterysta zostawi się społeczności miasta. Jimmy i niewielka grupa pomocników wiele godzin nakłaniali zwolenników demokratów, aby zgłaszali się po czterysta pozostałych biletów, lecz Fletcher zdawał sobie sprawę, że republikanie równie wytrwale będą nakłaniać swoich, toteż zawsze kończyło się na podziale pół na pół. Fletcher był ciekaw, ile osób wśród publiczności

nie należało do zwolenników żadnej z dwu partii.

- Nie martw się o salę - powiedział mu Harry. - Prawdziwa publiczność będzie cię oglądać w telewizji i to na niej musisz zrobić wrażenie. Patrz prosto w kamerę i miej szczerą minę - dodał z szerokim uśmiechem.

Fletcher robił notatki, gdy pani Hunter przedstawiała swój program, i choć brzmiał on rozsądnie i szlachetnie, to przemówienie było rozwlekłe. Kiedy prowadzący debatę zadzwonił w piątej minucie, była zaledwie w połowie i nawet przerwała na chwilę, przewracając dwie kartki. Fletcher dziwił się, że tak zaprawiona w bojach osoba nie przewidziała, iż wybuchające od czasu do czasu brawa okroją przysługujący jej czas. Wstępne oświadczenie Fletchera zostało obliczone na nieco ponad pięć minut. Harry wielokrotnie go uprzedzał, że lepiej skończyć kilka sekund wcześniej, niż pospiesznie finiszować. Mowa pani Hunter zakończyła się kilka sekund po drugim dzwonku, co zabrzmiało tak, jakby jej przerwano. Jednak otrzymała entuzjastyczne oklaski od jednej części publiczności i uznanie od drugiej.

- Teraz poproszę pana Davenporta o wstępne oświadczenie.

Fletcher podszedł powoli do mównicy po swojej stronie podium; czuł się jak prowadzony na szubienicę. Trochę podniosło go na duchu ciepłe przyjęcie publiczności. Umieścił na mównicy pięć kartek zapisanych dużą czcionką, o wierszach z podwójnym odstępem, i spojrzał na pierwsze zdanie, chociaż tyle razy powtarzał swoje przemówienie, że znał je na pamięć. Zwrócił oczy na widownię i uśmiechnął się, wiedząc, że póki nie wypowie pierwszego słowa, prowadzący debatę nie zacznie odliczać czasu.

- Myślę, że popełniłem w życiu jeden, wielki błąd - zaczął. - Nie urodziłem się w Hartford. - Wybuchy śmiechu go ośmieliły. - Ale nadrobiłem to. Zakochałem się w dziewczynie z Hartford, kiedy miałem zaledwie czternaście lat. - Znowu śmiech i oklaski. Fletcher odprężył się i wygłosił swoje wstępne oświadczenie z pewnością siebie, która, jak miał nadzieję, przeczyła jego młodości. Kiedy zadzwonił dzwonek sygnalizujący piątą minutę, właśnie miał zacząć podsumowanie. Zakończył je dwadzieścia sekund wcześniej, co sprawiło, że ostatni dzwonek był zbędny. Brawa, jakie otrzymał, były o wiele głośniejsze od tych na początku, ale wstępne oświadczenie stanowiło tylko koniec pierwszej rundy.

Zerknął na Harry'ego i Jimmy'ego, którzy siedzieli w drugim rzędzie. Z ich uśmiechów wywnioskował, że przetrwał pierwszą potyczkę.

- Pora na pytania i odpowiedzi - oznajmił prowadzący debatę - na co mamy czterdzieści minut. Kandydaci będą udzielać krótkich odpowiedzi. Zaczyna Charles Lockhart z „Hartford Courant”.

- Czy kandydaci uważają, że szkolny system stypendialny powinien być zreformowany? - zapytał krótko redaktor.

Fletcher był dobrze przygotowany na to pytanie, gdyż wciąż je zadawano na lokalnych spotkaniach i pojawiało się w artykułach wstępnych gazety Lockharta. Poproszono go o odpowiedź, gdyż Hunter przemawiała pierwsza.

- Nigdy nie powinniśmy dopuszczać do dyskryminacji, która utrudnia dostęp na studia komuś z biedniejszego środowiska. Nie wystarczy wierzyć w równość, trzeba także domagać się równych szans. - Odpowiedzią były lekkie brawa i Fletcher uśmiechnął się do publiczności.

- Piękne słowa - powiedziała pani Hunter, nie czekając, aż umilkną oklaski - ale powinny za nimi iść piękne czyny. Należałam do rad

szkolnych, zatem nie musi mnie pan, panie Davenport, pouczać o dyskryminacji, i jeżeli tak się szczęśliwie złoży, że zostanę senatorem, będę popierać ustawy, które sprzyjają dążeniom wszystkich mężczyzn - zawiesiła głos - i kobiet, domagających się równych szans. - Odstąpiła od mównicy, a jej zwolennicy zgotowali jej owację. Zwróciła wzrok na Fletchera. - Może ktoś, kto miał przywilej kształcenia się w Hotchkiss i Yale, nie potrafi tego w pełni zrozumieć.

Cholera, zaklął w duchu Fletcher, zapomniałem powiedzieć, że Annie zasiadała w radzie szkolnej i że dopiero co zapisali Lucy do podstawówki w Hartford, miejscowej szkoły państwowej. Zawsze o tym pamiętał, kiedy jego publiczność składała się z dwunastu osób.

Jak było do przewidzenia, padały pytania na temat podatków lokalnych, poziomu zatrudnienia w szpitalach, transportu publicznego i przestępczości. Fletcher już odzyskał animusz i odnosił wrażenie, że sesja pytań i odpowiedzi zakończy się remisem, kiedy prowadzący debatę poprosił o ostatnie pytanie.

- Czy kandydaci uważają, że są w pełni niezależni, czy też ich polityka będzie prowadzona pod dyktando maszyny partyjnej a głosowanie w Senacie uzależnione od poglądów emerytowanych polityków? - Pytającą była Jill Bernard, prezenterka tutejszego radiowego talk-show, u której Barbara Hunter występowała chyba co drugi dzień.

- Wszyscy w tej sali wiedzą - zareagowała błyskawicznie pani Hunter - że musiałam ciężko walczyć o nominację z ramienia mojej partii, a nie podano mi jej, jak innym, na talerzu. W gruncie rzeczy musiałam walczyć o wszystko w życiu, gdyż nie byłam w czepku urodzona. Pozwolę sobie przypomnieć, że ilekroć uważałam, iż moja partia się myli, obstawałam twardo przy swoim stanowisku. Nie zawsze przysparzało mi to popularności, ale też nikt nigdy nie zwątpił w moją niezależność. Jeżeli zostanę senatorem, nie będę co dzień wisiała na telefonie, radząc się, jak powinnam głosować. Sama podejmę decyzje i będę się ich trzymać. - Zakończyła przy burzliwych brawach.

Ściśnięty żołądek, spocone dłonie, miękkie kolana - wszystkie te objawy powróciły, kiedy Fletcher zbierał myśli. Zwrócił wzrok na widownię; wszyscy utkwili w nim oczy.

- Urodziłem się w Farmington, w odległości kilku mil od tego miejsca. Moi rodzice od wielu lat aktywnie działają dla dobra Hartford, zarówno zawodowo, jak i społecznie, zwłaszcza na rzecz szpitala świętego Patryka. - Popatrzył na rodziców, którzy siedzieli w piątym rzędzie. Ojciec trzymał głowę wysoko, matka miała pochyloną. - Moja matka uczestniczyła w radach tak wielu ciał społecznych, że czułem się, jakbym był sierotą, ale dziś przyszli tutaj oboje, żeby mnie wesprzeć. Tak, uczęszczałem do Hotchkissa i pani Hunter ma rację. To był przywilej. Tak, studiowałem w Yale, znakomitym uniwersytecie w stanie Connecticut. Tak, zostałem przewodniczącym radyuczelnianej oraz tak, byłem redaktorem „Przeglądu Prawnego”, dzięki czemu przyjęto mnie do jednej z najszacowniejszych nowojorskich firm adwokackich. Nie usprawiedliwiam się z tego powodu, że nigdy nie zadowalało mnie drugie miejsce. I jestem szczęśliwy, że mogę to wszystko zostawić i wrócić do Hartford, żeby wnieść coś społeczności, wśród której dorastałem. Przy okazji, z pensji, jaką mi będzie wypłacał stan, nie będę sobie mógł pozwolić na żadne ekstrawagancje i nikt nie poda mi nic na talerzu. - Publiczność zaczęła spontanicznie klaskać. Odczekał, aż brawa umilkną, a potem zniżył głos prawie do szeptu. - Nie udawajmy, że

nie wiemy, do czego piła pani zadająca pytanie. Czy będę ciągle telefonował do mojego teścia, senatora Harry'ego Gatesa? Myślę, że tak. Jestem mężem jego jedynej córki. - Na widowni rozległy się wybuchy śmiechu. - Ale pozwolę sobie przypomnieć coś o Harrym Gatesie, o czym wszyscy państwo wiecie. Przez dwadzieścia osiem lat pełnił służbę w tym okręgu z honorem i prawością w czasie, kiedy te dwa słowa jakby straciły swoje znaczenie i szczerze mówiąc - tu Fletcher zwrócił się ku swojej rywalce - żadne z nas nie jest warte zająć jego miejsca. Ale jeżeli zostaną wybrani, jest pewne, że skorzystam z jego mądrości, doświadczenia i dalekowzroczności, tylko zaślepiony egocentryk by tego nie zrobił. Chcę jednak podkreślić - rzekł, zwracając się z powrotem ku widowni - że to ja będę reprezentować was w Senacie.

Fletcher wrócił na swoje miejsce przy wiwatach publiczności; ponad połowa ludzi zgotowała mu owację na stojąco. Pani Hunter popełniła ten błąd, że zaatakowała go na gruncie, na którym nie potrzebował przygotowania. Próbowała to naprawić w końcowych uwagach, ale złego wrażenia nie zatarła.

Kiedy prowadzący debatę oznajmił, że pragnie podziękować obojgu kandydatom, Fletcher zrobił coś, co Harry zalecił mu poprzedniej niedzieli przy lunchu. Od razu podszedł do swojej rywalki, uściśnił jej dłoń i znieruchomiał, żeby fotograf gazety „Hartford Courant” zdążył uchwycić ten moment.

Nazajutrz zdjęcie ich obojga znalazło się na pierwszej stronie gazety i przedstawiało właśnie to, czego pragnął Harry: obraz wysokiego mężczyzny, górującego nad niską kobietą.

- I nie uśmiechaj się - powiedział wtedy senator. - Trzeba, żeby ludzie zapomnieli, jaki jesteś młody.

Fletcher odczytał podpis pod zdjęciem: Pierś w pierś. W artykule wstępnym napisano, że nie dał się pokonać w debacie, lecz Barbara Hunter w sondażach opinii publicznej miała wciąż dwuprocentową przewagę, a do wyborów zostało tylko dziewięć dni.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

- Nie, tylko Su Ling krzywo na to patrzy.

- Myślę, że na mnie też - rzekła Julia Kirkbridge, pstryknąwszy zapalniczką.

- Pamiętaj, że wychowywała ją bardzo konserwatywna matka - rzekł Tom. - Ona na początku krytycznie patrzyła nawet na Nata, ale przekona się do ciebie, jak jej powiem...

- Ciii... - upomniała go Julia. - Na razie niech to będzie naszą małą tajemnicą. - Zaciągnęła się głęboko, a potem dodała: - Lubię Nata. We dwójkę tworzycie zgrany zespół.

- Tak, ale zależy mi, żeby załatwić tę transakcję, póki on ma urlop, zwłaszcza po tym jego udanym przejęciu naszego najstarszego rywala.

- Rozumiem cię - rzekła Julia. - Ale jak oceniasz nasze szanse?

- Wygląda na to, że jest tylko dwóch albo trzech poważnych chętnych. Ograniczenia w ofercie rady miejskiej powinny wyeliminować jakichś fuzzerów.

- Ograniczenia?

- Rada miejska nie tylko się domaga publicznej aukcji, ale również żąda, żeby z chwilą podpisania dokumentu wpłacono całą kwotę.

- Ale dlaczego na to nalegają? - spytała Julia, siadając w łóżku. - Zawsze w przeszłości wpłacałam dziesięć procent i zakładałam, że będę

miała co najmniej dwadzieścia osiem dni, żeby uzupełnić resztę.

- Tak, to zwykła praktyka, ale ta parcela to politycznie gorący temat. Barbara Hunter nalega, żeby nie było żadnych opóźnień, ponieważ niedawno kilka innych transakcji nie doszło do skutku, kiedy się okazało, że handlarz nieruchomości nie ma wystarczających środków, żeby wywiązać się z umowy. I nie zapominaj, że tylko kilka dni dzieli nas od wyborów, więc starają się, by wszystko grało.

- Czy to znaczy, że muszę wpłacić do twojego banku jeszcze trzy miliony dolarów przed piątkiem?

- Nie, jeżeli zabezpieczymy prawo własności, bank udzieli ci krótkoterminowej pożyczki.

- A co będzie, jeśli odstąpię od umowy? - spytała Julia.

- To nie sprawi nam żadnej różnicy - rzekł Tom. - Wtedy sprzedamy plac temu, kto złożył niższą ofertę, i będziemy mieli do dyspozycji twoje pięćset tysięcy dolarów, żeby pokryć ewentualne straty.

- Banki! - westchnęła Julia. Zdusiła papierosa i wśliznęła się pod pościel. - One nigdy nie tracą.

- Chciałabym, żebyś mi wyświadczył uprzejmość - powiedziała Su Ling, kiedy samolot podchodził do lądowania nad lotniskiem w Los Angeles.

- Tak, kwiatuszku, słucham.

- Zobaczmy, czy wytrzymasz przez cały tydzień bez telefonowania do banku. Nie zapominaj, że to pierwsza taka podróż Luke'a.

- Moja też - rzekł Nat, obejmując syna. - Zawsze chciałem odwiedzić Disneyland.

- Nie przekomarzaj się. Zawarliśmy umowę i oczekuję, że jej dotrzymasz.

- Chciałbym dopilnować umowy, którą Tom stara się zawrzeć z przedsiębiorstwem Julii...

- Czy nie uważasz, że Tomowi przydałby się jakiś mały własny sukces, nienadzorowany przez wspaniałego Nata Cartwrighta- W końcu to ty postanowiłaś jej zaufać.

- Zgadza się z tobą - powiedział Nat, tuląc Luke'a, który przyłgął do niego, kiedy samolot lądował. - Ale czy będziesz miała coś przeciwko temu, że zadzwonię do niego w piątek po południu, żeby się dowiedzieć, czy zwyciężyliśmy w aukcji?

- Nie, jeżeli odłożysz to do piątkowego popołudnia.

- Tatusiu, czy będziemy latać sputnikiem?

- Pewnie - odparł Nat. - Po co innego miałbyś lecieć do Los Angeles?

Tom odebrał Julię z nowojorskiego pociągu i zawiózł ją prosto do ratusza. Wchodząc, minęli się z opuszczającymi budynek sprzątacami, którzy robili porządki po wczorajszej debacie. Tom przeczytał w „Hartford Courant”, że na widowni było ponad tysiąc osób, a w artykule wstępnym redaktor sugerował, że kandydaci niewiele się różnili. Tom zawsze w przeszłości głosował na republikanów, ale pomyślał, że Fletcher Davenport robi wrażenie przyzwoitego faceta.

- Dlaczego przyszliśmy tu tak wcześnie? - spytała Julia, przerywając tok jego myśli.

- Chcę się zapoznać z układem sali - wyjaśnił jej Tom - żebyśmy nie byli zaskoczeni, jak się zacznie licytacja. Nie zapominaj, że cała sprawa może potrwać kilka minut.

- Jak myślisz, gdzie powinniśmy usiąść?

- W połowie sali, po prawej stronie. Już powiedziałem prowadzącemu aukcję, jaki dam mu znak, kiedy będę licytował.

Tom podniósł wzrok na podium i patrzył, jak licytator wstępuje na mównicę, stuka w mikrofon i spogląda na nieliczne audytorium, sprawdzając, czy wszystko jest jak należy.

- Co to za ludzie? - spytała Julia, rozglądając się wokoło.

- Różni urzędnicy rady miejskiej wraz z dyrektorem administracyjnym, panem Cookiem, przedstawiciele ze strony licytatora i przygodne osoby, które nie mają nic do roboty w piątkowe popołudnie. Ale jak widzę, jest tylko trzech poważnych oferentów. - Tom spojrział na zegarek. - Lepiej usiądźmy.

Zajęli miejsca w środku sali na końcu rzędu. Tom podniósł z sąsiedniego krzesła broszurę informacyjną, a gdy Julia dotknęła jego ręki, zastanowił się, czy wielu ludzi się domyśla, że są kochankami. Odwrócił kartkę i obejrzał ilustrację projektu przyszłego centrum handlowego. Czytał właśnie informacje napisane drobnym drukiem, kiedy licytator dał znak, że może zaczynać, i odchrząknął.

- Panie i panowie - powiedział. - Tylko jedna pozycja pójdzie pod młotek dzisiejszego popołudnia, doskonały teren na północy miasta zwany Cedar Wood. Rada miejska oferuje tę nieruchomość pod budowę obiektów handlowych. Warunki płatności i wymogi prawne są wyszczególnione w broszurze, która leży na krzesłach. Muszę podkreślić, że jeżeli jakiś warunek nie zostanie spełniony, rada będzie miała prawo wycofać się z transakcji. - Zrobił przerwę, żeby do wszystkich dotarło znaczenie jego słów. - Na otwarcie mam ofertę dwu milionów dolarów - oznajmił i spojrział w stronę Toma.

Chociaż Tom nie odezwał się i nie uczynił żadnego gestu, licytujący ogłosił:

- Mam następnego oferenta, który daje dwa miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy.

Licytator rozejrzał się po sali, mimo że dobrze wiedział, gdzie siedzą trzej zainteresowani. Zatrzymał wzrok na znanym miejscowym adwokacie w drugim rzędzie, który uniósł broszurę.

- Dwa miliony pięćset tysięcy, to pańska oferta. - Licytator spojrział na Toma, który nawet nie mrugnął. - Dwa miliony siedemset pięćdziesiąt tysięcy. - Popatrzył znów na adwokata, który chwilę odczekał, po czym ponownie podniósł broszurę. - Trzy miliony - rzekł licytator, natychmiast spojrział w stronę Toma i ogłosił: - Trzy miliony dwieście pięćdziesiąt tysięcy. - Odwrócił się do adwokata, który się wahał.

Julia ścisnęła rękę Toma.

- Chyba nam się udało - szepnęła.

- Trzy miliony pięćset tysięcy? - rzekł licytator, utkwivszy oczy w adwokacie.

- Nie, jeszcze nie - szepnął Tom.

- Trzy miliony pięćset tysięcy - powtórzył licytator z nadzieją. - Trzy miliony pięćset tysięcy - powtórzył radośnie, kiedy broszura pokazała się w górze trzeci raz.

- Cholera - rzekł Tom i zdjął okulary. Chyba ustaliliśmy taką samą górną granicę.

- Wobec tego podnieśmy na trzy sześćset - powiedziała Julia. - W ten sposób przynajmniej się dowiemy.

Wprawdzie Tom zdjął okulary - co znaczyło, że nie będzie dalej licytował - lecz licytator widział, że jest pogrążony w rozmowie z siedzącą obok kobietą.

- Czy skończyliśmy, proszę pana? Czy... - zapytał.

Tom zawahał się, po czym powiedział:

- Trzy miliony sześćset tysięcy.

Licytator przeniósł uwagę na adwokata, który odłożył broszurę na puste krzesło obok siebie.

- Czy mogę podnieść na trzy miliony siedemset tysięcy, czy pan zakończył? - Broszura pozostała na krześle. - Czy są jeszcze jakieś oferty? - zapytał licytator, omiatając wzrokiem kilkanaście osób siedzących w sali, która poprzedniego wieczoru zmieściła tysiąc ludzi. - Po raz ostatni trzy miliony sześćset tysięcy dolarów. - Uniósł młotek i nie doczekawszy się żadnej reakcji, opuścił go z hukiem.

- Sprzedane za trzy miliony sześćset tysięcy dolarów panu na końcu rzędu.

- Dobra robota - powiedziała Julia.

- To cię będzie kosztowało dodatkowe sto tysięcy - rzekł Tom - ale nie mogliśmy wiedzieć, że ten adwokat i ja uzgodniliśmy taką samą górną granicę. Teraz pójdę, załatwię formalności i wręcę czek, a potem będziemy mogli to uczcić.

- Z wielką chęcią - powiedziała Julia i przeciągnęła palcem po udzie Toma.

- Gratuluję panu - powiedział Cooke. - Pańska klientka nabyła piękną nieruchomość, która z pewnością w przyszłości będzie przynosić wysoki dochód.

- Też tak uważam - rzekł Tom, który wypisał czek na trzy miliony sześćset tysięcy dolarów i podał go dyrektorowi administracyjnemu rady miejskiej.

- Czy bank Russella jest zleceniodawcą tej transakcji? - zapytał Cooke, spojrzawszy na podpis.

- Nie, reprezentujemy klientkę z Nowego Jorku, która ulokowała pieniądze w naszym banku.

- Przykro mi, panie Russell, że wygląda na to, jakbym się czepiał, ale w umowie wyraźnie zaznaczono, że czek na pełną kwotę powinien być podpisany przez zleceniodawcę, a nie przez jego przedstawiciela.

- Ale my reprezentujemy tę firmę i mamy w depozycie jej pieniądze.

- Zatem pańska klientka nie powinna mieć kłopotu z podpisaniem czeku w imieniu swej firmy - podsunął Cooke.

- Ale dlaczego... - zaczął Tom.

- Nie jest moją rzeczą wgłębiać się w zamysły naszych wybranych przedstawicieli, ale po niepowodzeniu z kontraktem Aldwichego i zważywszy na pytania, na które muszę codziennie odpowiadać pani Hunter - Cooke westchnął - nie mam wyboru i muszę się stosować do litery i ducha umowy.

- Ale co ja mogę zrobić teraz, w ostatniej chwili? - spytał Tom.

- Musi pan do godziny piątej przynieść czek podpisany przez mocodawcę. Jeżeli tak się nie stanie, to nieruchomość zostanie zaoferowana drugiemu licytantowi za trzy miliony pięćset tysięcy i rada będzie oczekiwać od pana wyrównania różnicy stu tysięcy dolarów.

Tom pobiegł w tył sali.

- Czy masz przy sobie książeczkę czekową? - spytał.

- Nie - powiedziała Julia. - Mówiłeś mi, że bank pokryje pełną sumę

do poniedziałku, kiedy dokonam transferu różnicy.

- Tak - potwierdził Tom, zbierając myśli. - Nie ma rady - dodał - musimy gnać do banku. - Spojrzał na zegarek, dochodziła czwarta.

- Cholera - zaklął, zdając sobie sprawę, że gdyby Nat nie wyjechał na urlop, dostrzegłby podpunkt umowy i przewidział następstwa.

Podczas krótkiej wędrowki z ratusza do Banku Russella Tom wytłumaczył Julii, czego żąda Cooke.

- Czy to znaczy, że umowa nie została zawarta, a sto tysięcy przepadło?

- Nie, już pomyślałem, jak sobie z tym poradzić, ale to będzie wymagało twojej zgody.

- Jeżeli to zapewni mi własność nieruchomości - rzekła Julia - zrobię, cokolwiek mi doradzisz.

Gdy znaleźli się w banku, Tom poszedł prosto do swojego gabinetu, podniósł słuchawkę telefonu i wezwał do siebie głównego kasjera. Czekał na Raya Jacksona, wyjął czystą książeczkę czekową i zaczął wypisywać: trzy miliony sześćset tysięcy dolarów. Główny kasjer zapukał do drzwi i wkroczył do gabinetu przewodniczącego rady nadzorczej.

- Ray, chcę, żebyś przelał trzy miliony sto tysięcy dolarów na rachunek pani Kirkbridge.

Główny kasjer chwilę się wahał.

- Muszę mieć pełnomocnictwo pisemne, żeby przelać taką dużą kwotę - powiedział. - To przekracza moje uprawnienia.

- Tak, oczywiście - rzekł Tom, z górnej szuflady biurka wyjął standardowy formularz i szybko wpisał odpowiednią liczbę. Tom nie skomentował faktu, że była to największa kwota, do której przelania kiedykolwiek upoważniał. Podał formularz głównemu kasjerowi, ten zaś dokładnie go przestudiował. Miał taką minę, jakby chciał zakwestionować decyzję pryncypała, ale się opamiętał.

- Natychmiast - powiedział Tom z naciskiem.

- Tak, proszę pana - odparł główny kasjer i wyszedł równie szybko, jak się pojawił.

- Czy jesteś pewien, że to było rozsądne? - zagadnęła Julia. - Czy nie podejmujesz niepotrzebnego ryzyka? - Mamy nieruchomość i twoje pięćset tysięcy dolarów, więc nic nie stracimy. Jakby powiedział Nat, zabezpieczyliśmy się ze wszystkich stron. - Podał Julii książeczkę czekową i polecił jej, żeby złożyła podpis i poniżej wyraźnie napisała nazwę swojej firmy.

Rzucił okiem na czek i powiedział: - A teraz jak najszybciej wracajmy do ratusza.

Tom usiłował zachować spokój, kiedy lawirowali między samochodami jadącymi ulicą, a potem wbiegali schodami do ratusza.

Musiał czekać na Julię, która tłumaczyła, że niełatwo nadażyć za nim na wysokich obcasach. Kiedy znaleźli się w budynku, Tom z ulgą stwierdził, że Cooke wciąż siedzi w głębi sali za biurkiem. Dyrektor administracyjny rady miejskiej wstał na ich widok.

- Wręcz czek temu chudemu, łysemu panu - polecił Tom. - I uśmiechnij się.

Julia zrobiła, jak powiedział, i została obdarzona ciepłym uśmiechem. Cooke dokładnie obejrzał czek.

- Wydaje się, że jest w porządku, proszę pani - powiedział. - Czy mógłbym zobaczyć jakiś dokument potwierdzający tożsamość?

- Oczywiście - odparła Julia i wyjęła z torebki prawo jazdy.
Cooke przyjrzał się fotografii i sprawdził podpis
- Nie wyszła pani ładnie na tym zdjęciu - zauważył. Julia się uśmiechnęła. - Dobrze, teraz może pani podpisać konieczne dokumenty w imieniu swojej firmy.

Julia podpisała trzy egzemplarze umowy z radą miejską i wręczyła jeden egzemplarz Tomowi.

- Lepiej, żebyś to miał w rękę, dopóki pieniądze nie dotrą do banku - wyszeptła.

- Panie Russell, dam ten czek do inkasa z samego rana w poniedziałek - rzekł Cooke, spojrzawszy na zegarek - i byłbym zobowiązany, gdyby został jak najprędzej rozliczony. Nie chciałbym dać pani Hunter za dużo amunicji na kilka dni przed wyborami.

- Będzie rozliczony, jak tylko pan go dostarczy - zapewnił go Tom.

- Dziękuję panu - rzekł Cooke człowiekowi, z którym regularnie grywał w golfa w tutejszym klubie.

Tom miał ochotę uściskać Julię, ale się pohamował.

- Pobiegnę do banku i dam im znać, że wszystko poszło gładko, a potem możemy wracać do domu.

- Naprawdę musisz? - spytała Julia. - W końcu czek zostanie przedstawiony do rozliczenia dopiero w poniedziałek rano.

- Chyba masz rację.

- Do licha! - rzuciła Julia i schyliła się, żeby zdjąć pantofel. - Złamałam obcas, wbiegając na schody.

- Przepraszam - rzekł Tom. - To moją winą, nie powinienem tak cię ponaglać. Okazało się, że było dość czasu.

- To drobiazg - odparła Julia z uśmiechem. - Gdybyś mógł podjechać samochodem, będę czekała na dole schodów.

- Tak, oczywiście - powiedział Tom. Wybiegł z ratusza i popędził na parking.

Kilka minut później podjechał pod ratusz, ale Julii tam nie było. Może wróciła do środka? Odczekał kilka chwil, ale się nie zjawiała. Zaklął, wysiadł z samochodu stojącego w niedozwolonym miejscu, wbiegł po schodach do budynku i zobaczył Julię w jednej z kabin telefonicznych. Kiedy go zobaczyła, odwiesiła słuchawkę.

- Kochanie, właśnie zawiadomiłam Nowy Jork o twoim wyczynie. Wydali polecenie naszemu bankowi, żeby przelał trzy miliony sto tysięcy przed końcem urzędowania.

- Miło słyszeć - rzekł Tom i wraz z Julią wrócił do samochodu. - Zjemy kolację na mieście?

- Nie - odparła Julia. - Lepiej chodźmy do ciebie i zjedźmy coś tylko we dwoje.

Kiedy Tom zajechał na podjazd, Julia zdjęła już futro, a gdy dotarli do sypialni na drugim piętrze, części jej garderoby wyznaczały przebyty szlak. Tom był w bieliźnie, a ona ściągała pończochy, kiedy zadzwonił telefon.

- Nie odbieraj - poprosiła Julia. Uklękła i zsunęła mu bokserki.

- Nikt nie odpowiada - rzekł Nat. - Pewno wyszli na kolację.

- Czy to nie może poczekać do naszego powrotu w poniedziałek? - spytała Su Ling.

- Chyba tak - przyznał Nat niechętnie. - Ale chciałbym się dowiedzieć, czy Tomowi się udało zawrzeć umowę na zakup Cedar Wood i

za jaką cenę.

NIE WIADOMO, KTÓRY WYGRA - obwieszczał na całą szerokość strony „Washington Post” w dniu wyborów. PIERSŃ W PIERSŃ głośił „Hartford Courant”. Pierwszy mówił o wyścigu na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych między Fordem i Carterem, drugi o lokalnej potyczce między Hunter i Davenportem do stanowego Senatu. Fletchera złościło, że jej nazwisko zawsze podawano pierwsze, jak Harvard przed Yale.

- Teraz ważne jest tylko jedno - rzekł Harry, który przewodniczył ostatniemu spotkaniu wyborczemu o szóstej rano. - Przyciągnięcie naszych zwolenników do urn wyborczych. - Nie było już potrzeby omawiania taktyki czy deliberowania nad treścią oświadczeń prasowych. W chwili gdy oddano pierwszy głos, wszystkim siedzącym dokoła stołu przypadały nowe obowiązki.

Zespół czterdziestu ludzi miał się zająć transportem osób, które trzeba było podwieźć do najbliższego punktu wyborczego: starych, niedołężnych, skończonych leni, a nawet tych, którzy z przyjemnością z tego korzystali, by głosować na stronę przeciwną.

Drugi zespół, o wiele liczniejszy, tworzyli ci, którzy mieli stanowić obsadę kabin telefonicznych w centrali kampanii wyborczej.

- Będą dyżurować po dwie godziny - powiedział Harry - i w tym czasie powinni kontaktować się z naszymi zwolennikami i przypominać im, że to dzień wyborów, a potem dopilnować, żeby oddali głos. Do niektórych trzeba będzie telefonować trzy lub cztery razy przed ósmą wieczór, kiedy zamykane są lokale wyborcze.

Następna grupa osób, które Harry zwał ukochanymi amatorami, prowadziła „zliczalnie” głosów w całym okręgu. Mieli oni na bieżąco rejestrować liczbę głosów w swych obwodach, liczących od tysiąca do trzech tysięcy wyborców w zależności od tego, czy był to teren wiejski czy miejski.

- Oni są filarem partii - pouczał Harry Fletchera. - Od chwili gdy pada pierwszy głos, wokół lokali wyborczych ustawiają ochotników, którzy odkreślają nazwiska wyborców zmierzających do urn. Co pół godziny listy są wręczane gońcom, a ci zanoszą je do domów-zliczalni, gdzie pełne rejestry wykładane są na stołach albo przypinane do ściany. Widniejące na listach nazwiska wyborców głosujących na republikanów zaznacza się czerwoną linią, oddających głos na demokratów - niebieską, tych, których preferencji nie można określić - żółtą. Dzięki temu kierownik obwodu jednym rzutem oka w każdej chwili może ocenić, jak przebiega głosowanie.

Ponieważ wielu kierowników obwodów wykonuje takie samo zadanie od wyborów do wyborów, umieją od razu porównać bieżące wybory z przeszłymi. Szczegóły widoczne na listach zostają następnie przekazane do centrali kampanii, tak aby telefoniści niepotrzebnie nie dzwonili do tych, którzy już oddali głos.

- To co ma robić kandydat przez cały dzień? - spytał Fletcher, kiedy Harry skończył swój wykład.

- Schodzić z drogi - rzekł Harry. - Dlatego masz własny program. Odwiedzisz czterdzieści cztery zliczalnie, ponieważ wszyscy spodziewają się, że kandydat do nich zajrzy. Jimmy będzie twoim kierowcą jako „przyjaciół kandydata”, ponieważ nie możemy sobie pozwolić, żeby choć jeden człowiek tracił na ciebie czas.

Po zebraniu, kiedy wszyscy rozeszli się do nowych zadań, Jimmy

objaśnił Fletcherowi, jak ma wyglądać jego dzień; mówił na podstawie swych doświadczeń, gdyż tak samo pomagał ojcu podczas poprzednich wyborów.

- Najpierw to, czego masz unikać - powiedział, gdy Fletcher usadowił się obok niego w samochodzie. - Do ósmej wieczór, przed końcem głosowania, musimy odwiedzić czterdzieści cztery zliczalnie, gdzie będą ci proponować kawę, od za piętnaście dwunasta do piętnaście po drugiej zechcą cię częstować lunchem, natomiast po wpół do szóstej zaproszą cię na drinka. Za każdym razem powinieneś grzecznie, ale stanowczo odmówić. Możesz tylko pić wodę w samochodzie, a o wpół do pierwszej zjemy lunch w kwaterze głównej, gdzie spędzimy pół godziny, akurat tyle, żeby sobie uświadomili, że mają kandydata, i nie będziesz już nic jadł aż do zamknięcia lokali wyborczych.

Fletcher myślał, że czekają go nudy, ale w trakcie każdej wizyty poznawał nową galerię postaci. Podczas pierwszej godziny niewiele nazwisk zostało przekreślonych i kierownicy obwodów mogli prędko porównać obecną frekwencję z poprzednią. Fletcher się cieszył, że tak dużo niebieskich kresek pojawiło się przed dziesiątą, ale Jimmy uświadomił mu, że między siódmą i dziewiątą rano zawsze najwięcej głosów dostają demokraci, gdyż robotnicy z dziennej i z nocnej zmiany głosują przed rozpoczęciem albo po zakończeniu pracy.

- Pomiędzy dziesiątą i czwartą górę wezmą republikanie - dodał Jimmy - a z kolei po piątej aż do zamknięcia lokali wyborczych to czas, kiedy demokraci muszą nadrobić straty. Więc módl się o deszcz między dziesiątą a piątą i o ciepły, piękny wieczór.

Do jedenastej kierownicy obwodów poinformowali, że oddanych głosów jest nieco mniej w porównaniu z ostatnimi wyborami, kiedy do urn zgłosiło się pięćdziesiąt pięć procent wyborców.

- Jeżeli frekwencja jest niższa niż pięćdziesiąt procent, to przegrywamy, jeżeli wyższa - mamy szansę - zauważył Jimmy - a powyżej pięćdziesięciu pięciu wygrana mamy w kieszeni.

- Dlaczego? - spytał Fletcher.

- Bo republikanie tradycyjnie idą do urn niezależnie od pogody, więc zwykle korzystają na niskiej frekwencji. Zawsze największym problemem demokratów było nakłonienie ludzi do głosowania.

Jimmy sztywno trzymał się ustalonego harmonogramu. Tuż przed wizytą w kolejnym domu-zliczalni wręczał Fletcherowi kartkę z podstawowymi informacjami o rodzinie zajmującej się danym obwodem - W drodze do drzwi frontowych Fletcher przyswajał sobie istotne fakty.

- Cześć, Dick - mówił, gdy otworzono drzwi. - To miło, że udostępniasz nam znowu swój dom, i to już po raz czwarty. - Słuchał odpowiedzi. - Co u Bena, nadal studiuje? - Słuchał odpowiedzi. - Przykro mi było, kiedy dowiedziałem się o Busterze - tak, senator Gates mi powiedział. - Słuchał odpowiedzi. - Ale masz teraz innego psa, wabi się Buster junior, prawda?

Jimmy też miał swój program. Po dziesięciu minutach szeptał:

- Myślę, że powinieneś wychodzić.

W dwunastej minucie zaczynał się niepokoić i zwracając się do Fletchera, rezygnował ze słówka „myślę”, w czternastej robił się natarczywy. Po wymianie pożegnań i uścisków rąk zawsze jeszcze upływało parę minut, zanim w końcu udało im się wyjść. Chociaż Jimmy rygorystycznie trzymał się planu, dotarli na lunch w centrali kampanii

wyborczej z dwudziestominutowym opóźnieniem.

Lunch był raczej przekąską niż posiłkiem: Fletcher po prostu złapał kanapkę ze stołu, na którym piętrzyły się sterty jedzenia. Chodząc wraz z Annie od biura do biura i podając rękę jak największej liczbie pracowników, od czasu do czasu nadgryzał kęs.

- Witaj, Martho, co porabia Harry? - spytał Fletcher, wchodząc do pokoju z telefonami.

- Stoi przed starym gmachem urzędu stanowego i robi to, co umie najlepiej: wymienia uściski rąk, dzieli się opiniami, upewnia się, czy ludzie nie zapomnieli głosować. Zaraz tu przyjedzie.

Pół godziny później Fletcher, wychodząc, minął się z Harrym w korytarzu; Jimmy nalegał, że muszą wyruszyć dziesięć po pierwszej, jeżeli chcą odwiedzić wszystkie zliczalnie.

- Dzień dobry, senatorze - powiedział Fletcher.

- Dzień dobry, Fletcher, Cieszę się, że zdażyłeś coś zjeść.

Z obliczeń w pierwszym domu, który odwiedzili po lunchu, wynikało, że republikanie zdobyli nieznaczną przewagę, która nadal się powiększała po południu. O piątej się okazało, że mają jeszcze odwiedzić piętnastu kierowników obwodów.

- Jeżeli pominiesz jednego - rzekł Jimmy - to nie będzie końca żalom i możesz być pewny, że następnym razem nie zaofiaruje się z pomocą.

O szóstej republikanie wyraźnie prowadzili i Fletcher próbował robić dobrą minę do złej gry. Jimmy mu poradził, żeby się uspokoił, bo za dwie godziny sprawy będą wyglądały lepiej, nie wspomniał jednak, że pod wieczór o tej porze jego ojciec zawsze miał niewielką przewagę i już wiedział, że wygrywa. Fletcher zazdrościł tym, którzy się ubiegali o miejsca tam, gdzie wystarczy zważyć głosy.

- O ile łatwiej zachować spokój, gdy człowiek ma pewność, że wygra albo przegra - zauważył Fletcher.

- Nie wiem, jak smakuje porażka - odparł Jimmy. - Tata wygrał swoje pierwsze wybory większością stu dwudziestu jeden głosów jeszcze przed moim urodzeniem i w ciągu trzydziestu lat powiększył swoją przewagę do ponad jedenastu tysięcy, ale zawsze powtarza, że gdyby sześćdziesiąt jeden osób głosowało inaczej, toby przegrał pierwsze wybory i może nigdy nie miałby powtórnej szansy. - Jimmy pożałował tych słów w chwili, gdy je wypowiedział.

O siódmej Fletcher z ulgą odnotował, że na listach przybyło trochę niebieskich kresek i choć republikanie ciągle jeszcze mieli przewagę, czuło się, że walka będzie trwała do końca. Jimmy musiał ograniczyć czas wizyt w sześciu pozostałych domach do jedenastu minut każda, ale mimo to i tak nie zdołał odwiedzić ostatnich dwóch przed zamknięciem lokali wyborczych.

- Co teraz? - spytał Fletcher, gdy wyszedł z ostatniego domu.

- Wracamy do centrali i słuchamy najbardziej niewiarygodnych historii - rzekł Jimmy, spojrzawszy na zegarek. - Jeśli wygrasz, przejdą do tradycji, a jeśli przegrasz, wszyscy o nich zapomną.

- Jak o mnie - dopowiedział Fletcher.

Okazało się, że Jimmy się nie mylił, bo w centrali wszyscy mówili naraz, ale tylko ludzie lekkomyślni oraz urodzeni optymiści mieli odwagę przepowiadać wynik. Pierwszy sondaż wśród opuszczających lokale wyborcze, ogłoszony w kilka minut po oddaniu ostatniego głosu, wskazywał, że Hunter o mały włos nie przegrała. Sondaże ogólnokrajowe

mówiły, że Ford zwyciężył Cartera.

- Historia się powtarza - skostatował Harry, wchodząc do pokoju. - Ci sami faceci ogłaszali, że Dewey będzie następnym prezydentem. Mnie natomiast przepowiadali, że o mały włos nie wygram. Nie sugerujmy się mierzeniem grubości włosa, Fletcher, i nie martwmy się sondażami - one są dla statystyków.

- Jak przedstawia się frekwencja? - spytał Fletcher, przypominając sobie opinię Jimmy'ego.

- Za wcześnie, żeby mówić. Na pewno przekroczyła pięćdziesiąt procent, ale nie pięćdziesiąt pięć.

Fletcher ogarnął wzrokiem swoją ekipę i uświadomił sobie, że już nie pora myśleć o gromadzeniu głosów, lecz czas je liczyć:

- Niewiele teraz możemy zrobić - rzekł Harry. - Trzeba tylko dopilnować, żeby członkowie naszej komisji skrutacyjnej zarejestrowali się w ratuszu przed dziesiątą. Pozostali powinni odpocząć, potem wszyscy się spotkamy przy podliczaniu głosów. Czuję, że czeka nas pracowita noc.

W samochodzie, w drodze do restauracji, Harry powiedział Fletcherowi, że jego zdaniem mają czas do jedenastej, proponuje więc, żeby w ciszy i spokoju zjeść posiłek i obserwować w telewizji u Maria, jakim powodzeniem cieszy się partia na pozostałym obszarze kraju.

Wizja ciszy i spokoju okazała się złudna, bo gdy Fletcher z Harrym pojawili się w restauracji, kilku gości wstało i powitało oklaskami obu mężczyzn podążających do stolika w rogu. Fletcher przekonał się z radością, że jego rodzice już są i sączą drinki.

- Co mam państwu polecić? - spytał Mario, kiedy wszyscy się usadowili.

- Jestem za bardzo zmęczona, żeby o tym myśleć - odparła Martha. - Najlepiej, żeby sam pan coś dla nas wybrał, bo i tak nigdy do tej pory nie liczył się pan z naszymi opiniami.

- Chętnie, proszę pani - powiedział Mario. - Proszę na mnie polegać...

Annie wstała i pomachała wchodzącej Joannie i Jimmy'emu. Fletcher pocałował Joannę w policzek i zerknął nad jej ramieniem na telewizor, gdzie pokazywano Cartera powracającego na swoje ranczo i prezydenta Forda wsiadającego do śmigłowca. Pomyślał, że to niezwykle dzień.

- Idealnie utrafiliście - powiedział Harry Joannie, która usiadła obok niego. - Dopiero co przyszliśmy. Jak tam dzieci?

Po kilku minutach wrócił Mario z dwoma wielkimi półmiskami antipasti, za nim podążał kelner z dwiema karafkami białego wina.

- Wino jest na koszt firmy - oznajmił Mario. - Myślę, że może się panu uda - dodał, nalewając kieliszek Fletcherowi, by skosztował.

Jeszcze jeden z tych, którzy nie mają ochoty przewidywać wyników. Fletcher wsunął rękę pod stół i dotknął kolana Annie.

- Chcę powiedzieć kilka słów - oznajmił.

- Czy koniecznie? - zapytał Jimmy, dolewając sobie wina. - Słyszałem już tyle twoich przemówień, że wystarczy mi na całe życie.

- Będę mówił krótko, obiecuję - rzekł Fletcher, wstając z miejsca - ponieważ wszyscy, którym chcę podziękować, są przy tym stole.

Pozwólcie, że zacznę od Harry'ego i Marthy. Gdybym nie usiadł koło ich okropnego małego brzdąca pierwszego dnia w szkole, nie spotkałbym Annie ani Harry'ego i Marthy, którzy zmienili całe moje życie,

choć w gruncie rzeczy wszystkiemu jest winna moja matka, bo to ona należała, żebym poszedł do Hotchkissa, a nie do Tafta. Jak inaczej by się potoczyło moje życie, gdyby przeważało zdanie ojca. - Uśmiechnął się do matki. - Więc dziękuję wam. - Usiadł w chwili, gdy Mario zjawił się przy stole z butelką wina.

- Nie pamiętam, żebym ją zamawiał - rzekł Harry.

- Bo jej pan nie zamawiał - odrzekł Mario. - To prezent od dzentelmena, który siedzi z drugiej strony sali.

- To bardzo uprzejmie z jego strony - powiedział Fletcher. - Czy podał swoje nazwisko?

- Nie. Powiedział tylko, że żałuje, że nie mógł panu pomóc podczas wyborów, ale był zajęty transakcją przejęcia. To jeden z naszych stałych bywalców - dodał Mario. - Chyba ma coś wspólnego z Bankiem Russella.

Fletcher potoczył wzrokiem po restauracji i skinął głową, widząc, jak Nat Cartwright unosi rękę. Miał wrażenie, że gdzieś już go widział.

- Jak jej się to udało? - zapytał Tom. Był blady jak ściana.

- Sprytnie wybrała sobie ofiarę i trzeba przyznać, że nie zaniedbała żadnego szczegółu.

- Ale to nie tłumaczy...

- Skąd wiedziała, że zgodzimy się przelać pieniądze? To było łatwe

- rzekł Nat. - Kiedy już wszystkie elementy układanki znalazły się na właściwym miejscu, pozostało jej jedynie zatelefonować do Raya i polecić mu, żeby przeniósł jej rachunek do innego banku.

- Ale nasz bank zamykany jest o piątej i większość personelu wychodzi przed szóstą, szczególnie kiedy zaczyna się weekend.

- W Hartford.

- Nie rozumiem - powiedział Tom.

- Poleciała naszemu głównemu kasjerowi przelać całą sumę do banku w San Francisco, gdzie była dopiero druga po południu.

- Przecież zostawiłem ją samą tylko na kilka minut.

- Wystarczyło, żeby zdążyła zatelefonować do swojego prawnika.

- Dlaczego Ray się ze mną nie skontaktował?

- Próbował, ale nie było cię w biurze, a kiedy dotarłeś do domu, ona odwiesiła słuchawkę i nie zapominaj, że kiedy ja dzwoniłem do ciebie z Los Angeles, było wpół do czwartej, ale w Hartford wpół do siódmej i bank już był zamknięty.

- Gdybyś nie wyjechał na urlop...

- Załóż się, że to też wzięła pod uwagę - rzekł Nat.

- W jaki sposób?

- Jeden telefon do mojej sekretarki z prośbą o spotkanie w tym tygodniu i już wiedziała, że będę wtedy w Los Angeles, a nie wątpię, że to potwierdziłeś, kiedy się zobaczyliście.

- Tak - przyznał Tom po chwili wahania. - Ale to nie wyjaśnia, dlaczego Ray wyraził zgodę na transfer.

- Ponieważ ty zdeponowałeś całą kwotę na jej rachunku, a prawo w takim wypadku jest jednoznaczne: jeżeli ona prosi o transfer, nie mamy wyjścia i musimy wypełnić jej polecenie. Jak to wskazał jej prawnik, kiedy zatelefonował do Raya za dziesięć piąta, kiedy byliście w drodze do domu.

- Ale ona już podpisała czek i wręczyła go Cooke'owi.

- Tak, i gdybyś wrócił do banku i poinformował naszego głównego kasjera o tym czeku, mógłby wtedy wstrzymać się z decyzją do poniedziałku.

- Skąd miała pewność, że ja zlecę wpłatę brakującej sumy na jej rachunek?

- Nie miała jej, dlatego otworzyła rachunek w naszym banku i zdeponowała na nim pięćset tysięcy dolarów, zakładając, że uznamy, iż ma więcej niż wystarczające fundusze na kupno Cedar Wood.

- Sam mi mówiłeś, że informacje o jej firmie zgadzały się z tym, co powiedziała.

- i owszem. Kirkbridge i Spółka ma siedzibę w Nowym Jorku i osiągnęła dochód ponad miliona dolarów w zeszłym roku. A teraz niespodzianka: właścicielką większości udziałów jest Julia Kirkbridge. Tylko dlatego, że Su Ling uważała, iż Julia jest oszustką, zatelefonowałem, żeby sprawdzić i przekonać się, czy w firmie tego dnia rano odbywa się zebranie rady nadzorczej. Gdy telefonistka mnie poinformowała, że nie można przeszkadzać pani Kirkbridge, bo jest na zebraniu, ostatni klocek układanki znalazł się na swoim miejscu. To właśnie nazywam dbałością o szczegóły.

- Jednak jest jeszcze brakujące ogniwo - zauważył Tom.

- Tak, i to właśnie dało jej okazję, żeby udowodnić, iż jest nie tylko utalentowaną szachrajką, ale prawdziwie genialną oszustką. To poprawka Harry'ego Gatesa do projektu ustawy skarbowej postawiła przed nami przeszkodę, którą jak wiedziała - będziemy musieli pokonać.

- Skąd tu nagle senator Gates? - zdziwił się Tom.

- To on zaproponował poprawkę dotyczącą nieruchomości, zgodnie z którą przy wszystkich przyszłych transakcjach zawartych z radą miejską musi zostać wniesiona pełna kwota z chwilą podpisania umowy.

- Ale ja jej powiedziałem, że bank pokryje wszelkie niezbędne nadwyżki.

- Ona wiedziała, że to nie wystarczy - rzekł Nat - bo poprawka senatora wymaga, żeby główny beneficjent - Nat otworzył broszurę w miejscu, gdzie podkreślił fragment - podpisał zarówno czek, jak i umowę. W chwili gdy wróciłeś, żeby zapytać, czy ma z sobą książeczkę czekową, Julia wiedziała, że trzyma cię w garści.

- A gdybym jej powiedział, że z transakcji, nici, jeżeli nie pokryje pełnej kwoty?

- To by wróciła wieczorem do Nowego Jorku, przelała swoje pół miliona z powrotem do Chase i nigdy więcej byś o niej nie usłyszał.

- Tymczasem przywłaszczyła sobie nasze trzy miliony sto tysięcy i zabrała swoje pięćset tysięcy - rzekł Tom.

- Właśnie - potwierdził Nat. - I kiedy dziś rano zostaną otwarte banki w San Francisco, pieniądze trafią już na Kajmany via Zurych, a może nawet Moskwę, i choć oczywiście spróbuję coś zrobić, nie wierzę, że odzyskamy choćby centa.

- O, Boże - westchnął Tom. - Właśnie sobie przypomniałem, że pan Cooke dziś rano przedłoży czek do realizacji, a ja zaręczyłem słowem, że zostanie to załatwione tego samego dnia.

- Musimy więc go zrealizować - rzekł Nat. - Co innego utrata pieniędzy, a co innego narażenie na szwank reputacji banku, której wypracowanie zajęło twojemu dziadkowi i ojcu sto lat.

Tom podniósł wzrok na Nata.

- Pierwsze, co muszę zrobić, to złożyć rezygnację.

- Mimo całej twojej naiwności to ostatnie, co powinieneś uczynić. Chyba że chcesz, żeby się wszyscy dowiedzieli, jakiego z siebie zrobiłeś

głupca, i natychmiast przenieśli rachunki do Banku Fairchilda. Nie, ja teraz potrzebuję czasu, więc proponuję, żebyś wziął kilka dni wolnego. I pamiętaj, nie wspominaj o projekcie Cedar Wood, a gdyby ktoś poruszył ten temat, po prostu odeślij go do mnie.

Tom milczał chwilę, po czym rzekł:

- Jak na ironię, poprosiłem ją o rękę.

- I prawdziwy geniusz jej podszeptał, żeby się zgodzić - powiedział

Nat.

- Skąd wiesz? - zdziwił się Tom.

- To było częścią jej planu.

- Spryciara - rzekł Tom.

- Nie jestem tego pewny - powiedział Nat - bo gdybyście się zaręczyli, byłbym gotów zaproponować jej miejsce w radzie nadzorczej.

- Więc ty też się dałeś nabrać - skonstatował Toni.

- O, tak - odparł Nat - Z jej znajomością finansów nie byłaby piątym kołem u wozu, a gdyby wyszła za ciebie, zarobiłaby o wiele więcej niż te trzy miliony sto, czyli, że w grę wchodzi inny mężczyzna. - Nat zamilkł na chwilę. - Podejrzewam, że to z nim rozmawiała. - Odwrócił się, żeby odejść.

- Będę w biurze - powiedział - i pamiętaj, poruszamy ten temat tylko w cztery oczy, nigdy przez telefon ani na piśmie.

Tom skinął głową. Nat cicho zamknął za sobą drzwi.

- Dzień dobry panu - powitała go sekretarka, gdy wszedł do swojego biura. - Jak się udał urlop?

- Dobrze, dziękuję, Lindo - odparł radosnym głosem. - Nie wiem, kto się lepiej bawił w Disneylandzie, Luke czy ja. - Sekretarka się uśmiechnęła.

- Były jakieś problemy? - zagadnął.

- Nie, nie sądzę. Finalne dokumenty w sprawie przejęcia Banku Bennetta nadeszły w piątek, wobec czego od pierwszego stycznia będzie pan kierował dwoma bankami.

Albo żadnym, pomyślał Nat.

- Chciałbym rozmawiać z Julią Kirkbridge, członkinią rady nadzorczej...

- Kirkbridge i Spółki - wpadła mu w słowo Linda. Nat zdrewniał. - Prosił pan o szczegóły dotyczące jej firmy tuż przed wyjazdem na urlop.

- Tak, oczywiście - przyznał.

Nat układał sobie w myślach, co powie, kiedy sekretarka połączyła się i poinformowała go, że pani Kirkbridge jest na linii.

- Dzień dobry, nazywam się Nat Cartwright, jestem dyrektorem generalnym Banku Russella w Hartford, w stanie Connecticut.

Mamy propozycję, która może zainteresować pani firmę, a ponieważ będę dziś po południu w Nowym Jorku, chciałbym, żeby pani poświęciła mi kilka minut.

- Czy pozwoli pan, że za chwilę oddzwonię? - powiedziała z wyraźnym angielskim akcentem.

- Oczywiście - rzekł Nat. - Czekam na pani telefon.

Ciekaw był, ile czasu zajmie pani Kirkbridge ustalenie, że jest dyrektorem generalnym Banku Russella. Najwyraźniej sprawdzała, bo nawet go nie spytała o numer telefonu. Kiedy telefon znów zadzwonił, sekretarka oznajmiła, że to pani Kirkbridge.

Nat spojrział na zegarek; uwinęła się w siedem minut.

- Mogę się z panem zobaczyć dziś o wpół do trzeciej. Czy to panu odpowiada?

- Jak najbardziej - rzekł Nat.

Odłożył słuchawkę i połączył się z Lindą.

- Potrzebny mi bilet na pociąg do Nowego Jorku na dziś na wpół do dwunastej.

Następnie Nat zatelefonował do Banku Rigga w San Francisco, gdzie potwierdzono jego najgorsze obawy. Polecono im przesłać pieniądze do Banco Mexico natychmiast, gdy do nich dotarły. Nat wiedział, że stamtąd podążą za słońcem i znikną za horyzontem.

Doszedł do wniosku, że nie ma sensu powiadamiać policji jeżeli nie chce, żeby połowa banków została dopuszczona do tajemnicy.

Podejrzewał, że Julia, czy jak jej było na imię, też to przewidziała...

Nat przekopał się przez masę zaległości powstałych podczas jego urlopu, po czym wyszedł z banku, żeby złapać pociąg do Nowego Jorku. Do siedziby firmy Kirkbridge i Spółka na 97 Ulicy dotarł tuż przed umówioną godziną. Ledwo usiadł w recepcji, kiedy otworzyły się drzwi. Stała w nich elegancka, dobrze ubrana kobieta.

- Pan Cartwright?

- Tak - odparł, podnosząc się z krzesła.

- Julia Kirkbridge. Zapraszam do mojego gabinetu. - Ten sam angielski akcent. Nat nie mógł sobie przypomnieć, kiedy to członek rady nadzorczej jakiegoś przedsiębiorstwa - zwłaszcza w Nowym Jorku - wychodził po niego do recepcji, zamiast wysyłać sekretarkę.

- Zaintrygował mnie pański telefon - powiedziała pani Kirkbridge, wskazawszy Natowi wygodny fotel koło kominka. - Nieczęsto się zdarza, żeby bankier z Connecticut przyjeżdżał do mnie w odwiedziny do Nowego Jorku.

Nat wyjął z teczki papiery, usiłując ocenić siedzącą naprzeciwko kobietę. Jej ubranie, podobnie jak ubranie kobiety, która ją udawała, było świetnie skrojone, ale o wiele spokojniejsze, i choć szczupła, i w wieku około trzydziestu pięciu lat, w przeciwieństwie do blondynki z Minnesoty miała ciemne oczy i włosy.

- To proste - zaczął Nat. - Rada miejska w Hartford wystawiła na sprzedaż kolejny teren z pozwoleniem na budowę centrum handlowego. Bank nabył ten teren, traktując to jako inwestycję, i szuka wspólnika. Pomyśleliśmy, że może pani firmę to zainteresuje.

- Dlaczego nas? - spytała Julia.

- Pani firma brała udział w aukcji parceli Robinsona, co - nawiasem mówiąc - okazało się doskonałym interesem, dlatego uznaliśmy, że może zechce zaangażować się w to nowe przedsięwzięcie.

- Trochę się dziwię, że nie pomyśleliście, aby porozumieć się z nami przed aukcją - powiedziała pani Kirkbridge - bo wtedy byście się zorientowali, że uznaliśmy warunki za zbyt restrykcyjne. - Jej słowa zaskoczyły Nata. - W końcu - ciągnęła pani Kirkbridge - tym się zajmujemy.

- Tak, wiem - rzekł Nat, usiłując zyskać na czasie.

- Czy mogę spytać, za ile został sprzedany? - zapytała pani Kirkbridge.

- Trzy koma sześć miliona.

- To znacznie powyżej naszej wyceny - powiedziała pani Kirkbridge, przewracając stronę w leżącej przed nią teczce.

Nat zawsze uważał, że jest dobrym pokerzystą, ale nie miał sposobu, żeby się dowiedzieć, czy pani Kirkbridge blefuje. Miał w rękawie tylko jedną kartę...

- Cóż, przepraszam, że zmarnowałem pani czas - powiedział, podnosząc się z fotela.

- Może pan nie zmarnował - rzekła pani Kirkbridge - ponieważ nadal jestem zainteresowana pańską propozycją.

- Szukamy współnika, z którym podzielilibyśmy się po połowie - powiedział Nat, siadając z powrotem.

- Co to dokładnie znaczy? - spytała pani Kirkbridge.

- Pani firma wykłada milion osiemset tysięcy dolarów, bank finansuje resztę, a z chwilą kiedy koszty się zwrócą, wszystkie zyski dzielimy po połowie.

- Żadnych opłat bankowych i stopa procentowa jak dla pierwszorzędnym kredytobiorców?

- Rozważymy to - rzekł Nat.

- Więc proszę zostawić mi szczegółowe wyliczenia, a ja się z panem skontaktuję. Ile czasu mam na podjęcie decyzji?

- Spotykam się jeszcze w Nowym Jorku z dwoma potencjalnymi inwestorami - powiedział Nat. - Oni też uczestniczyli w aukcji parceli Robinsona.

Trudno było wyczytać z jej twarzy, czy mu uwierzyła.

- Pół godziny temu - oznajmiła z uśmiechem - miałam telefon od dyrektora rady miejskiej w Hartford, pana Cooke'a. - Nat zamarł.

- Nie przyjął tego telefonu, bo uznałam, że roztropniej będzie najpierw spotkać się z panem. Jednak trudno mi uwierzyć, żeby w Harwardzkiej Szkole Biznesu zalecano panu analizowanie tego typu przypadków, dlatego myślę, że czas, aby mi pan powiedział, dlaczego naprawdę chciał się pan ze mną zobaczyć.

Annie wiozła męża do ratusza i pierwszy raz tego dnia byli sami.

- Dlaczego po prostu nie jedziemy do domu? - rzucił Fletcher.

- Przypuszczam, że każdy kandydat tak się czuje przed liczeniem głosów.

- Wiesz, Annie, myśmy ani razu nie mówili o tym, co będę robił, jeżeli przegram.

- Zawsze uważałam, że wstąpisz do jakiejś firmy prawniczej. Mało ich pukało do naszych drzwi- Czy Simpkins i Welland nie mówili, że potrzebują kogoś, kto się specjalizuje w prawie karnym?

- Tak, nawet proponowali mi, żebym został współnikiem, ale problem w tym, że najbardziej pociąga mnie polityka. Mam na tym punkcie prawdziwego fioła, jeszcze większego niż twój ojciec.

- To niemożliwe - rzekła Annie. - Przy okazji, on mówił, żebyś skorzystał z jego miejsca parkingowego.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się Fletcher. - Tylko senator może zajmować to miejsce. Nie, zaparkujemy samochód na jednej z bocznych ulic. - Fletcher wyrzwał przez okno i zobaczył dziesiątki ludzi wstępujących po schodach ratusza.

- Gdzie oni idą? - zapytała Annie. - Chyba nie są wszyscy bliskimi krewnymi pani Hunter- Nie. - Fletcher się roześmiał. - Publiczności wolno przyglądać się liczeniu głosów z galerii. To najwyraźniej stara hartfordzka tradycja - dodał. Tymczasem Annie w końcu znalazła wolne miejsce w pewnym oddaleniu od ratusza.

Fletcher i Annie trzymali się za ręce, gdy wtapiali się w tłumek zmierzający do sali ratusza. Przez lata Fletcher oglądał wielu polityków i ich żony trzymających się za ręce w dniu wyborów i nieraz się zastanawiał, ilu z

nich celebrować ten rytuał ze względu na kamery. Ścisnął rękę Annie, gdy szli schodami i starali się wyglądać swobodnie.

- Czy czuje się pan pewny siebie? - zapytał lokalny prezenter, podtykając mikrofon Fletcherowi.

- Nie - powiedział szczerze Fletcher. - Jestem zdenerwowany jak diabli.

- Czy pan myśli, że zwyciężył pan Barbarę Hunter? - spróbował tamten jeszcze raz.

- Chętnie odpowiem na to pytanie za parę godzin.

- Czy uważa pan, że to była czysta walka?

- Pan to lepiej osądzi niż ja - rzekł Fletcher, wstępując wraz z Annie na najwyższy stopień i wchodząc do budynku.

Kiedy wkroczyli na salę, część osób siedzących na galerii powitała ich oklaskami. Fletcher spojrzał w górę, uśmiechnął się i pomachał, robiąc pewną siebie minę, chociaż wcale się tak nie czuł. Gdy opuścił wzrok, ujrzał Harry'ego. Senator był zamyślony.

Jak inaczej wyglądała dziś sala ratusza niż w dniu debaty! Znikły wszystkie krzesła i ich miejsce zajęły długie stoły ustawione w podkowę. Na środku stał Cooke, który nadzorował siedem poprzednich wyborów. Te były ostatnie, ponieważ z końcem roku odchodził na emeryturę.

Jeden z urzędników sprawdzał czarne pudła, ustawione jedno za drugim na podłodze wewnątrz podkowy. Poprzedniego dnia Cooke wyraźnie powiedział obojgu kandydatom, że liczenie głosów rozpocznie się dopiero wtedy, kiedy z lokali wyborczych nadejdzie wszystkie czterdzieści osiem urn wyborczych i zostanie poświadczona ich autentyczność. Głosowanie zakończyło się o ósmej wieczór, a ta procedura trwa około godziny.

Znowu rozległy się oklaski i gdy Fletcher obejrzał się do tyłu, zobaczył, jak na salę wchodzi Barbara Hunter; też się uśmiechała z pewną siebie miną i machała do swoich zwolenników na galerii.

Sprawdzono wszystkie czterdzieści osiem skrzynek, po czym zerwano pieczęcie i na stoły wysypano karty do głosowania. Z każdej strony stołów ustawionych w podkowę znajdowało się około setki zliczających głosy. W skład każdej grupy wchodził jeden przedstawiciel Partii Republikańskiej, jeden Partii Demokratycznej oraz neutralny obserwator, który stał krok za nimi. Jeżeli obserwatorowi coś się nie podobało w trakcie liczenia głosów, podnosił rękę i Cooke albo ktoś z jego ekipy natychmiast podchodził do tego stołu.

Kiedy karty wysypano na stół, dzielono je na trzy sterty - republikańską, demokratyczną i trzecią, mniejszą kupkę - tych, które budziły wątpliwości. W większości okręgów wyborczych w kraju używano do liczenia głosów maszyn, ale nie w Hartford, chociaż wszyscy wiedzieli, że to się zmieni, kiedy Cooke odejdzie na emeryturę.

Fletcher zaczął obchodzić salę, obserwując, jak rosną poszczególne sterty. Jimmy robił to samo, tyle że poruszał się w przeciwnym kierunku. Harry pozostał na miejscu, przyglądał się, jak odpieczętowane są urny, i prawie nie spuszczał wzroku z tego, co się działo wewnątrz podkowy. Kiedy opróżniono wszystkie urny, Cooke poprosił swoich urzędników o policzenie głosów, a następnie ułożenie kart w kupkach po sto każda.

- Tu właśnie obserwator odgrywa ważną rolę - wyjaśnił Harry Fletcherowi, który przy nim się zatrzymał. - Musi być pewien, że żadna karta nie została policzona dwa razy ani że dwie nie sklepiły się w jedną.

Fletcher skinął głową i podjął swoją wędrówkę, od czasu do czasu przystając, żeby się przyjrzeć, jak przebiega liczenie. W jednej chwili był pewny siebie, w następnej przygnębiony, aż Jimmy mu powiedział, że urny wyborcze pochodzą z różnych rejonów i trudno poznać, które z przychylnych republikanom, a które z oddanych demokratom.

- Co będzie potem? - spytał Fletcher, świadom, że Jimmy po raz czwarty uczestniczy w liczeniu głosów.

- Arthur Cooke zsumuje wszystkie karty i ogłosi, ilu ludzi wzięło udział w głosowaniu, oraz obliczy, jaki to procent elektoratu.

Fletcher popatrzył na zegar - było tuż po jedenastej; w głębi sali na wielkim ekranie ujrzał Jimmy'ego Cartera, który rozmawiał ze swoim bratem Billym. Sondaże wskazywały, że demokraci wracają do Białego Domu po raz pierwszy od ośmiu lat. Czy on pierwszy raz wejdzie, do Senatu?...

Fletcher znowu skupił uwagę na Cooke'u, który bez pośpiechu wypełniał urzędowe obowiązki. Tempo, w jakim się poruszał, nie odzwierciedlało rytmu uderzeń serca obojga kandydatów. Kiedy zgromadził wszystkie kartki, zwołał na naradę swoich urzędników i wyniki zarejestrował na kalkulatorze - było to jego jedyne ustępstwo wobec lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku. Nastąpiło naciskanie klawiszy, kiwanie głowami i pomruki, po czym na oddzielnych kartkach papieru wypisano starannie dwie liczby. Teraz Cooke majestatycznym krokiem przemierzył salę i wszedł na podium. Postukał w mikrofon, co wystarczyło, żeby zapadła cisza, ponieważ wszyscy niecierpliwie czekali na jego słowa.

- Do licha - rzekł Harry. - To już trwa ponad godzinę. Dlaczego Arthur się nie pośpieszy?

- Uspokój się - powiedziała Martha - i staraj się pamiętać, że nie jesteś już kandydatem.

- W wyborach do Senatu oddało głos czterdzieści dwa tysiące czterysta dwadzieścia dziewięć osób, co oznacza frekwencję pięćdziesięciu dwóch i dziewięciu dziesiątych procent. - Co powiedziawszy, Cooke zszedł z podium i wrócił na swoje miejsce w środku podkowy. Jego ekipa przystąpiła do sprawdzania stert liczących po sto kartek jednak upłynęły jeszcze czterdzieści dwie minuty, zanim Cooke z powrotem wdrapał się na scenę. Tym razem nie potrzebował stukać w mikrofon. - Muszę państwa poinformować - powiedział - że jest siedemdziesiąt siedem wątpliwych kart i poproszę teraz oboje kandydatów, żeby stanęli przy mnie na środku sali i zdecydowali, które są ważne.

Harry pierwszy raz w tym dniu ruszył biegiem i dopadł Fletchera, zanim ten dołączył do Cooke'a w środku podkowy.

- To znaczy - powiedział - że niezależnie od tego, które z was ma przewagę, wynosi ona mniej niż siedemdziesiąt siedem głosów, bo inaczej Cooke nie bawiłby się w korowody z odwoływaniem się do waszej opinii. - Fletcher pokiwał głową. - Musisz więc wybrać kogoś, kto sprawdzi te rozstrzygające głosy w twoim imieniu.

- To nietrudna decyzja - odparł Fletcher. - Wybieram ciebie.

- Nie sądzę - rzekł Harry. - To by wzbudziło czujność Hunter, a do tej drobnej czynności potrzebny ci jest ktoś, przez kogo nie poczuje się zagrożona.

- Może zatem Jimmy?

- Dobry pomysł, bo ona może pomyśleć, że sobie z nim poradzi.

- Nie ma szans - oznajmił Jimmy, który stanął przy Fletcherze.

- I mnie się możesz przydać - powiedział Harry tajemniczo.
- Dlaczego? - zapytał Jimmy.
- To tylko przeczucie - odparł Harry - nic więcej, ale jak przyjdzie do decydowania w sprawie tych cennych głosów, to trzeba będzie uważać na Cooke'a, nie na Barbarę Hunter.

- Ale on nic nie odważy się zrobić pod okiem nas czworga - rzekł Jimmy - nie mówiąc o tych, którzy się będą gapić na niego z galerii.

- Nawet do głowy by mu to nie przyszło - rzekł Harry. - Jest to najbardziej skrupulatny urzędnik, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, ale on nie cierpi tej Hunter.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Wydzwaniała do niego dzień w dzień, odkąd zaczęła się kampania, i domagała się danych statystycznych o wszystkim, od mieszkalnictwa do szpitali, nawet żądała prawnych opinii na temat pozwoleń na budowę, więc jestem pewny, że nie będzie zachwycony pomysłem, iż ona wejdzie do Senatu. Ma wystarczająco dużo na głowie i nie potrzebuje, by mu ktoś taki jak Barbara Hunter zajmował każdą wolną chwilę.

- Ale mówiłeś, że on nic nie może zrobić.

- Nic nielegalnego - rzekł Harry. - Ale jeżeli dojdzie do niezgodności opinii na temat jakiegoś głosu, zostanie poproszony o rozstrzygnięcie, więc jeżeli coś zarekomenduje, powiedz tylko: „Tak, proszę pana”;; nawet jeżeli w tym momencie pomyślisz, że to jest korzystne dla Hunter.

- Chyba rozumiem - rzekł Fletcher.

- Nie mam pojęcia, o co chodzi - westchnął Jimmy.

Su Ling zlustrowała wzrokiem stół w jadalni. Kiedy zabrzmiał dzwonek u drzwi, nie fatygowała się, żeby zawołać Nata, bo wiedziała, że znowu czyta „Kota Prota”. Gdy doszli do ostatniej strony, Luke zawsze prosił: „Tato, przeczytaj jeszcze raz”. Su Ling otworzyła drzwi i ujrzała Toma z bukietem tulipanów w ręku. Wyściskała go, jakby od czasu ich ostatniego spotkania nic się nie wydarzyło.

- Wyjdiesz za mnie? - spytał Tom.

- Jeżeli potrafisz gotować, czytać „Kota Prota”, otworzyć drzwi i nakryć do stołu w tym samym czasie, poważnie zastanowię się nad twoją propozycją. - Su Ling wzięła kwiaty. - Dziękuję ci, Tom - powiedziała, całując go w policzek. - Będą pięknie wyglądały na stole jadalnym. - Uśmiechnęła się. - Tak mi przykro z powodu Julii Kirkbridge czy jak się ona zowie.

- Nigdy więcej nie wspominaj przy mnie o tej kobiecie - powiedział Tom. - W przyszłości będziemy jadać kolacje tylko we troje, po prostu menage d trois, niestety z wykluczeniem menage.

- Ale nie dziś wieczór - rzekła Su Ling. - Nat ci nie mówił? Zaprosił kogoś, z kim łączą go interesy. Myślałam, że o tym wiesz i że jak zwykle tylko ja jestem powiadamiana w ostatniej chwili.

- Nic mi nie wspominał - odparł Tom. W tym momencie zadzwonił dzwonek.

- Ja otworzę - oznajmił Nat, zbiegając po schodach.

- Obiecujcie mi, że nie będziecie przez cały wieczór mówić o sprawach zawodowych, bo chciałabym się dowiedzieć, jak było w Londynie...

- Jak miło znowu cię widzieć - rzekł Nat.

- To był taki krótki wypad - odparł Tom.

- Pomogę ci zdjąć płaszcz - zaofiarował się Nat.

- Tak, ale czy udało ci się obejrzeć jakąś sztukę?
- ...tak, widziałem Judi... - zaczął Tom i urwał na widok gościa, którego Nat wprowadził do salonu.

- Pozwól, że najpierw przedstawię cię mojej żonie, Su Ling. Kochanie, to jest Julia Kirkbridge, która, jak wiesz, jest naszą współpracowniczką w projekcie Cedar Wood.

- Miło mi panią poznać, pani Cartwright.
Su Ling ochłonęła prędzej niż Tom.

- Proszę mi mówić Su Ling.
- Julio, to przewodniczący rady nadzorczej naszego banku, Tom Russell, który nie mógł się doczekać, żeby cię poznać.

- Dobry wieczór panu. Nat mi o panu opowiadał. Też się cieszyłam, że pana poznam.
Tom uściśnął jej rękę, ale nie wiedział, co powiedzieć.

- Wypijmy kieliszek szampana, żeby uczcić podpisanie kontraktu.
- Kontraktu? - wymamrotał Tom.
- Doskonały pomysł - powiedziała Julia. Nat otworzył butelkę i napełnił trzy kieliszki, natomiast Su Ling zniknęła w kuchni. Tom wpatrywał się w drugą panią Kirkbridge, tymczasem Nat wręczył obojgu po kieliszku szampana.

- Za projekt Cedar Wood - rzekł Nat, unosząc kieliszek.
- Za projekt Cedar Wood - powtórzył Tom, któremu te słowa z trudem przeszły przez gardło.
Su Ling pojawiła się, uśmiechnęła do męża i powiedziała:
- Może poprosiłbyś naszych gości na kolację?
- Julio, chyba powinienem wyjaśnić mojej żonie i Tomowi, że nie mamy żadnych sekretów.
- Absolutnie nie, Nat - powiedziała Julia z uśmiechem - zwłaszcza że podpisaliśmy umowę o zachowaniu poufności, jeżeli chodzi o szczegóły transakcji Cedar Wood.

- Tak, i myślę, że tak powinno zostać - rzekł Nat, uśmiechając się do niej. Su Ling postawiła na stole pierwsze danie.

- Pani Kirkbridge - odezwał się Tom, nie tknąwszy zupy z homara.
- Proszę mówić mi Julio; w końcu znamy się już pewien czas.
- Naprawdę? - zdziwił się Tom. - Nie mogę sobie...
- Tom, czy nie pamiętasz? - powiedziała pani Kirkbridge. - Przecież zaledwie kilka tygodni temu, kiedy sobie biegałam, zaprosiłeś mnie na drinka, a potem następnego wieczoru do Cascade? Wtedy pierwszy raz ci powiedziałam, że interesuję się projektem Cedar Wood.

Tom zwrócił się do Nata...
- To bardzo sprytne, ale chyba zapomniałeś, że Cooke, licytator i nasz główny kasjer spotkali pierwszą panią Kirkbridge.
- Owszem, pierwszą, ale nie prawdziwą - rzekł Nat. - Przemyślałem tę sprawę. Jeżeli chodzi o licytatora, to ty licytowałeś, nie Julia, Rayem nie musisz się przejmować, bo przeniosę go do oddziału w Newington.

- A ze strony Nowego Jorku? - spytał Tom.
- Nic nie wiedzą - poinformowała go Julia - poza tym, że zawarłam bardzo korzystną transakcję. - Zamilkła na chwilę. - Su Ling, co za przepyszna zupa z homara. Uwielbiam ją.
- Dziękuję - rzekła Su Ling. Sprzątnęła miseczki i wróciła do kuchni.
- I Tom, póki Su Ling nie ma w pokoju, chcę ci powiedzieć, że wolałbym zapomnieć o różnych drobnych grzeszkach, do których, jak niesie

plotka, doszło w zeszłym miesiącu.

- Ty draniu - rzekł Tom, odwracając się do Nata.

- Nie, prawdę mówiąc - wtrąciła Julia - to ja nalegałam, żeby powiedziano mi wszystko przed podpisaniem umowy o zachowaniu poufności.

Wróciła Su Ling z potrawami. Zapach pieczeni jagnięcej był kuszący.

- Teraz już się domyślam, dlaczego Nat prosił, żebym drugi raz podała takie same potrawy, chciałam jednak spytać, ile jeszcze powinnam wiedzieć, żeby rozwiązać tę szaradę?

- Co byś chciała wiedzieć? - spytała Julia.

- No cóż, domyśliłam się, że to ty jesteś prawdziwa i wobec tego musisz być właścicielką pakietu większościowego akcji spółki Kirkbridge, ale nie wiem, czy to prawda, że na prośbę męża uprawiałaś jogging na placach budowlanych w niedzielne ranki, a potem zdawałaś mu sprawozdania- Nie. - Julia się roześmiała. - Mój mąż nie żądał tego ode mnie, ponieważ ja mam dyplom z architektury.

- Czy mogę spytać - ciągnęła Su Ling - czy pan Kirkbridge umarł na raka i tobie zostawił firmę, uprzednio nauczysz cię wszystkiego, co wiedział - Nie, on żyje, ale rozwiodłam się z nim dwa lata temu, kiedy odkryłam, że wyprowadza z firmy pieniądze na swój prywatny użytek.

- Ale czy firma nie była jego własnością? - spytał Tom.

- Tak, i nie miałabym mu tego za złe, gdyby nie to, że wydawał te pieniądze na inną kobietę.

- Czy przypadkiem ta kobieta nie miała około pięciu stóp i ośmiu cali wzrostu, blond włosów, upodobania do drogich strojów i nie pochodziła z Minnesoty- Widocznie ją spotkałaś - powiedziała Julia - i przypuszczam, że to mój eksmąż dzwonił do was z banku w San Francisco, twierdząc, że jest prawnikiem pani Kirkbridge.

- Czy wiesz przypadkiem, gdzie oni oboje mogą teraz być? - zagadnął Tom. - Bo chętnie bym ich zabił.

- Czy ktoś ma ochotę na creme brulee? - spytała Su Ling.

- Jak tamta pani Kirkbridge odpowiedziała na tę propozycję? - zagadnęła Julia.

Ludzie wychylali się z balkonu, obserwując każde poruszenie członków komisji, i zdawało się, że Cooke chce, aby wszyscy w sali ratusza byli świadkami tego, co się dzieje. Fletcher i Jimmy zostawili senatora i dołączyli do pani Hunter i jej przedstawicieli w środku utworzonej ze stołów podkowy.

- Jest siedemdziesiąt siedem wątpliwych kart wyborczych - zwrócił się Cooke do obojga kandydatów - z których, jak myślę, czterdzieści trzy są nieważne, natomiast co do pozostałych trzydziestu czterech istnieją wątpliwości. - Kandydaci skinęli głowami. - Najpierw pokażę wam te czterdzieści trzy - powiedział przewodniczący komisji wyborczej, kładąc rękę na większej kupce - które uważam za nieważne. Jeżeli się ze mną zgodzicie, przedstawię wam pozostałe trzydzieści cztery, które budzą wątpliwości. - Przeniósł rękę na mniejszą kupkę. Oboje kandydaci ponownie skinęli głowami. - Powiedzcie tylko „nie”, jeżeli się nie zgadzacie - rzekł Cooke, odwracając kolejno karty z większej kupki; wszystkie były puste. Ani kandydat, ani kandydatka nie wyrazili sprzeciwu, dzięki czemu ta czynność zabrała Cooke'owi niecałe dwie minuty.

- Doskonale - rzekł Cooke i odsunął na bok przejrane karty

wyborcze - ale teraz musimy zastanowić się nad decydującymi trzydziestoma czterema. - Fletcher odnotował słowo „decydujące” i zdał sobie sprawę, jak zbliżona musi być liczba głosów - W przeszłości, jeżeli obydwie strony nie mogły dojść do porozumienia - ciągnął Cooke - podjęcie ostatecznej decyzji powierzano komuś trzeciemu. - Zawiesił głos.

- Gdyby były jakiegóż wątpliwości - zwrócił się do niego Fletcher - chętnie się podporządkuję pańskiej decyzji.

Barbara Hunter nie zareagowała od razu, tylko zaczęła szeptać ze swoim doradcą. Wszyscy czekali cierpliwie na jej odpowiedź.

- Ja również się zgadzam, żeby pan Cooke był arbitrem - oświadczyła w końcu.

Cooke lekko się skłonił.

- Z trzydziestu czterech głosów w omawianym stosiku - powiedział - jedenaście można szybko załatwić gdyż są to, z braku lepszego określenia, zwolennicy Harry'ego Gatesa. - Ułożył na stole jedenaście kart, na których przez całą szerokość napisano: Harry Gates.

Fletcher i Barbara Hunter obejrżeli każdą z nich.

- To oczywiste, że są nieważne - orzekła Barbara Hunter.

- Jednak na dwóch - ciągnął Cooke - jest także krzyżyk przy nazwisku pana Davenporta.

- Mimo to muszą być nieważne - powiedziała Hunter - bo wyraźnie jest na nich napisane nazwisko pana Gatesa.

- Ale... - zaczął Jimmy.

- Ponieważ co do tych dwóch głosów jest wyraźna niezgodność opinii - rzekł Fletcher - chętnie dostosuję się do decyzji pana Cooke'a.

Cooke spojrział na panią Hunter, która niechętnie skinęła głową.

- Zgadzam się, że kartka, na której w poprzek napisano „Gates powinien być prezydentem”, istotnie jest nieważna. - Barbara Hunter się uśmiechnęła. - Jednakże ta, na której postawiono krzyżyk przy nazwisku Davenport i dopisano „ale wolałbym Gatesa”, jest moim zdaniem, według przepisów wyborczych, wyraźnym wskazaniem intencji głosującego i dlatego uznaję, że jest to głos oddany na pana Davenporta. - Pani Hunter wyglądała na zirytowaną, ale świadoma obecności tłumu przyglądającego się z galerii zdobyła się na wymuszony uśmiech. - Teraz zajmiemy się siedmioma głosami, gdzie na kartach występuje nazwisko pani Hunter.

- Z pewnością wszystkie należy zaliczyć na moją korzyść - rzekła Hunter, kiedy Cooke ułożył porządnie karty jedna obok drugiej, aby kandydaci mogli się im przyjrzeć.

- Nie sądzę - odparł Cooke.

Na pierwszej karcie widniały słowa „Hunter jest zwyciężczynią”, a przy nazwisku kandydatki widniał krzyżyk.

- Ta osoba niewątpliwie głosowała na panią Hunter - rzekł Fletcher.

- Zgadzam się - powiedział Cooke. Na galerii zerwały się oklaski.

- Uczciwość tego chłopca będzie jego klęską - zauważył Harry.

- Albo jego zwycięstwem - rzekła Martha.

„Hunter będzie dyktatorem” - widniały słowa na następnej karcie; ale przy żadnym nazwisku nie było krzyżyka.

- Uważam, że ten głos jest nieważny - ogłosił Cooke. Barbara Hunter niechętnie przytaknęła skinieniem głowy.

- Chociaż jest właściwy - mruknął pod nosem Jimmy.

Karty z napisami: „Hunter to suka”, „Hunter należałoby zastrzelić”, „Hunter to wariatka”, „Hunter to nieudacznica”, „Hunter na papieża” także

uznane zostały za nieważne. Barbara Hunter nie wrywała się z sugestią, że któraś z nich typuje ją na przyszłego senatora Hartford...

- Teraz przechodzimy do ostatniej grupy, składającej się z szesnastu kart - oznajmił Cooke. - Głosujący nie „użyli w nich krzyżyka na oznaczenie swoich preferencji. - Szesnastcie kart ułożono w osobny stosik, a na tej na wierzchu w kratce obok nazwiska Hunter widniał znaczek.

- To wyraźnie głos na mnie - powiedziała kandydatka republikanów.

- Zgodzę się z panią - przyznał Cooke. - Jak się zdaje, wyborca jasno wyraził swoje życzenie, ale potrzebuję akceptacji pana Davenporta, nim będę mógł kontynuować.

Fletcher podniósł wzrok i spotkał spojrzenie Harry'ego. Senator lekko skinął głową.

- Zgadza się, że to wyraźny głos na panią Hunter - powiedział Fletcher. Z galerii ponownie dobiegły brawa; klaskali zwolennicy Hunter. Cooke usunął wierzchnią kartę i odsłonił kolejną, na której też w kratce przy nazwisku Hunter był znaczek.

- Skoro zgodziliśmy się co do zasady - powiedziała kandydatka - ten głos też należy uznać jako mój.

- Nie mam nic przeciwko temu - oświadczył Fletcher.

- Zatem te dwa głosy zaliczamy na korzyść pani Hunter - podsumował Cooke. Podniósł drugą kartkę i odsłonił kolejną, na której przy nazwisku Fletchera widniał znaczek. Kandydatka i kandydat skinęli głowami.

- Dwa do jednego na korzyść Hunter, oznajmił Cooke, po czym odłożył tę kartkę, odsłaniając spodnią, na której postawiono znaczek przy nazwisku kandydatki.

- Trzy do jednego - powiedziała, uśmiechając się z wyższością.

Fletcher pomyślał, że może Harry pomylił się w swej ocenie. Cooke odłożył na bok kartkę i ukazała się następna, ze znaczkiem przy nazwisku Fletchera.

- Trzy do dwóch - ogłosił Jimmy. Tymczasem dyrektor administracyjny rady miejskiej zaczął szybciej podnosić kolejne kartki.

Na każdej widać było wyraźny znaczek, więc żadne z kandydatów nie mogło wyrażać sprzeciwu. Tłumek na galerii skandował - trzy do trzech, cztery do trzech - na korzyść Fletchera - pięć do trzech, jedenaście do czterech i na koniec dwanaście do czterech dla Fletchera.

Hunter nie kryła gniewu, kiedy Cooke, patrząc na galerię, obwieścił:

- Na tym kończymy sprawdzanie popsutych kart wyborczych, przy ogólnym wyniku czternastu głosów na pana Davenporta i sześciu na panią Hunter. - Następnie. Cooke zwrócił się do kandydatów i rzekł: - Dziękuję państwu za wielkoduszność okazaną podczas tej procedury.

Harry pozwolił sobie na uśmiech, dołączając się do oklasków, jakie powitały oświadczenie Cooke'a. Fletcher prędko opuścił swoje miejsce w środku podkowy i podszedł do teścia, który stał na zewnątrz.

- Chłopcze, jeżeli wygrasz mniej niż ośmioma głosami, będziemy wiedzieli, komu dziękować, bo teraz Hunter nic nie może poradzić. - Kiedy poznamy wynik? - spytał Fletcher.

- Głosowania? Za kilka minut - odparł Harry. - Ale podejrzewam, że ostateczny rezultat rozstrzygnie się nie wcześniej niż za kilka godzin.

Cooke przypatrzył się liczbom na kalkulatorze, a potem przepisał je na kartkę papieru, którą posłusznie podpisali jego urzędnicy.

Po raz trzeci powrócił na podium.

- Skoro obie strony zgodziły się w sprawie wątpliwych głosów, mogą teraz państwa poinformować, że rezultat wyborów do Senatu z okręgu Hartford jest następujący: pan Fletcher Davenport otrzymał dwadzieścia jeden tysięcy dwieście osiemnaście głosów, pani Barbara Hunter dwadzieścia jeden tysięcy dwieście jedenaście głosów. - Harry się uśmiechnął.

Cooke nawet nie próbował przekrzyczeć wrzawy, która wybuchła, ale kiedy publiczność ponownie skupiła na nim uwagę, uprzedzając żądanie Hunter, oznajmił:

- Odbędzie się ponowne liczenie głosów.

Harry i Jimmy okrążali salę, każdemu ze swoich obserwatorów rzucając tylko dwa słowa: „Skup się”. Pięćdziesiąt minut później odkryto, że w trzech kupkach było tylko dziewięćdziesiąt dziewięć kartek z głosami, a w innych czterech - sto jeden. Cooke sam sprawdził owych siedem niewłaściwych kupek trzeci raz, po czym wszedł znowu na podium.

- Ogłaszam rezultat wyborów do Senatu z okręgu Hartford: pan Davenport otrzymał dwadzieścia jeden tysięcy dwieście siedemnaście głosów, pani Hunter - dwadzieścia jeden tysięcy dwieście trzydzieści. - Cooke musiał trochę odczekać, nim zdołał przekrzyczeć tłum: - Pani Hunter znowu poprosiła o ponowne przeliczenie.

Tym razem wiwaty przemieszały się z okrzykami niezadowolenia, a publiczność na galerii znowu usiadła, żeby obserwować liczących, którzy zaczęli wszystko od nowa. Cooke pilnował, żeby każdy stosik sprawdzić dwukrotnie, a jeżeli zaistniały jakieś wątpliwości, sam przeliczał kartki. Wstąpił na podium dopiero kilka minut po pierwszej w nocy i poprosił obojga kandydatów, żeby przy nim stanęli. Postukał w mikrofon, sprawdzając, czy nadal działa.

- Ogłaszam wynik wyborów do Senatu z okręgu Hartford: pan Fletcher Davenport otrzymał dwadzieścia jeden tysięcy dwieście szesnaście głosów, pani Barbara Hunter - dwadzieścia jeden tysięcy dwieście czternaście. - Wiwaty i okrzyki niezadowolenia były jeszcze głośniejsze niż przedtem i upłynęło kilka minut, zanim publiczność przywołano do porządku. Pani Hunter przechyliła się do Cooke'a i scenicznym szeptem zaproponowała, że skoro jest już po pierwszej, członkowie rady miejskiej powinni pójść do domów, a rano należy przeprowadzić jeszcze jedno liczenie głosów.

Cooke grzecznie wysłuchał protestów kandydatki republikanów, po czym wrócił do mikrofonu. Jednakże najwyraźniej przewidział każdą ewentualność.

- Mam tutaj - oznajmił - oficjalny informator wyborczy. - Uniósł go niczym księżkę Biblię. - Orzeczenie na stronie dziewięćdziesiątej pierwszej. Przeczytam właściwy fragment. - Sala zamarła w oczekiwaniu na słowa Cooke'a. - Jeżeli w wyborach do Senatu jakiś kandydat zwycięży w trzykrotnym z rzędu liczeniu głosów, niezależnie od tego jak niewielką większością, zostaje ogłoszony zwycięzcą. Wobec tego ogłaszam pana... - Dalsze jego słowa utonęły wśród okrzyków rozradowanych zwolenników Fletchera. Harry Gates obrócił się i uściśnął zięciowi rękę. - W ogólnej wrzawie Fletcher nie mógł dosłyszeć słów byłego senatora. Wydawało mu się, że Harry powiedział:

- Pozwól, że pierwszy ci pogratuluje, senatorze.

Księga Czwarta
Dzieje

Nat przeczytał krótką informację w „New York Timesie” w pociągu, którym wracał z Nowego Jorku. Uczestniczył w posiedzeniu rady nadzorczej firmy Kirkbridge i Spółka, podczas którego złożył sprawozdanie, że pierwszy etap budowy na terenie Cedar Wood został zakończony. W następnej fazie planowano wydzierżawić siedemdziesiąt trzy sklepy, których powierzchnia sięgała od tysiąca do dwunastu tysięcy stóp kwadratowych. Wielu dobrze prosperujących detalistów z terenu Robinsona wykazało już zainteresowanie i firma Kirkbridge i Spółka przygotowywała prospekt i formularz podania dla kilkuset potencjalnych klientów. Nat zarezerwował także całostronicowe ogłoszenie w „Hartford Courant” i umówił się na wywiad, dotyczący projektu inwestycyjnego, który miał zostać zamieszczony w cotygodniowej wkładce gazety o nieruchomościach.

George Turner, nowy dyrektor administracyjny rady miejskiej, nie mógł się nachwalić przedsięwzięcia i w dorocznym raporcie podkreślił zasługi pani Kirkbridge jako koordynatora projektu. Na początku roku Turner odwiedził Bank Russella, ale dopiero wtedy, kiedy Ray Jackson dostał awans na kierownika oddziału w Newington.

Postępy Toma były nieco powolniejsze, gdyż trwało siedem miesięcy, nim zdobył się na odwagę i zaprosił Julię na kolację. Jej do namysłu wystarczyło siedem sekund...

Po kilku tygodniach Tom w każde piątkowe popołudnie o czwartej czterdzieści dziewięć wsiadał do pociągu do Nowego Jorku, a wracał do Hartford w poniedziałek rano. Su Ling domagała się sprawozdań z rozwoju romansu, ale Nat był zadziwiająco jak na niego niedoinformowany.

- Może dowiemy się więcej w piątek - powiedział, przypominając, że Julia przyjedzie na weekend i że oboje przyjęli zaproszenie do nich na kolację.

Nat ponownie przeczytał wzmiankę w „New York Timesie”, która nie zawierała żadnych szczegółów i dawała wiele do myślenia.

William Alexander z firmy prawniczej Alexander, Dupont i Bell ogłosił, że rezygnuje ze stanowiska starszego wspólnika firmy założonej przez jego dziadka. Ograniczył się do komentarza, że od pewnego czasu zamierzał przejść na wcześniejszą emeryturę.

Nat wyjrzał przez okno i wpatrzył się w umykający do tyłu wiejski krajobraz. Nazwisko brzmiało znajomo, ale go nie kojarzył.

- Senatorze, pan Logan Fitzgerald na pierwszej linii.

- Dziękuję, Sally. - Fletcher otrzymywał ponad sto telefonów dziennie, ale jego sekretarka tylko wtedy je łączyła, gdy wiedziała, że są to jego starzy przyjaciele albo ludzie mający pilną sprawę.

- Logan, miło cię słyszeć. Jak się czujesz?

- Dobrze, Fletcher, a ty?

- Fantastycznie - odparł Fletcher.

- A jak rodzina? - spytał Logan.

- Annie wciąż mnie kocha, nie wiadomo dlaczego, bo rzadko wychodzę z tego budynku przed dziesiątą wieczór, Lucy jest w szkole podstawowej w Hartford i zapisaliśmy ją do Hotchkissa. A co u ciebie?

- Właśnie zostałem wspólnikiem - rzekł Logan.

- To mnie nie dziwi - powiedział Fletcher - ale gratuluję.

- Dziękuję, ale nie dlatego dzwonię. Chciałem zapytać, czy zauważyłeś wzmiankę o rezygnacji Alexandra w „Timesie”?

Na sam dźwięk tego nazwiska Fletcher poczuł, jak przejmuje go dreszcz.

- Nie - odparł. Przechylił się przez biurko i schwycił gazetę. - Na której stronie?

- Na siódmej, z prawej strony - u dołu.

Fletcher szybko przerzucił strony gazety, póki nie zauważył tytułu „Rezygnacja wybitnego prawnika”

- Poczekaj chwilę, przeczytam. - Przebiegł informację wzrokiem i powiedział: - Coś się tu nie zgadza. On był zaślubiony tej firmie, a chyba jeszcze nie skończył sześćdziesięciu lat.

- Ma pięćdziesiąt siedem - rzekł Logan.

- Przecież dla wspólnika ustawowy wiek emerytalny to sześćdziesiąt pięć lat, a nawet potem firmy zachowują go na stanowisku doradcy, póki nie skończy siedemdziesiątki. To się nie trzyma kupy.

Chyba że trochę pogrzebiesz.

- A jak pogrzebie, to co znajdzie? - spytał Fletcher.

- Dziurę.

- Dziurę?

- Tak, podobno z rachunku pewnego klienta wyparowała duża kwota, kiedy...

- Nie znoszę Billa Alexandra - wpadł mu w słowo Fletcher - ale nie wierzę, żeby wyjął choć jednego centa z rachunku klienta. Ręczę za to moją reputacją.

- Zgadzam się z tobą, ale bardziej cię zainteresuje, że „New York Times” nie zadał sobie trudu, żeby podać nazwisko innego wspólnika, który zrezygnował tego samego dnia.

- Zamieniam się w słuch.

- Chodzi o Ralpa Elliota.

- Obaj odeszli w jednym dniu?

- Tak jest.

- Jaki powód rezygnacji podał Elliot? Z pewnością nie ten, że planuje przejście na wcześniejszą emeryturę.

- Elliot nie podał żadnego powodu. Rzeczniczka prasowa firmy podobno powiedziała, że nie udało się uzyskać od niego komentarza, co jest ewenementem.

- Czy coś jeszcze dodała? - spytał Fletcher.

- Tylko tyle, że był młodszym wspólnikiem, ale nie wspomniała, że jest też bratankiem Alexandra.

- Czyli że z rachunku klienta znika duża suma, a wujek Bili woli dostać po głowie, niż stawiać firmę w kłopotliwym położeniu.

- Na to wygląda - przyświadczył Logan.

Odkładając słuchawkę, Fletcher poczuł, jak pocałował mu się dłoń.

Tom wpadł do gabinetu Nata.

- Czy zauważyłeś wzmiankę w „New York Timesie” o rezygnacji Billa Alexandra?

- Tak, pamiętam to nazwisko, ale nie wiem, z jakiego powodu.

- To nazwa firmy prawniczej, do której wstąpił Elliot po ukończeniu Stanfordu.

- Ach, tak - rzekł Nat, odkładając pióro, - Więc teraz on został starszym wspólnikiem?

- Nie, jest drugim wspólnikiem, który złożył rezygnację. Joe Stein mówił, że z rachunku klienta zginęło pół miliona dolarów i wspólnicy musieli pokryć brakującą kwotę ze swoich zarobków. Wszyscy mówią, że to Ralph Elliot.

- Ale dlaczego starszy wspólnik musiał zrezygnować, skoro winien jest Elliot?

- Bo Elliot jest jego bratankiem i dzięki protekcji Alexandra został najmłodszym wspólnikiem w dziejach firmy.

- Siedź cicho, a zemsta nawiedzi twoich wrogów.

- Nie sądzę - rzekł Tom. - Może raczej nawiedzić Hartford.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - spytał Nat.

- On rozpowiada, że Rebeka tęskni do przyjaciół, wraca więc z żoną do domu.

- Ona jest jego żoną?

- Tak. Joe mówi, że wzięli niedawno ślub w urzędzie stanu cywilnego w Nowym Jorku, ale dopiero wtedy gdy ona też przypominała wielkie jabłko.

- Ciekawe, kto jest ojcem - Nat mruknął pod nosem.

- Ralph otworzył rachunek w naszym oddziale w Newington, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że jesteś dyrektorem generalnym banku.

- Elliot dobrze wie, kto jest dyrektorem generalnym tego banku.

Upewnijmy się, czy nie ulokuje pół miliona - powiedział Nat z uśmiechem.

- Joe mówi, że nie ma żadnego dowodu, co więcej Alexander ma opinię człowieka dyskretnego, więc się nie spodziewaj, że dowiesz się czegoś więcej na ten temat.

- Elliot - Nat spojrzał Tpm - nie wracałby tutaj, gdyby nie proponowano mu pracy. Jest na to zbyt dumny - Ale kto był tak lekkomyślny, żeby go zatrudnić?

Senator podniósł słuchawkę pierwszego telefonu.

- Pan Gates - oznajmiła sekretarka.

- Interesy czy przyjemność? - spytał Fletcher, kiedy usłyszał Jimmy'ego.

- Niestety, nic przyjemnego - odparł Jimmy. - Słyszałeś, że Ralph Elliot jest w mieście?

- Nie. Logan telefonował rano i mówił, że on zrezygnował z firmy, ale nie wspomniał, że wraca do Hartford.

- Tak, będzie wspólnikiem u Belmana i Waylanda, odpowiedzialnym za interesy spółek. Umowa jest taka, że w przyszłości firma zmieni nazwę na: Belman, Wayland i Elliot. - Fletcher się nie odzywał. - Jesteś tam? - spytał Jimmy.

- Tak, jestem - rzekł Fletcher. - Czy zdajesz sobie sprawę, że ta firma prawnicza reprezentuje radę miejską?

- I jest naszym największym rywalem.

„- A już myślałem, że go więcej nie spotkam.

- Zawsze możesz się przenieść na Alaskę - poradził Jimmy. - Gdzieś czytałem, że rozglądają się za nowym senatorem... - On też by tam za mną trafił.

- Nie ma powodu, żeby jego obecność miała nam spędzać sen z oczu. - rzekł Jimmy. - Uzna, że wiemy o brakujących pięciuset tysiącach będzie siedział cicho, póki pogłoski nie ucichną.

- Ralph Elliot nie wie, co to siedzieć cicho. Wtargnie do miasta z dwoma rewolwerami w garści, wymierzonymi prosto w nas.

- Czego się jeszcze dowiedziałeś? - zapytał Nat podnosząc wzrok znad biurka.

- Oni z Rebeką mają już syna i słyszałem, że zapisali go do Tafta. -

Mam tylko nadzieję, że jest młodszy niż Luke, bo jeśli nie, to wyślę chłopaka do Hotchkissa... i Tom się roześmiał.

- Mówię poważnie - rzekł Nat. - Luke jest i tak wrażliwym dzieckiem, po co mu jeszcze dodatkowy stres.

- Cóż, trzeba jeszcze wziąć pod uwagę konsekwencje, jakie dla banku będzie miało jego przystąpienie do firmy Belman i Wayland.

- I Elliot - dodał Nat.

- Nie zapominaj, że prawnicy z tej firmy nadzorowali projekt Cedar Wood w imieniu rady miejskiej i jeżeli on kiedyś odkryje...

- Nie ma powodu, żeby, to zrobił - powiedział Nat - ale lepiej ostrzeż Julię, chociaż od tamtej pory upłynęły dwa lata, i nie zapominaj, że Ray też się przeniósł. Tylko cztery osoby, znają tę historię, i jedną z nich jest moja żona.

- A ja mam zamiar ożenić się z drugą - rzekł Tom.

- Co takiego? - spytał Nat z niedowierzaniem.

- Oświadczam się Julii od półtora roku i ostatniej nocy wreszcie uległa. Więc jutro przyprowadzę na kolację narzeczoną.

- To fantastyczna nowina - powiedział Nat z zachwytem.

- Ale Nat, nie czekaj do ostatniej chwili z poinformowaniem o tym Su Ling.

- To tylko strzał ze straszaka - powiedział Harry, odpowiadając na pytanie Fletchera.

- To nie straszak, to armata - zareagował Fletcher. - Ralph Elliot nie traci czasu na straszenie, dlatego musimy się dowiedzieć, co szykuje.

- Nie mam pojęcia - rzekł Harry. - Mogę tylko powiedzieć, że telefonował do mnie George Turner, aby mnie uprzedzić, że Elliot zażądał wszystkich dokumentów dotyczących transakcji przeprowadzonych kiedykolwiek przez bank, a wczoraj rano poprosił o podanie więcej szczegółów dotyczących projektu Cedar Wood, a zwłaszcza pierwotnych warunków umowy, jakie rekomendowałem w Senacie.

- Dlaczego czepia się projektu Cedar Wood- Okazało się, że to wielki sukces, jest mnóstwo chętnych, którzy ubiegają się o wydzierżawienie tam miejsca. Co on kombinuje?

- Chciał też zobaczyć wszystkie moje - przemówienia i wszelkie notatki, jakie poczyniłem, wnosząc poprawkę Gatesa. Nikt nigdy nie prosił mnie o moje stare przemówienia, nie mówiąc o notatkach - rzekł Harry. - To bardzo pochlebne.

- On pochlebia tylko po to, żeby zwieść - powiedział Fletcher. - Czy możesz mi przypomnieć najistotniejsze punkty poprawki Gatesa?

- Nalegałem, aby nabywca terenów od rady miejskiej o wartości powyżej miliona podawał swoje nazwisko i nie mógł ukryć tożsamości za fasadą banku albo firmy prawniczej, tak żebyśmy wiedzieli, z kim mamy do czynienia. Ponadto miał wpłacić pełną kwotę przy podpisaniu kontraktu, by dowieść, że firma jest wiarygodna. Chodziło o to, żeby uniknąć opóźnień.

- Ale teraz wszyscy to praktykują. Jest faktem, że kilka innych stanów poszło za twoim przykładem.

- To może być po prostu niewinna próba zasięgnięcia informacji.

- Widać, że nigdy nie miałeś do czynienia z Ralphem Elliotem - rzekł Fletcher. - W jego repertuarze nie ma słowa „niewinny”. Jednakże w przeszłości zawsze starannie wybierał sobie wrogów. Jak kilka razy go przewiozą koło Biblioteki Gatesa, może uznać, że lepiej nie wchodzić ci w drogę. Ale uważaj, on coś szykuje.

- Przy okazji - rzekł Harry. - Czy ktoś ci powiedział o Jimmym i Joannie?.

- Nie - odparł Fletcher.

- To będę milczał. Jestem pewien, że Jimmy powie ci w swoim czasie.

- Tom, moje gratulacje - powiedziała Su Ling, otworzywszy frontowe drzwi. - Bardzo się cieszę!

- To uprzejme z twojej strony - rzekła Julia. Tom wręczył gospodyni bukiet kwiatów.

- Kiedy się pobierzecie?

- W sierpniu - odparł Tom. - Jeszcze nie ustaliliśmy daty, na wypadek gdybyście ty i Luke wybierali się znowu do Disneylandu albo Nat został powołany na pewien czas na ćwiczenia jako rezerwista.

- Disneyland to sprawa przeszłości - rzekła Su Ling. - Czy uwierzycie, że Luke teraz mówi o Rzymie, Wenecji, a nawet Arles - a Nat ma się stawić w Fort Benning dopiero w październiku.

- Dlaczego Arles? - zdziwił się Tom.

- Bo tam van Gogh malował pod koniec życia - poinformowała go Julia.

- Julio, cieszę się, że jesteś - powiedział Nat, wchodząc do pokoju - bo Luke chciałby się ciebie poradzić, gdyż ma moralny dylemat.

- Nie sądziłam, że można mieć moralne dylematy przed okresem dojrzwania.

- Nie, to o wiele poważniejsze niż sprawy płci, a ja nie wiem, co odpowiedzieć.

- Jak brzmi pytanie?

- Czy jest możliwe, żeby morderca namalował genialny obraz Jezusa i Marii Dziewicy?

- Wydaje się, że to nigdy nie trafiło Kościoła katolickiego - rzekła Julia. - Kilka najwspanialszych prac Caravaggia wisi w Watykanie, ale pójdę na górę i porozmawiam z chłopakiem.

- Oczywiście, Caravaggio. Ale nie bądź tam zbyt długo - poprosiła Su Ling. - O tyle spraw chciałabym cię zapytać.

- Jestem pewna, że Tom odpowie na większość pytań - zapewniła ją Julia.

- Nie, chcę usłyszeć twoją wersję - powiedziała Su Ling. Julia znikła na schodach.

- Czy ostrzegłeś Julię, że Ralph Elliot coś szykuje? - spytał Nat.

- Tak - odparł Tom. - Ale ona nie przewiduje żadnych kłopotów. W końcu dlaczego Elliotowi miałyby przyjść do głowy, że były dwie Julie Kirkbridge? Nie zapominaj, że pierwsza była u nas tylko kilka dni i od tamtej pory nigdy jej nie widziano ani o niej nie słyszano, podczas gdy Julia bywa tu już od dwóch lat i wszyscy ją znają.

- Ale to nie jej podpis jest na tamtym czeku.

- A jaki to problem?

- Kiedy bank wypłacił trzy miliony sześćset tysięcy dolarów, rada miejska zażądała zwrotu czeku.

- No więc leży upchnięty w jakiejś teczce z papierami i nawet gdyby Elliot się na niego natknął, to dlaczego miałby coś podejrzewać- Bo ma umysł przestępcy. Żaden z nas nie myśli tak jak on. - Nat zamilkł na moment. - Ale dajmy temu spokój. Niech cię zapytam, zanim wrócą Julia i Su Ling, czy mam rozglądać się za nowym przewodniczącym rady

nadzorczej, czy też Julia zgodziła się osiąść w Hartford i myć statki?

- Ani jedno, ani drugie - odparł Tom. - Przystała na przejęcie firmy przez Trumpa, który już od dłuższego czasu miał chrapkę na jej firmę.

- Czy dostała dobrą cenę?

- Wydawało mi się, że to miał być miły wieczór dla uczczenia... - Czy dostała dobrą cenę? - powtórzył Nat.

- Piętnaście milionów gotówką i dalsze piętnaście milionów w akcjach Trumpa.

- Wskaźnik cena-zysk około szesnastu. Nie najgorzej - rzekł Nat - chociaż Trump oczywiście wierzy w możliwości rozwojowe projektu Cedar Wood. Czy w takim razie Julia zamierza założyć firmę sprzedaży nieruchomości w Hartford?

- Nie. Myślę, że ci powinna powiedzieć, jakie ma zamiary - powiedział Tom, gdy Su Ling wróciła z kuchni.

- Dlaczego nie mielibyśmy zaprosić Julii do rady nadzorczej? - spytał Nat. - I powierzyć jej działu nieruchomości. Dzięki temu mógłbym skupić się na operacjach bankowych.

- Ona rozważała taki scenariusz co najmniej pół roku temu - rzekł Tom.

- Czy przypadkiem nie zaoferowałeś jej miejsca w radzie nadzorczej, jeżeli zgodzi się wyjść za ciebie? - spytał Nat.

- Tak, początkowo tak, ale ona odmówiła i jednego, i drugiego. Ale teraz, kiedy ją przekonałem, żeby została moją żoną, ty spróbuj ją przekonać, żeby weszła do rady, bo odnoszę wrażenie, że ma inne plany.

Fletcher był na sali obrad i przysłuchiwał się mowie na temat subsydiowanego budownictwa mieszkaniowego, kiedy przerwano posiedzenie. Zajrzał do notatek, ponieważ miał mówić w następnej kolejności. Funkcjonariusz w mundurze wszedł na salę i podał kartkę przewodniczącemu obrad, który ją przeczytał raz, potem drugi raz, uderzył młotkiem i wstał z miejsca.

- Zechce mi kolega wybaczyć, że przerywam obrady, ale uzbrojony mężczyzna trzyma w szkole podstawowej w Hartford grupę dzieci jako zakładników. Jestem pewien, że senator Davenport będzie musiał wyjść i zważywszy na okoliczności, uważam, że należy odroczyć obrady.

Fletcher się poderwał i był przy drzwiach, zanim przewodniczący zamknął posiedzenie. Biegł przez całą drogę do swojego biura, zbierając myśli. Szkoła znajdowała się w centralnym punkcie jego okręgu, Lucy była jej uczennicą, a Annie przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Modlił się, żeby Lucy nie było między zakładnikami. Wydawało się, że cały budynek urzędu stanowego jest w ruchu.

Fletcher doznał ulgi na widok Sally stojącej w drzwiach jego biura z notatnikiem w ręku.

- Odwołaj wszystkie dzisiejsze spotkania, zadzwoń do mojej żony i poproś, żeby dołączyła do mnie w szkole, i proszę, czuwaj przy telefonie.

Fletcher złapał kluczyki samochodu i włączył się w strumień ludzi pospiesznie opuszczających budynek. Kiedy wyjeżdżał z parkingu, przemknął przed nim samochód policyjny, zmierzający w stronę szkoły. Fletcher wcisnął pedał gazu i znalazł się tuż za nim.

Sznur samochodów ciągle się wydłużał, rodzice jechali po dzieci do szkoły, ci, którzy słuchali w samochodzie wiadomości radiowych, szaleli z niepokoju, inni wciąż byli w stanie błogiej nieświadomości.

Fletcher naciskał pedał gazu, trzymając się w odległości tylko kilku

stóp od tylnego zderzaka samochodu policyjnego, który pędził lewą stroną drogi z migającymi światłami i włączoną syreną. Policjant siedzący obok kierowcy przez głośnik nakazywał kierowcy pojazdu z tyłu, żeby zjechał na bok, ale Fletcher zignorował polecenie, gdyż wiedział, że wóz policyjny się nie zatrzyma. Siedem minut później obydwa samochody zahamowały z piskiem opon przy barierze policyjnej przed szkołą, gdzie grupa rozhisteryzowanych rodziców usiłowała się dowiedzieć, co się właściwie dzieje. Policjant, który siedział na miejscu pasażera, wyskoczył z samochodu, podbiegł do Fletchera, zamykającego samochód, wyciągnął pistolet i polecił, żeby położył ręce na dachu. Kierowca, który stał o krok za kolegą, powiedział:

- Przepraszam, senatorze, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że to pan.

- Gdzie znajduje komendanta policji? - spytał Fletcher, podbiegając do bariery.

- Założył punkt dowodzenia w gabinecie dyrektora szkoły. Polecę komuś, senatorze, żeby pana tam zaprowadził.

- Nie trzeba - odparł Fletcher. - Znam drogę.

- Senatorze... - powiedział policjant, ale już było za późno.

Fletcher pobiegł dróżką wiodącą do szkoły, nieświadom, że budynek jest otoczony przez oddziały Gwardii Narodowej z bronią wycelowaną w jednym kierunku. Zdziwiło go, jak szybko zgromadzeni odsunęli się na bok, kiedy go zobaczyli. Dziwny sposób przypomnienia, że jest ich przedstawicielem.

- Kto to jest, u diabła? - spytał komendant policji na widok samotnej postaci biegnącej przez dziedziniec do szkoły.

- Myślę, że to senator Davenport - powiedział Alan Shepherd, dyrektor szkoły, wyjrzawszy przez okno.

- Jeszcze jego mi tu potrzeba - rzekł Don Culver. Moment później Fletcher wpadł do pokoju. Komendant podniósł głowę znad biurka, usiłując ukryć niezadowoloną minę, gdy senator się przed nim zatrzymał.

- Dzień dobry, senatorze.

- Dzień dobry - odparł trochę zdyszany Fletcher. Podziwiał brzuchatego, palącego cygara komendanta policji, który rządził podwładnymi bez zbędnej biurokracji.

Fletcher kiwnął głową Alanowi Shepherdowi, a potem znów odwrócił się do policjanta.

- Proszę mnie zorientować w sytuacji - powiedział, łapiąc oddech.

- Mamy tutaj uzbrojonego faceta. Wygląda na to, że wszedł głównym wejściem w biały dzień, na kilka minut przed rozejściem się dzieci. - Szef policji obrócił się do prowizorycznego planu parteru przyklejonego do ściany i wskazał kwadracik, na którym widniał napis PRACOWNIA PLASTYCZNA. - Wydaję się, że wybrał klasę pani Hudson bez żadnego szczególnego powodu, chyba były to po prostu pierwsze drzwi, na które się natknął.

- Ile dzieci przetrzymuje? - Fletcher zwrócił się z pytaniem do dyrektora.

- Trzydzieścioro jeden - odparł Alan Shepherd - ale Lucy tam nie ma.

Fletcher starał się nie okazać ulgi.

- Czy wiemy coś o tym człowieku? - zapytał.

- Nie za dużo - powiedział komendant policji. - Ale z minuty na minutę dowiadujemy się coraz więcej. Nazywa się Billy Bates. Podobno

żona od niego odeszła jakiś miesiąc temu, zaraz potem jak stracił pracę jako nocny stróż u Pearl'a. Chyba wielokrotnie go przyłapali, jak pił na służbie. W ostatnich tygodniach wyrzucono go z kilku barów i, jak wynika z naszych dokumentów, spędził nawet noc w areszcie.

- Dzień dobry pani - rzekł dyrektor, wstając z krzesła. Fletcher odwrócił się i ujrzał żonę.

- Lucy nie było w klasie pani Hudson - brzmiały jego pierwsze słowa.

- Wiem - powiedziała Annie. - Ona była ze mną. Kiedy dostałam twoją wiadomość, zostawiłam ją z Martha i przyjechałam wprost tutaj.

- Czy pani zna panią Hudson? - spytał Don Culver.

- Jestem pewna, że Alan panu powiedział, że wszyscy znają Mary.

Myślę, że jest tu nauczycielką z najdłuższym stażem. - Dyrektor szkoły skinął na potwierdzenie głową, - Wątpię, czy jest rodzina w Hartford, która nie zna kogoś, kogo ona uczyła.

- Czy może mi ją pan opisać? - spytał szef policji Alana Shepherd'a.

- Ma około pięćdziesiątki, niezamężna, opanowana, stanowcza i ogólnie szanowana.

- Zapomniał pan dodać - wtrąciła Annie - że kochana przez wszystkich.

- Jak pana zdaniem może się zachować w warunkach stresu?

- Któż to wie, jak drugi człowiek zareaguje w takiej sytuacji? - rzekł Shepherd. - Ale nie mam wątpliwości, że oddałaby życie za te dzieci.

- Bałem się, że pan to powie - powiedział Don Culver. - Moim zadaniem jest do tego nie dopuścić. - Cygaro mu zgasło. - Mam stu ludzi, którzy otaczają główny budynek, i snajpera na dachu sąsiedniego domu, który melduje, że od czasu do czasu widzi Bates'a.

- Próbuje pan negocjować? - spytał Fletcher.

- Tak, w pokoju jest telefon i co kilka minut tam dzwoniemy, ale Bates nie podnosi słuchawki. Zainstalowaliśmy głośniki, ale nie reaguje.

- Czy pomyślał pan o tym, żeby kogoś tam posłać? - spytał Fletcher. W tym momencie zadzwonił telefon na biurku dyrektora szkoły. Komendant policji nacisnął guzik interkomu.

- Kto mówi? - warknął Culver.

- Sekretarka senatora Davenport'a. Miałam nadzieję...

- Tak, Sally - powiedział Fletcher. - O co chodzi?

- Przed chwilą usłyszałam w wiadomościach, że ten uzbrojony mężczyzna nazywa się Billy Bates. Nazwisko wydało mi się znajome i okazało się, że mamy go w aktach - dwukrotnie pana odwiedził.

- Czy jest coś w jego dokumentacji, co może nam pomóc?

- On przychodził do pana w sprawie ograniczenia prawa do posiadania broni. Ma na ten temat bardzo zdecydowane poglądy. W swoich notatkach pan zapisał: „Niewystarczające ograniczenia, blokada spustu, sprzedaż broni palnej nieletnim, dowód, tożsamości”.

- Pamiętam go - rzekł Fletcher. - Inteligentny, pełen pomysłów, ale niewykształcony. Sally, doskonale się spisałaś.

- Czy jest pan pewien, że to nie wariat? - spytał komendant policji.

- Skądże - odparł Fletcher. - To człowiek myślący, nieśmiały, nawet płochliwy, a jego największym zmartwieniem jest to, że nikt nigdy nie chciał go wysłuchać. Czasem tacy ludzie uważają, że muszą na siłę udowodnić swoją rację, kiedy wszelkie inne sposoby zawiodą. A to, że opuściła go żona i zabrała dzieci, kiedy stracił pracę, przeważało szalę.

- Więc muszę go zlikwidować - powiedział komendant - tak jak załatwili tego faceta w Tennessee, który pozamykał wszystkich urzędników w urzędzie skarbowym...

- Nie, to nie jest analogiczny przypadek - sprzeciwił się Fletcher - tamten człowiek był psychopata, Billy Bates jest samotnym człowiekiem, który pragnie zwrócić czyjąś uwagę; tego typu ludzie regularnie mnie odwiedzają.

- No cóż, senatorze, on niewątpliwie zwrócił moją uwagę - zareagował Culver.

- I pewno właśnie dlatego posunął się do ostateczności - zauważył Fletcher. - A może by pan pozwolił, żebym z nim spróbował, porozmawiać?

Komendant policji pierwszy raz wyjął cygaro z ust; niżsi rangą policjanci uświadomiliby Fletcherowi, że oznacza to, iż się namyśla.

- Dobrze, ale chcę, żeby pan tylko go nakłonił do podniesienia słuchawki, a potem ja będę z nim pertraktował. Czy się rozumiemy?

- Fletcher kiwnął głową na zgodę. Komendant policji zwrócił się do swojego zastępcy i dodał: - Dale, powiedz im, że wychodzimy z senatorem, żeby nie strzelali. - Następnie schwycił megafon i powiedział: - Do dzieła, senatorze.

Kiedy wędrowali korytarzem, komendant dorzucił stanowczo:

- Proszę wyjść jedynie kilka kroków poza frontowe drzwi i pamiętać, że ma pan mówić krótko, bo ja tylko chcę, żeby podniósł słuchawkę.

Fletcher skinął głową. Policjant otworzył mu drzwi. Fletcher postąpił kilka kroków, stanął i unióś megafon.

- Billy, tu senator Davenport, odwiedziłeś mnie dwa razy.

Chcielibyśmy z tobą rozmawiać. Czy mógłbyś podnieść słuchawkę telefonu na biurku pani Hudson?

- Powtórz pan to jeszcze raz - warknął komendant.

- Billy, tu senator Davenport, czy mógłbyś podnieść słuchawkę...

Młody policjant podbiegł do otwartych drzwi.

- Podniósł słuchawkę, ale mówi, że będzie rozmawiał tylko z senatorem.

- To ja decyduję, z kim on będzie rozmawiał - rzekł Culver. - Nikt mi nie będzie nic dyktował. - Zniknął w otwartych drzwiach i prawie biegiem dopadł gabinetu dyrektora.

- Tu komendant policji Culver. Słuchaj, Bates, jeżeli sobie wyobrażasz... - Połączenie zostało przerwane. - Cholera - zaklął Culver, gdy Fletcher wszedł do pokoju. - On odłożył słuchawkę, musimy spróbować jeszcze raz.

- Widać nie żartował, kiedy mówił, że tylko ze mną będzie rozmawiał.

Komendant znowu wyjął cygaro z ust.

- Dobrze, ale jak tylko pan go uspokoisz, daj mi pan słuchawkę.

Wrócili na plac zabaw i Fletcher znowu przemówił przez megafon.

- Przepraszam, Billy, czy możesz jeszcze raz zadzwonić- Teraz ja będę przy telefonie. - Fletcher razem z Don Culverem podążyli do gabinetu dyrektora, Billy już był na linii, a telefon przestawiony został na funkcję głośnego mówienia.

- Senator właśnie wrócił do pokoju - zapewnił go dyrektor.

- Billy, jestem tu. To ja, Fletcher Davenport.

- Senatorze, zanim pan cokolwiek powie - nie ustąpię ani o włos, dopóki komendant policji trzyma te wszystkie karabiny wycelowane we

mnie. Wycofajcie tych strzelców, jak on nie chce mieć czyjeś śmierci na sumieniu.

Fletcher spojrzął na Culvera, który jeszcze raz wyjął z ust cygaro, po czym skinął głową.

- Komendant się zgadza - rzekł Fletcher.

- Zatelefonuję znowu, jak oni znikną.

- W porządku - powiedział Culver. - Nakaż wszystkim się wycofać, niech zostanie tylko snajper na północnym wieżowcu. To niemożliwe, żeby Bates go zauważył. - I co teraz? - spytał Fletcher.

- Czekamy, aż ten drań zadzwoni...

Nat odpowiadał na pytanie o odejściu z pracy na własne prośbę, kiedy jego sekretarka wpadła do pokoju posiedzeń. Wszyscy zdali sobie sprawę, że to musi być coś pilnego, gdyż Linda nigdy jeszcze nie przerwała obrad rady nadzorczej. Nat z miejsca zamilkł, gdy zobaczył niepokój malujący się na jej twarzy.

- W szkole podstawowej jest uzbrojony mężczyzna... - Nata przejął zimny dreszcz - ...i trzyma dzieci w klasie pani Hudson jako zakładników.

- Czy Luke...

- Tak, jest tam - odparła. - Ostatnią lekcję w piątek Luke ma zawsze w klasie pani Hudson.

Nat podniósł się chwiejnie z krzesła i zaczął iść do drzwi. Pozostali członkowie rady siedzieli w milczeniu.

- Pani Cartwright jest już w drodze do szkoły - dodała Linda, gdy Nat wyszedł z pokoju. - Prosiła, żeby panu przekazać, że tam się z panem spotka.

Nat skinął głową i pchnął drzwi prowadzące do podziemnego garażu.

- Proszę dyżurować przy telefonie - powiedział do Lindy, po czym wsiadł do samochodu. Kiedy wyjeżdżał podjazdem na Ulicę Główną, zawahał się przez chwilę, zanim skręcił w lewo, a nie jak zwykle w prawo.

Zadzwonił telefon. Culver nacisnął przycisk i dał znak Fletcherowi.

- Senatorze, czy pan tam jest?

- Jasne, Billy.

- Niech pan powie komendantowi policji, żeby pozwolił ekipom telewizyjnym i dziennikarzom przejść przez barierę, wtedy będę się czuł bezpieczniej...

- Hej, poczekaj pan chwilę - zaczął Culver.

- Nie, to pan niech czeka! - wrzasnął Billy. - Albo będzie miał pan pierwszego trupa na placu zabaw. I spróbuj pan wtedy tłumaczyć prasie, że to dlatego, żeś ich pan nie wpuścił za barierę. - Połączenie zostało przerwane.

- Lepiej niech pan spełni jego żądanie - poradził Fletcher - bo wygląda na to, że on uparł się, żeby go słyszano, i postawi na swoim.

- Wpuście dziennikarzy - powiedział Culver, dając znak głową jednemu ze swoich zastępców. Sierżant prędko wyszedł z pokoju, ale telefon zadzwonił dopiero po kilku minutach. Fletcher przycisnął guzik na konsoli.

- Słucham Billy.

- Dziękuję panu, senatorze, pan dotrzymuje słowa.

- Czego pan teraz chcesz? - warknął komendant policji.

- Niczego od pana, wolę mieć do czynienia z senatorem. Panie Davenport, trzeba, żeby pan tu przyszedł, tylko wtedy mam szansę, że

zostaną wysłuchany.

- Nie mogę na to pozwolić - rzekł Culver.

- Decyzja nie należy do pana, tylko do senatora. Ale pewnie musicie to między sobą uzgodnić. Zadzwoń za dwie minuty. - Telefon zamilkł.

- Zgadzą się na to żądanie - powiedział Fletcher. - Prawdę mówiąc, nie mam wyboru.

- Nie powstrzymam pana - odrzekł Culver - ale może pani Davenport wyrazi swoje zdanie.

- Nie chcę, żebyś tam szedł - oświadczyła Annie. - Ty zawsze myślisz o każdym jak najlepiej, ale kule nie wybierają.

- Ciekaw jestem, co byś powiedziała, gdyby Lucy była wśród dzieci, które są tam przetrzymywane.

Annie otwierała usta, by odpowiedzieć, kiedy telefon znowu zadzwonił.

- Senatorze, idzie pan czy trzeba trupa, żeby się pan zdecydował?

- Nie, nie - odparł Fletcher. - Już idę. - Telefon umilkł.

- Niech pan słucha uważnie - powiedział Culver - Mogę pana ochraniać na odkrytym terenie, ale musi pan polegać na sobie, jak się pan znajdzie w klasie: - Fletcher skinął głową, a potem objął Annie i przez chwilę nie wypuszczał jej z uścisku.

Komendant policji towarzyszył mu na korytarzu.

- Będę dzwonił do klasy co pięć minut. Jak będzie pan mógł rozmawiać, powiem panu, co się dzieje u nas. Kiedy zadam pytanie, proszę odpowiedzieć „tak” lub „nie”. Proszę nie dawać Batesowi żadnych wskazówek co do tego, czego próbuję się dowiedzieć. - Fletcher skinął głową. Kiedy doszli do drzwi, Culver wyjął z ust cygaro. - Senatorze, proszę mi oddać marynarkę. - Fletcher zrobił zdziwioną minę. - Skoro pan nie ukrywa broni, to po co dawać Batesowi powód do podejrzeń? - Fletcher się uśmiechnął. Culver otworzył przed nim drzwi. - Senatorze, ostatnio nie głosowałem na pana, ale jeżeli wyjdzie pan stąd żywy, następnym razem się zastanowię. Przepraszam - dodał - to moje spaczone poczucie humoru. Życzę szczęścia.

Fletcher wyszedł na plac zabaw i zaczął iść powoli dróżką ku głównemu budynkowi szkoły. Nie widział żadnego snajpera, ale czuł, że są niedaleko. Chociaż nie dostrzegał ekip telewizyjnych, to jednak słyszał szum i gwar, gdy znalazł się w świetle potężnych lamp łukowych. Dróżka prowadząca do szkoły nie mogła liczyć więcej niż sto jardów. Idąc nią, Fletcher czuł się, jakby w palącym słońcu stapał całą milę po linie.

Przemierzywszy plac zabaw, pokonał cztery stopnie wiodące do wejścia. Wszedł do ciemnego, pustego korytarza i odczekał, aż wzrok przywyknie do mroku. Kiedy stanął przed drzwiami, na których dziesięcioma różnymi kolorami namalowane było nazwisko pani Hudson, delikatnie zapukał. Drzwi, szarpnięte gwałtownie, natychmiast się otworzyły. Fletcher wkroczył do środka i usłyszał trzask zamykanych drzwi. Do jego uszu dobiegło stłumione łkanie; spojrzał w tym kierunku i zobaczył dzieci zbite w gromadkę w jednym rogu na podłodze.

- Siadaj pan tam - rozkazał Bates, który wyglądał na tak samo zdenerwowanego jak Fletcher, Fletcher wcisnął się w zaprojektowaną dla dziewięciolatka ławkę szkolną na skraju pierwszego rzędu. Podniósł oczy na niechlujnego mężczyznę w źle dopasowanych dzinsach, podartych i brudnych. Sterczał mu brzuch, mimo że nie skończył jeszcze czterdziestu lat. Przyglądał się uważnie, jak Bates przemierza pokój i staje za panią

Hudson, która siedziała za swoim stołem z przodu klasy. Bates trzymał broń w prawej ręce, lewą położył na ramieniu nauczycielki.

- Co tam się wyprawia? - wrzasnął. - Co Culver knuje?

- Czekaj na wiadomości ode mnie - powiedział Fletcher spokojnie. - Będzie dzwonił co pięć minut. Martwi się o dzieci. Zdołał pan wszystkich przekonać, że jest pan zabójcą.

- Nie jestem zabójcą - rzekł Bates. - Pan o tym wie.

- Może i wiem - przytaknął Fletcher. - Ale gdyby pan uwolnił dzieci, prędzej by panu uwierzyli.

- Gdybym to zrobił, nie miałbym żadnego atutu w garści.

- Ma pan mnie - powiedział Fletcher. - Billy, zabije pan dziecko, a wszyscy zapamiętają to panu do końca życia; zabije pan senatora, do jutra wszyscy zapomną.

- Cokolwiek zrobię, jestem martwy.

- Nie, jeżeli obaj staniemy przed kamerami.

- Ale co im powiemy?

- Że już był pan u mnie dwa razy i że wystąpił pan z sensownym i pomysłowym projektem ograniczenia dostępu do broni, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. A teraz muszą wyteżyc słuch, bo będzie pan miał szansę rozmawiać z Sandrą Mitchell w głównych wiadomościach.

- Z Sandrą Mitchell? To ona tu jest?

- No pewno - odrzekł Fletcher. - I bardzo chce przeprowadzić z panem wywiad.

- Czy pan myśli, że zainteresuje ją moja osoba?

- Przecież nie przejechała takiego kawału drogi, żeby rozmawiać z kim innym - powiedział Fletcher.

- Zostanie pan ze mną? - spytał Bates.

- Oczywiście, Billy. Pan dobrze wie, jakie jest moje stanowisko na temat ograniczenia prawa do posiadania broni. Kiedy ostatnio się widzieliśmy, twierdził pan, że czytał wszystkie moje przemówienia na ten temat.

- Tak, czytałem, ale co z tego dobrego wyniknęło? - spytał Billy. Zdjął rękę z ramienia pani Hudson i zaczął iść wolno ku Fletcherowi z wymierzonym w niego pistoletem. - Na pewno pan tylko powtarza słowo w słowo to, co kazał panu mówić komendant policji.

Fletcher mocno uchwycił się ławki, nie spuszczać Billy'ego z oczu. Wiedział, że jeżeli ma zaryzykować, musi go jak najbliżej dopuścić. Pochylił się lekko do przodu, wciąż silnie trzymając pulpity. Zadzwoił telefon obok pani Hudson. Billy był tylko o krok, ale na dźwięk dzwonka na ułamek sekundy odwrócił głowę. Fletcher wykorzystał szansę i gwałtownym ruchem poderwał pulpity, uderzając w prawą rękę Billy'ego. Billy na moment stracił równowagę, potknął się i upuścił broń. Obaj się przyglądali, jak toczy się po podłodze, zatrzymując się tuż przed panią Hudson. Kiedy nauczycielka ukłękła, schwyciła pistolet i wymierzyła go prosto w Billy'ego, dzieci podniosły krzyk: Billy wyprostował się i zaczął iść do niej, a ona wciąż klęczała i celowała mu w pierś.

- Przecież nie pociągnie pani za spust, prawda?

Im bardziej Billy zbliżał się do pani Hudson, tym mocniej dygotała. Kiedy znalazł się o krok od niej, zamknęła oczy i nacisnęła cyngiel. Rozległo się szcęknięcie.

- Nienaładowany, proszę pani. Nigdy nie zamierzałem nikogo zabijać, chciałem tylko, żeby ktoś mnie wysłuchał.

Fletcher wysłiznął się z ławki, podbiegł do drzwi i szeroko je otworzył.

- Wychodzić, wychodzić! - krzyknął, gestem ręki ponaglaając przerażone dzieci. Duża dziewczynka z mysimi ogonkami wstała i pobiegła do otwartych drzwi, po czym wypadła na korytarz. Tuż za nią podążyły dwie następne. Fletcherowi się wydało, kiedy przytrzymał drzwi, że słyszy cieniutki głosik: „Prędejj, prędejj!”. Wszystkie dzieci oprócz jednego popędziły ku Fletcherowi i błyskawicznie znikły mu z oczu. Fletcher spojrział w róg sali na jedyne dziecko, które jeszcze pozostało. Chłopczyk podniósł się powoli i zbliżył się do nauczycielki. Pochylił się, ujął panią Hudson za rękę i poprowadził ją do drzwi, nie patrząc na Billy'ego. Dotarłszy do drzwi, powiedział:

- Dziękuję panu, senatorze. - I razem z nauczycielką wyszedł na korytarz.

Kiedy dziewczynka z czarnymi warkoczykami wypadła przez drzwi frontowe, rozległy się głośne okrzyki radości. Skierowano na nią światło lamp; zakryła oczy i nie widziała witającego ją tłumu. Matka przedarła się przez kordon, przebiegła przez plac zabaw i porwała córkę w ramiona. Tuż za dziewczynką podążali dwaj chłopcy. Nat objął Su Ling, rozpaczliwie wypatrując Luke'a. Parę chwil później z drzwi wybiegła większa grupa, ale Su Ling nie mogła powstrzymać łez, kiedy zdała sobie sprawę, że Luke'a nie ma między nimi.

- Jeszcze jedno dziecko zostało wraz z nauczycielką - usłyszała reportera przekazującego informacje do popołudniowych wiadomości.

Przez dwie najdłuższe minuty w życiu Su Ling ani na moment nie spuszczała oczu z drzwi.

Jeszcze głośniejsze okrzyki rozległy się, kiedy pani Hudson pojawiła się w drzwiach, ściskając dłoń Luke'a, Su Ling podniosła oczy na męża, który na próżno usiłował powstrzymać łzy.

- Co się takiego dzieje z wami Cartwrightami - rzekła - że zawsze czekacie do samego końca?

Fletcher pozostał przy drzwiach, póki pani Hudson nie zniknęła mu z oczu. Potem je dokładnie zamknął i podszedł do stołu, żeby odebrać uprzączony dzwoniący telefon.

- Czy to pan, senatorze? - spytał komendant policji.

- Tak.

- Czy wszystko w porządku? Wydawało się nam, że słyszymy jakiś huk.

- Nie, czuję się dobrze. Czy wszystkie dzieci są bezpieczne?

- Tak.

- Łącznie z ostatnim?

- Tak, właśnie chłopiec dołączył do rodziców.

- A pani Hudson?

- Rozmawia z Sandrą Mitchell w „Eyewitness News”. Opowiada wszystkim, że z pana bohater.

- Myślę, że mówi o kimś innym - rzekł Fletcher.

- Czy pan i Bates wyjdziecie kiedyś do nas? - zagadnął Culver, uważając, że jest wyjątkowo delikatny.

- Niech mi pan da jeszcze kilka minut. Przy okazji, uzgodniłem, że Billy też będzie rozmawiał z Sandrą Mitchell.

- Kto ma broń?

- Ja - odparł Fletcher. - Billy nie będzie wam sprawiał więcej

kłopotu. Broń nie była nawet nabita dodał, odkładając słuchawkę.

- Pan wie, senatorze, że oni mnie zabijają, prawda?

- Nie, Billy, nikt pana nie zabije, dopóki jestem przy panu.

- Czy daje mi pan słowo, senatorze?

- Tak, Billy, rękę słowem. Chodźmy i wspólnie stawmy im czoło.

Fletcher otworzył drzwi klasy. Nie musiał szukać kontaktu, gdyż z placu zabaw biło światło o mocy tak wielu megawatów, że wyraźnie widział drzwi na końcu korytarza.

Szli z Billym korytarzem i nie odzywali się ani słowem. Kiedy dotarli do głównych drzwi, które prowadziły na plac zabaw, Fletcher otworzył je ostrożnie i zalał go blask reflektorów oraz powitał potężny okrzyk radości zgromadzonego tłumu. Ale nie widział ludzkich twarzy.

- Billy, wszystko będzie dobrze - powiedział Fletcher, odwracając się do tyłu. Billy wahał się przez chwilę, ale w końcu zrobił niepewny krok i stanął obok Fletchera. Razem podążyli wolno ścieżką. Obrócił się i zobaczył, że Billy się uśmiecha. - Wszystko będzie dobrze - powtórzył Fletcher w chwili, kiedy pocisk uderzył w pierś Billy'ego. Podmuch odrzucił Fletchera na bok.

Fletcher podniósł się z kolan i skoczył na Billy'ego, ale było za późno. Billy już nie żył.

- Nie, nie, nie! - krzyczał Fletcher. - Czy oni nie wiedzieli, że dałem mu słowo?

- Ktoś skupuje nasze akcje - oznajmił Nat.

- Mam nadzieję - rzekł Tom. - W końcu jesteśmy spółką publiczną.

- Nie, panie przewodniczący, chodzi o to, że ktoś wykupuje nasze akcje w złych zamiarach.

- W jakim celu? - zapytała Julia.

Nat odłożył pióro.

- Założyłbym się, że chodzi o wrogie przejęcie naszego banku. -

Kilku członków rady nadzorczej zaczęło mówić naraz, aż Tom uderzył w stół i powiedział: - Wysłuchajmy Nata.

- Od kilku lat stosowaliśmy strategię wykupywania udziałów małych, podupadających banków i dodawania ich do naszego portfela, co w sumie okazało się przedsięwzięciem wartym zachodu. Wszyscy wiecie, że moim celem na dłuższą metę jest uczynienie z Banku Russella największej instytucji bankowej w tym stanie. Nie brałem pod uwagę, że nasze powodzenie sprawi, iż staniemy się atrakcyjni dla jeszcze większej instytucji.

- Czy jesteś przekonany, że ktoś usiłuje nas przejąć?

- Absolutnie tak, Julio - odparł Nat - i trochę w tym twojej winy.

Najnowsza faza projektu Cedar Wood okazała się tak olbrzymim sukcesem, że nasze dochody w ubiegłym roku prawie się podwoiły.

- Jeżeli Nat ma rację - odezwał się Tom - a podejrzewam, że tak, to trzeba odpowiedzieć na jedno pytanie. Czy nie mamy nic przeciwko temu, żeby nas przejęto, czy też zamierzamy walczyć?

- Mogę mówić tylko za siebie - odparł Nat - ale nie mam jeszcze czterdziestki i z pewnością nie planowałem Wcześniejszej emerytury.

Uważam, że nie mamy innego wyboru poza walką.

- Zgadzam się - rzekła Julia, - Już raz doświadczyłam tej przyjemności i nie mam ochoty przeżywać tego znowu. W każdym razie nasi udziałowcy tego się po nas nie spodziewają.

- Nie wspominając już jednego czy dwóch dawnych pryncypałów

banku - powiedział Tom, podnosząc wzrok na portrety swojego ojca, dziadka i pradziadka, spoglądających na niego ze ścian. - Nie sądzę, żebyśmy musieli zarządzać głosowanie w tej sprawie - ciągnął Tom - a zatem, Nat, przedstaw nam, jakie mamy możliwości.

Dyrektor generalny otworzył jedną z teczek, które leżały przed nim na stole.

- Prawo w takich okolicznościach jest jednoznaczne. Kiedy jakaś spółka albo osoba ma sześć procent udziałów w spółce, o którą chodzi, musi to zgłosić do Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy w Waszyngtonie i w ciągu dwudziestu ośmiu dni kalendarzowych określić, czy zamierza wystąpić z ofertą przejęcia reszty udziałów. A jeżeli tak, to ile jest skłonna zapłacić.

- Jeżeli ktoś próbuje nas przejąć - rzekł Tom - to nie będzie czekał ustawowego miesiąca. Jak zdobędą sześć procent, tego samego dnia wystąpią z ofertą.

- Zgadza się, panie przewodniczący - powiedział Nat - ale zanim to się stanie, nic nie może nas powstrzymać przed kupowaniem własnych udziałów, chociaż w tej chwili ich cena jest dość wysoka.

- Ale czy to nie uświadomi naszej konkurencji, że przejrzelśmy jej zamiary? - zapytała Julia.

- Być może, toteż musimy polecić naszym maklerom kupować dyskretnie, co nam pozwoli się zorientować, czy na rynku jest jeden wielki nabywca.

- Ile udziałów należy do nas? - spytała Julia.

- Tom i ja mamy po dziesięć procent kapitału akcyjnego - powiedział Nat - a ty - zajrzał do drugiej teczki - nieco ponad trzy procent.

- A ile mi jeszcze zostało gotówki na koncie?

- Trochę powyżej ośmiu milionów - rzekł Nat, przewróciwszy kartkę - nie wspominając twoich akcji Trampa, które upłynniasz, gdy jest na nie duży popyt.

- To czemu nie mogłabym, kupować akcji po trochu, co nie byłoby takie łatwe do odkrycia przez ewentualnego drapieżcę?

- Zwłaszcza gdybyś załatwiała transakcje przez Joego Steina w Nowym Jorku - zauważył Tom - a potem poprosiła go, żeby dał nam znać, czy jego maklerzy mogą rozpoznać jakąś osobę bądź spółkę, którzy kupują we wrogich zamiarach. - Julia zaczęła robić notatki.

- Musimy też wybrać najobrotniejszego prawnika, który specjalizuje się w przejęciach - rzekł Nat. - Rozmawiałem z Jimmym Gatesem, który nas reprezentował przy wszystkich dotychczasowych przejęciach, ale on mówi, że to przypadek nie dla niego, i rekomenduje faceta z Nowego Jorku, który się nazywa. - Nat zajrzał do trzeciej teczki - Logan Fitzgerald i zajmuje się takimi sprawami. Zamierzam przed weekendem wybrać się do Nowego Jorku i wy badać, czy zechce nas reprezentować.

- Dobrze - powiedział Tom. - A co my mamy robić?

- Mieć oczy i uszy otwarte. Muszę jak najszybciej się dowiedzieć, kto jest naszym przeciwnikiem.

- Bardzo mi przykro to słyszeć - rzekł Fletcher.

- To niczyja wina - zauważył Jimmy - i nie będę ukrywał, że od pewnego czasu nie układało się między nami najlepiej, kiedy więc Uniwersytet Kalifornijski zaproponował Joannie stanowisko dziekana wydziału historii, to przyspieszyło decyzję o rozłącze.

- Jak dzieci to przyjmują?

- Elizabeth całkiem dobrze, a teraz, kiedy Harry junior jest u Hotchkissa, oboje są na tyle dojrzały, żeby uporać się z sytuacją. Harry nawet się cieszy, że spędzi letnie wakacje w Kalifornii.

- Przykro mi - powtórzył Fletcher.

- Myślę, że w dzisiejszych czasach to normalne - rzekł Jimmy. - Niedługo będziecie z Annie w mniejszości. Dyrektor mi powiedział, że około trzydziestu procent dzieci u Hotchkissa pochodzi z rozbitych rodzin. A kiedy my tam byliśmy, to może tylko jedno albo dwoje. - Zamilkł na chwilę. - Przynajmniej to jest dobre, że jak dzieci latem pojedą do Kalifornii, będę miał więcej czasu na twoją następną kampanię wyborczą.

- Wolałbym, żebyście się nie rozstawali z Joanną - powiedział Fletcher.

- Czy wiesz, kto będzie teraz twoim rywalem? - zagadnął Jimmy, najwyraźniej chcąc zmienić temat.

- Nie - odparł Fletcher. Słyszałem, że Barbara Hunter aż się rwie, żeby jeszcze raz startować, ale republikanie chyba nie mają ochoty jej wystawiać, jeśli znajdą jakiegoś w miarę przyzwoitego innego kandydata.

- Krążyły pogłoski - powiedział Jimmy - że Ralph Elliot zastanawia się, czy kandydować, ale szczerze mówiąc, po triumfie, jaki odniosłeś w sprawie Billy'ego Batesa, chyba sam archanioł Gabriel nie wysadziłby cię z siodła.

- Jimmy, to nie był triumf. Śmierć Batesa do tej pory mnie prześladowuje. Mógłby dziś żyć, gdybym był bardziej stanowczy wobec Culvera.

- Fletcher, wiem, że ty tak to widzisz, ale ludzie czują inaczej. Twój ostatni sukces wyborczy tego dowodzi. Oni pamiętają, że ryzykowałeś życie, żeby uratować gromadę dzieci i ich ulubioną nauczycielkę. Tata powiada, że gdybyś tego tygodnia ubiegał się o prezydenturę, byłbyś teraz w Białym Domu.

- Co słyhać u starego wojownika? - zapytał Fletcher. - Trochę się czuję winny, bo ostatnio nie miałem czasu go odwiedzić.

- W porządku. Wierzy, że wciąż rządzi wszystkim i wszystkimi, nawet jeśli tylko zajmuje się planowaniem twojej kariery.

- W którym roku każe mi się ubiegać o prezydenturę? - spytał Fletcher z szerokim uśmiechem.

- Wszystko zależy od tego, czy najpierw zechcesz startować na stanowisko gubernatora. Kiedy odsłużysz cztery kadencje jako senator, Jim Lewsam będzie właśnie kończył swoją drugą kadencję.

- Może nie chcę być gubernatorem?

- Może papież nie jest katolikiem?

- Dzień dobry - powiedział Logan Fitzgerald, spojrzawszy na siedzących wokół stołu obrad członków rady nadzorczej. - Zanim ktoś mnie spyta, odpowiedź brzmi: Bank Fairchilda.

- Jasne - rzekł Nat. - Cholera, sam na to powinienem wpaść. To jest oczywisty drapieżca. Największy bank w stanie, siedemdziesiąt jeden oddziałów i w zasadzie brak poważnego rywala.

- Widocznie ktoś w ich radzie nadzorczej uznał nas za poważnego rywala - zauważył Tom.

- Więc postanowili wyeliminować was, zanim wy wyeliminujecie ich - rzekł Logan.

- Nie mam im tego za złe - powiedział Nat. - Zrobiłbym dokładnie to samo w ich sytuacji.

- Mogę też wam powiedzieć, że to nie był pomysł członka ich rady nadzorczej - ciągnął Logan. - Formalne pismo do Komisji Papierów Wartościowych i Giełdy zostało zgłoszone w ich imieniu przez firmę prawniczą Belman, Wayland i Elliot, i nietrudno się domyślić, który z trzech wspólników pod nim się podpisał.

- To znaczy, że czeka nas ostra walka - skomentował Tom.

- To prawda - rzekł Logan. - Po pierwsze, od razu musimy zabawić się w liczenie. - Zwrócił się do Julii. - Ile akcji nabyła pani w ostatnich dniach?

- Mniej niż jeden procent - odparła - Bo ktoś winduje cenę. Kiedy wczoraj wieczorem spytałam mojego maklera, powiedział mi, że kurs zamknięcia akcji wyniósł pięć dwadzieścia.

- To sporo powyżej ich realnej wartości - rzekł Nat - ale teraz nie mamy odwrotu. Poprosiłem Logana, żeby spotkał się dziś z nami po to, by nam powiedzieć, jakie mamy szansę przetrwania i co się może zdarzyć podczas następnych tygodni.

- Pozwólcie zatem państwo, że przedstawię wam aktualną sytuację, tak jak ona wygląda w dniu dzisiejszym o dziewiątej rano. Panie przewodniczący - ciągnął Logan - żeby uniknąć przejścia, Bank Russella musi posiadać albo mieć na piśmie zobowiązanie sprzedaży pięćdziesiąt koma jeden procent udziałów banku. Członkowie rady nadzorczej skupiają teraz w swoich rękach nieco ponad dwadzieścia cztery procent i wiemy, że Fairchild ma co najmniej sześć procent. Z pozoru wygląda to zadowalająco. Ale skoro Fairchild obecnie oferuje pięć dolarów dziesięć centów za akcję przez okres dwudziestu jeden dni, uważam za swój obowiązek zwrócić państwu uwagę, że gdybyście się zdecydowali sprzedać swoje udziały, sama wartość w gotówce przyniosłaby około dwudziestu milionów dolarów czystego zysku.

- W tej sprawie już podjęliśmy decyzję - powiedział Tom stanowczo.

- Pięknie, wobec tego macie tylko dwie możliwości do wyboru. Albo zaoferujecie wyższą cenę niż pięć dolarów dziesięć centów za akcję, mając na uwadze opinię waszego dyrektora generalnego, że to sporo powyżej ich realnej wartości, albo skontaktujecie się ze wszystkimi akcjonariuszami i poprosicie, żeby zobowiązali się na piśmie przekazać wam swoje udziały.

- To drugie - rzucił Nat bez wahania.

- Takiej odpowiedzi po panu się spodziewałem. Dokładnie sprawdziłem listę akcjonariuszy - w dniu dzisiejszym to dwadzieścia siedem tysięcy czterysta dwanaście osób. Przeważnie mają niewiele akcji - tysiąc albo mniej. Pięć procent jednakże należy do trzech osób - dwóch wdów na Florydzie, które mają po dwa procent i - senatora Harry'ego Gatesa, który ma jeden procent.

- Jak to możliwe? - spytał Tom. - Wiadomo, że Harry Gates żył z pensji senatora.

- Zawdzięcza to swojemu ojcu - powiedział Logan. - Zdaje się, że był przyjacielem założyciela banku, który zaoferował mu jeden procent kapitału akcyjnego spółki w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku. Nabył wtedy sto akcji za sto dolarów i od tej pory pozostają one własnością rodziny Gatesów.

- Ile są teraz warte? - spytał Tom.

Nat obliczył na kalkulatorze.

- Blisko pół miliona, a on pewno nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Jimmy Gates, jego syn, jest moim starym przyjacielem - rzekł

Logan. - Zawdzięczam mu swoją obecną pracę. I mogę wam powiedzieć, że jak Jimmy się dowie, iż wplątany jest w to Ralph Elliot, te akcje zostaną wam natychmiast przekazane. Jeżeli dostaniecie je do rąk i zyskacie przychylną dwóch starszych pań z Florydy, będziecie dysponować prawie trzydziestoma procentami, co znaczy, że brak będzie jeszcze dwudziestu koma jeden procent.

- Ale z moich dotychczasowych doświadczeń przy tego typu operacjach wynika, że pięć procent udziałów nigdy nie trafia do żadnego z dwóch rywali - rzekł Nat - jeśli wziąć pod uwagę zmianę adresów, fundusze powiernicze czy, nawet takie osoby jak Harry Gates, który od lat nie interesował się swoim portfelem akcji.

- Zgadzę się - rzekł Logan - ale nie spocznę, póki nie będę wiedział, że posiadacie ponad pięćdziesiąt procent.

- Więc jak mamy zdobyć te pozostałe dwadzieścia koma jeden procent? - spytał Tom.

- To piekielnie ciężka praca, na wiele godzin - rzekł Logan. - Na początek musicie wysłać listy do wszystkich akcjonariuszy, w sumie ponad dwadzieścia siedem tysięcy. Mam na myśli coś w tym rodzaju. - Logan wręczył kopie projektu listu wszystkim członkom rady nadzorczej. - Jak się państwo przekonają, podkreśliłem mocne strony banku, wiele lat tradycji w tej społeczności, najdynamiczniejszy rozwój ze wszystkich finansowych instytucji w tym stanie. Zapytałem, czy chcą, żeby skończyło się na monopolu jednego banku.

- Tak - rzucił Nat. - Naszego.

- Ale jeszcze nie teraz - rzekł Logan. - Zanim uzgodnimy ostateczną wersję tego listu, proszę o państwa propozycje, gdyż musi on zostać podpisany przez przewodniczącego rady nadzorczej albo dyrektora generalnego banku.

- Ależ to oznacza ponad dwadzieścia siedem tysięcy podpisów!

- Tak, ale panowie mogą podzielić to zadanie między sobą - powiedział Logan z uśmiechem. - Nie doradzałbym wykonania takiej herkulesowej pracy, gdybym nie miał pewności, że wasi rywale roześlą okólnik zatytułowany „Drogi Akcjonariuszu” ze stylizowanym podpisem nad nazwiskiem przewodniczącego rady nadzorczej. Akcent osobisty może zdecydować o przetrwaniu banku.

- Czy mogłabym jakoś pomóc? - spytała Julia.

- Oczywiście, że tak, proszę pani - odparł Logan. - Zaprojektowałem całkiem inny list, który należy wysłać do wszystkich akcjonariuszek i który powinna pani podpisać. Większość to rozwódki albo wdowy i prawdopodobnie nie sprawdzają co roku swojego portfela akcji. Jest prawie cztery tysiące takich osób, więc ma pani zajęcie na cały weekend. - Posunął drugi list przez blat stołu. - Jak pani zobaczy, wspomniałem tam o pani szczególnych kompetencjach jako osoby prowadzącej własną firmę, jak również o tym, że od siedmiu lat jest pani członkinią rady nadzorczej Banku Russella.

- Czy coś jeszcze?

- Tak - powiedział Logan, podając jej jeszcze dwie kartki - Chciałbym, żeby pani odwiedziła dwie wdowy na Florydzie.

- Mogę się tam wybrać na początku przyszłego tygodnia - rzekła Julia, zaglądając do terminarza.

- Nie - odparł stanowczo Logan. - Proszę zatelefonować do nich dziś przed południem i polecieć do nich jutro. Może być pani pewna, że Ralph

Elliot już im złożył wizytę.

Julia skinęła głową i otworzyła teczkę, żeby się dowiedzieć, co wiadomo o paniach Bloom i Hargaten.

- I Nat, jeszcze jedno - ciągnął Logan. - Będziesz musiał się włączyć w energiczną kampanię w mediach; innymi słowy musisz wyeksponować wszystkie swoje atuty.

- Co masz na myśli?

- Miejscowy chłopak, który wyszedł na ludzi. Bohater wojny wietnamskiej. Absolwent Uniwersytetu Harvarda, który wrócił do Hartford, żeby razem z najbliższym przyjacielem doprowadzić bank do rozkwitu. Dorzuc nawet to, że uprawiałeś biegi przełajowe - w tej chwili cały naród jest dotknięty manią joggingu - a nuż ktoś, kto go uprawia, jest waszym akcjonariuszem. I gdyby ktoś z „Wiadomości Cyklisty” albo „Robótek na Drutach” chciał z tobą przeprowadzić wywiad, zgódź się.

- A kogo będę miał za przeciwnika? - spytał Nat. -

Przewodniczącego rady nadzorczej Banku Fairchilda- Nie, nie sądzę - odparł Logan. - Murray Goldblatz jest inteligentnym bankierem, ale nikt nie zaryzykuje pokazania go w telewizji.

- Dlaczego? - spytał Tom, - Jest przewodniczącym rady nadzorczej Banku Fairchilda od ponad dwudziestu lat i jednym z najbardziej szanowanych finansistów w branży.

- Zgadza się - rzekł Logan. - Ale pamiętajmy, że dwa lata temu przeszedł atak serca i, co gorsza, jąka się. Może pan nie zwraca na to uwagi, bo przez wiele lat przywykł pan do tego, ale jest możliwe, że jeżeli pokaże się w telewizji, ludzie będą go oglądali tylko raz.

Może i jest najbardziej szanowanym bankierem w tym stanie, ale jąkanie się sugeruje niepewność. To niesprawiedliwe, ale oni z pewnością biorą to pod uwagę.

- A więc to będzie Wesley Jackson, mój odpowiednik? - mruknął Nat. - To najbardziej elokwentny bankier, jakiego spotkałem. Nawet proponowałem mu kiedyś członkostwo w naszej radzie.

- Możliwe - rzekł Logan. - Ale on jest czarny.

- Mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy - powiedział Nat ze złością.

- Wiem - rzekł Logan - ale ponad dziewięćdziesiąt procent naszych akcjonariuszy to biali i tamci też o tym pomyślą.

- To kogo przeciwko mnie wystawią? - zapytał Nat.

- Nie mam cienia wątpliwości, że twoim przeciwnikiem będzie Ralph Elliot.

- Jednak republikanie w końcu zatwierdzili kandydaturę Barbary Hunter - zauważył Fletcher.

- Tylko dlatego, że nikt inny nie chciał z tobą rywalizować - odrzekł Jimmy - kiedy sondaże pokazały, że masz dziewięć punktów przewagi.

- Podobno błagali Ralpa Elliota, żeby zgłosił swoją kandydaturę, ale odparł, że nie może, kiedy jest w trakcie przejmowania Banku Russella.

- Dobra wymówka - rzucił Jimmy - ale ten facet nigdy by nie podjął wyzwania, nie mając pewności, że może odnieść nad tobą zwycięstwo.

Widziałeś go wczoraj wieczorem w telewizji- Tak - odparł Fletcher z westchnieniem. - I gdybym go nie znał, pewnie dałbym się złapać na te jego słowa: „Możecie być pewni swojej przyszłości, jeżeli wybieriecie największy, najbezpieczniejszy i najbardziej szanowany bank w tym stanie”. Nie stracił nic z dawnego charyzmatu. Mam tylko nadzieję, że twój ojciec

mu nie uwierzył.

- Nie, Harry już się zobowiązał, że przekaże swój jednoprocenowy udział Tomowi Russellowi, i mówi wszystkim, żeby też tak postąpili, chociaż był zaszokowany, kiedy mu powiedziałem, ile są warte jego akcje.

- Zauważyłem - powiedział Fletcher ze śmiechem - że reporterzy finansowi spekulują, iż w tej chwili, zaledwie na tydzień przed upływem terminu oferty, obydwie strony mają mniej więcej po czterdzieści procent.

- Tak, walka będzie zacięta. Mam tylko nadzieję, że Tom Russell zdaje sobie sprawę, jak będzie nieczysta, skoro Ralph Elliot w niej bierze udział - powiedział Fletcher.

- Wyraźniej nie mogłem tego dać do zrozumienia - rzekł Jimmy cicho.

- Kiedy to zostało wysłane? - zapytał Nat, kiedy pozostali członkowie rady nadzorczej wczytywali się w ostatni list rozesłany do wszystkich udziałowców przez Bank Fairchilda.

- Nosi wczorajszą datę - zauważył Logan - co znaczy, że zostało nam trzy dni na odpowiedź, ale boję się, że już nie odrobimy tej straty.

- Nawet ja bym nie uwierzył, że Elliot może się posunąć do czegoś tak podłego - rzekł Tom, przeczytawszy list podpisany przez Murraya Goldblatza.

Czego nie wiecie o Nathanielu Cartwrightcie Dyrektorze Generalnym Banku Russella

- Nathaniel Cartwright nie urodził się ani nie wychował w Hartford;

- Został odrzucony przez Uniwersytet Yale'a, bo oszukiwał na egzaminie wstępnym.

- Opuścił Uniwersytet Connecticut bez dyplomu, uprzednio przegrawszy wybory na przewodniczącego rady uczelnianej;

- Wyrzucono go z J. P. Morgana, kiedy naraził bank na stratę pięciuset tysięcy dolarów;

- Ożenił się z Koreanką, której rodzina walczyła podczas wojny przeciw Amerykanom;

- Jedyną pracę, jaką mógł znaleźć po wyrzuceniu go z Morgana, otrzymał dzięki staremu szkolnemu przyjacielowi, który był przewodniczącym rady nadzorczej Banku Russella.

Zobowiąż się do przekazania swoich udziałów Fairchildowi. Zapewnij sobie bezpieczną przyszłość.

- A oto riposta, którą proponuję wysłać pocztą ekspresową - powiedział Logan - nie dając Fairchildowi czasu na odpowiedź. Podał egzemplarz listu każdemu członkowi zarządu.

Co powinniście wiedzieć o Nacie Cartwrightcie Dyrektorze Generalnym Banku Russella

- Nat urodził się i wychował w Connecticut;

- Otrzymał Medal of Honour za udział w wojnie w Wietnamie;

- Otrzymał dyplom licencjata Uniwersytetu Harvarda, a potem studiował w Harvardzkiej Szkole Biznesu;

- Zrezygnował z pracy u Morgana, uprzednio zarobiwszy dla banku ponad milion dolarów;

- Podczas dziewięciu lat na stanowisku dyrektora generalnego Banku Russella czterokrotnie zwiększył dochody banku;

- Jego żona jest profesorem statystyki na Uniwersytecie Connecticut, jej ojciec był starszym sierżantem w amerykańskiej piechocie morskiej.

Zostań u Russella, banku, który dba o ciebie i o twoje pieniądze

- Czy mogę to natychmiast rozesłać - spytał Logan.
- Nie - odparł Nat i podarł list. Przez dłuższy czas milczał. -
Nielatwo wpadam w gniew - powiedział w końcu - ale postanowiłem, że
wykończę Ralpa Elliota raz na zawsze, więc słuchajcie uważnie.
Dwadzieścia minut później Tom pierwszy zdobył się na komentarz.
- Ale to będzie diabelne ryzyko - powiedział.
- Dlaczego? - zapytał Nat. - Jeżeli ta strategia zawiedzie, to wszyscy
zostaniemy multimilionerami, ale jeżeli zakończy się sukcesem, przejmemy
kontrolę nad największym bankiem w tym stanie.
- Tata jest na ciebie wściekły. - rzekł Jimmy.
- Ale dlaczego? - zdziwił się Fletcher. - Skoro zwyciężyłem?
- No właśnie, zwyciężyłeś większością ponad dwunastu tysięcy
głosów, co było z twojej strony nietaktem - rzekł Jimmy, obserwując, jak
Harry junior biegnie na skrzydle, prowadząc piłkę. - Nie zapominaj, że jemu
podczas dwudziestu ośmiu lat tylko raz się udało zdobyć przewagę
jedenastu tysięcy głosów i to było wtedy, kiedy Barry Goldwater ubiegał się
o prezydenturę.
- Dziękuję za przestrożę - powiedział Fletcher. - Chyba lepiej,
żebym opuścił dwa następne niedzielne obiady.
- Nic podobnego, teraz powinieneś wysłuchać jego opowieści, jak w
ciągu jednego dnia zarobił milion.
- Tak, Annie mnie uprzedzała, że sprzedał swoje udziały Banku
Russella. Wydawało mi się, że się zobowiązał, iż za żadną cenę nie wyda
ich Bankowi Fairchilda.
- Owszem, i dotrzymałby zobowiązania, ale dzień przed terminem
zamknięcia oferty, kiedy akcje osiągnęły maksymalną cenę siedmiu dolarów
dziesięciu centów, zadzwonił do niego Tom Russell i doradził, żeby
sprzedał. Nawet sugerował, by skontaktował się bezpośrednio z Ralphem
Elliotem, aby szybko załatwić transakcję.
- Oni coś knują - Fletcher się zamyślił. - To niemożliwe, żeby Tom
Russell poradził twojemu ojcu kontaktować się z Ralphem Elliotem, o ile
nie nastąpi dalszy ciąg tej szczególnej historii. - Jimmy milczał. - Czy
możemy zatem uznać, że Bank Fairchilda zdobył ponad pięćdziesiąt procent
udziałów?
- Zadałem Loganowi to samo pytanie, ale on mi wytłumaczył, że jest
zobowiązany do tajemnicy i nie może nic powiedzieć do poniedziałku, kiedy
Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy poda oficjalne dane.
- O! - jęknął Jimmy. - Czy widziałeś jak ten dzieciak z Tafta załatwił
Harry'ego juniora? Ma szczęście, że nie ma tu Joanny, bo by wpadła na
boisko i mu przyłożyła.
- Kto jest za? - spytał przewodniczący.
Wszyscy siedzący wokół stołu unieśli ręce, chociaż Julia się
zawahała.
- Czyli przegłosowane jednogłośnie - oznajmił Tom i zwróciwszy się
do Nata, dodał: - Może zechciałbyś nam objaśnić, co będzie dalej.
- Oczywiście, panie przewodniczący - powiedział Nat. - Dzisiaj o
dziesiątej rano Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy ogłosi, że Bank
Fairchilda nie zdołał przejąć kontroli nad Bankiem Russella.
- Jak myślisz, ile procent udało im się ostatecznie zdobyć? - spytała
Julia.
- W sobotę o północy mieli czterdzieści siedem koma osiemdziesiąt
dziewięć i może dokupili jeszcze trochę akcji w niedzielę, ale prawdę

mówiąc, wątpię.

- A cena?

- Cena zamknięcia w piątek wynosiła siedem dolarów trzydzieści dwa centy - poinformował Logan - ale po dzisiejszym komunikacie wszystkie przyrzucone akcje zostają automatycznie wydane bankowi i Bank Fairchilda nie może wystąpić z następną ofertą co najmniej przez dwadzieścia osiem dni.

- I wtedy planuję rzucić na rynek milion akcji Russella - powiedział Nat.

- Dlaczego chcesz to zrobić? - spytała Julia. - Przecież wtedy wartość naszych akcji z pewnością gwałtownie spadnie.

- Tak samo spadną akcje Fairchilda, bo oni mają prawie pięćdziesiąt procent naszych - rzekł Nat - i nic nie będą mogli na to poradzić przez dwadzieścia osiem dni.

- Nic? - spytała Julia.

- Nic - potwierdził Logan.

- I jeżeli wykorzystamy luźną gotówkę na zakup akcji Fairchilda, kiedy zaczną spadać...

- Będziesz musiał zawiadomić Komisję Papierów Wartościowych i Giełdy w chwili, gdy zgromadzisz sześć procent - rzekł Logan - i poinformować, że twoim zamiarem jest przejęcie Banku Fairchilda.

- Dobrze - powiedział Nat. Przysunął telefon i wybrał dziesięciocyfrowy numer. Wszyscy milczeli, kiedy dyrektor generalny czekał na połączenie. - Cześć, Joe, tu Nat, realizujemy nasz plan. Minutę po dziesiątej rzuć na rynek milion akcji banku.

- Zdajesz sobie sprawę, że spadną na łeb na szyję - rzekł Joe - bo wszyscy będą sprzedawać.

- Miejmy nadzieję, Joe, że się nie mylisz, bo chcę, żebyś wtedy zaczął skupować akcje Fairchilda, ale dopiero w momencie, gdy dojdiesz do wniosku, że ich cena bardziej się nie obniży. I nie ustawaj, dopóki nie będziesz miał pięciu koma dziewięć procent.

- Zrozumiałem - rzekł Joe.

- I pamiętaj, miej telefon włączony dzień i noc, bo nie będziesz dużo spał w najbliższych czterech tygodniach - dodał Nat i odłożył słuchawkę.

- Czy nie naruszamy prawa? - spytała Julia.

- Z pewnością - odparł Logan. - Ale jak nam się uda, to założę się, że Kongres bardzo szybko będzie musiał zmienić ustawę o przejęciach.

- I uważasz, że postępujemy etycznie? - zagadnęła Julia.

- Nie - powiedział Nat. - I nie przyszedłby mi do głowy taki pomysł, gdybyśmy nie mieli do czynienia z Ralphem Elliotem. - Zawiesił głos. - Uprzedzałem was, że zamierzam go wykończyć. Nie mówiłem tylko jak.

- Przewodniczący rady nadzorczej Banku Fairchilda na pierwszej linii, Joe Stein na drugiej i pańska żona na trzeciej.

- Proszę połączyć przewodniczącego rady Fairchilda, Joe Stein niech zaczeka, a do Su Ling oddzwonię później.

- Ona mówi, że to pilne.

- Oddzwonię za kilka minut.

- Łączę pana Goldblatza.

Nat wolałby mieć kilka chwil przed rozmową z szefem Fairchilda, żeby zebrać myśli; może powinien był powiedzieć sekretarce, że do niego oddzwoni. Po pierwsze, jak ma go tytułować: panie przewodniczący czy po prostu proszę pana? W końcu Goldblatz był przewodniczącym rady

nadzorczej Fairchilda, kiedy Nat jeszcze studiował bankowość w Harwardzkiej Szkole Biznesu.

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry panu. Czym mogę służyć?

- Zastanawiam się, czy moglibyśmy się spotkać. - Nat milczał, bo nie bardzo wiedział, co powiedzieć. - I myślę, że byłoby rozsądnie, gdybyśmy się spotkali tylko my dwaj - dodał Goldblatt. - Ty-ty-tylko my dwaj.

- Tak, jestem pewien, że to byłoby właściwe - odparł Nat. - Ale w miejscu, gdzie by nas nie rozpoznano.

- Może w Katedrze Świętego Józefa? - zasugerował Goldblatt. -

Myślę, że tam nikt by mnie nie rozpoznał.

Nat się zaśmiał.

- Kiedy pan proponuje?

- Myślę, że im szybciej, tym lepiej.

- Też tak myślę - rzekł Nat.

- Powiedzmy dziś o trzeciej? Nie sądzę, żeby w poniedziałek po południu było w kościele dużo ludzi.

- U Świętego Józefa o trzeciej. Do zobaczenia, proszę pana. - Ledwie Nat odłożył słuchawkę, kiedy telefon zadzwonił znowu.

- Joe Stein - oznajmiła Linda.

- Joe, jakie najnowsze wiadomości?

- Przed chwilą kupiłem następnych sto tysięcy akcji Fairchilda, co w sumie ci daje dwadzieścia dziewięć procent. Ich obecny kurs wynosi teraz mniej więcej dwa dziewięćdziesiąt, czyli mniej niż pół ich najwyższej ceny. Ale masz pewien problem - rzekł Joe.

- Mianowicie?

- Jeżeli nie zgromadzisz do następnego piątku pięćdziesięciu procent, będziesz miał taki sam problem, jak Bank Fairchilda dwa tygodnie temu, mam więc nadzieję, że wiesz, co teraz powinienesz zrobić.

- Sytuacja może się wyjaśnić po spotkaniu, które mam dziś o trzeciej - powiedział Nat.

- To interesujące - rzekł Joe.

- Zobaczymy, ale w tej chwili nic nie mogę powiedzieć, bo nawet nie jestem pewien, o co chodzi.

- Coraz bardziej mnie zaciekawiasz - rzekł Joe. - Będę czekał na dalsze wieści. Ale co mam robić tymczasem?

- Kupuj dzisiaj do końca dnia wszystkie akcje Fairchilda, jakie tylko wpadną ci w ręce. Porozmawiamy tuż przed otwarciem giełdy jutro rano.

- Rozumiem - rzekł Joe. - Wobec tego kończmy i wracam na parkiet.

Nat westchnął głęboko i zamyślił się, usiłując zgadnąć, dlaczego Murray Goldblatt chce się z nim zobaczyć. Podniósł słuchawkę telefonu.

- Lindo - powiedział - połącz mnie z Loganem Fitzgeraldem, powinien być pod swoim nowojorskim numerem.

- Pańska żona mówiła, że ma pilną sprawę, i dzwoniła ponownie, kiedy pan rozmawiał ze Steinem.

- Dobrze, zadzwonię do niej, a ty w tym czasie próbuj znaleźć Logana.

Nat wykręcił swój numer domowy, a potem bębnił palcami po blacie biurka, dalej myśląc o Murrayu Goldblatze i o tym, czego on może chcieć. Rozmyślenia przerwał mu głos Su Ling.

- Przepraszam, że nie oddzwoniłem od razu - rzekł Nat - ale Murray...

- Luke uciekł ze szkoły - powiedziała Su Ling. - Nikt go nie widział po zgaszeniu świateł wczoraj w nocy.

- Ma pan przewodniczącego Krajowej Komisji Demokratycznej na pierwszej linii, pana Gatesa na drugiej i pańską żonę na trzeciej.

- Połącz mnie najpierw z przewodniczącym partii. Poproś Jimmy'ego, żeby poczekał, i powiedz Annie, że zaraz oddzwonię.

- Ona mówiła, że to pilne.

- Powiedz jej, że to potrwa dwie minuty.

Fletcher wolałby mieć trochę więcej czasu, żeby zebrać myśli. Tylko dwa razy widział przewodniczącego partii: na korytarzu podczas krajowej konwencji i na koktajlu w Waszyngtonie. Wątpił, czy Brubaker pamięta te okazje. Poza tym nie wiadomo, jak się do niego zwracać: panie przewodniczący, Alan, a może proszę pana- W końcu został mianowany przewodniczącym partii, zanim jeszcze Fletcher kandydował do Senatu.

- Dzień dobry, Fletcher, tu Al Brubaker.

- Dzień dobry, panie przewodniczący, miło pana słyszeć. Czy mógłbym coś dla pana zrobić?

- Fletcher, chciałbym z tobą porozmawiać w cztery oczy i ciekaw jestem, czy mógłbyś któregoś dnia przylecieć z żoną do Waszyngtonu, żeby zjeść z nami wieczorem kolację?

- Z największą przyjemnością - odparł Fletcher. - Jaki dzień byłby odpowiedni?

- Co byś powiedział na osiemnastego? To przyszły piątek.

Fletcher prędko przekartkował terminarz. W południe miał zebranie góry partyjnej, którego nie mógł opuścić, gdyż był teraz wiceprzewodniczącym, ale wieczorem był wolny.

- O której godzinie państwo by nas oczekiwali?

- Czy ósma by wam odpowiadała- Oczywiście, panie przewodniczący.

- Dobrze, zatem ósma, osiemnastego. Mieszkam w Georgetown, N Street numer trzy tysiące trzydzieści osiem.

Fletcher zapisał adres na wolnym miejscu poniżej notatki o zebraniu partyjnym.

- Do miłego zobaczenia, panie przewodniczący - powiedział.

- Do zobaczenia - rzekł Brubaker. - I Fletcher, wolałbym, żebyś o tym nikomu nie wspominał.

Fletcher odłożył słuchawkę. Trudno będzie zdążyć, może nawet będzie musiał wyjść wcześniej z zebrania. Znowu zadzwonił brzęczyk.

- Pan Gates - zapowiedziała Sally.

- Cześć, Jimmy, co słychać? - spytał Fletcher radośnie, chcąc mu powiedzieć o zaproszeniu przewodniczącego partii.

- Niestety, nic dobrego - powiedział Jimmy. - Tata znowu miał atak serca i został odwieziony do szpitala świętego Patryka. Właśnie tam jadę, ale pomyślałem, że najpierw cię zawiadomię.

- Czy to coś poważnego? - spytał Fletcher cicho.

- Trudno powiedzieć, dopóki nie znamy opinii lekarzy. Mamę niełatwo mi było zrozumieć, kiedy się ze mną skontaktowała, tak, że dowiem się więcej, gdy dotrę do szpitala.

- Postaramy się tam przyjechać z Annie jak najszybciej - rzekł Fletcher. Przerwał połączenie i wykręcił numer domowy. Linia była zajęta. Odłożył słuchawkę i zaczął bębnić palcami po blacie biurka. Jeśli telefon nadal będzie zajęty, kiedy znowu zadzwoni, wpadnie do domu, zabierze

Annie i pojedą razem do szpitala. Znowu przyszedł mu na myśl Brubaker. Dlaczego chce się z nim spotkać osobiście i woli, żeby nikomu o tym nie wspominać? Ale pomyślał ponownie o Harrym i drugi raz wykręcił numer domowy. W telefonie usłyszał głos Annie.

- Słyszałeś? - zapytała.

- Tak - odparł. - Przed chwilą rozmawiałem z Jimmym. Pomyślałem, że pojedę prosto do szpitala i tam się spotkamy.

- Nie, nie chodzi tylko o tatusia - rzekła Annie. - Lucy dziś rano spadła z konia i okropnie się potłukła. Ma wstrząs mózgu i złamaną nogę. Położyli ją w szkolnym szpitaliku. Nie wiem, co mam teraz robić.

- To moja wina - powiedział Nat. - Przez tę batalię z Bankiem Fairchilda jeszcze ani razu nie widziałem się z Lukiem w tym okresie szkolnym.

- Ani ja - przyznała Su Ling. - Ale wybieramy się na szkolne przedstawienie w przyszłym tygodniu.

- Wiem - rzekł Nat. - Czy myślisz, że skoro on gra Romea, to Julia może być problemem?

- Niewykluczone. Przecież ty spotkałeś swoją pierwszą miłość na przedstawieniu szkolnym, prawda?

- Tak, i skończyło się na łzach.

- Nat, nie obwiniaj się. Ja też przez te ostatnie tygodnie byłam zajęta swoimi studentami i może kiedy Luke był w domu podczas ferii, powinnam go dokładniej wypytać, dlaczego jest taki cichy i zamknięty w sobie.

- On zawsze był trochę samotnikiem - zauważył Nat - a pilni uczniowie rzadko miewają chmary przyjaciół.

- Skąd wiesz? - zagadnęła Su Ling, zadowolona, że mąż się uśmiecha. - I obie nasze matki zawsze były ciche i zamyślonne - dodała, wjeżdżając na autostradę.

- Jak myślisz, jak długo będziemy tam jechali? - spytał Nat, spoglądając na zegar na desce rozdzielczej.

- O tej porze dnia około godziny, czyli na miejscu powinniśmy być o trzeciej - odparła Su Ling. Zdjęła nogę z pedału gazu przy prędkości pięćdziesięciu pięciu mil.

- O trzeciej. Cholera - zaklął Nat, nagle sobie przypominając. - Muszę zawiadomić Murraya Goldblatza, że nie będę mógł się stawić na nasze spotkanie.

- Tego przewodniczącego rady nadzorczej Banku Fairchilda?

- Tego samego. Poprosił mnie o spotkanie w cztery oczy - rzekł Nat, sięgając po telefon. Prędko odszukał numer Banku Fairchilda w książce telefonicznej.

- W jakiej sprawie? - spytała Su Ling.

- To musi być związane z operacją przejęcia, ale poza tym nic nie wiem. - Nat wybrał jedenastocyfrowy numer. - Proszę z panem Goldblatzem.

- Kogo mam zapowiedzieć? - spytała telefonistka na centrali.

- To sprawa prywatna - odparł Nat po chwili wahania.

- Jednak muszę wiedzieć, kto dzwoni - nalegała telefonistka.

- Mam z nim spotkanie o trzeciej.

- Przełączę pana do jego sekretarki. - Nat czekał.

- Gabinet pana Goldblatza - odezwał się kobiecy głos.

- Umówiony jestem na trzecią z panem Goldblatzem, ale obawiam się, że...

- Już pana łączę, panie Cartwright.
- Panie Goldblatt, muszę pana przeprosić, mam problem rodzinny i nie uda mi się zdążyć na nasze spotkanie dzisiaj po południu.

- Rozumiem - powiedział Goldblatt takim tonem, jakby nie rozumiał.

- Proszę pana - rzekł Nat. - Nie zwykłem bawić się w żadne gierki. Ani nie mam na to czasu, ani ochoty.

- Ja tego nie sugerowałem, proszę pana - zauważył oschle Goldblatt.

- Mój syn - powiedział Nat po chwili wahania - uciekł z Tafta i jadę zobaczyć się z dyrektorem.

- T-tak... t-tak przykro mi to słyszeć - ton Goldblatza od razu się zmienił. - Jeżeli to może być jakimś pocieszeniem, to powiem panu, że ja też kiedyś uciekłem z tej szkoły, ale kiedy wydałem kieszonkowe, postanowiłem wrócić następnego dnia.

Nat się roześmiał.

- Dziękuję za zrozumienie.

- Proszę bardzo. Może zechce pan zadzwonić i dać mi znać, kiedy będziemy mogli się spotkać.

- Tak, oczywiście, proszę pana. I jeszcze jedno: czy mógłbym mieć do pana prośbę?

- Ależ tak.

- Żeby Ralph Elliot nie dowiedział się o naszej rozmowie.

- Ma pan moje słowo. Zresztą on nie ma pojęcia, że zamierzam się z panem spotkać.

- Czy to nie było trochę ryzykowne? - spytała Su Ling, kiedy Nat odłożył słuchawkę.

- Nie sądzę - odparł Nat. - Chyba odkryliśmy z panem Goldblattem, że coś nas łączy.

Kiedy Su Ling wjeżdżała w bramę Tafta, Nata ogarnęły wspomnienia: jak matka się spóźniła, jak musiał przejść samym środkiem zatłoczonej sali na uginających się nogach, jak usiadł koło Toma, i jak dwadzieścia pięć lat później powrócił, żeby towarzyszyć swojemu synowi w jego pierwszym dniu w szkole. Teraz myślał tylko o tym, czy chłopak jest zdrowy i cały.

Su Ling zaparkowała samochód przed domem dyrektora szkoły i jeszcze nim wyłączyła silnik, Nat zauważył panią Henderson, która schodziła po schodkach. Żołądek podjechał mu do gardła, ale dostrzegł, że pani Henderson się uśmiecha. Su Ling wyskoczyła z samochodu.

- Znalezione go - oznajmiła pani Henderson. - Jest u babci, pomagał jej w praniu.

- Jedźmy oboje prosto do szpitala i zobaczmy się z twoim ojcem. Potem zdecydujemy, czy jedno z nas ma jechać do Lakeville i sprawdzić, co z Lucy.

- Ona by się bardzo zmartwiła, gdyby wiedziała - zauważyła Annie. - Lucy uwielbia dziadka.

- Wiem. A on już zaczął planować jej życie - rzekł Fletcher, - Może lepiej jej nie mówić, co się stało, szczególnie, że i tak nie będzie mogła go odwiedzić.

- Masz rację: W każdym razie on u niej był w tamtym tygodniu.

- Nie wiedziałem - zdziwił się Fletcher.

- Tak, ci dwoje spiskują razem - rzekła Annie, wjeżdżając na szpitalny parking. - Ale żadne nie dopuściło mnie do tajemnicy.

Kiedy otworzyły się drzwi windy, oboje udali się pośpiesznie do pokoju Harry'ego. Na ich widok Martha natychmiast się podniosła; była blada jak ściana. Annie objęła matkę, a Fletcher dotknął ramienia Jimmy'ego. Spojrzał na wymizerowanego mężczyznę o ziemistej cerze, którego nos i usta przykrywała maska. Sygnały stojącego obok monitora były jedyną oznaką, że żyje. To był najbardziej energiczny człowiek, jakiego Fletcher znał.

Usiedli we czwórkę wokół łóżka, Martha trzymała rękę męża. Po kilku chwilach powiedziała:

- Czy nie uważacie, że jedno z was powinno pojechać i zobaczyć, co się dzieje z Lucy? Niewiele tutaj możecie pomóc.

- Ja się stąd nie ruszę - odparła Annie. - Ale myślę, że Fletcher powinien pojechać.

Fletcher kiwnął głową i pocałował Marthę w policzek.

- Jak się upewnię, że u Lucy wszystko w porządku - powiedział, patrząc na Annie - od razu wrócę.

Fletcher niewiele zapamiętał z jazdy do Lakeville, bo błądził myślami od Harry'ego do Lucy, a nawet przez moment wspomniął rozmowę z Alem Brubakerem, chociaż stwierdził, że już tak bardzo nie interesuje go to, co też może chcieć od niego przewodniczący partii.

Kiedy jego oczom ukazał się znak drogowy sygnalizujący zjazd w kierunku Hotchkissa, wrócił myślami do Harry'ego i do chwili, kiedy spotkali się pierwszy raz na meczu futbolu.

- Boże, spraw, żeby żył - powiedział na głos, zajeżdżając przed swoją dawną szkołę i zatrzymując samochód przed szpitalikiem.

Pielęgniarka zaprowadziła senatora do pokoju, w którym leżała córka. Idąc korytarzem, z którego widać było puste łóżka, zobaczył z daleka nogę w gipsie, sterczącą wysoko w górze. Przypomniał sobie, jak się ubiegał o stanowisko przewodniczącego samorządu szkolnego i jak w dniu wyborów jego rywal pozwolił uczniom podpisywać się na gipsie, w który włożono mu nogę. Fletcher usiłował sobie przypomnieć jego nazwisko.

- Ty symulantko - powiedział Fletcher, zanim jeszcze zdążył zobaczyć szeroki uśmiech na twarzyczce Lucy i butelki z napojami oraz torby ciasteczek, które przy niej leżały.

- Wiem, tatusiu, i nawet udało mi się opuścić egzamin z rachunków, ale w poniedziałek muszę być z powrotem w kampusie, jeżeli chcę zostać przewodniczącą klasy.

- To dlatego dziadek przyjechał tu do ciebie, ten stary lis - rzekł Fletcher. Pocałował córkę w policzek i obejrzał ciasteczka, kiedy wszedł młody człowiek i stanął niespokojnie po drugiej stronie łóżka.

- To jest George - oznajmiła Lucy. - On się we mnie buja.

- Miło mi cię poznać, George - powiedział Fletcher z uśmiechem.

- Też się, cieszę, że pana poznałem, panie senatorze - odparł młody człowiek i wyciągnął rękę ponad łóżkiem Lucy.

- George kieruje moją kampanią wyborczą - wyjaśniła Lucy - tak jak dziadek kierował twoją. George uważa, że złamana noga przysporzy mi więcej głosów. Muszę zapytać dziadka o jego opinię, kiedy następnym razem mnie odwiedzi; dziadek to nasza sekretna broń - szepnęła. - Już wystraszył przeciwników.

- Nie wiem, po co tu do ciebie przyjeżdżałem - rzekł Fletcher. - Wcale ci nie jestem potrzebny.

- Jesteś, tatusiu. Czy mógłbyś mi dać zaliczkę na poczet przyszłego

kieszonkowego?

Fletcher uśmiechnął się i wyjął portfel.

- Ile ci dał dziadek?

- Pięć dolarów - odparła Lucy z zakłopotaniem. Fletcher wyjął banknot pięciodolarowy.

- Dziękuję, tatusiu. A dlaczego mama z tobą nie przyjechała?

Nat zgodził się odwiedzić Luke'a do szkoły następnego dnia rano.

Chłopiec był bardzo niekomunikatywny poprzedniego wieczoru, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nie wtedy, kiedy matka z ojcem byli w pokoju.

- Może otworzy się w drodze do szkoły, kiedy będziecie sami - zasugerowała Su Ling.

Ojciec i syn wyruszyli w drogę do Tafta zaraz po śniadaniu, ale Luke dalej prawie się nie odzywał. Nat próbował poruszyć temat nauki, sztuki szkolnej, a nawet biegania Luke'a, ale chłopiec odpowiadał monosylabami. Nat zmienił więc taktykę i zamilkł, mając nadzieję, że Luke z czasem sam zacznie rozmowę.

Ojciec jechał lewym pasem, trochę przekraczając dozwoloną prędkość, kiedy syn zapytał:

- Tato, kiedy pierwszy raz się zakochałeś?

Nat o mało nie wpadł na jadący przed nim samochód; ale zwolnił w porę i wrócił na środkowy pas.

- Chyba pierwsza dziewczyna, którą się poważnie zainteresowałem, miała na imię Rebeka. Grała Oliwię, a ja Sebastiana. - Zamilkł na chwilę. - Czy to z Julią masz problem?

- Skądże - odparł Luke. - Ona jest głupia; ładna, ale głupia. - Znów na długo zamilkł. - I co robiliście z tą Rebeką? - w końcu zapytał.

- O ile pamiętam, trochę się całowaliśmy - odparł Nat - i trochę się pieściliśmy.

- Chciałeś dotykać jej piersi?

- No pewno, ale mi nie pozwalała. Dopiero gdy byłem na pierwszym roku studiów, posunąłem się tak daleko.

- Ale czy byłeś w niej zakochany, tatusiu?

- Tak mi się wydawało, ale nie wiedziałem, co to prawdziwa miłość, dopóki nie spotkałem twojej matki.

- To mama była pierwszą kobietą, z którą się kochałeś?

- Nie, przedtem były jeszcze dwie dziewczyny, jedna w Wietnamie i druga, kiedy studiowałem.

- Czy któraś zaszła z tobą w ciążę?

Nat przejechał na prawy pas i mocno zwolnił.

- Czy z tobą jakaś dziewczynka zaszła w ciążę? - spytał po dłuższej chwili milczenia.

- Nie wiem - powiedział Luke. - Kathy też nie wie. Ale kiedy się całowaliśmy za salą gimnastyczną, okropnie zabrudziłem jej spódniczkę.

Fletcher spędził z córką jeszcze godzinę, a potem wrócił samochodem do Hartford. Dobrze się czuł w towarzystwie George'a. Lucy mówiła, że chłopak jest najzdolniejszy w klasie.

- Dlatego wzięłam go na szefa mojej kampanii wyborczej - tłumaczyła.

Fletcher był z powrotem w Hartford godzinę później i gdy znalazł się w pokoju szpitalnym Harry'ego, okazało się, że sytuacja się nie zmieniła. Usiadł przy Annie i wziął ją za rękę.

- Czy jest jakaś poprawa? - zapytał.
- Nie, nic - odparła Annie. - Nie poruszył się, odkąd pojechałeś. A co z Lucy?

- Powiedziałem, że symuluje. Przez sześć tygodni będzie w gipsie, ale nic nie straciła na fantazji; jest nawet przekonana, że to zwiększy jej szansę wyboru na przewodniczącą klasy.

- Powiedziałeś jej o dziadku?

- Nie, i musiałem trochę kręcić, kiedy zapytała, gdzie jesteś.

- A gdzie byłam?

- Prowadziłaś spotkanie rady szkolnej.

- Owszem, tylko innego dnia - powiedziała Annie.

- Przy okazji, czy wiedziałaś, że ona ma chłopaka? - zagadnął

Fletcher.

- Masz na myśli George'a?

- Widziałeś go?

- Tak, ale nie nazwałabym go jej chłopakiem - zauważyła Annie. -

Raczej oddanym niewolnikiem.

- Zdaje się, że Lincoln zniósł niewolnictwo w tysiąc osiemset sześćdziesiątym trzecim roku - rzekł Fletcher.

Annie odwróciła się i spojrzała na męża.

- Czy to cię zmartwiło? - zapytała.

- Ależ skąd. Wcześniej czy później Lucy musi mieć chłopaka.

- Nie o to mi chodziło, wiesz o tym.

- Annie, ona ma tylko szesnaście lat.

- Ja byłam młodsza, jak cię spotkałam.

- Annie, czy zapomniałaś, że kiedy byliśmy w szkole, uczestniczyliśmy w marszach na rzecz praw obywatelskich i jestem dumny, że przekazaliśmy te przekonania naszej córce.

Kiedy Nat odstawił Luke'a do szkoły i wrócił do Hartford, dręczyło go poczucie winy, że nie zdążył odwiedzić rodziców. Wiedział jednak, że nie może drugi dzień z rzędu nie stawić się na spotkanie z Murrayem Goldblatzem. Gdy zegnał się z synem, przynajmniej chłopak nie był już taki zagubiony w niedolach świata. Nat obiecał Luke'owi, że w piątek wieczór przyjedzie razem z Su Ling na szkolne przedstawienie. Myślał o Luke'u, kiedy zadzwonił telefon w samochodzie - nowość, która zmieniła jego życie.

- Miałeś zatelefonować przed otwarciem giełdy - odezwał się Joe.

Chwilę milczał. - Z wiadomościami.

- Joe, przepraszam, że nie zadzwoniłem; wybuchł kryzys rodzinny i po prostu zapomniałem.

- Czy możesz mi powiedzieć coś więcej?

- Coś więcej?

- Twoje ostatnie słowa brzmiały: „Będę wiedział więcej w ciągu dwudziestu czterech godzin”.

- Joe, zanim się zaczniesz śmiać: będę wiedział więcej w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Przyjąłem to do wiadomości, ale jakie są dzisiejsze polecenia?

- Takie same jak wczoraj. Chcę, żebyś kupował akcje Fairchilda aż do zamknięcia giełdy.

- Nat, mam nadzieję, że wiesz, co robisz, bo w przyszłym tygodniu zaczną napływać rachunki. Wszyscy wiedzą, że Bank Fairchilda przetrwa taką burzę, ale czy jesteś pewien, że ty też?

- Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby nie przetrwać - odrzekł Nat -

dlatego kupuj dalej.

- Jak sobie życzysz, szefie. Mam nadzieję, że zaopatrzyłeś się w spadochron, bo jak ci się nie uda do dziesiątej rano w poniedziałek zgromadzić pięćdziesięciu procent akcji Banku Fairchilda, to czeka cię twarde lądowanie.

Podczas dalszej jazdy do Hartford Nat uświadomił sobie, że Joe po prostu stwierdził to, co oczywiste. Możliwe, że w przyszłym tygodniu o tej porze zostanie bez pracy i, co ważniejsze, będzie odpowiedzialny za przejęcie Banku Russella przez jego największego rywala. Czy Goldblatz już to wie- Oczywiście, że tak.

Kiedy Nat dotarł do miasta, zdecydował, że nie wróci do biura, lecz zaparkuje samochód kilka ulic od katedry, coś przegryzie i rozważy wszystkie możliwe propozycje, z jakimi może wystąpić Goldblatz. Zamówił kanapkę z bekonem w nadziei, że wprawi go w bojowy nastrój. Potem na odwrotnej stronie jadłospisu sporządził listę wszystkich za i przeciw.

Za dziesięć trzecia wyszedł z baru i skierował się wolno w stronę katedry. Kilka osób, które go minęły, skinęło głową i pozdrowiło go, co uświadomiło mu, jak ostatnio zrobił się popularny. Ich twarze wyrażały podziw i szacunek; dużo by dał, gdyby mógł sięgnąć w przyszłość i zobaczyć te same twarze za tydzień. Spojrzał na zegarek: za cztery trzecia. Postanowił skrócić w przecznicę i wejść do katedry od spokojniejszej, południowej strony. Wbiegł po schodach po dwa stopnie naraz i znalazł się w południowym transepcie dwie minuty przedtem, nim zegar katedralny wybił trzecią. Nic by nie zyskał, gdyby się spóźnił.

Upłynęło kilka chwil, zanim Nat, który z jasnej, rozświetlonej popołudniowym słońcem ulicy zanurzył się w mroku katedry rozjaśnionej tylko światłem świec, mógł cokolwiek zobaczyć. Spojrzał w głąb środkowej nawy wiodącej do ołtarza, na którym wznosił się olbrzymi pozłacany krzyż, wysadzany półszlachetnymi kamieniami. Skierował wzrok na niekończące się rzędy dębowych ławek,

ciągnących się wzdłuż nawy. Rzeczywiście, były prawie puste, jak przewidywał Goldblatz, jeśli nie liczyć czterech czy pięciu starszych pań w czerni; jedna trzymała w ręce różaniec i zawodziła:

- Zdrowaś Mario, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty...

Nat wędrował środkową nawą, ale nigdzie nie widział Goldblatza. Kiedy doszedł do wspaniałej rzeźbionej drewnianej ambony, przystanął na moment, podziwiając kunszt snycerskiej roboty, co mu przypomniało jego wycieczki do Włoch. Ogarnęło go poczucie winy, że nie zdawał sobie sprawy z istnienia takiego piękna w swoim mieście. Spojrzał znowu na nawę, ale ponownie dostrzegł tę samą grupkę starych kobiet, które z pochylonymi głowami odmawiały modły. Postanowił pójść w głąb katedry i usiąść z tyłu. Spojrzał na zegarek. Minuta po trzeciej. Idąc, słyszał stuk swoich kroków, rozbrzmiewających echem na marmurowej posadzce. Nagle do jego uszu dobiegły słowa:

- Synu, czy chcesz się wypowiedzieć?

Nat zboczył w lewo i ujrzał konfesjonał z zaciągniętą zasłoną. Katolicki ksiądz z żydowskim akcentem? Uśmiechnął się, usiadł na drewnianej ławeczce i szczerze zaciągnął zasłonę.

- Ależ jesteś elegancki - powiedział przywódca większości, kiedy Fletcher zajął miejsce z prawej strony Kena. - Gdyby to był ktoś inny, pomyślałbym, że ma kochankę.

- Ja mam kochankę - rzekł Fletcher. - Na imię jej Annie. Przy okazji,

będę musiał wyjść koło drugiej.

Ken Stratton spojrział na kartkę z porządkiem obrad.

- Dobrze. Oprócz projektu ustawy o edukacji i może jeszcze sprawy kandydatów do następnych wyborów nie ma tu nic, co by wymagało twojej obecności. Wszyscy założyliśmy, że będziesz znowu startował z okręgu Hartford, chyba, że Harry planuje powrót.

Przy okazji, jak się czuje nasz weteran?...

- Trochę lepiej - rzekł Fletcher. - Niecierpliwy, we wszystko się wtrąca, wybuchowy i nieznoszący sprzeciwu.

- Czyli że się nie zmienił - powiedział Ken.

Fletcher zastanowił się nad porządkiem obrad. Nie będzie obecny podczas dyskusji na temat zbierania funduszy, ale ten punkt jest w porządku obrad od dnia, kiedy został wybrany na senatora i będzie tam jeszcze długo po jego przejściu na emeryturę.

Z uderzeniem dwunastej przywódca większości zaapelował o ciszę i poprosił Fletchera, żeby zaprezentował swój projekt ustawy o edukacji. Przez następne pół godziny Fletcher przedstawiał swoje propozycje, omawiając szczegółowo te klauzule, którym, jak przewidywał, sprzeciwią się republikanie. Po pięciu czy sześciu pytaniach kolegów Fletcher pojął, że przeprowadzenie projektu w Senacie będzie wymagało wszystkich jego umiejętności prawniczych i talentu prowadzenia dyskusji. Ostatnie pytanie, jak można się było spodziewać, zadał Jack Swales, członek Senatu o najdłuższym stażu. Zawsze pytał na końcu, co było sygnałem, że pora przejść do kolejnego punktu obrad.

- Panie senatorze, ile to będzie kosztowało podatników?

Obecni słuchali z uśmiechem, kiedy Fletcher odprawiał stały rytuał, odpowiadając:

- To jest przewidziane w budżecie, Jack, i stanowiło punkt naszego programu podczas ostatnich wyborów.

Jack uśmiechnął się, a przywódca większości powiedział:

- Punkt drugi, kandydaci do następnych wyborów.

Fletcher miał zamiar się wymknąć, gdy tylko rozpocznie się dyskusja, ale jak wszyscy na sali został zaskoczony oświadczeniem Kena.

- Muszę z żalem poinformować moich kolegów, że nie będę kandydował w przyszłych wyborach.

Senne zebranie nagle się ożywiło. Wszyscy jednocześnie zaczęli wykrzykiwać: „dlaczego?”, „czy to możliwe?” i „kto?”, aż Ken podniósł rękę i powiedział:

- Nie muszę wam tłumaczyć, dlaczego uważam, że czas się wycofać.

Fletcher uświadomił sobie, że w wyniku decyzji Kena teraz on będzie faworytem na stanowisko przywódcy większości. Kiedy wywołano jego nazwisko oznajmił, że będzie kandydował w następnych wyborach. Wyśliznął się, kiedy Jack Swales zaczął mówić o tym, dlaczego uważa za swój obowiązek ponownie startować w wyborach w wieku osiemdziesięciu dwóch lat.

Fletcher wszedł do samochodu i pojechał do szpitala, który znajdował się w odległości pół mili. Nie czekał na windę, lecz wbiegł po schodach na drugie piętro i wszedł do pokoju, gdzie Harry tłumaczył prawo o impeachmentie zasłuchanemu audytorium, składającemu się z dwóch osób. Martha i Annie odwróciły się do Fletchera, kiedy stanął w drzwiach.

- Czy na radzie mocnych zdarzyło się coś, o czym powinienem wiedzieć? - spytał Harry...

- Ken Stratton nie będzie kandydował w następnych wyborach.
- To żadna niespodzianka. Od pewnego czasu Ellie choruje, a on tylko ją kocha bardziej od partii. Ale to oznacza, że jeżeli utrzymamy się w Senacie, możesz zostać następnym przywódcą większości.

- A Jack Swales? Czy nie uzna, że ma do tego prawo?

- W polityce nic nie, jest czyjeś według prawa - rzekł Harry. - Zresztą założę się, że inni członkowie go nie poprą. Słuchaj, nie trać czasu na rozmowę ze mną, wiem, że masz być, w Waszyngtonie na spotkaniu z Alem Brubakerem. Chcę tylko wiedzieć, kiedy wrócisz.

- Jutro z samego rana - rzekł Fletcher. - Tylko tam przenocujemy.

- Wobec tego wpadnij tu, jadąc z lotniska, bo chcę usłyszeć szczegółową relację o tym, dlaczego Al chciał się z tobą widzieć. I pamiętaj, przekaz mu moje pozdrowienia, bo to najlepszy przewodniczący, jakiego partia ma od lat. I spytaj go, czy dostał mój list.

- Twój list? - powtórzył Fletcher.

- Po prostu go spytaj - rzekł Harry.

- Myślę, że on wygląda dużo lepiej - powiedział Fletcher do Annie, kiedy jechali samochodem na lotnisko.

- Masz rację - przytaknęła Annie. - Mówili mamie, że może nawet wypuszczą go w przyszłym tygodniu do domu, jeżeli obieca, że nie będzie się przemęczał.

- On obieca - rzekł Fletcher. - Ale cieszymy się, że wybory są dopiero za dziesięć miesięcy.

Samolot do stolicy odleciał z piętnastominutowym opóźnieniem, ale Fletcher to uwzględnił i kiedy wylądowali, był spokojny, bo mieli dość czasu, żeby się zameldować w hotelu Willard, wziąć prysznic i zdążyć do Georgetown na ósmą.

Dziesięć po siódmej taksówka przywiozła ich przed hotel. Fletcher od razu spytał portiera, ile czasu zajmie jazda do Georgetown.

- Dziesięć, może piętnaście minut - padła odpowiedź.

- W takim razie zamawiam taksówkę na za piętnaście ósma.

Annie zdążyła wziąć prysznic i przebrać się w sukienkę koktajlową, podczas gdy Fletcher krążył po pokoju, co chwilę spoglądając na zegarek. Za dziewięć ósma otworzył żonie drzwi taksówki.

- Chcę być na N Street numer trzy tysiące trzydzieści osiem - spojrzał na zegarek za dziewięć minut.

- Nie - zaprotestowała Annie. - Jeżeli Jenny Brubaker jest choć trochę do mnie podobna, będzie wdzięczna, jak kilka minut się spóźnimy.

Taksówkarz lawirował między samochodami i zajechał przed dom przewodniczącego dwie minuty po ósmej. W końcu wiedział, kto będzie płacił za kurs.

- Fletcher, miło cię znowu widzieć - powiedział Al Brubaker, otworzywszy drzwi frontowe. - A to Annie, prawda? Nie sądzę, żebyśmy kiedyś się spotkali, ale oczywiście wiem o twojej pracy dla partii.

- Dla partii? - zdziwiła się Annie.

- Czy nie zasiadasz w radzie szkolnej w Hartford oraz w komisji szpitalnej?

- Tak - odparła Annie. - Ale zawsze traktowałam to jako pracę dla społeczności.

- Całkiem jak twój ojciec - rzekł Al - Przy okazji jak się czuje stary wojownik?

- Dopiero co się z nim widzieliśmy - powiedział Fletcher. - Wygląda

o wiele lepiej i przesyła serdeczne pozdrowienia. Chciał wiedzieć, czy dostałeś jego list.

- Tak, dostałem. On się nigdy nie poddaje, prawda? - spytał

Brubaker z uśmiechem. - Chodźmy do biblioteki. Podam wam drinki, a Jenny zejdzie do nas za chwilę.

- Jak się czuje pański chłopiec?

- Dobrze, dziękuję panu. Jego nieobecność była spowodowana sprawami sercowymi.

- Ile ma lat?

- Szesnaście.

- To odpowiedni wiek, żeby się zakochać. A teraz, mój synu, czy chcesz coś wyznać?

- Tak, ojcze. Za tydzień o tej porze będę przewodniczącym rady nadzorczej największego banku w tym stanie.

- Synu, za tydzień o tej porze możesz nie być nawet dyrektorem generalnym jednego z najmniejszych banków w tym stanie.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Ponieważ to, co mogło być nie lada wyczynem, może przynieść odwrotny skutek. Pańscy maklerzy pewno pana przestrzegli, że nie ma szans, by zgromadził pan pięćdziesiąt procent akcji Fairchilda do poniedziałku rano.

- Zrobimy wszystko, co możliwe - rzekł Nat - i wierzę, że się uda.

- Dzięki Bogu żaden z nas nie jest katolikiem, bo inaczej pan by się zaczerwienił, a ja bym zadał panu na pokutę trzy zdrowaśki.

Ale proszę się nie lękać, widzę odkupienie dla nas obu.

- Ojcze, czy ja potrzebuję odkupienia?

- Obaj go potrzebujemy, dlatego po-po-poprosiłem o to spotkanie. Ta walka żadnemu z nas nie przyniosła nic dobrego i jeżeli potrwa do poniedziałku, narazi na uszczerbek obydwie instytucje, którym służymy, i być może unicestwi pańską.

Nat chciał zaprotestować, ale wiedział, że Goldblatz ma rację. - Więc jak ma wyglądać to odkupienie? - zapytał.

- Hm, myślę, że mam lepsze rozwiązanie niż trzy zdrowaśki. Dzięki niemu oczyścimy się z grzechów i może jeszcze trochę zarobimy.

- Ojcze, czekam na twoje nauki.

- Mój synu, przez lata obserwowałem z zainteresowaniem twoją karierę. Jesteś bardzo bystry, nadzwyczaj sumienny i wściekle zdeterminowany, ale co w tobie najbardziej podziwiam, to twoją uczciwość - aczkolwiek jeden z moich doradców prawnych próbuje mi wmawiać coś całkiem innego.

- Ojcze, czuję się pochlebiony, ale nie do przesady.

- Słusznie, synu. Jestem realistą i myślę, że jeżeli tym razem ci się nie uda, możesz równie dobrze spróbować za dwa lata, a potem dalej aż do skutku. Czy mam rację?

- Niewykluczone.

- Jest pan ze mną szczery, dlatego odpowiem tym samym. Za osiemnaście miesięcy skończę sześćdziesiąt pięć lat i wtedy będę chciał się wycofać na pole golfowe. Chciałbym przekazać mojemu następcy kwitnącą instytucję, a nie chorowitego pacjenta, który ciągle potrzebuje nowej kuracji. Uważam, że pan mógłby stanowić rozwiązanie mojego problemu.

- Myślałem, że jestem przyczyną.

- Tym więcej mamy powodów, żeby wspólnie dokonać posunięcia,

które będzie odważne i pomysłowe.

- Wydawało mi się, że właśnie to robię.

- Tak, panie Cartwright, ale z powodów politycznych zależy mi, żeby to był pański pomysł, co oznacza, że musi mi pan zaufać.

- Panie Goldblatt, budował pan swoją reputację przez czterdzieści lat. Nie wierzę, żeby chciał pan ją przehandlować przed samym przejściem na emeryturę.

- Także czuję się pochlebiony, młody człowieku, ale nie do przesady. A zatem, czy mogę dać do zrozumienia, że to pan poprosił o to spotkanie, aby wystąpić z własną propozycją, a mianowicie, żeby nie kontynuować tej wojny, tylko współpracować.

- Myśli pan o spółce?

- Jak znał, tak znał, ale gdyby nasze dwa banki dokonały fuzji, nikt by nie stracił, a co ważniejsze, zyskaliby wszyscy udziałowcy.

- Jakie pańskim zdaniem warunki powinienem panu przedstawić, że nie wspomnę o mojej radzie nadzorczej?

- Że bank powinien się nazywać Bankiem Fairchilda Russella, ja będę przewodniczącym rady nadzorczej przez następnych osiemnaście miesięcy, natomiast pan zostanie moim zastępcą.

- A co z Tomem i Julią Russellami?

- Oczywiście oboje zostaną zaproszeni do rady nadzorczej. Jak po półtora roku zostanie pan przewodniczącym, sam pan sobie dobierze zastępcę, chociaż myślę, że mądrze byłoby zatrzymać Wesleya Jacksona jako dyrektora generalnego. Skoro jednak kilka lat temu proponował mi pan miejsce u siebie w radzie nadzorczej, nie powinno z tym być kłopotu.

- Chyba nie, ale pozostaje problem alokacji kapitału akcyjnego.

- W tej chwili pan ma dziesięć procent udziałów Russella, tak samo wasz przewodniczący. Do jego żony, która nawiasem mówiąc, powinna zarządzać naszym połączonym portfelem nieruchomości, należało w pewnym momencie aż cztery procent udziałów. Jednak przypuszczam, że to jej akcje rzucił pan na rynek w ostatnich dniach.

- To możliwe, proszę pana.

- Pod względem obrotu i zysków Fairchild o-o-około pięciu razy przewyższa Russella, a zatem sugerowałbym, że jak będzie pan przedkładał swoją propozycję, powinien pan wraz z panem Russellem zażądać po cztery procent, a zgodzić się na trzy. Uważam, że pani Russell zadowolili się jednym procentem. Oczywiście wszyscy troje zachowacie obecne pensje i dodatki.

- A mój personel?

- Przez półtora roku powinno się zachować status quo. Potem decyzje będą należały do pana.

- I pan, panie Goldblatt, chce, żebyśmy się zwrócił do pana z taką propozycją?

- Tak.

- Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale dlaczego Etan sam nie wyjdzie z taką propozycją i nie podda jej pod rozwagę mojej rady nadzorczej?

- Ponieważ nasi doradcy prawni będą temu przeciwni. Wydaje się, że panu Elliotowi przyświeca przy tym przejęciu tylko jeden cel - żeby pana zniszczyć. Ja też mam tylko jeden cel: zachować dobre imię banku, któremu poświęciłem ponad trzydzieści lat.

- Więc dlaczego nie wyrzuci pan Elliota?

- Chciałem to zrobić tego dnia, kiedy rozesłał ten haniebny list w moim imieniu, ale nie mogłem przyznać się do wewnętrznych

nieporozumień, skoro kilka dni dzieliło nas od przejęcia. Już sobie wyobrażam, jak by to rozdmuchała prasa i jak by prz-prz-przyjęli to nasi akcjonariusze.

- Ale jak Elliot usłyszy, że ta propozycja wyszła ode mnie - rzekł Nat - natychmiast odradzi jej przyjęcie waszej radzie nadzorczej.

- Też tak uważam - powiedział Goldblatt - i dlatego wczoraj na cztery dni posłałem go do Waszyngtonu, żeby porozumiał się bezpośrednio ze mną, kiedy Komisja Papierów Wartościowych i Giełdy ogłosi w poniedziałek wynik pańskiej oferty przejęcia.

- On wyczuje pismo nosem. Ralph dobrze wie, że nie musi tkwić w Waszyngtonie cztery dni. Może równie dobrze przylecieć w niedzielę wieczór, a w poniedziałek rano poinformować pana o decyzji Komisji.

- Zabawne, że pan o tym wspomniał, ale moja sekretarka z-z-zorientowała się, że republikanie mają spotkanie w Waszyngtonie z okazji wyborów uzupełniających do Kongresu, które zakończy się uroczystą kolacją w Białym Domu. - Zamilkł na chwilę. - Musiałem pociągnąć za niejeden sznurek żeby Ralpa Elliota zaproszono na to znakomite zgromadzenie. Myślę więc, że jest w tej chwili mocno zajęty. W prasie lokalnej czytałem o jego ambicjach politycznych. On oczywiście przeczy, zatem przypuszczam, że to prawda.

- To dlaczego pan go w ogóle zatrudnił?

- Zawsze w przeszłości korzystaliśmy z usług Belmana i Waylanda. Nie natknąłem się wcześniej na pana Elliota. Biję się w piersi, ale przynajmniej staram się naprawić swój błąd. Pan ma tę przewagę nade mną, że dwa razy pan z nim przegrał.

- Trafiony! - rzekł Nat. - I co dalej?

- Miło mi było pana spotkać. Przedstawię pańską propozycję mojej radzie dziś późnym popołudniem. Niestety, jeden z członków jest w Waszyngtonie, ale mimo to mam nadzieję, że będę mógł wieczorem zatelefonować do pana i poinformować o odpowiedzi.

- Będę czekał na pański telefon - powiedział Nat.

- Dobrze, a potem możemy się spotkać, i to jak najszybciej, gdyż chciałbym, abyśmy podpisali umowę w piątek wieczór ze względu na należytą sumienność. - Murray Goldblatt zawiesił głos. - Nat - rzekł - wczoraj poprosiłeś mnie o uprzejmość, czy teraz ja też mogę cię o to poprosić- Tak, oczywiście - odparł Nat.

- Wielebny, który jest mądrym człowiekiem, zażądał dwustudolarowego datku za skorzystanie z tego konfesjonału i uważam, że skoro jesteśmy teraz współnikami, powinieneś zapłacić swoją część. Mówię o tym, ponieważ to rozbawi moją radę nadzorczą i pozwoli mi utrzymać opinię człowieka bezwzględniego wśród moich żydowskich przyjaciół.

- Ojczy, postaram się nie narazić twej reputacji na szwank - zapewnił Nat Goldblatt.

Nat odszedł od konfesjonału i prędko ruszył do południowego wyjścia. Przy drzwiach stał ksiądz w długiej sutannie i birecie. Nat wyjął dwa pięćdziesięciodolarowe banknoty z portfela i wręczył je duchownemu.

- Niech cię Bóg błogosławi, mój synu - powiedział wielebny. - Czuję jednak, że mógłbym podwoić twój datek, gdybym tylko wiedział, w którym z dwóch banków kościół powinien zainwestować.

Do chwili gdy podano kawę, Al Brubaker ani słowem nie wspomniał, dlaczego chciał się zobaczyć z Fletcherem.

- Jenny, zaprosz Annie do salonu, bo chciałbym zamienić parę słów z

Fletcherem. Dołączymy do was za kilka minut - Kiedy panie wyszły, Al zapytał: - Fletcher, może koniak albo cygaro?

- Nie, Al, dziękuję. Zostanę przy winie.

- Wybrałeś dobry moment na wizytę w Waszyngtonie. Republikanie zjechali do miasta, bo szykują się do wyborów uzupełniających, Bush dziś wieczorem wydaje im przyjęcie w Białym Domu, więc my, demokraci, na kilka dni musimy się usunąć na bok. Ale powiedz mi - rzekł Al - jak się ma partia w Connecticut?

- Dzisiaj mieliśmy spotkanie partyjnej góry, żeby przedyskutować sprawę naszych kandydatur, no i oczywiście finanse.

- Będziesz ponownie startował?

- Tak, już to ogłosiłem.

- Mówiono mi, że możesz być następnym przywódcą większości.

- Jeśli Jack Swales nie zechce nim zostać. W końcu ma najdłuższy staż.

- Jack- On jeszcze żyje? Przysięgnąłbym, że byłem na jego pogrzebie.

Nie, nie wierzę, żeby partia go poparła, chyba że...

- Chyba że? - podjął Fletcher.

- ...zdecydujesz się ubiegać o urząd gubernatora. - Fletcher postawił kieliszek z winem na stole, żeby Al nie widział, jak drży mu ręka. - Chyba o tym myślałeś?

- Tak - odparł Fletcher - ale sądziłem, że partia będzie za Larrym Connikiem.

- Naszym szacownym wicegubernatorem - powiedział Al, zapalając cygaro. - Nie, Larry to porządny gość, ale zdaje sobie sprawę ze swoich ograniczeń i chwala mu za to, bo nie wszyscy politycy mają tę świadomość. Rozmawiałem z nim ostatnio na konferencji gubernatora W Pittsburgu. Powiedział mi, że chętnie będzie startował z naszej listy wyborczej, ale tylko wtedy, gdy uznamy, że to służy interesom partii. - Al zaciągnął się cygarem i rozkoszował się chwilą. - Nie, Fletcher - dodał - stawiamy na ciebie i jeżeli zgodzisz się kandydować, masz moje słowo, że partia cię poprze. Nie potrzeba nam przepychanki przy wyborze kandydata. Prawdziwy bój nas czeka, gdy trzeba będzie stawić czoło republikanom, bo ich kandydat spróbuje wjechać na plecach Busha, więc trzeba się będzie mocno postarać, żeby utrzymać się w siedzibie gubernatora.

- Wiesz może, kogo wystawią republikanie? - spytał Fletcher.

- Myślałem, że ty mi to powiesz - odparł Al.

- Wydaje się, że jest dwoje poważnych kandydatów, którzy wywodzą się z różnych skrzydeł partii. Barbara Hunter zasiada w Izbie, ale jej wiek i przeszłość przemawiają przeciwko niej.

- Przeszłość? - spytał Al.

- Nie wygrywała - rzekł Fletcher - chociaż w ciągu lat zbudowała solidną bazę w partii, ale jak dowiódł Nixon w Kalifornii, nigdy nie można nikogo skreślać.

- Kto jeszcze?

- Czy słyszałeś o Ralphie Elliocie?

- Nie - odparł przewodniczący - ale zwróciłem uwagę, że jest członkiem delegacji z Connecticut, zaproszonej dziś wieczorem na kolację.

- Tak, on jest w centrali partyjnej stanu, a jeżeli wysuną go na kandydata, będzie to bardzo brutalna kampania, Elliot lubi się bić na gołe pięści i zdobywać punkty między rundami.

- W takim razie może się okazać kulą u nogi albo atutem.

- Mogę ci jedno powiedzieć: umie zdobywać poparcie zwykłych ludzi i nie lubi przegrywać.

- To samo mówią o tobie - skwitował Al z uśmiechem. - Jeszcze ktoś?

- Wymienia się jeszcze dwa albo trzy nazwiska, ale jak na razie nikogo nie zgłoszono. Pamiętajmy, że nikt nie słyszał o Carterze przed New Hampshire.

- A co sądzisz o tym człowieku? - rzekł Al, pokazując mu pierwszą stronę „Banker's Weekly”. Fletcher spojrział na tytuł: „Następny gubernator Connecticut?”.

- Al, jak przeczytasz artykuł, przekonasz się, że on jest typowany na następnego przewodniczącego rady nadzorczej Fairchilda, jeżeli obydwa banki dojdą do porozumienia w sprawie warunków. Przejrzałem ten artykuł w samolocie.

- Widocznie - rzekł Al, przeczuciwszy kilka stron gazety - nie zauważyłeś końcowego fragmentu - i przeczytał na głos:

„Wprawdzie uważa się, że kiedy Murray Goldblatz przejdzie na emeryturę, to jego następcą zostanie Cartwright, jednakże stanowisko to może objąć również jego najbliższy przyjaciel, Tom Russell, jeśli dyrektor generalny Russella zgodzi się wystawić - swoją kandydaturę na gubernatora z ramienia republikanów”.

Kiedy Fletcher i Annie wrócili do hotelu i położyli się do łóżka, Fletcher nie mógł zasnąć, ale nie dlatego, że łóżko było wygodniejsze i poduszki bardziej miękkie, niż był przyzwyczajony. Al chciał poznać jego decyzję przed końcem miesiąca, gdyż zależało mu, żeby zmobilizować partię do poparcia kandydata.

Annie zbudziła się tuż po siódmej.

- Kochanie, czy dobrze spałeś? - spytała.

- Prawie nie zmrużyłem oka.

- A ja spałam jak kłoda, ale to dlatego, że nie musiałam się martwić o to, czy powinieneś kandydować na gubernatora.

- Dlaczego nie? - spytał Fletcher.

- Ponieważ uważam, że powinieneś się na to zdecydować, i nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego masz jakieś opory.

- Przede wszystkim muszę odbyć długą naradę z Harrym, bo jednego jestem pewien: on dużo o tym myślał.

- Nie byłabym taka pewna - rzekła Annie. - Może się okazać, że jest bardziej zaabsorbowany sprawą szkolnych wyborów Lucy.

- Cóż, może mi się uda go dorwać na chwilę i porozmawiać o urzędzie gubernatora stanu Connecticut. - Fletcher wyskoczył z łóżka. - Co byś powiedziała na to, gdybyśmy zrezygnowali ze śniadania i złapali wczesny samolot? Chciałbym zamienić parę słów z Harrym przed pójściem do Senatu.

Fletcher prawie się nie odzywał w drodze powrotnej do Hartford, ponieważ w kółko czytał artykuł w „Banker's Weekly” na temat Nata Cartwrighta, ewentualnego nowego wiceprzewodniczącego rady nadzorczej Banku Fairchilda albo następnego gubernatora Connecticut. Znowu go uderzyło, jak wiele mają ze sobą wspólnego.

- O co zamierzasz pytać tatę? - zapytała Annie, kiedy samolot krążył nad Bradley Field.

- Po pierwsze, czy nie jestem za młody.

- Przecież Al zwrócił uwagę, że już jeden gubernator jest młodszy od

ciebie i dwóch mniej więcej w takim samym wieku.

- Po drugie, jak ocenia moje szansę.

- Nie odpowie na to, dopóki się nie dowie, kto jest twoim przeciwnikiem.

- I po trzecie, czy nadaję się na ten urząd.

- Znam odpowiedź na to pytanie, bo już z nim o tym rozmawiałam.

- Całe szczęście, że lądowanie w Waszyngtonie nie trwało tak długo

- powiedział Fletcher, gdy trzeci raz zataczali koło nad lotniskiem.

- Czy nadal chcesz odwiedzić tatę, zanim pojedziesz na Kapitol? - spytała Annie. - On na pewno siedzi w łóżku i nie może się doczekać wiadomości od ciebie.

- Zawsze najpierw zaczynam od Harry'ego - odparł Fletcher, wyjeżdżając samochodem z lotniska i skręcając na autostradę.

Był pogodny jesienny poranek, kiedy senator Davenport wjeżdżał do miasta. Zdecydował, że najpierw pojedzie w górę i koło Kapitolu, a potem skrótem do szpitala.

Kiedy wylonili się zza grzbietu wzgórza, Annie wyjrzała przez okno samochodu i wybuchnęła niepohamowanym płaczem. Fletcher zjechał na pobocze. Objął żonę i spojrzał ponad jej ramieniem na budynek Kapitolu.

Flaga Stanów Zjednoczonych była opuszczona do połowy masztu.

Goldblatt podniósł się ze swojego miejsca u szczytu stołu i utkwiał wzrok w przygotowanym oświadczeniu. Po jego prawej stronie siedział Nat Cartwright, po lewej Tom Russell. Pozostali członkowie; rady nadzorczej siedzieli w rzędzie za nim...

- Szanowne panie i szanowni panowie dziennikarze, z wielką przyjemnością ogłaszam fuzję banków Fairchilda i Russella. Ja będę nadal przewodniczącym rady nadzorczej, pan Nat Cartwright zostanie moim zastępcą, a państwo Tom i Julia Russellowie wejdą do rady. Pan Wesley Jackson będzie pełnił funkcję dyrektora generalnego nowego banku. Mogę potwierdzić, że Bank Russella wycofał się z oferty przejęcia, a o nowej strukturze własności spółki zakomunikujemy w najbliższej przyszłości. Zarówno pan Cartwright, jak i ja chętnie odpowiemy na państwa pytania.

- Czy nadal zamierza pan wkrótce zrezygnować ze stanowiska przewodniczącego rady nadzorczej?

- Tak i nietrudno zgadnąć, kto będzie moim następcą. - Obrócił się i spojrzał na Nata, kiedy jeden z dziennikarzy krzyknął:

- A co na to pan Russell?

Goldblatt się uśmiechnął, gdyż było to pytanie, które przewidzieli. Zwrócił się na lewo i powiedział:

- Może pan Russell odpowie na to pytanie.

- Jestem szczęśliwy - powiedział, uśmiechając się życzliwie do dziennikarza - że dwa czołowe banki w stanie połączyły się i poczytują sobie za zaszczyt, że zostałem zaproszony do rady nadzorczej Banku Fairchilda Russella jako zwykły członek. - Uśmiechnął się ponownie. - Mam nadzieję, że pan Cartwright rozważy moją ponowną nominację, kiedy obejmie stanowisko przewodniczącego.

- Idealnie sformułowane - szepnął Goldblatt, kiedy Tom usiadł.

Nat prędko wstał, żeby wygłosić równie dobrze sformułowane oświadczenie.

- Z pewnością nominuję ponownie pana Russella, ale nie jako członka rady nadzorczej bez funkcji.

- Jestem pewny - dodał z uśmiechem Goldblatt - że nie będzie to

zaskoczeniem dla nikogo, kto dokładnie śledzi te sprawy. Tak? - powiedział, wskazując na innego dziennikarza.

- Czy będą jakieś zwolnienia w związku z fuzją?

- Nie - odrzekł Goldblatt. - Naszym zamiarem jest utrzymanie całego personelu Banku Russella, ale jednym z pierwszych obowiązków pana Cartwrighta będzie całkowita restrukturyzacja banku w ciągu nadchodzących dwunastu miesięcy. Chciałbym przy tym dodać, że pani Julia Russell już została mianowana szefową naszego nowego, wspólnego działu nieruchomości. My w Banku Fairchilda obserwowaliśmy z podziwem, jak realizowała projekt Cedar Wood.

- Czy mogę zapytać, dlaczego doradca prawny banku, pan Ralph Elliot, jest dzisiaj nieobecny? - padło pytanie z głębi sali.

Następne pytanie, jakie Goldblatt przewidział, chociaż nie mógł się zorientować, kto je zadał.

- Pan Elliot jest w Waszyngtonie. Wczoraj wieczorem był na kolacji u prezydenta Busha w Białym Domu, gdyby nie to, byłby dziś rano z nami. Następne pytanie? - Goldblatt nie wspominał o „szczerzej wymianie poglądów”, jaką odbył telefonicznie z Elliotem wcześniej rano.

- Rozmawiałem dzisiaj z panem Elliotem - odezwał się ten sam dziennikarz - i ciekaw jestem, czy zechciałby pan skomentować oświadczenie prasowe, jakie właśnie złożył?

Nat zamarł, kiedy Goldblatt podniósł się powoli.

- Chętnie bym to zrobił, gdybym znał jego treść.

Dziennikarz spojrział na pojedynczą kartkę papieru i przeczytał:

- „Jestem zadowolony, że pan Goldblatt posłuchał mojej rady i doprowadził do połączenia obu banków, zamiast przeciągać bezpardonową i niszczącą walkę, z której nikt by nie odniósł pożytku. - Goldblatt uśmiechnął się i skinął głową. - W niedalekiej przyszłości obecnego przewodniczącego rady nadzorczej zastąpi troje członków rady, ale ponieważ uważam, że jeden z nich nie nadaje się na to stanowisko, które wymaga nieposzlakowanej uczciwości, nie mam innego wyboru, jak zrezygnować z członkostwa w radzie nadzorczej i funkcji doradcy prawnego banku. Z tym jednym zastrzeżeniem życzę spółce wielu sukcesów w przyszłości”.

Uśmiech znikł z twarzy Goldblatta; prezes nie mógł opanować wściekłości.

- Nie skomentuję tego w tej ch-ch-chwili i na tym kończę kon-konferencję prasową. - Goldblatt wstał i opuścił pokój. Nat szedł tuż za nim.

- Drań złamał umowę - rzucił gniewnie Goldblatt, krocząc korytarzem w stronę sali posiedzeń zarządu.

- Jaka dokładnie była? - zapytał Nat, usiłując zachować spokój.

- Zgodziłem się powiedzieć, że uczestniczył w pomyślnych negocjacjach, jeżeli zrzeknie się funkcji doradcy prawnego nowej spółki i nie będzie tego komentował.

- Czy mamy to na piśmie?

- Nie, uzgodniłem to z nim przez telefon poprzedniej nocy.

Powiedział, że dzisiaj potwierdzi to na piśmie.

- Czyli że znowu Elliot wychodzi z tego czysty i pachnący - rzekł

Nat.

Goldblatt zatrzymał się przy drzwiach sali obrad i spojrział Natowi w twarz.

- Nie - powiedział. - Z daleka zajeżdża od niego chlewem. I tym

razem - dodał - wszedł w drogę nie temu c-c-co trzeba.

Często popularność człowieka za życia objawia się po jego śmierci.

Katedra Świętego Józefa, w której odprawiono mszę żałobną za duszę Harry'ego Gatesa, była wypełniona do ostatniego miejsca, zanim jeszcze chór wyłonił się z zakrystii. Don Culver, komendant policji, polecił odgrodzić kordonem kwartał ulic przed katedrą, żeby żałobnicy mogli siedzieć na stopniach albo stać na ulicy i słuchać nabożeństwa przez głośniki.

Kiedy kondukt pogrzebowy się zatrzymał, straż honorowa wniosła trumnę po schodach do katedry. Martha Gates szła z synem, jej, córka i zięć podążali tuż za nimi. Ludzie na schodach rozstąpili się, żeby rodzina mogła przejść i dołączyć do żałobników w kościele.

Zgromadzeni powstali, kiedy panią Gates prowadzono do pierwszej ławki. Idąc środkową nawą, Fletcher widział baptystów, żydów, wyznawców Kościoła Episkopalnego, muzułmanów, metodystów i mormonów, wszystkich zjednoczonych szacunkiem do tego katolika.

Biskup rozpoczął nabożeństwo modlitwą wybraną przez Marthę, po czym nastąpiły pieśni i czytanie z Pisma Świętego, które podobałyby się Harry'emu. Jimmy i Fletcher przeczytali lekcje, ale to Al Brubaker, przewodniczący partii, wszedł na drewnianą ambonę, żeby wygłosić mowę.

Obrzucił spojrzeniem tłumnie zgromadzonych i przez chwilę milczał.

- Niewielu polityków - zaczął - budzi respekt i sympatię, ale gdyby Harry był dzisiaj z nami, sam by się przekonał, że należy do tego wąskiego grona. Widzę tutaj wiele osób, z którymi się nigdy nie zetknąłem - zawiesił głos - więc przypuszczam, że to republikanie. - W katedrze rozległ się śmiech, na ulicy zerwały się oklaski. - Ten człowiek, kiedy prezydent go poprosił, żeby kandydował na gubernatora, odpowiedział po prostu: „Nie doprowadziłem do końca mojej pracy senatora z okręgu Hartford”, i nigdy się o to stanowisko nie ubiegał. Jako przewodniczący mojej partii uczestniczyłem w pogrzebach prezydentów, gubernatorów, senatorów, kongresmanów i członków Kongresu wraz z potężnymi i możnymi, ale ten pogrzeb jest inny, gdyż przyszli na niego również zwykli obywatele, po to, żeby powiedzieć „dziękuję”.

Harry Gates nie znosił sprzeciwu, był wielomówny, wybuchowy, niezdolny. Z wielką pasją walczył o sprawy, w które wierzył. lojalny wobec przyjaciół, uczciwy w stosunku do przeciwników, był człowiekiem, którego towarzystwa się szukało, ponieważ wzbogacało życie. Harry Gates nie był święty, ale to święci będą go witać w niebiosach.

Składamy podziękowania Marcie za to, że hołubiła Harry'ego i jego marzenia, których tyle się spełniło; jedno jeszcze czeka na swoją kolej. Jimmy'emu i Annie, jego synowi i córce, z których był niezwykle dumny. Fletcherowi, jego ukochanemu zięciowi, któremu przekazany został ciężar nie do pozazdroszczenia - misja niesienia dalej pochodni. I Lucy, jego wnuczce, która kilka dni po jego śmierci została przewodniczącą klasy. Ameryka straciła człowieka, który służył swojemu krajowi w domu i za granicą, w czasie wojny i pokoju. Hartford straciło urzędnika państwowego, którego niełatwo będzie zastąpić.

Napisał do mnie kilka tygodni temu - Brubaker przerwał na moment - prosząc o pieniądze - co za tupet - dla swojego ukochanego szpitala. Zagroził, że nigdy więcej do mnie się nie odezwie, jeżeli nie przyślę czeku. Rozważyłem wszelkie za i przeciw tej szczególnej groźby. - Długo trwało,

zanim umilkły śmiech i oklaski. - W końcu moja żona wysłała czek. Prawda wygląda tak, że Harry'emu nigdy do głowy nie przyszło, że ktoś mógłby odmówić jego prośbie. A dlaczego? Ponieważ całe życie dawał i teraz musimy urzeczywistnić to marzenie, i dla uczczenia jego pamięci zbudować szpital, z którego byłby dumny.

Przeczytałem w „Washington Post” w zeszłym tygodniu, że senator Harry Gates zmarł, i gdy dziś rano przybyłem do Hartford, przejechałem koło ośrodka dla starych mieszkańców miasta, koło księgami i miejsca, gdzie położono kamień węgielny pod szpital noszący jego imię. Kiedy wrócę jutro, napiszę do „Washington Post”: „Pomyliliście się, Harry Gates żyje i jest pełen energii”. - Brubaker zamilkł, spojrzął na zgromadzonych, i skupił wzrok na Fletcherze. - Oto był człowiek, kiedy zjawi się taki drugi?

Na stopniach katedry Martha i Fletcher dziękowali Brubakerowi za jego słowa.

- Gdyby nie dość mu podziękować - rzekł Al - toby się zjawił przy mnie na ambonie i zażądał, żeby jeszcze raz podliczyć mu jego zasługi. - Przewodniczący uściśnął dłoń Fletcherowi. - Nie przeczytałem jeszcze całego listu, jaki Harry do mnie napisał - powiedział - ale wiem, że chciałbyś zobaczyć ostatni fragment. - Wyjął list z wewnętrznej kieszeni marynarki i podał Fletcherowi.

Fletcher przeczytał ostatnie słowa Harry'ego, spojrzął na Brubakera i skinął głową.

Tom i Nat razem wyszli z katedry i zmieszali się z tłumem, który rozchodził się w milczeniu.

- Żałuję, że go bliżej nie znałem - rzekł Nat. - Wiesz, że kiedy wycofał się z Senatu, poprosiłem go, żeby dołączył do naszej rady nadzorczej? - Tom skinął głową. - Napisał do mnie - ręcznie - czarujący list, wyjaśniając, że jedyna rada, w której będzie zasiadał, to rada nadzorcza szpitala.

- Spotkałem go tylko dwa razy - odezwał się Tom. - On był szalony, oczywiście, ale człowiek, który całe życie pcha głazy niczym Syzyf, musi być szalony. Nikomu tego nie mów, ale to jedyny demokrat, na którego głosowałem.

- Ty też? - spytał ze śmiechem Nat.

- Co byś powiedział, gdybym zalecił, żeby rada nadzorcza przekazała na fundusz szpitalny pięćdziesiąt tysięcy dolarów? - spytał Tom.

- Sprzeciwiłbym się - odparł Nat. Tom zrobił zdziwioną minę. - Kiedy senator sprzedał swoje akcje Russella, natychmiast ofiarował sto tysięcy na szpital. Musimy przynajmniej odwzajemnić się tym samym.

Tom przytaknął i odwrócił się. Zobaczył panią Gates, która stała na stopniach katedry. Napisze do niej dziś po południu i załączy czek. Westchnął.

- Zobacz, kto ściska rękę wdowie - powiedział.

Nat się odwrócił i zobaczył, że Ralph Elliot trzyma dłoń Marthy Gates.

- Dziwisz się? - spytał. - Już słyszę, jak mówi, że cieszy się, iż Harry posłuchał jego rady, sprzedał te akcje Banku Russella i zarobił milion.

- O, Boże - rzekł Tom. - Zaczynasz myśleć jak on.

- Muszę, jeżeli mam przetrwać w najbliższych miesiącach.

- To już nie jest problem - przypomniał mu Tom. - Wszyscy w banku akceptują fakt, że będziesz następnym przewodniczącym rady nadzorczej.

- Ja nie o tym mówię - odparł Nat. Tom zatrzymał się przed

stopniami banku i spojrzął w twarz swojemu najstarszemu przyjacielowi. - Jeżeli Ralph Elliot wysunie swoją kandydaturę na republikańskiego gubernatora, będę kandydował przeciwko niemu. - Spojrzął w stronę katedry: - I tym razem go pokonam.

- Panie i panowie, oto Fletcher Davenport, przyszły gubernator stanu Connecticut.

Fletcherowi rozbaawilo, że parę chwil po tym, jak wybrano go na kandydata demokratów, został przedstawiony jako następny gubernator; ani słowem nie wspomniano o rywalu, ani o tym, że może przegrać. Jednak aż za dobrze pamiętał, że Walter Mondale wciąż był przedstawiany jako kolejny prezydent Stanów Zjednoczonych, a skończył jako ambasador w Tokio, do Białego Domu zaś wprowadził się Ronald Reagan.

Kiedy Fletcher zatelefonował do Ala Brubakera z potwierdzeniem, że zgadza się kandydować, machina partyjna natychmiast poszła w ruch. Wychylili się dwaj inni demokraci, ale prędko sprowadzono ich na ziemię.

Na koniec Fletcherowi została jedyna rywalka, członkini Kongresu, która nigdy nie zrobiła nic złego - ani dobrego - żeby zwrócić na siebie uwagę. Kiedy Fletcher ją pokonał we wrześniowych wyborach wstępnych, machina partyjna nagle uczyniła z niej groźną przeciwniczkę, która przegrała z kretesem z najwspanialszym kandydatem, jakiego partia miała od wielu lat. Ale prywatnie Fletcher przyznawał, że była raczej przeciwniczką na papierze i że prawdziwa batalia rozgorzeje, kiedy republikanie wybiorą swojego przedstawiciela.

Wprawdzie Barbara Hunter była jak zwykle aktywna i pełna determinacji, nikt jednak naprawdę nie wierzył, że jej nazwisko znajdzie się na pierwszym miejscu republikańskiej listy wyborczej. Ralph Elliot miał już poparcie kilku ważnych członków partii i ilekroć wypowiadał się publicznie albo prywatnie, imię jego przyjaciela, a czasem nawet bliskiego przyjaciela, Ronniego, lekko sfruwało mu z ust. Ale Fletcher wciąż słyszał pogłoski, że równie duża grupa republikanów poszukiwała innego, wiarygodnego kandydata; grozili, że w przeciwnym wypadku powstrzymają się od głosowania albo nawet oddadzą głosy na demokratów. Fletcher nie mógł się doczekać, kiedy się dowie, kto będzie tym jego przeciwnikiem; to wyczekiwanie działało na nerwy. Pod koniec sierpnia pojął, że jeżeli to ma być niespodziewany kandydat to republikanie będą zwlekać dręcząco długo z ogłoszeniem jego nazwiska.

Fletcher spojrzął na tłum, który miał przed sobą. To już czwarte jego przemówienie w tym dniu, a jeszcze nie ma dwunastej. Brakowało mu obecności Harry'ego na tych niedzielnych lunchach, kiedy można było przeanalizować pomysły i dojść do wniosku, że są nieodpowiednie. Lucy i George chętnie pomagali Fletcherowi, co mu tylko przypominało, jak Harry był pobłażliwy, kiedy on wyskakiwał z jakąś sugestią, którą senator musiał słyszeć przedtem sto razy, ale nigdy o tym nawet nie napomknął. Ale młodsze pokolenie nie pozwalało Fletcherowi żywić wątpliwości, czego po swoim gubernatorze spodziewa się rada uczniowska Hotchkissa.

Czwarta tego przedpołudnia mowa Fletcherowi nie różniła się wiele od trzech poprzednich: w zakładzie Pepperidge Farm w Norwalk, w centrali Wiffle Bali w Shelton i w narzędziowni Stanleya w New Britain. Zmienił tylko poszczególne fragmenty, żeby przyznać, iż gospodarka stanu nie byłaby, w tak dobrej kondycji, gdyby nie ich szczególny wkład. Potem czekał go lunch z Córami Rewolucji Amerykańskiej, gdzie zapomniał powiedzieć o swoich szkockich przodkach, następnie znowu trzy

przemówienia po południu i wreszcie kolacja połączona ze zbiórką pieniędzy, która nie przyniesie więcej niż dziesięć tysięcy dolarów.

Około północy wślizgiwał się do łóżka i obejmował śpiącą żonę, która czasem reagowała westchnieniem. Czytał gdzieś, że pewnego razu, kiedy Reagan objeżdżał teren podczas kampanii wyborczej, widziano, jak się tuli do słupa latarni. Fletcher wtedy się śmiał, ale teraz już mu nie było do śmiechu.

- „Romeo! Czemuż ty jesteś Romeo!”

Nat musiał się zgodzić z opinią syna. Julii nie brakowało urody, ale to nie był typ dziewczyny, w której Luke mógłby się zakochać.

W sztuce było jeszcze pięć ról kobiecych i Nat usiłował zgadnąć, kto jest wybranką Luke’a. Kiedy kurtyna opadła na przerwę, Nat uznał, że Luke grał wzruszająco; siedział na widowni wśród bijącej brawo publiczności i czuł przypływ dumy. Rodzice Nata widzieli przedstawienie poprzedniego wieczoru i powiedzieli mu, że byli tak samo dumni z niego, kiedy w tej sali grał Sebastiana.

Kiedy tylko Luke schodził ze sceny, Nat wracał myślą do telefonu, jaki otrzymał dziś rano z Waszyngtonu. Kiedy zapytano, czy może rozmawiać z prezydentem Stanów Zjednoczonych, sekretarka myślała, że to Tom płata kolejny żart.

Nat wstał, kiedy usłyszał w telefonie głos prezydenta George’a Busha.

Prezydent złożył mu gratulacje z racji obwołania Banku Fairchilda Russella bankiem roku - okazja, żeby zadzwonić - a następnie przekazał wiadomość: „Nat, wielu ludzi w naszej partii ma nadzieję, że zgodzisz się, by wysunięto twoją kandydaturę na gubernatora.

Masz w Connecticut mnóstwo przyjaciół i zwolenników. Miejmy nadzieję, że szybko się zobaczymy”.

Całe Hartford wiedziało w ciągu godziny, że telefonował prezydent, wszak telefonistki na centrali też mają swoje powiązania. Nat powiedział tylko Su Ling i Tomowi, a oni wcale się zbytnio nie zdziwili.

- „Zamiany twoich zapewnień na moje”.

Myśli ojca znów wróciły do przedstawienia.

Nat się przekonał, że ludzie zaczynają go zatrzymywać na ulicy i mówić: Chciałbym, żebyś ubiegał się o stanowisko gubernatora, Nat - albo panie Cartwright. Kiedy dzisiaj wieczorem wszedł z Su Ling do sali, ludzie odwracali głowy i szeptali na ich widok. W samochodzie w drodze do szkoły Nat nie zapytał Su Ling, czy powinien kandydować, tylko czy jej zdaniem nadaje się na gubernatora.

- Prezydent uważa, że tak - odpowiedziała.

A kiedy po scenie śmierci opadła kurtyna, Su Ling zauważyła:

- Czy zwróciłeś uwagę, że ludzie na nas patrzą? - Zamilkła. -

Przypuszczam - podjęła po chwili - że musimy przywyknąć do tego, że nasz syn jest gwiazdą.

Jak szybko potrafiła sprowadzić Nata na ziemię i jaką będzie wspaniałą żoną gubernatora.

Aktorzy i rodzice zostali zaproszeni przez dyrektora szkoły na kolację, więc Su Ling i Nat udali się do niego do domu.

- To niańka Julii.

- Tak, odegrała swoją rolę z dużą wrażliwością - rzekł Nat.

- Nie, głuptasie, to musi być ukochana Luke’a - powiedziała Su

Ling.

- Skąd wiesz? - spytał Nat.

- Kiedy opadała kurtyna, trzymali się za ręce, a jestem pewna, że nie było tego w szekspirowskich didaskaliach.

- Niedługo się przekonamy, czy masz rację - rzekł Nat, kiedy wchodzili do domu dyrektora. Luke pił colę w korytarzu.

- Cześć, tato - powiedział, obracając się ku nim. - To jest Kathy Marshall, grała niańkę Julii. - Su Ling powstrzymała uśmiezek, który cisnął się jej na usta. - A to moja mama. Czy Kathy nie była fantastyczna- Ona ma zamiar studiować aktorstwo w college'u Sarah Lawrence.

- Tak, była świetna, ale ty też nie byłeś zły - rzekł Nat. - Obydwoje jesteśmy z ciebie dumni.

- Czy pan widział już kiedyś tę sztukę? - spytała Kathy.

- Tak, kiedy byliśmy z Su Ling w Stratfordzie. Niańkę grała Celia Johnson, ale nie sądzę, żebyście o niej słyszeli.

- „Spotkanie” - natychmiast rzuciła Julia.

- Noel Coward - powiedział Luke.

- Grał z nią Trevor Howard - dodała Kathy. Nat kiwnął głową synowi, który wciąż był w kostiumie Romea.

- Chyba z ciebie pierwszy Romeo, który się zakochał w niani - powiedziała Su Ling...

Kathy się uśmiechnęła.

- To przez ten jego kompleks Edypa - rzekła. - A jak Celia Johnson interpretowała tę rolę? Kiedy moja nauczycielka jako studentka widziała sztukę z damą Edith Evans, opowiadała, że grała niańkę jak dyrektorka szkoły - stanowczą i surową, ale czułą.

- Nie - rzekła Su Ling. - Celia Johnson przedstawiła ją jako lekko zbzikowaną, nieobliczalną, ale też pełną czułości.

- Co za ciekawa interpretacja! Muszę sprawdzić, kto był reżyserem. Oczywiście chciałabym grać Julię, ale nie jestem wystarczająco ładna - dodała rzeczowo.

- Przecież jesteś piękna - powiedział Luke.

- Luke, nie można polegać na twojej opinii - odparła, ujmując go za rękę. - Przecież odkąd skończyłeś cztery lata, nosisz okulary.

Nat się uśmiechnął i pomyślał, że Luke jest szczęśliwy, mając taką przyjaciółkę.

- Kathy, czy chciałabyś spędzić u nas kilka dni podczas letnich wakacji? - zapytał.

- Chętnie, proszę pana, jeżeliby to nie sprawiło państwu kłopotu - odparła Kathy. - Nie chciałabym panu przeszkadzać.

- Przeszkadzać? - zdziwił się Nat.

- Tak, Luke mi mówił, że będzie się pan ubiegał o fotel gubernatora.

MIEJSCOWY BANKIER STARTUJE W WYBORACH NA GUBERNATORA - głosił wielki tytuł w „Hartford Courant”. W środku gazety cała strona poświęcona była życiorysowi błyskotliwego młodego finansisty, poczynszy od tego, że dwadzieścia pięć lat temu został odznaczony Medal of Honour, a kończąc na roli, jaką odegrał w połączeniu małego rodzinnego Banku Russella o jedenastu lokalnych oddziałach z Bankiem Fairchilda, który miał sto dwie filie w całym stanie. Nat uśmiechnął się na wspomnienie konfesjonału w Katedrze Świętego Józefa i elegancji, z jaką Murray Goldblatt utrzymywał wrażenie, że to Nat był autorem pomysłu. Nat ciągle się uczył czegoś wartościowego od Murrraya, który nigdy nie zmniejszał czujności ani nie zdradzał swoich zasad.

Artykuł wstępny w „Hartford Courant” sugerował, że decyzja Nata ubiegania się o nominację z ramienia republikanów przeciwko Ralphowi Elliotowi zapoczątkuje rywalizację, obaj są bowiem kandydatami wybitnymi, celującymi w swoich profesjach. Autor artykułu nie opowiadał się za żadnym z nich, ale obiecywał uczciwe relacjonowanie pojedynku, jaki stoczą bankier i prawnik, którzy - jak powszechnie wiadomo - się nie lubią. „Pani Hunter też weźmie udział w walce” - wspomniał lakonicznie autor na samym końcu, co świadczyło o tym, jak gazeta ocenia jej szansę, teraz kiedy Nat zdecydował się wystawić swoją kandydaturę.

Nat był zadowolony z relacji prasowych i telewizyjnych, jakie nastąpiły po jego oświadczeniu, a jeszcze więcej satysfakcji sprawiały mu przyjazne reakcje ludzi na ulicach. Tom wziął w banku dwumiesięczny urlop, żeby pokierować kampanią Nata, a Murray Goldblatz zasilł fundusz kampanii sporą kwotą.

Pierwsze spotkanie odbyło się w domu Toma tego dnia wieczorem; szef ekipy Nata objaśnił swojemu starannie dobranemu zespołowi, czemu będzie musiał sprostać podczas następnych sześciu tygodni.

Codzienne wstawanie przed wschodem słońca i kładzenie się spać po północy nie sprawiało przyjemności, ale radosną niespodzianką dla Nata była fascynacja Luke’a procesem wyborczym. Spędził wakacje, wszędzie towarzysząc ojcu, często z Kathy u boku. Nat z każdym dniem coraz bardziej ją lubił.

Natowi zajęło trochę czasu, zanim się przyzwyczył do nowego codziennego porządku i do napomnień Toma, że nie można wykrzykiwać poleceń ochotnikom, lecz zawsze trzeba im dziękować, nie bacząc na to, jak mało zrobili i jak źle. Jednak nawet mimo sześciu przemówień i kilkunastu spotkań dziennie wciąż trzeba się było dużo uczyć.

Prędko się okazało, że Elliot już od kilku tygodni prowadzi kampanię wyborczą w terenie, licząc, że wczesne działania przyniosą mu zdecydowaną przewagę. Nat wkrótce zrozumiał, że wprawdzie pierwsze zebranie góry partyjnej w Ipswich zaowocuje tylko siedemnastoma głosami elektorów, ale jego znaczenie jest nieporównywalnie większe, podobnie jak znaczenie New Hampshire podczas wyborów prezydenckich. Odwiedził każdego z członków tego ścisłego gremium partyjnego i ani razu nie miał cienia wątpliwości, że Elliot go uprzedził. Chociaż jego rywal skaptował już kilku delegatów, było jeszcze paru niezdecydowanych bądź takich, którzy po prostu mu nie ufali.

Mijały dni i Nat odkrył, że zawsze go oczekiwano w dwóch miejscach naraz, ponieważ wybory wstępne w Chelsea odbywały się zaledwie dwa dni po zamkniętym zebraniu w Ipswich. Elliot spędzał teraz większość czasu w Chelsea, bo był zdania, że o Ipswich nie musi się już martwić.

Nat wrócił do Ipswich tego wieczoru, kiedy odbyło się głosowanie, i wysłuchał, jak miejscowy przewodniczący partii ogłasza wyniki: Elliot uzyskał dziesięć głosów, Nat siedem. Ekipa Elliota stwierdziła wprawdzie, że to przytłaczające zwycięstwo, ale nie zdołała ukryć rozczarowania. Usłyszawszy rezultat, Nat pobiegł do samochodu i Tom przywiózł go z powrotem do Chelsea o północy.

Ku jego zdziwieniu lokalne gazety pomniejszyły znaczenie wyniku w Ipswich, pisząc, że Chelsea z elektoratem przekraczającym jedenaście tysięcy będzie o wiele lepszym wskaźnikiem sympatii wyborców niż opinia grupki aparatczyków. Niewątpliwie Nat czuł się o wiele lepiej wśród ludzi

na ulicach, w centrach handlowych, przy bramach fabrycznych oraz w szkołach i klubach niż w salach pełnych dymu papierosowego, gdzie słuchał tych, którzy byli przekonani, że mają „dane przez Boga prawo” wyboru kandydata.

Dwa tygodnie później, kiedy Nat zdażył uściskać ręce niezliczonym rzeszom ludzi, wyznał Tomowi, że czuje się bardzo podniesiony na duchu faktem, iż tak wielu wyborców obiecało mu swoje poparcie. Ciekawe, czy Elliot też otrzymywał podobne zapewnienia?

- Nie mam pojęcia - odparł Tom, kiedy jechali na kolejne spotkanie - ale muszę ci powiedzieć, że kończą się nam pieniądze. Jeżeli jutro dostaniemy porządne lanie, będziemy się musieli wycofać z walki po najkrótszej kampanii w historii. Oczywiście moglibyśmy obwieścić światu, że Bush cię popiera, bo to na pewno przysporzyłoby ci głosów.

- Nie - zaprotestował stanowczo Nat. - To był prywatny telefon, a nie oficjalne poparcie.

- Elliot jednak nie przestaje mówić o spotkaniu ze swoim starym przyjacielem George'em w Białym Domu, jakby to była kolacja dla dwóch.

- A co twoim zdaniem myśli o tym reszta republikańskich delegatów?

- To o wiele za subtelne dla przeciętnego wyborcy - zasugerował Tom.

- Nie należy go nie doceniać - skwitował Nat.

Nat nie mógł sobie dużo przypomnieć z prawyborów w Chelsea poza tym, że cały czas był w ruchu. Kiedy tuż po północy ogłoszono, że Elliot wygrał, zdobywając 6109 głosów, podczas gdy Cartwright otrzymał ich 5302, Nat zadał tylko jedno pytanie:

- Czy możemy sobie pozwolić na dalszą kampanię, skoro Elliot uzyskał przewagę głosów delegatów jak dwadzieścia siedem do dziesięciu?

- Pacjent jeszcze oddycha - odparł Tom - ale z trudem, teraz pora na Hartford, ale jeżeli Elliot tam też wygra, nie mamy szans. Bądź zadowolony, że masz pracę zawodową, do której możesz wrócić - dodał z uśmiechem.

Barbara Hunter, która uzyskała tylko dwa głosy kolegium elektorskiego, przyznała się do porażki i oznajmiła, że wycofuje się z walki i wkrótce ogłosi, którego kandydata poprze.

Nat cieszył się z powrotu do swojego miasta, gdzie zwykli ludzie traktowali go jak przyjaciela. Tom wiedział, ile trzeba dać z siebie w Hartford, nie tylko dlatego, że to była ich ostatnia szansa, ale jako stolica stanu miasto dysponowało największą liczbą głosów elektorów, bo w sumie dziewiętnastoma, przy czym obowiązywała tradycja, że zwycięzca bierze wszystko; gdyby więc Nat wygrał, uzyskałby przewagę 29 do 27. Gdyby przegrał, mógłby rozpakować bagaże i zostać w domu.

W trakcie kampanii poproszono kandydatów o wspólne uczestnictwo w kilku uroczystościach, ale ilekroć brali w nich udział, na ogół udawali, że się nie widzą, i nigdy się nie zatrzymali, żeby pogawędzić.

Trzy dni przed prawyborami sondaż ogłoszony w „Hartford Courant” dawał Natowi dwa punkty przewagi nad rywalem. Gazeta również donosiła, że Barbara Hunter zdecydowała się poprzeć Cartwrighta. To był bodziec, jakiego potrzebowała kampania Nata. Następnego ranka zauważył, że towarzyszy mu na ulicach o wiele więcej ochotników i że o wiele więcej przechodniów podchodzi do niego, żeby uściskać mu rękę.

Był w centrum handlowym Robinsona, kiedy Murray Goldblatt go zawiadomił, że musi się z nim pilnie zobaczyć. Murray Goldblatt nie rzucał

takich słów jak „pilnie” na wiatr. Nat zostawił swoje ekipę, zapewniając, że prędko wróci. Ale jego ludzie już go w tym dniu nie ujrzeli.

Kiedy dotarł do banku, recepcjonistka powiedziała, że przewodniczący rady nadzorczej wraz z państwem Russell jest w sali posiedzeń. Nat tam poszedł i zajął swoje zwykłe miejsce naprzeciw Murraya, ale miny tamtych trojga nie wróżyły nic dobrego. Murray prędko przystąpił do rzeczy.

- Rozumiem, że dziś wieczór odbędzie się spotkanie, na którym masz przemawiać ty i Elliot.

- Tak - rzekł Nat. - To ostatnia ważna impreza przed jutrzejszym głosowaniem.

- Mam szpiega w obozie Elliotą - powiedział Murray. - Ta osoba twierdzi, że na dziś wieczór oni przygotowali pytanie, które może zniweczyć twoją kampanię, ale nie wie nic bliższego i nie śmie się dopytywać, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Czy nie wiesz, o co może chodzić?

- Nie, nie wiem - odparł Nat.

- Może się dowiedział o Julii - powiedział Tom cicho.

- O Julii? - zdziwił się Murray.

- Nie chodzi o moją żonę - rzekł Tom - ale o pierwszą panią Kirkbridge...

- Nie wiedziałem, że była jakaś pierwsza pani Kirkbridge - powiedział Murray.

- Nie było potrzeby, żeby ci o tym mówić - rzekł Tom. - Ale ja się zawsze bałem, że to może się wydać. - Murray wysłuchał z uwagą opowieści Toma, jak poznał kobietę, która podawała się za Julię Kirkbridge, jak podpisała czek bankowy, a potem wybrała wszystkie pieniądze ze swojego konta.

- Gdzie teraz jest ten czek? - zapytał Murray.

- Podejrzewam, że gdzieś w czeluściach ratusza.

- Zatem musimy przyjąć, że Elliot dostał go w swoje ręce, ale czy formalnie naruszyliście prawo?

- Nie, ale nie dotrzyaliśmy pisemnej umowy z radą miejską - rzekł Tom.

- Ale projekt Cedar Wood okazał się fantastycznym sukcesem i wszystkim zaangażowanym przyniósł spory zysk - dodał Nat.

- Zatem - rzekł Murray - mamy wybór. Albo wyznasz całą prawdę i przygotujesz dziś po południu oświadczenie, albo poczekasz, aż wieczorem wybuchnie bomba, licząc na to, że będziesz miał odpowiedź na każde pytanie, jakie może paść.

- Co radzisz? - spytał Nat.

- Ja bym nic nie robił. Po pierwsze, mój informator może się mylić, po drugie, to może nie chodzić o projekt Cedar Wood, a w takim razie niepotrzebnie otworzyłbyś puszkę Pandory.

- Ale co by to jeszcze mogło być? - zastanawiał się Nat.

- Rebeka? - podsunął Tom.

- Co masz na myśli? - spytał Nat.

- Że zrobiłeś jej dziecko i zmusiłeś ją do aborcji.

- To nie jest przestępstwo - wtrącił Murray.

- Chyba że będzie utrzymywać, że ją zgwałciłeś.

- Elliot na pewno nie poruszy tego tematu - rzekł Nat ze śmiechem - ponieważ równie dobrze to on mógł być ojcem, a aborcja nie pasowałaby do

jego świętoszkowatego wizerunku.

- Czy nie myślałeś, żeby samemu go zaatakować? - zagadnął Murray.

- O czym myślisz? - spytał Nat.

- Czyż Elliot nie musiał odejść z kancelarii Alexandra, Duponta i Bella w tym samym dniu co starszy wspólnik, bo z rachunku klienta zniknęło pół miliona dolarów?

- Nie, nie posunę się do tego - powiedział Nat. - W końcu Elliotowi nigdy nie udowodniono winy.

- Ależ tak - rzekł Murray. Tom i Nat spojrzeli na niego. - Tym klientem był mój przyjaciel. Zatelefonował, żeby mnie ostrzec, gdy tylko usłyszał, że Elliot reprezentuje nas przy przejęciu Russella.

- Może to i racja - westchnął Nat - ale mimo to odpowiadam: nie.

- W porządku - rzekł Murray. - Zatem pobijemy go na twoich warunkach, co oznacza, że musimy spędzić resztę popołudnia na przygotowaniu odpowiedzi na wszelkie możliwe pytania.

O szóstej po południu Nat wyszedł z banku jak wyżęty.

Zatelefonował do Su Ling i powiedział jej, co się wydarzyło:

- Czy chcesz, żebym była z tobą dziś wieczorem? - zapytała.

- Nie, kwiatuszkule, ale czy mogłabyś czymś zająć Luke'a? Nie chciałbym, żeby on tam był, jak zrobi się nieprzyjemnie. Wiesz, jaki jest wrażliwy i jak wszystko przeżywa.

- Zabiorę go do kina. W Arcadii grają francuski film, który on i Kathy od tygodnia chcą obejrzeć. - Nat starał się nie zdradzać niepokoju, kiedy wieczorem przybył do Goodwin House. Wkroczył do głównej sali restauracyjnej hotelu, w której znajdowało się kilkuset miejscowych, pogrążonych w rozmowach biznesmenów. Ciekawe, pomyślał, za kim się opowiedzą- Podejrzewał, że wielu jeszcze się waha, bo sondáže wskazywały, iż dziesięć procent jest niezdecydowanych. Starszy kelner zaprowadził go do głównego stołu, gdzie Elliot gawędził z przewodniczącym partii. Manny Friedman odwrócił się, żeby się przywitać z Natem. Elliot pochylił się nad stołem i odegrał przed publicznością pokaz ściskania dłoni. Nat prędko usiadł i zaczął robić notatki na odwrocie menu.

Przewodniczący poprosił o ciszę i przedstawił „dwóch znakomitych zapaśników, doskonale nadających się na stanowisko naszego następnego gubernatora”, a potem poprosił Elliota o słowo wstępne. Nat nigdy nie słyszał, żeby Elliot tak marnie mówił. Następnie przewodniczący poprosił Nata o wypowiedź, ale kiedy Nat zajął swoje miejsce z powrotem, pierwszy by przyznał, że niewiele lepiej się spisał. Pierwsza runda, pomyślał, zakończyła się bezpunktowym remisem.

Kiedy przewodniczący wezwał do zadawania pytań, Nat czekał, kiedy zostanie wystrzelony pocisk i z jakiego kierunku. Omiótł salę wzrokiem, przygotowując się do pierwszego pytania.

- Jaka jest opinia kandydatów o obecnie diskutowanym w Senacie projekcie ustawy o edukacji? - zapytał ktoś z przodu. Nat skupił się na niektórych postanowieniach projektu, które jego zdaniem wymagały poprawki, podczas gdy Elliot przypomniał zebranym, że skończył studia licencjackie na Uniwersytecie Connecticut.

Drugi pytający interesował się nowym stanowym podatkiem od dochodu i chciał się upewnić, czy obydwaj kandydaci gwarantują, że nie zostanie podniesiony. Tak i tak.

Trzeci był ciekaw, jak kandydaci poradzą sobie z przestępczością, a

szczególnie z gangami młodocianych. Elliot oświadczył, że wszyscy powinni dostać nauczkę i pójść do więzienia. Nat nie był przekonany, że więzienie jest panaceum na wszystkie bolączki, i wyraził opinię, że powinno się wziąć pod uwagę innowacje wprowadzone ostatnio w systemie penitencjarnym Utah.

Kiedy Nat usiadł, przewodniczący wstał i rozejrzał się po sali, sprawdzając, czy jeszcze ktoś chce zadać pytanie. Jakiś mężczyzna wstał, nie patrząc na Nata, i Nat od razu poznał, że to musi być ktoś podstawiony. Zerknął na Elliota, który coś pilnie notował, udając, że nie zdaje sobie sprawy z obecności tamtego.

- Proszę bardzo - rzekł przewodniczący, wskazując na mężczyznę.

- Panie przewodniczący, czy mogę zapytać, czy któryś z kandydatów kiedyś złamał przepisy prawa?

Elliot natychmiast się poderwał.

- Kilka razy - powiedział. - W zeszłym tygodniu dostałem trzy mandaty i z tego powodu mam zamiar złagodzić przepisy dotyczące parkowania w centrach miast, jak tylko zostanę wybrany.

Idealnie sformułowane, pomyślał Nat, i nawet odpowiedni moment został przewidziany. Rozległy się oklaski. Nat powoli wstał i zwrócił się ku Elliotowi.

- Ja nie będę zmieniał przepisów, żeby uczynić życie wygodniejszym panu Elliotowi, ponieważ uważam, że w centrach miast powinno być mniej pojazdów. Może to nie jest popularny pogląd, ale ktoś się musi odważyć i przestrzec ludzi, że czeka ich ponura przyszłość, jeżeli będziemy produkować coraz większe samochody, które będą zużywać coraz więcej benzyny i wydalać coraz więcej trujących spalin. Mamy obowiązek zapewnić naszym dzieciom lepsze jutro i nie chcę zostać wybrany dzięki frazesom, o których zapomnę, gdy będę miał władzę. - Usiadł, nagrodzony burzliwymi oklaskami, i miał nadzieję, że przewodniczący wywoła następnego pytającego, ale mężczyzna stał dalej.

- Ale, panie Cartwright, pan nie odpowiedział na moje pytanie, czy pan kiedykolwiek złamał prawo...

- W każdym razie nic o tym nie wiem - odparł Nat.

- Jednak czy nie jest prawdą, że kiedyś rozliczył pan czek Banku Russella na trzy miliony sześćset tysięcy dolarów, wiedząc, że ta suma została sprzeniewierzona, a podpis na czeku sfalszowany?

Kilka osób wśród publiczności zaczęło głośno rozmawiać i Nat musiał pewien czas odczekać, nim mógł odpowiedzieć.

- Tak, bardzo sprytna oszustka wyłudziła z Banku Russella tę sumę, ale ponieważ taką kwotę byliśmy winni radzie miejskiej, uważałem, że bank nie ma innego wyjścia, jak honorować dług i zapłacić radzie pełną należność.

- Czy poinformował pan wtedy policję, że skradziono te pieniądze? W końcu były one własnością klientów banku, a nie pańską.

- Nie, ponieważ wszystko wskazywało na to, że pieniądze zostały przekazane za granicę i wiedzieliśmy, że ich odzyskanie nie będzie możliwe. - Ledwo Nat wypowiedział to zdanie, zdał sobie sprawę, że jego odpowiedź nie zadowoli pytającego ani kilku osób z publiczności.

- Czy jak pan zostanie gubernatorem, też będzie pan traktował pieniądze podatników tak niefrasobliwie?

Elliot zerwał się na równe nogi.

- Panie przewodniczący, to skandaliczna sugestia i nic więcej jak

insynuacja i oszczerstwo. Czy nie możemy przejść do następnego pytania? - Usiadł wśród głośnych braw. Nat stał nadal. Musiał podziwiać tupet Elliota, który najpierw przygotował na niego pułapkę, a potem pokazał, że staje w jego obronie. Czekał, aż zapadnie kompletna cisza.

- Incydent, o którym pan mówi, wydarzył się ponad dziesięć lat temu. Popełniłem wtedy błąd, którego żałuję, chociaż jest ironią losu, że wynikł z tego olbrzymi sukces finansowy dla wszystkich zaangażowanych, gdyż trzy miliony sześćset, jakie bank zainwestował w projekt Cedar Wood, okazały się dobrodziejstwem dla mieszkańców Hartford, nie mówiąc o gospodarce miasta.

Mężczyzna wciąż nie dawał za wygraną.

- Mimo wielkodusznego komentarza pana Elliota chciałbym go spytać, czy on by zgłosił policji takie sprzeniewierzenie funduszy?

Elliot powoli się podniósł.

- Wolałbym nie komentować, nie znając wszystkich szczegółów, ale wierzę panu Cartwrightowi na słowo, kiedy mówi, że nie popełnił żadnego wykroczenia, i mocno żałuje, że w swoim czasie nie zgłosił sprawy odpowiednim władzom. - Chwilę milczał. - Ale jeżeli mnie wybieriecie na gubernatora, możecie być pewni, że będę jawnie sprawował rządy. Jeżeli popełnię błąd, przyznam się do tego od razu, a nie po dziesięciu latach. - Pytający mężczyzna usiadł, spełniwszy swoje zadanie.

Przewodniczący miał trudności z zaprowadzeniem porządku. Było jeszcze kilka pytań, ale nie słuchano ich w milczeniu, gdyż siedzący w środku sali dyskutowali na temat ujawnionej rewelacji.

Kiedy przewodniczący wreszcie zamknął zebranie, Elliot szybko wyszedł z sali, natomiast Nat został na miejscu. Wzruszyło go, że tak wielu ludzi podchodzi do niego i podaje mu rękę; liczni przytakiwali, że projekt Cedar Wood przyniósł korzyści miastu.

- No, przynajmniej cię nie zlinczowali - zauważył Tom, kiedy wychodzili z sali.

- Rzeczywiście, ale jutro wszyscy wyborcy będą mieli w głowie tylko jedną myśl: czy ja się nadaję na stanowisko gubernatora?

SKANDAL Z CEDAR WOOD - głosił nazajutrz tytuł w „Hartford Gourant”. Zestawiono koło siebie fotografię czeku i prawdziwy podpis Julii. Nie robiło to dobrego wrażenia, ale szczęśliwie dla Nata połowa wyborców poszła głosować na długo przedtem, nim gazeta pojawiła się na mieście. Nat przygotował na wypadek przegranej krótkie oświadczenie o wycofaniu się, w którym gratulował rywalowi, ale wstrzymał się z poparciem go na stanowisko gubernatora. Nat był w biurze, kiedy w siedzibie republikanów ogłoszono wyniki. Tom przyjął telefon i bez pukania wpadł do gabinetu Nata.

- Wygrałeś! Wygrałeś! Dostałeś jedenaście tysięcy siedemset dziewięćdziesiąt dwa głosy, a Elliot jedenaście tysięcy sześćset siedemdziesiąt trzy - różnica tylko stu dziewiętnastu głosów, ale to daje ci przewagę głosów elektorskich dwadzieścia dziewięć do dwudziestu siedmiu.

Nazajutrz „Hartford Courant” w artykule wstępnym pisał, że nikt nie stracił na zainwestowaniu w projekt Cedar Wood i że głosujący wyrazili jasno swoje intencje.

Przed ostatecznym wytypowaniem kandydata czekały Nata jeszcze trzy zebrania góry partyjnej i dwa razy prawybory. Ucieszył się więc, że sprawa Cedar Wood została prędko zapomniana. Elliot wygrał na następnym zebraniu partyjnym 19 do 18, a Nat cztery dni później zwyciężył

w prawyborach stosunkiem głosów 9702 do 6379, co dało mu jeszcze większą przewagę w przededniu ostatnich prawyborów. Jeżeli chodzi o głosy kolegium elektorskiego, to Nat prowadził stosunkiem 116 do 91, a sondaże wskazywały, że ma siedmiopunktową przewagę w mieście rodzinnym.

Na ulicach Cromwell do Nata dołączyli rodzice, Susan i Michael, którzy zajęli się starszymi wyborcami, gdy tymczasem Luke i Kathy agitowali wśród młodzieży. Z każdym dniem Nat nabierał większej pewności, że wygra. „Hartford Courant” przewidywała, że prawdziwa batalia czeka Nata, kiedy się zmierzy z Fletcherem Davenportem, popularnym senatorem z okręgu Hartford. Jednakże Tom wciąż nalegał, że muszą poważnie potraktować debatę telewizyjną z Elliotem w przeddzień wyborów.

- Nie możemy się potknąć na ostatniej przeszkodzie - mówił. - Pokonaj ją, a zostaniesz kandydatem. Jednak chcę, żebyś spędził niedzielę, przeglądając pytanie po pytaniu i przygotowując się na wszystko, co może wypłynąć podczas debaty. Fletcher Davenport na pewno będzie siedział w domu przed telewizorem i analizował wszystko, co powiesz. Jeżeli popełnisz jakąś niezręczność, w ciągu kilku minut wyda oświadczenie dla prasy.

Nat teraz żałował, że przed kilkoma tygodniami zgodził się wystąpić w programie lokalnej telewizji i wziąć udział w debacie z Elliotem w wieczór przed finałowymi prawyborami. Zgodzili się obaj, że David Anscott będzie prowadzącym. Anscott był dziennikarzem, któremu bardziej zależało na tym, by być popularnym niż dociekliwym. Tom nie miał nic przeciwko niemu, gdyż uważał, że ta debata będzie stanowić próbę generalną przed niewątpliwie poważniejszą przyszłą konfrontacją z Fletcherem Davenportem.

Codziennie Tom otrzymywał doniesienia, że ochotnicy całymi grupami opuszczali Ralphi Elliota, a niektórzy nawet przyłączali się do ich ekipy, kiedy więc obaj z Natem przybyli do studia telewizyjnego, czuli się dość pewnie. Su Ling towarzyszyła mężowi, natomiast Luke powiedział, że chce zostać w domu i oglądać debatę w telewizji, tak żeby zrelacjonować ojcu, jak wypadnie przed większym audytorium.

- Pewnie będzie oglądał telewizję, siedząc na kanapie razem z Kathy - zauważył Nat.

- Nie - powiedziała Su Ling. - Kathy wróciła dziś po południu do domu na urodziny swojej siostry i Luke mógłby z nią pojechać, ale on bardzo poważnie traktuje swoją rolę twojego doradcy do spraw młodzieży.

Tom wpadł do salki dla występujących w programach i pokazał Natowi ostatnie wyniki sondaży. Dawały mu sześcioprocentową przewagę.

- Myślę, że tylko Fletcher Davenport może ci teraz stanąć na drodze.

- Nie będę całkiem pewna, dopóki nie zostaną ogłoszone ostateczne wyniki - odparła Su Ling. - Nie zapominajcie o numerze, jaki zrobił Elliot z urnami wyborczymi, kiedy wszyscy myśleliśmy, że liczenie głosów się skończyło.

- On już próbował wszystkiego, co tylko mógł wymyślić, i mu się nie udało - rzekł Tom.

- Chciałbym w to wierzyć - powiedział Nat cicho.

Kiedy kandydaci weszli na plan, żeby wziąć udział w programie „Ostatnie spotkanie”, zostali powitani oklaskami przez małe audytorium. Obydwaj mężczyźni spotkali się na środku sceny i wymienili uścisk rąk, ale

spoglądali w kamerę.

- To będzie program na żywo - zwrócił się David Anscott do publiczności. - Wchodzimy na antenę za pięć minut. Zaczę od kilku pytań, a potem będzie państwa kolej. Jeżeli zechcecie zapytać o coś któregoś z kandydatów, proszę robić to zwięźle i na temat - i bez przemówień.

Nat z uśmiechem spojrzął na publiczność, gdy nagle jego wzrok zatrzymał się na człowieku, który zadawał mu pytania o projekt Cedar Wood. Siedział w drugim rzędzie. Nat poczuł, jak poca mu się dłonie, ale był pewien, że w razie czego da sobie z nim radę.

Tym razem był dobrze przygotowany.

Włączono lampy łukowe, na ekranie zaczęła iść czołówka i David Anscott z uśmiechem na ustach zapoczątkował program. Przedstawił uczestników, po czym obaj kandydaci wygłosili jednogminutowe oświadczenie wstępne - sześćdziesiąt sekund to dużo w telewizji. Po tylu wypowiedziach mogliby je nawet mówić przez sen.

Anscott zaczął od paru pytań na rozgrzewkę, wcześniej dla niego przygotowanych. Kiedy kandydaci na nie odpowiedzieli, nie podjął tego, co mówili, ale przeszedł do następnego pytania, które pojawiło się przed nim na teleprompterze. Gdy zakończył swoją kwestię, oddał inicjatywę publiczności.

Pierwsze pytanie okazało się przemówieniem na temat prawa kobiet do wolności wyboru, co cieszyło Nata, gdy liczył upływające sekundy. Wiedział, że Elliot będzie niezdecydowany w tej kwestii, bo nie będzie się chciał narazić ruchowi kobiet ani przyjacielom katolikom. Nat wyraźnie powiedział, że popiera prawo kobiety do wolności wyboru. Elliot, jak przypuszczał, odpowiedział wymijająco. Anscott poprosił o drugie pytanie.

Fletcher oglądał program w domu i notował wszystko, co mówi Nat Cartwright. Doskonale rozumiał on główne założenia projektu ustawy o edukacji i, co ważniejsze, najwyraźniej uważał, że zmiany, jakie Fletcher pragnie wprowadzić, są rozsądne.

- On jest bardzo inteligentny, prawda? - zauważyła Annie.

- I milutki - dodała Lucy.

- Czy ktoś jest po mojej stronie? - zagadnął Fletcher.

- Tak, moim zdaniem on wcale nie jest milutki - rzekł Jimmy. - Ale poświęcił twojemu projektowi dużo uwagi i najwyraźniej uważa, że to ważny temat wyborczy.

- Nie wiem, czy on jest milutki - powiedziała Annie - ale czy nie zauważyłaś, Fletcher, że w pewnych momentach trochę przypomina ciebie?

- O nie - rzekła Lucy: - On jest o wiele przystojniejszy od tatusia.

Trzecie pytanie dotyczyło ograniczenia dostępu do broni palnej. Ralph Elliot oświadczył, że popiera lobby działające na rzecz prawa do posiadania broni i prawo każdego Amerykanina do obrony. Nat wyjaśnił, dlaczego wolałby, żeby wprowadzono bardziej surową kontrolę, tak aby takie wypadki, jakiego doświadczył jego syn, kiedy chodził do szkoły podstawowej, więcej się nie powtórzyły.

Annie i Lucy zaczęły bić brawo wraz z publicznością w studio.

- Czy ktoś mu nie przypomni o tym, kto był w tej klasie razem z jego synem? - zapytał Jimmy.

- Jemu nie trzeba tego przypominać - rzekł Fletcher.

- Jeszcze jedno pytanie - powiedział Anscott - i proszę się pospieszyć, bo już jesteśmy spóźnieni.

Podstawiony mężczyzna w drugim rzędzie wstał jak wywołany.

Elliot wskazał na niego, na wypadek gdyby Anscott chciał oddać głos komuś innemu.

- Jak kandydaci radziliby sobie z problemem nielegalnej imigracji?
- Co, u diabła, może mieć z tym wspólnego gubernator Connecticut?

- spytał Fletcher.

Ralph Elliot spojrział wprost na pytającego i odparł:

- Jestem pewien, że wyrażę opinię nas obydwu, kiedy powiem, że Ameryka powinna przyjąć każdego, kto jest ciemniejszy i potrzebuje pomocy, jak to zawsze czyniliśmy w minionych latach. Jednak jest oczywiste, że ci, którzy pragną przyjechać do naszego kraju, muszą poddać się odpowiedniej procedurze i przestrzegać wszystkich przepisów.

- To mi zabrzmiało - rzekł Fletcher do Annie - jakby było przygotowane zawnazu i wielokrotnie przećwiczone.

- Panie Cartwright, czy taki jest również pana pogląd, jeżeli chodzi o nielegalną imigrację? - spytał David Anscott, trochę zaskoczony pytaniem mężczyzny.

- Muszę się przyznać, Davidzie, że nie poświęciłem tej sprawie dużo uwagi, gdyż nie należy ona do najważniejszych problemów, z jakimi obecnie musi się uporać stan Connecticut.

- Kończ - zabrzmiał głos producenta w słuchawkach Anscotta; w chwili gdy pytający dodał:

- Jednak musiał pan trochę o tym myśleć, bo czy pana żona nie jest nielegalną imigrantką?

- Poczekaj, daj mu odpowiedzieć - polecił producent - bo jeżeli teraz przerwiemy, to będziemy mieli telefony od ćwierci miliona ciekawskich. Daj zbliżenie na Cartwrighta.

Fletcher należał do tej ćwierci miliona ludzi, którzy czekali na odpowiedź Cartwrighta. Kamera ukazała na moment Elliota, który miał zdziwioną minę.

- Ty draniu - rzekł Fletcher. - Wiedziałeś, że padnie to pytanie. Kamera wróciła do Nata, ale jego usta pozostawały zaciśnięte.

- Czy nie mam racji, jeżeli powiem - dopytywał się mężczyzna - że pańska żona przybyła do tego kraju nielegalnie?

- Moja żona jest profesorem statystyki na Uniwersytecie Connecticut - powiedział Nat, usiłując ukryć drżenie głosu.

Anscott nasłuchiwał, co mu poleci producent, ponieważ czas przeznaczony na program minął.

- Nic nie mów - rzekł producent - zostaw jak jest. Jak będzie nudne, zawsze mogę puścić napisy. - Anscott lekko skinął głową w stronę czołowej kamery.

- Nie przeczę, proszę pana, jednak czy jej matka, Su Kai Peng, nie wjechała do tego kraju z fałszywymi dokumentami, twierdząc, że poślubiła amerykańskiego wojskowego, który w rzeczywistości zginął w walce za swój kraj kilka miesięcy przed datą na świadectwie ślubu?

Nat nie odpowiedział.

Fletcher również milczał, patrząc na mękę Cartwrighta;

- Skoro nie ma pan ochoty odpowiedzieć na moje pytanie, to może zechce pan potwierdzić, że na świadectwie ślubu pańska teściowa podała się za szwaczkę. Jednak jest faktem, że zanim znalazła się w Ameryce, była prostytutką na ulicach Seulu, więc nie wiadomo, kto był ojcem pańskiej żony.

- Czołówka - rozkazał producent. - Jesteśmy spóźnieni, a nie odważę

się wejść na „Słoneczny patrol”, ale niech kamery chodzą.

Może nakręcimy trochę materiału dla nocnych wiadomości.

Kiedy monitor na scenie ukazał wyświetlające się napisy, pytający opuścił prędko studio. Nat spojrział na żonę, która siedziała w trzecim rzędzie. Była blada i dygotała.

- Koniec - rzekł producent.

Elliot zwrócił się do prowadzącego i rzekł:

- To było haniebne, powinien pan mu dużo wcześniej przerwać. -

Spojrzął na Natę i dodał: - Wierz mi, nie miałem pojęcia, że...

- Jesteś kłamcą - rzucił Nat.

- Kręć go - powiedział reżyser do pierwszego kamerzysty. - Niech wszystkie kamery będą włączone. Chcę to mieć we wszystkich ujęciach.

- Co sugerujesz? - spytał Elliot.

- Że to wszystko przygotowałeś. Nawet się specjalnie nie wysiliłeś - podstawileś tego samego człowieka, który dwa tygodnie temu wypytywał mnie o projekt Cedar Wood. Ale ja ci coś powiem - rzekł, wycelowując palec w Elliota - i tak cię wykończę.

Nat zbiegł ze sceny i znalazł Su Ling, która czekała na niego za kulisami.

- Chodź, kwiatuszku, zabieram cię do domu. - Tom prędko do nich dołączył. Nat objął żonę.

- Przepraszam cię, Nat, ale muszę cię zapytać - rzekł Tom. - Czy coś z tych bredni było prawdą?

- Wszystko - odparł Nat. - I zanim o to spytasz - wiedziałem o tym, kiedy się pobraliśmy.

- Zabierz Su Ling do domu - powiedział Tom - i pamiętaj, nie rozmawiaj z dziennikarzami.

- Nie zwracaj sobie głowy - rzekł Nat. - Możesz w moim imieniu wydać oświadczenie, że się wycofuję. Nie mogę już więcej narażać mojej rodziny na coś takiego.

- Nie decyduj pochopnie, bo możesz potem żałować. Pomówimy rano, co należy robić - powiedział Tom.

Nat wziął Su Ling za rękę i wyszli razem ze studia przez drzwi prowadzące na parking.

- Wszystkiego dobrego! - krzyknął jakiś zwolennik, kiedy Nat otwierał żonie drzwi samochodu. Nie zareagował na żaden z okrzyków i szybko odjechał. Spojrzął z boku na Su Ling, która gniewnie biła pięścią w deskę rozdzielczą. Nat zdjął jedną rękę z kierownicy i dotknął delikatnie nogi Su Ling.

- Kocham cię - powiedział - i zawsze będę cię kochał. Nikt i nic tego nie zmieni.

- Jak Elliot się dowiedział?

- Prawdopodobnie wynajął detektywów, żeby grzebali w mojej przeszłości.

- I kiedy nie znalazł nie u ciebie, do czego mógłby się przyczepić, zwrócił uwagę na mnie i moją matkę - wyszeptała Su Ling. Po długim milczeniu dodała: - Nie chcę, żebyś się wycofał, musisz walczyć dalej. To jedyny sposób, żeby pokonać tego drania, - Nat nie odpowiedział, włączając się w wieczorny ruch. - Strasznie mi przykro z powodu Luke - rzekła w końcu Su Ling. - On to bardzo przeżyje. Szkoda, że Kathy nie została jeszcze jeden dzień.

- Ja się nim zajmę - zaofiarował się Nat. - Ty lepiej pojedź po swoją

matkę i zabierz ją do nas na noc...

- Zadzwoń do niej zaraz, jak przyjedziemy do domu. Możliwe, że ona nie widziała tego programu.

- Próżne nadzieje - rzekł Nat, zajeżdżając na podjazd. - Ona jest moją najbardziej lojalną zwolenniczką i nigdy nie opuszcza żadnego z moich telewizyjnych występów.

Nat objął Su Ling i razem podążyli ku frontowym drzwiom. Wszystkie światła w domu były zgaszone, paliło się tylko w sypialni Luke'a. Nat przekręcił klucz w zamku i otworzył drzwi.

- Zatelefonuj do swojej matki, a ja zajrzę na górę do Luke'a.

Su Ling podniosła słuchawkę telefonu w holu, a Nat poszedł powoli na górę, usiłując zebrać myśli. Wiedział, że Luke będzie oczekiwał szczerzej odpowiedzi na wszystkie pytania. Znalazł się na korytarzu i delikatnie zapukał do drzwi syna. Nie usłyszał odpowiedzi, zapukał więc jeszcze raz i spytał, czy może wejść. Nadal brak było odpowiedzi. Otworzył drzwi i zajrzał do środka, ale Luke'a nie było w łóżku, a na tym krześle co zwykle nie leżało porządnie złożone ubranie syna. Nat pomyślał, że może chłopak pobiegł do babki. Zgasił światło i usłyszał, że Su Ling rozmawia z matką. Chciał zejść do niej, kiedy zauważył, że Luke zostawił światło w łazience.

Postanowił je zgasić. Przemierzył pokój i pchnął drzwi łazienki. Przez moment stał bez ruchu, patrząc w górę na syna. Potem upadł na kolana; nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć jeszcze raz, choć wiedział, że musi zdjąć wiszące ciało Luke'a, żeby Su Ling na zawsze nie zapamiętała takiego obrazu ich jedyne dziecko.

Annie podniosła słuchawkę dzwoniącego telefonu.

- To Charlie z „Hartford Courant” - powiedziała, podając mężowi aparat...

- Czy oglądał pan program? - zapytał redaktor działu politycznego, usłyszawszy głos Fletchera.

- Nie, nie oglądałem - zażartował Fletcher. - Annie i ja nigdy nie opuszczamy Seinfelda.

- Touche, czy wobec tego chce pan coś powiedzieć na temat tego, że żona pana rywala była nielegalną imigrantką a jej matka prostytutką? i

- Tak, uważam, że David Anscott powinien przerwać pytającemu. To oczywiste, że od początku był to niewybredny podstęp.

- Czy mogę pana zacytować? - zapytał Charlie. Jimmy energicznie potrząsał głową.

- Tak, oczywiście, wszystko, co zmontował Nixon, wygląda przy tym jak Muppety.

- Panie senatorze, miło będzie panu usłyszeć, że opinia publiczna jest podobnego zdania jak pan. Centrala telefoniczna stacji telewizyjnej jest zablokowana, tylu ludzi dzwoni z wyrazami sympatii dla Nata Cartwrighta i jego żony, i założę się, że jutro Elliot sromotnie przegra.

- Co bardzo mi utrudni sytuację - rzekł Fletcher - ale przynajmniej wynikła z tego jedna dobra rzecz.

- Jaka, panie senatorze?

- Że wreszcie wszyscy się dowiedzieli prawdy o tym draniu Elliocie.

- Nie wiem, czy to było mądre - zauważył Jimmy.

- Na pewno nie - rzekł Fletcher - ale twój ojciec postąpiłby tak samo.

Kiedy przyjechała karetka, Nat postanowił pojechać ze zwłokami syna do szpitala, podczas gdy jego matka nadaremnie pocieszała Su Ling.

- Zaraz wrócę - obiecał i delikatnie pocałował żonę.

Ujrawszy dwóch sanitariuszy, którzy siedzieli w milczeniu obok ciała, wyjaśnił, że pojedzie za nimi swoim samochodem. Odpowiedzieli skinieniem głowy.

Personel szpitalny był pełen współczucia, ale należało wypełnić formularze i dokonać koniecznych czynności urzędowych. Kiedy to zostało załatwione, zostawiono go samego. Pocałował Luke'a w czoło i odwrócił wzrok od czerwonych i czarnych śladów na jego szyi, świadom, że zachowa ich wspomnienie do końca życia.

Kiedy zakryto twarz Luke'a, Nat zostawił ukochanego syna. Przeszedł obok ludzi, którzy ze spuszczoneymi głowami szeptała słowa współczucia. Powinien wracać do Su Ling, ale był ktoś, kogo musiał odwiedzić najpierw.

Odjechał spod szpitala jak błędny, a jego gniew nie słabł w miarę przejechanych mil. Chociaż nigdy nie był w tym domu, dobrze wiedział, gdzie jest, i kiedy w końcu zajechał na podjazd, zobaczył, że na parterze pali się światło. Zaparkował samochód i zaczął powoli iść w stronę domu. Musi być spokojny, jeżeli ma to przeprowadzić do końca. Zbliżywszy się do drzwi frontowych, usłyszał podniesione głosy. Mężczyzna i kobieta się kłócili, nie zdając sobie sprawy, że ktoś jest na zewnątrz. Nat zastukał kołatką i głosy nagle umilkły, jakby ktoś wyłączył telewizor. Po chwili otwarto drzwi i Nat stanął twarzą w twarz z człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć jego syna.

Ralph Elliot przeżył szok na widok Nata, jednak prędko oprzytomniał. Usiłował zatrasnąć mu drzwi przed nosem, ale Nat oparł się o nie mocno ramieniem. Pierwszy cios, jaki wymierzył Nat, trafił Elliota w nos i odrzucił go do tyłu. Elliot się zatoczył, potknął, ale prędko odzyskał równowagę, odwrócił się i pobiegł przed siebie korytarzem. Nat podążył za nim do jego gabinetu. Rozejrzał się, szukając drugiej osoby, ale nie było śladu Rebeki. Spojrzał znów na Elliota, który otwierał szufladę biurka. Wyciągnął pistolet i wycelował w Nata.

- Wynoś się z mojego domu - krzyknął - albo cię zabiję. - Z nosa ciekła mu krew.

Nat zbliżył się do niego.

- Nie sądzę - powiedział. - Po tym dzisiejszym numerze już nigdy nikt ci nie uwierzy.

- Uwierzą, bo mam świadka. Nie zapominaj, że Rebeka widziała, jak wtargnąłeś do naszego domu i mnie zaatakowałeś.

Nat zrobił krok do przodu, gotów zadać drugi cios, a Elliot cofnął się i stracił na chwilę równowagę, gdyż potknął się o krzesło. Pistolet wystrzelił i Nat skoczył na Elliota, przygniatając go do ziemi. Kiedy upadli na podłogę, Nat z taką siłą uderzył kolanem w krocze Elliota, że ten zgiął się wpół i wypuścił pistolet. Nat schwycił go i wycelował w Elliota, któremu strach wykrzywił twarz.

- To ty podstawiałeś tego drania w audytorium? - spytał Nat.

- Tak, tak, ale nie wiedziałem, że tak daleko się posunie, chyba nie mógłbyś zabić człowieka, dlatego...

- Dlatego że jest odpowiedzialny za śmierć mojego syna?

Elliotowi krew odpłynęła z twarzy.

- Tak, mógłbym to zrobić - rzekł Nat, przyciskając lufę pistoletu do czoła Elliota. Przyglądał się człowiekowi, który był teraz na jego łasce, jęczał i błagał o życie. - Nie zabiję cię - powiedział Nat, opuściwszy broń - bo to byłoby zbyt łatwe rozwiązanie dla takiego tchórza jak ty. Nie, chcę,

żebyś umierał powolną śmiercią - doznając latami upokorzeń. Jutro się dowiesz, co naprawdę myślą o tobie ludzie w Hartford, a potem będziesz musiał żyć z hańbą i patrzeć, jak się wprowadzam do pałacu gubernatora.

Nat podniósł się, spokojnie odłożył pistolet na brzeg biurka, odwrócił się i wyszedł z pokoju. W korytarzu zobaczył skuloną Rebeke. Kiedy ją wyminął, pobiegła do gabinetu Elliota. Nat wyszedł przez otwarte drzwi i wsiadł do samochodu.

Wyjeżdżał przez bramę, kiedy usłyszał strzał.

Telefon Fletchera dzwonił co kilka minut. Cały czas Annie podnosiła słuchawkę i tłumaczyła, że mąż nie ma dalszych komentarzy poza tym, że przesłał państwu Cartwrightom kondolencje.

Tuż po północy Annie wyłączyła telefon i poszła na górę. Wprawdzie w sypialni światło się świeciło, ale ku jej zdumieniu nie zastała tam Fletchera. Zeszła na dół i zajrzała do gabinetu. Jak zwykle papiery piętrzyły się na biurku, ale krzesło Fletchera było puste.

Wróciła na piętro i zauważyła, że spod drzwi Lucy sączy się światło. Annie przekręciła powoli gałkę i cicho otworzyła drzwi, sądząc, że Lucy zasnęła, zostawiwszy światło. Zajrzała do środka i zobaczyła, że mąż siedzi na łóżku i tuli senną córkę. Łzy płynęły mu po policzkach. Odwrócił się i popatrzył na żonę.

- Nie ma nic cenniejszego w świecie - powiedział.

Nat wrócił do domu i zastał swoją matkę siedzącą na sofie z Su Ling. Twarz Su Ling była blada, oczy zapadnięte; w ciągu kilku godzin postarzała się o dziesięć lat.

- Zostawię ją teraz z tobą - powiedziała matka Nata - ale przyjdę jutro rano. Sama wyjdę.

Nat pochylił się, pocałował matkę na pożegnanie, a potem usiadł przy żonie. Trzymał jej drobne ciało w ramionach, ale nic nie mówił. Nie było nic do powiedzenia.

Nie pamiętał, jak długo tak siedzieli, kiedy usłyszał jęk syreny policyjnej. Myślał, że świdrujący dźwięk szybko umilknie w oddali, ale rozbrzmiewał coraz głośniejszy i nie ustał, aż samochód zatrzymał się ze zgrzytem na żwirze przed drzwiami frontowymi domu. Potem usłyszał trzaśnięcie drzwiami, ciężkie kroki i walenie w drzwi.

Zdjął rękę z ramienia żony i ze znużeniem powlókł się otworzyć. Ujrzał komendanta policji w towarzystwie dwóch policjantów.

- Jakiś problem, panie komendancie?

- Przykro mi, bo wiem, co pan przeżył - rzekł Don Culver - ale nie mam wyjścia, muszę pana aresztować.

- Za co? - spytał Nat z niedowierzaniem.

- Za zamordowanie Ralpha Elliota.

Księga Piąta

Sędziowie

Nie pierwszy raz zdarzyło się w historii Ameryki, że nazwisko nieżyjącego kandydata widniało na karcie do głosowania i z pewnością nie pierwszy raz do wyborów stawał kandydat będący w areszcie, ale mimo uporczywych poszukiwań żaden historyk parający się polityką nie mógłby znaleźć takich dwóch jednego dnia.

Komendant policji pozwolił Natowi tylko na telefon do Toma, który nie spał, mimo że była trzecia rano.

- Wyciągnę Jimmy'ego Gatesa z łóżka i raz-dwa przyjedziemy na posterunek policji.

Właśnie skończono zdejmować Natowi odciski palców, kiedy przybył Tom w towarzystwie prawnika.

- Pamiętasz Jimmy'ego - rzekł Tom. - Doradzał nam przy przejściu Fairchilda.

- Tak, pamiętam - odparł Nat, wycierając ręce po zmywaniu śladów czarnego tuszu z palców.

- Rozmawiałem z Culverem - powiedział Jimmy - i on nie ma nic przeciwko temu, żeby cię puścić do domu, ale musisz się stawić w sądzie jutro o dziesiątej rano, gdzie zostaniesz formalnie oskarżony. Wystąpię w twoim imieniu o zwolnienie za kaucją i sąd bez problemu powinien się zgodzić.

- Dziękuję - rzekł Nat bezbarwnym głosem. - Jimmy, czy pamiętasz, że zanim przystąpiliśmy do przejścia Fairchilda, poprosiłem cię o znalezienie najlepszego prawnika specjalizującego się w spółkach, żeby nas reprezentował?

- Tak, pamiętam - odparł Jimmy. - A ty zawsze mówiłeś, że Logan Fitzgerald zrobił pierwszorzędną robotę.

- Tak, zgadza się - powiedział Nat cicho, - Ale teraz chcę, żebyś mi znalazł takiego Logana Fitzgeralda od prawa karnego.

- Kiedy się spotkamy jutro rano, podam ci dwa albo trzy nazwiska do wyboru. Jest taki jeden wyjątkowy facet w Chicago, ale nie wiem, czy nie będzie zajęty - powiedział Jimmy, kiedy do pokoju wszedł szef policji.

- Czy jeden z moich chłopców może pana odwiedzić do domu? - zapytał Nata.

- Nie, dziękujemy - powiedział Tom. - To ładnie z pana strony, ale ja zawiozę kandydata do domu.

- Ty tak automatycznie mówisz „kandydat” - rzekł Nat - jakby to było moje imię.

W drodze do domu Nat zrelacjonował Tomowi, co się wydarzyło w domu Elliota.

- Czyli w końcu będzie tylko twoje słowo przeciwko słowu Rebeki - skwitował Tom, zajechawszy pod drzwi domu Nata.

- Tak, ale obawiam się, że moja opowieść nie będzie tak przekonująca jak jej, chociaż jest prawdziwa.

- Porozmawiamy o tym rano - rzekł Tom. - A teraz spróbuj się trochę przespać.

- Już jest rano - odparł Nat, obserwując pierwsze promienie słońca padające na trawnik.

Su Ling stała w otwartych drzwiach.

- Czy oni choć przez moment uwierzyli...Nat zrelacjonował jej przebieg wydarzeń na komendzie, a gdy skończył, Su Ling powiedziała tylko:

- Jaka szkoda.

- Co masz na myśli? - spytał Nat. - Że nie ty go zabiłeś.

Nat udał się na górę i przeszedł przez sypialnię, zmierzając prosto do łazienki. Zdjął ubranie i wcisnął je do torby. Wyrzucił je potem, żeby mu nie przypominało tego strasznego dnia. Stał pod prysznicem i pozwolił się chłostać zimnemu strumieniowi wody.

Włożył świeże ubranie i szedł do żony do kuchni. Na kredensie leżał jego plan na dzień wyborów; ani słowa o stawiennictwie w sądzie w charakterze oskarżonego o morderstwo.

Tom zjawił się o dziewiątej. Poinformował, że głosowanie przebiega

wartko, zupełnie jakby nic innego nie działo się w życiu Nata.

- Zaraz po programie telewizyjnym przeprowadzono sondaż - powiedział Natowi - który wykazał twoją przewagę w stosunku sześćdziesiąt trzy do trzydziestu siedmiu.

- Ale to było przed moim aresztowaniem za zabicie drugiego kandydata - rzekł Nat.

- Przypuszczam, że to może zmienić wynik na siedemdziesiąt do trzydziestu - odparł Tom, Nikt się nie roześmiał.

Tom z całych sił starał się skupić uwagę Nata i Su Ling na kampanii i w ten sposób odwrócić ją od Luke'a. Daremnie. Spojrzał na zegar kuchenny.

- Na nas czas - powiedział do Nata, który się odwrócił i objął Su Ling.

- Nie, idę z tobą - oznajmiła. - Nat go nie zamordował, ale ja bym to zrobiła, gdybym miała choć cień szansy.

- Ja też - przyznał Tom łagodnie - ale muszę cię ostrzec, że kiedy znajdziemy się przed sądem, będzie tam pełno dziennikarzy. Rób niewinną minę i nie odzywaj się, bo cokolwiek powiesz, trafi na pierwsze strony gazet.

Wyszli z domu i od razu ujrzeni trzy ekipy z kamerami i kilkunastu dziennikarzy, którzy patrzyli, jak wsiadają do samochodu - Kiedy jechali ulicami, Nat tulił rękę Su Ling i nie widział, jak wielu ludzi machało na ich widok. Gdy po piętnastu minutach zajechali przed schody budynku sądu, Nat zobaczył największy tłum, jaki spotkał podczas całej kampanii wyborczej.

Culver przewidział problem i odkomenderował dwudziestu umundurowanych policjantów, żeby powstrzymywali tłum i utworowali przejście, aby Nat i osoby mu towarzyszące mogli bez przeszkód wejść do budynku. To nie pomogło, bo dwudziestu ludzi nie potrafiło opanować nacierającej grupy fotografów i reporterów, którzy wykrzykiwali i popychali Nata i Su Ling, przedzierających się w górę schodów. Natowi podtykano pod nos mikrofony, ze wszystkich stron sypały się pytania.

- Czy zamordował pan Ralpa Elliota? - pytał jeden reporter.

- Czy wycofa pan swoją kandydaturę? - dowiadywał się następny, wyciągając do Nata rękę z mikrofonem.

- Czy pani matka była prostytutką?

- Nat, czy myślisz, że jednak wygrasz?

- Czy Rebeka Elliot była pańską kochanką?

- Jakie były ostatnie słowa Ralpa Elliota?

Kiedy się przepchnęli przez wahadłowe drzwi, zobaczyli czekającego na nich Jimmy'ego Gatesa. Poprowadził Nata do ławki przed salą rozpraw i poinformował go o procedurze sądowej.

- Rozprawa wstępna nie powinna trwać dłużej niż pięć minut - wyjaśnił Jimmy. - Podasz swoje nazwisko, potem zostaniesz oskarżony i zapytany, czy przyznajesz się do winy. Kiedy odpowiesz, że się nie przyznajesz, ja wystąpię o zwolnienie za kaucją. Oskarżyciel stanowy sugeruje pięćdziesiąt tysięcy dolarów do twojego uznania, na co wyraziłem zgodę. Jak podpiszesz konieczne dokumenty, zostaniesz zwolniony i nie będziesz musiał ponownie stawiać się w sądzie, dopóki nie zostanie ustalona data procesu.

- Kiedy można się tego spodziewać?

- Zwykle trwa to pół roku, ale zażądałem przyspieszenia ze względu

na zbliżające się wybory. - Nat podziwiał profesjonalne podejście swojego adwokata, pamiętając przy tym, że Jimmy jest najbliższym przyjacielem Fletchera Davenporta. Jednak, pomyślał Nat, Jimmy jak każdy dobry prawnik rozumie, co to znaczy otoczyć się chińskim murem.

- Musimy iść - powiedział Jimmy, spojrzawszy na zegarek. - Nie możemy kazać czekać sędziemu.

Nat wkroczył do wypełnionej tłumem sali sądowej i przeszedł wolno środkiem wraz z Tomem. Zdumiało go, że tak wiele osób podaje mu rękę i życzy szczęścia, tak jakby to było spotkanie partyjne, a nie postawienie w stan oskarżenia. Kiedy podeszli w pobliże stołu sędziowskiego, Jimmy otworzył drewnianą bramkę, oddzielającą strony i sędziego od ciekawskich. Następnie zaprowadził Nata do stołu po lewej stronie i wskazał mu miejsce obok siebie. Nat spojrział w stronę prokuratora stanowego, Richarda Ebdena, człowieka, którego zawsze darzył podziwem. Wiedział, że Ebden będzie groźnym przeciwnikiem, i był ciekaw, kto, zdaniem Jimmy'ego, powinien stawić mu czoło.

- Proszę wstać. Rozprawie przewodniczy sędzia Deakins.

Tok postępowania wyglądał tak, jak przewidywał Jimmy, i pięć minut później byli już na ulicy, otoczeni przez tych samych dziennikarzy powtarzających te same pytania i nadal nieuzyskujących odpowiedzi.

Kiedy torowali sobie drogę do samochodu przez ciżbę, Nat nie mógł się nadziwić, że tylu ludzi chce mu uściśnąć rękę. Tom nakłonił Nata, żeby zwolnił, gdyż zdał sobie sprawę, że wyborcy obejrzą tę scenę w południowych wiadomościach. Nat zamienił kilka słów z każdym sympatykiem, nie wiedział tylko, co odpowiedzieć jednemu z gapiów, który oznajmił:

- Dobrze, że pan zabił tego drania.

- Czy chcesz jechać prosto do domu? - zapytał Tom, powoli przebijając się samochodem przez tłum.

- Nie - odparł Nat. - Jedźmy najpierw do banku i omówmy wszystko w sali posiedzeń.

Zatrzymali się tylko po to, żeby kupić pierwsze wydanie „Hartford Courant”, kiedy usłyszeli krzyk gazeciarza „Cartwright oskarżony o morderstwo!”. Tom zdawał się interesować tylko wynikami sondażu opublikowanymi na drugiej stronie; wynikało z nich, że Nat miał teraz nad Elliotem ponad dwudziestopunktową przewagę.

- A inny sondaż wskazuje - rzekł Tom - że siedemdziesiąt dwa procent wyborców uważa, iż nie powinieneś się wycofywać. - Tom czytał dalej, nagle podniósł głowę, ale się nie odezwał.

- Co takiego? - spytała Su Ling.

- Siedem procent pytanych twierdzi, że chętnie by zabili Elliota, gdybyś ich tylko poprosił.

Przed bankiem czekał na nich znowu tłum dziennikarzy i kamerzystów; ci również napotkali kamienne milczenie. W korytarzu do przybyszki podeszła sekretarka Toma i doniosła, że liczba głosujących rano okazała się rekordowo wysoka, gdyż widać republikanie chcieli dać wyraz swoim opiniom.

Kiedy usadowili się w sali obrad, Nat rozpoczął dyskusję:

- Partia będzie oczekiwać, żebym się wycofał, nie bacząc na wynik, i uważam, że to może być dla mnie najlepsze w tych okolicznościach.

- Dlaczego nie pozwolić, żeby zadecydowali wyborcy? - powiedziała cicho Su Ling. - A kiedy w większości wypowiedzą się za tobą, walczyć

dalej, bo to pomoże też przekonać przysięgłych, że jesteś niewinny.

- Zgadzą się - rzekł Tom. - A jaki jest wybór - Barbara Hunter?

Chociaż tego oszczędźmy, wyborcom.

- Jimmy, a jak ty uważasz? W końcu jesteś moim doradcą prawnym.

- W tej sprawie nie mogę wydać bezstronnego sądu - przyznał

Jimmy. - Jak dobrze wiesz, kandydat demokratów jest moim najbliższym przyjacielem, ale gdybym jemu miał radzić w podobnej sytuacji, i wiedziałbym, że jest niewinny, tobym powiedział: zostań i walcz.

- Cóż, możliwe, że ludzie wybiorą nieżyjącego człowieka i Bóg raczy wiedzieć, co się wtedy stanie.

- Jego nazwisko pozostanie na kartach do głosowania - rzekł Tom - i gdyby wygrał wybory, wtedy partia może wyznaczyć kogoś w jego imieniu.

- Żartujesz? - spytał Nat.

- Nic podobnego. Często się wybiera żonę kandydata, a założyłbym się, że Rebeka Elliot chętnie by zajęła jego miejsce.

- A gdyby cię skazali - powiedział Jimmy - z pewnością mogłaby liczyć na głosy współczucia tuż przed wyborami.

- Ważniejsze, czy masz już dla mnie obrońców, którzy mogliby mnie reprezentować? - spytał Nat.

- Czterech - odparł Jimmy i wydobyl grubą plik papierów z teczki.

Przewrócił kartkę. - Dwóch z Nowego Jorku, obydwaj poleceni przez Logana Fitzgeralda, jeden z Chicago, występował podczas afery Watergate, oraz czwarty z Dallas. W ciągu ostatnich dziesięciu lat przegrał tylko jedną sprawę, kiedy jego klient popełnił morderstwo przed kamerą wideo. Zamierzam dziś zatelefonować do wszystkich czterech i dowiedzieć się, czy któryś z nich jest wolny. Ta sprawa wzbudzi tak powszechną uwagę, że moim zdaniem wszyscy zechcą się zaangażować.

- Czy nie ma kogoś odpowiedniego w Connecticut? - spytał Tom. - To by o wiele lepiej przemówiło do przysięgłych.

- Zgoda - przyznał Jimmy. - Ale jedyny człowiek tej klasy co tamci czterej jest nieosiągalny.

- A kto to jest? - spytał Nat.

- Kandydat demokratów na gubernatora.

Nat uśmiechnął się pierwszy raz.

- W takim razie jego wybieram - powiedział.

- Ale on jest w trakcie kampanii wyborczej.

- Może tego nie zauważyłeś - rzekł Nat - ale oskarżony też. Poza tym wybory odbędą się dopiero za dziewięć miesięcy. Jeżeli się okaże, że ja będę jego przeciwnikiem, to przynajmniej będzie wiedział, gdzie jestem przez ten cały czas.

- Ale... - powtórzył Jimmy.

- Powiedz Fletcherowi Davenportowi, że jeżeli zostanę kandydatem republikanów, jego wybiorę na pierwszym miejscu, i nie kontaktuj się z nikim innym, dopóki on nie odmówi, bo jeżeli wszystko, co słyszałem o tym człowieku, jest prawdą, na pewno zechce mnie bronić.

- Jeżeli takie są twoje instrukcje.

- Owszem, takie są moje instrukcje.

Kiedy o ósmej wieczorem zamykano lokale wyborcze, Nat zasnął w samochodzie Toma w drodze do domu. Szef sztabu wyborczego Nata robił wszystko, żeby mu nie przeszkadzać. Następne, co Nat pamiętał, to to, że obudził się w łóżku koło Su Ling i od razu pomyślał o Luke. Su Ling spojrzała na niego i ścisnęła mu rękę.

- Nie - wyszeptała.
- O co ci chodzi? - spytał Nat.
- Kochanie, widzę w twoich oczach, że się zastanawiasz, czy nie wolałabym, żebyś się wycofał, abyśmy mogli jak należy obchodzić żałobę po Luke'u. Więc odpowiadam - nie.
- Ale przed nami pogrzeb, a potem przygotowania do procesu i wreszcie sam proces.
- Nie wspominając o niekończących się godzinach pomiędzy, kiedy będziesz pogrążony w myślach i nieznośny. Ale odpowiedź brzmi - nie.
- Jednak jest prawie niemożliwe, żeby przysięgli nie uwierzyli słowom zrozpaczonej żony, która twierdzi, że była świadkiem zamordowania swego męża.
- Oczywiście, że była świadkiem - powiedziała Su Ling. - Przecież to zrobiła.

Zadzwonił telefon na nocnym stoliku od strony Su Ling. Podniosła słuchawkę i słuchała w napięciu, po czym zanotowała dwie liczby na bloczku przy telefonie.

- Dziękuję ci - powiedziała. - Przekażę mu.
- Co mianowicie? - spytał Nat.
- To był Tom. Chciał, żebyś się dowiedział, jaki jest wynik wyborów. - Su Ling oderwała kartkę i podała mężowi. Napisana na niej tylko; 69/31.

- Tak, ale kto dostał sześćdziesiąt dziewięć? - spytał Nat.
- Przyszły gubernator Connecticut - odparła.

Pogrzeb Luke'a odbył się w kaplicy szkoły Tafta na prośbę jej dyrektora. Wyjaśnił, że bardzo wielu uczniów chce wziąć w nim udział. Dopiero po śmierci syna Nat i Su Ling dowiedzieli się, jak Luke był lubiany. Nabożeństwo było skromne, a chór, do którego należał Luke, z czego był taki dumny, odśpiewał Williama Blake'a „Jerusalem” i Cole Portera „Złe zachowanie”. Kathy odczytała jedną lekcję, a drogi stary Thomo drugą, dyrektor zaś wygłosił mowę.

Henderson opowiedział o nieśmiałym, skromnym chłopcu, lubianym i podziwianym przez wszystkich. Przypomniał obecnym o jego niezwykłym występie w roli Romea i powiedział, że właśnie tego ranka się dowiedział, że Luke'owi zaoferowano miejsce w Princeton.

Z kaplicy trumnę wynieśli chłopcy i dziewczęta z dziewiątej klasy, którzy razem z nim brali udział w szkolnym przedstawieniu.

Tego dnia Nat tak dużo się dowiedział o Luke'u, że czuł się winny, iż się nie domyślał, jak wielki wpływ jego syn miał na rówieśników.

Po nabożeństwie Nat i Su Ling poszli do domu dyrektora szkoły, który zaprosił na herbatę najbliższych przyjaciół Luke'a. Salon pękał w szwach, lecz Henderson wyjaśnił Su Ling, że wszyscy uważali się za bliskich przyjaciół Luke'a.

- Co za dar - zauważył Henderson z prostotą.

Chłopiec reprezentujący szkołę wręczył Su Ling album ze zdjęciami i krótkimi tekstami, napisanymi przez uczniów z klasy Luke'a.

Później, ilekroć Nata ogarniał smutek, otwierał album, odczytywał wpis i patrzył na fotografię, ale najczęściej wracał do następujących zdań: Luke był jedynym chłopcem, który w rozmowie ze mną nigdy nie wspomniał słowem o moim turbanie ani o kolorze mojej skóry. Po prostu tego nie widział. Marzyłem, żeby był moim przyjacielem do końca życia. Makh Singh(16).

Wychodząc z domu dyrektora, Nat zauważył Kathy, która siedziała samotnie w ogrodzie ze spuszczoną głową. Su Ling do niej podeszła i usiadła obok. Objęła Kathy ramieniem i starała się ją pocieszyć.

- On cię bardzo kochał - odezwała się Su Ling.

Kathy podniosła głowę, łzy płynęły jej po policzkach.

- Nigdy mu nie powiedziałam, że go Kocham.

- Nie mogę tego zrobić - rzekł Fletcher.

- Dlaczego nie? - spytała Annie.

- Mam sto powodów.

- Czy sto wymówek?

- Bronić człowieka, którego usiłuję pokonać? - powiedział Fletcher, ignorując jej uwagę.

- Bez żadnych względów, bez uprzedzeń - zacytowała Annie.

- A co z wyborami?

- To będzie łatwe. - Zamilkła na chwilę. - Tak czy inaczej.

- Tak czy inaczej? - powtórzył Fletcher.

- Zgadza się. Bo jeżeli jest winny, to nawet nie zostanie kandydatem republikanów.

- A jak niewinny?

- Wtedy zostaniesz słusznie obsypany pochwałami za to, że go uwolnisz.

- Ani to praktyczne, ani rozsądne.

- Dwie następne wymówki.

- Dlaczego jesteś po jego stronie? - zapytał Fletcher.

- Nieprawda - zaprotestowała Annie. - Jestem, żeby zacytować profesora Abrahamsa, po stronie sprawiedliwości.

Fletcher chwilę milczał.

- Ciekawe, jak by on postąpił, gdyby musiał rozwiązać taki sam dylemat?

- Dobrze wiesz, jak by postąpił... „ale niektórzy zapomną o tych zasadach parę chwil po opuszczeniu tego uniwersytetu...”.

- „...mogę tylko mieć nadzieję, że przynajmniej jedna osoba w każdym pokoleniu” - rzekł Fletcher, kończąc często powtarzane powiedzenie profesora.

- Czemu się z nim nie spotkasz - podsunęła Annie - może wtedy się przekonasz...

Mimo wielkiej rezerwy Jimmy'ego i krzykliwych protestów ze strony lokalnych demokratów - w gruncie rzeczy każdego z wyjątkiem Annie - uzgodniono, że obydwaj panowie spotkają się w następną niedzielę.

Na miejsce spotkania wybrano Bank Fairchilda Russella, uznano bowiem, że w niedzielny ranek na Ulicy Głównej będą pustki.

Nat i Tom przybyli tam tuż przed dziesiątą i zdarzyło się pierwszy raz od lat, że przewodniczący rady nadzorczej banku otworzył kluczem drzwi frontowe i wyłączył alarm. Po kilku minutach Fletcher i Jimmy stanęli na najwyższym stopniu. Tom poprowadził ich szybko do sali posiedzeń.

Gdy Jimmy przedstawił najbliższego przyjaciela swemu najważniejszemu klientowi, obydwaj mężczyźni zmierzli się wzrokiem, niepewni, kto ma wykonać pierwszy ruch.

- To miło, że pan...

- Nie spodziewałem się...

Obydwaj wybuchnęli śmiechem i uścisnęli sobie serdecznie ręce.

Tom zaproponował, żeby Fletcher i Jimmy usiedli po jednej stronie

stołu konferencyjnego, a on i Nat naprzeciwko. Fletcher przytaknął, a usiadłszy, otworzył teczkę, wyjął z niej żółty blok i umieścił go przed sobą na stole wraz z wiecznym piórem, które wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki.

- Czy mogę na początek powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczny, że zgodził się pan ze mną zobaczyć - rzekł Nat. - Mogę sobie wyobrazić, z jakim musiał się pan spotkać sprzeciwem, i zdaję sobie sprawę, że to nie jest dla pana wygodne rozwiązanie. - Jimmy opuścił głowę.

Fletcher uniósł dłoń.

- To mojej żonie musi pan podziękować. - Zawiesił głos. - Ale mnie musi pan przekonać.

- Wobec tego proszę przekazać serdeczne podziękowania pani Davenport, a pana pragnę zapewnić, że odpowiem na każde pańskie pytanie.

- Mam tylko jedno pytanie - rzekł Fletcher, patrząc na pustą kartkę. - Takie, jakiego adwokat nigdy nie zadaje, ponieważ utrudniłoby mu ze względów etycznych obronę. Ale w tym wypadku nie podejmę się dyskusji o tej sprawie, dopóki nie poznam odpowiedzi na to pytanie.

Nat skinął głową, ale się nie odezwał. Fletcher uniósł głowę i popatrzył na swojego potencjalnego rywala. Nat wytrzymał jego spojrzenie.

- Czy zamordował pan Ralpa Elliota?

- Nie, nie zamordowałem - odparł Nat bez wahania.

Fletcher opuścił wzrok na leżący przed nim blok, po czym przerzucił wierzchnią, czystą kartkę, odsłaniając drugą, gęsto zapisaną skrupulatnie przygotowanymi pytaniami.

- Wobec tego teraz pana zapytam... - rzekł Fletcher, podnosząc oczy na swojego klienta.

Początek procesu wyznaczono na drugi tydzień lipca. Kiedy już Nat wielokrotnie opowiedział swojemu adwokatowi przebieg wydarzeń, nie pominawszy żadnego szczegółu, nie musiał z nim spędzać dużo czasu. Chociaż obaj przywiązywali dużą wagę do zeznań Nata, Fletcher także kilkakrotnie przeczytał dwa oświadczenia, które Rebeka Elliot złożyła na policji, raport Don Gulvera o tym, po się zdarzyło tej nocy, i notatki policjanta z wydziału kryminalnego, Petrovskiego, który prowadził sprawę.

- Rebeka zostanie przygotowana przez prokuratora stanowego - ostrzegł Fletcher Nata - i będzie miała dość czasu, żeby się zastanowić nad każdym możliwym pytaniem. Kiedy stanie na miejscu dla świadków, będzie mieć tak przećwiczone odpowiedzi, jak aktorka przed premierą. Ale - Fletcher zawiesił głos - i tak nie uniknie pewnego problemu.

- Jakiego? - spytał Nat.

- Jeżeli pani Elliot zamordowała męża, musiała okłamać policję, a zatem na pewno są nieścisłości, z jakich oni nie zdają sobie sprawy. Najpierw musimy je wytropić, a potem wyciągnąć z nich wnioski.

Zainteresowanie rywalizacją o urząd gubernatora sięgało daleko poza granice Connecticut. Artykuły na temat obydwu kandydatów ukazywały się w tak różnych pismach, jak „The New Yorker” czy „The National Enquirer” i w dniu rozpoczęcia procesu w promieniu dwudziestu mil od Hartford nie było w hotelach wolnych pokoi.

Na trzy miesiące przed wyborami badania opinii publicznej wykazywały dwunastopunktową przewagę Fletchera, lecz on wiedział, że jeśli zdoła dowieść niewinności Nata, to wynik może się zmienić z dnia na dzień.

Proces miał się rozpocząć 11 lipca, ale główne stacje telewizyjne

zdążyły już zainstalować kamery na dachach budynków naprzeciw gmachu sądu, a na chodnikach też roiło się od reporterów. Polecono im pytać wszystkich, którzy mieli choćby daleki związek z procesem, chociaż jeszcze wiele dni miało upłynąć do chwili, kiedy Nat usłyszy słowa „Proszę wstać, sąd idzie”.

Fletcher i Nat starali się prowadzić swoje kampanie wyborcze jak gdyby nigdy nic, chociaż żaden nie udawał, że tak jest istotnie.

Szybko się przekonali, że do każdej sali przyciągali tylu ludzi, że pękała w szwach, że wiece z ich udziałem gromadziły tłumy, a na organizowane przez nich pikniki brakowało biletów i to niezależnie od tego, w jak odległym okręgu się odbywały. Kiedy obaj wzięli udział w zbiórce pieniędzy na dobudowanie skrzydła ortopedycznego do szpitala-pomnika senatora Gatesa w Hartford, bilety sprzedawano po pięćset dolarów. Te wybory były wyjątkowe pod względem napływu funduszy na cele kampanii. Przez kilka tygodni obaj kandydaci byli większą atrakcją od Franka Sinatry.

Żaden z nich nie spał w noc poprzedzającą rozpoczęcie procesu, a komendant policji nawet się nie kładł do łóżka. Don Culver wyznaczył stu policjantów do pełnienia służby przed gmachem sądu, choć zdawał sobie sprawę, że pozbawione opieki stróżów porządku ulice Hartford stanowią będą raj dla złodziejasków.

Fletcher pierwszy z zespołu obrony zjawił się na schodach budynku sądu i wyraźnie powiedział czekającym dziennikarzom, że nie będzie wygłaszał oświadczeń ani odpowiadał na pytania do czasu ogłoszenia werdyktu. Kilka minut później przybył Nat w towarzystwie Toma i Su Ling, i gdyby nie pomoc policjantów, nigdy by się nie dostali do budynku.

Znalazłszy się w sądzie, Nat powędrował wyłożonym marmurem korytarzem do sali numer siedem, zgodnie z radą swojego adwokata odpowiadając na uprzejme uwagi spotykanych ludzi tylko grzecznym skinieniem głowy. Czuł na sobie spojrzenia tysiąca oczu, kiedy wszedł do sali sądowej i podążył jej środkiem, żeby w końcu usiąść po lewej stronie Fletchera przy stole obrony.

- Dzień dobry, mecenasie - rzekł Nat.

- Dzień dobry, Nat - odpowiedział Fletcher, podnosząc głowę znad papierów. - Mam nadzieję, że przygotowałeś się na tydzień nudy, kiedy będziemy wybierać ławę przysięgłych.

- Czy już ustaliłeś, jaki ma być ideał sędziego przysięgłego? - spytał Nat.

- To nie takie łatwe - odparł Fletcher - ponieważ nie mogę się zdecydować, czy wybrać ludzi, którzy popierają ciebie czy mnie.

- Czy znajdzie się w Hartford dwunastu ludzi, którzy cię popierają? - spytał Nat.

- Cieszę się - powiedział Fletcher z uśmiechem - że nie opuściło cię poczucie humoru, ale jak sędziowie przysięgli zostaną zaprzysiężeni, powinieneś być poważny i zatroskany. Jak człowiek, którego spotkała wielka niesprawiedliwość.

Fletcher nie pomylił się w swoich przewidywaniach - dopiero w piątek po południu, po sporach i sprzeciwach wysuwanych przez obie strony, dwunastu sędziów przysięgłych i dwóch zastępczych w końcu zasiadło na swoich miejscach. Ostatecznie zgodzono się na siedmiu mężczyzn i pięć kobiet i skład ławy przysięgłych przedstawiał się następująco: dwie czarne kobiety i jeden czarny mężczyzna, pięć osób reprezentujących wolne zawody, dwie pracujące matki, trzech pracowników

fizycznych i jedna osoba bezrobotna.

- Jakie mają przekonania polityczne? - spytał Nat.

- Przypuszczam, że cztery osoby są republikanami, cztery demokratami, a co do pozostałych czterech to nie jestem pewien.

- Więc jaki mamy teraz problem, mecenasie?

- Jak cię wybronić, a przy tym zapewnić sobie głosy tych czworga - odparł Fletcher, kiedy się rozstawali na najniższym stopniu schodów budynku sądu.

Kiedy Nat wieczorem wracał do domu, zapominał o procesie, gdyż mógł myśleć tylko o Luke'u. Chociaż próbował rozmawiać z Su Ling o innych sprawach, ją zaprzętało tylko jedno.

- Gdybym podzieliła się z Lukiem moim sekretem - powtarzała w kółko - może teraz by żył.

W następny poniedziałek zaprzysiężono przysięgłych i sędzieja Kravats poprosił prokuratora stanowego, żeby wygłosił mowę otwierającą.

Richard Ebden wolno wstał ze swojego miejsca. Był wysokim, eleganckim, siwym mężczyzną i miał opinię człowieka, który oczarowuje sędziów przysięgłych. Miał na sobie granatowy garnitur, który zawsze wkładał w pierwszym dniu procesu. Biała koszula i niebieski krawat napawały zaufaniem.

Richard Ebden chlubił się wyrokami skazującymi, jakie miał na swoim koncie, w czym się kryła pewna doza ironii, był to bowiem człowiek dobroduszny, uczęszczający do kościoła, oddany swojej rodzinie, a w dodatku śpiewał jako bas w miejscowym chórze. Ebden wstał, odsunął krzesło i wolno wyszedł na środek, po czym obrócił się twarzą do ławy przysięgłych.

- Sędziowie przysięgli - zaczął. - Przez wszystkie lata mojej kariery prawniczej nie zdarzyło mi się spotkać bardziej oczywistego przypadku zabójstwa.

Fletcher pochylił się do Nata i szepnął:

- Nie przejmuj się, on tak zawsze zaczyna - teraz będzie: „ale mimo to”.

- Ale mimo to muszę państwu przedstawić wypadki późnego wieczoru i wczesnego ranka z dwunastego na trzynastego lutego.

- Pan Cartwright - powiedział, odwróciwszy się powoli w stronę oskarżonego - wystąpił w programie telewizyjnym z Ralphem Elliotem - który był popularną, wielce szanowaną postacią naszej społeczności i, co zapewne ważniejsze, prawdopodobnie zwyciężskim kandydatem republikanów, co mu mogło zapewnić stanowisko gubernatora naszego stanu, który darzymy wszyscy taką miłością. Oto był człowiek u szczytu kariery, którego wdzięczny elektorat właśnie miał obdarzyć zaszczytami za lata bezinteresownej służby społeczeństwu, i jaka go spotkała nagroda - Został zamordowany przez swojego rywala.

- Jak doszło do tej niepotrzebnej tragedii? Panu Cartwrightowi zadano pytanie, czy jego żona była nielegalną imigrantką - tak się gra w polityce - dodam, że nie chciał na nie odpowiedzieć, a dlaczego? Bo wiedział, że to prawda, i milczał o tym przez ponad dwadzieścia lat. I nie udzieliwszy odpowiedzi na to pytanie, co robi potem? Otóż pan Cartwright zrzuca winę na Ralpha Elliota. Z chwilą gdy kończy się program, obrzuca go obelgami, wyzywa od drani, oskarża go, że podstawił pytającego i, co najbardziej obciążające, woła: „I tak cię wykończę”. - Ebden wbił wzrok w ławę przysięgłych i wolno powtórzył: - „I tak cię wykończę”.

- Sędziowie przysięgli, nie polegajcie na moich słowach w osądzeniu pana Cartwrighta, ponieważ przekonacie się, że to nie plotka, nie pogłoska ani nie wytwór mojej wyobraźni, gdyż cała rozmowa pomiędzy dwoma rywalami została utrwalona przez kamery telewizyjne dla potomności. Wysoki Sądzie, zdaję sobie sprawę, że nie jest to przyjęte, jednakże w tych okolicznościach chciałbym teraz tę scenę pokazać przysięgłym. - Ebden dał znak swojemu pomocnikowi, który wcisnął guzik.

Przez dwanaście minut Nat wpatrywał się w ekran ustawiony przed przysięgłymi i oglądał scenę, która mu boleśnie przypominała, w jaki wpadł gniew. Kiedy wyłączono kasety, Ebden kontynuował swoją mowę.

- Wszakże jest rzeczą oskarżenia przedstawić, co się naprawdę stało, kiedy ten rozjuszony i dyszący zemstą człowiek wypadł ze studia - Ebden ściszył głos. - Wrócił do domu i odkrył, że syn, jego jedyne dziecko, popełnił samobójstwo. Wszyscy doskonale rozumiemy, jak taka tragedia mogła oddziaływać na ojca. Sędziowie przysięgli, jak się okazało, ta tragiczna śmierć pociągnęła za sobą łańcuch wydarzeń, które miały się zakończyć dokonaniem z zimną krwią morderstwem Ralphi Elliota. Cartwright mówi żonie, że ze szpitala wróci prosto do domu, ale nie ma takiego zamiaru, bo już zaplanował, że nadłoży drogi i odwiedzi dom państwa Elliotów. I jakież był przypuszczalny cel tej nocnej wizyty o drugiej w nocy? Cel mógł być tylko jeden - usunięcie Ralphi Elliota i pozbycie się rywala do stanowiska gubernatora. Na nieszczęście dla jego rodziny i naszego stanu panu Cartwrightowi powiodła się jego misja.

- Nieproszony przyjeżdża do domu Elliota o drugiej w nocy. Drzwi otwiera mu pan Elliot, który pisał w swoim gabinecie mowę - deklarację przyjęcia kandydatury. Pan Cartwright wdziera się do środka i uderza pana Elliota tak mocno w nos, że ten zatacza się do tyłu, ale widzi, że napastnik idzie za nim. Ralph Elliot przytomnieje, biegnie do swego gabinetu i wyciąga pistolet, który trzyma w szufladzie biurka. Odwraca się w chwili, kiedy Cartwright na niego skacze, wytrącając mu z ręki pistolet i odbierając możliwość obrony. Potem Cartwright chwyta pistolet, staje nad swoją ofiarą i bez wahania strzela jej w serce. Następnie oddaje drugi strzał w sufit, żeby upozorować walkę. Rzuca pistolet, wybiega przez otwarte drzwi, wskakuje do samochodu i jedzie prędko do domu. Nie zdaje sobie sprawy, że zostawił świadka tej sceny - żonę ofiary, panią Rebeke Elliota. Kiedy usłyszała pierwszy strzał, wybiegła z sypialni i stanęła u szczytu schodów, a chwilę po tym, jak rozległ się drugi strzał, przerażona ujrzała Cartwrighta umykającego przez drzwi frontowe. I jak kamera telewizyjna sfilmowała wszystkie szczegóły wieczornego wydarzenia, tak pani Elliot opíše wam z taką samą dokładnością to, co się stało później w nocy.

Oskarżyciel odwrócił na chwilę wzrok od ławy przysięgłych i spojrzął na Fletchera.

- Sędziowie przysięgli. Za chwilę wstanie obrońca i ze swoim słynnym wdziękiem i talentem oratorskim będzie próbował doprowadzić was do łez, tłumacząc, co się naprawdę wydarzyło. Ale jednego nie może wytłumaczyć - martwego ciała niewinnego człowieka, który został zamordowany z zimną krwią przez politycznego rywala. Nie może też wytłumaczyć słów swego klienta: „I tak cię wykończę”. Nie może też pominąć świadka morderstwa - wdowy po panu Eliocie, pani Rebeke Elliot. - Oskarżyciel przeniósł wzrok na Natę. - Sędziowie przysięgli. Rozumiem, że czujecie dla tego człowieka pewne współczucie, ale wierzę, że kiedy usłyszycie wszystkie zeznania, nie będziecie mieć cienia wątpliwości co do

winy pana Cartwrighta i spełnicie swój obowiązek wobec stanu, ogłaszając werdykt - winny.

Kiedy Richard Ebden siadał na swoim miejscu, w sali sądu zapanowało pełne grozy milczenie. Kilka osób skinęło głowami, nawet jedna czy dwie na ławie przysięgłych. Sędzia Kravats coś zanotował w leżącym przed nim notatniku, a potem spojrzął w stronę stołu obrony.

- Czy obrońca chciałby odpowiedzieć? - zapytał, nie skrywając ironii.

Fletcher wstał i patrząc w twarz sędziemu, powiedział...

- Nie, dziękuję, Wysoki Sądzie. Nie zamierzam wygłaszać mowy wstępnej.

Fletcher i Nat siedzieli w milczeniu, patrząc przed siebie, a wokół nich rozpętała się nieopisana wrzawa. Sędzia kilkakrotnie uderzał młotkiem, usiłując zaprowadzić porządek. Fletcher spojrzął w stronę stołu prokuratora stanowego i zobaczył pochyloną głowę Richarda Ebdena, który odbywał naradę z zespołem oskarżenia. Sędzia tłumił uśmiech, rozumiejąc, jak sprytnie postąpił obrońca, psując szyki oskarżeniu.

- Skoro tak, to może zechce pan wezwać swojego pierwszego świadka? - zwrócił się do Ebdena:

Ebden wstał, teraz już mniej pewny siebie, gdyż pojmował, co Fletcher zamyśla.

- Wysoki Sądzie, w tak niezwykłych okolicznościach wnioskuję o odroczenie rozprawy.

- Zgłaszam sprzeciw, Wysoki Sądzie - zawołał Fletcher, zrywając się z miejsca. - Stan miał kilka miesięcy na przygotowanie oskarżenia, czy teraz nie może powołać nawet jednego świadka?

- Czy to prawda? - spytał sędzia, zwracając się do Ebdena. - Czy nie może pan powołać pierwszego świadka oskarżenia?

- Tak jest, Wysoki Sądzie. Naszym pierwszym świadkiem miał być pan Don Culver, komendant policji, ale nie chcieliśmy go odrywać od ważnych obowiązków, dopóki to nie będzie absolutnie konieczne.

Fletcher znów się podniósł.

- Ale to jest absolutnie konieczne, Wysoki Sądzie. On jest komendantem policji, a to jest sprawa o morderstwo. Wobec tego proszę o oddalenie sprawy ze względu na to, że nie ma dowodów policyjnych do przedstawienia sądowi.

- Piękna myśl, panie Davenport - rzekł sędzia - ale jej nie podchwycę. Panie Ebden, przychyliam się do pańskiej prośby o przerwę.

Wznowię rozprawę zaraz po przerwie na lunchi jeżeli szef policji nie będzie się mógł stawić w sądzie do tego czasu, uznam, że dowody z zeznania policji są niedopuszczalne. - Ebden skinął głową; niezdolny ukryć zakłopotania.

- Proszę wstać - powiedział urzędnik sądowy, kiedy sędzia Kravats spojrzął na zegar, po czym wyszedł z sali.

- Myślę, że pierwsza rundą dla nas - zauważył Tom, kiedy zespół oskarżycielski opuścił pospiesznie salę.

- Możliwe - rzekł Fletcher - ale żeby wygrać ostateczną batalię, potrzeba nam czegoś więcej niż wątpliwych zwycięstw.

Nat nie cierpiał wyczekiwania przed salą sądową i zajął z powrotem swoje miejsce na długo przed końcem przerwy na lunch. Spojrzął w stronę stołu oskarżenia i zobaczył, że Richard Ebden też jest na miejscu; wiedział, że drugi raz nie popełni takiego samego błędu. Ale czy już się domyślił,

dlaczego Fletcher odważył się na takie posunięcie? Podczas przerwy Fletcher wyjaśnił Natowi, że jego zdaniem jedyną nadzieją wygrania sprawy jest podważenie zeznań Rebeki Elliot i dlatego nie może pozwolić, żeby choć na chwilę się odprężyła. Po ostrzeżeniu sędziego Ebden musi teraz trzymać ją w pogotowiu na korytarzu, może całymi dniami, zanim w końcu zostanie wezwana.

Fletcher usiadł obok Nata tuż przed wznowieniem postępowania.

- Komendant policji biega wściekły tam i z powrotem po korytarzu, a Rebeka Elliot siedzi sama w kącie i obgryza paznokcie - powiedział. - Zamierzam przez wiele dni trzymać tę damę jak na rozżarzonych węglach.

- Proszę wstać, sąd idzie - wezwał urzędnik sądowy.

- Miłego popołudnia - powiedział sędzia i zwracając się do głównego oskarżyciela, dodał: - Czy ma pan dla nas świadka?

- Tak, Wysoki Sądzie. Stan powołuje na świadka komendanta policji Dona Culvera.

Nat przyglądał się, jak Don Culver zajmuje miejsce dla świadków i powtarza słowa przysięgi. Coś było nie tak, ale nie mógł rozstrzygnąć co. Potem zauważył, że Culver nerwowo porusza palcami prawej ręki, i pojął, że pierwszy raz widzi go bez nieodłącznego cygara.

- Czy mógłby pan powiedzieć sędziom przysięgłym, jakie pan zajmuje stanowisko służbowe?

- Jestem komendantem policji miasta Hartford.

- Od jak dawna?

- Od ponad czternastu lat.

- A jak długo pracuje pan w organach ochrony porządku publicznego?

- Trzydzieści sześć lat.

- Czy można zatem spokojnie założyć, że ma pan duże doświadczenie, jeżeli chodzi o zabójstwa?

- Sądzę, że tak.

- Czy zetknął się pan kiedyś z podsądnym?

- Tak, przy kilku okazjach.

- On mi podkrada niektóre moje pytania - szepnął Fletcher Natowi - ale jeszcze nie wiem dlaczego.

- I czy wyrobił pan sobie jakąś opinię o tym człowieku?

- Tak. To porządny, przestrzegający prawa człowiek, który dopóki nie zamordował...

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - powiedział Fletcher, wstając. - To sędziowie przysięgli zadecydują, kto zamordował pana Elliota, a nie komendant policji. Jak dotąd nie żyjemy w państwie policyjnym.

- Podtrzymuję sprzeciw - rzekł sędzia.

- Hm, mogę tylko powiedzieć - rzekł komendant policji - że dopóki to wszystko się nie wydarzyło, głosowałbym na niego. - W sali sądowej rozległ się śmiech.

- A jak ja skończę z Culverem - szepnął Fletcher - to na pewno na mnie nie będzie głosował.

- Zatem musiał pan mieć wątpliwości, czy taki wzorowy obywatel byłby zdolny do popełnienia morderstwa.

- Wcale nie, proszę pana - rzekł komendant policji. - Mordercy nie są zwyczajnymi przestępcami.

- Czy mógłby pan wytłumaczyć, co chce pan przez to powiedzieć?

- No pewnie - odparł Culver. - Przeciętne morderstwo rozgrywa się

w zacisku domowym, w rodzinie i często dopuszcza się go ktoś, kto przedtem nie popełnił żadnego przestępstwa i prawdopodobnie nigdy więcej nie popełni. Jak taki znajdzie się w areszcie, to łatwiej sobie z nim można poradzić niż z drobnym włamywaczem.

- Czy pan uważa, że Nat Cartwright należy do tej kategorii?

- Sprzeciw - rzucił Fletcher, nie wstając - skąd komendant policji może znać odpowiedź na to pytanie?

- Bo miałem do czynienia z mordercami przez ostatnich trzydzieści lat - rzekł Don Culver.

- Proszę to zdanie usunąć z protokołu - polecił sędzia. -

Doświadczenie to piękna rzecz, ale przysięgli muszą brać pod uwagę tylko fakty związane z tym konkretnym przypadkiem.

- Więc przejdźmy do pytania, które dotyczy takiego faktu - powiedział prokurator stanowy. - Jak to się stało, że wezwano pana do tego przypadku?

- Nad ranem dwunastego maja zatelefonowała do mnie do domu pani Elliot.

- Telefonowała do pana do domu? Czy jest pańską znajomą?

- Nie, ale wszyscy kandydaci na urzędy publiczne mogą się kontaktować ze mną bezpośrednio. Często są obiektami gróźb, prawdziwych albo urojonych, a nie jest tajemnicą, że panu Elliotowi parokrotnie grozono śmiercią, odkąd zgłosił chęć kandydowania na gubernatora.

- Kiedy zadzwoniła pani Elliot, czy pan zanotował, co dokładnie powiedziała?

- No pewnie - Odparł komendant policji. - Była rozhisteryzowana i krzyczała; Pamiętam, że odsunąłem telefon od ucha, a jej głos obudził nawet moją żonę. - W sali tu i ówdzie rozległy się chichoty i Culver czekał, aż umilkną. - Zapisałem dokładnie słowa pani Elliot w bloku, który trzymam przy telefonie. - Otworzył notes.

Fletcher zerwał się z miejsca.

- Czy ten dowód jest dopuszczalny? - zapytał.

- Wysoki Sądzie, on był na uzgodnionej liście dokumentów oskarżenia - interweniował Ebden - jak z pewnością pan Davenport wie. Miał kilka tygodni, żeby zastanowić się nad związkiem tego dokumentu ze sprawą, nie mówiąc o jego wadze.

Sędzia skinął na komendanta policji.

- Proszę kontynuować - polecił. Fletcher usiadł z powrotem.

- „Mój mąż został zastrzelony w swoim, gabinecie, proszę jak najszybciej przyjechać” - odczytał komendant policji z notesu.

- Co pan powiedział?

- Żeby niczego nie dotykała i że zaraz u niej będę.

- Która wtedy była godzina?

- Dwadzieścia sześć po drugiej - odparł komendant policji, sprawdzwszy w notesie.

- A kiedy przybył pan do domu Elliotów?

- Dopiero dziewiętnaście po trzeciej. Najpierw musiałem zadzwonić na komendę i polecić, żeby do rezydencji Elliotów wysłano najstarszego rangą oficera z wydziału kryminalnego. Potem się ubrałem, no i kiedy w końcu tam dotarłem, było tam już dwóch moich ludzi - no ale oni nie musieli się ubierać. - Znowu w sali sądowej rozległ się śmiech.

- Proszę opisać przysięgłym, co pan zobaczył, kiedy pan tam przyjechał...

- Drzwi frontowe były otwarte, a pani Elliot siedziała w korytarzu na podłodze z kolanami podciągniętymi pod brodę. Powiedziałem jej, że już jestem, a potem poszedłem do kapitana Petrovskiego, który był w gabinecie Elliota. Petrovski - dodał Culver - jest jednym z moich najlepszych oficerów kryminalnych i ma duże doświadczenie w sprawach zabójstw, a ponieważ rozpoczął już badanie miejsca zbrodni, zostawiłem go przy robocie i wróciłem do pani Elliot.

- Czy przesłuchał ją pan wtedy?

- Tak - odparł Culver.

- Czy Petrovski już tego nie zrobił?

- Tak, ale często warto mieć dwa zeznania, tak żeby można je było później porównać i zobaczyć, czy się różnią w zasadniczych punktach.

- Wysoki Sądzie, to twierdzenie świadka oparte jest na pogłoskach - przerwał Culverowi Fletcher.

- I różniły się? - pospieszenie spytał Ebden.

- Nie.

- Sprzeciw - podkreślił Fletcher.

- Oddałam sprzeciw, panie mecenasie. Jak już zwrócono uwagę, miał pan przez kilka tygodni dostęp do tych dokumentów.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie - rzekł Ebden, po czym zwrócił się do Culvera. - Chciałbym, żeby pan powiedział sądowi, co pan zrobił potem.

- Zaproponowałem, żebyśmy usiedli we frontowym pokoju, gdzie pani Elliot będzie wygodniej. Potem poprosiłem, żeby mi opowiedziała, co się wydarzyło tego wieczoru. Nie ponaglałem jej, bo świadkowie często czują urazę, jeżeli zadaje im się te same pytania drugi albo trzeci raz. Pani Elliot najpierw napiła się kawy, a później mi powiedziała, że spała, kiedy usłyszała pierwszy strzał. Zapaliła światło, włożyła szlafrok i kiedy stanęła u szczytu schodów, usłyszała drugi strzał. Następnie zobaczyła, jak pan Cartwright wypada z gabinetu i biegnie do otwartych drzwi. Obejrzał się do tyłu, ale nie mógł jej widzieć w ciemnościach u góry schodów, choć ona poznała go od razu. Zbiegła zaraz na dół i popędziła do gabinetu, gdzie zobaczyła męża leżącego w kałuży krwi. Natychmiast zatelefonowała do mnie do domu.

- Czy przesłuchiwał ją pan dalej?

- Nie, zostawiłem z panią Elliot policjantkę i sprawdziłem jej pierwsze zeznanie. Po naradzie z Petrovskim wraz z dwoma policjantami pojechałem do domu Cartwrighta, aresztowałem go i oskarżyłem o zamordowanie Ralphi Elliota.

- Czy spał?

- Nie, był jeszcze w ubraniu, które miał na sobie wieczorem podczas występu w studiu telewizyjnym.

- Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

- Panie Davenport, świadek do pańskiej dyspozycji.

Fletcher z uśmiechem na twarzy podszedł do miejsca dla świadków.

- Dzień dobry. Nie będę pana długo zatrzymywał, bo dobrze wiem, jaki pan jest zajęty, jednakże mam trzy, może cztery pytania, które wymagają odpowiedzi. - Komendant policji nie uśmiechnął się do Fletchera. - Najpierw chciałbym się dowiedzieć, ile czasu upłynęło od chwili, kiedy otrzymał pan telefon od pani Elliot, do momentu aresztowania pana Cartwrighta.

Szef policji, zastanawiając się nad odpowiedzią, znów zaczął poruszać palcami.

- Dwie godziny, najwyżej dwie i pół - odrzekł w końcu.
- A kiedy przyjechał pan do domu Cartwrighta, jak on był ubrany?
- Już mówiłem - miał na sobie to samo ubranie co podczas programu telewizyjnego tego wieczoru.
- To nie otworzył drzwi w piżamie i szlafroku, jakby właśnie wyszedł z łóżka?
- Nie - odparł komendant policji zdziwionym głosem.
- Czy nie uważa pan, że człowiek, który przed chwilą popełnił morderstwo, raczej by się rozebrał i położył do łóżka o drugiej w nocy, tak żeby w razie nagłej wizyty policji przynajmniej wywołać wrażenie, że spał?
- On pocieszał swoją żonę - odparł komendant policji, marszcząc brwi.
- Ach, tak - rzekł Fletcher. - Morderca pocieszał żonę, pozwoli więc pan, że zapytam: kiedy aresztował pan Cartwrighta, czy złożył jakieś zeznanie?
- Nie - odparł Culver. - Powiedział, że chce najpierw mówić ze swoim adwokatem.
- Ale czy w ogóle powiedział cokolwiek, co pan zapisał w swoim wiernym notesie?
- Tak - rzekł komendant policji i przerzucił w notesie kilka kartek, po czym dokładnie przeczytał zapiski. - Tak - powtórzył z uśmiechem. - Cartwright powiedział: „Ale przecież on żył, kiedy go opuszczałem”.
- „Ale przecież on żył, kiedy go opuszczałem” - powtórzył Fletcher.
- Tak nie mówi człowiek, który usiłuje ukryć, że tam był. Nie rozbiera się, nie kładzie się do łóżka i przyznaje otwarcie, że był tej nocy w domu Elliota.
- Culver milczał. - Kiedy zabrał go pan na posterunek, czy pobrał mu pan odciski palców?
- Tak, oczywiście.
- Czy przeprowadził pan jakieś inne analizy? - spytał Fletcher.
- Co pan ma na myśli? - spytał Culver.
- Niech pan nie stroi sobie ze mnie żartów - powiedział Fletcher z lekką irytacją. - Czy przeprowadził pan jakieś analizy?
- Tak - rzekł komendant policji. - Sprawdziliśmy, czy ma na dłoniach ślady prochu.
- Czy była jakaś oznaka, że pan Cartwright strzelał z pistoletu? - zapytał Fletcher bardziej ugodowym tonem.
Culver chwilę się wahał.
- Nie znaleźliśmy śladów prochu na jego rękach ani pod paznokciami - powiedział wreszcie...
- Nie było śladów prochu na jego rękach ani pod paznokciami - powtórzył Fletcher, odwróciwszy się do ławy przysięgłych.
- Tak, ale miał dwie godziny na to, żeby umyć ręce i wyszorować paznokcie.
- Niewątpliwie tak, proszę pana. Miał też dwie godziny, żeby się rozebrać, położyć do łóżka, pogasić w domu wszystkie światła i wymyślić coś o wiele bardziej przekonującego, niż „ale przecież on żył, kiedy go opuszczałem”. - Fletcher nie spuszczał z oka sędziów przysięgłych. Culver znów milczał.
- Moje ostatnie pytanie, panie Culver, dotyczy czegoś, co mnie dręczy od chwili, kiedy zająłem się tą sprawą, zwłaszcza gdy pomyślę o pańskiej trzydziestosześcioletniej służbie, z czego czternaście lat na stanowisku komendanta policji. - Zwrócił się ku Culverowi.

- Czy przyszło panu do głowy, że ktoś inny mógł popełnić tę zbrodnię?

- Nic nie świadczy o tym, żeby ktoś inny poza panem Cartwrightem wszedł do tego domu.

- Ale w domu już był ktoś inny.

- Nie ma też absolutnie, żadnych dowodów, które by wskazywały, że pani Elliot miała z tą zbrodnią coś wspólnego.

- Absolutnie żadnych dowodów? - powtórzył Fletcher. - Mam nadzieję, że mimo tylu zajęć znajdzie pan chwilę, by tutaj wpaść, gdy będę przesłuchiwał panią Elliot, kiedy to sędziowie przysięgli zdecydują, czy rzeczywiście nie było absolutnie żadnych dowodów wskazujących, że nie miała z tą zbrodnią nie wspólnego. - W sali sądowej zapanowała wrzawa, gdyż wszyscy zaczęli mówić naraz.

Prokurator stanowy zerwał się na równe nogi.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - Powiedział ostro. - To nie pani Elliot jest oskarżona. - Jednak zagłuszył go huk młotka, którym sędzia uderzał w stół. Fletcher wolnym krokiem wrócił na miejsce.

- Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie - powiedział Fletcher, kiedy sędzia zaprowadził w końcu jaki taki porządek.

- Czy masz jakieś dowody? - spytał szeptem Nat, kiedy jego obrońca usiadł.

- Niezbyt wiele - przyznał Fletcher. - Jednak jestem pewien, że jeżeli pani Elliot zabiła swojego męża, nie będzie mogła teraz spokojnie spać do chwili, kiedy stanie w miejscu dla świadków. A jeżeli chodzi o Ebdena, to przez kilka następnych dni będzie zachodził w głowę, co takiego znaleźliśmy, o czym on nie wie. - Fletcher uśmiechnął się do komendanta policji, kiedy ten wracał z miejsca dla świadków, ale Culver rzucił mu zimne, nieobecne spojrzenie.

Sędzia popatrzył z ławy sędziowskiej na dwóch przedstawicieli stron.

- Myślę, panowie, że na dziś wystarczy - powiedział. - Zbierzemy się znowu jutro o dziesiątej rano i wtedy pan Ebden będzie mógł wezwać swojego następnego świadka.

- Proszę wstać.

Kiedy sędzia nazajutrz wkroczył na salę, tylko inny krawat świadczył o tym, że wychodził z budynku. Ciekawe, pomyślał Nat, ile minie czasu, zanim te same krawaty pojawią się drugi albo może i trzeci raz.

- Dzień dobry - powiedział sędzia Kravats, zajmując swoje miejsce i uśmiechając się promiennie do zgromadzonej publiki niczym dobrotliwy kaznodzieja, który ma wygłosić kazanie do wiernych.

- Oskarżyciel - rzekł, zwracając się do Ebdena - może powołać swojego następnego świadka.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Powołuję kapitana Petrovskiego.

Fletcher przyglądał się z uwagą Petrovskiemu, kiedy ten szedł na miejsce dla świadków. Podniósł prawą rękę i wyrecytował przysięgę. Petrovski ledwo spełniał kryterium najniższego wzrostu, jakiego policja wymagała od kandydatów. Jego opięty garnitur zdradzał raczej sylwetkę zapaśnika niż kogoś z nadwagą. Kapitan miał kwadratową szczękę, małe oczy i lekko opuszczone kąciki ust, jakby rzadko się uśmiechał. Jeden z pomocników Fletchera dowiedział się, że Petrovski jest typowany na następnego komendanta policji po przejściu Dona Culvera na emeryturę. Miał opinię człowieka ściśle trzymającego się przepisów, lecz

niecierpiącego roboty papierkowej, który woli odwiedzać miejsce przestępstwa, niż tkwić za biurkiem w komendzie.

- Dzień dobry, kapitanie - rzekł prokurator stanowy, kiedy świadek usiadł. Petrovski kiwnął głową, ale się nie uśmiechnął. - Proszę podać do protokołu swoje nazwisko i stopień.

- Kapitan Frank Petrovski, szef wydziału kryminalnego, Departament Policji miasta Hartford.

- Jak długo jest pan oficerem wydziału kryminalnego?

- Czternaście lat.

- Kiedy został pan mianowany szefem wydziału?

- Trzy lata temu.

- Skoro mamy pańskie dane, wróćmy do tamtej nocy. Według raportu zjawił się pan pierwszy na miejscu przestępstwa.

- Zgadza się - powiedział Petrovski. - Tamtej nocy byłem starszym oficerem na służbie, którą przejąłem o ósmej wieczorem od komendanta.

- Gdzie pan był o wpół do trzeciej nad ranem, kiedy Don Culver zatelefonował?

- W wozie patrolowym w drodze do magazynu na ulicy Marsham, gdzie było włamanie, kiedy zadzwonił sierżant dyżurny i powiedział, że szef chce, abym natychmiast pojechał do domu Ralpa Elliota w Zachodnim Hartford i zaczął śledztwo w sprawie prawdopodobnego zabójstwa. Ponieważ byłem blisko, podjąłem się tego zadania i wysłałem inny wóz patrolowy na Marsham.

- I udał się pan prosto do domu państwa Elliotów?

- Tak, ale w trakcie jazdy połączyłem się przez radio z komendą i dałem znać, że będzie mi potrzebny ekspert od medycyny sądowej i najlepszy fotograf, jakiego uda im się wyciągnąć z łóżka o tej porze.

- Co pan zastał w domu Elliotów?

- Zdziwiłem się, bo drzwi były otwarte, a pani Elliot siedziała na podłodze w korytarzu. Powiedziała mi, że znalazła ciało męża w jego gabinecie, i wskazała drugi koniec korytarza. Dodała, że komendant kazał jej niczego nie dotykać, dlatego zostawiła drzwi otwarte. Poszedłem prosto do gabinetu i kiedy stwierdziłem, że pan Elliot nie żyje, wróciłem na korytarz i spisałem zeznanie jego żony, odpisy są w posiadaniu sądu.

- Co pan zrobił potem?

- W swoim zeznaniu pani Elliot oświadczyła, że spała, kiedy usłyszała dwa strzały na dole, toteż razem z trzema innymi policjantami wróciłem do gabinetu, żeby odszukać pociski.

- I znalazł je pan?

- Tak. Pierwszy było łatwo umiejscowić, bo przebił serce Elliota i utkwiał w drewnianej boazerii za jego biurkiem. Drugiego szukaliśmy trochę dłużej, ale w końcu zauważyliśmy go w suficie nad biurkiem.

- Czy obydwa pociski mogła wystrzelić ta sama osoba?

- Możliwe - odparł Petrovski. - Jeżeli morderca chciał wywołać wrażenie, że odbyła się walka albo że ofiara wycelowała w siebie.

- Czy tak często bywa, gdy mamy do czynienia z zabójstwami?

- Czasem się zdarza, że przestępca zostawia sprzeczne dowody.

- Ale czy może pan dowieść, że obydwa pociski zostały wystrzelone z jednego pistoletu?

- Tak - odparł Petrovski. - Na rękojeści był odcisk dłoni, a na spuście odcisk palca wskazującego.

- Czy zidentyfikował pan te odciski?

- Tak. - Petrovski umilkł. - Odpowiadały odciskowi dłoni i palca pana Cartwrighta.

Za plecami Fletchera na ławkach dla publiczności wybuchł gwar. Fletcher pilnie obserwował reakcję sędziów przysięgłych na te słowa. Po chwili coś zanotował w swoim bloczku. Sędzia kilka razy uderzył młotkiem, zanim Ebden mógł kontynuować przesłuchanie świadka.

- Czy z kierunku uderzenia pocisku i ze śladów prochu na piersi Elliota mógł pan wywnioskować, w jakiej odległości stał morderca od ofiary?

- Tak - odparł Petrovski. - Eksperci od medycyny sądowej ocenili, że napastnik stał w odległości czterech do pięciu stóp przed ofiarą, a z kąta, pod jakim pocisk wszedł w ciało, wyciągnęli wniosek, że obydwaj mężczyźni wtedy stali.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - powiedział Fletcher, wstając. - Musimy dopiero udowodnić, że to mężczyzna oddał obydwie strzały.

- Podtrzymuję sprzeciw.

- A kiedy zgromadził pan wszystkie dowody - ciągnął oskarżyciel, jakby nikt mu nie przerywał - czy to pan podjął decyzję o aresztowaniu pana Cartwrighta?

- Nie, wtedy na miejsce przybył komendant i chociaż to była moja sprawa, poprosiłem, żeby też przesłuchał panią Elliot, by się upewnić, czy jej zeznania nie będą się różniły.

- I różniły się?

- Nie, we wszystkich zasadniczych punktach były zgodne.

Fletcher podkreślił słowo „zasadniczych”, jako że zarówno Culver, jak i Petrovski go użyli. Ciekawe, pomyślał, czy to dobrze przećwiczone, czy może przypadek.

- Wtedy postanowił pan aresztować oskarżonego?

- Tak, taka była moja rada, ale ostatecznie decyzję podjął mój szef.

- Czy nie podejmowaliście olbrzymiego ryzyka, aresztując kandydata na gubernatora w trakcie kampanii wyborczej?

- Tak, ryzykowaliśmy. Przedyskutowałem tę sprawę z komendantem. Często się przekonujemy, że pierwsze dwadzieścia cztery godziny są najważniejsze w każdym śledztwie, a mieliśmy zwłoki, dwa pociski i świadka zbrodni. Uważałem, że byłoby uchybieniem obowiązków, gdybym nie aresztował napastnika tylko dlatego, że ma wpływowych przyjaciół.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, ta uwaga była niedopuszczalna.

- Podtrzymuję sprzeciw - rzekł sędzia. - I proszę usunąć to zdanie z protokołu. - Odwrócił się do Petrovskiego i dodał: - Niech pan się trzyma faktów. Nie interesują mnie pańskie opinie.

Petrovski skinął głową.

- To ostatnie zdanie - Fletcher zwrócił się do Nata - zabrzmiało tak, jakby zostało napisane w biurze prokuratora. - Umilkł, spojrzał na swój żółty bloczek i odnotował, że „uchybienie”, „zasadnicze punkty” i „napastnik” były wyrecytowane, jakby zostały wyuczone na pamięć. - Petrovski nie będzie miał okazji wypowiedzenia przygotowanych odpowiedzi, kiedy ja go będę przesłuchiwał.

- Dziękuję, kapitanie - rzekł Ebden. - Wysoki Sądzie, nie mam do świadka więcej pytań.

- Czy obrona życzy sobie przesłuchać świadka? - spytał sędzia, oczekując następnego manewru taktycznego.

- Niewątpliwie, Wysoki Sądzie. - Fletcher pozostał w pozycji siedzącej. Odwrócił kartkę w swoim żółtym bloczku i zapytał:

- Kapitanie Petrovski, powiedział pan, że na broni znajdowały się odciski palców mojego klienta.

- Nie tylko odciski palców, ale również odcisk dłoni na kolbie, co potwierdził raport specjalisty od medycyny sądowej.

- A czy nie powiedział pan też sądowi, że z pana doświadczenia wynika, iż przestępcy często usiłują zostawiać sprzeczne dowody, żeby zwieść policję?

Petrovski skinął głową, ale nie odpowiedział.

- Tak czy nie, kapitanie?

- Tak - rzekł Petrovski.

- Czy nazwałby pan Cartwrighta głupcem?

Petrovski zawahał się, próbując się domyślić, do czego prowadzi Fletcher.

- Nie - odpowiedział. - Uważam, że jest bardzo inteligentnym człowiekiem.

- Czy określiłby pan pozostawienie odcisków palców i dłoni na narzędziu zbrodni jako działanie bardzo inteligentnego człowieka?

- Nie, ale pan Cartwright nie jest zawodowym przestępcą i nie myśli jak ktoś taki. Amatorzy często wpadają w panikę i wtedy popełniają proste błędy.

- Na przykład rzucają na podłogę broń, którą przed chwilą trzymali w ręku, i wybiegają z domu, pozostawiając szeroko otwarte drzwi?

- Tak, to mnie dziwi, wzięwszy pod uwagę okoliczności.

- Kapitanie, przesłuchiwał pan przez kilka godzin pana Cartwrighta, czy zrobił na panu wrażenie człowieka, który wpada w panikę, a potem ucieka?

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - powiedział Ebden, wstając z miejsca. - Jak można oczekiwać, że kapitan Petrovski odpowie na to pytanie?

- Wysoki Sądzie, kapitan Petrovski aż się palił, żeby przedstawić swoją opinię o zwyczajach zarówno przestępców amatorów, jak i zawodowców, więc nie rozumiem, dlaczego nie mógłby odpowiedzieć na to pytanie.

- Uchylam sprzeciw. Proszę kontynuować.

Fletcher skłonił się sędziemu, wstał, zbliżył się do miejsca dla świadków i zatrzymał się przed Petrovskim.

- Czy na broni były jeszcze inne odciski? - zapytał.

- Tak - odparł Petrovski, niespeszony bliskością Fletchera. - Częściowo zachowane odciski palców pana Elliota, co jest zrozumiałe, skoro wyjął pistolet z biurka, żeby się obronić.

- Ale jego odciski były na pistolecie?

- Tak.

- Czy sprawdził pan, czy pod jego paznokciami były ślady prochu?

- Nie - odparł Petrovski.

- Dlaczego nie? - spytał Fletcher.

- Bo trzeba by mieć bardzo długie ręce, żeby strzelić do siebie z odległości czterech stóp. - Publiczność zareagowała śmiechem.

Fletcher czekał, aż śmiech umilknie.

- Ale przecież to on mógł wystrzelić pierwszy pocisk, który trafił w sufit.

- To mógł być drugi pocisk - odparował Petrovski.

Fletcher odwrócił się od świadka i podszedł do ławy przysięgłych.

- Jak była ubrana pani Elliot, kiedy ją pan przesłuchiwał?
- Miała na sobie szlafrok; jak tłumaczyła, spała, kiedy padł pierwszy strzał.
- A tak, pamiętam - powiedział Fletcher, wracając do stołu. Podniósł kartkę papieru i przeczytał: - „Kiedy pani Elliot usłyszała pierwszy strzał, wybiegła z sypialni i stanęła u szczytu schodów”. - Petrovski skinął głową.
- Proszę odpowiedzieć na pytanie, tak czy nie?
- Nie pamiętam pytania - odparł Petrovski zdenerwowanym tonem.
- Kiedy pani Elliot usłyszała pierwszy strzał, wybiegła z sypialni i stanęła u szczytu schodów.
- Tak, to nam powiedziała.
- I stała tam, obserwując pana Cartwrighta, jak wybiega frontowymi drzwiami? Czy to też się zgadza? - Zapytał Fletcher, obracając się i patrząc w twarz Petrovskiemu.
- Tak, zgadza się - rzekł Petrovski, usiłując zachować spokój.
- Panie kapitanie, powiedział pan sądowi, że wezwał pan między innymi fotografa policyjnego.
- Tak, to normalna praktyka w takich wypadkach, a wszystkie zdjęcia, jakie zrobiono tamtej nocy, zostały przedłożone jako materiał dowodowy.
- Tak, istotnie - rzekł Fletcher. Podszedł z powrotem do stołu i z pudełka wysypał fotografie na stół. Wybrał jedną i wrócił do miejsca dla świadków. - Czy to jedno z tych zdjęć? - zapytał.
- Petrovski przyjrzał się uważnie fotografii, a potem rzucił okiem na pieczęć z tyłu.
- Tak - potwierdził.
- Czy mógłby pan ją opisać sędziom przysięgłym?
- To zdjęcie drzwi frontowych domu pana Elliota, wykonane z podjazdu.
- Dlaczego właśnie to zdjęcie zostało włączone do materiału dowodowego?
- Ponieważ potwierdza, że drzwi pozostały otwarte, kiedy morderca zbiegł. Pokazuje także długi korytarz, który prowadzi do gabinetu Elliota.
- Tak, oczywiście. Powinienem sam na to wpaść - rzekł Fletcher. Zamilkł na moment. - A ta postać kucająca na korytarzu to pani Elliot?
- Tak, to ona. - Petrovski spojrział jeszcze raz. - Wydawało się, że ochłonęła, więc postanowiliśmy nie ruszać jej z miejsca.
- Co za delikatność - rzekł Fletcher. - Na koniec pozwolę sobie zapytać, czy powiedział pan prokuratorowi okręgowemu, że nie wzywał pan karetki, dopóki nie zakończył pan śledztwa?
- Tak jest. Sanitariusze często zjawiają się na miejscu przestępstwa przed policją i znani są z tego, że niszczą dowody.
- Naprawdę? - spytał Fletcher. - Ale tak się nie stało w tym wypadku, ponieważ po telefonie pani Elliot do szefa policji pan przybył tam pierwszy.
- Tak, zgadza się.
- To godne uznania - rzekł Fletcher. - Czy może pan ocenić, ile czasu zabrał panu dojazd do domu pani Elliot w Zachodnim Hartford?
- Pięć, może sześć minut.
- Musiał pan przekroczyć dozwoloną szybkość, żeby tak się uwinąć - powiedział Fletcher z uśmiechem.
- Włączyłem syrenę, ale to było o drugiej w nocy, kiedy ruch jest

bardzo niewielki.

- Jestem panu wdzięczny za to wyjaśnienie - rzekł Fletcher. - Nie mam więcej pytań, Wysoki Sądzie.

- O co w tym wszystkim chodziło? - zagadnął Nat, kiedy Fletcher powrócił na miejsce.

- To dobrze, że na to nie wpadłeś - ucieszył się Fletcher. - Trzeba mieć nadzieję, że prokurator stanowy też się nie domyśli.

- Wzywam Rebekę Elliot na świadka.

Kiedy Rebeka weszła na salę sądową, wszyscy obrócili ku niej głowy z wyjątkiem Nata. Siedział, patrząc przed siebie. Rebeka wolno kroczyła środkiem sali; takiego entree mogłaby jej pozazdrościć niejedna aktorka. - Tego dnia było tu pełno ludzi już o ósmej rano, kiedy otwierano drzwi. Trzy pierwsze rzędy ławek miały pozostać niezajęte przez publiczność i pilnowali tego umundurowani policjanci.

Fletcher rozejrzał się wokół, kiedy komendant policji Don Culver i kapitan Petrovski usiedli na swoich miejscach w pierwszym rzędzie, tuż za stołem prokuratora stanowego. Dziesięć minut przed dziesiątą tylko trzynaście miejsc było wolnych. Nat rzucił spojrzenie Fletcherowi, przed którym leżało na stole kilka żółtych bloczków. Widział, że wierzchnia kartka jest pusta, i modlił się w duchu, żeby na pozostałych trzech bloczkach coś było napisane. Policjant wystąpił do przodu i poprowadził panią Elliot do części sali sądowej, gdzie zasiadają strony i sędzia, a następnie do miejsca dla świadków. Nat pierwszy raz spojrzał na Rebekę. Miała na sobie wdowie szaty - modny czarny żakiet zapięty pod szyją i czarną spódnicę sięgającą poniżej kolan. Z biżuterii tylko obrączkę i pierścionek zaręczynowy oraz skromny sznurek pereł. Fletcher popatrzył na jej lewy przegub i pierwszy raz coś zanotował w swoim bloczku. Kiedy Rebeka stanęła na miejscu dla świadków, obróciła się do sędziego i obdarzyła go nieśmiałym uśmiechem. On grzecznie się skłonił.

Potem urywaniem głosem wygłosiła przysięgę. W końcu usiadła i obracając się ku sędziom przysięgłym, też się nieśmiało uśmiechnęła. Fletcher zaobserwował, że kilku z nich odwzajemniło uśmiech. Rebeka dotknęła ręką fryzury i Fletcher pojął, gdzie spędziła wczorajsze popołudnie. Prokurator stanowy niczego nie zaniedbał i gdyby mógł wezwać przysięgłych, żeby ogłosili werdykt, zanim padnie jakieś pytanie, to - podejrzewał Fletcher - chętnie skazaliby i jego, i jego klienta na krzesło elektryczne.

Na znak sędziego oskarżyciel wstał z miejsca. Ebden też był aktorem w tym spektaklu. Miał na sobie ciemnoszary garnitur, białą koszulę i stonowany niebieski krawat - odpowiedni ubiór do przesłuchiwania świętej.

- Proszę pani - powiedział cicho, wstając od stołu i podchodząc do miejsca dla świadków. - Wszyscy w tej sali sądowej wiedzą, przez jaki koszmar pani przeszła, i współczują, że teraz musi pani wrócić do niego myślami. Zapewniam, że zamierzam pani zadawać pytania w możliwie oględny sposób, i postaram się, żeby trwało to jak najkrócej.

- Zwłaszcza że podczas ostatnich pięciu miesięcy mogliśmy wałkować każde pytanie - mruknął Fletcher. Nat z trudem powściągnął uśmiech.

- Pozwoli pani, że zacznę od zapytania, jak długo byliście państwo małżeństwem?

- Jutro byśmy obchodzili siedemnastą rocznicę ślubu.

- Jak zamierzaliście państwo uczcić tę okazję?

- Planowaliśmy udać się do Salisbury Inn, gdzie spędziliśmy pierwszą noc naszego miesiąca miodowego, bo wiedziałam, że Ralph nie mógł sobie pozwolić na więcej niż kilka godzin oddechu w trakcie kampanii wyborczej.

- Typowe dla zaangażowania pana Elliota i jego sumiennego traktowania służby publicznej - powiedział oskarżyciel, wędrując w stronę ławy przysięgłych. - Muszę panią prosić o chwilę cierpliwości, gdy powrócę do nocy tragicznej i przedwczesnej śmierci pani męża. - Rebeka lekko skłoniła głowę. - Nie była pani obecna podczas debaty, w której uczestniczył wcześniej tego wieczoru pani mąż. Czy był po temu jakiś szczególny powód?

- Tak - rzekła Rebeka, zwracając się do przysięgłych. - Ralph lubił, żebym zostawała w domu i obserwowała go, ilekroć się pojawiał w telewizji, odnotowując uwagi, które potem omawialiśmy. Uważał, że gdybym była w studiu, obecni tam mogliby wpłynąć na moje opinie, szczególnie gdyby się zorientowali, że jestem żoną kandydata.

- To bardzo sensowne - zauważył Ebden. Fletcher sporządził drugą notatkę w swoim bloczku.

- Czy zapamiętała pani coś szczególnego z tamtego programu telewizyjnego?

- Tak - odparła Rebeka. Umilkła i pochyliła głowę. - Zrobiło mi się słabo, kiedy pan Cartwright zagroził mojemu mężowi, mówiąc:

„I tak cię wykończę”

Wolno podniosła głowę i spojrzała na przysięgłych. Fletcher znowu coś zanotował.

- Kiedy debata się skończyła, mąż wrócił do domu w Zachodnim Hartford?

- Tak, przygotowałam mu lekką kolację, którą spożyliśmy w kuchni, bo on czasem zapomina - urwała - przepraszam, zapominał wyrwać się z kieratu zajęć i coś zjeść.

- Czy pamięta pani coś szczególnego z tej kolacji?

- Tak, omówiliśmy moje notatki, ponieważ interesowały mnie niektóre zagadnienia, które poruszono w debacie. - Fletcher przewrócił kartkę i znowu coś zapisał. - Jest faktem, że przy kolacji dowiedziałam się, że pan Cartwright oskarżył męża o podstawienie człowieka, który zadał ostatnie pytanie.

- Jak pani zareagowała na tę sugestię?

- Byłam przerażona, że ktoś mógł pomyśleć, iż Ralph mógłby się posunąć do czegoś tak pokrętnego. Ale byłam przekonana, że ludzie nie uwierzą w fałszywe oskarżenie pana Cartwrighta i że ten jego gniewny wybuch tylko zwiększy szansę wygranej męża w wyborach następnego dnia...

- I po kolacji oboje państwo poszli spać?

- Nie, Ralph zawsze po wystąpieniach telewizyjnych miał kłopoty z zaśnięciem. - Rebeka znów zwróciła się ku przysięgłym. - Mówił, że czuje jeszcze napięcie przez kilka godzin, zresztą wtedy chciał wygładzić swoje przemówienie - deklarację przyjęcia kandydatury, dlatego ja położyłam się do łóżka, a on poszedł pracować do swojego gabinetu. - Fletcher sporządził jeszcze jedną notatkę.

- Która to była godzina?

- Dochodziła północ.

- I co potem pani zapamiętała?

- Obudził mnie huk strzału, ale nie byłam pewna, czy to dzieje się na jawie, czy też mi się śni. Zapaliłam światło i spojrzałam na zegarek, który stoi na stoliku koło łóżka. Było kilka minut po drugiej i pamiętam, że się zdziwiłam, że Ralph jeszcze się nie położył. Potem mi się wydało, że słyszę głosy, więc podeszłam do drzwi i lekko je uchyliłam. Wtedy usłyszałam, że ktoś krzyczy na Ralpa.

Przeraziłam się, kiedy sobie uzmysłowiłam, że to Nat Cartwright. Wrzeszczał i groził mężowi, że go zabije. Wyśliznęłam się cichutko z sypialni i stanęłam u góry schodów. I wówczas usłyszałam drugi strzał. Po chwili Cartwright wypadł z gabinetu, przebiegł korytarzem, otworzył drzwi frontowe i znikł.

- Pobiegła pani za nim?

- Nie, okropnie się bałam.

Fletcher znów coś zanotował.

- Zbiegłam ze schodów - ciągnęła Rebeka - i popędziłam prosto do gabinetu Ralpa, obawiałam się najgorszego. Od razu zobaczyłam męża po drugiej stronie pokoju. Leżał na podłodze, z ust płynęła mu krew. Natychmiast podniosłam słuchawkę telefonu na biurku i wykręciłam numer domowy pana Culvera.

Fletcher przewrócił jeszcze jedną kartkę i dalej pisał w zapamiętaniu.

- Obawiam się, że go obudziłam, ale powiedział, że postara się jak najszybciej przyjechać i żebym niczego nie dotykała.

- Co pani zrobiła potem?

- Nagle zrobiło mi się zimno i ogarnęły mnie mdłości; pomyślałam, że zemdleję. Zatoczyłam się do tyłu na korytarz i upadłam na podłogę. Następnie, co pamiętam, to zbliżającą się syrenę policyjną i parę chwil potem ktoś wbiegł frontowymi drzwiami. Policjant przyklęknął przy mnie i powiedział, że nazywa się Petrovski i jest oficerem wydziału kryminalnego. Jeden z jego ludzi zrobił mi kawę, a potem pan Petrovski poprosił, żebym opisała, co się stało. Opowiedziałam mu, co pamiętałam, ale obawiam się, że nie mówiłam zbyt składnie. Przypominam sobie, że wskazywałam na gabinet Ralpa.

- Czy pamięta pani, co się zdarzyło później?

- Tak, kilka minut później znów usłyszałam syrenę i po chwili do domu wszedł komendant policji. Pan Culver przez dłuższy czas był z kapitanem Petrovskim w gabinecie męża, potem wrócił i poprosił, żebym jeszcze raz wszystko opowiedziała. Nie został długo, ale widziałam, że zanim wyszedł, rozmawiał z kapitanem. Następnego dnia rano dowiedziałam się, że pan Cartwright został aresztowany i oskarżony o zamordowanie mojego męża. - Rebeka zalała się łzami.

- Jak na sygnał - rzekł Fletcher, kiedy oskarżyciel wyjął chusteczkę z kieszonki marynarki i podał pani Elliot. - Ciekaw jestem, ile czasu to ćwiczyli - dodał. Spojrzał na ławę przysięgłych i zauważył, że kobieta siedząca w drugim rzędzie też płacze.

- Przykro mi, że przypomniałem pani ten cały koszmar - rzekł Ebden do pani Elliot. - Czy chciałaby pani, żebym poprosił wysoki sąd o przerwę, żeby mogła pani dojść do siebie?

Fletcher zgłosiłby sprzeciw, ale już wiedział, jaka będzie odpowiedź, ponieważ oskarżyciel i jego świadek ściśle się trzymali wielokrotnie przewidzianego scenariusza.

- Nie, wszystko w porządku - odparła Rebeka - a zresztą chciałabym mieć już to wszystko za sobą.

- Tak, naturalnie, proszę pani. - Ebden spojrział na sędziego. - Wysoki Sądzie, nie mam więcej pytań.

- Dziękuję - rzekł sędzia i zwracając się do Fletchera, dodał: - Pański świadek, panie mecenasie.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. - Fletcher wyjął z kieszeni stoper i położył na stole. Następnie wolno się podniósł. Czuł na sobie spojrzenia całej sali, przewiercające go na wylot. Jak może nawet myśleć o przesłuchiwaniu tej bezradnej, świętej kobiety? Zbliżył się do miejsca dla świadków i chwilę stał w milczeniu.

- Proszę pani, nie będę zatrzymywał pani dłużej niż to konieczne, jako że przeszła pani ciężką próbę - powiedział miękko. - Ale muszę zadać kilka pytań, gdyż mojemu klientowi grozi kara śmierci niemal wyłącznie na podstawie pani świadectwa.

- Tak, oczywiście - odparła Rebeka, okazując dzielność i ocierając ostatnią łzę.

- Powiedziała pani sądowi, że mieliście państwo bardzo udane pożycie małżeńskie.

- Tak, byliśmy sobie bardzo oddani.

- Tak? - Fletcher zawiesił głos. - I tylko dlatego tego wieczoru nie była pani w studiu podczas debaty telewizyjnej, że pan Elliot prosił, by została pani w domu i zanotowała swoje uwagi na temat jego wystąpienia, które mieliście państwo później omówić - Tak jest - odparła przesłuchiwana.

- Rozumiem to - rzekł Fletcher - ale zaskakuje mnie, dlaczego nie towarzyszyła pani mężowi podczas żadnej publicznej uroczystości w zeszłym miesiącu? - Fletcher zawiesił głos. - Ani w dzień, ani wieczorem.

- Och, na pewno w jakiejś wzięłam udział - powiedziała. - Jednak proszę pamiętać, że moim głównym obowiązkiem było prowadzenie domu i dbanie o wygodę męża, który wracał po długich godzinach kampanii objazdowej.

- Czy zachowała pani te notatki?

Rebeka się zawahała.

- Nie, kiedy je przejrzeliśmy, dałam je Ralphowi.

- Powiedziała pani sądowi, że przy tej ostatniej okazji bardzo interesowały panią pewne zagadnienia, do których przywiązywała pani wagę?

- Tak.

- Czy mogę zapytać, jakie w szczególności?

Rebeka znowu się zawahała.

- Nie pamiętam dokładnie. - Umilkła. - To było kilka miesięcy temu.

- Przecież to było jedyne publiczne wystąpienie pani męża, którym się pani zainteresowała podczas całej kampanii, można by więc sądzić, że zapamiętała pani jedno czy dwa zagadnienia, do których przywiązywała pani wagę. W końcu pani mąż ubiegał się o stanowisko gubernatora, a pani mogła zostać, że się tak wyrażę, pierwszą damą.

- Tak, nie, tak - chyba opieka zdrowotna.

- Proszę się dobrze zastanowić - powiedział Fletcher. Powrócił do swojego stołu i wziął do ręki jeden z żółtych bloczków z notatkami. - Ja też oglądałem tę debatę z zainteresowaniem i byłem trochę zaskoczony, że nie poruszono kwestii opieki zdrowotnej. Może zechciałaby pani przemyśleć swoją odpowiedź, gdyż ja zachowałem dokładne notatki na temat wszystkich zagadnień, o których dyskutowano tamtego wieczoru.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. obrońca nie może występować tutaj

jako świadek.

- Podtrzymuję sprzeciw. Proszę trzymać się swojej roli, panie mecenasie.

- Ale była jedna sprawa, która wydała się pani ważna, prawda? - kontynuował przesłuchanie Fletcher. - Brutalny atak na pani męża, kiedy pan Cartwright powiedział w telewizji: „I tak cię wykończę”.

- Tak. Jak można coś tak strasznego powiedzieć, kiedy cały świat na to patrzył.

- Ale cały świat na to nie patrzył, bo w przeciwnym razie bym to widział. To zostało powiedziane, kiedy program się skończył.

- Wobec tego mąż mi musiał o tym powiedzieć przy kolacji.

- Nie sądzę, proszę pani. Przypuszczam, że pani nie widziała tego programu, tak jak nigdy nie uczestniczyła pani w spotkaniach męża.

- Ależ uczestniczyłam.

- Wobec tego może pani wymieni sędziom przysięgłym miejsce jakiegoś spotkania, na którym była pani obecna podczas długotrwałej kampanii męża?

- Jak można ode mnie żądać, żebym - zapamiętała miejsca wszystkich spotkań, skoro kampania Ralpha zaczęła się ponad rok temu?

- Zadowolę się choćby jednym - rzekł Fletcher, odwracając się ku ławie przysięgłych.

Rebeka znów wybuchnęła płaczem, ale teraz nie był to sprzyjający moment i nikt nie podał jej chusteczki.

- A teraz zastanówmy się nad słowami „I tak cię wykończę”, które zostały wypowiedziane po zakończeniu programu telewizyjnego w wieczór przed wyborami. - Fletcher nadal stał zwrócony twarzą ku przysięgłym. - Pan Cartwright nie powiedział „Ja cię wykończę”, co istotnie byłoby obciążające; powiedział natomiast „I tak cię wykończę” i wszyscy obecni zrozumieli, że miał na myśli wybory, które miały się odbyć następnego dnia.

- On zabił mojego męża! - krzyknęła pani Elliot, po raz pierwszy podnosząc głos.

- Proszę pani, trzeba będzie odpowiedzieć jeszcze na kilka pytań, zanim przejdę do tego, kto zabił pani męża. Ale najpierw wróćmy do wydarzeń tamtego wieczoru. Obejrzawszy program telewizyjny, którego pani nie pamięta, i zjadłszy kolację z mężem, podczas której dyskutowała pani szczegółowo o zagadnieniach również przez panią niepamiętanych, położyła się pani do łóżka, podczas gdy mąż wrócił do gabinetu, żeby pracować nad deklaracją przyjęcia kandydatury.

- Tak, właśnie tak było - powiedziała Rebeka, patrząc wyzywająco na Fletchera.

- Ale skoro w sondażach opinii publicznej mąż pozostawał zdecydowanie w tyle, to po co tracił czas, pracując nad przemówieniem, którego prawdopodobnie wcale by nie wygłosił?

- Był przekonany, że zwycięży, zwłaszcza po tym wybuchu pana Cartwrighta i...

- I? - powtórzył Fletcher, lecz Rebeka milczała. - Więc może wiedzieliście oboje coś, o czym reszta nie miała pojęcia? - rzekł Fletcher. - Ale dojdziemy do tego za chwilę. Mówi pani, że położyła się pani do łóżka około północy?

- Owszem - powiedziała Rebeka jeszcze bardziej wyzywająco.

- I kiedy obudził panią strzał, spojrzała pani na zegarek stojący obok łóżka, żeby sprawdzić która godzina?

- Tak. Było tuż po drugiej.

- Więc nie śpi pani z zegarkiem na ręku?

- Nie, zamykam całą biżuterię w małym sejfie, który Ralph zamontował w sypialni. Ostatnio było tyle włamań w tej okolicy.

- Jakże rozsądnie z jego strony. I wciąż pani uważa, że to pierwszy strzał panią obudził?

- Tak, jestem tego pewna.

- Proszę pani, ile czasu minęło między pierwszym a drugim strzałem? - Rebeka nie odpowiedziała od razu. - Proszę się nie spieszyć, ponieważ nie chciałbym, żeby znów popełniła pani pomyłkę, którą - jak większość pani zeznań - trzeba potem korygować.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, moja klientka nie jest...

- Tak, tak, podtrzymuję sprzeciw oskarżenia. Ten ostatni komentarz będzie wykreślony z protokołu. - Zwracając się do Fletchera, sędzia powtórzył: - Proszę powstrzymać się od tego typu uwag, panie mecenasie.

- Postaram się, Wysoki Sądzie - rzekł Fletcher, ale nie odwracał oczu od sędziów przysięgłych, by się upewnić, że oni jego słów nie wykreślą z pamięci. - Czy miała pani dość czasu, żeby się zastanowić nad odpowiedzią?

- Począł chwilę, po czym powtórzył: - Ile czasu minęło między pierwszym a drugim strzałem?

- Trzy, może cztery minuty - powiedziała.

Fletcher uśmiechnął się do oskarżyciela, podszedł do swojego stołu, podniósł stoper i włożył do kieszeni.

- Dlaczego nie zatelefonowała pani natychmiast, kiedy usłyszała pani pierwszy strzał, dlaczego czekała pani trzy albo cztery minuty, aż padł drugi strzał?

- Bo nie byłam całkiem pewna, że go słyszałam. Niech pan nie zapomina, że już od pewnego czasu spałam.

- Jednak otworzyła pani drzwi sypialni i usłyszała, jak pan Cartwright krzyczy na pani męża i grozi mu, że go zabije, czyli musiała pani wiedzieć, że ofiara jest w niebezpieczeństwie, więc dlaczego nie zamknęła pani drzwi na klucz i nie zatelefonowała natychmiast z sypialni na policję? - Rebeka rzuciła spojrzenie Richardowi Ebdenowi. - Nie, proszę pani, pan Ebden tym razem pani nie pomoże, gdyż nie przewidział pytania, co, trzeba przyznać, nie jest jego winą, jako że powiedziała mu pani tylko połowę prawdy.

- Sprzeciw - rzekł Ebden, zrywając się z miejsca.

- Podtrzymuję - powiedział sędzia. - Panie mecenasie, proszę przesłuchiwać świadka, a nie wygłaszać opinii. To jest sąd, a nie Izba Senatu.

- Przepraszam, Wysoki Sądzie, ale znam odpowiedź na to pytanie. Pani Elliot nie wzywała policji, ponieważ się obawiała, że to jej mąż wystrzelił pierwszy raz.

- Sprzeciw! - wykrzyknął Ebden, podskakując, a tymczasem kilka osób wśród publiczności zaczęło mówić jednocześnie. Minęło trochę czasu, nim sędzia zaprowadził porządek.

- Nie, nie - rzekła Rebeka. - Z tego, jak Nat krzyczał na Ralpha, wywnioskowałam, że to on oddał pierwszy strzał.

- Wobec tego zapytam jeszcze raz: dlaczego natychmiast nie zadzwoniła pani na policję? - powtórzył Fletcher, obracając się do Rebeki. - Dlaczego pani czekała trzy czy cztery minuty, aż padł drugi strzał?

- To wszystko stało się tak szybko. Po prostu nie miałam czasu.

- Jaka jest pani ulubiona powieść? - spytał cicho Fletcher.
- Sprzeciw, Wysoki Sądzie. Jaki to może mieć związek ze sprawą?
- Uchylam sprzeciw. Mam wrażenie, że niebawem się tego dowiemy.

- Rzeczywiście, Wysoki Sądzie - odparł Fletcher, nie spuszczać oczu ze świadka. - Zapewniam panią, że to nie jest podchwytliwe pytanie, po prostu chcę, żeby pani powiedziała sądowi, jaka jest pani ulubiona powieść.

- Nie jestem pewna, czy mam jakąś szczególnie ulubioną - odparła - ale moim ulubionym autorem jest Hemingway.

- Moim też - rzekł Fletcher i wyjął z kieszeni stoper. Zwracając się do sędziego, zapytał: - Czy Wysoki Sąd zezwoli, żebym na chwilę opuścił salę sądową?

- W jakim celu?
- Żeby udowodnić, że mój klient nie oddał pierwszego strzału. Sędzia skinął głową.
- Na chwilę - przypomniał.

Fletcher nacisnął guzik stopera, włożył stoper do kieszeni, przemaszerował środkiem zatłoczonej sali sądowej i zniknął w drzwiach.

- Wysoki Sądzie - Ebden zerwał się z miejsca - muszę zgłosić sprzeciw. Pan Davenport zamienia ten proces w cyrk.
- Jeżeli to się okaże prawdą, to kiedy wróci, surowo go upomnę.
- Ale, Wysoki Sądzie, czy takie zachowanie jest w porządku wobec mojej klientki?

- Tak sędzę. Jak pan Davenport nam przypomniał, jego klientowi grozi kara śmierci jedynie na podstawie zeznań złożonych przez pańskiego głównego świadka.

Oskarżyciel usiadł i wdał się w konsultację ze swoim zespołem, tymczasem za jego plecami w ławkach dla publiczności zaczęły się rozmowy. Sędzia zaczął bębnić palcami o stół, od czasu do czasu spoglądając na zegar nad wejściem do sali.

Richard Ebden znowu wstał i sędzią poprosił wtedy o ciszę.

- Wysoki Sądzie, wnoszę, żeby pani Elliot została zwolniona z dalszego przesłuchiwania na tej podstawie, iż obrońca nie może kontynuować przesłuchania świadka, ponieważ bez wytłumaczenia opuścił salę sądową.

- Przychylę się do pańskiego wniosku - oskarżyciel zrobił zadowoloną minę - jeżeli pan Davenport nie wróci przed upływem czterech minut. - Sędzia uśmiechnął się do Ebdena, przyjmując, że obydwaj rozumieją wagę jego decyzji.

- Wysoki Sądzie, muszę... - podjął Ebden, ale w tym momencie otwarto drzwi sali sądowej, Fletcher przemaszerował jej środkiem i podszedł do miejsca dla świadków. Wręczył pani Elliot „Komu bije dzwon” Hemingwaya, a następnie zwrócił się do sędziego.

- Czy Wysoki Sąd mógłby formalnie stwierdzić, jak długo byłem nieobecny? - zapytał, podając stoper sędziemu.

Sędzia Kravats nacisnął guzik stopera i spojrzawszy nań, powiedział:
- Trzy minuty, czterdzieści dziewięć sekund.

Fletcher zwrócił się teraz ku świadkowi.

- Proszę pani, miałem dość czasu, żeby wyjść z budynku sądu, dojść do biblioteki publicznej po drugiej stronie ulicy, znaleźć półkę, na której stoją książki Hemingwaya, wypożyczyć książkę na swoją kartę biblioteczną

i wrócić na salę sądową jedenaście sekund wcześniej. Natomiast pani nie miała czasu, żeby przejść przez sypialnię, wykręcić numer dziewięćset jedenaście i poprosić o pomoc, kiedy pani myślała, że mąż znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A nie zrobiła pani tego, ponieważ wiedziała pani, że to mąż oddał pierwszy strzał i bała się pani, co on mógł zrobić.

- Ale nawet jeżeli tak myślałam - powiedziała Rebeka, tracąc opanowanie - liczy się tylko druga kula, ta, która zabiła Elliota. Może pan nie pamięta, że pierwsza trafiła w sufit, a może pan teraz sugeruje, że mój mąż sam się zabił?

- Nie, tego nie sugeruję - rzekł Fletcher. - Czy zechciałaby pani teraz powiedzieć sądowi, co pani zrobiła, kiedy pani usłyszała drugi strzał?

- Podeszłam do schodów i z góry zobaczyłam, jak pan Cartwright wybiega z domu.

- Ale on pani nie widział?

- Nie, tylko obejrzał się za siebie.

- Nie sądzę, proszę pani. Myślę, że widziała go pani bardzo wyraźnie, kiedy spokojnie przeszedł koło pani w korytarzu.

- Nie mógł przejść koło mnie w korytarzu, bo ja stałam u szczytu schodów.

- Zgadza się, że nie mógłby pani zobaczyć, gdyby pani stała u szczytu schodów - rzekł Fletcher. Podeszedł do stołu, wybrał jedno ze zdjęć i wrócił do Rebeki. Podał jej zdjęcie. - Na tej fotografii widać, że ze szczytu schodów nie można zobaczyć nikogo, kto wychodzi z gabinetu pani męża, idzie korytarzem i opuszcza dom drzwiami frontowymi. - Zamilkł na chwilę, żeby do sędziów przysięgłych dotarło, jakie to jest ważne. - Nie - podjął - pani nie stała na górze, ale w korytarzu, kiedy pan Cartwright wyszedł z gabinetu męża, i jeżeli pani sobie życzy, abym poprosił sędziego o zarządzenie przerwy, żeby sędziowie przysięgli odwiedzili pani dom i sprawdzili prawdziwość pani oświadczenia, chętnie to uczynię.

- Hm, może stałam w połowie schodów.

- Pani w ogóle nie stała na schodach, była pani w korytarzu i nie miała pani na sobie, jak pani utrzymuje, szlafroka, tylko niebieską sukienkę, w której była pani na przyjęciu tego wieczoru; właśnie dlatego nie widziała pani telewizyjnej debaty!

- Miałam na sobie szlafrok i jest fotografia, na której to widać.

- Rzeczywiście, jest - rzekł Fletcher, wracając ponownie do swojego stołu i wybierając drugie zdjęcie, - Z przyjemnością zgłaszam ją jako materiał dowodowy - Wysoki Sądzie, pozycja numer sto dwadzieścia dwa.

Sędzia, zespół oskarżenia i sędziowie przysięgli zaczęli szukać w swoich teczkach, Fletcher natomiast wręczył swoją odbitkę pani Elliot.

- No widzi pan - powiedziała - jest tak, jak panu mówiłam, siedzę w korytarzu w szlafroku.

- Tak, rzeczywiście, proszę pani. To zdjęcie wykonał policyjny fotograf, a my je powiększyliśmy, tak że widać na nim wyraźnie wszystkie szczegóły. Wysoki Sądzie, pragnę przedłożyć tę powiększoną fotografię jako dowód.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie - zawołał Ebden, zrywając się na nogi. - Nie mieliśmy okazji, żeby się przyjrzeć tej fotografii.

- To dowód oskarżenia i oskarżenie dysponowało nim od wielu tygodni - przypomniał mu sędzia. - Pański sprzeciw zostaje oddalony.

- Proszę dokładnie przyjrzeć się fotografii - rzekł Fletcher,

podchodząc do oskarżyciela i podając mu powiększenie. Urzędnik sądowy podał odbitkę każdemu z przysięgłych. Fletcher powrócił teraz do Rebeci.

- Proszę powiedzieć, co pani widzi?

- Ta fotografia pokazuje mnie, jak siedzę w korytarzu w szlafroku.

- Zgadza się, ale co pani ma na przegubie lewej ręki i na szyi? -

spytał Fletcher. Odwrócił się do sędziów przysięgłych, którzy uważnie przyglądali się zdjęciu.

Rebeca krew odpłynęła z twarzy.

- To najwyraźniej pani zegarek i naszyjnik z pereł - odpowiedział Fletcher na swoje pytanie. - Pamięta pani? - Zawiesił głos. - To, co zawsze przed położeniem się spać zamyka pani w sejfie, gdyż ostatnio w okolicy było tyle włamań. - Fletcher odwrócił się ku Culverowi i Petrovskiemu, którzy siedzieli w pierwszym rzędzie. - To drobne błędy, jak wspomniał kapitan Petrovski, zawsze zdradzają amatora. - Fletcher odwrócił się i spojrzał w twarz Rebecy. - Proszę pani, mogła pani zapomnieć zdjęć zegarek i perły, ale mogę pani powiedzieć, czego pani nie zapomniała zdjąć - sukienki. - Fletcher oparł się rękoma na barierce odgraniczającej ławę przysięgłych i powiedział powoli i spokojnie: - Ponieważ zrobiła to pani dopiero wtedy, gdy zabiła pani męża.

Kilka osób podniosło się z miejsc i sędzia dopóty uderzał młotkiem, dopóki nie zapanował spokój. Wtedy odezwał się oskarżyciel:

- Zgłaszam sprzeciw. Jak zegarek na rękę może być dowodem, że pani Elliot zamordowała męża?

- Też tego nie rozumiem - rzekł sędzia i zwrócił się do Fletchera: - To bardzo odległe skojarzenie.

- Wysoki Sądzie, chętnie to wytłumaczę prokuratorowi stanowemu. - Sędzia skinął głową. - Kiedy pan Cartwright zajechał przed dom, usłyszał, jak państwo Elliotowie się sprzecykają, i kiedy zastukał do drzwi, otworzył mu pan Elliot, natomiast jego żony nigdzie nie było widać. Mogę przyjąć, że pobiegła na górę, by usłyszeć, co się dzieje, ale żeby jej nie widziano, kiedy jednak padł pierwszy strzał, wróciła na korytarz i wysłuchiwała kłótni męża i mojego klienta. Trzy albo cztery minuty później pan Cartwright wyszedł spokojnie z gabinetu i minął panią Elliot w korytarzu, a następnie otworzył drzwi frontowe. Obejrzał się do tyłu na panią Elliot, dzięki czemu mógł potem opisać policji, że miała na sobie wydekolowaną niebieską sukienkę, a na szyi perły. Jeśli sędziowie przyjrzą się fotografii pani Elliot, to zauważą, że - jeśli się nie mylę - miała na szyi ten sam co dzisiaj naszyjnik z pereł. - Rebeca dotknęła naszyjnika.

- Ale nie polegajmy na moich słowach, ale na oświadczeniu pani Elliot. - Odwrócił kartkę w teczkę z materiałem dowodowym oskarżenia i przeczytał: - „Wbiegłam do gabinetu, zobaczyłam ciało męża na podłodze i potem zatelefonowałam na policję”.

- To prawda. Zatelefonowałam do pana Culvera do domu, on to już potwierdził - wpadła mu w słowo Rebeca.

- Ale dlaczego najpierw zadzwoniła pani do komendanta policji?

- Bo mój mąż został zamordowany.

- Ale w zeznaniu, jakie złożyła pani kapitanowi Petrovskiemu, powiedziała pani, że zobaczyła pani męża leżącego w kącie, że z ust płynęła mu krew i że natychmiast zatelefonowała pani do komendanta policji.

- Tak jest, właśnie to zrobiłam! - krzyknęła Rebeca.

Fletcher milczał chwilę, a potem zwrócił się do sędziów przysięgłych.

- Gdybym zobaczył moją żonę leżącą w kącie z krwią płynącą z ust, przede wszystkim bym sprawdził, czy jeszcze żyje, i gdyby dawała oznaki życia, nie wzywałbym policji, tylko karetkę. A pani nie zatelefonowała po karetkę. Dlaczego? Bo pani już wiedziała, że pani mąż nie żyje.

Znów podniósł się gwar w ławach dla publiczności, a ci reporterzy, którzy nie byli tak staroświeccy, żeby posługiwać się stenografią, wytężali wszystkie siły, by zapisać każde słowo.

- Proszę pani - kontynuował Fletcher, kiedy sędzia przestał uderzać w stół młotkiem - pozwolę sobie powtórzyć słowa, które wypowiedziała pani niedawno, kiedy przesłuchiwał panią prokurator stanowy. - Fletcher wziął do ręki jeden ze swoich bloczków i przeczytał: - „Nagle zrobiło mi się zimno, ogarnęły mnie mdłości i pomyślałam, że zemdleję. Zatoczyłam się do tyłu na korytarz i upadłam na podłogę”. - Fletcher rzucił bloczek na stół, wbił wzrok w panią Elliot i powiedział: - Nawet nie zadała pani sobie trudu, żeby sprawdzić, czy mąż żyje, ale przecież pani nie musiała tego robić, bo pani wiedziała, że jest martwy; wszak to pani go zabiła.

- To dlaczego nie znaleziono śladów prochu na moim szlafroku? - zawołała Rebeka, usiłując przekrzyczeć stukot młotka sędziego.

- Ponieważ kiedy pani zastrzeliła męża, nie miała pani na sobie szlafroka, tylko niebieską sukienkę, w której wystąpiła pani tego wieczoru. Dopiero kiedy pani zabiła męża, pobiegła pani na górę i przebrała się w koszulę nocną i szlafrok. Ale tak się pechowo złożyło, że kapitan Petrovski włączył syrenę policyjną, przekroczył dozwoloną prędkość i zdołał przyjechać do pani sześć minut później, więc dlatego musiała pani szybko zbiec na dół, i zapomniała pani zdjąć zegarek i perły. I co jeszcze bardziej obciążające: nie zdążyła pani zamknąć drzwi frontowych. Gdyby, jak pani twierdzi, pan Cartwright zabił pani męża, a potem wybiegł z domu, najpierw zamknęłaby pani drzwi frontowe, żeby nie mógł wrócić i zrobić pani krzywdy. Jednak kapitan Petrovski, człowiek bardzo sumienny, przyjechał trochę za szybko i nawet skomentował, że się zdziwił, widząc drzwi otwarte. Amatorzy często wpadają w panikę i wtedy popełniają drobne błędy - powtórzył Fletcher niemal szeptem. - Ponieważ jest prawdą, że kiedy pan Cartwright przeszedł koło pani w korytarzu, pobiegła pani do gabinetu, podniosła pistolet i uświadomiła sobie, że to idealna okazja do pozbycia się męża, którego nienawidziła pani od lat. Strzał, jaki usłyszał pan Cartwright, odjeżdżając spod domu, zabił pani męża, ale to nie oskarżony pociągnął za spust, tylko pani. Pan Cartwright dostarczył pani świetnego alibi i pomysłu na rozwiązanie wszelkich pani problemów. - Fletcher umilkł i odwróciwszy się od ławy przysięgłych, dodał: - Gdyby tylko pani pamiętała, żeby zdjąć zegarek i perły, nim zeszła pani na dół, gdyby zamknęła pani drzwi, a potem zatelefonowała po karetkę, a nie na policję, popełniłaby pani morderstwo doskonałe, i teraz mojego klienta czekałaby kara śmierci.

- Ja go nie zabiłam.

- Wobec tego kto to zrobił? Bo nie mógł to być pan Cartwright, gdyż on wyszedł jakiś czas przed drugim strzałem. Jestem pewny, że pamięta pani jego słowa, kiedy przyszedł po niego komendant policji

- „Ale przecież on żył, kiedy go opuszczałem”, a poza tym pan Cartwright nie uważał, że zmiana ubrania, w którym był wcześniej, jest konieczna. - Fletcher znowu odwrócił się do sędziów przysięgłych, ale ci wpatrywali się w panią Elliot.

Rebeka ukryła twarz w dłoniach i wyszeptwała:

- To Ralph powinien stanąć przed sądem. On jest odpowiedzialny za

własną śmierć.

Sędzia Kravats przywołał energicznie publiczność do porządku, ale upłynęło sporo czasu, zanim udało mu się go zaprowadzić. Fletcher odczekał, aż zapadnie kompletna cisza, i dopiero wtedy się odezwał:

- Ale jak to możliwe? - zapytał. - W końcu to kapitan Petrovski zauważył, że trudno jest strzelić do siebie z odległości czterech stóp.

- On mnie do tego zmusił.

Ebden zerwał się z miejsca, kiedy publiczność zaczęła powtarzać między sobą to zdanie.

- Sprzeciw, Wysoki Sądzie, świadek został...

- Uchylam - powiedział stanowczo sędzia Kravats. - Proszę usiąść i siedzieć cicho. - Sędzia zwrócił się do Rebeki: - Co pani miała na myśli, mówiąc: „On mnie do tego zmusił”?

Rebeka odwróciła się do sędziego, który spoglądał na nią z z troskaniem.

- Wysoki Sądzie - powiedziała - Ralph chciał wygrać te wybory za wszelką cenę, a kiedy Nat mu powiedział, że Luke popełnił samobójstwo, zrozumiał, że nie ma nadziei, aby został gubernatorem. Krążył po pokoju i powtarzał: „I tak cię wykończę”, potem pstryknął palcami i powiedział: „Mam rozwiązanie, ty musisz to zrobić”.

- Co przez to rozumiał? - zapytał sędzia.

- Wysoki Sądzie, na początku sama nie rozumiałam, ale potem on zaczął na mnie krzyczeć. Powiedział: „Nie ma czasu na dyskusje, bo inaczej nam umknie i nigdy nie będziemy mogli zrzucić na niego winy, więc ci powiem, co masz zrobić. Najpierw postrzel mnie w ramię, a potem zatelefonuj do komendanta policji do domu i powiedz, że byłeś w sypialni; kiedy usłyszałaś pierwszy strzał. Popędziłaś na dół, kiedy usłyszałaś drugi strzał, i wtedy zobaczyłaś, że Cartwright wybiega drzwiami frontowymi.

- Ale dlaczego pani się zgodziła na taką oburzającą propozycję? - zapytał sędzia.

- Nie zgodziłam się - odparła Rebeka. - Powiedziałam mu, że jeżeli on chce strzelać, to niech strzela sam, bo ja nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

- I co on na to? - spytał sędzia.

- Że nie może strzelić do siebie, bo policja się na tym pozna, ale jeżeli ja to zrobię, nigdy na to nie wpadnie.

- Ale to ciągle nie wyjaśnia, dlaczego go pani posłuchała?

- Nie posłuchałam go - zaprzeczyła Rebeka. - Powiedziałam, że nie chcę mieć z tym nic wspólnego, że Nat nigdy nie zrobił mi krzywdy. Wtedy Ralph schwycił pistolet i zagroził: „Jeżeli nie chcesz tego zrobić, to jest tylko jedno wyjście: muszę cię zabić”. Byłam przerażona, ale on tylko powiedział: „Wszystkim będę mówił, że to Nat Cartwright zabił moją żonę, kiedy przybiegła mi na ratunek, jeszcze bardziej będą mi współczuć, kiedy będę odgrywał rolę zrozpaczonego wdowca”. Zaśmiał się i dodał: „Nie myśl, że tego nie zrobię”. Potem wyjął chusteczkę z kieszeni i rzekł: „Owiń sobie nią rękę, żeby na broni nie było twoich śladów”. - Rebeka milczała przez pewien czas, a potem wyszeptała: - Pamiętam, że wzięłam do ręki pistolet i wycelowałam go w ramię Ralph'a, ale pociągając za spust, zamknęłam oczy. Kiedy je otworzyłam, Ralph leżał bezwładnie w kącie. Nie musiałam sprawdzać, żeby wiedzieć, że nie żyje. Wpadłam w panikę, upuściłam pistolet, pobiegłam na piętro i zadzwoniłam do pana Culvera do domu, tak jak Ralph mi kazał.

Potem zaczęłam się rozbierać, właśnie włożyłam szlafrok, kiedy usłyszałam syrenę. Wyrzuciłam przez okno i zobaczyłam samochód policyjny zajeżdżający na podjazd. Zbiegłam na dół w chwili, gdy zahamował przed domem, i już nie zdążyłam zamknąć drzwi. Osunęłam się na podłogę w korytarzu na chwilę przedtem, nim kapitan Petrovski wpadł do domu. - Rebeka schyliła głowę i rozplakała się, lecz teraz jej płacz nie był udawany. Szepty w ławach dla publiczności przeszły w głośne rozmowy, bo wszyscy zaczęli komentować wyznanie Rebeki.

Fetcher zwrócił się ku oskarżycielowi, który naradzał się ze swoim zespołem. Nie zrobił nic, żeby ich przynaglić, lecz wrócił na swoje miejsce i usiadł koło Nata. Minęło trochę czasu, zanim Ebden wstał.

- Wysoki Sądzie - powiedział.

- Tak? - spytał sędzia.

- Oskarżenie w imieniu stanu wycofuje wszystkie zarzuty wobec podsądnego. - Milczał chwilę. - A w bardziej osobistym tonie - dodał, patrząc na Nata i Fletchera - teraz, gdy widziałem panów w tandemie, nie będę mógł się doczekać chwili, kiedy staniecie przeciwko sobie jako rywale.

Z ław dla publiczności zerwały się spontaniczne brawa i hałas był tak wielki, że ludzie nie słyszeli, jak sędzia zwolnił oskarżonego, podziękował przysięgłym i orzekł, że sprawa jest zamknięta.

- Dziękuję! - Nat musiał prawie krzyczeć do Fletchera. Po chwili dodał: - To niewystarczające słowo, ponieważ do końca życia będę twoim dłużnikiem i nigdy nie zdołam ci się odwdzięczyć. Niemniej - dziękuję.

- Klienci - rzekł Fletcher z uśmiechem - dzielą się na tych, których masz nadzieję nigdy więcej nie zobaczyć, i tych, rzadko spotykanych, o których wiesz, że będą przyjaciółmi do końca...

Nagle przy mężu zjawiała się Su Ling i go objęła.

- Dziękuję ci, Boże - powiedziała.

- Wystarczy, panie gubernatorze - rzucił Fletcher, na co Nat i Su Ling roześmiali się pierwszy raz od wielu tygodni. Zanim Nat zdołał cokolwiek powiedzieć, Lucy przedarła się przez barierkę i podbiegła do ojca.

- Brawo, tatusiu, jestem z ciebie bardzo dumna - powitała go.

- To mi dopiero pochwała! - ucieszył się Fletcher. - Nat, to moja córka Lucy, która na szczęście nie jest jeszcze na tyle dorosła, żeby na ciebie głosować, ale gdyby mogła... - Fletcher rozejrzał się wokół. - Gdzie jest kobieta, która to wszystko rozpętała?

- Mama jest w domu - odparła Lucy. - Przecież jej powiedziałaś, że minie jeszcze przynajmniej tydzień, zanim pan Cartwright stanie na miejscu dla świadków.

- To prawda - przyznał Fletcher.

- Proszę przekazać moje podziękowania żonie - powiedziała Su Ling. - Zawsze będziemy pamiętać, że to Annie nakłoniła pana, żeby pan bronił mojego męża. Może wszyscy się niedługo spotkamy i...

- Nie przed wyborami - rzekł Fletcher stanowczo - bo wciąż mam nadzieję, że chociaż jedna osoba z mojej rodziny będzie na mnie głosowała. - Umilkł i zwróciwszy się do Nata, dodał: - Czy wiesz, dlaczego tyle wysiłku włożyłem w tę sprawę?

- Nie mogłeś znieść myśli, że spędzisz kilka następnych tygodni w towarzystwie Barbary Hunter?

- Coś w tym rodzaju - odparł Fletcher z uśmiechem.

Fletcher zamierzał podejść do stołu, gdzie siedział zespół oskarżenia

i uściskać im ręce, ale stanął na widok Rebeki Elliot, która nadal siedziała na miejscu dla świadków, czekając, aż wyjdzie publiczność. Miała pochyloną głowę i wyglądała na opuszczoną i osamotnioną.

- Wiem, że trudno w to uwierzyć - rzekł Fletcher - ale mi jej żal.

- Mnie też - powiedział Nat. - Bo jedno jest pewne. Ralph Elliot zabiłby swoją żonę, gdyby uważał, że dzięki temu wygra wybory.

Księga Szósta

Objawienie

Następnego dnia po procesie Fletcher siedział w swoim biurze senackim, czytając poranne gazety.

- Co za niewdzięczny ludek - powiedział, podając córce „Hartford Courant”.

- Powinieneś go zostawić, żeby się usmażył - rzekła Lucy, rzuciwszy okiem na najnowsze wyniki sondaży.

- Powiedziane z typową dla ciebie elegancją i wdziękiem - zauważył Fletcher. - Zastanawiam się, czy te wszystkie pieniądze, jakie wydałem na twoją naukę u Hotchkissa, nie poszły na manie, nie mówiąc o tym, ile będę musiał płacić za Vassar.

- Tato, może ja nie pójdę do Vassar - powiedziała Lucy cicho.

- Czy o tym chciałaś ze mną porozmawiać? - spytał Fletcher, wyczuwając u córki zmianę nastroju.

- Tak, tatusiu, bo chociaż zaproponowali mi tam miejsce, może z niego nie skorzystam.

Fletcher nie zawsze wiedział, kiedy Lucy stroi sobie żarty, a kiedy jest poważna, ale ponieważ poprosiła go o spotkanie w biurze i żeby nie wspominał o tym Annie, przypuszczał, że tym razem nie żartuje.

- Masz jakieś kłopoty? - zapytał, patrząc na nią. Nie spojrzała mu w oczy i schyliła głowę.

- Jestem w ciąży - powiedziała.

Fletcher nie od razu zareagował, próbując się oswoić ze słowami córki.

- Czy George jest ojcem? - zapytał w końcu.

- Tak.

- Chcesz wyjść za niego?

Lucy zastanawiała się chwilę, nim się zdobyła na odpowiedź.

- Nie. Uwielbiam George'a, lecz go nie kocham.

- Ale mu pozwoliłaś na amory.

- Jesteś niesprawiedliwy - rzekła Lucy. - To była sobotnia noc po wyborach na przewodniczącego szkoły i oboje trochę za dużo wypiliśmy. Mówiąc szczerze, miałam dość tego, że wszyscy w klasie wytykali mi, że jestem dziewicą. A nie wyobrażałam sobie utraty dziewictwa z kimś innym niż George, zwłaszcza gdy mi się przyznał, że nie miał jeszcze nigdy dziewczyny. W końcu nie wiem, kto kogo uwiódł.

- A co na to wszystko George? W końcu to też jego dziecko, tak samo jak twoje, a on robi na mnie wrażenie poważnego młodego człowieka, któremu bardzo na tobie zależy.

- On jeszcze nic nie wie.

- Nie powiedziałaś mu? - spytał Fletcher z niedowierzaniem.

- Nie.

- A matce?

- Nie - powtórzyła. - Tylko tobie się zwierzyłam. - Teraz spojrzała ojcu w oczy. - Tato, mama pewno była dziewicą, kiedy braliście ślub.

- Ja też wtedy jeszcze nikogo nie miałem - rzekł Fletcher. - Jednak będziesz musiała jej powiedzieć, zanim to się stanie zbyt widoczne.

- Nie, jeżeli usunę ciążę.

I znów Fletcher milczał przez dłuższy czas.

- Czy naprawdę tego chcesz? - spytał w końcu.

- Tak, tatusiu, ale proszę, nie mów mamie, bo ona tego nie zrozumie.

- Nie jestem pewien, czy ja to rozumiem - odparł Fletcher.

- Czy jesteś za tym, żeby wszystkie kobiety miały wolność wyboru z wyjątkiem twojej córki? - spytała Lucy.

- To nie potrwa długo - rzekł Nat patrząc na tytuł w „Hartford Courant”

- Co takiego? - spytała Su Ling, dolewając mu kawy.

- Moja siedmiopunktowa przewaga w sondażach. Za kilka tygodni ludzie nawet nie będą pamiętali, który z nas stał przed sądem.

- Myślę, że ona będzie pamiętać - zauważyła cicho Su Ling, spojrzawszy przez ramię mężowi na zdjęcie Rebeki Elliot wychodzącej z sądu z rozwichrzoną fryzurą. - Dlaczego w ogóle wyszła za niego za męża?

- Jestem wdzięczny losowi, że to nie ja ożeniłem się z Rebeką - rzekł Nat. - Bądźmy szczerzy, gdyby Elliot nie ściągnął mojej pracy i nie zamknął mi drogi do Yale nigdy byśmy się nie spotkali - dodał, ujmując rękę żony.

- Żałuję, że nie mogłam mieć więcej dzieci - powiedziała Su Ling zgaszonym tonem. - Tak bardzo brakuje mi Luke’a.

- Wiem - rzekł Nat. - Ale nigdy nie będę żałował, że pobiegłem wtedy pod tamtą górę, tego szczególnego dnia, o tej konkretnej godzinie.

- A ja się cieszę, że pomyliłam ścieżki - odparła Su Ling - bo bardzo cię kocham. Ale chętnie oddałabym życie, gdyby to miało ocalić Luke’a.

- Myślę, że tak czuje większość rodziców - powiedział Nat, patrząc na żonę. - Jak również twoja matka, która wszystko poświęciła dla ciebie i nie zasługuje na to, żeby ją tak okrutnie traktować.

- Nie martw się o moją matkę - zareagowała Su Ling, wpadając w lepszy nastrój. - Zajrzałam do niej wczoraj i zastałam tam tłum starych świntuchów ze swoim praniem, marzących w cichości ducha o salonie masażu na pięterku...

Nat wybuchnął śmiechem.

- I pomyśleć, że trzymaliśmy to w sekrecie przez te wszystkie lata. Nigdy bym nie pomyślał, że przyjdzie dzień, kiedy będziemy się mogli z tego śmiać.

- Ona mówi, że jak zostaniesz gubernatorem, to otworzy się pralni w całym stanie pod hasłem: „Publicznie pierzemy wasze brudy”.

- Zawsze wiedziałem, że musi być jakiś ważki powód, abym został gubernatorem - rzekł Nat, wstając od stołu.

- A kto dzisiaj będzie się cieszył twoim towarzystwem? - zagadnęła SuLing.

- Dobrzy ludzie z New Canaan - odparł Nat.

- To kiedy wrócisz do domu?

- Chyba tuż po północy.

- Obudź mnie - powiedziała...

- Cześć, Lucy - rzucił Jimmy, wchodząc do biura Fletchera. - Czy wielki człowiek jest wolny?

- Tak - odparła Lucy, podnosząc się z krzesła.

Jimmy obejrzał się za nią, kiedy się wymknęła z pokoju. Czy płakała, czy mu się zdawało? Fletcher milczał, póki nie zamknęła za sobą

drzwi.

- Dzień dobry, Jimmy - powiedział, odsuwając na bok gazetę, na której widniała fotografia Rebeki.

- Czy myślisz, że ją aresztują? - zagadnął Jimmy, Fletcher spojrział na zdjęcie.

- Chyba nie będą mieli innego wyboru, chociaż gdybym ja siedział w ławie przysięgłych, tobym ją uniewinnił, ponieważ dla mnie jej opowieść jest całkiem wiarygodna.

- Tak, ale ty wiesz, do czego Elliot był zdolny, a przysięgli nie mają o tym pojęcia.

- Jednak słyszę, jak on mówi: „Jeżeli tego nie zrobisz, będę musiał cię zabić, i nie myśl, że tego nie zrobię”.

- Ciekaw jestem, czy zostałeś w firmie prawniczej Alexandra, gdyby Elliot tam się nie pojawił.

- Jeszcze jedno zrządzenie losu - rzekł Fletcher, jakby myślał o czym innym. - No więc, co mi przyszykowałeś?

- Spędzimy dzień w Madison.

- Czy warto na Madison poświęcić cały dzień - zapytał Fletcher - kiedy to taki mocny republikański okręg?

- Właśnie dlatego chcę, żebyśmy go zaliczyli teraz, kiedy mamy przed sobą jeszcze kilka tygodni - rzekł Jimmy - chociaż, jak na ironię, głosy Madison jeszcze nigdy nie wpłynęły na wynik wyborów.

- Co głos, to głos - zauważył Fletcher.

- Akurat nie w tym wypadku - rzekł Jimmy - bo podczas gdy cały stan obecnie głosuje elektronicznie, tylko Madison jest wyjątkiem. Należy do tych ostatnich okręgów w kraju, gdzie ludzie ciągle wolą na kartce wyborczej stawiać znak ołówkiem.

- Ale mimo to ich głosy są ważne - upierał się Fletcher.

- To prawda, ale w przeszłości nie miały znaczenia, bo zaczyna się je liczyć dopiero rano po wyborach, kiedy ogólny wynik został już ogłoszony. To trochę farsa, ale taka jest tradycja, której tamtejsi stateczni mieszkańcy nie chcą poświęcić na ołtarzu nowoczesnej techniki.

- I mimo to chcesz, żebym tam spędził cały dzień?

- Tak, bo gdyby przewaga była mniejsza niż pięć tysięcy, wtedy nagle Madison stałoby się najważniejszym miastem w całym stanie.

- Czy myślisz, że różnica głosów będzie taka mała w sytuacji, gdy Bush ma jeszcze rekordową przewagę w sondażach?

- „Jeszcze” to kluczowe słowo, bo Clinton codziennie podkopyje po trochu tę przewagę, więc nie wiadomo, kto w końcu zasiądzie w Białym Domu bądź też w rezydencji gubernatora.

Fletcher nic nie powiedział...

- Jesteś dziś jakiś zamyślony - rzekł Jimmy. - Czy chciałbyś jeszcze ze mną o czymś porozmawiać?

- Wygląda na to, że Nat zwycięży śpiewająco - odezwała się Julia spoza porannej gazety.

- Pewien brytyjski premier kiedyś powiedział, że „tydzień w polityce to dużo czasu”, a minie ich jeszcze kilka, zanim pierwszy wyborca odda głos - przypomniał Tom żonie.

- Jak Nat zostanie gubernatorem, będzie ci brak tych wszystkich emocji. Po tym, co wspólnie przeżyliście, powrót do Fairchilda was rozczaruje.

- Jeśli mam być szczery, straciłem zainteresowanie bankowością,

kiedy Bank Russella został przejęty.

- Ale przecież lada chwila możesz zostać przewodniczącym rady nadzorczej największego banku w tym stanie.

- Jeżeli Nat zwycięży, to nim nie będę.

Julia odsunęła gazetę na bok.

- Nie jestem pewna, czy dobrze rozumiem - powiedziała.

- Nat poprosił mnie, żeby został szefem personelu, jak zostanie gubernatorem.

- Wobec tego kto będzie szefował bankowi?

- Ty, oczywiście - odparł Tom. - Wszyscy wiedzą, że najbardziej nadajesz się na to stanowisko.

- Ale Bank Fairchilda nigdy się nie zgodzi, żeby kobieta była przewodniczącą rady nadzorczej, oni są zbyt przywiązani do tradycji.

- Julio, żyjemy w ostatniej dekadzie dwudziestego wieku i dzięki tobie połowa klienteli banku to kobiety. A jeżeli chodzi o radę nadzorczą, nie mówiąc o personelu, to kiedy mnie nie ma, prawie wszyscy uważają, że ty już jesteś przewodniczącą.

- Ale jeżeli Nat przegra, to słusznie będzie chciał wrócić do Fairchilda jako przewodniczący, z tobą jako zastępcą, a w takim razie nie ma co snuć domysłów.

- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział Tom. - Nie zapominaj, że Jimmy Overman, starszy stażem senator z Connecticut, ogłosił już, że nie będzie się ubiegał o ponowny wybór w przyszłym roku, a w takim wypadku Nat byłby pewnym kandydatem na jego miejsce. Niezależnie od tego, który z nich, Nat czy Fletcher, zostanie gubernatorem, jestem pewien, że drugi pojedzie do Waszyngtonu jako senator reprezentujący stan. - Zamilkł na moment. - Podejrzewam, że to tylko kwestia czasu, zanim oni będą rywalizować między sobą o stanowisko prezydenta.

- Myślisz, że poradzę sobie na tym stanowisku? - spytała cicho Julia.

- Nie - odrzekł Tom. - Musiałabyś się urodzić w Ameryce, żeby zostać prezydentem.

- Nie miałam na myśli prezydenta, ty idioto, tylko przewodniczącą rady nadzorczej Fairchilda.

- Nie miałem co do tego wątpliwości już pierwszego dnia, kiedy cię poznałem - rzekł Tom. - Bałem się tylko, że nie zechcesz mnie na męża.

- Och, mężczyźni mają taką słabą orientację - powiedziała Julia. - Ja postanowiłam, że wyjdę za ciebie za męża, tego wieczoru, kiedy spotkaliśmy się na kolacji u Su Ling i Nata. - Tom otworzył usta, po czym je zamknął. - Jakże inaczej potoczyłoby się moje życie, gdyby ta druga Julia Kirkbridge doszła do takiego samego wniosku - dodała.

- Nie mówiąc o moim - rzekł Tom.

Fletcher objął wzrokiem wiwatujący tłum ludzi i pomachał do nich entuzjastycznie. Tego dnia wygłosił w Madison siedem przemówień - mówił na rogach ulic, na placach targowych, przed budynkiem biblioteki - ale nawet jego zaskoczyło przyjęcie, jakie mu zgotowano wieczorem na ostatnim spotkaniu w sali ratusza.

PRZYBĄDŹCIE I POSŁUCHAJCIE ZWYCIĘZCY - wypisano czerwonymi i niebieskimi literami na olbrzymim transparentie, rozpościerającym się na całą szerokość sceny. Fletcher się uśmiechnął, kiedy tutejszy przewodniczący poinformował go, że Paul Holbourn, niezależny burmistrz Madison, zostawił transparent po przemówieniu Nata w ratuszu na początku tygodnia. Holbourn był burmistrzem od czternastu lat

i nie dlatego został ponownie wybrany, że trwoniał pieniądze podatników, wręcz odwrotnie.

Kiedy Fletcher usiadł po zakończeniu przemówienia, był mocno podekscytowany, a owacja na stojąco, jaka nastąpiła nie była wyreżyserowana, jak to się zwykle zdarzało, kiedy grupa sprytnie rozmieszczonych aktywistów partyjnych zrywa się na nogi w momencie, kiedy kandydat wygłasza ostatnie zdanie. Tym razem wszyscy wstali równocześnie. Fletcher żałował, że Annie tego nie widzi.

Kiedy przewodniczący podniósł rękę Fletchera i krzyknął do mikrofonu: „Panie i panowie, oto nowy gubernator Connecticut”, Fletcher pierwszy raz w to uwierzył. Clinton szedł równo z Bushem w sondażach ogólnokrajowych, a kandydatura niezależnego Perota podkopywała poparcie dla republikanów. Wynosiło to Fletchera w górę. Miał nadzieję, że zdąży w ciągu czterech tygodni nadrobić cztery punkty, jakie w sondażach dzieliły go od Nata.

Minęło jeszcze pół godziny, zanim sala opustoszała, i w tym czasie Fletcher zdążył uścisnąć wiele rąk. Zadowolony przewodniczący odprowadził go na parking.

- Nie ma pan kierowcy? - spytał zdziwiony.

- Lucy wzięła sobie na dzisiejszy wieczór wolne, żeby obejrzeć „Mojego kuzyna Vinny’ego”, Annie jest na jakiejś imprezie dobroczynnej, Jimmy prowadzi spotkanie poświęcone zbiórce pieniędzy, a ponieważ to niecałe pięćdziesiąt mil, uznałem, że sam sobie poradzę - odparł Fletcher i usiadł za kierownicą.

Odjechał spod ratusza przepelniony euforią i pierwszy raz w tym dniu zaczął się odprężyć. Ale ledwo przebył kilkaset jardów, myślami wrócił do Lucy, co mu się zdarzało, ilekroć był sam. Miał do rozwiązania poważny dylemat. Czy powinien powiedzieć Annie, że ich córka jest w ciąży?

Tego wieczoru Nat jadł kolację z czterema przemysłowcami. Mogli oni poważnie zasilić fundusze kampanii, dlatego ich nie pospieszał. Przy kolacji bez ogródek wyrazili swoje oczekiwania wobec republikańskiego gubernatora i chociaż nie zawsze się zgadzali z liberalnymi ideami Nata, to gdyby to od nich zależało, żaden demokrata nie zasiadłby w rezydencji gubernatora.

Było już dobrze po północy, kiedy Ed Chambers z Chambers Foods zauważył, że może należałoby pozwolić kandydatowi wrócić do domu i porządnie się wyspać. Nat już nie pamiętał, kiedy mu się to ostatnio udało.

Zwykle był to sygnał dla Toma, żeby wstać, zgodzić się z osobą, która rzuciła taką sugestię, i pójść po płaszcz Nata. Ten zaś robił taką minę, jakby go wyciągano na siłę, ścisnął ręce gospodarzom i mówił, że nie wyobraża sobie wygrania wyborów bez ich poparcia.

Może to brzmiało jak pochlebstwo, ale tym razem była to prawda.

Wszyscy czterej panowie odprowadzili Nata do samochodu i kiedy Tom odjechał długim, krętym podjazdem spod domu Eda Chambersa, Nat włączył nocne wiadomości. W czwartej z kolei informacji zrelacjonowano przemówienie Fletchera do obywateli Madison, przy czym miejscowy reporter zwrócił uwagę na niektóre jego wypowiedzi na temat straży sąsiedzkiej, projektu, który Nat lansował od wielu miesięcy.

Nat mruknął coś na temat jawnego plagiatu, na co Tom mu przypomniał, że on też podkradł niektóre pomysły Fletchera dotyczące reformy edukacji.

Nat wyłączył radio w chwili, gdy nadano ostrzeżenie, że w

niektórych miejscach na nawierzchni szos występuje oblodzenie. W ciągu kilku minut Nat zasnął, nawyk, jaki Tom chętnie by naśladował, bo kiedy Nat się budził, zawsze był na pełnych obrotach. Tom też marzył o tym, żeby porządnie przespać noc. Jutro nie czekało ich żadne publiczne wystąpienie przed dziesiątą rano, dopiero potem mieli uczestniczyć w siedmiu nabożeństwach, na samym końcu w Katedrze Świętego Józefa.

Wiedział, że Fletcher Davenport wykona podobną rundę w innej części stanu. Żeby wykazać, że są bogobojnymi obywatelami, obydwaj kandydaci do końca kampanii nie opuszczą żadnej uroczystości religijnej, to przyklękając, to zdejmując buty, to nakrywając głowy. Nawet jeżeli nie czczono tam ich Boga, to przynajmniej okażą gotowość, żeby stać, siedzieć i klęczeć w Jego obecności.

Tom postanowił nie włączać radia na wiadomości o pierwszej, gdyż nie chciał budzić Nata po to tylko, żeby usłyszeć powtórzenie informacji sprzed pół godziny.

Obydwaj nie usłyszeli wiadomości z ostatniej chwili.

Karetka przyjechała na miejsce wypadku w ciągu kilku minut i pierwsze, co zrobili sanitariusze, to wezwali straż pożarną. Kierowca, tłumaczyli, jest unieruchomiony, przyszpilony do kierownicy i nie ma sposobu, żeby otworzyć drzwi samochodu bez użycia palnika acetylenowego. Trzeba się pospieszyć, jeżeli chce się wydobyć rannego mężczyznę jeszcze żywego z wraka.

Policja pojęła, kto jest uwięziony w samochodzie, dopiero wówczas, gdy sprawdzono w centrali na komputerze numery rejestracyjne. Ponieważ uznano za nieprawdopodobne, żeby senator był pijany, przyjęto, że zasnął za kierownicą. Na jezdni nie było śladów hamowania ani nic nie wskazywało na kolizję z innym pojazdem.

Personel karetki drogą radiową powiadomił szpital, a kiedy lekarz dyżurny dowiedział się, kto jest ofiarą wypadku, postanowił wezwać Bena Renwicka. Zwykle go nie budzono, ze względu na jego pozycję, jeżeli inny chirurg mógł wykonać zadanie.

- Ile jeszcze osób było w samochodzie? - brzmiało pierwsze pytanie doktora Renwicka.

- Tylko senator - padła odpowiedź.

- Co on, u licha, robił w nocy na szosie, sam za kierownicą? - mruknął Renwick. - Czy ma dużo obrażeń?

- Kilka złamań, w tym co najmniej trzy żebra i lewą kostkę u nogi - odrzekł lekarz dyżurny - ale bardziej mnie martwi utrata krwi.

Wydobycie go z wraku zajęło strażakom prawie godzinę.

- Dobrze. Dopilnuj, żeby mój zespół był gotowy, kiedy przyjadę. Zawiadomię panią Davenport. - Zastanowił się. - Zawiadomię obie panie Davenport.

Annie stała w przenikliwym wietrze przy bramie szpitalnej oddziału nagłych wypadków, kiedy ujrzała pędzącą karetkę. Eskorta policyjna na motocyklach wskazywała, że to musi być jej mąż. Chociaż Fletcher był nieprzytomny, trzymała jego bezwładną rękę, kiedy wieziono go na salę operacyjną. Gdy Annie zobaczyła, w jakim stanie jest mąż, nie wierzyła, że komukolwiek uda się go uratować.

Dlaczego poszła na to zebranie charytatywne, kiedy powinna być w Madison z mężem? Ilekroć towarzyszyła Fletcherowi, zawsze odwoziła go do domu. Dlaczego posłuchała jego zapewnień, że jazda sprawi mu przyjemność - będzie mógł spokojnie pomyśleć, a poza tym to taka

niewielka odległość, dodał. Dzielilo go od domu tylko pięć mil, kiedy zjechał z drogi.

Ruth Davenport przybyła do szpitala kilka chwil później i od razu próbowała się jak najwięcej dowiedzieć. Rozmówiwszy się z dyżurnym kierownikiem, Ruth mogła zapewnić Annie, że Fletcher nie mógł znaleźć się w lepszych rękach. Po prostu Ben Renwick jest najlepszy w całym stanie. Nie powiedziała jednak synowej, że tylko wtedy wyciągają go z łóżka, kiedy są małe szanse uratowania pacjenta. Ben Renwick tym się nie zrażał.

Następna w kolejności była Martha Gates; Ruth powtórzyła jej wszystko, czego się dowiedziała. Potwierdziła, że Fletcher ma złamane trzy żebra i kostkę oraz pękniętą śledzionę, lecz że najbardziej niepokoi lekarzy utrata krwi.

- Ale na pewno taki duży szpital jak św. Patryka ma odpowiedni bank krwi, żeby się uporać z takim problemem?

- Zwykle tak - odparła Ruth - ale Fletcher ma najrzadszą grupę krwi, AB Rh minus, i wprawdzie zawsze trzymamy mały zapas na wszelki wypadek, ale kiedy w zeszłym miesiącu ten szkolny autobus wypadł z drogi numer dziewięćdziesiąt pięć w New London, a kierowca i jego syn mieli właśnie taką grupę krwi, Fletcher zarządził, żeby wszystko wysłać natychmiast do tamtejszego szpitala. Nie mieliśmy czasu, żeby zapas uzupełnić.

Zapalono lampę łukową i snop światła padł na wejście do szpitala.

- Sępy już są - powiedziała Rutti, wyrzawszy przez okno. Odwróciła się twarzą do synowej. - Annie, powinnaś z nimi porozmawiać, to może być nasza jedyna szansa znalezienia dawcy krwi na czas.

Su Ling wstała w niedzielny ranek, ale postanowiła do ostatniej chwili nie budzić Nata. Nie miała pojęcia, o której godzinie wśliznął się do łóżka.

Usiadła w kuchni, zrobiła sobie świeżej kawy i zabrała się do przeglądania porannej prasy. Przemówienie Fletchera zostało dobrze przyjęte przez mieszkańców Madison, a ostatnie sondaże wykazywały, że różnica między kandydatami zmalowała, i Nat miał już tylko trzyprocentową przewagę...

Su Ling pociągnęła łyk kawy i odłożyła gazetę na bok. Zawsze włączała telewizor tuż przed pełną godziną, żeby obejrzeć prognozę pogody. Pierwszą osobą, która pokazała się na ekranie jeszcze przed włączeniem się dźwięku, była Annie Davenport. Dlaczego ona stoi przed szpitalem św. Patryka, zastanawiała się Su Ling. Czy Fletcher ogłasza jakąś nową inicjatywę związaną z opieką zdrowotną?

Sześćdziesiąt sekund później już wiedziała. Wybiegła z kuchni i popędziła schodami na piętro, żeby obudzić Nata i przekazać mu wiadomość. Zastanawiający zbieg okoliczności. Czyżby? Jako naukowiec Su Ling była sceptyczna wobec zbiegów okoliczności. Ale teraz nie miała czasu o tym myśleć.

Zaspany Nat słuchał relacji żony, która powtarzała słowa Annie Davenport. Nagle oprzytomniał, wyskoczył z łóżka, włożył wczoraj noszone ubranie, nie tracił czasu na golenie ani prysznic. Ledwo się ubrał, zbiegł na dół, buty włożył już w samochodzie. Su Ling siedziała za kierownicą, silnik samochodu pracował. Ruszyła w chwili, gdy Nat zatrzasnął drzwi.

Radio było wciąż nastawione na stację, która przez całą dobę podawała wiadomości, i Nat wysłuchał ostatniego biuletynu, zawiązując sznurówki. Reporter relacjonujący wprost ze szpitala powiedział wprost:

senator Davenport został podłączony do respiratora i jeżeli ktoś nie ofiaruje mu prawie dwóch litrów krwi grupy AB Rh minus w ciągu najbliższych godzin, lekarze boją się, że nie przeżyje.

Dwanaście minut zajęło Su Ling dotarcie do szpitala; po prostu przekroczyła dozwoloną szybkość, zresztą o tej porze w niedzielny ranek ruch był mały. Nat wbiegł do szpitala, a Su Ling odjechała, żeby poszukać miejsca do parkowania.

Nat dostrzegł Annie w głębi korytarza i natychmiast zawołał ją po imieniu. Obróciła się i zdumiała, widząc, jak do niej pędzi. Dlaczego on biegnie? - pomyślała w pierwszej chwili.

- Przyjechałem natychmiast, jak usłyszałem! - zawołał Nat, ciągle biegnąc, ale trzy kobiety wciąż wlepiły w niego wzrok, niczym zajęte przyłapanie przez światło reflektora. - Mam tę samą grupę krwi co Fletcher - wyrzucił z siebie Nat, zatrzymując się przy Annie.

- AB Rh minus? - Spytała Annie z niedowierzaniem.

- Jasne - rzekł Nat.

- Dzięki Bogu - powiedziała Martha. Ruth zniknęła w drzwiach oddziału intensywnej opieki medycznej i po chwili wróciła z Benem Renwickiem.

- Panie Cartwright - powiedział, wyciągając rękę. - Nazywam się Ben Renwick i jestem...

- Starszym konsultantem w tym szpitalu, tak, wiele o panu słyszałem rzekł Nat, ściskając podaną dłoń.

Chirurg lekko się skłonił.

- W laboratorium pobiorą panu krew.

- Pośpieszmy się - rzekł Nat, zdejmując marynarkę.

- Najpierw musimy wykonać pewne analizy i upewnić się, czy pańska krew się nadaje, a potem zbadać ją na obecność HIV i żółtaczkę typu B.

- Nie ma problemu - rzekł Nat.

- Obawiam się, że będę potrzebował przynajmniej półtora litra pańskiej krwi, jeżeli senator Davenport ma przeżyć, a to wymaga podpisania w obecności prawnika kilku dokumentów zwalniających szpital z odpowiedzialności.

- Po co do tego prawnik? - spytał Nat.

- Bo istnieje niewielkie prawdopodobieństwo wystąpienia poważnych efektów ubocznych, a tak czy inaczej będzie się pan czuł słaby i może trzeba będzie zatrzymać pana na kilka dni w szpitalu i uzupełnić płyny.

- Czy Fletcher nie cofnie się przed niczym, żeby tylko odciągnąć mnie od kampanii wyborczej?

Wszystkie trzy kobiety uśmiechnęły się pierwszy raz tego dnia, a Renwick poprowadził prędko Natę do swojego gabinetu. Nat odwrócił się, żeby powiedzieć kilka słów Annie, i zobaczył, że zajęła się nią Su Ling.

- Teraz mam jeszcze jeden problem do rozważenia - przyznał Renwick, siadając za biurkiem i przeglądając jakieś formularze.

- Wszystko podpiszę - powtórzył Nat.

- Nie może pan podpisać formularza, o jakim myślę - rzekł chirurg.

- Dlaczego nie? - spytał Nat.

- Bo to jest korespondencyjna karta do głosowania, a ja nie jestem pewien, na którego z was oddać głos.

- Zdaje się, że utrata półtora litra krwi nie zaszkodziła panu

Cartwrightowi - powiedziała pielęgniarka i położyła na biurku doktora Renwicka ostatnie wyniki badań pacjenta...

- Może nie - rzekł Renwick, przeglądając kartki - ale na pewno ta krew bardzo pomogła senatorowi Davenportowi. Uratowała mu życie.

- To prawda - przyznała pielęgniarka. - Ale uprzedziłam senatora, że mimo wyborów będzie musiał zostać w szpitalu jeszcze co najmniej dwa tygodnie.

- Wcale nie byłbym tego pewny - rzekł Renwick. - Przewiduję, że Fletcher wypisze się pod koniec tygodnia.

- Może pan ma rację - powiedziała z westchnieniem pielęgniarka. - Ale czy ja mogę coś na to poradzić?

- Nie - odparł Renwick, odwracając leżącą na biurku teczkę, żeby pielęgniarka nie mogła przeczytać napisu w górnym prawym rogu: Nathaniel i Peter Cartwright. - Ale chciałbym, żeby siostra umówiła za mną obu kandydatów, i to jak najszybciej.

- Tak, panie doktorze - odparła pielęgniarka, zapisała polecenie Renwicka w notatniku i wyszła z pokoju.

Kiedy zamknęła drzwi, Ben Renwick z powrotem odwrócił teczkę i jeszcze raz przejrzał jej zawartość - Przez ostatnie trzy dni prawie o niczym innym nie myślał.

Wychodząc wieczorem, zamknął teczkę w prywatnym sejfie. Kilka dni więcej nie zrobi specjalnej różnicy; w końcu to, o czym chciał rozmawiać z dwoma mężczyznami, przez czterdzieści trzy lata było tajemnicą.

Nat został wypisany ze szpitala św. Patryka w czwartek wieczorem i nikt z personelu szpitalnego ani przez chwilę nie przypuszczał, że Fletcher zostanie tam do końca tygodnia, choć matka usiłowała go przekonać, żeby zachował ostrożność. Przypomniawszy jej, że do dnia wyborów zostały tylko dwa tygodnie.

Podczas najdłuższego tygodnia w życiu Ben Renwick zmagił się ze swoim sumieniem, podobnie jak doktor Greenwood czterdzieści trzy lata wcześniej. Renwick doszedł jednak do innego wniosku; uznał, że nie ma innego wyboru, jak powiedzieć obu mężczyznom prawdę.

Obydwaj kandydaci zgodzili się spotkać o szóstej rano we wtorek w gabinecie doktora Renwicka. I jeden, i drugi tylko tę godzinę mieli wolną przed wyborami.

Nat przybył pierwszy, gdyż chciał zdążyć na dziewiątą na spotkanie w Waterbury i miał nadzieję, że może uda mu się wpaść po drodze na parę stacji kolejowych, skąd ludzie dojeżdżają do pracy.

Fletcher przykuśtykał do gabinetu doktora Renwicka za dwie szósta. Był zły, że Nat go wyprzedził.

- Jak tylko zdejmą mi ten gips - powiedział - to ci dokopię.

- Nie powinieneś tak mówić do doktora Renwicka po tym wszystkim, co dla ciebie zrobił - rzekł Nat z szerokim uśmiechem.

- Dlaczego nie? - spytał Fletcher. - Wpompował mi twoją krew, toteż teraz tylko w połowie jestem sobą.

- Znów się mylisz - powiedział Nat. - Jesteś dwa razy lepszy, niż byłeś, ale o połowę gorszy ode mnie.

- Dzieci, dzieci - skarcił ich doktor, nagle uświadamiając sobie znaczenie tych słów - jest coś ważniejszego, o czym chcę z wami porozmawiać.

Obydwaj mężczyźni umilkli, słysząc ton jego głosu. Doktor Renwick

wyszedł zza biurka i otworzył sejf. Wyjął teczkę z papierami i położył ją na biurku.

- Kilka dni się zastanawiałem, w jaki sposób przekazać wam obu tak poufną informację. - Stuknął wskazującym palcem w teczkę. - Nigdy bym się na nią nie natknął, gdyby nie ten, niemal tragiczny w skutkach, wypadek senatora i konieczność sprawdzenia waszej dokumentacji szpitalnej. - Nat i Fletcher spojrzeli na siebie, ale się nie odezwali. - Nawet to, czy powiedzieć o tym każdemu z was osobno, czy nie, było problemem etycznym i przynajmniej ta decyzja jest oczywista. - Obaj kandydaci nadal milczeli. - Mam tylko jedną prośbę: informację, którą za chwilę wyjawię, zachowajcie w tajemnicy, chyba że obydwaj, powtarzam - obydwaj, zechcecie ją rozgłosić.

- Zgadzą się - rzekł Fletcher, patrząc na Nata.

- Ja też - powiedział Nat. - W końcu jest przy mnie mój adwokat.

- Nawet gdyby to miało wpłynąć na wynik wyborów? - spytał doktor, ignorując żarcik Nata. Obaj mężczyźni się zawahali, ale po chwili znowu potaknęli. - Oświadczam, że to, co powiem, nie jest możliwe czy prawdopodobne, ale po prostu nie ulega wątpliwości. - Doktor otworzył teczkę i spojrzął na świadectwo urodzenia i świadectwo zgonu.

- Senatorze Davenport i panie Cartwright - rzekł, jakby się zwracał do ludzi, których nigdy przedtem nie spotkał. - Muszę was poinformować, że po dwukrotnej analizie DNA stwierdzono, że jesteście nie tylko braćmi - ponownie spojrzął na świadectwo urodzenia - ale bliźniakami dwujajowymi. - Doktor Renwick chwilę milczał, aby mężczyźni pojęli wagę jego słów.

Nat wrócił myślą do dni, kiedy chwytał słownik, żeby sprawdzić znaczenie jakiegoś słowa. Fletcher pierwszy przerwał milczenie.

- To znaczy, że nie jesteśmy identyczni - rzekł.

- Tak jest - przytaknął doktor Renwick. - Opinia, że bliźnięta muszą być podobne, zawsze była mitem, fabrykowanym przede wszystkim przez romantycznych pisarzy.

- Ale to nie tłumaczy... - zaczął Nat.

- Jeżeli chcecie poznać odpowiedź na jakieś pytanie - wtrącił Renwick - jak na przykład, kim są wasi naturalni rodzice i w jaki sposób was rozdzielono, chętnie wam udostępnię tę teczkę do przestudiowania w stosownej chwili. - Doktor Renwick postukał znów palcem w otwartą teczkę.

Żaden z mężczyzn nie odpowiedział od razu. W końcu odezwał się Fletcher...

- Nie muszę tego oglądać - oznajmił.

Teraz zdziwił się doktor Renwick.

- Nie ma rzeczy, jakiej bym nie wiedział na temat Nata Cartwrighta - tłumaczył Fletcher - łącznie ze szczegółami o śmierci jego brata. - Nat skinął głową.

- Moja matka - powiedział - ciągle trzyma przy łóżku fotografię nas obu i często mówi o moim braciszku Peterze i o tym, na kogo by wyrósł. - Zamilkł i spojrzął na Fletchera. - Byłaby dumna z człowieka, który ocalił życie bratu. Ale muszę o coś spytać - zwrócił się do Renwicka. - Czy pani Davenport ma świadomość, że Fletcher nie jest jej synem?

- Nic o tym nie wiem - odparł doktor Renwick.

- Skąd jest pan taki pewien? - zapytał Fletcher.

- Ponieważ między innymi papierami, które są w tej teście, znalazłem list od lekarza, który odbierał was obu. Zostawił instrukcje, że list

może być otwarty tylko wtedy, gdyby wynikły jakieś wątpliwości co do waszych urodzin, na czym mogłaby ucierpieć reputacja szpitala. W tym liście jest napisane, że poza doktorem Greenwoodem była tylko jedna osoba, która знаła prawdę.

- Kto taki? - Nat i Fletcher spytali równocześnie.

Doktor Renwick przewrócił kartkę w teczce.

- Niejaka Heather Nichol, ale ponieważ i ona, i doktor Greenwood nie żyją, nie ma sposobu, żeby to potwierdzić.

- Ona była moją nianią - powiedział Fletcher - i jak pamiętam, zrobiłaby wszystko, żeby uszczęśliwić moją matkę. - Odwrócił się do Nata.

- Wolałbym jednak, żeby moi rodzice nigdy nie poznali prawdy.

- Nie ma problemu - rzekł Nat. - Co za sens narażać naszych rodziców na niepotrzebne przeżycia? Gdyby pani Davenport się dowiedziała, że Fletcher nie jest jej synem, a moja matka odkryła, że Peter wcale nie umarł i odebrano jej szansę wychowywania obojga jej dzieci, ich cierpienie i rozpacz trudno sobie wyobrazić.

- Też tak uważam - zgodził się Fletcher. - Moi rodzice zbliżają się do osiemdziesiątki, więc po co wywoływać duchy z przeszłości?

- Zamyślił się. - Chociaż przyznam, że zastanawiam się, jak inaczej wyglądałoby nasze życie, gdybym ja się znalazł w twoim łóżeczku, a ty w moim - powiedział, patrząc na Nata.

- Nigdy się tego nie dowiemy - odparł Nat. - Ale jedna rzecz jest pewna.

- Mianowicie? - zapytał Fletcher.

- I tak bym został gubernatorem Connecticut.

- Dlaczego jesteś taki pewny? - zagadnął Fletcher.

- Wystartowałem przed tobą i odtąd utrzymuję prowadzenie. W końcu jestem na świecie sześć minut dłużej niż ty.

- W ciągu godziny całkowicie to nadrobiłem.

- Oj, dzieci, dzieci - skarcił ich drugi raz Ben Renwick. Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem, a on zamknął teczkę. - Zatem zgadzamy się, że wszelkie dowody świadczące o Waszym pokrewieństwie powinny zostać zniszczone i nigdy nie należy o nich wspominać.

- Zgoda - rzekł Fletcher.

- Nigdy nie należy wspominać - powtórzył Nat.

Obydwaj przyglądali się, jak doktor Renwick otwiera teczkę i najpierw wyjmuje świadectwo urodzenia, po czym umieszcza je zdecydowanym ruchem w niszczarce dokumentów. Żaden się nie odezwał, kiedy patrzyli, jak znikają kolejne dowody. Następny po świadectwie urodzenia był trzystronicowy list z 11 maja 1949 roku, podpisany przez doktora Greenwooda. Potem Renwick wkładał do niszczarki dokumenty i notatki szpitalne, aż w końcu została mu pusta tekturowa teczka, na której widniał napis: Nathaniel i Peter Cartwright. Podarł ją na cztery części i nakarmił nimi żarłoczną maszynę.

Fletcher chwiejnie wstał i wyciągnął rękę do brata.

- Do zobaczenia w rezydencji gubernatora - rzekł.

- No pewno - powiedział Nat i go objął. - Od razu każę zainstalować pochylnię dla wózków inwalidzkich, żebyś mógł mnie regularnie odwiedzać.

- Cóż, muszę iść - rzekł Fletcher i odwrócił się, żeby uściśnąć rękę doktorowi. - Mam wybory do wygrania. - Utykając, podszedł do drzwi, próbując uprzedzić Nata, ale brat podskoczył i je otworzył.

- Nauczono mnie otwierać drzwi kobietom, starcom i inwalidom - wyjaśnił Nat.

- Możesz do nich dodać przyszłych gubernatorów - rzekł Fletcher, przestępując próg.

- Czytałeś może mój projekt o zasiłkach dla niepełnosprawnych? - zagadnął Nat, zrównując się z nim.

- Nie - odparł Fletcher. - Nie zawracam sobie głowy niepraktycznymi pomysłami, które nigdy nie znajdują zastosowania.

- Wiesz, tylko jednego będę żałował - powiedział Nat, kiedy znaleźli się sami na korytarzu i doktor Renwick nie mógł ich słyszeć.

- Mam zgadnąć? - spytał Fletcher, spodziewając się kolejnego żarciku.

- Myślę, że to byłaby fantastyczna sprawa dorastać z takim bratem jak ty.

Przepowiednia doktora Renwicka była trafna. Senator Davenport wypisał się ze szpitala pod koniec tygodnia i dwa tygodnie później nikt by nie uwierzył, że przed miesiącem otarł się o śmierć.

Kilka dni przed wyborami prezydenckimi sondaże wykazały, że notowania Clintona poszły w górę, podczas gdy Perot odbierał poparcie Bushowi. Nat i Fletcher objeżdżali stan z szybkością, która mogłaby zaimponować niejednemu olimpijczykowi. Żaden nie czekał na wezwanie drugiego do debaty, a kiedy jedna z lokalnych stacji telewizyjnych zaproponowała im trzy spotkania, nie trzeba było ich długo namawiać.

Powszechnie uważano, że Fletcher wypadł lepiej w pierwszym pojedynku i sondaże opinii publicznej potwierdziły to wrażenie, gdyż po raz pierwszy uzyskał przewagę. Nat z miejsca ograniczył podróże i ćwiczył kilka godzin pod kierunkiem swoich ludzi. Opłaciło się, bo nawet miejscowi demokraci przyznali, że wygrał drugą rundę i w sondażach znowu wysunął się na czoło.

Tak dużo zależało od ostatniej debaty, że kandydaci, bojąc się popełnienia jakiegoś błędu, zachowywali się jak sparaliżowani i spotkanie zakończyło się patem; Lucy bezceremonialnie określiła je jako nudy na pudy. Żaden z kandydatów się nie zmartwił, kiedy się okazało, że konkurencyjna stacja telewizyjna nadała w tym czasie transmisję meczu futbolowego, który oglądało dziesięć razy więcej widzów. Nazajutrz sondaże podawały, że każdy z kandydatów uzyskał czterdzieści sześć procent poparcia, a osiem procent wyborców określały jako niezdecydowanych.

- Gdzie oni byli przez ostatnie pół roku? - dziwił się Fletcher.

- Nie każdy jest tak zafascynowany polityką jak ty - zauważyła Annie przy śniadaniu tego ranka. Lucy jej przytaknęła.

Żeby dotrzeć do każdego zakątka w stanie, w ostatnim tygodniu Fletcher wynajął helikopter, a Nat wypożyczył z banku mały samolot odrzutowy; procent niezdecydowanych zmalał wtedy do sześciu, a każdy z rywali otrzymał po jednym procencie. Z końcem tygodnia kandydatom się wydawało, że nie ma takiego centrum handlowego, fabryki, dworca kolejowego, ratusza, szpitala, a nawet ulicy, których by nie odwiedzili, i obaj doszli do wniosku, że najbardziej się liczy organizacja u podstaw. A zwycięzcą zostanie ten, kto będzie dysponował najsprawniejszą machiną wyborczą w dniu, kiedy ludzie pójdą do urn. Nikt nie był tego bardziej świadomy niż Tom i Jimmy, ale nie przychodziło im do głowy nic, czego by już nie zrobili albo na co by się nie przygotowali, i pozostawało im tylko

snuć domysły, co w ostatniej chwili może pójść źle.

Dzień wyborów wydał się Natowi pasmem niewyraźnych obrazów lotnisk i głównych ulic, usiłował bowiem przed końcem głosowania o ósmej wieczorem odwiedzić każde miasto, w którym znajdował się pas startowy. Ledwie samolot dotknął ziemi, Nat biegł do drugiego samochodu w kawalkadzie i odjeżdżał z prędkością siedemdziesięciu mil na godzinę, a gdy osiągnął granice miasta, zwalniał do dziesięciu mil i machał do każdego, kto wykazywał choćby najmniejsze zainteresowanie. Na koniec sunął główną ulicą w tempie spacerowym, a potem powtarzał cały proces w odwrotną stronę, pędząc szaleńczo z powrotem na lotnisko, żeby odlecieć do następnego miasta.

Fletcher spędził ostatni ranek w Hartford, próbując zmobilizować trzon swoich wyborców, a potem poleciał helikopterem w rejon najgęściej zaludniony przez demokratów. Późnym wieczorem komentatorzy spierali się o to, który z kandydatów lepiej wykorzystał kilka ostatnich godzin. Obydwaj wylądowali na hartfordzkim lotnisku Brainard kilka minut po zamknięciu lokali wyborczych.

Normalnie w takich sytuacjach kandydaci unikają się jak ognia, ale te dwa zespoły pospieszyły sobie na spotkanie niczym konni rycerze na turnieju.

- Senatorze - powiedział Nat. - Chciałbym zobaczyć się z panem z samego rana, bo muszę wprowadzić kilka zmian w pańskim projekcie ustawy o edukacji, zanim go podpiszę.

- Jutro o tej porze projekt ustawy będzie prawem - odparł Fletcher. - Od jego podpisania zacznę urzędowanie gubernatora.

Obaj panowie zorientowali się, że ich najbliżsi pomocnicy odsunęli się do tyłu, aby umożliwić im rozmowę w cztery oczy, i pojęli, że szermierka słowna nie ma sensu, jeżeli brak publiczności, przed którą można się popisać.

- Co z Lucy? - zagadnął Nat. - Mam nadzieję, że jej problemy są już załatwione.

- Skąd o tym wiesz? - spytał Fletcher.

- Do jednego z członków mojego personelu dwa tygodnie temu dotarły szczegóły sprawy. Ostrzegłem go, że jeżeli jeszcze raz poruszy ten temat, będzie musiał odejść.

- Jestem ci wdzięczny - rzekł Fletcher - bo do tej pory nic nie mówiłem Annie. - Na chwilę umilkł. - Lucy spędziła kilka dni w Nowym Jorku pod opieką Logana Fitzgeralda, a potem wróciła do domu, żeby towarzyszyć mi podczas kampanii.

- Żałuję, że jak każdy stryj, nie mogłem widzieć, kiedy dorastała. Byłbym szczęśliwy, gdybym miał córkę.

- Ona chętnie zamieniłaby mnie na ciebie - rzekł Fletcher. - Musiałem nawet podnieść jej kieszonkowe, żeby przestała mi bez przerwy przypominać, jaki ty jesteś wspaniały.

- Nigdy ci tego nie mówiłem - zauważył Nat - ale po twojej akcji z tym facetem, który trzymał pod bronią klasę pani Hudson w Hartford, Luke umieścił twoje zdjęcie na ścianie w swojej sypialni i nigdy go nie zdjął. Więc proszę, przekaż ode mnie serdeczne pozdrowienia mojej bratanicy.

- Chętnie to zrobię, ale ostrzegam, że jeżeli wygrasz, ona zamierza opóźnić rozpoczęcie studiów o rok i starać się o pracę u ciebie w biurze jako stażystka, przy czym już mi oznajmiła, że gdybym to ja został gubernatorem, to nie mam co na nią liczyć.

- Wobec tego będę czekał, żeby dołączyła do mojego zespołu - rzekł Nat. Tymczasem podszedł do nich jeden z pomocników i zasugerował, że czas ruszać.

- Jak chcesz to rozegrać dziś wieczorem? - spytał Fletcher z uśmiechem.

- Jeżeli któryś z nas będzie miał przed północą wyraźną przewagę, to drugi zatelefonuje i uzna jego zwycięstwo?

- Dobrze - rzekł Fletcher. - Myślę, że pamiętasz mój domowy numer.

- Będę czekał na telefon, senatorze - powiedział Nat. Kandydaci uścisnęli sobie ręce przed halą lotniska i samochody powiozły ich w przeciwnych kierunkach.

Wyznaczone eskorty policjantów stanowych towarzyszyły obu kandydatom. Rozkazy były jasne. Jeżeli wasz kandydat wygrywa, ochraniać nowego gubernatora. Jeżeli przegrywa, macie wolny weekend.

Żadna ekipa nie miała wolnego weekendu.

Nat włączył radio, gdy wszedł do samochodu - Pierwsze sondaże wśród opuszczających lokale wyborcze wyraźnie świadczyły o tym, że Bili Clinton wprowadzi się do Białego Domu w styczniu przyszłego roku i że prezydent Bush prawdopodobnie będzie musiał przed północą uznać jego zwycięstwo. Całe życie służby publicznej, rok kampanii, dzień głosowania i kariera polityczna człowieka sprowadza się do przypisu w podręcznikach historii. „Taka jest demokracja”, jak później zauważył ze smutkiem prezydent Bush.

Inne sondaże z całego kraju wskazywały, że nie tylko Biały Dom, ale również Senat i Kongres znajdują się pod kontrolą demokratów.

Prezenter CBS Dan Rather donosił, że losy kilku mandatów nie są jeszcze rozstrzygnięte.

- Na przykład w Connecticut walka o stanowisko gubernatora wciąż trwa i na podstawie najnowszych sondaży nie można przewidzieć wyników. Ale oddaję teraz głos naszemu korespondentowi w Little Rock, który stoi przed domem gubernatora Clintona.

Nat wyłączył radio, kiedy w asyście trzech terenówek zajechał przed dom. Czekali już na niego dwaj kamerzyści telewizyjni, jeden reporter radiowy i dwoje dziennikarzy - jakże inaczej niż w Arkansas, gdzie ponad sto kamer telewizyjnych i nieprzeliczone rzesze dziennikarzy z radia i gazet czatowały na pierwsze słowa prezydenta-elekta. Tom stał przy drzwiach frontowych.

- Nie musisz mi mówić - rzekł Nat, wymijając dziennikarzy. - Nie wiadomo, kto wygra. Więc kiedy usłyszymy coś konkretnego?

- Spodziewamy się pierwszych danych w ciągu godziny - odparł Tom. - A jeżeli to będzie Bristol, to oni zwykle wypowiadają się za demokratami.

- Tak, ale jaką przewagą głosów? - zapytał Nat, kiedy skierowali się do kuchni. Su Ling siedziała wpatrzona w telewizor, z pieca dolatywał swąd przypalonego mięsa.

Fletcher stał przed telewizorem i przyglądał się, jak Clinton macha do tłumów z balkonu swojego domu w Arkansas. Równocześnie próbował się przysłuchiwać relacji Jimmy'ego. Kiedy pierwszy raz spotkał gubernatora Arkansas na konwencji demokratów w Nowym Jorku, nie dawał mu szans. I pomyśleć, że ledwie w zeszłym roku, po zwycięstwie Ameryki w wojnie w Zatoce Perskiej, Bush miał najwyższe poparcie opinii publicznej w dziejach.

- Może Clinton jest zwyciężcą - rzekł Fletcher - ale pewne, że Bush to wielki przegrany. - Patrzył jak, Bili i Hillary się obejmują, a ich speszona dwunastoletnia córka stoi obok. Pomyślał o Lucy i jej niedawnej aborcji i zdał sobie sprawę, że wiadomość o tym ukazałaby się na pierwszych stronach gazet, gdyby się ubiegał o prezydenturę. Ciekawe, pomyślał, jak Chelsea poradziłaby sobie w takiej stresującej sytuacji.

Lucy wpadła jak bomba do pokoju.

- Przyrządziłyśmy z mamą wszystkie twoje ulubione potrawy bo w ciągu następnych czterech lat będą tylko oficjalne imprezy. - Uśmiechem zareagował na jej młodzieńczą żywiołowość. - Gotowane kolby kukurydzy, spaghetti bolognese i jak wygrasz przed północą, to creme brulee.

- Ale nie wszystko naraz - poprosił Fletcher błagalnym tonem i zwracając się do Jimmy'ego, który odkąd wszedł do domu, prawie nie odkładał słuchawki telefonu, zapytał: - Kiedy się spodziewasz pierwszych wyników?

- Lada chwila - odparł Jimmy. - Bristol tym się szczyci, że zawsze pierwszy ogłasza wyniki. Powinniśmy u nich zdobyć przewagę od trzech do czterech procent, jeżeli mamy zwyciężyć.

- A jak będzie mniej niż trzy procent?

- To czekają nas kłopoty - odparł Jimmy.

Nat spojrział na zegarek. W Hartford było już po dziewiątej, ale telewizja pokazywała wyborców, którzy szli głosować w Kalifornii.

Na ekranie ukazał się napis: Wiadomość z ostatniej chwili. NBC jako pierwsza sieć telewizyjna ogłosiła, że Clinton będzie nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Dziennikarze telewizyjni nadali już George'owi Bushowi okrutny przydomek „prezydenta jednej kadencji”.

W domu nieustannie dzwonił telefon, przy którym czuwał Tom. Jeśli uważał, że Nat powinien rozmawiać z telefonującym, oddawał mu słuchawkę, jeżeli nie, powtarzał: „W tej chwili jest zajęty, ale dziękuję za telefon. Przekażę mu pańską wiadomość”.

- Oby nie zabrakło telewizora wszędzie tam, gdzie będę „zajęty” - rzekł Nat - bo inaczej nie będę wiedział, czy objąć urząd gubernatora, czy ustąpić - dodał, usiłując się uporać z przypalonym befsztykiem.

- Nareszcie jakaś konkretna wiadomość - oznajmił Tom - ale trudno orzec, komu to pomoże: frekwencja w Connecticut wyniosła pięćdziesiąt jeden procent, dwa punkty powyżej przeciętnej krajowej. - Nat skinął głową i znów utkwiał wzrok w ekranie telewizyjnym. Z każdego zakątka stanu przekazywano wiadomość, że wyniki są zbyt zbliżone, by można było coś rozstrzygnąć.

Kiedy Nat usłyszał słowo „Bristol”, odsunął talerz z befsztykiem.

- A teraz - powiedział prezenter telewizyjny - łączymy się z naszym korespondentem na miejscu, który przekaze najświeższe nowiny.

- Dan, lada moment spodziewamy się tutaj wyników i powinien to być pierwszy konkretny sygnał, jak bardzo wyrównany jest wyścig o stanowisko gubernatora. Jeżeli demokraci wygrają o... chwileczkę, właśnie nadają mi wynik przez słuchawki... Demokraci zwyciężyli w Bristolu. - Lucy podskoczyła na krześle, ale Fletcher się nie poruszył, czekając, aż wyniki zostaną wyświetlone na dole ekranu. - Fletcher Davenport otrzymał osiem tysięcy sześćset cztery głosy, Nat Cartwright osiem tysięcy trzysta siedemdziesiąt dziewięć - ogłosił reporter.

- Trzy procent. Gdzie teraz?

- Prawdopodobnie Waterbury - odparł Tom - gdzie powinniśmy

dobrze wypaść, bo...

- A w Waterbury przewagę zdobyli republikanie większością ponad pięciu tysięcy głosów, dzięki czemu Nat Cartwright wysuwa się na czoło.

Do końca wieczoru obydwaj kandydaci to podrywali się, to opadali na krzesło, to znów się podrywali, ponieważ w ciągu następnych dwu godzin sytuacja zmieniała się szesnaście razy i nawet komentatorom zabrakło już przenośni. Jednak lokalny prezenter zdołał znaleźć okienko między napływającymi wciąż wynikami i ogłosił, że prezydent Bush zatelefonował do Arkansas do gubernatora Clintona i uznał jego zwycięstwo. Złożył prezydentowi-elektowi gratulacje i przekazał mu najlepsze życzenia. Czy zapowiada się era nowego Kennedy'ego? - pytali politykerzy.

- A teraz wracamy do rywalizacji o stanowisko gubernatora Connecticut i oto coś dla entuzjastów statystyki: w tej chwili demokraci mają przewagę nad republikanami i głosy wyborców rozkładają się następująco: 170 141 i 168 872. Senator Davenport otrzymał ogółem tysiąc dwieście sześćdziesiąt dziewięć głosów więcej. Ponieważ stanowi to mniej niż jeden procent, konieczne będzie ponowne liczenie. A jeżeli to się okaże niewystarczające - dodał komentator - czekają nas dodatkowe komplikacje, gdyż w okręgu Madison obowiązuje wiekowa tradycja powstrzymania się z liczeniem głosów do jutra do dziesiątej rano.

Teraz na ekranie pokazał się Paul Holbourn, burmistrz Madison. Noszący siódmy krzyżyk polityk zaprosił wszystkich do odwiedzenia tego malowniczego, nadmorskiego miasta, które zdecyduje, kto będzie nowym gubernatorem stanu.

- Jak to interpretujesz? - Nat spytał Toma, który, coś podliczał na kalkulatorze.

- Fletcher ma teraz przewagę tysiąca dwustu sześćdziesięciu dziewięciu głosów, a podczas poprzednich wyborów republikanie zwyciężyli w Madison, uzyskując tysiąc trzysta dwanaście głosów więcej.

- To chyba będziemy faworytami - zauważył Nat.

- Chciałbym, żeby to było takie proste - westchnął Tom - bo jeszcze jeden element musimy wziąć pod uwagę.

- Jaki?

- Obecny gubernator Connecticut urodził się i wychował w Madison, więc to musiało wpłynąć na decyzje wyborców.

- Powiniennem pojechać do Madison jeszcze raz - powiedział Nat.

- Byłeś tam dwukrotnie, jeden raz więcej niż Fletcher.

- Powiniennem zatelefonować do niego - rzekł Nat - i wyraźnie mu powiedzieć, że nie zamierzam ustąpić.

Tom skinął głową i Nat poszedł do telefonu. Nie musiał szukać prywatnego numeru senatora, bo wykręcał go codziennie w czasie procesu.

- Witam - odezwał się jakiś głos. - Tu rezydencja gubernatora.

- Nie, jeszcze nie - powiedział Nat stanowczo.

- O, to pan Cartwright - rzekła Lucy. - Czy chciałby pan rozmawiać z gubernatorem?

- Nie, chcę mówić z twoim ojcem.

- Dlaczego? Czy pan uznaje jego zwycięstwo?

- Nie. Poczekam, aż on zrobi to jutro, a wtedy, jak będziesz grzeczna, zaproponuję ci pracę.

Fletcher schwycił słuchawkę.

- Przepraszam Nat - powiedział. - Chyba dzwonisz, żeby oznajmić,

że zawieszamy grę i spotykamy się jutro w samo południe?

- Tak, a skoro o tym mowa, to ja zamierzam wystąpić w roli Gary Coopera - oświadczył Nat.

- Wobec tego do spotkania na Ulicy Głównej, szeryfie.

- Ciesz się, że twoim przeciwnikiem nie jest Ralph Elliot.

- Dlaczego?

- Bo w tej chwili byłby w Madison, napełniając urny wyborcze dodatkowymi głosami.

- To by nie zrobiło żadnej różnicy - rzekł Fletcher.

- Dlaczego nie? - spytał Nat.

- Bo gdyby Elliot był moim rywalem, już dawno bym wygrał śpiewająco.

Księga Siódma

Liczy

Jazda do Madison zajęła Natowi około godziny i gdy zbliżał się do granic miasteczka, mógł sądzić, że odbędą się tutaj finały mistrzostw w baseballu.

Autostradę wypełniały samochody udekorowane czerwono-biało-niebieskimi godłami, przez tylne szyby spoglądały pustym wzrokiem liczne osły i słonie. Kiedy skręcił w zjazd do Madison, mieściny liczącej dwanaście tysięcy trzystu siedemdziesięciu dwóch mieszkańców, połowa samochodów opuściła autostradę niczym metalowe opiłki - przyciągane przez magnes.

- Jeżeli odliczyć tych, którzy są za młodzi, żeby głosować - rzekł Nat - to frekwencja powinna wynieść około pięciu tysięcy.

- Niekoniecznie - zauważył Tom. - Podejrzewam, że będzie trochę wyższa. Pamiętaj, że Madison to miejsce, gdzie ludzie na emeryturze odwiedzają swoich długowiecznych rodziców, więc nie ma tu klubów młodzieżowych i dyskotek.

- To powinno być korzystne dla nas - orzekł Nat.

- Zrezygnowałem już z wszelkich przewidywań - powiedział Tom z westchnieniem.

Nie trzeba było tablic wskazujących drogę do ratusza, gdyż wszyscy zdawali się zmierzać w tym samym kierunku, przekonani, że osoba idąca przodem dobrze wie, dokąd zmierza. Zanim mała kawalkada Nata dotarła do śródmieścia, wyprzedziły ją matki wiozące w wózkach swoje pociechy. Kiedy skręcili w Ulicę Główną, co chwila musieli się zatrzymywać, bo przechodnie wylewali się z chodników na jezdnię. Gdy kaleka na wózku inwalidzkim wyprzedził samochód Nata, ten uznał, że czas wysiąść i pójść na piechotę. To go jeszcze bardziej spowolniło, bo kiedy ludzie poznali kandydata, obścapi go, żeby uścisnąć mu rękę; a kilku spytało, czy zechciałby pozować do zdjęcia z żoną.

- Cieszę się, że już się zaczęła kampania przed twoim ponownym wyborem - zakpił Tom.

- Dopilnujmy, żeby najpierw wybrano mnie pierwszy raz - odrzekł Nat, kiedy znaleźli się przed ratuszem. Wchodził po schodach, ściskając ręce sympatykom, jakby to było w przededniu wyborów, a nie dzień po. Nie mógł się opędzić od myśli, czy to się zmieni, kiedy będzie schodził po tych schodach i ci sami ludzie już poznają wynik wyborów. Tom dostrzegł burmistrza, który stał na najwyższym stopniu i ich wypatrywał.

- Paul Holbourn - szepnął Tom. - Był burmistrzem przez trzy kadencje i właśnie w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat wygrał czwarte

wybory - nie miał kontrkandydatów.

- Miło cię znowu widzieć, Nat - rzekł burmistrz, jakby byli starymi przyjaciółmi, chociaż w istocie spotkali się tylko jeden raz.

- Mnie też miło pana widzieć - odpowiedział. Nat, ściskając rękę burmistrzowi. - Gratuluję ponownego wyboru - bez konkurencji, jak mówią.

- Dziękuję - rzekł burmistrz. - Fletcher przyjechał kilka minut temu i czeka w moim biurze, więc chodźmy do niego. - Kiedy znaleźli się w budynku, Holbourn dodał: - Chciałem zająć wam parę chwil i objaśnić procedurę, jaką stosujemy w Madison.

- Nie mam nic przeciwko temu - powiedział Nat, świadom, że nawet gdyby było inaczej, nie miałyby to najmniejszego znaczenia.

Tłumek osobistości i dziennikarzy podążył za nimi korytarzem do biura burmistrza, gdzie Nat i Su Ling dołączyli do Fletchera, Annie i grupy trzydziestu osób, które uważały, że mają prawo znajdować się - w gronie wybrańców.

- Nat, czy miałbyś ochotę napić się kawy, zanim zaczniemy? - zapytał burmistrz.

- Nie, dziękuję panu - odparł Nat.

- A twoja urocza żoneczka? - Su Ling potrząsnęła przecząco głową; nie poczuła się dotknięta staroświeckim odezwaniami wiekowego pana. - Wobec tego zaczynam - oznajmił burmistrz, zwracając się do zgromadzonych, którzy się wcisnęli do jego biura.

- Panie i panowie - burmistrz zawiesił głos - i przyszły panie gubernatorze - usiłował spojrzeć na obu mężczyzn naraz. - Liczenie zacznie się dziś o dziesiątej rano zgodnie z ponad stuletnim zwyczajem w Madison i nie widzę powodu, żeby się spóźniać tylko dlatego, że nasza procedura wzbudziła nieco większe zainteresowanie niż zazwyczaj.

Fletchera rozbawiło to niedopowiedzenie, ale rozumiał, że burmistrz pragnął się rozkoszować każdą chwilą swojej piętnastominutowej sławy.

- Miasto - ciągnął burmistrz - liczy dziesięć tysięcy dziewięciuset czterdziestu dwóch zarejestrowanych wyborców, zamieszkujących jedenaście obwodów. Dwadzieścia dwie urny wyborcze zostały, jak zawsze w przeszłości, zabrane kilka minut po zamknięciu punktów wyborczych i przekazane pod opiekę naszego komendanta policji, który je zamknął na noc.

Kilka osób zaśmiało się grzecznie z żarciku burmistrza, on też się uśmiechnął i zgubił wątek. Zdawał się wahać, ale jego szef personelu pochylił się do niego i szepnął mu do ucha:

- Urny wyborcze.

- Tak, oczywiście. Urny wyborcze zostały dostarczone do ratusza dziś o dziewiątej rano, kiedy to poprosiłem kierownika administracyjnego, żeby sprawdził, czy pieczęcie nie zostały naruszone. Potwierdził, że są nietknięte. - Burmistrz rozejrzał się wokół i zobaczył, że jego podwładni kiwają głowami. - O godzinie dziesiątej przetną pieczęcie, z urn zostaną wyjęte karty do głosowania i umieszczone na stole na środku głównej sali. Celem pierwszego liczenia jest sprawdzenie, ilu ludzi oddało głosy. Kiedy to zostanie ustalone, karty zostaną posortowane na trzy sterty: jedną z głosami oddanymi na republikanów, drugą - na demokratów i trzecią - wątpliwę.

Aczkolwiek mogę dodać, że te ostatnie są raczej rzadkością w Madison, ponieważ dla nas wielu jest to może ostatnia szansa oddania głosu. - Uwaga ta została przyjęta nerwowym śmieszkiem, choć Nat nie miał

wątpliwości, że burmistrz mówił serio.

- Moim ostatnim zadaniem jako przewodniczącego komisji wyborczej będzie ogłoszenie wyników, które zadecydują o tym, kto zostanie gubernatorem naszego wspaniałego stanu. Mam nadzieję, że zakończę całą procedurę do południa. - Jeżeli to się będzie odbywało w tym tempie, to nie, pomyślał Fletcher. - A teraz, czy są jakieś pytania, zanim zaprowadzę państwa do głównego budynku?

Tom i Jimmy zaczęli mówić równocześnie i Tom skinął uprzejmie tamtemu, gdyż przypuszczał, że chce on zadać takie samo pytanie.

- Ilu jest liczących? - spytał Jimmy.

Urzędnik znowu szepnął coś do ucha burmistrzowi.

- Dwudziestu i wszyscy są pracownikami rady miejskiej - rzekł burmistrz - a ponadto członkami miejscowego klubu brydżowego. - Ani Nat, ani Fletcher nie pojęli wagi tego oświadczenia, ale nie wyrażali chęci, by pytać o dalsze objaśnienia.

- A ilu dopuszcza się obserwatorów? - spytał Tom.

- Zgodzę się na obecność dziesięciu przedstawicieli każdej ze stron - rzekł burmistrz. - Będą oni mogli stać o krok z tyłu za liczącymi, ale nie wolno im się do nich odzywać. W razie jakichś wątpliwości powinni się zwrócić do mojego szefa personelu, a gdyby on nie umiał ich rozstrzygnąć, zwróci się do mnie.

- A kto wystąpi w roli arbitra, jeżeli będą karty z głosami budzącymi wątpliwości?

- Przekonacie się państwo, że są one rzadkością w Madison - powtórzył burmistrz, zapomniawszy, że już wyraził tę opinię - ponieważ dla wielu nas może to być ostatnia szansa oddania głosu. - Tym razem nikt się nie zaśmiał, chociaż burmistrz nie odpowiedział na pytanie Toma. Jednak Tom postanowił, że nie będzie pytał drugi raz. - Cóż, jeżeli nie ma więcej pytań - rzekł burmistrz - zaprowadzę wszystkich państwa do naszej historycznej sali ratuszowej z roku tysiąc osiemset sześćdziesiątego siódmego, z której jesteśmy niezmiernie dumni.

Została zaprojektowana tak, aby pomieścić nie więcej niż tysiąc osób, jako że ludność Madison nie wypuszczała się często na miasto wieczorami. Ale teraz, zanim jeszcze burmistrz, jego urzędnicy, Fletcher, Nat i osoby im towarzyszące weszli do środka, bardziej przypominała japońską stację kolejową w godzinach szczytu niż salę ratusza w sennej, nadmorskiej mieścinie w Connecticut. Nat miał nadzieję, że nie było tu naczelnika straży pożarnej, gdyż zapewne wszelkie możliwe przepisy bezpieczeństwa zostały naruszone.

- Zacznę od poinformowania wszystkich, jak zamierzam przeprowadzić liczenie głosów - rzekł burmistrz i skierował się ku podium, obydwaj kandydaci zastanawiali się, czy tam dobrnie. W końcu mała, siwa figurka wdrapała się na podwyższenie i stanęła przed obniżonym mikrofonem.

- Panie i panowie - padły słowa. - Nazywam się Paul Holbourn i tylko obcy przybysze nie wiedzą, że jestem burmistrzem Madison. - Fletcher podejrzewał, że większość obecnych jest pierwszy i ostatni raz w historycznej sali ratuszowej. - Ale dzisiaj - ciągnął burmistrz - staję przed wami w roli przewodniczącego komisji wyborczej okręgu Madison. Objasniłem już obu kandydatom, jaką zamierzam zastosować procedurę, którą teraz przedstawię znowu...

Fletcher zaczął się rozglądać dokoła i prędko się zorientował, że

prawie nikt nie słucha burmistrza, gdyż ludzie się przepychają, żeby zapewnić sobie miejsce jak najbliżej wydzielonego obszaru, gdzie odbędzie się liczenie głosów.

Kiedy burmistrz zakończył przemowę, podjął heroiczną próbę powrotu na środek sali; nie zostałaaby ona uwieczniona sukcesem, gdyby nie to, że procedura nie mogła się zacząć bez jego błogosławieństwa.

Gdy Holbourn w końcu dotarł do bramki, główny referent wręczył mu nożyczki. Burmistrz przystąpił do przecinania pieczęci na dwudziestu dwu urnach niczym do podniosłej ceremonii otwarcia. Po zakończeniu tej czynności urzędnicy opróżnili urny i zaczęli wykladać karty do głosowania na długi stół. Burmistrz dokładnie sprawdził, czy urny są puste - najpierw odwracał każdą do góry dnem, potem potrząsał nimi jak magik, który pragnie zademonstrować, że w środku nic nie ma. Zaproszono obydwu kandydatów, żeby sprawdzili urny jeszcze raz.

Tom i Jimmy nie spuszczały oczu ze środkowego stołu, kiedy urzędnicy zaczęli rozdzielać karty między liczących, jak krupierzy ustawiający kupki żetonów na stołach do ruletki. Zaczęli od układania kart po dziesięć sztuk i owijania każdej setki taśmą elastyczną.

Ta prosta czynność trwała blisko godzinę i do tego czasu burmistrz nie miał już nic do powiedzenia o Madison chętnym, którzy jeszcze chcieli słuchać. Potem pakiety zawierające po sto kart zostały zliczone przez głównego referenta, który potwierdził, że jest ich pięćdziesiąt dziewięć i jeden niepełny.

Dawniej w tym momencie burmistrz zawsze wracał na podium, ale obecnie główny referent uznał, że wygodniej będzie przenieść mikrofon. Paul Holbourn zaakceptował tę innowację i byłby to dobry pomysł, gdyby nie to, że przewód okazał się za krótki i nie sięgał do wydzielonego obszaru, jednak burmistrz musiał pokonać o wiele mniejszą odległość. Dmuchał w mikrofon, który wydał dźwięk jak pociąg wjeżdżający do tunelu; burmistrz miał nadzieję, że w ten sposób przywoła ludzi do porządku.

- Panie i panowie - zaczął, spoglądając na karteluszek, który podał mu główny referent. - Pięć tysięcy dziewięciuset trzydziestu czterech zanych obywateli Madison wzięło udział w wyborach, co - jak mi powiedziano - oznacza pięćdziesiąt cztery procent elektoratu, jeden procent powyżej przeciętnej w stanie.

- Może się okazać, że ten dodatkowy jeden procent będzie na naszą korzyść - szepnął Tom Natowi do ucha.

- Dodatkowe procenty zwykle przynoszą korzyść demokratom - przypomniał mu Nat.

- Nie wtedy, kiedy średnia wieku głosujących wynosi sześćdziesiąt trzy lata - zauważył Tom.

- Naszym następnym zadaniem - ciągnął burmistrz - jest rozdzielenie głosów obu stron, tak abyśmy mogli rozpocząć liczenie.

Nikt się nie dziwił, kiedy ta czynność trwała jeszcze dłużej, gdyż burmistrza i jego urzędników ciągle wzywano, żeby rozstrzygali sprawy sporne. Kiedy wreszcie rozdzielono karty, zaczęła się poważna praca liczenia głosów. Kupki po dziesięć kart powiększały się do stu, a potem układano je w równe szeregi niczym żołnierzy na paradzie.

Nat miał ochotę okrazać salę i obserwować cały ten proces, ale panował taki tłok, że musiał się zadowolić regularnymi raportami, donoszonymi mu przez adiutantów z placu boju. Jednak Tom zdecydował się na przepychanie i po wykonaniu rundy wokół sali doszedł do wniosku,

że choć wyglądało na to, że Nat prowadzi, to nie wiadomo, czy nadrobi przewagę 118 głosów, jaką zyskał Fletcher w wyniku ponownego przeliczenia kart z poprzedniego dnia.

Minęła jeszcze godzina, zanim skończono liczyć i ułożono dwie sterty kartek, jedna naprzeciwko drugiej. Teraz burmistrz poprosił obydwu kandydatów, żeby dołączyli do niego na odgrodzonym miejscu na środku sali. Wyjaśnił, że jego urzędnicy odrzucili szesnaście kart i dlatego chciałby się z nimi naradzić, zanim zdecyduje, czy jakieś należy uznać za ważne.

Nikt nie mógłby oskarżyć burmistrza, że nie wierzy w jawne rządy, gdyż szesnaście kart wyborczych wyłożono na środku stołu, żeby wszyscy je zobaczyli. Na ośmiu nie było żadnego znaku i obaj kandydaci zgodnie uznali, że należy je odrzucić. Dwie z napisami: „Cartwrighta należało posłać na krzesło elektryczne” i „Żaden prawnik nie nadaje się na urząd publiczny” także szybko odrzucono. Na sześciu pozostałych przy nazwiskach widniały znaczki inne niż krzyżyki, ale ponieważ głosy były podzielone po połowie, burmistrz zasugerował, by uznać je za ważne. Jimmy i Tom sprawdzili owe sześć kart i zaaprobowali sąd burmistrza.

Skoro ten mały antrakt żadnemu z kandydatów nie przyniósł najmniejszej korzyści, burmistrz dał znak, żeby zacząć pełne liczenie głosów. Stosiki zawierające po sto kart znów ustawiono przed liczącymi, a Nat i Fletcher usiłowali na odległość ocenić, czy przegrali bądź w takim stopniu wygrali, by zmienić nagłówki w swojej papeterii na następne cztery lata.

Kiedy wreszcie zakończono liczenie, dyrektor administracyjny podał burmistrzowi karteczkę z wypisanymi na niej dwoma liczbami. Nie trzeba było prosić o ciszę, bo wszyscy chcieli usłyszeć wynik. Burmistrz, porzuciwszy zamiar przedostania się na podium, po prostu ogłosił, że republikanie wygrali stosunkiem głosów 3019 do 2905. Następnie wymienił uścisk rąk z obydwojema kandydatami, najwyraźniej przekonany, iż spełnił swoje zadanie, a tymczasem wszyscy pozostali usiłowali zrozumieć znaczenie tych liczb.

Po chwili kilku zwolenników Fletchera zaczęło skakać z radości, kiedy pojęli, że wprawdzie przegrał on w Madison 114 głosami, ale w całym stanie wygrał czterema. Burmistrz był już w drodze do biura, myśląc o upragnionym i zasłużonym lunchu, kiedy Tom go dogonił. Wy tłumaczył burmistrzowi istotne znaczenie miejscowego wyniku i dodał, że w imieniu kandydata żąda ponownego przeliczenia głosów. Burmistrz wrócił powoli na salę, gdzie powitały go okrzyki: „przeliczyć jeszcze raz, przeliczyć jeszcze raz, przeliczyć jeszcze raz”, po czym bez naradzania się ze swoimi urzędnikami oznajmił, że właśnie taki miał zamiar.

Kilku liczących, którzy zaczęli zbierać manatki i szykować się do wyjścia, prędko wróciło na swoje miejsca. Fletcher uważnie wysłuchał tego, co Jimmy szeptał mu do ucha, rozważył jego sugestię, ale stanowczo się sprzeciwił.

Jimmy zwrócił mu uwagę, że burmistrz nie jest uprawniony, żeby zarządzić ponowne liczenie głosów, gdyż to Fletcher przegrał w Madison, a tylko przegrywający kandydat może tego zażądać. „Washington Post” napisał nazajutrz we wstępniaku, że burmistrz jeszcze pod jednym względem przekroczył swoje uprawnienia: skoro Nat uzyskał nad swoim rywalem ponad jednoprocetową przewagę, przeliczanie nie było konieczne. Jednak dziennikarz przyznał, że odrzucenie tego żądania mogłoby się zakończyć zamieszkami, nie wspominając o niekończących się prawnych

korowodach, co by nie licowało ze stylem prowadzenia kampanii wyborczych przez obu kandydatów.

I znów kupki kart zostały przeliczone raz i drugi, a potem dwukrotnie sprawdzone. Wyszło na jaw, że trzy stosy zawierały po sto jeden głosów, natomiast w innym było ich tylko dziewięćdziesiąt osiem. Główny referent dopiero wtedy potwierdził rezultat, kiedy się upewnił, że wyniki obliczeń kalkulatorów i obliczeń ręcznych są zgodne, i podał burmistrzowi kartkę z liczbami innymi niż poprzednio.

Burmistrz odczytał wynik: 3021 głosów dla Cartwrighta i 2905 dla Davenporta, co zmniejszyło ogólną przewagę demokratów do dwóch głosów...

Tom natychmiast zażądał następnego liczenia, choć wiedział, że nie ma już do tego prawa. Podejrzewał, że skoro przewaga Fletchera się zmniejszyła, burmistrzowi trudno będzie odmówić. Trzymał kciuki, kiedy referent instruował burmistrza. Burmistrz tylko skinął głową i wrócił do mikrofonu.

- Zezwalam na jeszcze jedno liczenie głosów - oznajmił - ale jeżeli demokraci trzeci raz uzyskają przewagę, choćby najmniejszą, ogłoszę Fletchera Davenporta nowym gubernatorem Connecticut. - Zwolennicy Fletchera okrzykami radości powitali te słowa, a Nat zareagował na nie potwierdzającym skinieniem głowy. Liczenie zaczęło się od nowa.

Czterdzieści minut później potwierdzono, że wszystko się zgadza, ale ktoś zauważył, że jeden z obserwatorów Nata wysoko uniósł rękę. Burmistrz powoli podszedł do niego w asyście głównego referenta i spytał, co to za wątpliwość. Obserwator wskazał na stosik głosów po stronie Davenporta i powiedział, że jeden z nich przysługuje Cartwrightowi.

- Cóż, jest tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć - rzekł burmistrz, odwracając kolejno karty do głosowania, a tymczasem tłum skandował:

- Jeden, dwa, trzy...

Nat, który czuł się zakłopotany, mruknął do Su Ling:

- Lepiej, żeby się nie pomylił.

- Dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem... - Fletcher się nie odezwał, kiedy Jimmy przyłączył się do tłumu.

- Trzydzieści dziewięć, czterdzieści, czterdzieści jeden... - I nagle wszyscy umilkli; obserwator miał rację, ponieważ na czterdziestej drugiej karcie widniał krzyżyk przy nazwisku Cartwrighta. Burmistrz, główny referent, Tom i Jimmy sprawdzili kartę i zgodzili się, że nastąpiła pomyłka, wobec czego ogólny wynik był nierozstrzygnięty. Toma zaskoczyła reakcja Nata:

- Ciekawe, jak głosował doktor Renwick?

- Myślę, że się wstrzymał od głosu - szepnął Tom.

Burmistrz wyglądał na wyczerpanego i zgodził się z szefem personelu, że powinien zarządzić przerwę, by dać odpocząć liczącym i innym urzędnikom przed następnym liczeniem o godzinie drugiej. Burmistrz zaprosił Fletchera i Nata na lunch, ale obaj kandydaci grzecznie odmówili, gdyż nie mieli zamiaru opuszczać sali ani nawet oddalać się na krok od środkowego stołu, na którym piętrzyły się stosy kart.

- Ale co będzie, jeżeli znowu się okaże, że jest remis? - Nat usłyszał, jak burmistrz pyta głównego referenta, kiedy kierowali się do wyjścia. Nie dosłyszał odpowiedzi, zadał więc takie samo pytanie Tomowi. Szef jego kampanii wyborczej pilnie studiował „Regulamin wyborów w stanie Connecticut”.

Su Ling wymknęła się z sali i powędrowała wolno korytarzem, trzymając się w odległości kilku kroków za orszakiem burmistrza.

Przystanąła, kiedy na dębowych drzwiach zobaczyła napis złotymi literami: BIBLIOTEKA. Z zadowoleniem się przekonała, że drzwi nie są zamknięte, i prędko weszła do środka. Usiadła za jedną z wielkich szaf bibliotecznych, oparła się wygodnie i pierwszy raz w tym dniu próbowała się odprężyć.

- Ty też - usłyszała głos.

Podniosła oczy i zobaczyła Annie, siedzącą w przeciwnym kącie.

- Miałam do wyboru spędzenie następnej godziny w tej sali albo...

- ...albo lunch z burmistrzem i wysłuchiwanie dalszych kazań o cnotach i urokach Madison.

Obie wybuchnęły śmiechem.

- Chciałabym, żeby to się rozstrzygnęło wczorajszego wieczoru - powiedziała Su Ling. - Teraz jeden z nich do końca życia będzie się zastanawiał, czy powinien odwiedzić jeszcze jedno centrum handlowe...

- Chyba nie ma takiego, w którym nie byli - rzekła Annie.

- Albo szkołę, szpital, fabrykę czy stację kolejową.

- Powinni się porozumieć, że każdy będzie rządził przez sześć miesięcy w roku a potem ludzie zdecydują, kogo będą woleli za następne cztery lata.

- Nie sądzę, żeby to cokolwiek rozstrzygnęło.

- Dlaczego nie? - spytała Annie.

- Mam wrażenie, że to pierwsza z wielu potyczek między nimi, która niczego nie dowiedzie przed ostateczną konfrontacją.

- Może to, że jeden jest tak podobny do drugiego, że trudno między nimi wybrać, sprawia kłopot wyborcom - rzuciła Annie, patrząc badawczo na Su Ling.

- Może po prostu niczym się nie różnią - rzekła Su Ling, odpowiadając jej spojrzeniem.

- Tak, moja matka często mówi, jacy są podobni, kiedy występują obaj w telewizji, a zbieg okoliczności z tą samą grupą krwi jeszcze potęguje to wrażenie.

- Jako matematyk nie wierzę w zbyt wiele zbiegów okoliczności - rzekła Su Ling.

- Ciekawe, że to mówisz - Annie zdobyła się na odwagę - bo ile razy poruszam ten temat z Fletcherem, on natychmiast milknie.

- On też?

- Przypuszczam, że gdybyśmy połączyły to, co wiemy...

- To byśmy bardzo tego żałowały.

- Co przez to rozumiesz? - zapytała Annie.

- Tylko to, że jeżeli oni obaj postanowili nie rozmawiać na ten temat, i to nawet z nami, to muszą mieć bardzo ważny powód.

- Więc uważasz, że my też powinniśmy milczeć?

Su Ling skinęła głową.

- Zwłaszcza po tym, co przecierpiała moja matka...

- i przez co niewątpliwie przeszłaby moja teściowa - zauważyła Annie. Su Ling uśmiechnęła się i wstała. Spojrzała w oczy bratowej. - Miejmy nadzieję, że nie będą się obaj ubiegać o prezydenturę, bo wtedy prawda musiałaby wyjść na jaw.

Annie skinęła głową na potwierdzenie.

- Wyjdę pierwsza - rzekła Su Ling - żeby nikt się nigdy nie domyślił,

że ta rozmowa się odbyła.

- Czy udało ci się zjeść lunch? - spytał Nat.

Su Ling nie musiała odpowiedzieć, gdyż uwagę męża odwróciło pojawienie się burmistrza, który trzymał w ręku kartkę papieru.

Miał o wiele pogodniejszą minę niż wtedy, kiedy wracał do swego biura. Stanąwszy na środku sali, wydał natychmiast polecenie, żeby od nowa liczyć głosy. To nie smakowity lunch ani wyborne wino wzbudziły zadowolenie burmistrza; w rzeczywistości Paul Holbourn poświęcił lunch, żeby zatelefonować do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie i poprosić o radę w biurze prokuratora generalnego jak należy postąpić w wypadku remisu.

Liczący głosy byli, jak zawsze, skrupulatni i dokładni i czterdzieści minut później obwieścili taki sam wynik. Remis.

Burmistrz odczytał ponownie faks od prokuratora generalnego i ku osłupieniu obecnych zarządził kolejne liczenie, które po trzydziestu czterech minutach potwierdziło brak rozstrzygnięcia.

Kiedy główny referent przekazał tę wiadomość burmistrzowi, ten skierował się ku podium, poprosiwszy obydwu kandydatów, żeby mu towarzyszyli. Fletcher wzruszył ramionami, podchwyciwszy spojrzenie Nata. Widzowie tak bardzo byli ciekawi, co zostało postanowione, że natychmiast odsunęli się na boki, przepuszczając trzech mężczyzn, jakby na podniesienie laski Mojżesza rozstały się wody Madison...

Burmistrz wstąpił na podium w asyście obu kandydatów. Kiedy się zatrzymał na środku sceny, kandydaci ustawili się po obu jego stronach: Fletcher po lewicy, Nat po prawicy, zgodnie z politycznymi przekonaniem. Burmistrz musiał odczekać kilka chwil, aż mikrofon wróci na miejsce, po czym zwrócił się do publiczności, która nie stopniała mimo przedłużającej się procedury.

- Panie i panowie, w czasie przerwy na lunch zatelefonowałem do Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie z prośbą o radę, jak należy postąpić w razie remisu. - Po tym oświadczeniu zapadła głęboka cisza, do jakiej nie udało się nakłonić audytorium od chwili, gdy o dziewiątej rano otworzono drzwi. - Mam tutaj faks - ciągnął burmistrz - podpisany przez prokuratora generalnego, z wykładnią prawną w tej sprawie. - Ktoś zakaszłał i w ciszy, w której zastygł tłum, zabrzmiało to jak wybuch Wezuwiusza.

Burmistrz chwilę milczał, a potem podniósł faks do oczu.

- Jeżeli w wyborach na gubernatora kandydat uzyska przewagę w trzech liczeniach z rzędu, zostanie uznany za zwycięzcę niezależnie od tego, jak niewielka będzie to przewaga. Jeśli jednak kandydaci po raz trzeci uzyskają taką samą liczbę głosów, wtedy o wyniku zdecyduje - burmistrz zawiesił głos i tym razem nikt nie zakaszłał - rzut monetą.

Napięcie pękło i wszyscy zaczęli mówić naraz, próbując sobie przyswoić wagę tej nowiny, i minęło trochę czasu, nim burmistrz mógł kontynuować.

Począł, aż zapadnie kompletna cisza, a potem z kieszonki kamizelki wyjął srebrnego dolara. Umieścił monetę na kciuku zwróconym w górę i popatrzył na obu rywali, jakby oczekując ich aprobaty. Obydwaj skinęli głowami.

Jeden z nich powiedział:

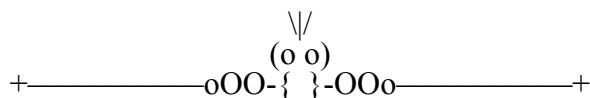
- Awers...

Ale on zawsze tak wybierał.

Burmistrz lekko się skłonił, po czym podrzucił monetę wysoko. Oczy wszystkich śledziły jej lot i jeszcze szybszy upadek, kiedy podskakując na podium, zatrzymała się u stóp burmistrza. Trzej mężczyźni popatrzyli w dół na trzydziestego piątego prezydenta, który odpowiedział im zdecydowanym spojrzeniem.

Burmistrz podniósł monetę i obrócił się ku obu kandydatom. Uśmiechnął się do mężczyzny, który teraz stał po jego prawicy, i rzekł:
- Czy mogę pierwszy złożyć panu gratulacje, panie gubernatorze?

KONIEC



Zapraszam na TnTTorrent. Najlepsza darmowa strona !!!

Zarejestruj się poprzez ten link :

<http://tnttorrent.info/register.php?refferal=1036847>